FUNDACJA

ISAAC ASIMOV

NARODZINY FUNDACJI

CZĘŚĆ DRUGA

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Hari Seldon kieruje z powodzeniem Projektem Psychohistorii na Uniwersytecie Streelinga, a jednocześnie, po zniknięciu R. Daneela Olivawa, zostaje nieoczekiwanie Pierwszym Ministrem. Dzieląc czas miedzy badania nad psychohistorią a walkę ze spiskowcami i rządem wojskowym usiłuje za wszelką cenę zapanować nad chaosem, w którym pogrąża się Trantor i Światy Zewnętrzne. Przenosi swe biuro do Biblioteki Imperialnej — największej składnicy wiedzy o ludzkiej cywilizacji. Wie już, że Imperium nie można uratować, ale robi wszystko, by położyć podwaliny pod nowy świat. Zakłada Pierwsza i Drugą Fundację…

- Isaac Asimov
  - Rozdział I
    - 1
    - 2
    - 3
    - 4
    - 5
    - 6
    - 7
    - 8
    - 9
    - 10
    - 11
    - 12
    - 13
    - 14
    - 15
    - 16
    - 17
    - 18
    - 19
    - 20
    - 21
    - 22
    - 23
    - 24
    - 25
  - Rozdział II
    - 1
    - 2

- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- 20
- 21
- 22
- 23
- 24
- 25

○ Rozdział III

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- 20

        - 21
        - 22
        - 23
        - 24
        - 25
        - 26
        - 27
    - Rozdział IV
        - 1
        - 2
        - 3
        - 4
        - 5
        - 6
        - 7
        - 8
        - 9
        - 10
        - 11
        - 12
        - 13
        - 14
        - 15
        - 16
        - 17
        - 18
        - 19
        - 20
        - 21
        - 22
        - 23
        - 24
        - 25
        - 26
        - 27
        - 28
        - 29
        - 30
        - 31
        - 32
        - 33
        - 34
    - Rozdział V
- notes

- ○ 1
- ○ 2

Isaac Asimov
Narodziny Fundacji

Rozdział I
Eto Demerzel

DEMERZEL, ETO — (…) Mimo iż nie ma wątpliwości co do tego, że w czasach panowania imperatora Cleona I przez wiele lat Eto Demerzel posiadał wielką władzę, historycy nie są zgodni co do natury tejże władzy. Według klasycznej interpretacji był jeszcze jednym z bardzo wielu silnych i bezlitosnych ciemiężycieli ostatniego stulecia w zjednoczonym Imperium Galaktycznym. Pojawiły się jednak poglądy rewizjonistów, którzy utrzymywali, że pomimo despotyzmu był człowiekiem dobrodusznym. Pewne światło rzuca na to jego związek z Harim Seldonem, choć jego natura pozostanie na zawsze niezbyt wyraźnie określona, szczególnie w czasie niezwykłego epizodu z Laskinem Joranum, którego gwałtowny, lecz krótkotrwały bunt (…)

Encyklopedia Galaktyczna[1]

1

— Powtarzam ci, Hari — odezwał się Yugo Amaryl — że twój przyjaciel Demerzel ma poważne kłopoty. — Podkreślił słowo „przyjaciel” delikatnie, a jednak z wyczuwalną niechęcią.

Hari Seldon wyczuł gorzką nutę, ale zignorował ją. Spojrzał zza swego trójkomputera i powiedział:

— A ja ci powtarzam, Yugo, że pleciesz bzdury. — Po czym ze śladami rozdrażnienia w głosie dodał: — Dlaczego uparłeś się, żeby zabierać mi czas?

— Bo sądzę, że to ważne.

Amaryl usiadł, podkreślając, że nie będzie łatwo go stąd usunąć. Skoro się tu znalazł, miał zamiar zostać.

Przed ośmioma laty był tylko palaczem w Dahlu — znajdował się tak nisko na drabinie społecznej, jak tylko było to możliwe. To właśnie Seldon pozwolił mu wyrwać się z nizin, zostać matematykiem i intelektualistą, a nawet więcej — psychohistorykiem.

Nigdy ani na chwilę nie zapomniał, kim był kiedyś, kim jest teraz i komu zawdzięcza tę zmianę. To zaś oznaczało, że jeśli musiał surowo zwracać się do Hariego Seldona — dla dobra samego Seldona — nie brał pod uwagę szacunku i miłości, którymi darzył starszego człowieka. Nie mógł go powstrzymać nawet wzgląd na własną karierę. To surowe zachowanie — i jeszcze znacznie więcej — zawdzięczał właśnie Helikończykowi.

— Posłuchaj, Hari — powiedział, unosząc gwałtownie lewą rękę — z jakiegoś powodu, którego nie potrafię pojąć, masz bardzo dobre zdanie o Demerzelu. W przeciwieństwie do mnie. Nikt, kogo opinię szanuję — nikt oprócz ciebie — nie wyraża się o nim pochlebnie. Nie obchodzi mnie, co się z nim stanie, skoro jednak wiem, że ciebie to obchodzi, nie mam wyboru i muszę ci na to zwrócić uwagę.

Seldon uśmiechnął się nie tylko z powodu tak poważnie wypowiedzianych słów, ale również dlatego, że troskę Amaryla uważał za zbyteczną. Szczerze go lubił — a nawet więcej. Yugo był jednym z czworga ludzi, których poznał podczas pobytu na Trantorze. Poznał tam Eto Demerzela, Dors Venabili, Yugo Amaryla i Raycha — czworo ludzi, których polubił jak nikogo przedtem.

W pewien szczególny, w każdym wypadku inny sposób stali się dla niego niezbędni — Yugo Amaryl dlatego, że tak szybko zrozumiał zasady psychohistorii i tak skutecznie prowadził badania na nowych obszarach. Wielce pocieszająca była świadomość, że cokolwiek stałoby się Seldonowi, nim zdołałby rozwiązać zadania matematyczne, pozostanie przynajmniej jeden utalentowany człowiek, który będzie kontynuował badania.

— Przepraszam cię, Yugo — odezwał się Hari. — Nie chciałem być niecierpliwy ani odrzucać podawanej mi dłoni, szczególnie że tak bardzo pragniesz, bym zrozumiał twoje intencje. Chodzi jedynie o moją pracę; kiedy jest się dziekanem wydziału…

Teraz Amaryl uśmiechnął się, nieznacznie tłumiąc cichy chichot.

— Przepraszam, Hari. Wiem, że nie powinienem się śmiać, ale ty nie masz żadnych predyspozycji do tego stanowiska.

— Sam o tym wiem, ale będę się musiał nauczyć. Chciałem robić coś nieszkodliwego, a nie ma nic, doprawdy nic mniej szkodliwego niż pozycja dziekana Wydziału Matematyki na Uniwersytecie Streelinga. Mogę wypełniać swój dzień nieważnymi zadaniami, żeby nikt mnie nie pytał o kierunek naszych badań psychohistorycznych. Problem jedynie w tym, że naprawdę wypełniam swój dzień nieważnymi zajęciami i nie mam dość czasu na… — Rozejrzał się po swym biurze, spojrzał na komputery, do których tylko on i Amaryl mieli dostęp. Nawet gdyby ktoś inny chciał z nich skorzystać, program był napisany tak przemyślną symboliką, że nikt obcy nie zdołałby go zrozumieć.

— Kiedy już przyzwyczaisz się do obowiązków — odezwał się Amaryl — zaczniesz je przekazywać innym i wtedy będziesz miał więcej czasu.

— Mam nadzieję — rzucił Seldon z powątpiewaniem. — Powiedz mi jednak o tej ważnej sprawie, która dotyczy Eto Demerzela.

— Po prostu Eto Demerzel, nasz wspaniały Pierwszy Minister, gorączkowo przygotowuje przewrót.

Seldon zmarszczył brwi.

— Dlaczego miałby to robić?

— Wcale nie powiedziałem, że tego chce. On po prostu to robi, świadomie czy nieświadomie, z wielką pomocą ze strony niektórych swoich politycznych wrogów. Wiesz, że mi to nie przeszkadza. Myślę nawet, że w sprzyjających warunkach dobrze byłoby się go pozbyć z pałacu, z Trantora… a nawet z Imperium. Jak już jednak mówiłem, ty go cenisz, dlatego ostrzegam cię, bo podejrzewam, że nie śledzisz wydarzeń politycznych tak dokładnie, jak powinieneś.

— Są znacznie ważniejsze sprawy — odpowiedział łagodnie Seldon.

— Na przykład psychohistoria. Zgadzam się z tobą. Ale powiedz mi, jak rozwiniemy psychohistorię, jak osiągniemy sukces, jeśli będziemy ignorantami w sprawie polityki? Mam na myśli dzisiejszą politykę. Teraz, właśnie teraz teraźniejszość przekształca się w przyszłość. Nie możemy jedynie badać przeszłości. Wiemy, co się w niej zdarzyło. Tylko badając teraźniejszość i bliską przyszłość, możemy sprawdzać rezultaty naszych prac.

— Wydaje mi się, że już słyszałem ten argument — powiedział Seldon.

— I znów go usłyszysz. Chyba nie byłoby dla mnie dobrze, gdybym ci to tłumaczył.

Seldon westchnął, usiadł z powrotem w swoim fotelu i obdarzył Amaryla uśmiechem. Ten młodzieniec potrafił być natrętny, ale poważnie traktował psychohistorię i to wynagradzało wszystko.

Amaryl wciąż nosił piętno, które wycisnęła na nim pozycja palacza. Miał szerokie ramiona i muskularną budowę, jak człowiek, który przywykł do ciężkiej fizycznej pracy. Nie pozwolił, by jego ciało podupadło. Wyszło to na zdrowie zarówno jemu, jak i Seldonowi, inspirowało bowiem Helikończyka do tego, by nie spędzać całego czasu za biurkiem. Seldon nie był tak silny jak Amaryl, jednak w dalszym ciągu odznaczał się niezwykłą siłą. Niedawno przekroczył czterdziestkę, był w dobrej formie i zamierzał ją utrzymać. Dzięki codziennej gimnastyce nie miał jeszcze brzuszka, a jego ramiona i uda były umięśnione.

— Chyba nie zajmujesz się Demerzelem tylko dlatego, że jest moim przyjacielem. Musisz mieć jakiś inny powód.

— Nie ma w tym żadnej zagadki. Tak długo jak jesteś przyjacielem Demerzela, twoja pozycja tu, na uniwersytecie, jest bezpieczna i możesz kontynuować badania w dziedzinie psychohistorii.

— No proszę. A więc mam powód, by się z nim przyjaźnić. Frzynaj-mniej to rozumiesz.

— Tobie opłaca się utrzymywać z nim znajomość. To rozumiem. Jeśli jednak chodzi o przyjaźń, tego nie rozumiem. Tak czy inaczej, jeśli Demerzel straci władzę, to pomijając już wpływ, jaki może to mieć na twoją pozycję, Cleon będzie osobiście kierował Imperium, a to jeszcze pogłębi jego rozpad. Może zapanować anarchia, i to zanim zdążymy opracować założenia praktyczne psychohistorii, które pomogłyby nauce uratować ludzkość.

— Rozumiem. Ale uczciwie mówiąc, nie sądzę, byśmy otrzymali wyniki w tak krótkim czasie, żeby mogło to zapobiec Upadkowi.

— Jeśli nawet nie będziemy mogli zapobiec Upadkowi, to może zdołamy chociaż złagodzić jego efekty?

— Być może.

— A widzisz. Im dłużej będziemy mogli pracować w spokoju, tym większą będziemy mieli szansę zapobiec Upadkowi albo przynajmniej złagodzić jego skutki. A ponieważ o to nam chodzi, w czym jesteśmy zgodni, uratowanie Demerzela może być konieczne, czy nam — albo też tylko mi — się to podoba czy nie.

— A przed chwilą powiedziałeś, że chciałbyś się go pozbyć z pałacu, z Trantora, a nawet z Imperium.

— Tak, w idealnych warunkach. Tyle że nie żyjemy w idealnych warunkach i potrzebujemy naszego Pierwszego Ministra, nawet jeśli

jest on narzędziem represji i despotyzmu.

— Rozumiem. Dlaczego jednak sądzisz, że Imperium jest tak bliskie destrukcji, że do jego Upadku wystarczy dymisja Pierwszego Ministra?

— Podpowiada mi to psychohistoria.

— Na jakiej więc podstawie formułujesz tego typu przepowiednie? Przecież nie mamy jeszcze nawet ogólnych założeń.

— Istnieje jeszcze intuicja, Hari.

— Ona zawsze istniała. Jednak potrzebujemy czegoś więcej, zgadzasz się? Musimy opracować zasady matematyczne, które przy spełnieniu tych lub innych warunków pozwolą nam określić prawdopodobieństwo specyficznych dróg rozwoju przyszłości. Gdyby do osiągnięcia celu wystarczyła intuicja, wcale nie potrzebowalibyśmy psychohistorii.

— Jedno nie musi wykluczać drugiego, Hari. Mówię o obu drogach: o takiej kombinacji, która może być lepsza niż inne… przynajmniej dopóki psychohistoria nie zostanie udoskonalona.

— Jeśli w ogóle tak się stanie — rzekł Seldon. — Powiedz mi jednak, na czym polega niebezpieczeństwo dotyczące Demerzela? Kto może go zranić czy też obalić? Czy mówimy o obaleniu Demerzela?

— Tak — odpowiedział Amaryl, a jego twarz przybrała ponury wyraz.

— W takim razie powiedz mi. Zlituj się nad moją ignorancją.

Amaryl zarumienił się.

— Nie drwij, Hari. Na pewno słyszałeś o Jo-Jo Joranum.

— Oczywiście. Jest demagogiem, który kreuje się na przywódcę ludowego… zaraz, zaraz, skąd on pochodzi? Z Nishaya, prawda? To naprawdę mało znaczący świat. O ile dobrze pamiętam, wypasają tam stada kóz i produkują doskonałe sery.

— Zgadza się. Ale on nie jest ot jakimś tam zwykłym demagogiem. Ma wielu zwolenników i staje się coraz silniejszy. Jego celem, jak sam mówi, jest sprawiedliwość społeczna oraz większe zaangażowanie polityczne ludu.

— Tak, dużo o tym słyszałem — powiedział Seldon. — Jego hasło brzmi: „Władza należy do ludu”.

— Trochę inaczej. Powiada: „Władza to lud”. Seldon pokiwał głową.

— Wiesz co, podoba mi się ta myśl.

— Mnie też, nawet bardzo… gdyby Joranum naprawdę miał to na myśli. Ale tak nie jest. Dla niego to tylko jeden ze schodków, po których chce się wspiąć. To tylko droga wiodąca do celu, a nie wytyczony cel. Joranum chce się pozbyć Demerzela, bo wtedy łatwo mu będzie manipulować Cleonem. Później sam obejmie tron i to on stanie się ludem. Sam mi mówiłeś, że w dziejach Imperium było wiele

takich epizodów, a ostatnio Imperium jest słabsze i mniej stabilne niż kiedyś. Cios, który w poprzednich stuleciach spowodowałby jedynie niewielkie zachwianie, teraz mógłby je zniszczyć. Imperium pogrążyłoby się w wojnie domowej i nigdy już nie odzyskałoby dawnej formy, a my nie mamy psychohistorii, która podpowiedziałaby nam, co powinniśmy zrobić.

— Rozumiem twój punkt widzenia, ale z pewnością nie będzie tak łatwo pozbyć się Demerzela.

— Nie zdajesz sobie sprawy, jak silny staje się Joranum.

— To bez znaczenia. — Niemal widać było kłębiące się myśli Seldona. — Zastanawia mnie natomiast, że rodzice nazwali go Jo-Jo. W tym imieniu jest coś młodzieńczego.

— Jego rodzice nie mieli z tym nic wspólnego. Naprawdę ma na imię Laskin, to bardzo popularne imię na Nishaya. Sam wybrał imię Jo-Jo, prawdopodobnie od pierwszej sylaby swego nazwiska.

— Nie sądzisz, że głupio zrobił?

— Nie. Jego zwolennicy skandują: Jo… Jo… Jo… Jo. Działa to hipnotycznie.

— No cóż — powiedział Seldon, odwracając się do swego trójkomputera i porządkując wielowymiarową symulację, którą stworzył za jego pomocą — zobaczymy, co się będzie działo.

— Jak możesz podchodzić do tego tak obojętnie? Mówię ci, że zawisło nad nami niebezpieczeństwo.

— Wcale tak me jest — rzekł Seidon, a jego głos i wyraz oczu zdradzały stanowczość. — Nie znasz wszystkich faktów.

— A jakich to faktów nie znam?

— Porozmawiamy o tym innym razem, Yugo. Wolałbym, żebyś zajął się teraz swoją pracą i pozwolił, bym to ja zajął się Demerzelem i stanem Imperium.

Amaryl zacisnął usta, ale nawyk posłuszeństwa wobec Seldona był tak silny, że powiedział jedynie:

— Tak, Hari.

Mimo to już w drzwiach odwrócił się i dodał:

— Popełniasz błąd, Hari. Seldon uśmiechnął się lekko.

— Nie sądzę, ale przyjąłem twoje ostrzeżenie i będę o nim pamiętał. Powtarzam ci jednak, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy Amaryl wyszedł, Seldon przestał się uśmiechać.

— Czy naprawdę wszystko będzie dobrze?

2

Choć Seldon pamiętał o przestrogach Amaryla, nie przykładał do nich większej wagi. Nadeszły i minęły jego czterdzieste urodziny, co dla wielu bywa psychologicznym ciosem.

Czterdziestka! Minęła już młodość. Życie nie rozpościerało się już przed nim jak olbrzymie pole, którego horyzont ginie gdzieś w oddali. Przebywał na Trantorze od ośmiu lat, a czas ten upłynął bardzo szybko. Następne osiem lat i dobiegnie niemal pięćdziesiątki. Będzie się zbliżała starość.

Co gorsza, nie opracował jeszcze nawet solidnych podstaw psychohistorii! Yugo Amaryl tak mądrze mówił o prawach i pracował nad swoimi równaniami, posługując się śmiałymi założeniami opartymi na intuicji. Ale jak można by przetestować takie założenia? Psychohistoria nie jest jeszcze nauką eksperymentalną. Pełne badanie wymagałoby doświadczeń, a te zaangażowania całych światów, mnóstwa czasu i… całkowitego braku odpowiedzialności etycznej.

Postawiony problem wydawał się niemożliwy do rozwiązania, toteż Seldon, niechętnie spędzający czas na zajęciach administracyjnych, udał się pod koniec dnia do domu w ponurym nastroju.

Zazwyczaj spacer przez miasteczko uniwersyteckie wprawiał go w lepszy nastrój. Nad Uniwersytetem Streelinga wznosiła się tak gigantyczna kopuła, że przebywając w miasteczku uniwersyteckim, miało się wrażenie, iż widzi się otwartą przestrzeń. Nie trzeba też było znosić takich warunków meteorologicznych, jakich Seldon doświadczył podczas wizyty w Pałacu Imperialnym. Rosły tu drzewa, rozpościerały się trawniki i alejki, co sprawiało, że czuł się jak w miasteczku uniwersyteckim swojego starego college'u, na rodzinnym Helikonie.

Złudzenie zachmurzenia zaplanowanego na ten dzień dawało sztuczne światło słoneczne pojawiające się i znikające w dość dziwnych odstępach czasu. Było też nieco chłodno.

Seldonowi wydawało się, że ostatnio zimne dni pojawiają się jakoś częściej niż zazwyczaj. Czyżby na Trantorze oszczędzano energię? A może pogłębiał się jej niedobór? A może to on (tu aż się skrzywił na samą myśl) starzeje się i jego krew wolniej krąży? Wsunął dłonie do kieszeni marynarki i skulił się.

Zwykle nie musiał myśleć o tym, w którą stronę idzie. Doskonale znał trasę z biura do sali komputerowej, a stamtąd do swego mieszkania i z powrotem do biura. Przeważnie całą drogę wypełniały mu rozmyślania, jednakże dziś do jego świadomości dotarł jakiś dźwięk. Dźwięk, który nic nie znaczył.

Jo… Jo… Jo… Jo…

Był raczej cichy i odległy, ale przyniósł wspomnienia. Tak, ostrzeżenie Amaryla. Jo-Jo — demagog i przywódca ludowy. Czyżby był tu, w miasteczku akademickim? Seldon nie podjął świadomej decyzji: nogi same go poniosły i przywiodły ku lekkiemu wzniesieniu zwanemu placem uniwersyteckim, gdzie studenci gimnastykowali się, uprawiali sporty albo wygłaszali przemówienia.

Pośrodku placu znajdowała się niezbyt liczna grupa studentów, którzy entuzjastycznie śpiewali. Na platformie stał ktoś, kogo Hari nie rozpoznał, ktoś kołyszący się rytmicznie, o donośnym głosie.

Nie był to jednak Joranum. Seldon wielokrotnie oglądał go w holowizji, a ostrzeżony przez Amaryla, przyjrzał mu się uważnie. Joranum był rosłym mężczyzną, uśmiechał się jak fałszywy przyjaciel. Miał gęste jasne włosy i błękitne oczy.

Ten mężczyzna był niski, a poza tym szczupły, miał szerokie usta i ciemne włosy i zachowywał się bardzo głośno. Seldon nie wsłuchiwał się w słowa, ale usłyszał zdanie „przekazać władzę jednostki wielu" oraz głośny aplauz studentów, którym się to spodobało.

Doskonale, pomyślał, ale ciekawe, jak ma zamiar to zrobić… i czy mówi poważnie?

Znalazł się na skraju zgromadzenia i rozglądał dokoła, szukając kogoś znajomego. Wpadł na Finangelosa, studenta Wydziału Matematyki, całkiem przyzwoitego młodego człowieka o ciemnych, kędzierzawych włosach.

— Finangelos! — zawołał.

— Profesor Seldon — odpowiedział tamten dopiero po chwili, bo gapił się na niego tak, jakby nie potrafił go rozpoznać, gdy Hari nie trzymał rąk na klawiaturze komputera. Wreszcie podbiegł i zapytał: — Przyszedł pan posłuchać tego faceta?

— Nie. Przyszedłem tu tylko po to, by dowiedzieć się, co to za hałasy. Kto to?

— Nazywa się Namarti, profesorze. Przemawia w imieniu Jo-Jo.

— To już słyszałem — oznajmił Seldon, znów słuchając pieśni. Wyraźnie zaczynała się wtedy, gdy mówca chciał coś podkreślić. — Ale kim jest ten Namarti? Nie znam tego nazwiska. Z którego jest wydziału?

— On nie jest członkiem społeczności uniwersyteckiej, profesorze. To jeden z ludzi Jo-Jo.

— Jeśli nie jest członkiem społeczności uniwersyteckiej, to nie ma prawa tu przemawiać bez zezwolenia. Myślisz, że je posiada?

— Nie mam pojęcia, profesorze.

— W takim razie dowiedzmy się.

Seldon zaczął się przedzierać przez tłum, ale Finangelos złapał go za rękaw.

— Panie profesorze, niech pan niczego nie zaczyna. On ma ze sobą obstawę.

Za mówcą widać było sześciu młodych ludzi. Stali na szeroko rozstawionych nogach, ręce mieli splecione na piersiach, a miny bardzo groźne.

— Obstawę?

— Na wypadek awantury. Gdyby ktoś chciał się powygłupiać.

— W takim razie na pewno nie jest członkiem społeczności uniwersyteckiej i nawet zezwolenie nie usprawiedliwiłoby obecności tej, jak ją nazywasz, „obstawy". Finangelos, wezwij strażników uniwersyteckich. Powinni tu już dawno być, i to bez wzywania.

— Pewnie nie chcą mieć kłopotów — wymamrotał Finangelos. — Proszę pana, profesorze, niech pan nic nie robi. Jeśli chce pan, żebym wezwał strażników, zrobię to, ale proszę, by się pan wstrzymał do ich przybycia.

— Może mógłbym przerwać to, zanim przybędą.

Seldon zaczai się przepychać między ludźmi, co nie było znowu takie trudne. Niektórzy z obecnych rozpoznawali go, a wszyscy pozostali widzieli naszywkę profesorską na jego ramieniu. Doszedł do platformy, oparł na niej dłonie i nieco sapiąc, wskoczył na górę. Boleśnie rozczarowany pomyślał, że dziesięć lat temu potrafiłby to zrobić, pomagając sobie tylko jedną dłonią, i nie zasapałby się przy tym.

Wyprostował się. Mówca przerwał, a w jego wzroku pojawiły się ostrożność i chłód.

— Proszę o zezwolenie na przemawianie do studentów — zażądał spokojnie Seldon.

— Kim pan jest? — zapytał mówca. Wypowiedział te słowa głośno i wyraźnie.

— Jestem profesorem tego uniwersytetu — odpowiedział Seldon równie głośno. — Mogę zobaczyć pańskie zezwolenie?

— Odmawiam. Nie ma pan prawa zadawać mi takich pytań ani żądać zezwolenia.

Młodzi mężczyźni otoczyli szczelniej mówcę.

— Jeśli nie ma pan zezwolenia, to radzę natychmiast opuścić teren uniwersytetu.

— A jeśli tego nie zrobię?

— No cóż, tak czy inaczej strażnicy uniwersyteccy są już w drodze. — Seldon odwrócił się w stronę tłumu. — Studenci — zawołał — w naszym miasteczku uniwersyteckim mamy prawo czuć się wolni, a i przemawiać możemy swobodnie, jednakże prawo to może zostać nam odebrane, jeśli pozwolimy obcym, którzy nie mają zezwolenia, by…

Seldon poczuł, że ktoś kładzie ciężką dłoń na jego ramieniu, i

zadrżał. Odwrócił się i zobaczył, że to jeden z ludzi, których Finangelos nazwał obstawą.

— Zjeżdżaj stąd, i to szybko! — rzucił mężczyzna. Mimo że mówił z charakterystycznym akcentem, Hari nie potrafił od razu rozpoznać, skąd pochodzi.

— To i tak nic nie da — powiedział. — Strażnicy będą tu za chwilę.

— W takim razie — odezwał się Namarti, wykrzywiając usta — będą zamieszki. To nas nie przeraża.

— Nic takiego nie nastąpi — stwierdził Seldon. — To byłoby wam na rękę, ale nie będzie żadnych zamieszek. Odejdziecie stąd w spokoju. — Znów odwrócił się do studentów i strząsnął rękę młodzieńca ze swego ramienia. — Dopilnujemy tego, prawda?

— To profesor Seldon! — wrzasnął ktoś z tłumu. — Przyzwoity człowiek! Zostawcie go!

Helikończyk wyczuwał, że studenci mają mieszane uczucia. Wiedział, że niektórzy z nich chętnie wzięliby udział w bójce ze strażnikami uniwersyteckimi, ot tak, dla zasady. Z drugiej strony, musieli się tu znajdować tacy, którzy go lubili, a także inni, którzy wprawdzie go nie znali, ale z pewnością nie pragnęli być świadkami pobicia profesora uniwersytetu.

— Niech pan uważa, profesorze! — rozległ się krzyk jakiejś kobiety. Seldon westchnął i spojrzał na postawnego młodego człowieka, ku któremu zwrócił się twarzą. Nie wiedział, czy sobie z nim poradzi, czy wciąż ma dość dobry refleks, a muskuły wystarczająco krzepkie, choć nieraz popisywał się śmiałymi wyczynami.

Jeden z kompanów Namartiego ruszył ku niemu, zachowując się wielce poufale. Szedł powoli, co dało Seldonowi tyle czasu, ile potrzebowało jego starzejące się ciało. Oprych wyciągnął rękę, co tylko ułatwiło Helikończykowi zadanie. Chwycił mężczyznę za ramię, wykręcił je i pochylił się, pociągając najpierw w górę, potem zaś w dół (stękał przy tym — dlaczego musiał stękać?), a napastnik poszybował w powietrze, częściowo popchnięty siłą własnego rozpędu. Wylądował z hukiem na skraju platformy; widać było, że ma wykręcone ramię.

Zgromadzeni studenci zawyli dziko, widząc tak nieoczekiwany rozwój akcji. Poczucie wspólnoty zaowocowało wybuchem dumy.

— Bierz ich, profesorku! — krzyknął ktoś. Inni powtórzyli to za nim. Seldon wygładził włosy, starając się nie sapać. Stopą strącił napastnika z platformy.

— Ktoś jeszcze? — spytał milutko. — Czy też spokojnie opuścicie teren?

Stanął przed Namartim i jego pięcioma sługusami.

— Ostrzegam was. Tłum jest teraz po mojej stronie. Jeśli

zechcecie mnie tknąć, rozerwą was na strzępy… No dobra, który następny? Proszę bardzo. Byle pojedynczo.

Podniósł głos, wymawiając ostatnie zdanie, a przebierając palcami, pokazał, że zaprasza ich do siebie. Studenci krzykiem wyrażali aplauz.

Namarti stał obojętnie na platformie. Seldon podskoczył ku niemu i złapał jego szyję w zgięcie ręki. Teraz i studenci wdrapywali się na platformę, wołając: „Byle pojedynczo! Byle pojedynczo!” Stanęli pomiędzy ochroniarzami a Seldonem.

Seldon wzmocnił nacisk na tchawicę swego przeciwnika i szepnął mu na ucho:

— Wiem, co powinienem zrobić, Namarti. Znam się na tym. Przez lata zdobyłem praktykę. Jeśli poruszysz się i spróbujesz wyrwać, tak ci podreperuję tchawicę, że już nigdy nie wymówisz nic głośniej niż szeptem. Jeśli cenisz sobie swój głos, to rób, co każę. Kiedy zwolnię uścisk, rozkażesz swojej zgrai buldogów, by stąd odeszli. Jeśli powiesz coś innego, będą to ostatnie słowa, jakie normalnie powiedziałeś w życiu. A gdyby ci przyszło do głowy tu wrócić, wykończę cię, przystojniaczku.

Zwolnił na chwilę uścisk, a wtedy Namarti powiedział ochrypłym głosem:

— Wynoście się. Wszyscy.

Wycofywali się w popłochu, pomagając potłuczonemu koledze. Kiedy po kilku chwilach przybyli strażnicy uniwersyteccy, Seldon rzekł:

— Przepraszam, panowie. To był fałszywy alarm.

Opuścił plac uniwersytecki. Szedł do domu bardziej niż boleśnie rozczarowany. Odsłonił tę część swej natury, której nikomu nie chciał pokazywać. Jest przecież Harim Seldonem matematykiem, a nie Harim Seldonem — sadystą. A poza tym, pomyślał ponuro, Dors dowie się o wszystkim. Prawdę mówiąc, powinien sam ją o tym poinformować, zanim usłyszy znacznie dramatyczniejszą wersję wydarzeń, gorszą niż w rzeczywistości.

Dors nie będzie zadowolona.

3

Nie była.

Czekała na niego w drzwiach mieszkania, stojąc w dość swobodnej pozie z ręką na biodrze. Wyglądała prawie tak jak wtedy, gdy osiem lat temu zobaczył ją po raz pierwszy na uniwersytecie: szczupła, zgrabna, o kręconych czerwonawozłotych włosach — wydała mu się śliczna, choć obiektywnie rzecz biorąc, nie była piękna. Od pierwszych dni ich znajomości nie potrafił oceniać jej bezstronnie.

Dors Venabili! Właśnie o tym pomyślał, kiedy zobaczył jej spokojną twarz. Na wielu światach, a nawet w wielu sektorach Trantora Dors przyjęłaby nazwisko męża, ale to równałoby się jakiejś formie własności, a tego Seldon nie chciał, choć zwyczaj przybierania nazwiska męża został usankcjonowany dawno temu, w odległej i mrocznej przeszłości przedimperialnej.

— Już słyszałam, Hari — odezwała się cicho Dors. Smutno pokręciła głową, ale jej luźno spływające loki ledwie się poruszyły. — No i co mam z tobą począć?

— Całusek byłby mile widziany.

— Być może, ale dopiero gdy sobie trochę porozmawiamy. Wejdź. Drzwi zamknęły się za nimi.

— Wiesz, kochanie, że mam wykłady i prowadzę badania. Wciąż zajmuję się tą przerażającą historią Królestwa Trantora, której znajomość, jak sam przyznajesz, jest niezbędna do twojej pracy. Czy mam to wszystko rzucić i zająć się uganianiem za tobą, by cię chronić? Wiesz, że taka jest moja rola. Teraz, kiedy robisz postępy w psychohistorii, muszę cię chronić ze zdwojoną uwagą.

— Robię postępy? Chciałbym, żeby tak było. Ale nie musisz mnie chronić.

— Czyżby? Wysłałam Raycha, żeby cię poszukał. Spóźniałeś się, więc się niepokoiłam. Zwykle mnie uprzedzasz, jeśli masz przyjść później. Przykro mi, jeśli moje słowa brzmią tak, jakbym była twoją strażniczką, Hari, ale ja jestem twoją strażniczką.

— Czy pani rozumie, Strażniczko Dors, że od czasu do czasu mam ochotę zerwać się ze smyczy?

— A co powiem Demerzelowi, jeśli coś ci się stanie?

— Spóźniłem się na obiad? Zamówiłaś już wybrane dania?

— Nie. Czekałam na ciebie. A skoro już jesteś, wybierz je sam. Poza tym nie zmieniaj tematu.

— Czy Raych nie powiedział ci, że nic mi się nie stało? O czym więc tu mówić?

— Kiedy cię znalazł, panowałeś już nad sytuacją, wrócił więc przed tobą, ale tylko kilka minut wcześniej. Nie słyszałam żadnych

szczegółów. Opowiedz… co… robiłeś?

Seldon wzruszył ramionami.

— Odbywało się nielegalne zgromadzenie, a ja je przerwałem. Uniwersytet mógłby mieć poważne kłopoty, gdybym tego nie zrobił.

— I to właśnie ty musiałeś temu zapobiec? Hari, nie jesteś już zapaśnikiem. Jesteś…

— Starym człowiekiem? — dokończył pospiesznie.

— Jak na zawodnika, tak. Masz czterdzieści lat. Jak się czujesz?

— Prawdę mówiąc, nieco zesztywniałem.

— Rozumiem to doskonale. Pewmfgo dnia, kiedy będziesz udawał, że jesteś młodym helikońskim atletą, połamiesz sobie żebra. Opowiedz mi, co się stało.

— Cóż, mówiłem ci, że Amaryl ostrzegał mnie, że Demerzel ma kłopoty z powodu demagogicznego gadania Jo-Jo Joranum.

— Jo-Jo. Tak, tyle też wiem. Nie wiem jednak, co się stało dzisiaj.

— Na placu przed uniwersytetem jeden z zauszników Jo-Jo, Namarti, przemawiał do studentów.

— Gambol Deen Namarti to prawa ręka Joranum.

— Widzę, że wiesz o nim więcej niż ja. W każdym razie przemawiał do studentów, nie mając na to zezwolenia, i jak sądzę, miał nadzieję, że dojdzie do jakichś rozruchów. Tego rodzaju zamieszki są im na rękę, a gdyby doprowadzili do zamknięcia uniwersytetu, choćby na jakiś czas, Namarti oskarżyłby Demerzela o ograniczanie wolności społeczności akademickiej. Myślę, że najchętniej obwiniliby go o wszystko. Dlatego ich powstrzymałem… Musieli odejść z niczym.

— Widzę, że jesteś z siebie dumny.

— A dlaczego by nie? To chyba nie najgorzej jak na czterdziestolatka.

— Postąpiłeś tak, żeby sprawdzić, na co cię stać po czterdziestce?

Seldon zastanawiał się przez chwilę, po czym starannie nacisnąwszy odpowiednie przyciski, zamówił posiłek. Dopiero po chwili odpowiedział:

— Nie. Naprawdę martwiłem się, że uniwersytet mógłby mieć poważne kłopoty. Chodziło mi też o Demerzela. Obawiam się, że opowieść Yugo o niebezpieczeństwie zrobiła na mnie większe wrażenie, niż przypuszczałem. To było głupie, Dors, bo wiem, że Eto potrafi zatroszczyć się o siebie. Nie umiałem tego wyjaśnić ani Yugo, ani nikomu innemu oprócz ciebie. — Odetchnął głęboko. — To zdumiewające, jak przyjemnie jest móc choć z tobą o tym porozmawiać. Tylko my wiemy, że Demerzel jest nietykalny.

Dors nacisnęła włącznik we wgłębieniu płytki przymocowanej na ścianie i jadalnia wydzielona z pomieszczenia wypoczynkowego rozjarzyła się delikatną brzoskwiniową poświatą. Podeszli do stołu,

który był już nakryty obrusem i zastawiony szkłem oraz naczyniami. Kiedy usiedli, obiad zaczął się pojawiać na stole — ostatnio, wieczorem o tej porze, nie trzeba było nawet długo czekać. Swldon przyjął go z obojętną miną. Już dawno przyzwyczaił się do pozycji społecznej, dzięki której w ten właśnie sposób mógł realizować zamówienia.

Spróbował przypraw, które polubili w czasie pobytu w Mycogenie — jedynej rzeczy, którą można było polubić w tym dziwnym, zdominowanym przez mężczyzn, przesiąkniętym religijnością i kultywującym przeszłość sektorze.

— Co masz na myśli, mówiąc „nietykalny”? — spytała Dors.

— Wiesz, kochanie, że on potrafi zmieniać uczucia. Chyba o tym nie zapomniałaś. Jeśli Joranum naprawdę stanie się niebezpieczny, Eto może go — tu wykonał nieokreślony gest — zmienić, wpłynąć na jego umysł.

Dors wyglądała na niezadowoloną; posiłek upływał w raczej niezwykłym milczeniu. Kiedy skończyli jeść, resztki — naczynia, sztućce i wszystko inne — zawirowały i wpadły do zbiornika na odpadki pośrodku stołu, który niezwłocznie nakrył się obrusem. Dopiero wtedy Dors odezwała się:

— Nie jestem pewna, czy chcę o tym mówić, ale nie mogę pozwolić, by zwiodła cię twoja naiwność.

— Naiwność? — Hari zmarszczył brwi.

— Tak. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nie sądziłam, że ten temat wypłynie, ale Demerzel ma pewne słabe strony. Wcale nie jest nietykalny. Można mu wyrządzić krzywdę, a Joranum naprawdę stanowi dla niego zagrożenie.

— Mówisz poważnie?

— Oczywiście. Nie rozumiesz robotów, a już na pewno nie tak złożonych jak Demerzel. A ja je rozumiem.

4

Znów na chwilę zapadła cisza, jednak tylko dlatego, że myśli wymagają ciszy. Seldon był niespokojny.

Tak, to była prawda. Jego żona mogła się pochwalić naprawdę niesamowitą znajomością robotów. Przez lata Hari myślał o tym bardzo często, lecz w końcu poddał się i zepchnął problem do podświadomości. Gdyby nie Eto Demerzel, który był robotem, nigdy nie poznałby Dors. Dors pracowała u Demerzela i to właśnie Demerzel „wyznaczył" ją osiem lat temu do ochrony Helikończyka podczas jego Ucieczki, kiedy to przemierzał różne sektory Trantora. Jednak nawet teraz, gdy była jego żoną, jego wierną towarzyszką, jego „lepszą połową", Hari czasami zastanawiał się nad jej dziwnym przywiązaniem do robota Demerzela. Czuł, że jest to jedyna sfera życia Dors niedostępna dla niego, sfera, w której byłby wręcz niemile widziany. Myśli te przywiodły go" do najboleśniejszego pytania: Czy Dors towarzyszyła mu wyłącznie przez wzgląd na rozkaz Demerzela, czy też z miłości? Chciałby wierzyć, że prawdziwy był ten drugi powód, a jednak…

Życie, które wiódł z Dors Venabili, było szczęśliwe, ale miało to swoją cenę — musieli przestrzegać pewnego warunku. Przestrzegali go tym staranniej, że nie został ustalony w trakcie dyskusji ani wspólnych uzgodnień, lecz powstał na zasadzie niepisanego porozumienia.

Seldon rozumiał, że znalazł w osobie Dors wszystko, czego oczekiwał od żony. To prawda, że nie miefi dzieci, ale nigdy się ich nie spodziewał ani też, prawdę mówiąc, zbytnio nie pragnął. Miał Raycha, którego traktował jak syna, tak jakby chłopak odziedziczył cały jego genotyp — a może nawet więcej.

Już samo to, że za sprawą Dors pomyślał o tym wszystkim, naruszyło porozumienie, dzięki któremu przetrwali tyle lat w spokoju i bez trosk — czuł się więc nieco urażony i to uczucie wciąż narastało.

Jednak odepchnął te myśli i pytania. Nauczył się już akceptować Dors w roli osoby, która troszczy się o niego, i nie chciał niczego zmieniać. W końcu, to przecież z nim dzieliła dom, stół i łoże — z nim, nie z Eto Demerzelem.

Z rozmyślań wyrwał go głos Dors.

— Mówiłam… Jesteś w złym nastroju, Hari?

Spłoszył się nieco, bo jej głos zabrzmiał jak refren. Uświadomił sobie także, że pogrążając się w myślach, jednocześnie oddalał się od niej.

— Przepraszam, kochanie. Nie jestem w złym nastroju. Po prostu zastanawiałem się, jak powinienem odpowiedzieć na twoje słowa.

— Dotyczące robotów? — Wyglądała na dość spokojną, kiedy

wypowiedziała to słowo.

— Stwierdziłaś, że nie wiem o nich tyle co ty. Jak mam na to odpowiedzieć? — Zrobił pauzę, po czym dodał cicho, wiedząc, że jest to jego szansa: — To znaczy, nie złoszcząc się.

— Nie powiedziałam, że nie wiesz nic o robotach. Jeśli zamierzasz cytować moje słowa, rób to precyzyjnie. Powiedziałam, że nie rozumiesz robotów. Jestem pewna, że wiesz o nich bardzo dużo, być może nawet więcej niż ja, ale wiedza nie musi wcale oznaczać zrozumienia.

— Wiesz co, Dors, rozmyślnie wykorzystujesz paradoksy, by mnie rozdrażnić. Paradoks wyrasta z dwuznaczności będącej nieumyślną bądź zamierzoną złudą. Nie lubię tego ani w nauce, ani w towarzyskiej rozmowie, chyba że ma rozśmieszyć ludzi, ale przecież nie o to nam teraz chodzi.

Dors roześmiała się w swój charakterystyczny sposób — delikatnie, prawie tak, jakby rozbawienie było czymś zbyt cennym, by trwonić je tak beztrosko.

— Najwyraźniej paradoks tak cię dręczy, że aż stajesz się pompatyczny, a ty zawsze popisujesz się dowcipem, kiedy stajesz się pompatyczny. A jednak wyjaśnię ci to. Nie miałam zamiaru cię rozdrażnić. — Pochyliła się, by poklepać go po dłoni, ale ku swemu zdziwieniu, a także pewnemu zażenowaniu zauważyła, że zacisnął ją w pięść. — Bardzo dużo mówisz o psychohistorii — stwierdziła. — W każdym razie do mnie. Masz tego świadomość? Seldon odchrząknął.

— Jeśli o to chodzi, zdaję się na twoją łaskę. Ten projekt jest tajny już z samej swojej natury. Psychohistoria nie zadziała, jeśli ludzie, których dotyczy, będą coś o niej wiedzieli, dlatego mogę o tym rozmawiać wyłącznie z tobą i z Yugo. Dla niego jest tylko intuicją. Jest niezwykle inteligentny, ale ma też naturalną skłonność do skakania jak oszalały w ciemnościach, więc muszę grać rolę strażnika i wciąż go stamtąd wyciągać. Poza tym mam nieposkromione myśli i lepiej je słyszę, kiedy mówię — uśmiechnął się — nawet jeśli widzę, że nie rozumiesz z tego ani słowa.

— Wiem, że jestem twoim pierwszym słuchaczem, ale to mi wcale nie przeszkadza. Naprawdę, Hari, więc nie składaj w duchu postanowień, że zmienisz swoje zachowanie. Ja oczywiście nie rozumiem twojej matematyki. Jestem tylko historykiem, i to nawet nie historykiem nauki. Teraz czas wypełnia mi wpływ zmian ekonomicznych na rozwój polityczny…

— Tak, ja również jestem twoim pierwszym słuchaczem, a może tego nie zauważyłaś? Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, będę potrzebował twoich przemyśleń dla celów psychohistorii, dlatego podejrzewam, że twoja pomoc będzie niezastąpiona.

— Doskonale! Teraz, kiedy już ustaliliśmy, dlaczego jesteś ze

mną, a wiedziałam, że moja eteryczna uroda nie mogła być tego powodem, pozwól sobie wyjaśnić przy okazji, że kiedy twoje rozumowanie zbacza z czysto matematycznych aspektów, wydaje mi się, że daję się wciągnąć w twój tok myślenia. Wielokrotnie już wyjaśniałeś mi, co nazywasz koniecznością minimalizmu. Myślę, że to rozumiem. Masz na myśli…

— Dobrze wiem, co mam na myśli. Dors wyglądała na urażoną.

— Proszę, nie unoś się, Hari. Nie usiłuję ci tego wyjaśnić. Pragnę wyjaśnić to sobie. Mówisz, że jesteś moim pierwszym słuchaczem, więc zachowuj się, jakbyś nim był. Wzajemność jest chyba uczciwa, prawda?

— Owszem, ale jeśli zamierzasz oskarżać mnie o wyniosłość, skoro powiedziałem tylko jedno małe…

— Dość tego! Zamilcz!… Powiedziałeś mi, że minimalizm ma dla psychohistorii stosowanej najwyższe znaczenie, że jest sztuką dążenia do zmian rozwoju niepożądanego w sposób pożądany albo przynajmniej w mniej niepożądany. Powiedziałeś, że zmiana musi mieć zastosowanie, nawet jeśli jest maleńka, minimalna…

— Tak — przerwał jej ochoczo Seldon — a to dlatego, że…

— Nie, Hari, to ja usiłuję to wyjaśnić. Oboje wiemy, że ty to rozumiesz. Musisz posługiwać się minimalizmem, bo każda zmiana, jakakolwiek zmiana, powoduje mnóstwo skutków ubocznych, na które nie można pozwolić. Jeśli zmiana jest zbyt zasadnicza i w efekcie powstaje zbyt dużo zmiennych, wtedy niemal na pewno wynik będzie zbyt odległy od zaplanowanego, a co za tym idzie całkowicie nieprzewidywalny.

— Masz rację — powiedział Seldon. — To jest właśnie istota efektu chaotycznego. Problem tkwi w tym, czy dana zmiana jest dostatecznie mała, by jej skutki można było przewidzieć, czy też historia ludzkości jest pod każdym względem nieuchronnie i niezmiennie chaotyczna. Właśnie to sprawiło, że od samego początku sądziłem, że psychohistorii nie da się…

— Wiem, ale nie pozwalasz mi powiedzieć, co o tym myślę. To, czy konkretna zmiana będzie wystarczająco mała, nie jest wcale najważniejsze. Najważniejsze jest to, że każda zmiana większa od minimalnej wprowadza chaos. Pożądane minimum mogłoby mieć wartość zerową, ale jeśli jej nie ma, wciąż jest bardzo małe… tak więc poważniejszym problemem będzie znalezienie takich zmian, które są dostatecznie małe, a jednocześnie mają wartość większą od zera. Podsumowując, jak rozumiem, właśnie to uważasz za konieczność minimalizmu.

— Mniej więcej — rzekł Seldon. — Oczywiście, jak zwykle, problem jest wyrażony ściślej i bardziej rygorystycznie w języku matematyki. Popatrz tu…

— Oszczędź mi tego — powiedziała Dors. — Skoro wiesz tyle o psychohistorii, powinieneś też wiedzieć wiele o Demerzelu. Masz wiedzę, ale nie rozumiesz go, bo najwyraźniej nie wydaje ci się możliwe zastosowanie praw psychohistorii do Praw Robotyki.

Seldon odpowiedział ciszej:

— Teraz ja nie rozumiem, do czego zmierzasz.

— On też wymaga zmian minimalnych, zgadzasz się, Hari? Zgodnie z Pierwszym Prawem Robotyki żaden robot nie może wyrządzić krzywdy człowiekowi. To podstawowe prawo obowiązujące zwykłe roboty, ale Demerzel jest kimś zupełnie wyjątkowym i dla niego rzeczywistym prawem jest Prawo Zerowe, które w jego wypadku jest nawet ważniejsze niż Pierwsze Prawo. Prawo Zerowe stanowi, że robot nie może wyrządzić krzywdy ludzkości. To ogranicza Demerzela w taki sam sposób, w jaki ty jesteś skrępowany, tworząc podstawy psychohistorii. Rozumiesz?

— Zaczynam.

— Mam nadzieję. Jeśli Demerzel posiada zdolność zmieniania umysłów, musi to robić, biorąc pod uwagę skutki uboczne, których sobie nie życzy… a ponieważ jest Pierwszym Ministrem imperatora, musi się troszczyć o skutki uboczne, których jest naprawdę mnóstwo.

— A jak to się ma do obecnej sytuacji?

— Tylko pomyśl! Nie możesz powiedzieć nikomu, oczywiście oprócz mnie, że Demerzel jest robotem, bo odpowiednio wpłynął na ciebie. Ale jak mocny był to wpływ? Czy chcesz powiedzieć ludziom, że Eto jest robotem? Czy chcesz go zniszczyć, skoro jesteś od niego zależny, bo chroni cię i wspiera finansowo twoje projekty badawcze? Oczywiście, że nie. Zmiana, jakiej musiał dokonać w twoim przypadku, była maleńka, ale wystarcza, by powstrzymać cię przed wygadaniem się w chwili podniecenia czy nieuwagi. Jest tak mała, że nie przynosi żadnych szczególnych skutków ubocznych. Ogólnie rzecz biorąc, tak właśnie Demerzel usiłuje kierować Imperium.

— A przypadek Joranum?

— To oczywiste, że zupełnie różni się od twojego. Jo-Jo jest, bez względu na motywy, niezmiennie wrogo nastawiony wobec Demerzela. Niewątpliwie Demerzel mógłby to zmienić, ale za cenę gwałtownego przekształcenia osobowości Joranum. Eto nie zdołałby przewidzieć wszystkich następstw takiej sytuacji. Zamiast więc próbować skrzywdzić Joranum, co przyniosłoby skutki uboczne w postaci skrzywdzenia innych, być może nawet całej ludzkości, musi zostawić Jo-Jo w spokoju, dopóki nie znajdzie jakiejś małej zmiany, tak małej, aby bez szkód uratować całą sytuację. Dlatego właśnie Yugo ma rację i dlatego Demerzel jest narażony na atak, przed którym trudno mu się obronić.

Seldon wysłuchał tego, ale nie odpowiedział. Wyglądał na

zatopionego w myślach. Upłynęła dłuższa chwila, zanim się odezwał.

— Jeśli Demerzel nie może nic zrobić w tej sprawie, to w takim razie ja muszę się tym zająć.

— Jeśli on nie może nic zrobić, to czego ty możesz dokonać?

— Chodzi o co innego. Mnie nie ograniczają Prawa Robotyki. Nie muszę się tak obsesyjnie przejmować minimalizmem. Na początek muszę się zobaczyć z Demerzelem.

Dors była nieco zdziwiona.

— Musisz? Z pewnością nie byłoby najmądrzej ogłaszać wszem i wobec, że jesteście powiązani.

— W obecnej sytuacji nie możemy udawać, że nie jesteśmy powiązani. Naturalnie, nie spotkam się z nim przy dźwiękach fanfar i zapowiedzi w holowizji, ale muszę się z nim zobaczyć.

5

Seldon zauważył, że wścieka się z powodu upływającego czasu. Osiem lat wcześniej, kiedy po raz pierwszy przybył na Trantor, mógł natychmiast przystąpić do działania. Miał tylko pokój w hotelu, który mógł porzucić, jeśli zechciał przemierzać sektory stołecznego świata Imperium.

Teraz musiał uczestniczyć w radach wydziału, podejmować decyzje i wykonywać swoją pracę. Nie mógł tak łatwo zostawić wszystkiego, kiedy tylko chciał, by spotkać się z Demerzelem — a nawet gdyby mógł, Demerzel także miał ustalony plan zajęć. Niełatwo było znaleźć taki moment, kiedy mogliby się spotkać.

Niełatwo też było sprawić, by Dors przestała się dziwić.

— Nie wiem, do czego zmierzasz, Hari — powiedziała.

— Ja też nie wiem, Dors — odparł zniecierpliwiony. — Mam nadzieję, że zrozumiem, o co mi chodzi, kiedy spotkam się z Demerzelem.

— Twoim najważniejszym obowiązkiem jest psychohistoria. On ci to powie.

— Być może. Przekonam się.

I właśnie wtedy, kiedy dopiero co udało mu się uzgodnić termin spotkania z Pierwszym Ministrem, co miało nastąpić za osiem dni, na ekranie ściennym biura wydziału pojawiła się wiadomość. Stylizowane litery pasowały do nieco archaicznego tekstu:

OŚMIELAM SIĘ WYSTĄPIĆ Z GORĄCĄ PROŚBĄ O AUDIENCJĘ U PROFESORA SELDONA

Helikończyk wpatrywał się w nią zdumiony. Nawet do imperatora nie zwracano się tą używaną przed wiekami formułą.

Również podpis wydrukowano inaczej, mniej przejrzyście niż zazwyczaj. Skreślono go czytelnie za pomocą ozdobników, ale jednocześnie miał aurę niedbale wykonanego dzieła artystycznego naszkicowanego przez jakiegoś mistrza. Podpis brzmiał: LASKIN JORANUM… Był to Jo-Jo we własnej osobie, gorąco proszący o audiencję.

Seldon zachichotał. Dobrze wiedział, dlaczego wybrano te słowa i ozdobny podpis. Sprawiały, że zwyczajne żądanie wzbudzało ciekawość. Hari nie miał zbytniej ochoty na spotkanie z tym człowiekiem… czy też nie miałby jej w normalnych warunkach. Cóż

jednak warte było takiej stylizacji i artystycznego kunsztu? Chciał się dowiedzieć.

Kazał sekretarce ustalić czas i miejsce. Oczywiście, mieli się zobaczyć w jego biurze, nie w mieszkaniu. Zwykła rozmowa o interesach, żadne spotkanie towarzyskie. Co więcej, rozmowa miała się odbyć przed zaplanowanym spotkaniem z Demerzelem.

— Mnie to nie dziwi — powiedziała Dors. — Skrzywdziłeś dwóch jego ludzi, w tym jego głównego pomocnika; rozpędziłeś mały wiec, który zorganizował; sprawiłeś, że wyszedł na głupka. Pragnie ci się przyjrzeć. Sądzę, że powinnam ci towarzyszyć.

Seldon pokręcił głową.

— Wezmę ze sobą Raycha. On zna wszystkie moje sztuczki i jest silnym, sprytnym dwudziestolatkiem. Choć, prawdę mówiąc, jestem pewien, że ochrona nie będzie mi potrzebna. — Skąd możesz to wiedzieć?

— Joranum spotka się ze mną na terenie uniwersytetu. W pobliżu będzie wielu młodych ludzi. Nie jestem niepopularny wśród studentów, poza tym on na pewno przemyślał moją lekcję i dobrze wie, że będę bezpieczny na swoim terytorium. Jestem pewien, że będzie niezwykle grzeczny… i niezwykle przyjacielski.

— Hmm — mruknęła Dors, a kąciki jej ust drgnęły nieznacznie.

— I śmiertelnie niebezpieczny — dokończył Seldon.

6

Jako człowiek dobrze wychowany Hari Seldon skinął głową na powitanie, ale z jego twarzy nie można było wyczytać nic prócz chłodnej uprzejmości. Zadał sobie wiele trudu i przejrzał różnorodne hologramy Joranum, a jednak, jak to się często zdarza, prawdziwy osobnik, nieupozowany i dostosowujący swe zachowanie do zmieniających się warunków, nigdy nie jest taki jak na hologramie — choćby nie wiadomo jak starannie się przygotowywał. Być może, pomyślał Seldon, to w odpowiedzi na zachowanie obserwatora „prawdziwy osobnik" zmienia swoje zachowanie.

Joranum był wysoki — tak wysoki jak Helikończyk — ale potężniejszy od niego. Nie chodziło tu o muskulaturę; sprawiał raczej wrażenie mężczyzny delikatnej budowy i wcale nie otyłego. Miał okrągłą twarz, gęste, bardziej piaskowe niż żółte włosy i błękitne oczy. Ubrany był w matowy kombinezon roboczy, a na jego twarzy gościł nikły, pozornie przyjacielski uśmiech.

— Profesorze Seldon — głos był głęboki, a mówca dobrze go kontrolował — jestem wielce zobowiązany, mogąc się z panem spotkać. To miło z pana strony, że zgodził się pan na to spotkanie. Ufam, że nie ma pan nic przeciwko temu, że zabrałem ze sobą towarzysza, moją prawą rękę, choć nie uprzedziłem pana z góry. To Gambol Deen Namarti, ma trzy imiona, jak pan zapewne zauważył. O ile wiem, już go pan spotkał.

— Tak, rzeczywiście. Dobrze pamiętam tamten incydent. Seldon popatrzył na Namartiego z nieco sardonicznym uśmiechem.

W czasie poprzedniego spotkania współpracownik Joranum przemawiał na placu uniwersyteckim. Teraz, w normalnych warunkach, Hari przyjrzał się mu dokładnie. Namarti był średniego wzrostu, miał pociągłą twarz, bladożółtą cerę, ciemne włosy i szerokie usta. Nie uśmiechał się tak jak Joranum; jego oblicze było bez wyrazu — może gościł na nim jedynie cień ostrożności.

— Mój przyjaciel, doktor Namasti, który specjalizuje się w literaturze starożytnej, znalazł się tu na własną prośbę, by pana przeprosić — powiedział Joranum, uśmiechając się nieco szerzej.

Jo-Jo rzucił szybkie spojrzenie na Gambola, a ten bąknął mdławo przez zaciśnięte usta:

— Przepraszam, profesorze, za to, co się stało na platformie. Nie zdawałem sobie sprawy ze sztywnych reguł zachowania obowiązujących na terenie uniwersytetu, a poza tym nieco poniósł mnie entuzjazm.

— To zrozumiałe — rzekł Joranum. — Nie zdawał też sobie sprawy, kim pan jest. Sądzę, że teraz możemy już o tym zapomnieć.

— Zapewniam was, panowie, że nie zależy mi na rozpamiętywaniu tego wydarzenia — odezwał się Seldon. — To mój syn, Raych Seldon, więc jak panowie widzą, ja też mam towarzysza.

Raych zapuścił wąsy, czarne i gęste; u Dahlijczyków stanowiły one o" męskości. Kiedy przed ośmioma laty po raz pierwszy spotkał Seldona, nie miał jeszcze zarostu, był zwykłym ulicznikiem, głodnym obdartusem. Choć niskiego wzrostu, był jednak chłopcem zwinnym i umięśnionym. Rozmyślnie też starał się przybierać dumną minę, by dodać kilka psychicznych centymetrów do fizycznego wzrostu.

— Dzień dobry, młody człowieku — powiedział Joranum.

— Dzień dobry panu — odparł Raych.

— Proszę, usiądźcie, panowie — rzekł Seldon. — Czy mogę zaproponować coś do jedzenia lub do picia?

Joranum odmówił uprzejmym gestem.

— Nie, proszę pana. To nie jest spotkanie towarzyskie. — Usiadł na wskazanym miejscu. — Mam jednak nadzieję, że w przyszłości będzie ich wiele.

— Jeśli mamy rozmawiać o interesach, to zaczynajmy.

— Dotarły do mnie wieści, profesorze Seldon, o małym nieporozumieniu, o którym w swojej łaskawości zgodził się pan zapomnieć. Zastanawiałem się, dlaczego postanowił pan zachować się w ten sposób. Musi pan przyznać, że dużo pan ryzykował.

— Wcale tak nie uważam.

— Ale ja tak. Dlatego pozwoliłem sobie zapoznać się z wszystkimi danymi dotyczącymi pańskiej osoby, profesorze Seldon. Jest pan interesującym człowiekiem. Odkryłem, że pochodzi pan z Helikonu.

— Tak, tam właśnie się urodziłem. Dane mówią o tym jasno.

— I jest pan tu, na Trantorze, od ośmiu lat.

— To także nie jest tajemnicą.

— Już na samym początku stał się pan sławny, przedstawiając wyniki badań matematycznych na temat… jak to pan nazywa?… psychohistorii?

Seldon nieznacznie pokręcił głową. Jakże często żałował tamtej niedyskrecji. Oczywiście, wtedy nie wiedział, że jest to niedyskrecja.

— To tylko rozważania rozentuzjazmowanego młodzieńca. Nie doprowadziły do niczego konkretnego — stwierdził.

— Doprawdy? — Joranum rozejrzał się przyjemnie zdziwiony. — A jednak jest pan dziekanem Wydziału Matematyki na jednym z najlepszych trantorskich uniwersytetów, choć jeśli się nie mylę, ma pan zaledwie czterdzieści lat. A tak nawiasem mówiąc, ja mam czterdzieści dwa, więc nie uważam, że jest pan stary. Musi pan być niezwykle kompetentnym matematykiem, skoro objął pan to stanowisko.

Seldon wzruszył ramionami.

— Nie podjąłbym się wydawania sądów w tej sprawie.

— Albo musi pan mieć bardzo wpływowych przyjaciół.

— Panie Joranum, wszyscy chcielibyśmy mieć wpływowych przyjaciół, ale nie sądzę, by tu ich pan znalazł. Profesorowie uniwersyteccy rzadko miewają wpływowych przyjaciół, a czasami podejrzewam nawet, że w ogóle nie mają przyjaciół. — Uśmiechnął się, a Jo-Jo odwzajemnił uśmiech.

— Czyż nie uważa pan imperatora za wpływowego przyjaciela, profesorze?

— Rzeczywiście tak jest, ale co to ma wspólnego ze mną?

— Sądzę, że imperator jest pańskim przyjacielem.

— Jestem pewien, panie Joranum, że wśród informacji na mój temat znalazł pan i tę, że przed ośmioma laty byłem na audiencji u Jego Imperialnej Mości. Trwała może godzinę i nie zauważyłem wtedy, by Cleon I okazywał mi jakieś szczególne względy. Od tamtej pory nie rozmawiałem z nim ani nie widziałem go, oczywiście poza obrazami w holowizji.

— Ależ, profesorze, nie trzeba koniecznie rozmawiać czy widzieć się z imperatorem, by mieć w nim wpływowego przyjaciela. Wystarczy widywać się lub rozmawiać z Eto Demerzelem, Pierwszym Ministrem imperatora. Demerzel jest pańskim protektorem i dlatego możemy powiedzieć, że jest nim także imperator.

— Czy to z tych samych danych dowiedział się pan, że Pierwszy Minister Demerzel protegował mnie gdziekolwiek? A może jest w nich coś jeszcze, z czego wydedukował pan, że otacza mnie szczególną opieką?

— Po co przeglądać zapisy, skoro wasze powiązania są powszechnie znane? Obaj o tym wiemy. Przyjmijmy więc to za pewnik i kontynuujmy. I proszę — tu uniósł dłonie — by nie trudził się pan takimi serdecznymi zaprzeczeniami. To tylko strata czasu.

— Właściwie zamierzałem zapytać, dlaczego sądzi pan, że Demerzel chciałby mnie chronić? W jakim celu?

— Profesorze! Chce mi pan dokuczyć, udając, że uważa mnie za naiwnego? Wspomniałem już o psychohistorii, której pragnie Demerzel.

— A ja powiedziałem już panu, że były to młodzieńcze rozważania, które nie doprowadziły do niczego konkretnego.

— Profesorze, może mi pan mówić, co tylko zechce. Aleja nie muszę przyjmować tego do wiadomości. Dobrze, proszę pozwolić, że będę szczery. Przeczytałem pański oryginalny tekst i próbowałem go zrozumieć. Pomagało mi w tym kilku pracujących u mnie matematyków. Powiedzieli, że to zupełnie nierealny sen szaleńca…

— Całkowicie się z nimi zgadzam.

— Mam jednak wrażenie, że Demerzel czeka, by rozwinął pan

psychohistorię i uczynił ją dziedziną praktyczną. Jeśli on może czekać, to i ja mogę. Byłoby znacznie korzystniej dla pana, profesorze Seldon, bym miał na co czekać.

— A to dlaczego?

— Bo Demerzel nie utrzyma się już długo na swoim stanowisku. Opinia publiczna coraz bardziej się od niego odwraca. Niewykluczone, że imperator, znużony postępowaniem Pierwszego Ministra, mogącym doprowadzić go do utraty tronu, znajdzie kogoś na jego miejsce. Może nawet moją skromną osobę spodoba się imperatorowi wynieść na to stanowisko. A pan nadal będzie potrzebował protektora, kogoś, kto dopilnuje, by mógł pan pracować w spokoju i miał fundusze na niezbędne wyposażenie naukowe oraz asystentów.

— A pan byłby tym protektorem?

— Oczywiście. Z tego samego powodu co Demerzel. Potrzebuję skutecznej techniki psychohistorycznej, bym mógł efektywniej rządzić Imperium.

Seldon pokiwał głową w zamyśleniu, odczekał chwilę, po czym spytał:

— W takim razie, panie Joranum, dlaczego miałbym się tym przejmować? Jestem tylko biednym naukowcem, wiodącym spokojne życie i zajmującym się poboczną gałęzią matematyki. Mówi pan, że Demerzel jest moim protektorem, a pan zajmie jego miejsce. Wobec tego nie muszę się martwić o moje interesy. Pan i Pierwszy Minister możecie ze sobą walczyć. Bez względu na to, kto zwycięży, i tak będę miał protektora… tak przynajmniej pan powiedział.

Przyklejony uśmiech Joranum jakby nieco zgasł. Namarti zwrócił ku niemu swą ponurą twarz i wydawało się, że chce coś powiedzieć, lecz Joranum skinął lekko dłonią, a tamten tylko zakasłał i nie odezwał się ani słowem.

— Doktorze Seldon, czy jest pan patriotą? — spytał Jo-Jo.

— Oczywiście. Dlaczego pan pyta? Imperium zapewniło ludzkości tysiące lat pokoju, w każdym razie najczęściej pokoju, i popierało stały rozwój.

— Rzeczywiście tak było. Przez ostatnie sto czy dwieście lat rozwój następował jednak dość powolnie.

Helikończyk wzruszył ramionami.

— Nie zajmuję się tymi zagadnieniami.

— Nie musi pan. Dobrze pan wie, ze pod względem politycznym ostatnie sto czy dwieście lat to czas niepokojów. Rządy imperatorów trwały krótko, a czasami bywały jeszcze skracane zabójstwami…

— Nawet wspominanie o tym — przerwał mu Seldon — jest bliskie zdrady stanu. Wolałbym, żeby pan nie…

— No widzi pan. — Joranum odchylił się do tyłu. — Proszę zwrócić uwagę, jak niepewna jest pańska pozycja. Imperium chyli się

ku upadkowi. Chętnie mówię o tym otwarcie. Ci, którzy idą w moje ślady, czynią tak, gdyż dobrze wiedzą, że tak jest. W roli prawej ręki imperatora musimy mieć kogoś, kto będzie potrafił kontrolować Imperium, stłumi ogniska rebelii, które pojawiają się niemal wszędzie, zostanie dowódcą sił zbrojnych, zajmie się ekonomią…

Seldon niecierpliwie machnął ręką.

— I to pan jest tym, który tego dokona, tak?

— Mam zamiar zostać kimś takim. To nie będzie łatwe zadanie, dlatego też wątpię, by było wielu chętnych… to po pierwsze. Jest oczywiste, że Demerzel tego nie potrafi. Pod jego rządami Upadek Imperium postępuje w takim tempie, że niebawem dojdzie do całkowitego załamania.

— Natomiast pan potrafiłby powstrzymać ten proces?

— Tak, doktorze Seldon. Z pana pomocą. Pana i psychohistorii.

— Być może Demerzel potrafi nie dopuścić do załamania za pomocą psychohistorii… jeśli oczywiście ona w ogóle istnieje.

— Istnieje — powiedział spokojnie Joranum. — Nie udawajmy, że tak nie jest. Ale jej istnienie nie pomoże Demerzelowi. Psychohistoria to tylko narzędzie. Potrzebny jest rozum, by ją zrozumieć, i silne ramię, by się nią posługiwać.

— A pan je posiada, jak rozumiem.

— Tak. Znam swoje zalety. Potrzebuję psychohistorii. Seldon pokręcił głową.

— Wolno panu wyrażać życzenia. Ale ja jej nie mam.

— M a ją pan! Nie będę się o to z panem sprzeczał. — Joranum pochylił się ku swemu rozmówcy. — Mówi pan, że jest patriotą. Muszę zająć miejsce Demerzela, byśmy umknęli zniszczenia Imperium. Jednak sam sposób dokonania zamiany może niezwykle osłabić Imperium. Nie chcę do tego dopuścić. Pan mógłby mi doradzić, jak dokonać tego gładko, subtelnie, bez rozlewu krwi czy innych szkód. A wszystko dla dobra Imperium.

— Nie mogę — odparł Seldon. — Przypisuje mi pan wiedzę, której nie posiadam. Chciałbym panu pomóc, ale nie potrafię.

Joranum nagle wstał.

— No cóż, wie pan, o czym myślę i czego chcę od pana. Proszę to przemyśleć. Proszę też, by pomyślał pan o Imperium. Pewnie uważa pan, że winien jest Demerzelowi, temu grabieżcy milionów planet zamieszkanych przez ludzi, swoją przyjaźń. Niech pan będzie ostrożny. To, co pan robi, może wstrząsnąć podstawami Imperium. Proszę pana o pomoc w imieniu kwadrylionów ludzi żyjących w Galaktyce. Niech pan pomyśli o Imperium.

Jego głos zamienił się w przejmujący szept człowieka, który zna swoje wpływy. Seldon czuł, że w środku cały się trzęsie.

— Zawsze będę pamiętał o Imperium — odpowiedział.

— W takim razie to wszystko, o co pana proszę w tej chwili — stwierdził Joranum. — Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać.

Seldon obserwował, jak Joranum i jego towarzysz wychodzą z biura; drzwi otworzyły się bezgłośnie i obaj mężczyźni opuścili pomieszczenie.

Zmarszczył brwi. Coś go zaniepokoiło, nie był jednak pewien co.

7

Namarti utkwił ciemne oczy w Joranum, kiedy usiedli w swoim starannie chronionym biurze w Sektorze Streelinga. Nie była to zbyt wymyślna kwatera główna; w tym sektorze wciąż jeszcze byli słabi, ale zamierzali wzmocnić swą pozycję.

Tempo rozwoju nowego ruchu było zdumiewające. Trzy lata temu zaczynali od zera, a teraz w niektórych miejscach na Trantorze byli już bardzo silni. Jednak Światy Zewnętrzne pozostały do tej pory niemal nietknięte. Demerzel świadomie zostawił je w spokoju, ale był to jego błąd. To tu, na Trantorze, rebelie były niebezpieczne. Gdzie indziej można je było kontrolować. Właśnie tu Pierwszy Minister mógł zostać pozbawiony władzy. Dziwne, że nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie na darmo Joranum twierdził, że reputacja Demerzela jest przesadzona, że okazałby się mięczakiem, gdyby tylko ktokolwiek ośmielił mu się sprzeciwić, i że imperator zniszczyłby go szybko, gdyby jego bezpieczeństwo zostało zagrożone.

Przynajmniej dotychczas wszystkie przepowiednie Joranum sprawdzały się. Ani razu nie musiał zboczyć z obranego kursu, poza kilkoma pomniejszymi sprawami, takimi jak ów wiec na Uniwersytecie Streelinga, który zakłócił Seldon.

Może właśnie dlatego Jo-Jo nalegał, by z nim porozmawiać. Należy zajmować się starannie nawet najdrobniejszymi potknięciami. Joranum uwielbiał wygrywać, a Namarti musiał przyznać, że wizja nieprzerwanego pasma sukcesów była najpewniejszą drogą do zagwarantowania sobie następnych zwycięstw. Ludzie skłonni są unikać poniżenia związanego z przegraną przez dołączanie do strony, która wyraźnie wygrywa, i to nawet wbrew własnym poglądom.

Ale czy rozmowa z Seldonem okazała się sukcesem, czy też jeszcze jednym potknięciem: Namarti nie był zachwycony koniecznością towarzyszenia Joranum, a przepraszanie Seldona było dla niego upokarzające; co gorsza, nie sądził, by odniosło pożądany skutek.

Teraz Joranum siedział bez słowa, najwyraźniej zatopiony w myślach, ogryzając kciuk, jakby starał się zaczerpnąć z niego jakąś strawę duchową.

— Jo-Jo — odezwał się cicho.

Był jednym z niewielu ludzi, którym wolno się było zwracać do Joranum za pomocą zdrobnienia, publicznie wykrzykiwanego bez końca przez tłumy. W ten sposób Joranum zjednywał sobie miłość pospólstwa, lecz w prywatnych kontaktach żądał szacunku, robiąc wyjątek jedynie dla tych bliskich przyjaciół, którzy towarzyszyli mu od początku.

— Jo-Jo — odezwał się raz jeszcze. Joranum spojrzał na niego.

— Tak, G.D.? O co chodzi? — Był nieco rozdrażniony.

— Co zrobimy z Seldonem, Jo-Jo?

— Zrobimy? W tej chwili nic. Może sam do nas dołączy.

— Po co czekać? Możemy wywrzeć na niego nacisk. Pociągnąć za kilka sznurków na uniwersytecie i bardzo utrudnić mu życie.

— Nie, nie. Do tej pory Demerzel pozwalał nam iść naszą drogą. Ten głupiec zbytnio wierzy w swoje siły. Ale nie możemy zmusić go do działania, dopóki sami nie będziemy całkiem gotowi. A atak na Seldona mógłby je wywołać. Podejrzewam, że Demerzel przykłada niezwykłą wagę do badań tego Helikończyka.

— Z powodu tej psychohistorii, o której rozmawialiście?

— W rzeczy samej.

— Co to jest? Nigdy o tym nie słyszałem.

— Niewielu słyszało. To matematyczna metoda analizowania zachowań społeczeństwa, która pozwoli przewidywać przyszłość.

Namarti zmarszczył brwi i odsunął się nieco od Joranum. Zastanawiał się, czy Jo-Jo sobie z niego żartuje. A może powiedział to, by go rozśmieszyć? Sam nigdy nie potrafił stwierdzić, kiedy lub dlaczego ludzie chcieli, by się śmiał. Nigdy też nie miał na to ochoty.

— Przewidywać przyszłość? W jaki sposób? — spytał.

— Ach! Gdybym to wiedział, po co byłby mi potrzebny Seldon?

— Szczerze mówiąc, nie wierzę w to, Jo-Jo. Jak można przewidywać przyszłość? Tym zajmują się wróżbici.

— Wiem, ale kiedy ten Seldon przerwał wiec, przyjrzałem mu się. Dokładnie. Osiem lat temu przyjechał na Trantor i na sympozjum matematyków przedstawił referat o psychohistorii. A potem wszystko ucichło. Nigdy więcej nikt o tym nie wspomniał. Nawet sam Seldon.

— Może nie było nic do dodania.

— Ależ nie, jest wprost przeciwnie. Gdyby rozmowy o psychohistorii ucichły powoli, gdyby była przedmiotem kpin, powiedziałbym, że nie ma w ogóle o czym mówić. Kiedy jedna tak nagle ucina się wszelkie dyskusje, oznacza to, że cała sprawa została dokładnie ukryta. Być może właśnie dlatego Demerzel nie podejmuje żadnych kroków, by nas powstrzymać. Może nie kieruje się głupawym samouwielbieniem; może postępuje według zasad psychohistorii, która musiała przewidzieć coś, co zamierza wykorzystać w odpowiednim czasie, by zdobyć przewagę. Jeśli tak jest, możemy ponieść klęskę, chyba że sami uczynimy użytek z psychohistorii.

— Seldon twierdzi, że ona nie istnieje.

— A ty byś tak nie twierdził na jego miejscu?

— Powtarzam, że powinniśmy wywrzeć na niego nacisk.

— To by się na nic nie zdało. Nie słyszałeś nigdy historii o toporze Yenna?

— Nie.

— Znałbyś ją, gdybyś pochodził z Nishaya, bo tam jest znaną klechdą ludową. Mówiąc w skrócie, Venn był słynnym drwalem posiadającym czarodziejski topór, który jednym lekkim uderzeniem ścinał każde drzewo. Narzędzie miało nieocenioną wartość, ale drwal nigdy nie troszczył się, by je ukryć czy zabezpieczyć. Mimo to topór nigdy nie został skradziony, bo nikt oprócz Yenna nie mógł go podnieść ani obrócić. No cóż, obecnie nikt oprócz Seldona nie potrafi się posługiwać psychohistorią. Gdyby stanął po naszej stronie tylko dlatego, że zmusilibyśmy go do tego, nigdy nie moglibyśmy być pewni jego lojalności. Mógłby podjąć takie działania, które teoretycznie przyniosłyby nam korzyści, ale po pewnym czasie okazałoby się, że były tak prowadzone, że całkiem niespodziewanie spowodowały nasz upadek. Nie, on musi przejść na naszą stronę z własnej woli i pracować dla nas, pragnąc, byśmy zwyciężyli.

— Ale jak możemy go pozyskać?

— Jest jeszcze syn Seldona. Raych, chyba tak się nazywa. Przyjrzałeś się mu?

— Niezbyt dokładnie.

— G.D., G.D., nie zrozumiesz najważniejszych spraw, jeśli nie będziesz wszystkiego obserwował. Ten młody człowiek słuchał mnie wręcz całym ciałem. Wiem, że wywarłem na nim duże wrażenie. Jeśli czegoś jestem pewien, to wrażenia, jakie wywieram na ludziach. Wiem, kiedy kimś wstrząsnąłem i kiedy doprowadziłem kogoś do zmiany poglądów. — Joranum uśmiechnął się, a nie był to pseudouśmiech obliczony na wkradanie się w łaski tłumu podczas publicznych wystąpień. Tym razem uśmiechnął się naprawdę: jakoś chłodno i groźnie. — Zobaczymy, co możemy zrobić z Raychem i czy przez niego zdołamy dotrzeć do Seldona.

8

Kiedy obaj politycy wyszli, Raych popatrzył na Seldona, po czym podkręcił wąsa. Sprawiało mu to przyjemność. Tu, w Sektorze Streelinga, niektórzy mężczyźni nosili co prawda wąsy, ale były one niezwykle cienkie, marne i nieokreślonego koloru, a nawet jeśli były już ciemne, też wyglądały kiepsko. Większość mężczyzn nie zapuszczała ich wcale i cierpiała z powodu gołej górnej wargi. Również Seldon nie nosił wąsów. Przy jego kolorze włosów byłyby tylko parodią zarostu.

Chłopak przyglądał się uważnie Seldonowi, mając nadzieję, że ten otrząśnie się z zamyślenia, po chwili zrozumiał jednak, że nie zdoła dłużej czekać.

— Tato! — odezwał się. Helikończyk podniósł wzrok i spytał:

— O co chodzi?

Raych pomyślał, że ojciec wygląda na nieco rozgniewanego, bo przerwał mu rozmyślania.

— Nie sądzę, by spotkanie z tymi dwoma przyniosło ci coś dobrego.

— Doprawdy? A to dlaczego?

— No wiesz, ten szczupły facet, jak mu tam, to ten sam, któremu przeszkodziłeś na placu uniwersyteckim. Nie sądzę, by mu się to spodobało.

— Przecież mnie przeprosił.

— To nie były szczere przeprosiny. A ten drugi, Joranum, może być niebezpieczny. Co by się stało, gdyby mieli ze sobą broń?

— Co takiego? Tu, na terenie uniwersytetu? W moim biurze? To absurd. Uniwersytet to nie Billibotton. Poza tym gdyby spróbowali coś zrobić, z łatwością dałbym sobie z nimi radę.

— No nie wiem, tato — powiedział Raych z powątpiewaniem. — Jesteś coraz…

— Nie kończ, ty niewdzięczny potworze — rzekł Seldon, unosząc karcąco palec. — Mówisz jak twoja matka, a ja mam dość jej gadania. Wcale się nie starzeję… a przynajmniej nie tak bardzo. Poza tym byłeś ze mną, a jesteś niemal tak sprytny jak ja.

Raych zmarszczył nos.

— Taki spryt to za mało. — Nie było sensu sprzeczać się z ojcem. Raych, słysząc własne słowa, wiedział, że pomimo ośmiu lat pobytu poza Dahlem wciąż używa tamtejszego akcentu, co niezmiennie wiąże go z niższą klasą społeczną. Był również niski, tak niski, że czasami sam się dziwił. Miał jednak swoje wąsy i już nikt nigdy nie będzie musiał się nim opiekować.

— Co zamierzasz zrobić w sprawie Joranum? — spytał.

— W tej chwili nic.

— Wiesz, tato, parę razy widziałem Joranum w TrantorVizji. Nagrałem nawet kilka holokaset jego przemówień. Wszyscy o nim mówią, więc pomyślałem, że muszę się przekonać, co ma do powiedzenia. I wiesz co, mówi całkiem sensownie. Nie lubię go i mu nie ufam, ale on naprawdę gada z sensem. Chce, żeby wszystkie sektory miały równe prawa i takie same możliwości, a w tym chyba nie ma nic złego, nie sądzisz?

— Oczywiście, że nie. Wszyscy cywilizowani ludzie tego chcą.

— To dlaczego u nas tak nie jest? Czy imperator też tego chce? A Demerzel?

— Imperator i Pierwszy Minister muszą się troszczyć o całe Imperium. Nie mogą skupić wszystkich wysiłków na samym Trantorze. Joranum łatwo jest mówić o równości, skoro za nic nie odpowiada. Gdyby zajmował ważne stanowisko, gdyby rządził, szybko zrozumiałby, że jego wysiłki muszą obejmować Imperium złożone z dwudziestu pięciu milionów planet. Zrozumiałby też, że wszelkie poczynania są hamowane przez same sektory. Każdy chce równości dla siebie, ale dla innych już nie. Powiedz mi, Raych, czy twoim zdaniem Joranum powinien mieć szansę objąć władzę tylko po to, by pokazać, na co go stać?

Chłopak wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Niewykluczone. Ale gdyby usiłował ci zaszkodzić, skoczyłbym mu do gardła, zanim posunąłby się o centymetr.

— To znaczy, że twoja lojalność wobec mnie jest większa od troski o Imperium.

— Jasne. Jesteś moim ojcem.

Seldon popatrzył z zadowoleniem na Raycha, a jednak gdzieś w jego duszy krył się cień niepewności. Jak daleko może sięgać niemal hipnotyczny wpływ Joranum?

9

Kiedy Hari Seldon usiadł w swoim fotelu, oparcie poddało się i odchyliło nieco do tyłu. Przyjął półleżącą pozycję. Założył ręce za głowę, ale oczy miał rozbiegane. Oddychał bardzo lekko.

Dors Venabili siedziała po drugiej stronie pokoju — wyłączyła właśnie przeglądarkę i odłożyła na miejsce mikrofilmy. Dokonała dość znaczącej rewizji swoich poglądów dotyczących incydentu Floriny, który wydarzył się we wczesnych wiekach historii trantorskiej, dlatego z przyjemnością oderwała się na kilka chwil od pracy i zastanawiała, o czym rozmyśla Seldon.

Musi myśleć o psychohistorii. Prześledzenie bocznych ścieżek tej na poły chaotycznej techniki zajmie mu prawdopodobnie resztę życia, a i tak jego badania pozostaną niekompletne. Z bólem serca pozostawi więc to zadanie innym, choćby Amarylowi, jeśli ów młodzieniec nie zmęczył się jeszcze tą dziedziną wiedzy.

Z drugiej strony, psychohistoria nadała sens jego życiu. Będzie dłużej żył, mając problem, który tak bardzo go pochłania — a to ją cieszyło. Wiedziała, że pewnego dnia go straci, i myśl ta sprawiała jej ból. Na początku wcale się nad tym nie zastanawiała; postawiono przed nią proste zadanie — miała chronić Hariego.

Kiedy właściwie zadanie zmieniło się w jej osobistą troskę? Jak to możliwe, by tak bardzo był jej potrzebny? Co takiego jest w tym mężczyźnie, że źle się czuła, gdy nie było go w pobliżu — nawet jeśli wiedziała, że jest bezpieczny, i nie musiała słuchać głęboko zakodowanych rozkazów. A te mówiły, że bezpieczeństwo Hariego to najważniejsze zadanie. Jak to się stało, że owładnęły nią inne uczucia?

Dawno temu, gdy się pojawiły, rozmawiała o tym z Demerzelem.

Popatrzył wtedy na nią bardzo poważnie i powiedział:

— Jesteś złożoną istotą, Dors, a na uczucia nie ma prostej odpowiedzi. W moim życiu było kilka osób, których obecność sprawiała, że myślało mi się łatwiej, a moje odpowiedzi były przyjemniejsze. Starałem się ocenić swobodę moich odpowiedzi w ich obecności i trud, jaki mi sprawiały, gdy ich nie było, by dowiedzieć się, czy coś zyskałem, czy straciłem. Śledząc ten proces, zrozumiałem jedno: przyjemność, jaką sprawiało mi ich towarzystwo, przeważyła nad smutkiem z powodu ich odejścia. Tak więc lepiej jest doświadczać tego, czego właśnie doświadczasz, niż tego nie zaznać.

Pewnego dnia Hari odejdzie w nicość, a z każdą chwilą ten dzień jest bliżej. Nie wolno mi o tym rozmyślać, stwierdziła w duchu. Żeby odpędzić te niewesołe myśli, odezwała się do męża:

— O czym tak dumasz?

— Co? — Seldon z wyraźnym wysiłkiem skupił wzrok.

— Z pewnością o psychohistorii. Pewnie właśnie szedłeś jeszcze jedną ślepą ścieżką.

— Ależ skąd. Wcale o tym nie myślałem. — Nagle się roześmiał. — Chcesz wiedzieć, o czym myślę?… O włosach!

— O włosach? Czyich?

— W tej chwili o twoich. — Seldon patrzył czule na Dors.

— Czy coś jest z nimi nie w porządku? Mam je ufarbować na inny kolor? A może po tylu latach powinny posiwieć?

— Dajże spokój! Kto by chciał, żeby twoje włosy posiwiały? Jednak przywiodły mnie do myśli o czymś innym. Choćby o Nishaya.

— Nishaya? A co to takiego?

— Nigdy nie był częścią przedimperialnego Królestwa Trantora nie dziwię się więc, że nie słyszałaś o nim. To świat: dość mały odosobniony i pozbawiony znaczenia. Nie dostrzegany przez innych Ja wiem o mm co nieco, bo zadałem sobie trud, żeby mu się przyjrzeć Bardzo niewiele światów spośród dwudziestu pięciu milionów może naprawdę wywołać sensację, jednak wątpię, by był jeszcze jeden tak mało znaczący jak Nishaya. Już przez to tak wiele znaczy, rozumiesz? Dors odsunęła na bok swoje materiały źródłowe i spytała:

— Skąd się wzięła ta skłonność do paradoksów, skoro zawsze mi mówiłeś że nie znosisz czegoś takiego? Jakie znaczenie ma coś, co nie ma znaczenia?

— Och, nie mam nic przeciwko paradoksom, kiedy sam je tworzę. Zrozum, Joranum pochodzi z Nishaya.

— Ach, to Joranum chodzi ci po głowie.

— Tak. Przejrzałem kasetę z kilkoma jego przemówieniami… Raych naciskał, bym to zrobił. Nie są zbyt sensowne, ale efekt ostateczny jest niemal hipnotyzujący. Raych jest pod dużym wrażeniem.

— Sądzę, że każdy Dahlijczyk byłby. Te ciągłe nawoływania Joranum w sprawie równości sektorów w naturalny sposób przemawiają do ludzi z niższych warstw społecznych, na przykład do pracowników ciepłowni. Pamiętasz, jak byliśmy w Dahlu?

— Pamiętam to bardzo dobrze i oczywiście nie obwiniam chłopaka. Martwi mnie jedynie, że Joranum pochodzi z Nishaya.

Dors wzruszyła ramionami.

— No cóż, Joranum musi przecież skądś pochodzić, dlaczego by więc nie z Nishaya. Tak jak inne światy i ten musi czasami wysyłać swoich ludzi, nawet na Trantor.

— Tak, ale jak już mówiłem, zadałem sobie nieco trudu i zapoznałem się z Nishaya. Udało mi się nawet nawiązać kontakt nadprzestrzenny z pewnym mniej znanym politykiem… za cenę pokaźnej sumy kredytów, którą nie mogę z czystym sumieniem obarczać konta wydziału.

— Czy przynajmniej to, czego się dowiedziałeś, było warte tej kwoty?

— Myślę, że tak. Wiesz, że Joranum zawsze opowiada historyjki z morałem, opowieści, które są legendami na jego macierzystej planecie. Tu, na Trantorze, są mu wielce pomocne, bo dzięki nim jest odbierany jako ktoś z ludu, posługujący się prostą ludową filozofią. Te opowiastki wręcz zaśmiecają jego przemówienia. Dzięki nim wygląda na człowieka z małego świata, wychowanego na odosobnionej, nieskażonej farmie. Ludzie to lubią, szczególnie Trantorczycy, którzy co prawda raczej umarliby, niż dali się na takiej zamknąć, co jednak nie przeszkadza im o niej marzyć.

— Ale po co to wszystko?

— Najdziwniejsze jest to, że żadna z tych opowieści nie jest znana człowiekowi z Nishaya, z którym rozmawiałem.

— To o niczym nie świadczy, Hari. Nishaya jest może małym światem, ale jednak światem. To, co jest znane w tej części świata, w której urodził się Joranum, nie musi być znane w tej, z której pochodzi twój polityk.

— Nie, nie. Ludowe opowieści, w tej czy w innej formie, są zazwyczaj podobne na całym świecie. Poza tym miałem poważne kłopoty, by zrozumieć tego mężczyznę. Mówił Standardowym Językiem Galaktycznym z silnym akcentem. Rozmawiałem też z kilkoma innymi ludźmi z tego świata, żeby sprawdzić ich akcent, i okazał się taki sam.

— I co z tego wynika?

— Joranum mówi bez akcentu. Jego trantorski jest dość dobry. Prawdę mówiąc, jest o wiele lepszy niż mój. Ja, tak jak inni Helikończycy, stawiam akcent nad „r". On tego nie robi. Zgodnie z tym co mówią dane, przybył na Trantor w wieku dziewiętnastu lat. Uważam, że jest wręcz niemożliwe, by dziewiętnaście lat posługiwać się tą barbarzyńską odmianą Standardowego Języka Galaktycznego, a potem przybyć na Trantor i stracić akcent. Choćby przebywał tu nie wiem jak długo, w jego mowie pozostałby jakiś ślad rodzimego akcentu. Zwróć uwagę na Raycha i sposób, w jaki mówi, od czasu do czasu popełniając błędy.

— Więc jakie wyciągasz wnioski?

— Joranum wcale nie pochodzi z Nishaya. W gruncie rzeczy uważam, że wybrał Nishaya, ponieważ jest to miejsce tak odludne i oddalone, że nikt nawet nie pomyśli, by to sprawdzić. By nie dać się przyłapać na kłamstwie, musiał przeprowadzić dokładne badania komputerowe. Nie tak łatwo jest znaleźć takie miejsce.

— Hari, przecież to śmieszne. Po co miałby udawać, że pochodzi ze świata, z którego tak naprawdę nie pochodzi? Potrzebowałby do tego mnóstwa sfałszowanych zapisów.

— I prawdopodobnie to właśnie zrobił. Pewnie ma aż tylu wyznawców w służbach cywilnych, że mu to umożliwili. Pewnie nikt nie przeglądał tych zapisów, a wszyscy jego towarzysze są zbyt wielkimi fanatykami, by o tym mówić.

— Wciąż nie rozumiem, dlaczego to zrobił.

— Podejrzewam, że Joranum nie chce, by ludzie wiedzieli, skąd naprawdę pochodzi.

— Dlaczego? Wszystkie światy Imperium są sobie równe, tak pod względem prawa, jak i obyczajów.

— Nie znam się na tym. Te szczytne teorie nigdy nie są wprowadzane w życie.

— Skąd więc pochodzi? Domyślasz się?

— Tak. I tu wracamy do tematu włosów.

— A co takiego jest we włosach?

— W czasie spotkania z Jo-Jo czułem się fatalnie, siedząc i patrząc na niego, i nie mogłem zrozumieć przyczyny tak podłego samopoczucia. Wreszcie uświadomiłem sobie, że czuję się tak z powodu jego włosów. Jest w nich coś takiego, jakby były ożywione, jakaś fałszywa poświata. Są takie… perfekcyjne. Nigdy przedtem nie widziałem czegoś takiego. W pewnej chwili zrozumiałem. Jego włosy są sztuczne, bardzo starannie implantowane w skórze głowy, która powinna być pozbawiona czegoś takiego.

— Powinna być? — spytała Dors, mrużąc oczy. Nagle wszystko stało się dla niej jasne. — Uważasz, że… |

— Owszem, tak właśnie uważam. Pochodzi z kultywującego przeszłość, przesiąkniętego mitologią Sektora Mycogen na Trantorze. Właśnie to tak starannie usiłuje ukryć.

10

Dors Venabili przemyślała wszystko spokojnie. Tylko tak starała się myśleć — spokojnie. Zamknęła oczy, by się skupić. Upłynęło już osiem lat od chwili, gdy odwiedziła z Harim Mycogen. Niewiele tam było do podziwiania, może oprócz jedzenia.

Choć nie byli w tym sektorze od dawna, jego obraz pozostał w jej pamięci. Surowe, purytańskie, zdominowane przez mężczyzn społeczeństwo kładące nacisk na dokonania z przeszłości; usuwanie włosów z całego ciała w bolesnym procesie rozmyślnego samodoskonalenia, by Mycogeńczycy odróżniali się od innych i by, jak podkreślali, „wiedzieli, kim są"; ich legendy; ich wspomnienia (albo fantazje) o czasach, gdy to oni panowali w Galaktyce, gdy byli długowieczni i gdy istniały roboty.

Otworzyła oczy i spytała:

— Dlaczego, Hari?

— O co pytasz, kochanie?

— Dlaczego udaje, że nie pochodzi z Mycogenu?

Nie sądziła, by Hari pamiętał Mycogen lepiej niż ona; prawdę mówiąc, była tego pewna, choć jego umysł był sprawniejszy niż jej, a już z pewnością pracował inaczej. Jej tylko zapamiętywał i wyciągał oczywiste wnioski tak, jak przeprowadza się dedukcję matematyczną. Natomiast umysł Hariego pracował nieoczekiwanymi skokami. Seldon lubił mawiać, że intuicja jest domeną jego asystenta, Yugo Amaryla, jednak Dors nie dała się na to nabrać. Lubił też przybierać pozę niezainteresowanego światem matematyka, który patrzy na otaczającą go rzeczywistość wiecznie zdumionymi oczami, jednak i tym jej nie zwiódł.

— Dlaczego udaje, że nie" pochodzi z Mycogenu? — powtórzyła pytanie, podczas gdy Seldon wciąż siedział zapatrzony w głąb własnej duszy, co Dors zawsze kojarzyło się z chęcią lepszego wykorzystania psychohistorii.

Wreszcie się odezwał:

— To surowe i bardzo zamknięte społeczeństwo. Zawsze są tam tacy, którzy jątrzą, chcąc decydować o każdym jego kroku i kontrolować każdą myśl. Zawsze są tam tacy, którzy rozumieją, że nie można ich całkowicie podporządkować narzuconym rygorom, i to oni pragną większych swobód dostępnych w bardziej świeckim zewnętrznym świecie. To zrozumiałe.

— Czy dlatego fundują sobie sztuczne włosy?

— Nie, nie zawsze. Przeciętny Uciekinier, tak Mycogeńczycy nazywają dezerterów i oczywiście pogardzają nimi, nosi perukę. To znacznie prostsze, ale mniej efektywne. Mówiono mi, że naprawdę

poważny Uciekinier implantuje sobie sztuczne włosy. Ten proces jest trudny i kosztowny, ale daje znakomity efekt. Nigdy przedtem się z tym nie zetknąłem, chociaż słyszałem o tym. Spędziłem wiele lat, zgłębiając wiedzę o wszystkich ośmiuset sektorach Trantora i usiłując wypracować podstawowe zasady oraz matematyczne uzasadnienie psychohistorii. Nie mam jeszcze niestety zbyt wiele do powiedzenia, ale dowiedziałem się co nieco.

— Ale dlaczego Uciekinierzy muszą ukrywać fakt, że pochodzą z Mycogenu? O ile wiem, nie są przecież prześladowani.

— Nie, rzeczywiście nie są. Prawdę mówiąc, generalnie nie uważa się ich za ludzi niższego stanu. Jest gorzej. Mycogeńczyków nie traktuje się poważnie. Wszyscy przyznają, że są inteligentni, doskonale wykształceni, pełni godności, kulturalni, że rewelacyjnie gotują i posiadają niemal przerażającą zdolność zapewniania dostatku swemu sektorowi… a jednak nikt nie traktuje ich poważnie. Ludzie mieszkający poza Mycogenem uważają, że ich wiara jest bzdurna, śmieszna i niezwykle głupia. Ten wizerunek przylgnął nawet do tych Mycogeńczyków, którzy są Uciekinierami. Mycogeńczyk, który usiłowałby sięgnąć po władzę, naraziłby się na śmiech. Można żyć z lękiem. Można nawet żyć w pogardzie. Ale żyć, kiedy cię wyśmiewają? Tego nie potrafią znieść. Joranum chce zostać Pierwszym Ministrem, więc musi mieć włosy, a by mieć spokój, musi opowiadać wszystkim, że wychował się w jakimś zapadłym świecie tak odległym od Mycogenu, jak to tylko możliwe.

— Przecież bywają ludzie, którzy są łysi.

— Tak, ale oni nie depilują sobie włosów w taki sposób, jak to robią Mycogeńczycy. Na Światach Zewnętrznych nie miałoby to wcale znaczenia, ale nie w Mycogenie. Mycogeńczycy tak bardzo starają się zachować swoją odrębność, że niezwykle rzadko któryś z nich opuszcza Trantor. Jednak tu, na Trantorze, jest inaczej. Ludzie mogą być łysi, lecz zazwyczaj mają choćby grzywkę, która określa ich jako nie-Mycogeńczyków, albo zapuszczają wąsy czy brodę. Ci nieliczni, którzy są zupełnie pozbawieni włosów, zazwyczaj z powodu choroby, nie mają szczęścia. Sądzę, że muszą się poruszać z zaświadczeniem lekarskim, by móc udowodnić, że nie są Mycogeńczykami.

— Czy to może nam pomóc? — spytała Dors, marszcząc nieco brwi.

— Nie jestem pewien.

— Czy potrafiłbyś udowodnić, że on jest Mycogeńczykiem?

— Nie jestem pewien, czy byłoby łatwo tego dokonać. Musiał bardzo starannie zatrzeć ślady, ale nawet gdybym był w stanie…

— Tak?

Seldon wzruszył ramionami.

— Nie chciałbym, by moje działania wzniecały fanatyzm.

Sytuacja społeczna na Trantorze jest wystarczająco zła bez wywoływania zagrożenia, którego ani ja, ani nikt inny nie będzie mógł potem kontrolować. Jeśli będę musiał wyciągnąć sprawę Mycogenu, zrobię to w ostateczności.

— To znaczy, że i tobie jest potrzebny minimalizm.

— Oczywiście.

— Co w takim razie zamierzasz zrobić?

— Ustaliłem już termin spotkania z Demerzelem. Może on będzie wiedział, co robić.

Dors popatrzyła surowo na Seldona.

— Hari, nie wpadasz przypadkiem w pułapkę, oczekując, że Demerzel rozwiąże za ciebie każdy problem?

— Nie, ale możliwe, że rozwiąże ten problem.

— A jeśli tego nie zrobi?

— Wtedy będę musiał pomyśleć o czymś innym, prawda?

— O czym na przykład?

Na twarzy Helikończyka pojawił się wyraz bólu.

— Nie wiem, Dors. Ty również nie możesz oczekiwać ode mnie, że rozwiążę każdy problem.

11

Nikt nie widywał zbyt często Eto Demerzela, może tylko imperator Cleon. Pierwszy Minister postanowił pozostać na uboczu z bardzo wielu powodów, między innymi dlatego, że mimo upływu czasu jego wygląd prawie się nie zmieniał.

.Hari Seldon nie widział go od wielu lat, a ich ostatnia prywatna rozmowa odbyła się w czasach, gdy Hari kończył swą podróż po sektorach Trantora.

Po spotkaniu Seldona z Laskinem Joranum i Seldon, i Demerzel czuli, że lepiej będzie, jeśli nie ujawnią ich związku. Wizyta Helikończyka w biurze Pierwszego Ministra w Pałacu Imperialnym nie prze-szłaby niezauważenie, dlatego ze względów bezpieczeństwa postanowili spotkać się w małym, choć luksusowym apartamencie hotelu Brzeg Kopuły, położonego tuż poza terenami należącymi do pałacu.

Spotkanie z Demerzelem w bolesny sposób przywiodło wspomnienia dawnych czasów. Już sam fakt, że Eto wciąż wyglądał dokładnie tak jak wtedy, zwiększył ból. Jego twarz wciąż miała silne, regularne kształty. Wciąż był wysoki i wyglądał na krzepkiego mężczyznę; miał te same ciemne włosy z jaśniejszymi pasemkami. Nie był przystojny, ale wyglądał poważnie i dystyngowanie. Dokładnie tak, jak powinien wyglądać Pierwszy Minister Imperium. Nigdy wcześniej w historii Imperium nie wyglądał tak żaden człowiek sprawujący władzę. Ma swój styl, pomyślał Seldon, a to daje mu połowę władzy, jaką ma nad imperatorem, a tym samym nad dworem imperialnym i — co za tym idzie — nad całym Imperium.

Podchodząc do Seldona, Demerzel uśmiechał się delikatnie, nie zmieniało to jednak w żaden sposób powagi jego oblicza.

— Miło mi cię widzieć, Hari — powiedział. — Trochę się bałem, że zmienisz zdanie i odwołasz spotkanie.

— A ja bałem się bardziej niż trochę, że pan to zrobi, Pierwszy Ministrze.

— Eto, jeśli obawiasz się używać mojego prawdziwego imienia.

— Nie mógłbym. Pan wie, że nie mogę go wymówić.

— Możesz, gdy zwracasz się do mnie. Chciałbym je usłyszeć. Seldon zawahał się, jakby nie wierzył, że z jego ust wyjdzie jakieś słowo.

— Daneel — powiedział z ociąganiem.

— R. Daneel Olivaw — rzekł Demerzel. — Tak. Zjesz ze mną obiad, Hari. Gdybym to ja jadł z tobą, nie musiałbym jeść, co sprawiłoby mi ulgę.

— Rozumiem, ale obiad dwóch osób, podczas którego je tylko

jedna, nie jest moją ulubioną formą biesiady. Może spróbowałbyś kęs czy dwa…

— Tylko żeby ci sprawić przyjemność…

— Będzie mi miło — odparł Seldon. — Wciąż się jednak zastanawiam, czy mądrze robimy, spotykając się.

— Takie są rozkazy imperatora. To on pragnął, bym się z tobą spotkał.

— Dlaczego, Daneelu?

— Za dwa lata znów odbędzie się Zjazd Dziesięcioletni. Wyglądasz na zdumionego. Czyżbyś zapomniał?

— Ależ nie. Po prostu nie myślałem o tym.

— Nie zamierzasz wziąć w nim udziału? Twoje wystąpienie było przebojem ostatniego zjazdu.

— Tak. Moja psychohistoria została zauważona.

— Zwróciłeś na siebie uwagę imperatora. Nie udało się to żadnemu innemu matematykowi.

— Początkowo to ty zwróciłeś na mnie uwagę, a nie imperator. Zaraz potem musiałem wyjechać i pozostać w ukryciu aż do chwili, gdy mogłem cię zapewnić, że rozpocząłem badania nad psychohistorią. Dopiero wtedy pozwoliłeś mi pozostać w bezpiecznym miejscu.

— To, że jesteś dziekanem prestiżowego Wydziału Matematyki, ma chyba mało wspólnego z bezpieczeństwem.

— Ma, skoro służy ukryciu mojej psychohistorii.

— O, zaraz pojawi się jedzenie. Porozmawiajmy przez chwilę o czymś innym, na przykład o dobrych przyjaciołach. Jak tam Dors?

— Jest wspaniała. Prawdziwa żona. Zanudza mnie na śmierć swoją troską o moje bezpieczeństwo.

— Na tym polega jej praca.

— I wciąż mi o tym przypomina. Poważnie, Daneelu, nigdy nie zdołam wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczny, że poznałeś nas ze sobą.

— Dziękuję, Hari, ale prawdę mówiąc, nie przewidywałem, że będziecie szczęśliwi, a szczególnie nie spodziewałem się tego po Dors…

— I tak jestem ci wdzięczny, bez względu na to, czego się spodziewałeś.

— Cieszę się niezmiernie, ale dalsze konsekwencje tego daru mogą nie być takie przyjemne… podobnie jak konsekwencje mojej przyjaźni.

Na to Seldon nie znalazł już odpowiedzi, dlatego zachęcony gestem Demerzela, zabrał się do jedzenia. Po chwili wskazał kawałek ryby, który miał na widelcu, i powiedział:

— Nie wiem, co to za potrawa, ale rozpoznaję kuchnię

mycogeńską.

— Zgadza się. Wiem, że ją lubisz.

— Jest usprawiedliwieniem istnienia Mycogeńczyków. Jedynym usprawiedliwieniem. Nie wolno mi jednak zapominać, że dla ciebie mają specjalne znaczenie.

— To specjalne znaczenie już się skończyło. Dawno, dawno temu ich przodkowie mieszkali na Aurorze. Żyli po trzysta lat, a nawet dłużej i byli panami Pięćdziesiątki, Pięćdziesięciu Światów Galaktyki. To właśnie mieszkaniec Aurory zaprojektował mnie i zbudował. Nie zapomniałem o tym; pamiętam to dokładnie i bez przekręcania faktów, tak jak to robią ich mycogeńscy potomkowie. A jednak wtedy, dawno, dawno temu, opuściłem ich. Sam dokonałem wyboru, kiedy zrozumiałem, na czym polega dobro ludzkości, po czym poszedłem własną drogą i do tej pory pracuję dla ludzkości, jak potrafię najlepiej.

— Czy ktoś może nas podsłuchiwać? — zatrwożył się nagle Seldon. Demerzel wyglądał na rozbawionego.

— Jeśli dopiero teraz o tym pomyślałeś, to o wiele za późno. Ale nie obawiaj się, podjąłem niezbędne środki ostrożności. Nie widziało cię zbyt wiele osób, gdy tu wchodziłeś, niewielu cię zobaczy, gdy będziesz stąd wychodził. A ci, którzy cię zobaczą, nie będą zdziwieni. Jestem znany jako matematyk amator, wielce ambitny, chociaż mało zdolny. Jest to źródło rozbawienia tych członków dworu, którzy nie są do końca moimi przyjaciółmi. Ludzie nie zdziwią się, gdy zobaczą, że staram się przygotować podstawy przed nadchodzącym Zjazdem Dziesięcioletnim. Właśnie w sprawie zjazdu chciałem się z tobą skonsultować.

— Nie wiem, czy potrafię ci pomóc. Tylko o jednym mógłbym być może mówić w czasie zjazdu, a o tym właśnie nie mogę mówić. Jeśli w ogóle wezmę w nim udział, to jedynie jako słuchacz. Nie zamierzam przedstawiać żadnych prac.

— Rozumiem. Ale jeśli chcesz usłyszeć coś ciekawego, to powiem ci, że Jego Imperialna Mość pamięta cię.

— Pewnie dlatego, że to ty o mnie pamiętałeś.

— Nie. To nie ja się do tego przyczyniłem. Jednak Jego Imperialna Mość czasami mnie zaskakuje. Zdaje sobie sprawę ze zbliżania się zjazdu i najwyraźniej pamięta twoje przemówienie na ostatnim. Muszę cię ostrzec, że wciąż interesuje się psychohistorią i tym, co może z niej wyniknąć. Jest całkiem prawdopodobne, że może zechcieć cię zobaczyć. Dwór z pewnością uznałby to za wielki zaszczyt: uzyskać wezwanie od imperatora dwa razy w życiu to nie byle co.

— Żartujesz. A na co by mu się zdało spotkanie ze mną?

— W każdym razie, jeśli zostaniesz wezwany na audiencję, nie będziesz mógł odmówić… A jak się miewają twoi młodzi protegowani,

Yugo i Raych?

— Z pewnością wiesz. Domyślam się, że nie spuszczasz mnie z oka.

— To prawda. Robię to dla twojego bezpieczeństwa, ale nie znam wszystkich szczegółów twojego życia. Niestety, większość czasu wypełniają mi obowiązki, a poza tym nie dostrzegam wszystkiego.

— Czy Dors nie składa ci raportów?

— Jedynie w sytuacjach kryzysowych. Niechętnie odgrywa rolę szpiega w sprawach małej wagi. — Znów uśmiechnął się lekko.

Seldon odchrząknął.

— Moi chłopcy mają się dobrze. Niezwykle trudno jest poskromić Yugo. Jest bardziej psychohistorykiem niż ja i pewnie uważa, że go powstrzymuję. Jeśli chodzi o Raycha, to kochany łobuziak… zawsze nim był. Zdobył moje względy już wtedy, gdy był okropnym ulicznym łobuzem, a co dziwniejsze, zdobył również względy Dors. Wierzę, Daneelu, że gdyby Dors znudziła się mną i chciała mnie opuścić, i tak zostałaby ze względu na miłość do Raycha.

Demerzel pokiwał głową, a Seldon kontynuował ze smutkiem.

— Gdyby Rashelle z Wye nie uznała, że jest godny uwagi, dziś nie byłoby mnie tutaj. Zastrzelono by mnie. — W zachowaniu Seldona wyczuwało się niepokój. — Nie cierpię o tym myśleć, Daneelu. To wydarzenie było tak całkowicie przypadkowe i nieprzewidywalne. Czy psychohistorią mogłaby coś na to poradzić?

— Czyż nie mówiłeś mi, że psychohistorią może jedynie określać prawdopodobieństwa dotyczące olbrzymich liczb, a nie zajmuje się jednostkami?

— Ale jeśli konkretna jednostka jest przypadkiem kluczową…

— Pewnie wkrótce zrozumiesz, że żadna jednostka nie jest tak naprawdę kluczową postacią. Nawet ja… czy ty.

— Być może masz racje. Zauważyłem, że bez względu na to, jak bym pracował nad tymi założeniami, i tak myślę o sobie jak o kimś ważnym. Ty też jesteś ważną osobą i dlatego właśnie przyszedłem tu z tobą porozmawiać… tak szczerze, jak to tylko możliwi. Muszę wiedzieć.

— Musisz wiedzieć? Co?

Resztki posiłku zostały uprzątnięte, a światło w pokoju nieco przygasło; wydawało się, że ściany trochę się przybliżyły, co zapewniało poczucie większej prywatności.

— Joranum — rzekł Seldon. Wypowiedział jedno słowo, jakby uważał, że samo nazwisko powinno wszystko wyjaśniać.

— Ach, tak.

— Wiesz o nim?

— Oczywiście. Jak mógłbym nie wiedzieć?

— No cóż, ja też chcę o nim wiedzieć.

— A co?

— Daj spokój, Daneelu, nie kpij sobie ze mnie. Jest niebezpieczny?

— Oczywiście, że jest niebezpieczny. Masz co do tego jakieś wątpliwości?

— Pytam, czy jest niebezpieczny dla ciebie. Czy zagraża twojej pozycji Pierwszego Ministra.

— Dokładnie to mam na myśli. Właśnie na tym polega zagrożenie z jego strony.

— I pozwalasz na to?

Demerzel pochylił się do przodu i oparł lewy łokieć na stole.

— Hari, są pewne sprawy, które nie czekają na moje pozwolenie. Pofilozofujmy na ten temat. Jego Imperialna Mość Cleon, Pierwszy tego Imienia, zasiada na tronie od osiemnastu lat i przez cały ten czas to ja byłem jego szefem sztabu, a potem Pierwszym Ministrem, mimo że służyłem już na nieco pośledniejszych stanowiskach w ostatnich latach panowania jego ojca. To długi okres, a Pierwszy Minister rzadko pozostaje u władzy tak długo.

— Ty, Daneelu, nie jesteś zwykłym Pierwszym Ministrem i sam dobrze o tym wiesz. Musisz pozostać u władzy do chwili, gdy rozwiniemy psychohistorię. Nie śmiej się. To prawda. Kiedy osiem lat temu spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałeś mi, że Imperium jest na skraju Upadku. Zmieniłeś zdanie na ten temat?

— Nie, oczywiście, że nie.

— Prawdę mówiąc, Upadek zarysowuje się teraz wyraźniej, prawda?

— Owszem, tak właśnie jest, chociaż starałem się temu zapobiec.

— A co się stanie bez ciebie? Joranum podburza przeciwko tobie całe Imperium.

— Trantor, Hari. Trantor. Jak do tej pory, mimo wyraźnych symptomów pogarszających się warunków ekonomicznych i malejącego handlu, Światy Zewnętrzne są stabilne i dość zadowolone z moich dokonań.

— Jednak to Trantor jest miejscem, gdzie to się liczy. Trantor — imperialny świat, na którym żyjemy, stolica Imperium, jego serce i centrum administracyjne — może sprawić, że będziesz musiał odejść. Nie mógłbyś zatrzymać stanowiska, gdyby Trantor powiedział „nie”.

— Zgadzam się z tobą.

— A jeśli odejdziesz, kto zaopiekuje się Światami Zewnętrznymi, zmniejszy tempo Upadku i powstrzyma Imperium przed degeneracją prowadzącą do anarchii?

— Rzeczywiście, tak się może stać.

— Musisz więc coś z tym zrobić. Yugo jest przekonany, że znajdujesz się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i że nie zdołasz

utrzymać swojej pozycji. Podpowiada mu to intuicja. Dors mówi to samo, a wyjaśnia to za pomocą Trzech Praw…

— Robotyki — dokończył Demerzel.

— Wydaje mi się, że młodego Raycha bardzo pociąga doktryna Joranum. Rozumiesz, on jest Dahlijczykiem. A ja… ja nie jestem pewny, co robić, dlatego przyszedłem do ciebie, żebyś mnie uspokoił. Chciałbym usłyszeć, że kontrolujesz sytuację.

— Zrobiłbym to, gdyby tak było. Nie mogę ci jednak powiedzieć nic, co by cię uspokoiło. Naprawdę jestem w niebezpieczeństwie.

— Nie robisz nic, by temu zaradzić?

— Przeciwnie. Robię bardzo dużo, by powstrzymać niezadowolenie i ograniczyć zasięg oddziaływania ideologii Joranum. Gdybym tego nie robił, prawdopodobnie już teraz nie sprawowałbym mego urzędu. Jednak to, co robię, nie wystarcza.

Seldon zawahał się, ale w końcu powiedział:

— Uważam, że Joranum jest Mycogeńczykiem.

— Czy to możliwe?

— Takie jest moje zdanie. Pomyślałem, że moglibyśmy wykorzystać to przeciwko niemu, ale waham się, bo wtedy mogą się ujawnić fanatycy.

— Mądrze zrobiłeś, nie podejmując działań. Wiele rzeczy, które można by wykorzystać, spowodowałoby niepożądane skutki uboczne. Zrozum, Hari, ja nie obawiam się ustąpić ze stanowiska. Zrobiłbym to, gdyby udało się znaleźć kogoś, kto poświęcając się tak jak ja sprawom nadrzędnym, potrafiłby możliwie jak najbardziej opóźnić Upadek. Z drugiej jednak strony, uważam, że byłoby fatalnie, gdyby moje miejsce zajął Joranum.

— W takim razie cokolwiek zrobimy, żeby go powstrzymać, i tak będzie to odpowiednie postępowanie.

— Nie do końca, impenum może ogarnąć anarcma nawet wteay, gay zniszczy się Joranum, a ja pozostanę na stanowisku. Nie mogę więc zrobić czegoś, co wyeliminuje Joranum, a mi pozwoli zostać na stanowisku, jeśli tym samym przyspieszyłbym Upadek Imperium. Do tej pory nie zdołałem wymyślić czegoś, co na pewno zniszczyłoby Joranum, a jednocześnie pozwoliło uniknąć anarchii.

— Minimalizm — wyszeptał Seldon.

— Słucham?

— Dors wyjaśniła mi, że będzie cię krępował minimalizm.

— Tak właśnie jest.

— Wobec tego moja wizyta u ciebie, Daneelu, nie ma sensu.

— Czy mam rozumieć, że przyszedłeś, chcąc się uspokoić, i nie«fena-lazłeś tego?

— Obawiam się, że o to chodzi.

— Ale ja też oczekiwałem, że spotkanie z tobą mnie uspokoi.

— Szukałeś tego we mnie?

— W psychohistorii, która powinna przewidzieć bezpieczną drogę, skoro ja tego nie potrafię.

Seldon westchnął ciężko.

— Daneelu, psychohistorią nie jest jeszcze rozwinięta w takim stopniu. Pierwszy Minister popatrzył ponuro na Helikończyka.

— Miałeś przecież osiem lat, Hari.

— Nieważne, osiem czy osiemset lat. Nie jest jeszcze wystarczająco rozwinięta. To problem trudny do rozwiązania.

— Nie oczekiwałem, że ta technika zostanie doprowadzona do perfekcji — odpowiedział Demerzel. — Mogłeś przynajmniej stworzyć szkic, konstrukcję, pewne zasady, które mogłyby posłużyć za drogowskaz. Być może niedoskonały, ale byłoby to lepsze niż domysły.

— Nie mam nic więcej niż osiem lat temu — rzekł Seldon z bólem w głosie. — Dlatego musisz zachować władzę, a Joranum trzeba zniszczyć w taki sposób, by sytuacja Imperium pozostała stabilna tak długo, jak to tylko możliwe, dając mi szansę na opracowanie zasad psychohistorii. Nie utrzymasz jednak władzy, jeśli wcześniej nie rozwinę psychohistorii. Czy o to chodzi?

— Na to wygląda, Hari.

— W takim razie koło się zamyka, a Imperium obróci się w ruinę.

— Chyba że stanie się coś nieprzewidzianego. Albo ty zrobisz coś nieprzewidzianego.

— Ja, Daneelu? Jak mogę tego dokonać bez psychohistorii?

— Nie wiem, Hari. Zdesperowany Seldon wstał, by wyjść.

12

Przez następne dni Seldon zaniedbywał swoje obowiązki na wydziale, pracował za to, używając komputera i modemu zbierającego informacje. Niewiele komputerów mogło sobie poradzić z codziennym zbieraniem informacji z dwudziestu pięciu milionów światów. Kilka takich urządzeń znajdowało się w najważniejszych instytucjach Imperium, gdzie były absolutnie niezbędne. Niektóre stolice większych Światów Zewnętrznych też je posiadały, mimo że większość z nich zadowalała się połączeniem nadprzestrzennym z Centralną Agencją Informacyjną na Trantorze.

Komputer na ważnym Wydziale Matematyki — jako dostatecznie nowoczesny — mógł być zmodyfikowany i służyć za niezależne źródło informacji, a Seldon był na tyle przewidujący, że zrobił to z własnym. Musiał tak postąpić, skoro miał pracować nad psychohistorią, chociaż urządzenie zaprojektowano w ten sposób, by służyło innym, pozornie słusznym celom.

W idealnych warunkach komputer powinien donosić o wszystkich niezwykłych zdarzeniach na każdym ze światów Imperium. Zapalało się zakodowane i dyskretne światło ostrzegawcze, które Seldon mógł z łatwością zidentyfikować. Pojawiało się ono rzadko, gdyż sama definicja „w wypadku niezwykłych zdarzeń" była ścisła i precyzyjna — dotyczyła poważnych przewrotów o dużym zasięgu.

Jeśli światło ostrzegawcze nie pojawiało się, użytkownik komputera mógł się połączyć z różnymi światami na chybił trafił — oczywiście, nie ze wszystkimi dwudziestoma pięcioma milionami, a z kilkunastoma. Połączenia takie były dość przygnębiające, gdyż trudno było znaleźć świat, na którym nie byłoby akurat jakiejś niewielkiej choćby katastrofy. Wybuch wulkanu tu, jakaś powódź tam, załamanie ekonomiczne takiego czy innego rodzaju, no i oczywiście zamieszki. Przez ostatnie tysiąc lat nie było dnia, by na którymś z setek lub więcej światów z tego czy innego powodu nie wybuchły zamieszki.

Naturalnie, nie należy się przejmować takimi zdarzeniami. Nie można się zamartwiać zamieszkami czy wybuchami wulkanów, jeśli zdarzają się nieustannie na zamieszkanych światach. Natomiast gdyby nadszedł taki dzień, w którym nigdzie nie odnotowano by zamieszek, byłby to sygnał tak niezwykły, że usprawiedliwiałby najpoważniejszą troskę.

Prawdziwym problemem było to, że Seldon wcale się tym nie przejmował. Światy Zewnętrzne, z nękającymi je niepokojami i nieszczęściami, przypominały mu wielki, łagodnie falujący ocean w pogodny dzień — ale nic poza tym. Nie znalazł ani śladu sytuacji, które w ciągu ostatnich ośmiu, a nawet osiemdziesięciu lat wyraźnie

pokazywałyby chylenie się ku upadkowi. A jednak Demerzel (o nieobecnym Demerzelu Seldon nie mógł już myśleć jako o Daneelu powiedział, że upadek wciąż postępuje, choć przecież to on trzymał rękę na pulsie Imperium w sposób, którego Seldon nie potrafiłby naśladować — przynajmniej do czasu, gdy będzie dysponował psychohistorią.

Być może Upadek postępował tak wolno, że będzie niedostrzegalny aż do chwili, gdy osiągnie punkt krytyczny — podobnie jak dom stopniowo chylący się ku ruinie nie zdradza żadnych oznak zagrożenia aż do chwili, gdy pewnej nocy wali się dach.

Kiedy zawali się dach? Właśnie w tym tkwił problem, a Seldon nie znał odpowiedzi.

Przy okazji zamierzał sprawdzić sam Trantor. Tu wiadomości zawsze miały większą wagę. Po pierwsze, stołeczny świat był jednym z najgęściej zaludnionych; mieszkało tu czterdzieści miliardów ludzi. Po drugie, jego osiemset sektorów tworzyło swego rodzaju miniimperium. Po trzecie wreszcie, należało wziąć pod uwagę poczynania sprawujących władzę urzędników oraz rodziny imperatora.

Jednakże tym, co przykuło uwagę Seldona, był Dahl. W wyniku wyborów pięciu joranumitów znalazło się w radzie sektora. Według komentarza po raz pierwszy joranumici zdobyli takie stanowiska. Nic w tym dziwnego. Dahl był ich twierdzą, jeśli można tak powiedzieć o którymś z sektorów, ale Seldona zaniepokoiły postępy demagogii Joranum. Zamówił mikrochip dotyczący tej wiadomości i zabrał go wieczorem do domu.

Gdy wszedł, Raych spojrzał na niego znad komputera i chcąc się usprawiedliwić, oznajmił:

— Pomagam mamie przy opracowaniu materiału, który jest jej potrzebny.

— A co z twoją pracą?

— Zrobiłem, tato. Wszystko.

— Doskonale. Spójrz na to. — Pokazał chłopcu chip, który trzymał w dłoni, zanim wsunął go do mikroprojektora.

Raych przyjrzał się obrazowi z wiadomościami, który ukazał się w powietrzu przed jego oczami, i powiedział:

— Tak, wiem o tym.

— Wiesz?

— Jasne. Zazwyczaj śledzę wiadomości z Dahla. No wiesz, to mój ojczysty sektor.

— I co o tym myślisz?

— Nie jestem zdziwiony. A ty? Pozostali Trantorczycy traktują Dahl jak chlew. Dlaczego Dahlijczycy nie mieliby podzielać poglądów Joranum?

— A ty je podzielasz?

— No cóż… — Widać było, że Raych poważnie się zastanawia. — Muszę przyznać, ze pewne poglądy, Które głosi, przemawiają do mnie. Mówi, że pragnie równości dla wszystkich ludzi. Co w tym złego?

— Absolutnie nic, jeśli naprawdę tego chce. Jeśli ma szczere intencje. Jeśli nie używa tego hasła jako chwytu, by zdobyć głosy wyborców.

— Masz rację, tato, ale większość Dahlijczyków pewnie stawia sobie pytanie „A co mam do stracenia?" Nie jesteśmy równi innym, chociaż prawo mówi, że tak jest.

— Trudno określać równość normami prawnymi.

— To nie jest coś, co mogłoby ostudzić twój zapał, kiedy pocisz się, pracując ponad siły.

Seldon myślał intensywnie. Zastanawiał się nad tym od chwili, gdy przyszło mu to do głowy.

— Raych — odezwał się — nie byłeś w Dahlu od chwili, gdy oboje z matką zabraliśmy cię stamtąd, prawda?

— Jasne, że byłem, kiedy pięć lat temu towarzyszyłem ci podczas wizyty w sektorze.

— Tak, tak — Seldon machnął ręką — ale to się nie liczy. Zatrzymaliśmy się w hotelu międzysektorowym, który ma niewiele wspólnego z Dahlijczykami, a poza tym, o ile sobie przypominam, Dors ani razu nie pozwoliła ci wyjść samotnie na ulicę. Miałeś przecież zaledwie piętnaście lat. Chciałbyś teraz odwiedzić Dahl sam, zdany na własne siły… teraz kiedy skończyłeś już dwadzieścia lat?

Raych zachichotał.

— Mama nigdy na to nie pozwoli — stwierdził.

— Nie mówię, że cieszę się, mając w perspektywie rozmowę z nią, ale nie zamierzam prosić jej o pozwolenie. Pytanie brzmi: Czy zechcesz zrobić to dla mnie?

— Z ciekawości? Jasne. Chętnie przekonam się, co słychać na starych śmieciach.

— Nie przeszkodzi ci to w studiach?

— Skądże. Przecież to nie potrwa dłużej niż tydzień. Poza tym mógłbyś mi nagrywać wykłady, więc podgonię materiał po powrocie. Dostanę zgodę na wyjazd. W końcu mój staruszek pracuje na uniwersytecie… chyba że cię wyrzucili, tato.

— Jeszcze nie. Nie sądzę jednak, by ten wyjazd przypominał wesołe wakacje.

— Zdziwiłbym się, gdybyś tak uważał. Nie sądzę, tato, żebyś w ogóle wiedział, co to są wesołe wakacje. Dziwię się, że w ogóle znasz to wyrażenie.

— Nie bądź impertynentem. Chcę, żebyś spotkał się tam z Laskinem Joranum.

Raych był zdumiony.

— Jak mam to zrobić? Nie wiem, gdzie będzie przebywał.

— Będzie w Dahlu. Poproszono go, by przemówił na forum rady sektora w imieniu jej nowych członków, joranumitów. Dowiemy się, kiedy to będzie, a ty pojedziesz tam kilka dni wcześniej.

— Co mam zrobić, żeby się z nim spotkać? Nie sądzę, by prowadził dom otwarty.

— Też tak myślę, ale to już zostawiam tobie. W wieku dwunastu lat wiedziałbyś, jak tego dokonać. Mam nadzieję, że twoje bystre zmysły nie stępiały zbytnio pomimo upływu czasu.

Raych uśmiechnął się.

— Mam nadzieję, że nie. Przypuśćmy jednak, że go zobaczę. Co wtedy?

— No cóż, dowiedz się, ile tylko zdołasz. Co naprawdę planuje. O czym naprawdę myśli.

— Sądzisz, że powie mi o tym?

— Nie zdziwiłbym się, gdyby to zrobił. Ty, niecny młodzieniaszku, wzbudzasz zaufanie. Porozmawiajmy o tym.

I rozmawiali. Wielokrotnie.

Myśli Seldona przepełnione były bólem. Nie był pewien, dokąd to wszystko go zaprowadzi, ale nie ośmielił się podzielić wątpliwościami z Yugo Amarylem ani z Demerzelem, ani — tym bardziej — z Dors. Mogliby go powstrzymać. Mogliby udowodnić, że jego pomysł jest beznadziejny, a tego nie chciał. Jego plan wyglądał na jedyne wyjście z sytuacji, więc nie chciał, by mu go pokrzyżowano.

Ale czy wyjście w ogóle istnieje? Seldon sądził, że Raych jest jedynym człowiekiem zdolnym wkraść się w łaski Joranum i zdobyć jego zaufanie; lecz czy chłopak jest właściwym narzędziem do wykonania tego zadania? Pochodził z Dahla i był sympatykiem Joranum. Jak dalece Hari mógł mu zaufać?

To straszne! Raych był jego synem… nigdy wcześniej Seldon w niego nie wątpił.

13

Jeśli Seldon wątpił w skuteczność swojego pomysłu, jeśli obawiał się, że może" zadziałać przedwcześnie albo podążyć w złym kierunku, jeśli nurtowały go straszne wątpliwości co do tego, czy można całkowicie zaufać Raychowi i czy zdoła on wypełnić jak należy swoje zadanie, to nie miał najmniejszych wątpliwości, jaka będzie reakcja Dors, kiedy wszystko jej wyjaśni. Nie był też rozczarowany-jeśli to właściwe słowo, by oddać stan jego emocji.

Ajednak w pewnym sensie był rozczarowany, gdy przerażona Dors nie podniosła głosu, choć w głębi duszy myślał, że będzie krzyczała, i był przygotowany na to, by się jej przeciwstawić. Ale skąd miał wiedzieć, jaka będzie jej reakcja. Różniła się od pozostałych kobiet i nigdy nie widział, by była strasznie zła. Może nie umiała się złościć.

Po prostu spojrzała chłodno i wyrażając dezaprobatę, przemówiła cicho z goryczą w głosie:

— Wysłałeś go do Dahla? Samego?

Seldon zadrżał, usłyszawszy ten cichy głos, lecz po chwili odparł stanowczo:

— Musiałem. To było konieczne.

— Pozwól, że spróbuję zrozumieć. Wysłałeś go do tego gniazda złodziei, do tej zgrai zabójców, tego skupiska kryminalistów?

— Dors! Denerwujesz mnie, mówiąc w ten sposób. Tylko bigota posądzałbym o posługiwanie się takimi stereotypami.

— Czyżbyś zaprzeczał, że Dahl jest taki, jak go opisałam?

— Oczywiście. Dobrze wiem, że są tam kryminaliści i walące się rudery. Oboje dobrze o tym wiemy. Ale nie cały Dahl jest taki, a kryminaliści i slumsy są wszędzie, nawet w Sektorze Imperialnym i w Sektorze Streelinga.

— Są stopnie niebezpieczeństwa, prawda? Jeden to nie dziesięć. Jeśli nawet na wszystkich światach i we wszystkich sektorach są kryminaliści, to Dahl jest pośród najgorszych, prawda? Masz komputer. Sprawdź statystyki.

— Nie muszę. Dahl jest najuboższym sektorem Trantora, a pomiędzy nędzą i zbrodnią zachodzi korelacja. Przyznaję to.

— Ty to przyznajesz! I wysłałeś go samego?! Mogłeś pojechać razem z nim, poprosić, żebym ja z nim pojechała, albo wysłać z nim kilku jego kolegów. Jestem pewna, że z wdzięcznością przyjęliby dni wolne od zajęć na uniwersytecie.

— To, o co go poprosiłem, musi zrobić sam.

— A o co go poprosiłeś?

Seldon milczał uparcie, więc Dors odezwała się raz jeszcze:

— To już do tego doszło? Nie ufasz mi?

— To przypomina hazard. Sam podejmuję ryzyko. Nie mogę angażować w to ciebie czy kogokolwiek innego.

— Przecież to nie ty podejmujesz ryzyko, tylko biedny Raych.

— On nie podejmuje żadnego ryzyka — odparł niecierpliwie Helikończyk. — Ma dwadzieścia lat, jest młody, sprytny i silny jak drzewo… i wcale nie mam na myśli młodych drzewek, które mamy pod szkłem na Trantorze. Mówię o porządnych, solidnych drzewach z helikońskich lasów. Poza tym potrafi wszystko doskonale rozegrać, czego nie można powiedzieć o Dahlijczykach.

— Ty i te twoje rozgrywki — rzuciła Dors równie chłodno jak przedtem. — Myślisz, że to odpowiedź na wszystko. Wszyscy Dahlijczycy noszą noże. Wszyscy. Jestem pewna, że mają też miotacze.

— Nic nie wiem o miotaczach. Jeśli o nie chodzi, prawo jest dość surowe. Co do noży, to jestem pewien, ze Raych tez je nosi. Nawet tu, w miasteczku uniwersyteckim, choć to wbrew prawu. Myślisz, że nie zabrałby ich do Dahla?

Dors milczała.

Również Seldon zamilkł na kilka minut, potem jednak doszedł do wniosku, że już najwyższy czas ją udobruchać.

— Posłuchaj, trochę mogę ci powiedzieć. Mam nadzieję, że Raych spotka się z Joranum, który odwiedzi Dahl.

— Ach tak?! I czego oczekujesz od Raycha? Chcesz, by sprawił, że Joranum zawstydzi się z powodu swej niegodziwej polityki i wróci do Mycogenu?

— Och, przestań. Jeśli zamierzasz nadal ironizować, to lepiej już nie rozmawiajmy. — Seldon nie patrzył teraz na Dors; spoglądał przez okno na niebieskoszare niebo pod kopułą.

— Oczekuję — wyjąkał wreszcie — że Raych uratuje Imperium.

— No jasne. Nic prostszego.

W głosie Hariego słychać było powagę.

— Właśnie tego oczekuję. Ty nie wiesz, jak to zrobić. Demerzel też nie ma pomysłu. Powiedział jedynie, że rozwiązanie spoczywa w moich rękach. Właśnie to staram się osiągnąć i dlatego chcę, by chłopak pojechał do Dahla. Poza tym dobrze wiesz, jak inspirująco Raych potrafi wpływać na innych. Umiał wpłynąć na nas i jestem przekonany, że uda mu się wpłynąć na Joranum. Jeśli się nie mylę, wszystko będzie dobrze.

Dors patrzyła zdumiona.

— Chcesz mi powiedzieć, że kierujesz się zasadami psychohistorii?

— Nie. Nie zamierzam cię okłamywać. Nie osiągnąłem jeszcze tyle, bym mógł się kierować zasadami psychohistorii, ale Yugo wciąż

mówi o intuicji… a ja mam swoją.

— Intuicja! A cóż to takiego?! Zdefiniuj ją!

— To proste. Intuicja jest sztuką, przywilejem ludzkiego umysłu, darem podawania właściwych odpowiedzi na podstawie niekompletnych bądź nawet błędnych danych.

— I tobie się to udało?

— Tak, udało mi się — odpowiedział Seldon z przekonaniem.

Jednak w głębi duszy pomyślał o czymś, czym nie śmiał się podzielić z Dors. Co będzie, jeśli urok Raycha już nie działa na innych? Albo jeszcze gorzej — jeśli poczucie tożsamości chłopaka pochodzącego z Dahla stanie się dla niego zbyt silne?

14

Billibotton to Billibotton — brudna, zaniedbana, ciemna i złowroga dzielnica — obszar tchnący zgnilizną, a mimo to niezwykle witalny. Raych zdawał sobie sprawę, że nie sposób było znaleźć coś takiego w żadnym innym miejscu na Trantorze. Być może nawet nie sposób było znaleźć coś takiego nigdzie indziej w Imperium, choć sam poznał jedynie Trantor.

Kiedy ostatni raz widział Billibotton, miał niewiele więcej niż dwanaście lat, a jednak ludzie wydawali mu się wciąż tacy sami; wciąż stanowili zbieraninę łajdaków, wciąż przepełniała ich sztucznie podsycana duma. Mężczyźni wyróżniali się bujnymi ciemnymi wąsami, a kobiety workowatymi sukienkami, które teraz, gdy Raych był już starszy i nabrał nieco ogłady w świecie, wydawały mu się jeszcze bardziej nieporządne.

Czy to możliwe, by kobiety w takich sukienkach były pociągające? Nie, zdawał sobie sprawę, że to głupie pytanie. Nawet kiedy miał dwanaście lat, dobrze wiedział, jak łatwo można było je zdjąć.

Szedł więc, zatopiony w myślach i wspomnieniach. Mijał jakieś ulice i wystawy sklepowe, usiłując przekonać samego siebie, że pamięta właśnie to czy inne miejsce, i zastanawiając się, czy pośród tych wszystkich ludzi żyją jeszcze ci, których pamiętał, a którzy byli teraz o osiem lat starsi. Być może spotka swoich przyjaciół z dzieciństwa — martwiło go to, że chociaż pamiętał część przezwisk, którymi wzajemnie się obdarzali, nie potrafił przypomnieć sobie ich prawdziwych nazwisk.

Prawdę mówiąc, luki w jego pamięci były olbrzymie. Nie stało się tak dlatego, że osiem lat to dużo czasu, ale raczej dlatego, że osiem lat to dwie piąte życia dwudziestolatka, które po opuszczeniu Billibottonu zmieniło się tak diametralnie, iż wszystko, co przeżył wcześniej, wyblakło niczym niewyraźny sen.

Zapachy jednak pozostały. Stanął przed piekarnią, małą i brudną, i wciągnął w nozdrza zapach kokosowego lukru, który unosił się w powietrzu — zapach, jakiego nigdzie indziej nie dane mu było poczuć. Nawet jeśli zatrzymał się gdzieś, by kupić ciastko z tym lukrem, nawet jeśli reklamowano je jako wypiek „w dahlijskim stylu” — było jedynie niezdarną imitacją.

Pokusa była bardzo silna. A dlaczegóż by nie? Miał kredyty, a Dors nie stała obok, krzywiąc się z niesmakiem i zastanawiając głośno, jak czyste — a raczej jak brudne — może być to miejsce. Kto się tam kiedyś martwił brakiem higieny?

Upłynęła dłuższa chwila, zanim Raych przyzwyczaił się do mroku

panującego w sklepie. Znajdowało się tu kilka niskich stolików, a przy każdym z nich po kilka marnych krzeseł. Ludzie niewątpliwie mogli tu coś przekąsić, wypić namiastkę kawy i zjeść ciastko. Przy jednym ze stolików siedział młody mężczyzna, ubrany w białą niegdyś podkoszulkę, która w lepszym świetle wyglądałaby prawdopodobnie jeszcze gorzej. Przed młodzieńcem stała pusta filiżanka.

Piekarz, a być może kelner wynurzył się z pomieszczenia na zapleczu i odezwał dość grubiańsko:

— Czego by się chciało?

— Coke-icera — odparł Raych równie grubiańsko (nie byłby billibottończykiem. gdyby okazał uprzejmość), używając slangowego wyrażenia, które dobrze pamiętał z dawnych czasów.

Widocznie wyrażenie wciąż było w użyciu, bo kelner podał mu odpowiedni wypiek, choć trzymał go gołymi palcami. Dawniej Raycha nie zdziwiłoby to, ale teraz poczuł się jakoś dziwnie.

— Torebkę chcesz?

— Nie — odpowiedział chłopak. — Zjem na miejscu.

Zapłacił kelnerowi, wziął coke-icera i wgryzł się w ciastko, mrużąc przy tym oczy. W dzieciństwie rzadko mógł sobie na to pozwolić — czasami, gdy udało mu się zwędzić kredyt, gdy dostał kęs od chwilowo bogatego przyjaciela, najczęściej zaś, gdy udało mu się ukraść ciastko, kiedy nikt nie patrzył. Teraz mógł ich sobie kupić tyle, ile tylko chciał.

— Hej — usłyszał czyjś głos.

Otworzył oczy. To mężczyzna siedzący przy stoliku krzywił się do niego.

— Mówisz do mnie, bubku?

— Jasne. Co tu porabiasz?

— Wcinam coke-icera. A tobie o co biega? — Automatycznie przeszedł na billibottoński żargon. Nie musiał się nawet do tego zmuszać.

— Co porabiasz w Billibottonie?

— Urodziłem się tu i wychowałem. W łóżku, a nie na ulicy jak ty. — Wypowiedział obelgę tak łatwo, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżał.

— Co ty powiesz? Niezgorzej się ubierasz jak na billibottończyka. Jak jakiś strojniś. Już nie powiem o smrodku perfum w okolicy.

— Nie powiem, jak ty śmierdzisz. Ja zaszedłem wysoko w świecie.

— Wysoko w świecie? Tra-la-la.

Do cukierni weszło dwóch mężczyzn. Raych zaniepokoił się, bo nie był pewien, czy przypadkiem nie zostali tu wezwani. Młodzieniec przy stole odezwał się do nich:

— Ten facet zaszedł wysoko w świecie. Mówi, że jest billibottończykiem.

Jeden z przybyszów zasalutował kpiąco i wyszczerzył się w nieprzyjaznym uśmiechu. Jego zęby były bezbarwne.

— No proszę, jak ślicznie. Miło słyszeć, że jakiś billibottończyk zrobił światową karierę. To znaczy, że może pomóc biednym ziomkom ze swojego sektora. Chyba znajdziesz kredyta czy dwa dla biednych, co?

— Ile masz przy sobie, cwaniaku? — spytał drugi, który już się nie uśmiechał.

— Hej, wy tam! — rzucił mężczyzna stojący za kontuarem. — Wynoście się stąd. Niepotrzebne mi kłopoty w moim sklepie.

— Nie będzie żadnych kłopotów — oznajmił Raych. — Ja wychodzę. Wstał, chcąc wyjść, ale siedzący mężczyzna zagrodził mu drogę nogą.

— Gdzie się wybierasz, koleś? Będzie nam brakowało twojego towarzystwa.

Mężczyzna za kontuarem, wyraźnie obawiając się najgorszego, zniknął na zapleczu.

Raych uśmiechnął się i powiedział:

— Pewnego razu, chłopaki, kiedy mieszkałem w Billibottonie, mnie i moich staruszków zatrzymało dziesięciu facetów. Dziesięciu. Wiem, bo ich policzyłem. Musieliśmy się nimi zająć.

— Taa? — odezwał się ten, który mówił poprzednio. — I to twój staruszek zajął się tymi dziesięcioma?

— Mój staruszek? Gdzie tam. Szkoda mu było czasu. Zajęła się nimi moja stara. A ja potrafię to robić lepiej niż ona. Was jest tylko trzech, więc dobrze wam radzę, zejdźcie mi z drogi.

— Jasne. Zostaw tylko wszystkie kredyty i część łachów. Młodzieniec siedzący przy stole wstał. W dłoni trzymał nóż.

— A więc o to wam chodzi — powiedział Raych. — Teraz wy marnujecie mój czas.

Skończył swojego coke-icera i obrócił się nieco. Następnie w ułamku sekundy, przytrzymując się stołu, kopnął prawą nogą w pachwinę mężczyznę trzymającego nóż. Napastnik zgiął się wpół, głośno jęcząc. Tymczasem stół powędrował w górę i przygniótł drugiego z mężczyzn do ściany. Raych błyskawicznie wyciągnął rękę i krawędzią dłoni uderzył mocno w krtań trzeciego; billibottończyk zakasłał i upadł na podłogę.

Wszystko zajęło dwie sekundy. Raych stał teraz, trzymając noże w obu dłoniach.

— No, który z was chce wykonać następny ruch?

Patrzyli na niego nienawistnie, ale nie ruszali się z miejsc. Raych odezwał się raz jeszcze:

— W takim razie już pójdę.

Jednak kelner, który uciekł na zaplecze, musiał wezwać pomoc,

bo do sklepu weszło właśnie jeszcze trzech mężczyzn. Ubrani byli podobnie, najwyraźniej w mundury, choć Raych nigdy takich nie widział. Nogawki mieli wpuszczone w buty, luźne zielone podkoszulki spięte pasem, a całości dopełniały dziwne, niemal kuliste kapelusze dość komicznie zatknięte na czubkach ich głów. Na lewym rękawie każdej podkoszulki znajdowały się litery „JG”.

Wyglądali jak Dahlijczycy, ale nie mieli dahlijskich wąsów. Ich wąsy były czarne, gęste i starannie przystrzyżone na wysokości ust, lecz pozwalano im rosnąć zbyt bujnie. Raych uśmiechnął się w duchu. Tym wąsom brakowało radości życia typowej dla jego dzikiego zarostu, musiał jednak przyznać, że wyglądają czysto i schludnie.

— Jestem kapral Quinber — odezwał się przywódca grupy. — Co się tu dzieje?

Pokonani bandyci z Billibottonu gramolili się, usiłując wstać, choć widać było, że przychodzi im to z trudem. Jeden był wciąż zgięty wpół, drugi rozcierał gardło, a trzeci zachowywał się tak, jakby miał zwichnięte ramię.

Kapral przyglądał się im badawczo, a jego towarzysze blokowali drzwi. Quinber zwrócił się do Raycha — jedynego, któremu chyba nic się nie stało.

— Czy ty, chłopcze, jesteś billibottończykiem?

— Urodziłem się tu i wychowałem, ale od ośmiu lat mieszkam gdzie indziej. — Usiłował nie mówić z billibottońskim akcentem, ale i tak było go słychać, podobnie jak w mowie kaprala. Dahl poza Billibottonem miał i inne dzielnice, których mieszkańcy za wszelką cenę starali się uchodzić za szlachetnie urodzonych.

— Panowie są z sił bezpieczeństwa? — spytał chłopak. — Nie przypominam sobie mundurów, które…

— Nie jesteśmy z sił bezpieczeństwa. W Billibottonie jest niewielu ich członków. Jesteśmy strażą przyboczną Joranum i utrzymujemy tutaj porządek. Znamy tych trzech i już ich ostrzegaliśmy. Zajmiemy się nimi. To pan stanowi dla nas problem, młodzieńcze. Proszę o nazwisko i numer identyfikacyjny.

Raych podał dane.

— Co się tu wydarzyło? Opowiedział im o wszystkim.

— W jakim celu tu przebywasz?

— Momencik — rzekł Raych. — Macie prawo mnie wypytywać, skoro nie jesteście z sił bezpieczeństwa?

— Słuchaj no, radzę ci nie kwestionować naszych praw — rzucił twardo kapral. — Jesteśmy najważniejsi w Billibottonie, a mamy prawo, bo to myje stanowimy. Wierzę, że jak powiadasz, pokonałeś tych trzech mężczyzn, ale nas nie pokonasz. Nie wolno nam co prawda nosić miotaczy… — co powiedziawszy, kapral powoli wyciągnął miotacz. — A teraz gadaj, czego tu chcesz.

Raych westchnął. Gdyby udał się prosto do holu sektora, jak powinien uczynić; gdyby nie zatrzymał się, ogarnięty nostalgicznymi wspomnieniami Billibottonu i coke-icera…

— Przybyłem tu w ważnej sprawie i chcę się widzieć z panem Joranum, więc skoro, jak się zdaje, jesteście jego…

— Chcesz się widzieć z przywódcą?

— Tak, kapralu.

— Z dwoma nożami?

— Mam je dla samoobrony. Nie zamierzałem ich zabierać na spotkanie z panem Joranum.

— Teraz tak mówisz. Aresztujemy cię. Dowiemy się, czego naprawdę tu szukasz. Może zabierze to trochę czasu, ale dowiemy się.

— Przecież nie macie prawa. Nie jesteście legalnie wybra…

— Spróbuj znaleźć kogoś, kto się na to skarży. A póki co jesteś nasz. Skonfiskowano noże, a Raycha aresztowano.

15

Cleon nie był już całkiem przystojnym młodym monarchą, jak przedstawiano go na hologramach. Być może na hologramach wciąż był właśnie taki, ale lustro mówiło mu zupełnie co innego. Jego ostatnie urodziny obchodzono z tradycyjną pompą i zachowaniem rytuału, co nie zmieniało faktu, że były to urodziny czterdzieste.

Imperator nie widział nic złego w byciu czterdziestolatkiem. Cieszył się doskonałym zdrowiem. Przytył nieco, ale nie za wiele. Jego twarz pewnie wyglądałaby starzej, gdyby nie okresowe mikroregulacje, dzięki którym była niczym zakonserwowana.

Zasiadał na tronie od osiemnastu lat — już teraz było to jedno z najdłuższych panowań w tym stuleciu — i czuł, że nic nie przeszkodzi mu w zasiadaniu na nim przez następne czterdzieści, co byłoby prawdopodobnie najdłuższym okresem sprawowania władzy w historii Imperium.

Cleon raz jeszcze spojrzał w lustro i pomyślał, że wyglądałby nieco lepiej, gdyby nie aktualizował trzeciego wymiaru.

Weźmy na przykład Demerzela — godnego zaufania, wiernego, nieodzownego, nieznośnego Demerzela. On się nie zmieniał. Utrzymywał dobry wygląd i o ile było wiadomo Cleonowi, nawet nie przeprowadzał mikroregulacji. Oczywiście, Demerzel nie puszczał pary z ust w żadnej sprawie. Poza tym on nigdy nie był młody. Wcale nie wyglądał młodo, gdy zaczął służyć u ojca Cleona, kiedy to obecny imperator był jeszcze młodziutkim księciem. Teraz też nie wyglądał młodo. A może lepiej jest wyglądać staro od początku, by potem uniknąć zmiany?

Zmiana!

To przypomniało Cleonowi, że wezwał Demerzela w konkretnym celu, i to bynajmniej nie po to, by stał tu, obserwując zamyślonego imperatora. Mógłby wziąć jego zbytnie zamyślenie za przejaw starzenia się.

— Demerzelu — odezwał się.

— Słucham, panie?

— Chodzi mi o Joranum. Dość już mam wieści o nim.

— Nie ma powodu, panie, byś zaprzątał sobie nim głowę. Należy do tych zjawisk, które chwilowo wypływają na powierzchnię w wiadomościach, po czym znikają.

— A jednak on jakoś nie znika.

— Czasami, panie, trzeba nieco więcej czasu.

— A co ty o nim sądzisz, Demerzelu?

— Jest niebezpieczny i cieszy się pewną popularnością. Właśnie ta popularność zwiększa zagrożenie.

— Jeśli ty uważasz, że jest niebezpieczny, a mnie on nuży, to dlaczego musimy czekać? Czy nie można go po prostu uwięzić, stracić albo zrobić coś innego?

— Panie, sytuacja polityczna na Trantorze jest delikatna.

— Zawsze jest delikatna. Czy kiedyś mówiłeś, że jest inaczej?

— Żyjemy w trudnych czasach, panie. Na nic by się zdały radykalne kroki przeciwko niemu, gdyby pogorszyło to sytuację i zwiększyło niebezpieczeństwo.

— Nie podoba mi się to. Może nie jestem wszechstronnie oczytany, żaden imperator nie ma na to dość czasu, ale znam historię Imperium. W kilku ostatnich stuleciach zdarzały się przypadki takich, jak się ich określa, populistów, którzy przejęli władzę. Za każdym razem spychali oni panującego imperatora do roli marionetki. Nie chcę zostać marionetką, Demerzelu.

— Panie, to nie do pomyślenia, byś miał nim zostać.

— Dojdzie do tego, jeśli nic nie zrobisz.

— Podjąłem już pewne kroki, panie, ale ostrożne.

— Dobrze, że jest przynajmniej jeden człowiek, który nie jest ostrożny. Mniej więcej miesiąc temu pewien profesor uniwersytetu, profesor, bez czyjejkolwiek pomocy nie dopuścił do rozniecenia zamieszek przez joranumitów. Wkroczył między nich i ich powstrzymał.

— Właśnie tak uczynił, panie. Jak się o tym dowiedziałeś?

— Interesuję się tym profesorem. Dlaczego ty nic mi o tym nie powiedziałeś?

— A czy powinienem cię niepokoić każdym nieważnym szczegółem, który pojawia się na moim biurku? — spytał Demerzel niemal służalczo.

— Nieważnym? Tym mężczyzną, który wkroczył do akcji, był Hari Seldon.

— Rzeczywiście, tak się nazywa.

— Jego nazwisko jest mi znane. Czy to nie on kilka lat temu na Zjeździe Dziesięcioletnim przedstawił badania, które nas zainteresowały?

— Tak, panie.

Cleon wyglądał na zadowolonego.

— Jak widzisz, mam jeszcze dobrą pamięć. Nie muszę we wszystkim polegać na moich współpracownikach. Rozmawiałem z tym Seldonem o jego badaniach, czyż nie?

— Twoja pamięć, panie, rzeczywiście jest doskonała.

— Co się stało z jego pomysłem? Miał podobno pomagać w przepowiadaniu przyszłości. Moja doskonała pamięć nie podpowiada mi, jak to nazywał.

— To psychohistoria, panie. Ściśle rzecz biorąc, nie chodziło o

przepowiadanie przyszłości. Jego badania stanowią teoretyczną podbudowę określania generalnych trendów przyszłej historii ludzkości.

— I co się z nią stało?

— Nic, panie. Jak już ci kiedyś wyjaśniałem, pomysł ten okazał się całkowicie niepraktyczny. Sama idea była co prawda fascynująca, ale zarazem bezużyteczna.

— A jednak Seldon potrafił podjąć odpowiednie kroki, by nie dopuścić do zamieszek. Czy ośmieliłby się to zrobić, gdyby nie wiedział z góry, że mu się uda? Czyż nie jest to dowód na to, że ta — jak jej tam? — psychohistoria zdaje egzamin?

— Panie, to jedynie dowód na to, że Hari Seldon jest lekkomyślny. Gdyby nawet psychohistoria miała zastosowanie w praktyce, i tak nie można by jej wykorzystać wobec pojedynczej osoby czy jednostkowego wydarzenia.

— Nie jesteś matematykiem, Demerzelu. On jest. Myślę, że już czas spotkać się z nim raz jeszcze, bo do kolejnego Zjazdu Dziesięcioletniego pozostało już niewiele czasu.

— To się na nic nie zda…

— Demerzelu, pragnę z nim porozmawiać. Dopilnuj tego.

— Tak, panie.

16

Raych słuchał bardzo niecierpliwie, czego starał się nie okazywać. Siedział w głębi Billibottonu w prowizorycznej celi, do której doprowadzono go wąskimi uliczkami. Nie pamiętał już ich — on, który dawnymi czasy mógł bezbłędnie przemykać się nimi i potrafił zgubić każdego prześladowcę.

Towarzyszący mu mężczyzna, ubrany w zieleń charakterystyczną dla straży przybocznej Joranum, był misjonarzem, kimś zajmującym się praniem mózgów, albo swego rodzaju teologiem. W każdym razie przedstawił się jako Sander Nee, a swoje długie orędzie wygłosił z silnym dahlijskim akcentem, którego najwyraźniej nie mógł się pozbyć.

— Jeśli mieszkańcy Dahla pragną się cieszyć równością praw, muszą się okazać jej godni. Wymaga się jedynie postępowania według zasad, powściągliwego zachowania i przyzwoitych rozrywek. Inni, chcąc usprawiedliwić własną nietolerancję, oskarżają nas o agresywność i posiadanie noży. Musimy oczyścić się w oczach świata i…

Raych przerwał mu:

— Zgadzam się z panem, strażniku Nee, z każdym pańskim słowem… ale muszę się zobaczyć z panem Joranum.

Strażnik wolno pokręcił głową.

— To niemożliwe, póki nie uzyskasz zezwolenia na widzenie.

— Niech pan posłucha, jestem synem ważnego profesora z Uniwersytetu Streelinga, profesora matematyki.

— Nie znam żadnego profesora. O ile dobrze pamiętam, twierdziłeś, że pochodzisz z Dahla.

— Oczywiście, pochodzę.

— I masz ojczulka, który jest profesorem na wielkim uniwersytecie? To mało prawdopodobne.

— On jest moim przybranym ojcem. Strażnik potrząsnął głową.

— Znasz kogoś w Dahlu?

— Zna mnie Matka Rittah. (Była już bardzo stara, kiedy go znała. Teraz mogła być zgrzybiałą staruszką… albo nie żyć.)

— Nigdy o niej nie słyszałem.

(Kto jeszcze? Prawdopodobnie nigdy nie poznał kogoś, kto przekonałby stojącego przed nim człowieka. Jego najlepszym przyjacielem był inny młodzieniec, Smoodgie — ale w tej chwili pamiętał jedynie jego imię. Nawet zdesperowany, Raych nie mógł sobie wyobrazić, że mówi: „Czy zna pan kogoś o imieniu Smoodgie?”)

W końcu powiedział:

— Jest jeszcze Yugo Amaryl.

Jakaś maleńka iskierka rozbłysła w oczach Nee.

— Kto taki?

— Yugo Amaryl — powtórzył ochoczo Raych. — Pracuje u mojego ojczyma na uniwersytecie.

— On też pochodzi z Dahla? Czy wszyscy na tym uniwersytecie są Dahlijczykami?

— Tylko on i ja. Yugo był palaczem.

— A co robi na uniwersytecie?

— Mój ojciec zabrał go z Dahla osiem lat temu.

— No dobrze… wyślę kogoś.

Raych musiał czekać. Nawet gdyby uciekł, dokąd by się udał? Natychmiast by go złapano w zawiłych wąskich uliczkach Billibottonu.

Upłynęło dwadzieścia minut, zanim Nee wrócił z kapralem, który aresztował chłopaka. W Raycha wstąpiła pewna nadzieja; może przynajmniej ten strażnik posługiwał się mózgiem.

— Kto jest tym Dahlijczykiem, którego znasz? — spytał Quinber.

— Yugo Amaryl, palacz, którego mój ojciec znalazł tu, w Dahlu, osiem lat temu i zabrał ze sobą na Uniwersytet Streelinga.

— Dlaczego to zrobił?

— Uważał, że Yugo może robić coś ważniejszego, niż pracować w ciepłowni.

— Co na przykład?

— Zajmować się matematyką. On… Kapral uniósł dłoń.

— Na którym poziomie pracował? Raych zastanawiał się przez chwilę.

— Byłem wtedy dzieckiem, myślę jednak, że na C-2.

— Prawie zgadłeś. C-3.

— W takim razie zna go pan, kapralu?

— Nie osobiście, ale ta historia jest sławna w ciepłowniach, a ja też tam pracowałem. Może w ten sposób i ty się o tym dowiedziałeś. Masz jakiś dowód na to, że naprawdę znasz Yugo Amaryla?

— Proszę pozwolić mi powiedzieć, co chciałbym zrobić. Chcę napisać na kartce nazwisko moje i mojego ojca. A potem napiszę jedno słowo. Niech się pan skontaktuje, w jaki sposób pan chce, z jednym z oficjeli z grupy pana Joranum, który będzie jutro w Dahlu, i przeczyta moje nazwisko, nazwisko mojego ojca i to jedno słowo. Jeśli nic się nie wydarzy, zostanę tu pewnie, dopóki nie zgniję, ale nie sądzę, by tak się miało stać. Prawdę mówiąc, jestem pewien, że wydostaną mnie stąd w jednej chwili, a pan dostanie awans za przekazanie informacji. Jeśli pan odmówi, oni zaś dowiedzą się, że tu jestem, a dowiedzą się na pewno, znajdzie się pan w takich opałach jak nigdy przedtem. Skoro wie pan, że Yugo Amaryl wyjechał stąd ze znanym matematykiem, to proszę sobie wbić do głowy, że ten wielki

matematyk jest moim ojcem. Nazywa się Hari Seldon.

Z miny kaprala łatwo było wyczytać, że to nazwisko jest mu znane.

— A co to za słowo, które zamierzasz napisać? — spytał.

— Psychohistoria.

— Co to takiego? — Kapral zmarszczył brwi.

— To nieważne. Niech je pan tylko przekaże, a zobaczy pan, co się będzie działo.

Quinber podał Raychowi małą kartkę papieru wyrwaną z notesu.

— W porządku. Zapisz je i zobaczymy, co się stanie.

Raych czuł, że drży. Bardzo chciałby wiedzieć, co się stanie. Wszystko zależało od tego, z kim porozmawia kapral i jakie wrażenie wywrze na tym kimś owo magiczne słowo.

17

Hari Seldon obserwował krople deszczu na szybach imperialnego samochodu naziemnego. Nieznośnie dokuczała mu nostalgia. Zaledwie po raz drugi w trakcie ośmiu lat pobytu na Trantorze kazano mu stawić się u imperatora, na jedynym skrawku tej planety nie pokrytym kopułą — i w obu przypadkach pogoda była paskudna. Za pierwszym razem, tuż po jego przyjeździe na Trantor, okropna pogoda tylko go irytowała. Nie było to nic nowego. Przecież na jego ojczystym świecie, Helikonie, szalały burze, szczególnie na obszarze, gdzie się wychował.

Jednak teraz mieszkał od ośmiu lat na Trantorze, gdzie pogodę ustalano komputerowo, gdzie dość rzadko występującym burzom towarzyszyło wywoływane przez komputery zachmurzenie, a regularne, niezbyt obfite deszcze padały wyłącznie w nocy. Szalejące wichry zastąpiono tu zefirami, nie było też ekstremalnych upałów ani mrozów — ot, niewielkie zmiany sprawiające, że co jakiś czas rozpinało się guziki koszuli, a innym razem narzucało cienki żakiet. Pomimo tak małych zmian klimatu Seldon i tak słyszał narzekania.

Teraz jednak Hari widział prawdziwy deszcz lejący się ponuro z zimnego nieba — a nie doświadczył czegoś takiego od wielu lat — i bardzo mu się to podobało. Ten deszcz przypomniał mu o Helikonie, o młodości, o względnie beztroskich dniach. Zastanawiał się, czy zdołałby nakłonić kierowcę, by pojechał do pałacu dłuższą drogą.

Niemożliwe! Imperator chciał go widzieć, a podróż samochodem naziemnym była i tak długa, nawet jeśli jechało się najkrótszą drogą i nie tkwiło w korkach. Imperator oczywiście nie będzie czekał.

Ten Cleon był inny niż władca, którego Seldon widział przed ośmioma laty. Przytył pięć kilogramów, a w jego twarzy było coś ponurego. Skóra dokoła oczu i na policzkach była naciągnięta i Helikończyk rozpoznał rezultaty zbyt wielu mikroregulacji. W pewnym sensie Seldon współczuł Cleonowi — mimo potęgi i posiadanej władzy imperator był bezsilny wobec upływu czasu.

Cleon ponownie spotkał się z nim w cztery oczy — w tym samym pięknie umeblowanym pokoju, w którym rozmawiali po raz pierwszy. Zgodnie ze zwyczajem Seldon czekał, by go zapowiedziano.

Po kilku krótkich kurtuazyjnych zdaniach dotyczących wyglądu Helikończyka imperator odezwał się całkiem zwyczajnie:

— Miło mi pana widzieć, profesorze. Dajmy sobie spokój z ceremoniałem, jak to zrobiliśmy poprzednim razem.

— Tak, panie — powiedział sztywno Seldon. Nie zawsze bezpiecznie było zachowywać się swobodnie, tylko dlatego że imperator w przypływie dobrego humoru tak właśnie rozkazał.

Cleon skinął niedostrzegalnie i natychmiast cały pokój ożył, stół

się nakrył i zaczęła się pojawiać zastawa. Seldon, skonfundowany, nie nadążał za szczegółami.

— Zjesz ze mną, Seldon? — rzucił imperator od niechcenia. Zdanie miało formalnie intonację pytania, jednak wyczuwało się, że jest rozkazem.

— To dla mnie zaszczyt, panie — odparł. Rozejrzał się ostrożnie. Wiedział dobrze, że nie wolno było (a w każdym razie nie powinno się) zadawać imperatorowi pytań, ale nie widział innego wyjścia. Odezwał się więc raczej cicho, starając się, by zdanie nie zabrzmiało jak pytanie:

— Pierwszy Minister nie zje z nami?

— Nie — odparł Cleon. — Ma w tej chwili inne zadania, a ja życzyłem sobie porozmawiać z tobą prywatnie.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Cleon przyglądał się Seldonowi, a ten uśmiechał się nieśmiało. Imperator nie miał reputacji okrutnika czy choćby nawet człowieka nieodpowiedzialnego, a jednak mógł, przynajmniej teoretycznie, kazać aresztować Seldona pod jakimś błahym pozorem. Gdyby zaś zapragnął okazać swe wpływy, mogłoby nigdy nie dojść do rozprawy. Zawsze najlepiej jest pozostawać w cieniu, ale w tej chwili Seldonowi się to nie udało.

Oczywiście, osiem lat temu, kiedy przywieziono go do pałacu w asyście uzbrojonych strażników, było jeszcze gorzej. A jednak wcale nie uspokoiło to Helikończyka.

— Seldonie — przemówił Cleon — Pierwszy Minister jest mi wielce oddany, ale mimo to czasami czuję, że ludzie sądzą, iż nie kieruję się własnym rozumem. Ty też tak myślisz?

— Nigdy, panie — powiedział spokojnie Hari. Nie było sensu zbytnio protestować.

— Nie wierzę ci. Zapewniam cię wszakże, że kieruję się własnym rozumem. Pamiętam, że kiedy przybyłeś na Trantor, zajmowałeś się psychohistorią.

— Jestem pewien, panie, że pamiętasz również — odezwał się cicho Seldon — jak wyjaśniałem wtedy, że ta teoria matematyczna nie ma zastosowania w praktyce.

— Tak mówiłeś. I wciąż tak twierdzisz?

— Tak, panie.

— Pracowałeś nad tym zagadnieniem od tamtej pory?

— Czasami się w to bawię, ale do niczego nie doszedłem. Na nieszczęście chaos zakłóca wyniki, a przepowiadanie nie jest…

Imperator przerwał mu.

— Jest pewien konkretny problem i chciałbym, żebyś się nim zajął. Spróbuj deseru, Seldon. Jest bardzo smaczny.

— Co to za problem, panie?

— Joranum. Demerzel mówi mi — och, nadzwyczaj delikatnie —

że nie mogę aresztować tego człowieka ani użyć sił zbrojnych przeciwko jego zwolennikom. Powiada, że to by tylko pogorszyło sytuację.

— Jeśli Pierwszy Minister tak mówi, to pewnie tak jest, panie.

— Ale ja chcę się pozbyć tego Joranum… W żadnym razie nie będę jego marionetką. Demerzel tymczasem nic nie robi.

— Jestem pewien, panie, że robi co może.

— Jeżeli stara się zmniejszyć problem, to z pewnością nie informuje mnie o tym.

— Może postępuje tak, panie, gdyż pragnie uchronić cię od walki. Być może Pierwszy Minister sądzi, że jeśli Joranum… jeśli…

— Dokona przewrotu — dokończył Cleon z głęboką odrazą.

— Tak, panie. Nie byłoby mądrze okazać, że osobiście występujesz przeciwko niemu. Wasza Wysokość powinna pozostać poza wszelkimi rozgrywkami. Dla dobra zachowania trwałości całego Imperium.

— Wolałbym raczej zapewnić trwałość Imperium bez Joranum. Co proponujesz, Seldon?

— Ja, panie?

— Ty, Seldon — powtórzył niecierpliwie Cleon. — Nie wierzę ci, gdy mówisz, że psychohistoria to tylko zabawa. Demerzel przyjaźni się z tobą. Myślisz, że jestem takim idiotą, że o tym nie wiem? Oczekuje czegoś od ciebie. Oczekuje od ciebie psychohistorii, a ponieważ nie jestem głupcem, też jej od ciebie oczekuję. Seldon, czy popierasz Joranum? Mów prawdę!

— Nie, panie. Nie jestem po jego stronie. Uważam, że stanowi wielkie zagrożenie dla Imperium.

— Bardzo dobrze, wierzę ci. Wiem, że sam nie dopuściłeś, by joranumici wszczęli zamieszki na terenie uniwersytetu.

— Zachowałem się tak pod wpływem impulsu, panie.

— To możesz mówić głupcom, nie mi. Postąpiłeś tak z nakazu psychohistorii.

— Panie!

— Nie protestuj. Co chcesz zrobić z Joranum? Musisz przecież coś robić, skoro jesteś po stronie Imperium.

— Panie — zaczął ostrożnie Seldon niezbyt pewien, jak dużo wie imperator. — Wysłałem mojego syna, by spotkał się z Joranum w Sektorze Dahl.

— Dlaczego?

— Mój syn pochodzi z Dahla… poza tym to bystry obserwator. Może odkryć coś, co się nam przyda.

— Może?

— Tylko może, panie.

— Poinformujesz mnie o tym?

— Tak, panie.

— I proszę cię, Seldon, nie mów mi, że psychohistoria to tylko gra ani że nie istnieje. Nie chcę tego więcej słyszeć. Oczekuję, że zrobisz coś w sprawie Joranum. Nie potrafię powiedzieć, co to ma być, ale musisz coś zrobić. Nie mam innego wyjścia. Możesz odejść.

Seldon wrócił na Uniwersytet Streelinga w znacznie gorszym nastroju niż ten, w którym z niego wyruszał. W głosie Cleona wyczuł groźbę, że władca nie ścierpi porażki. Teraz wszystko zależało od Raycha.

18

Raych siedział w przedsionku budynku publicznego w Dahlu. Nigdy wcześniej tu nie był — nie ryzykowałby, żeby tu trafić. Prawdę mówiąc, był nieco zaniepokojony, jakby wdarł się na zastrzeżony teren.

Usiłował wyglądać naturalnie, zachowywać spokój i wzbudzać zaufanie. Ojciec powiadał, że samym wyglądem budzi zaufanie ludzi, on jednak nigdy nie był tego świadom. Jeśli wyglądał tak naturalnie, mógł teraz wszystko popsuć, zbyt usilnie starając się tak właśnie się prezentować.

Próbował się rozluźnić, obserwując urzędnika, który obsługiwał komputer. Mężczyzna nie pochodził z Dahla. Prawdę mówiąc, był to Gambol Deen Namarti. Towarzyszył Joranum w czasie spotkania, w którym uczestniczyli Seldon i Raych.

Co pewien czas Namarti rzucał Raychowi zza biurka wrogie spojrzenie. Chłopak czuł, że wcale nie wywiera dobrego wrażenia na Gambolu — ten jakoś nie chciał się na to nabrać.

Nie zamierzał odpowiadać na wrogość Namartiego przyjaznym uśmiechem. Zbyt sztucznie by to wyglądało. Po prostu czekał. I tak już daleko zabrnął. Jeśli Joranum przybędzie, jak tego oczekiwano, będzie miał szansę z nim porozmawiać.

Joranum rzeczywiście przybył, rozdając wszem i wobec swój publiczny uśmiech, ciepły i zjednujący zaufanie. Namarti podniósł dłoń i Jo-Jo zatrzymał się. Rozmawiali po cichu, a Raych obserwował ich bacznie, daremnie udając, że ich nie podsłuchuje. Jasne stało się dla niego, że Namarti sprzeciwia się spotkaniu, obruszył się więc nieco z tego powodu.

Po chwili Joranum popatrzył na Raycha, uśmiechnął się i odsunął Namartiego na bok. Chłopak doszedł do wniosku, że choć Gambol jest mózgiem zespołu, to najwyraźniej Joranum ma charyzmę.

Jo-Jo podszedł do Raycha i wyciągnął pulchną, nieco wilgotną dłoń.

— Proszę, proszę. Synalek profesora Seldona. Co słychać?

— Wszystko w porządku, proszę pana.

— Jak rozumiem, miałeś pewne kłopoty, by się tutaj dostać. — Niewielkie, proszę pana.

— I, jak sądzę, przybyłeś z wiadomością od swojego ojca. Mam nadzieję, że rozważył wszystko ponownie i postanowił dołączyć do mnie oraz mojej wielkiej krucjaty.

— Nie sądzę, proszę pana.

Joranum zmarszczył nieco brwi.

— Czyżbyś znalazł się tu bez jego wiedzy?

— Nie, proszę pana. To on mnie przysłał.

— Rozumiem. Jesteś głodny, chłopcze?

— Nie.

— W takim razie nie będzie ci przeszkadzało, jeśli będę jadł? Nie mam zbyt wiele czasu na zwykłe przyjemności życiowe — powiedział, uśmiechając się szeroko.

— Mnie to nie przeszkadza, proszę pana.

Podeszli do stołu i usiedli. Joranum zdjął opakowanie z kanapki i ugryzł ją. Jego głos był nieco stłumiony, gdy spytał:

— A dlaczego, synu, on cię tu przysłał? Raych wzruszył ramionami.

— Pewnie myślał, że zdołam dowiedzieć się czegoś, co mógłby wykorzystać przeciwko panu. Z całego serca popiera Pierwszego Ministra Demerzela.

— A ty go nie popierasz?

— Nie, panie. Ja jestem Dahlijczykiem.

— Wiem, że tak jest, cóż to jednak znaczy?

— To znaczy, że jestem człowiekiem uciskanym. Dlatego stoję po pana strome i chcę panu pomóc. Nie chciałbym oczywiście, by mój ojciec dowiedział się o tym.

— Nie ma powodu, by się dowiedział. Jak zamierzasz mi pomóc? — Joranum zerknął szybko na Namartiego, który opierając się o biurko, słuchał z założonymi rękami. Nie wyglądał przy tym na zadowolonego. — Czy wiesz coś o psychohistorii?

— Nie, proszę pana. Mój ojciec nie rozmawia ze mną na ten temat, a nawet gdyby rozmawiał, i tak bym niczego nie zrozumiał. Nie sądzę jednak, by odnosił jakieś sukcesy.

— Jesteś pewien?

— Jasne, że jestem. Pracuje z nim pewien facet, Yugo Amaryl, także Dahlijczyk, który wspomina o tym czasem. Jestem pewien, że nic się nie dzieje.

— Ach tak! Myślisz, że i ja mógłbym spotkać się niekiedy z Yugo Amarylem?

— Nie sądzę. On nie przepada za Demerzelem, ale uwielbia mojego ojca. Nie przeciwstawiłby mu się.

— A ty?

Raych wyglądał na nieszczęśliwego. Wymamrotał z uporem:

— Ja jestem Dahlijczykiem. Joranum odchrząknął.

— W takim razie pozwól, że spytam cię raz jeszcze. Jak, młody człowieku, chcesz mi pomóc?

— Chcę panu powiedzieć coś, w co być może pan nie uwierzy.

_ Doprawdy? Spróbuj. Jeśli nie uwierzę, powiem ci o tym.

— To dotyczy Pierwszego Ministra Eto Demerzela.

— Tak?

Raych rozejrzał się niespokojnie.

— Czy ktoś może mnie usłyszeć?

— Tylko Namarti i ja.

— Dobrze, więc niech pan posłucha. Ten facet, Demerzel, nie jest facetem. On jest robotem.

— Co takiego?! — wrzasnął Joranum. Raych poczuł się w obowiązku wyjaśnić:

— Robot jest mechanicznym człowiekiem. Nie należy do rodzaju ludzkiego. On jest maszyną.

Rozgorączkowany Namarti wybuchnął:

— Jo-Jo, nie wierz w to. To śmieszne.

Ale Joranum uciszył go jednym gestem. Oczy mu błyszczały.

— Dlaczego mi to mówisz?

— Mój ojciec był kiedyś w Mycogenie. Opowiedział mi wszystko o tym pobycie. W Mycogenie dużo się mówi o robotach.

— Tak, wiem, a przynajmniej słyszałem o tym.

— Mycogeńczycy wierzą, że kiedyś pośród ich przodków było wiele robotów, ale zostały wygnane.

Namarti zmrużył oczy.

— Ale dlaczego myślisz, że Demerzel jest robotem? Z tych kilku plotek, które do mnie dotarły, wynika, że roboty są zrobione z metalu, nieprawdaż?

— Tak właśnie jest — potwierdził gorliwie Raych. — Słyszałem jednak, że było kilka robotów, które wyglądały tak samo jak ludzie i żyły wiecznie…

Namarti gwałtownie pokręcił głową.

— Legendy! Śmieszne legendy! Jo-Jo, dlaczego tego słuchamy… Lecz Joranum przerwał mu szybko.

— Nie, G.D. Chcę tego posłuchać. Ja też słyszałem te legendy.

— Jo-Jo, przecież to bzdury.

— Nie mów tak pochopnie, że to bzdury. Zresztą nawet gdyby tak było, ludzie żyją i umierają z powodu bzdur. Nieważne, jak jest, ważne jest to, co ludzie myślą. Powiedz mi, młody człowieku, odkładając na bok legendy, co sprawia, że uważasz Demerzela za robota? Załóżmy, że roboty istnieją. Co takiego wiesz o Demerzelu, by sądzić, że jest robotem? Czy sam ci o tym powiedział?

— Nie — odparł Raych.

— Czy powiedział ci o tym ojciec? — spytał Joranum.

— Nie, proszę pana. Ja sam tak uważam, ale jestem tego pewien.

— Dlaczego? Co sprawia, że jesteś taki pewien?

— Coś, co jest w nim samym. Nie zmienia się. Nie starzeje. Nie okazuje emocji. Coś w nim powoduje, że wygląda, jakby był zrobiony z metalu.

Joranum usiadł na krześle i przez dłuższą chwilę przyglądał się

Raychowi. Niemal można było usłyszeć jego kłębiące się myśli. Wreszcie powiedział:

— Załóżmy, młody człowieku, że on jest robotem. Dlaczego cię to obchodzi? Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

— Oczywiście, że tak — odparł Raych. — Jestem człowiekiem. Nie chcę, by jakiś robot kierował Imperium.

Jo-Jo skinął ku Namartiemu, okazując zadowolenie.

— Słyszysz, G.D.? „Jestem człowiekiem. Nie chcę, by jakiś robot kierował Imperium". Daj go do holowizji i każ mu to powtórzyć. Niech to powtarza tak długo, aż jego słowa zapadną w pamięć każdemu mieszkańcowi Trantora…

— Hola! — rzucił Raych, łapiąc wreszcie oddech. — Nie mogę tego powiedzieć w holowizji. Nie mogę pozwolić, by mój ojciec dowiedział się…

— Nie, oczywiście, że nie — zapewnił go szybko Joranum. — Nie możemy do tego dopuścić. Użyjemy tylko samych słów. Znajdziemy jakiegoś innego Dahlijczyka. Kogoś, kto pochodzi z innego sektora, kto mówi własnym dialektem, ale przesłanie zawsze będzie to samo: „Me chcę, by jakiś robot kierował Imperium".

— A co się stanie, jeśli Demerzel udowodni, że nie jest robotem? — spytał Namarti.

— Czyżby? — powiedział Joranum. — A jak to zrobi? Niemożliwe, by to zrobił. Psychologicznie niemożliwe. Zgadzacie się? Wielki Demerzel, szara eminencja stojąca za tronem, człowiek, który przez te wszystkie lata pociągał za sznurki, sterując Cleonem I, a wcześniej jego ojcem? Czy teraz się ugnie i będzie skamlał publicznie, twierdząc, że on też jest istotą ludzką? To byłoby dla niego tak samo poniżające jak bycie robotem. G.D., mamy tego niegodziwca w sytuacji, z której się nie wywinie, a wszystko to zawdzięczamy temu oto mądremu młodzieńcowi.

Raych się zaczerwienił.

— Masz na imię Raych, prawda? — rzekł Joranum. — Kiedy nasza partia osiągnie to, co zamierza, nie zapomnimy, co dla nas zrobiłeś. Dahl będzie dobrze traktowany, a ty daleko przy nas zajdziesz. Pewnego dnia zostaniesz przywódcą tego sektora i nie pożałujesz, że tak się zachowałeś. Już teraz nie żałujesz, prawda?

— Nigdy w życiu — powiedział zapalczywie Raych.

— W takim razie dopilnujemy, byś wrócił do ojca. Przekaż mu, że nie zamierzamy go skrzywdzić i że bardzo go cenimy. Jak uzyskałeś tę informację, wymyśl sam. A jeśli dowiesz się czegoś, co mogłoby być dla nas przydatne, szczególnie o psychohistorii, daj nam znać.

— Jasne. Ale co ma pan na myśli, mówiąc, że Dahl będzie dobrze traktowany?

— Wprowadzimy równość sektorów, chłopcze. Równość światów.

Będziemy mieli całkiem nowe Imperium, które oczyścimy ze wszystkich tych starych niegodziwości spowodowanych przywilejami i nierównością.

Raych gorliwie skinął głową.

— Właśnie tego pragnę.

19

Cleon I, imperator całej Galaktyki, szedł szybkim krokiem przez galerię łączącą jego prywatne pomieszczenia w Małym Pałacu z biurami licznego personelu mieszkającego w różnych skrzydłach Pałacu Imperialnego. Za nim kroczyło kilku osobistych doradców, na których twarzach gościł wyraz najwyższej troski. Imperator nie zwykł chodzić do innych. On ich wzywał i to oni przychodzili do niego. Jeśli już się zdarzyło, że szedł dokądś, nigdy się nie spieszył ani nie okazywał emocji. Jak mógłby to robić? Jako imperator był w większym stopniu symbolem wszystkich światów niż istotą ludzką.

A jednak teraz wyglądał jak człowiek. Usuwał wszystkich z drogi niecierpliwym skinieniem prawej ręki. W lewej dłoni dzierżył pobłyskujący hologram.

— Pierwszy Minister! — rzucił niemal zdławionym głosem, tak odległym od beznamiętnego tonu, którego używał gorliwie, podejmując się obowiązków związanych z tronem. — Gdzie on jest?!

Wszyscy wysocy urzędnicy, którzy znaleźli się na jego drodze, nie mogli zrozumieć, o co chodzi. Mijał ich wściekły, sprawiając, że czuli się, jakby znaleźli się w sennym koszmarze.

Wtargnął do prywatnego biura Demerzela, dysząc nieco, i krzyknął, a właściwie wręcz wywrzeszczał:

— **Demerzel**!

Pierwszy Minister spojrzał na niego zdziwiony, po czym podniósł się, gdyż nikt nie mógł siedzieć w obecności imperatora, póki on sam mu na to nie zezwolił.

— Panie? — odezwał się.

Cleon rzucił hologram na biurko Demerzela i spytał:

— Co to jest?! Może mi to wyjaśnisz?!

Pierwszy Minister popatrzył na piękny hologram, ostry, o żywych barwach. Niemal słyszało się małego chłopca — może dziesięciolatka — wypowiadającego słowa, które widniały w podpisie: „Nie chcę, by jakiś robot kierował Imperium".

— Ja także to otrzymałem, panie — rzekł cicho.

— I kto jeszcze?

— Jestem głęboko przekonany, panie, że ta ulotka jest rozrzucana na całym Trantorze.

— Tak, a czy widzisz osobę, której przygląda się ten brzdąc? — Cleon postukał palcem wskazującym w hologram. — Czy to nie ty?

— Podobieństwo jest uderzające, panie.

— Czyżbym się mylił, przypuszczając, że intencją tej, jak ją nazywasz, ulotki jest posądzenie, że jesteś robotem?

— Właśnie taka jest jej intencja, panie.

— Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy roboty nie są legendarnymi mechanicznymi humanoidami, które można znaleźć w dreszczowcach i w bajkach dla dzieci?

— Mycogeńczycy wierzą, że roboty…

— Nie interesują mnie Mycogeńczycy ani ich wierzenia. Dlaczego ci ludzie zarzucają ci, że jesteś robotem?

— Jestem pewien, panie, że to tylko taka metafora. Chcą mnie przedstawić jako człowieka pozbawionego serca i sumienia, który kalkuluje jak maszyna.

— To jest zbyt subtelne, Demerzel. Nie jestem głupcem. — Cleon raz jeszcze popukał w hologram. — Usiłują wmówić ludziom, że naprawdę jesteś robotem.

— Chyba nie możemy temu zapobiec, panie. Jeśli ludzie chcą w to wierzyć…

— Nie możemy do tego dopuścić. To odziera z godności twój urząd. Gorzej, to odziera z godności samego imperatora. A jaki z tego wniosek? Że ja, ja wybrałem na Pierwszego Ministra mechanicznego człowieka. To nie do zniesienia. Powiedz mi, Demerzel, czy nie mamy praw, które zabraniają oczerniania urzędników Imperium?

— Tak, są takie prawa, i to dość surowe, panie. Ustanowiono je jeszcze przed wielkim Kodeksem Praw Aburamisa.

— A obrażanie samego imperatora jest karane śmiercią, czyż nie?

— Tak, panie.

— Cóż, to nie tylko oczernia ciebie, to oczernia też mnie… a ten, kto to zrobił, powinien zostać niezwłocznie stracony. Oczywiście, to sprawka Joranum, to on stoi za tym wszystkim.

— Bez wątpienia, panie, ale raczej trudno będzie to udowodnić.

— Bzdura! Mam dość dowodów! Chcę, by go stracono!

— Kłopot w tym, panie, że prawa dotyczące oczerniania nigdy nie były egzekwowane. A już na pewno nie w tym stuleciu.

— I właśnie dlatego w społeczeństwie panuje nieład, a samo Imperium drży w posadach. Prawa wciąż istnieją jedynie w kodeksach. Należy je siłą wprowadzić w życie.

— Zastanów się, panie, czy to byłoby mądre — powiedział Demerzel. — Będzie wyglądało na to, że jesteś tyranem i despotą. Twoje rządy były tak udane, gdyż postępowałeś łagodnie i łaskawie.

— Tak i zobacz, gdzie mnie to zawiodło. Niech dla odmiany, zamiast mnie kochać, zaczną się mnie bać… coś w tym stylu.

— Usilnie namawiam cię, panie, byś tak nie postępował. To może być iskra, która rozpali rebelię.

— Co w takim razie zrobisz? Staniesz przed ludem i powiesz: „Popatrzcie na mnie. Nie jestem robotem”?

— Nie, panie, ponieważ jak sam mówisz, zniszczyłoby to moją godność, a co gorsza, twoją.

— W takim razie?

— Nie jestem pewien, panie. Jeszcze nie przemyślałem tego wszystkiego.

— Jeszcze tego nie przemyślałeś? Skontaktuj się z Seldonem.

— Panie?

— Czy tak trudno zrozumieć mój rozkaz? Skontaktuj się z Seldonem!

— Życzysz sobie, panie, bym wezwał go do pałacu?

— Nie, nie ma na to czasu. Zakładam, że możesz założyć kodowany kanał, do którego nikomu nie udałoby się włamać.

— Oczywiście, panie.

— A więc zrób to. Natychmiast!

20

Seldonowi, jako człowiekowi z krwi i kości, brakowało opanowania charakterystycznego dla Demerzela. Wezwania, które dotarły do jego biura, oraz nagłe delikatne żarzenie i iskrzenie pola alarmowego wyraźnie wskazywały, że dzieje się coś niezwykłego. Już wcześniej zdarzało się, że rozmawiał z kimś, posługując się kodowanymi kanałami, ale nigdy jeszcze tajemnicy informacji nie strzegli zaufani ludzie imperatora.

Seldon oczekiwał, że jacyś urzędnicy rządowi zajmą się wszystkim w imieniu samego Demerzela. Biorąc pod uwagę narastającą powoli wrzawę wywołaną przez ulotkę, która przedstawiała go jako robota, nie spodziewał się niczego innego.

Nie spodziewał się też jednak niczego więcej. Kiedy więc do jego biura wszedł (by tak rzec) wizerunek samego imperatora, otoczony lekką poświatą pola alarmowego, Seldon aż opadł na oparcie, szeroko otworzył usta, po czym bezskutecznie usiłował wstać.

Cleon skinął na niego niecierpliwie, pokazując, by pozostał na miejscu.

— Musisz już wiedzieć, co się dzieje, Seldon.

— Czy masz, panie, na myśli to zamieszanie spowodowane przez ulotkę przedstawiającą robota?

— Właśnie to mam na myśli. Co należy zrobić? Seldon, mimo pozwolenia, wstał.

— Chodzi o coś więcej, panie. Joranum organizuje na całym Trantorze wiece na temat robota. A przynajmniej tak usłyszałem w programach informacyjnych.

— Do mnie te wiadomości jeszcze nie dotarły. Oczywiście, że nie. Po co imperator miałby wiedzieć, co się dzieje?!

— Panie, w tym wszystkim nie chodzi o imperatora. Jestem pewien, że Pierwszy Minister…

— Pierwszy Minister nic nie robi, nawet mnie nie informuje. Zwracam się do ciebie i twojej psychohistorii. Powiedz mi, co mam robić?

— Panie?

— Nie zamierzam się z tobą droczyć, Seldon. Pracowałeś nad psychohistorią osiem lat. Pierwszy Minister mówi, że nie powinienem podejmować kroków prawnych przeciwko Joranum. Co w takim razie mam robić?

— P-panie! — wyjąkał Seldon. — Nic!

— Nie masz mi nic do powiedzenia?

— Nie, panie. Nie to mam na myśli. Chciałem powiedzieć, że nie powinieneś nic robić. Nic! Pierwszy Minister ma całkowitą rację,

mówiąc, że nie powinieneś podejmować kroków prawnych. To by tylko wszystko pogorszyło.

— Doskonale. A co poprawi sytuację?

— Ty, panie, nie rób niczego. Pierwszy Minister też niech niczego nie robi. Natomiast rząd powinien pozwolić, by Joranum robił, co zechce.

— Jak to nam pomoże?

— Wkrótce się przekonamy — powiedział Seldon, starając się ukryć nutę desperacji w głosie.

Nagle imperator ochłonął, jakby opuściły go cała złość i oburzenie.

— Aha! Rozumiem! — wykrzyknął. — Panujesz nad sytuacją!

— Panie! Tego nie powiedziałem…

— Nie musisz tego mówić. Usłyszałem dostatecznie dużo. Panujesz nad sytuacją, ale ja chcę rezultatów. Wciąż mam Gwardię Imperialną i siły zbrojne. Będą wobec mnie lojalne, a jeśli dojdzie do zamieszek, nie zawaham się ich użyć. Jednak najpierw daję szansę tobie.

Holograficzny wizerunek imperatora zamigotał i zniknął, a Seldon został sam i wpatrywał się w pustą przestrzeń.

Choć od tamtej nieszczęsnej chwili, gdy wspomniał o psychohistorii na Zjeździe Dziesięcioletnim, upłynęło już osiem lat, musiał stanąć twarzą w twarz z faktem, że wciąż nie ma tego, o czym nieopatrznie mówił.

Miał jedynie… Yugo Amaryl nazwałby to intuicją.

21

W dwa dni Joranum poruszył cały Trantor, częściowo sam, głównie jednak za pośrednictwem swoich zastępców.

— Gdyby się urodził w dawnych czasach, zostałby admirałem. Marnuje się jako polityk — powiedział Hari do Dors.

— Marnuje się? — spytała Dors. — Jak wszystko pójdzie dalej w takim tempie, to w ciągu tygodnia, jeśli tylko zechce, zostanie Pierwszym Ministrem, a w ciągu dwóch — imperatorem. Już donoszą, że niektóre garnizony witają go radośnie.

Seldon pokręcił głową.

— To się załamie, Dors.

— Co? Partia Joranum czy Imperium?

— Partia Joranum. Historia o robocie wywołała pewne zamieszanie, głównie dzięki doskonałemu rozpowszechnieniu tej ulotki, ale kiedy ludzie ochłoną i wszystko przemyślą, zrozumieją, że jest to śmieszne oskarżenie.

— Ależ, Hari — powiedziała poważnie Dors — przede mną nie musisz udawać. To nie jest śmieszne oskarżenie. Jak Joranum dowiedział się, że Demerzel jest robotem?

— Ach, to! Cóż, powiedział mu o tym Raych.

— Raych!

— Tak jest. Doskonale wypełnił swoje zadanie i wrócił bezpiecznie z obietnicą zostania pewnego dnia przywódcą Sektora Dahl. Oczywiście uwierzono mu. Wiedziałem, że mu uwierzą.

— Czy to znaczy, że to ty powiedziałeś Raychowi, że Demerzel jest robotem, i wysłałeś go, by przekazał tę wiadomość Joranum? — Dors wyglądała na okropnie przerażoną.

— Nie, nie mógłbym tego zrobić. Wiesz, że nie mógłbym powiedzieć Raychowi lub komukolwiek innemu, że Demerzel jest robotem. Powiedziałem mu więc, tak stanowczo jak tylko potrafiłem, że Demerzel nie jest robotem… a nawet to nie przyszło mi łatwo. Poprosiłem go jednak, by powiedział Joranum, że jest inaczej. Raych wierzy głęboko, że okłamał Joranum.

— Ale dlaczego, Hari? Dlaczego?

— To nie psychohistoria, pozwól sobie wytłumaczyć. Nie podzielaj poglądów imperatora, który sądzi, że jestem magikiem. Chciałem jedynie, by Joranum uwierzył, że Demerzel jest robotem. Joranum urodził się w Mycogenie, więc już od dzieciństwa karmiono go ludowymi opowieściami o robotach. Dlatego zapewne uwierzył w to i jest przekonany, że ludzie uwierzą jemu.

— A myślisz, że tak się nie stanie?

— Raczej nie. Kiedy już minie pierwszy szok, zrozumieją, że to

tylko wymysł szaleńca. Przekonałem Demerzela, że musi wygłosić mowę, którą subeteryczna holowizja będzie transmitowała do kluczowych części Imperium oraz do wszystkich sektorów Trantora. Ma mówić o wszystkim, byle nie o robotach. Wszyscy wiemy, że jest dostatecznie dużo kryzysów, by miał o czym mówić. Ludzie będą tego słuchali, zamiast słuchać o robotach. A na koniec zostanie zapytany o ulotkę. Nie powinien wtedy odpowiedzieć ani słowem. Powinien jedynie się roześmiać.

— Roześmiać? Nigdy nie widziałam, by Demerzel się śmiał. On prawie nigdy się nie uśmiecha.

— Tym razem, Dors, będzie się śmiał. Nikt nigdy nie widział, by robot się śmiał. Widziałaś roboty w wymyślonych sytuacjach w holowizji, prawda? Zawsze przedstawia się je jako skrajnych realistów, istoty pozbawione uczuć, nieludzkie… Właśnie tego ludzie się spodziewają. Dlatego Demerzel powinien jedynie się roześmiać. Ale to nie koniec. Pamiętasz Władcę Słońca Czternastego, religijnego przywódcę Myco-genu?

— Oczywiście, że pamiętam. To realista, pozbawiony uczuć i nieludzki. On też się nigdy nie śmieje.

— Tym razem też nie będzie. Włożyłem wiele pracy w to, by dowiedzieć się czegoś więcej o Joranum od czasu tamtej małej walki na placu uniwersyteckim. Znam prawdziwe nazwisko Joranum. Wiem, gdzie się urodził, kim byli jego rodzice, gdzie rozpoczynał naukę, i wszystko to, udokumentowane, powędrowało do Władcy Słońca Czternastego. Nie sądzę, by Władca Słońca lubił Uciekinierów.

— Myślałam, że nie chcesz rozniecać ognia fanatyzmu.

— Nie chcę. Gdybym przekazał te informacje ludziom z holowizji, tak właśnie by się stało, ale przekazałem je Władcy Słońca.

— I to on roznieci ogień fanatyzmu?

— Oczywiście, że nie. Nikt na Trantorze nie zwróci nigdy uwagi na Władcę Słońca… bez względu na to, co on powie.

— O co ci w takim razie chodzi?

— No cóż, to właśnie zobaczymy, Dors. Nie mam psychohistorycznej analizy sytuacji. Nawet nie wiem, czy jest możliwa. Po prostu mam nadzieję, że nie mylę się w moich rachubach.

22

Eto Demerzel roześmiał się.

I to nie po raz pierwszy. Siedział z Harim Seldonem oraz Dors Venabili w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu i co kilka chwil na sygnał Hariego śmiał się. Czasami odchylał się do tyłu i śmiał hałaśliwie, ale wtedy Seldon kręcił głową.

— Nie, to nigdy nie zabrzmi przekonująco.

Tak więc Demerzel uśmiechał się, a potem śmiał z godnością, Seldon zaś tylko robił miny.

— Zatkało mnie — powiedział Helikończyk. — Nie ma sensu opowiadać ci zabawnych historyjek. Rozumiesz ich sens tylko intelektualnie. Będziesz musiał po prostu zapamiętać ten dźwięk.

— Można by użyć holograficznej ścieżki dźwiękowej — zaproponowała Dors.

— Nie! To nigdy nie będzie Demerzel. To będzie przypominało śmiech zgrai idiotycznych klakierów. Nie o to mi chodzi. Spróbuj jeszcze raz, Demerzelu.

Eto próbował tak długo, aż Hari powiedział:

— No dobrze, w takim razie zapamiętaj ten dźwięk i odtwórz go, gdy usłyszysz pytanie. Musisz wyglądać na ubawionego. Nie możesz się przecież serdecznie śmiać, mając ponurą minę. Uśmiechnij się troszkę, tylko troszkę. Cofnij kąciki ust.

Powoli usta Demerzela rozszerzyły się aż do uśmiechu.

— Nieźle. Czy możesz sprawić, żeby błyszczały ci oczy?

— Co masz na myśli, mówiąc „żeby błyszczały”? — spytała oburzona Dors. — Nikt nie potrafi zmusić oczu, żeby błyszczały. To metaforyczne wyrażenie.

— Nieprawda — rzekł Seldon. — Maleńka łezka w oku może wyrażać smutek, radość, zdziwienie, cokolwiek, a refleks światła w niej sprawia, że oczy błyszczą.

— Ty naprawdę oczekujesz, że Demerzel wytworzy łzy? Pierwszy Minister wtrącił się:

— Rzeczywiście potrafię wytworzyć łzy, by oczyścić oczy… ale nigdy w nadmiarze. Pewnie jednak, gdybym wyobraził sobie, że moje oczy są nieco podrażnione…

— Spróbuj to zrobić — poprosił Seldon. — Nic nie zaszkodzi.

I tak to przebiegło. Kiedy przemówienie w subeterycznej holowizji dobiegło końca, a słowa docierały do milionów światów z prędkością tysiąckrotnie większą od prędkości światła — słowa poważne, rzeczowe, pozbawione retorycznych ozdobników, a omawiające wszystko oprócz robotów — Demerzel sam wyraził gotowość, by odpowiedzieć na pytania.

Nie musiał długo czekać. Już pierwsze brzmiało:

— Panie Pierwszy Ministrze, czy jest pan robotem?

Demerzel wpatrywał się spokojnie w pytającego, pozwalając, by narastało napięcie. Potem uśmiechnął się nieznacznie, jego ciało zadrżało nieco i roześmiał się. Nie był to wybuch niepohamowanego śmiechu, a jedynie serdeczny śmiech kogoś, komu sprawia przyjemność czyjaś fantazja. Ten śmiech był zaraźliwy. Publiczność zachichotała, a potem zaczęła śmiać się razem z nim.

Demerzel poczekał, aż śmiech ucichnie, a potem odpowiedział z błyszczącymi oczami:

— Czy naprawdę muszę odpowiadać na to pytanie? Czy to konieczne? Wciąż się uśmiechał, gdy ekrany pociemniały.

23

— Jestem pewien, że się udało — rzekł Seldon. — Naturalnie, sytuacja nie zmieni się natychmiast. Na to potrzeba czasu. Ale sprawy przybrały właściwy obrót. Zauważyłem to już, gdy przerwałem przemówienie Namartiego na placu uniwersyteckim. Słuchacze byli po jego stronie tylko do chwili, gdy stanąłem przed nim, pokazując odważnie, że choć jestem sam, nie boję się kilku ludzi. Zgromadzeni natychmiast zaczęli przechodzić na moją stronę.

— Myślisz, że to jest analogiczna sytuacja? — spytała z powątpiewaniem Dors.

— Oczywiście. Skoro nie mam psychohistorii, mogę się posłużyć analogią… i rozumem. Pierwszego Ministra oskarżano ze wszystkich stron, a on odpowiedział uśmiechem i kpiną. Tylko ktoś, kto nie jest robotem, mógł się tak zachować, więc już samo jego zachowanie stanowiło odpowiedź. Oczywiście, sympatia przejdzie na jego stronę. Nic tego nie powstrzyma. Ale to dopiero początek. Musimy zaczekać na Władcę Słońca Czternastego i przekonać się, co będzie miał do powiedzenia.

— Czy tego też jesteś pewien?

— Całkowicie.

24

Jednym z ulubionych sportów Hariego był tenis, wolał jednak sam grać, niż obserwować, jak grają inni. Dlatego też patrzył niecierpliwie, jak imperator Cleon, ubrany w sportowy strój, przebiegł przez kort, by odbić piłkę. Właściwie był to tak zwany tenis imperialny, bo ta jego wersja stanowiła ulubioną rozrywkę imperatorów. Używano w niej komputerowej rakiety potrafiącej lekko modyfikować swój kąt oraz dającej odpowiedni nacisk na uchwyt. Hari wielokrotnie starał się wypracować sobie technikę gry, lecz perfekcyjne opanowanie komputerowej rakiety wymagało długiej praktyki, a jego czas był zbyt cenny, by tracić go na trywialną rozrywkę.

Cleon odbił decydującą piłkę tak, że nie sposób było jej odebrać, i wygrał. Opuścił kort przy wtórze oklasków obserwujących grę urzędników.

— Gratuluję, panie — odezwał się Seldon. — Grałeś wspaniale.

— Naprawdę tak uważasz, Seldon? — zapytał. — Wszyscy tak bardzo się starają, bym wygrał, że tenis nie sprawia mi już przyjemności.

— W takim razie, panie, mógłbyś rozkazać swoim przeciwnikom, by bardziej się przykładali.

— To nie pomoże. I tak będą się starali przegrać. A gdyby nawet wygrali, sprawiłoby mi to jeszcze mniejszą przyjemność niż wygrana w grze bez sensu. Stanowisko imperatora ma swoje blaski i cienie. Joranum też by to zrozumiał, gdyby kiedykolwiek udało mu się zdobyć tron.

Cleon zniknął w swej prywatnej łaźni, a kiedy wyszedł z niej po pewnym czasie, był czysty, suchy i ubrany w bardziej formalny strój.

— A teraz, Seldon — odezwał się, dając znak, by urzędnicy zostawili ich samych — skoro jesteśmy tu tylko my dwaj, a pogoda jest wspaniała, proponuję, żebyśmy nie wchodzili do budynku. Przeczytałem informację Władcy Słońca Czternastego o tym Mycogeńczyku. Czy to wystarczy?

— W zupełności, panie. Jak czytałeś, Joranum został ogłoszony Uciekinierem i oskarża się go o najpoważniejsze bluźnierstwo.

— Czy to wystarczy, by z nim skończyć?

— To strasznie osłabi jego pozycję, panie. W tej chwili pozostało już niewielu, którzy wierzą w tę szaloną historyjkę, jakoby Pierwszy Minister był robotem. Co więcej, Joranum jest postrzegany jako kłamca i pozer, gorzej: jako ten, którego przyłapano na kłamstwie.

— Przyłapano go, tak — powtórzył zamyślony Cleon. — Masz na myśli, że cios zadany z ukrycia dowodzi sprytu i można go podziwiać,

ale dać się na tym przyłapać to już głupota i tego się nigdy nie podziwia.

— Zwięźle to ująłeś, panie.

— W takim razie Joranum nie stanowi już zagrożenia.

— Nie możemy być tego pewni, panie. Nawet teraz może się jeszcze podnieść. Wciąż ma swoją organizację, a niektórzy z jego wyznawców pozostali mu wierni. Historia dostarcza nam przykładów mężczyzn i kobiet, którzy wrócili na scenę pomimo upadku tak wielkiego jak ten… a nawet większego.

— W takim razie pozwól nam go zgładzić, Seldon. Helikończyk pokręcił głową.

— Nie oczekuj ode mnie takiej rady, panie. Nie jest ci potrzebny męczennik, a ty nie możesz być uważany za despotę.

Cleon zmarszczył brwi.

— Teraz już gadasz jak Demerzel — powiedział. — Za każdym razem, gdy chcę podjąć radykalne działania, mamrocze słowo „despota". Bywali przede mną imperatorzy, którzy działali radykalnie, a mimo to podziwiano ich i uważano za władców silnych i zdecydowanych.

— Niewątpliwie, panie, ale żyjemy w niebezpiecznych czasach. Nie potrzebujemy żadnej egzekucji. Możesz, panie, osiągnąć swój cel tak, by jednocześnie wyglądać na oświeconego i życzliwego.

— Wyglądać na oświeconego?

— Być władcą oświeconym, panie. Przejęzyczyłem się. Egzekucja Joranum byłaby zemstą, a to mogłoby zostać odebrane jako podłość. Jednakże jako imperator masz, panie, pobłażliwe, a nawet ojcowskie podejście do wierzeń całego twego ludu. Nie robisz żadnych różnic, bo jesteś imperatorem wszystkich.

— O czym ty mówisz?

— Uważam, panie, że Joranum świadomie obraził uczucia Mycogeńczyków, a ty jesteś przerażony tym świętokradztwem, gdyż urodził się jako jeden z nich. Cóż lepszego możesz uczynić, niż przekazać go Mycogenczykom i pozwolić, by się nim zajęli? Zyskasz uznanie, okazując troskę właściwą imperatorowi.

— Czy w takim razie egzekucji dokonają Mycogeńczycy?

— Mogą to zrobić, panie. Ich prawa dotyczące bluźnierstw są niezwykle surowe. W najlepszym razie zostanie skazany na dożywotnie więzienie i ciężkie roboty.

Cleon uśmiechnął się.

— Bardzo dobrze. Mnie obdarzą zaufaniem za humanitaryzm i tolerancję, a sami wykonają brudną robotę.

— Zrobiliby to, panie, gdybyś rzeczywiście przekazał im Joranum. Ale w ten sposób i tak zostanie męczennikiem.

— Znów nie wiem, o co ci chodzi. Co mam zrobić?

— Pozostaw Joranum wybór. Ogłoś, że wzgląd na dobro wszystkich mieszkańców Imperium nakazuje ci przekazać go Mycogenczykom, by go osądzili, ponieważ jednak jesteś władcą humanitarnym, obawiasz się, że mogą z nim postąpić zbyt surowo. Dlatego jako alternatywę będzie mógł wybrać zesłanie na Nishaya, mały i odosobniony świat, z którego, jak sam twierdził, pochodzi. Tam spędzi resztę życia w zapomnieniu i spokoju. Oczywiście, dopilnujesz, by pozostawał pod strażą.

— I to rozwiąże problem?

— Z pewnością. Joranum popełniłby samobójstwo, gdyby wybrał powrót do Mycogenu, a on nie wygląda mi na kogoś, kto chciałby popełnić samobójstwo. Na pewno wybierze Nishaya i chociaż postąpi rozsądnie, nie będzie uważany za bohatera. Jako uchodźca na Nishaya nie będzie mógł zostać przywódcą żadnego spisku mającego na celu przejęcie władzy w Imperium. Jego zwolennicy pójdą w rozsypkę. Poszliby za fanatycznym męczennikiem świętej sprawy, jednak doprawdy trudno byłoby im popierać tchórza.

— Zdumiewające! Jak zdołałeś tego dokonać, Seldon? — W głosie Cleona brzmiała wyraźna nuta podziwu.

— No cóż, rozsądne wydawało mi się założenie…

— Nieważne — przerwał mu raptownie Cleon. — Nie sądzę, żebyś wyjawił mi prawdę ani żebym ją zrozumiał, nawet gdybyś mi powiedział, ale oświadczam ci jedno: Demerzel opuszcza swoje stanowisko. Ten ostatni kryzys dowiódł, że przerasta jego siły, dlatego zgadzam się

z nim, że nadszedł czas, by przeszedł na emeryturę. Jednak nie mogę działać bez Pierwszego Ministra i dlatego od tej chwili ty obejmujesz to stanowisko.

— Panie! — wykrzyknął Seldon, zdumiony i przerażony zarazem.

— Pierwszy Ministrze Hari Seldonie — powiedział spokojnie Cleon. — Imperator tego sobie życzy.

25

— Nie denerwuj się — powiedział Demerzel. — Ja to zasugerowałem. Byłem tu za długo, a następstwa kryzysu osiągnęły taki stopień, że uwzględnianie Trzech Praw paraliżowało mnie. Jesteś najodpowiedniejszym następcą.

— Wcale nie jestem odpowiednim następcą — zaprotestował gorąco Seldon. — Co ja wiem o zarządzaniu Imperium? Imperator naiwnie sądzi, że rozwiązałem kryzys za pomocą psychohistorii. Jest oczywiste, że tak nie było.

— To bez znaczenia, Hari. Skoro on wierzy, że znalazłeś psychohistoryczną odpowiedź, chętnie będzie słuchał twoich rad, a to wystarczy, byś był dobrym Pierwszym Ministrem.

— On może mnie doprowadzić do zguby.

— Jestem przekonany, że twoje wyczucie — lub też intuicja — pozwolą ci dojść do celu… z psychohistorią czy bez niej.

— Ale co poczną bez ciebie, Daneelu?

— Dziękuję, że tak mnie nazywasz. Nie jestem już Demerzelem, jestem tylko Daneelem. A jeśli chodzi o to, co poczniesz beze mnie… Przypuśćmy, że spróbujesz wprowadzić w życie niektóre z idei Joranum, te dotyczące równości i sprawiedliwości społecznej. On pewnie nie myślał o nich poważnie, prawdopodobnie wykorzystywał je jako hasła propagandowe, by pozyskać zwolenników, ale same w sobie te idee nie są złe. I zastanów się, jak Raych mógłby ci w tym pomóc. Lgnie do ciebie pomimo zauroczenia ideami Joranum i pewnie musi się czuć rozdarty, a może nawet czuje się zdrajcą. Pokaż mu, że tak nie jest. A na dodatek będziesz mógł jeszcze intensywniej pracować nad psychohistorią, gdyż imperator będzie ci oddany sercem i duszą.

— A ty, Daneelu? Co będziesz robił?

— Przede mną są inne zadania w Galaktyce. Jest jeszcze Prawo Zerowe, a ja muszę pracować dla dobra ludzkości tak długo, aż dowiem się wreszcie, co to oznacza. I jeszcze jedno, Hari…

— Tak, Daneelu?

— Wciąż masz Dors. Seldon pokiwał głową.

— Tak, wciąż mam Dors. — Zamilkł na chwilę, a potem mocno ujął dłoń Daneela. — Żegnaj, przyjacielu.

— Żegnaj, Hari — odparł Daneel.

Robot odwrócił się, a ciężka szata Pierwszego Ministra szeleściła, gdy wychodząc z wysoko uniesioną głową, oddalał się pałacowym korytarzem.

Daneel zniknął, a Seldon stał nieruchomo przez kilka minut zatopiony w myślach. Nagle ruszył w kierunku apartamentu

Pierwszego Ministra. Musiał coś jeszcze powiedzieć Daneelowi — coś najważniejszego.

Zawahał się na delikatnie oświetlonym korytarzu, nim wszedł do pomieszczenia. Ale nikogo w nim nie było. Ciemna szata leżała rozpostarta na krześle. Komnaty Pierwszego Ministra powtórzyły echem ostatnie słowa Hariego skierowane do robota: „Żegnaj, przyjacielu”. Eto Demerzela nie było; R. Daneel Olivaw zniknął.

Rozdział II
Cleon I

CLEON I — (…) Pomimo wielu panegiryków na cześć ostatniego imperatora, podczas rządów którego Pierwsze Imperium Galaktyczne było zjednoczone oraz dość zamożne, ćwierćwiecze panowania Cleona I to okres postępującego Upadku. Błędny byłby pogląd, że odpowiedzialność spoczywa bezpośrednio na imperatorze, na Upadek Imperium złożyły się bowiem przyczyny polityczne i ekonomiczne zbyt poważne, by jeden człowiek mógł sobie z nimi poradzić. Szczęśliwie wybierał on Pierwszych Ministrów — Eto Demerzela, a następnie Hariego Seldona, twórcę psychohistorii, w której rozwój nigdy nie zwątpił. Cleon i Seldon jako cele ostatniego spisku joranumitów, mającego dziwne zakończenie (…)

Encyklopedia Galaktyczna

1

Mandell Gruber był szczęśliwym człowiekiem, a z pewnością wyglądał na takiego Hariemu Seldonowi, który zatrzymał się podczas porannej przechadzki dla zdrowia, by mu się przyjrzeć.

Grubera — prawdopodobnie dobiegającego pięćdziesiątki, a zatem kilka lat młodszego od Helikończyka — przygarbiła nieco wieloletnia praca na terenie Pałacu Imperialnego, miał jednak radosną, gładko ogoloną twarz zwieńczoną różową skórą czaszki, której tylko niewielką część pokrywały rzadkie jasne włosy. Pogwizdywał sobie cicho, sprawdzając liście krzewów w poszukiwaniu choćby śladu inwazji insektów. Oczywiście, nie był Naczelnym Ogrodnikiem, gdyż stanowisko to należało do wysoko postawionego urzędnika, którego biuro znajdowało się w jednym z budynków olbrzymiego kompleksu imperialnego i który dowodził całą armią mężczyzn oraz kobiet. Nie zdarzało się, by Naczelny Ogrodnik osobiście przeprowadzał inspekcję terenów pałacowych częściej niż raz lub dwa razy w roku.

Gruber był tylko jednym z pionków tej armii. Seldon wiedział, że jest Ogrodnikiem Pierwszego Stopnia, a na awans zasłużył trzydziestoma latami wiernej służby.

Zatrzymawszy się na doskonale utrzymanej żwirowej ścieżce, zawołał:

— Jeszcze jeden cudowny dzień, prawda, Gruber? Gruber spojrzał w górę i zamrugał.

— W rzeczy samej, Pierwszy Ministrze. Współczuję tym, którzy muszą tłoczyć się w zamknięciu.

— Myślisz, że i mnie to czeka.

— Pan, Pierwszy Ministrze, nie powinien się tak przejmować innymi, ale skoro znika pan w tych budynkach w dzień taki jak dziś, to tych kilku szczęśliwców, którzy nie muszą tam być, współczuje panu.

— Dziękuję za wyrazy współczucia, Gruber, wiesz jednak, że mamy pod kopułami czterdzieści miliardów Trantorczyków. Współczujesz im wszystkim?

— W rzeczy samej, współczuję. Jestem wdzięczny, że nie pochodzę z Trantora i dlatego mogłem się tu przydać jako ogrodnik. Na tym świecie pozostało niewielu ludzi, którzy pracują na otwartej przestrzeni, ale ja jestem wśród tych nielicznych wybrańców losu.

— Pogoda nie zawsze jest taka idealna.

— To prawda. Pracowałem już tu w czasie ulewy i przy porywistym wietrze. A mimo to, jeśli tylko ubrać się odpowiednio… Niech pan popatrzy… — Gruber rozłożył ramiona tak szeroko, jak się

uśmiechał, jakby chciał objąć olbrzymie połacie terenów pałacowych. — Mam przyjaciół: drzewa, trawniki i wszelkie gatunki zwierząt, którzy dotrzymują mi towarzystwa. Czy w ogóle widział pan kiedyś, Pierwszy Ministrze, taką geometrię terenów?

— Patrzę na nią teraz, nieprawdaż?

— Chciałem powiedzieć, że tereny są obecnie piękniejsze, niż zaplanowano, więc naprawdę można się nimi cieszyć. Zaplanował je Tapper Savand ponad sto lat temu, a od tamtej pory zmieniły się nieco. Tapper był doskonałym ogrodnikiem, najlepszym… i pochodził z mojej planety.

— Z Anakreonu, tak?

— W rzeczy samej. To odległy świat leżący niemal na skraju Galaktyki, gdzie przyroda jest wciąż dzika, a życie bywa słodkie. Przybyłem tu, mając jeszcze mleko pod nosem, kiedy obecny Naczelny Ogrodnik objął to stanowisko za czasów starego imperatora. Oczywiście, teraz mówi się o ponownym zaprojektowaniu terenów. — Gruber westchnął głęboko i pokręcił głową. — To byłby błąd. Są dokładnie takie jak należy: proporcjonalne, cieszą oko i duszę. Jednak prawdą jest, że w przeszłości czasami zmieniano ich projekt. Imperatorów nudzi stare i wciąż poszukują czegoś nowego, jak gdyby to nowe zawsze miało oznaczać lepsze. Nasz obecny imperator, niech żyje długo, razem z Naczelnym Ogrodnikiem zamierzają zaprojektować je od nowa. A przynajmniej informacja taka krąży pośród ogrodników. — Ostatnie słowa wypowiedział szybko, jakby zawstydzony powtarzaniem pałacowych plotek.

— Może nie nastąpi to tak szybko.

— Mam nadzieję, że nie, Pierwszy Ministrze. Proszę, jeśli znajdzie pan choć chwilę po wyczerpujących zajęciach, niech pan przyjrzy się dokładniej projektowi terenów. Są nadzwyczajnej piękności i gdyby to ode mnie zależało, nie pozwoliłbym usunąć z tych setek kilometrów kwadratowych choćby jednego listka, kwiatka czy królika.

Seldon uśmiechnął się.

— Jest pan niezwykle oddanym człowiekiem, Gruber. Nie zdziwiłbym się, gdyby pewnego dnia został pan Naczelnym Ogrodnikiem.

— Oby los uchronił mnie przed tym. Naczelny Ogrodnik nie oddycha świeżym powietrzem, nie widzi naturalnych widoków i zapomina o wszystkim, czego nauczył się o naturze. Mieszka tam — Gruber wskazał pogardliwie — i sądzę, że nie odróżniłby już nawet krzewu od strumienia, chyba że któryś z jego podwładnych wyprowadziłby go z pałacu i umieścił jego dłoń na krzewie lub zanurzył ją z strumieniu.

Przez chwilę wyglądało na to, że mężczyzna wyrzuci z siebie swą pogardę, ale nie potrafił znaleźć żadnego miejsca, w którym

ośmieliłby się splunąć.

Seldon roześmiał się cicho.

— Gruber, dobrze jest z tobą porozmawiać. Kędy upadam pod ciężarem codziennych obowiązków, przyjemnie jest posłuchać przez kilka chwil twojej filozofii życia.

— Ach, Pierwszy Ministrze, nie jestem filozofem. Moje wykształcenie było dość pobieżne.

— Nie trzeba mieć wykształcenia, żeby być filozofem. Wystarczy aktywny umysł i życiowe doświadczenie. Dbaj o siebie, Gruber. Mógłbym cię awansować.

— Byłbym panu dozgonnie wdzięczny, Pierwszy Ministrze, gdyby pozostawił mnie pan tu, gdzie jestem.

Seldon uśmiechał się, odchodząc, ale uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy powrócił myślami do bieżących problemów. Był Pierwszym Ministrem od dziesięciu lat… i gdyby Gruber wiedział, jak serdecznie dość miał swojego stanowiska, jego współczucie urosłoby niebotycznie. Czy ogrodnik potrafiłby pojąć, iż postęp, jaki Seldon osiągnął w technikach psychohistorii, wskazywał, że wkrótce stanie przed dylematem nie do rozwiązania?

2

Spacer zamyślonego Seldona przez tereny pałacowe był typowym przykładem spokojnego życia. Aż trudno było uwierzyć, że tu, w samym sercu siedziby imperatora, znajdował się w świecie, z wyjątkiem ogrodów, całkowicie przykrytym kopułami. Tu, w tym właśnie miejscu, mógłby znajdować się na swym rodzinnym Helikonie albo na rodzinnej planecie Grubera — Anakreonie.

Oczywiście, wrażenie spokoju, które mu towarzyszyło, było złudne. Tereny były strzeżone — zapełniały je straże.

Kiedyś, tysiąc lat temu, tereny Pałacu Imperialnego — o wiele mniej luksusowe i o wiele mniej różniące się od świata, który dopiero zaczynał przykrywać kopułami poszczególne regiony — były otwarte dla wszystkich mieszkańców, a imperator mógł spacerować alejkami bez obstawy i pozdrawiać obywateli.

Tak było kiedyś. Teraz miejsca tego pilnowała Gwardia Imperialna, więc nikt, nawet Trantorczycy, nie mógł tu wejść. Mimo to niebezpieczeństwo nie zniknęło. Jeśli się pojawiało, skoro już o tym mowa, nadchodziło ze strony niezadowolonych urzędników Imperium oraz przekupnych i niesubordynowanych żołnierzy. To właśnie na terenach pałacowych imperator i jego współpracownicy narażeni byli na największe niebezpieczeństwo. Co bowiem stałoby się, gdyby dziesięć lat temu Seldonowi nie towarzyszyła przypadkowo Dors Venabili?

Nie upłynął jeszcze rok od chwili, gdy został Pierwszym Ministrem, więc było całkiem naturalne, jak sądził (po fakcie), że jego nieoczekiwana nominacja wzbudzi u wielu zazdrość. Wielu innych, znacznie lepiej przygotowanych — przez lata służby i przede wszystkim, we własnych oczach — przyjęło ją z gniewem. Nie wiedzieli o psychohistorii ani o wadze, jaką przykładał do niej imperator, więc uważali, że najłatwiej zmienią sytuację, przekupując któregoś z zaciekłych wrogów Pierwszego Ministra.

Dors musiała być bardziej podejrzliwa niż Seldon. A może inaczej, ze zniknięciem Demerzela ze sceny instrukcje, jakie otrzymała w sprawie chronienia Seldona, zostały zaostrzone. Prawda była taka, że przez pierwsze lata jego ministrowania niemal bez przerwy znajdowała się u jego boku.

Późnym popołudniem pewnego ciepłego słonecznego dnia Dors zauważyła błysk zachodzącego słońca — słońca, którego nigdy nie widywano pod kopułą Trantora — na metalu miotacza.

— Na ziemię, Hari! — krzyknęła nagle i już biegła ku sierżantowi. — Daj mi ten miotacz, sierżancie — zażądała stanowczo.

Niedoszły zabójca, który znieruchomiał na chwilę, widząc

biegnącą ku niemu kobietę, zareagował szybko, podnosząc odbezpieczony miotacz.

Ale ona już była przy nim; zacisnęła dłoń w stalowym uchwycie na prawym nadgarstku mężczyzny i podniosła wysoko jego rękę.

— Rzuć to — wycedziła przez zaciśnięte zęby. Sierżant skrzywił się, usiłując wyrwać rękę.

— Nie próbuj, sierżancie — rzuciła Dors. — Moje kolano jest trzy cale od twojej pachwiny, więc jeśli choćby mrugniesz okiem, to po genitaliach zostanie ci tylko wspomnienie. Radzę, żebyś się nie ruszał. O, właśnie tak. W porządku, teraz otwórz dłoń. Jeśli natychmiast nie rzucisz miotacza, roztrzaskam ci ramię.

Jakiś ogrodnik podbiegł z grabiami. Dors skinęła, by się odsunął. Sierżant rzucił miotacz na ziemię. Seldon podszedł do nich.

— Zajmę się nim — powiedział do Dors.

— Nie, nie zajmiesz się. Weź miotacz i ukryj się wśród tamtych drzew. W to mogą być zamieszani inni, gotowi do ataku.

Dors nie rozluźniła uścisku na przegubie gwardzisty.

— A teraz, sierżancie, podasz mi nazwisko osoby, która namówiła cię do dokonania zamachu na Pierwszego Ministra… a także nazwiska innych spiskowców.

Mężczyzna milczał.

— Nie bądź głupcem — odezwała się Venabili. — Mów! — Wykręciła mu rękę tak, że aż ukląkł, i postawiła but na jego karku. — Jeśli będziesz milczał, zmiażdżę ci krtań i zamilkniesz na zawsze. A jeszcze wcześniej połamię ci wszystkie kości. Lepiej mów.

Sierżant przemówił.

— Jak mogłaś zrobić coś takiego, Dors? — spytał później Seldon. — Nigdy bym nie uwierzył, że jesteś zdolna do takiej… przemocy.

— Tak naprawdę wcale go nie skrzywdziłam, Hari — odparła chłodno Dors. — Wystarczyło mu pogrozić. W każdym razie twoje bezpieczeństwo było najważniejsze.

— Powinnaś mi pozwolić się nim zająć.

— Dlaczego? By ocalić twoją męską dumę? Po pierwsze, nie byłbyś dostatecznie szybki. Po drugie, jesteś mężczyzną, więc można byłoby przewidzieć, co zrobisz. Ja jestem kobietą, a w powszechnym mniemaniu kobiety nie są tak okrutne jak mężczyźni i generalnie rzecz biorąc, nie mają dość siły, by zrobić to, co ja zrobiłam. Ta historia zostanie rozdmuchana i wszyscy będą się mnie bać. Nikt nie ośmieli się tknąć ciebie z obawy przede mną.

— Z obawy przed tobą i przed egzekucją. Wiesz, że ten sierżant i jego drużyna muszą zostać zgładzeni.

Na te słowa pogodna zazwyczaj twarz Dors spochmurniała, jak gdyby nie mogła znieść myśli, że zdrajca zostanie stracony, choć mógł bez namysłu zabić jej ukochanego Hariego.

— Przecież — wykrzyknęła — nie trzeba zabijać konspiratorów! Wystarczy ich uwięzić!

— Nie, nie wystarczy — odparł Seldon. — Jest za późno. Cleon nie zechce słyszeć o niczym innym niż egzekucja. Jeśli chcesz, mogę go zacytować.

— Uważasz, że on już podjął decyzję?

— Natychmiast. Powiedziałem mu, że wystarczyłoby więzienie lub wygnanie, ale odparł „nie". Stwierdził: „Za każdym razem, gdy próbuję rozwiązać problem za pomocą odpowiednio silnych środków, najpierw Demerzel, a teraz ty mówisz o «despotyzmie» i «tyranii». Ale to jest m oj pałac. To są moje tereny. To są moi strażnicy. Moje bezpieczeństwo zależy od bezpieczeństwa tego miejsca i lojalności moich ludzi. Myślisz, że jakiekolwiek naruszenie absolutnej lojalności zasługuje na coś innego niż natychmiastowa śmierć? Co innego zapewni nam bezpieczeństwo? Jak mógłbym się czuć bezpieczny?" Powiedziałem wtedy, że musi być jakaś rozprawa. „Oczywiście — odparł — krótki sąd wojskowy i nie spodziewam się, że ktokolwiek będzie głosował inaczej niż za karą śmierci. Dopilnuję, żeby to było jasne dla wszystkich".

Dors wyglądała na przerażoną.

— Przyjmujesz to bardzo spokojnie. Czyżbyś podzielał zdanie imperatora?

— Podzielam — przyznał niechętnie Seldon.

— Czy dlatego, że był to zamach na twoje życie? Porzuciłeś swoje zasady na rzecz zwykłej zemsty?

— Nie jestem mściwy, Dors. Ale nie tylko ja byłem zagrożony czy nawet imperator. Jeśli jest coś, co pokazuje nam historia Imperium, to to, że imperatorzy przychodzą i odchodzą. To psychohistorię należy chronić. Niewątpliwie, nawet jeśli coś mi się stanie, psychohistoria i tak pewnego dnia zostanie rozwinięta, ale Imperium szybko chyli się ku upadkowi, więc nie możemy czekać… a tylko ja posunąłem się na tyle w badaniach, by zdążyć opracować konieczne techniki.

— W takim razie powinieneś nauczyć tego, co wiesz, innych — stwierdziła poważnie Dors.

— Robię to. Yugo Amaryl jest odpowiednim następcą, zebrałem też grupę techników, którzy pewnego dnia przydadzą się, chociaż nie będą tak… — Umilkł.

— Dobrzy jak ty: tak mądrzy, tak pojętni? Naprawdę?

— Przypadkowo tak myślałem — rzekł Seldon. — I przypadkowo jestem człowiekiem. Psychohistoria jest moja, więc jeśli kiedyś uporam się z nią, to chcę sobie przypisywać tę zasługę.

— Człowiek — westchnęła Dors, kręcąc głową ze smutkiem. Przeprowadzono egzekucje. Takiej czystki nie widziano od ponad stu lat. Dwóch ministrów, pięciu urzędników niższego szczebla i czterech

żołnierzy, w tym również nieszczęsny sierżant, zostało straconych. Każdy anarchista, który nie wytrzymał presji ostrych przesłuchań, został zwolniony ze służby i zesłany do najodleglejszych Światów Zewnętrznych.

Od tamtej pory nie słyszało się już o nielojalności, a troska, z jaką strzeżono Pierwszego Ministra, była tak znana, nie wspominając już o „Tygrysicy" — jak wielu nazywało przerażającą kobietę, która go chroniła — że Dors nie musiała mu dłużej wszędzie towarzyszyć. Jej niewidoczna obecność stała się wystarczającą osłoną, a imperator Cleon cieszył się niemal dziesięcioletnim okresem spokoju i absolutnego bezpieczeństwa.

Teraz jednakże psychohistoria osiągnęła taki stopień rozwoju, że możliwe stawały się przewidywania oparte na jej zasadach. Idąc ze swego biura, gdzie był Pierwszym Ministrem, do swej pracowni, gdzie był psychohistorykiem, Seldon miał niepokojące wrażenie, że okres niezakłóconego spokoju dobiegł końca.

3

Hari Seldon nie potrafił ukryć wzbierającej satysfakcji, którą odczuwał, wkraczając do swego laboratorium.

Wszystko tak bardzo się zmieniło.

Zaczęło się to dwadzieścia lat temu od nieporadnych szkiców w jego podłym helikońskim komputerze. To właśnie wtedy przyszły mu do głowy pierwsze niejasne pomysły, które miały się zamienić w parachaotyczną matematykę.

A potem spędził kilka lat na Uniwersytecie Streelinga, gdzie wraz z Yugo Amarylem pracowali, usiłując zrenormalizować równania, pozbyć się niewygodnych nieskończoności i znaleźć sposób na ominięcie najgorszych efektów chaotycznych. Zrobili wtedy bardzo niewielki krok naprzód.

Teraz, po dziesięciu latach sprawowania urzędu Pierwszego Ministra, miał całe piętro komputerów najnowszej generacji i cały zespół ludzi pracujących nad różnorodnymi problemami.

Jeśli nie było potrzeby, żaden z tych ludzi — oczywiście oprócz Seldona i Yugo — nie wiedział zbyt wiele o niczym poza problemem, którym się zajmował. Każdy z nich pracował tylko nad małym parowem czy wyłaniającym się pagórkiem gigantycznego pasma górskiego psychohistorii, a tylko Seldon i Amaryl potrafili objąć wzrokiem całe to pasmo — choć nawet oni widzieli je niezbyt wyraźnie, gdyż jego szczyty kryły się w chmurach, a stoki spowite były mgłą.

Dors Venabili oczywiście miała rację. Helikończyk powinien zacząć wtajemniczać swych współpracowników. Technika psychohistorii rozwijała się tak dobrze, że potrzeba było więcej niż dwóch ludzi, którzy by się nią zajmowali. Poza tym Seldon się starzał. Jeśli nawet mógł się spodziewać, że pożyje jeszcze kilkadziesiąt lat, i tak najbardziej owocne lata miał już z pewnością za sobą.

Nawet Amaryl skończy za miesiąc trzydzieści dziewięć lat i choć wciąż młody, nie jest zbyt młody jak na matematyka — przecież zajmował się psychohistorią niemal tak długo jak Seldon. Jego zdolność nowatorskiego i niekonwencjonalnego myślenia także mogła maleć.

Amaryl dostrzegł wchodzącego Seldona i podszedł do niego. Helikończyk obserwował go z zadowoleniem. Yugo, podobnie jak przybrany syn Seldona Raych, był Dahlijczykiem, a jednak mimo muskularnej sylwetki i niskiego wzrostu wcale na Dahlijczyka nie wyglądał. Nie nosił wąsów, w jego mowie nie wyczuwało się obcego akcentu, a wyglądało na to, że brakowało mu też innych cech Dahlijczyków. Był nawet odporny na urok Jo-Jo Joranum, który tak

bardzo spodobał się mieszkańcom Dahla.

Wszystko wskazywało na to, że Amaryl nie kierował się patriotyzmem sektora, patriotyzmem planetarnym ani nawet imperialnym. Należał — duszą i ciałem — do psychohistorii.

Seldon czuł tu pewien niedostatek. Pierwsze dwadzieścia lat życia spędził na Helikonie i nie potrafił myśleć o sobie inaczej niż jako o Helikończyku. Zastanawiał się, czy ta świadomość nie przeszkodzi mu w podstępny sposób i nie wypaczy jego przemyśleń dotyczących psychohistorii. Z punktu widzenia jej użycia byłoby idealnie, gdyby człowiek parający się psychohistorią stał ponad światami i sektorami i zajmował się sprawami ludzkości, abstrahując od jednostek — a właśnie tak postępował Amaryl.

Seldon, wzdychając cicho, przyznał, że tego nie potrafi.

— Uważam, że robimy postępy, Hari — powiedział Amaryl.

— Tak uważasz, Yugo? Tylko uważasz?

— Nie chcę skakać w przestrzeń kosmiczną bez skafandra. — Wypowiedział te słowa całkiem poważnie (Seldon wiedział, że nie odznacza się poczuciem humoru). Przeszli do ich prywatnego biura, małego, lecz dobrze chronionego.

Amaryl usiadł, skrzyżował nogi i powiedział:

— Twój najnowszy plan uniknięcia chaosu może częściowo zadziałać, oczywiście kosztem dokładności wyniku.

— Oczywiście. To, co zyskamy poprzez uproszczenie, stracimy, idąc okrężną drogą. Tak właśnie działa wszechświat. Musimy go jakoś przechytrzyć.

— Już go nieco przechytrzyliśmy. To przypomina patrzenie przez zamarzniętą szybę.

— Lepsze to niż patrzenie całymi latami przez ołowianą zasłonę. Amaryl wymamrotał coś pod nosem, po czym powiedział:

— Możemy złapać przebłyski światła i ciemności.

— Wyjaśnij to!

— Nie potrafię, ale mam Pierwszy Radiant, którym zajmowałem się jak…jak…

— Pewnie chcesz powiedzieć: jak lama. To zwierzę… zwierzę juczne. Mamy je na Helikonie. Natomiast nie żyją na Trantorze.

— Jeśli ta lama pracuje ciężko, to moją pracę nad Pierwszym Radiantem można porównać do jej pracy.

Amaryl nacisnął płytkę zabezpieczającą na blacie biurka i szuflada otworzyła się bezszelestnie. Wyjął ciemny, nieprzezroczysty sześcian, a Seldon obejrzał go uważnie. Sam również pracował nad obwodami Pierwszego Radianta, jednak to Amaryl złożył urządzenie.

W pokoju pociemniało, a równania i relacje zamigotały w powietrzu. Przed nimi pojawiły się liczby i zawisły tuż nad biurkiem, niczym marionetki podtrzymywane przez niewidzialne sznurki.

— Wspaniale — ocenił Seldon. — Pewnego dnia, jeśli pożyjemy dostatecznie długo, będziemy mieli taki Pierwszy Radiant, który da nam rzekę matematycznych symboli określających przeszłość i przyszłość. W nich znajdziemy strumienie i potoki, a wtedy opracujemy sposoby zmieniania ich biegu, tak by dołączyły do innych, korzystnych dla nas strumieni i potoków.

— Tak — powiedział oschle Amaryl. — Jeśli zdołamy żyć ze świadomością, że podejmowane przez nas w jak najlepszej wierze działania mogą przynieść jak najgorsze rezultaty.

— Wierz mi, Yugo, że zawsze kiedy kładę się spać, ta właśnie myśl mnie gnębi. Ale jeszcze tak się nie stało. Zyskaliśmy tylko tyle, że jak powiadasz, widzimy przez zamarzniętą szybę nikłe światło.

— To prawda.

— Co w takim razie widzisz, Yugo?

Seldon przyglądał się Amarylowi uważnie i nieco surowo. Matematyk przytył, robił się zbyt gruby. Spędzał za dużo czasu przy komputerach (a teraz przy Pierwszym Radiancie), natomiast był za mało aktywny fizycznie. I chociaż spotykał się od czasu do czasu z kobietami, Seldon wiedział, że nigdy się nie ożeni. To błąd! Nawet pracoholik musi czasem oderwać się od pracy, by zadowolić partnera, by zająć się potrzebami dzieci.

Helikończyk pomyślał o swojej wciąż nie najgorszej sylwetce oraz o tym, jak Dors walczyła, by ją utrzymał.

— Co widzę? — powtórzył Amaryl. — Widzę, że Imperium ma kłopoty.

— Imperium zawsze miało kłopoty.

— Tak, ale tym razem są bardzo specyficzne. Niewykluczone, że będziemy mieli kłopoty w samym centrum.

— Na Trantorze?

— Tak przypuszczam. Lub na Peryferiach. Albo będziemy tu mieli wojnę domową, albo otaczające nas Światy Zewnętrzne zaczną się odrywać.

— Doprawdy nie potrzeba psychohistorii, by dostrzec te zagrożenia.

— Interesujące jest to, że jedno wyklucza drugie. Albo to, albo to. Prawdopodobieństwo wystąpienia obu naraz jest bardzo małe. Popatrz tutaj! To twoja matematyka. Tylko popatrz!

Przez dłuższą chwilę pochylali się nad równaniami wyświetlonymi przez Pierwszy Radiant.

Wreszcie Hari odezwał się:

— Nie rozumiem, dlaczego oba zagrożenia miałyby się wykluczać.

— Ja też nie rozumiem, Hari, ale na czym w takim razie polegałaby wartość psychohistorii, gdyby pokazywała nam ona

jedynie to, co i tak sami byśmy dostrzegli? To zaś pokazuje nam coś, na co nigdy byśmy nie wpadli. Nie wskazuje natomiast, po pierwsze, która możliwość jest lepsza, a po drugie, co robić, by się pojawiła i zminimalizowała prawdopodobieństwo wystąpienia gorszej.

Seldon zacisnął usta, po czym rzekł powoli:

— Mogę ci powiedzieć, którą możliwość bym wybrał. Pozwólmy Peryferiom się oderwać.

— Naprawdę?

— Bezwzględnie. Musimy utrzymać spokój na Trantorze, jeśli już nie z innego powodu, to choćby tylko dlatego, że sami tu jesteśmy.

— Nasza wygoda z pewnością nie jest najważniejsza.

— Nie. Najważniejsza jest psychohistoria. Na co zdadzą się nam nietknięte Peryferia, jeśli warunki na Trantorze zmuszą nas do wstrzymania prac nad psychohistoria? Nie mówię, że zostaniemy zabici, ale może nie będziemy mogli pracować. Nasz los będzie zależał od rozwoju psychohistorii. Dla Imperium, jeśli Peryferia wystąpią ze związku, oznaczać to będzie jedynie początek dezintegracji, która potrwa bardzo długo, zanim dotrze do jego serca.

— Nawet jeśli masz rację, Hari, jak mamy utrzymać spokój na Trantorze?

— Musimy o tym pomyśleć. Zamilkli; po chwili odezwał się Seldon:

— Tyle że myślenie nie poprawia mi nastroju. Co jeśli Imperium znajduje się na złej drodze i podążało nią od zawsze? Myślę o tym za każdym razem, gdy rozmawiam z Gruberem.

— A kim jest Gruber?

— Mandell Gruber. To ogrodnik.

— Ach tak. Czy to ten, który podbiegł z grabiami, by cię bronić w czasie zamachu?

— Tak. Zawsze byłem mu wdzięczny za to, co zrobił. Miał tylko grabie, a w pobliżu mogli się czaić zamachowcy z miotaczami. To się nazywa lojalność. A poza tym rozmowa z nim jest jak łyk świeżego powietrza. Nie mogę spędzać całego czasu na rozmowach z urzędnikami czy z psychohistorykami.

— Dziękuję.

— Daj spokój! Wiesz, co mam na myśli. Gruber lubi otwartą przestrzeń. Pragnie czuć wiatr, deszcz i przenikliwy ziąb, wszystko, co może mu przynieść pogoda. Sam czasami za nimi tęsknię.

— Ja nie. Mógłbym nigdy nie wychodzić na zewnątrz.

— Wychowałeś się pod kopułą, załóżmy jednak, że Imperium składałoby się z prostych, nieuprzemysłowionych światów, utrzymujących się z pasterstwa i upraw, mających niezbyt liczne populacje i puste przestrzenie. Czy wszystkim nam nie powodziłoby się lepiej?

— Dla mnie to, co mówisz, jest straszne.

— Znalazłem nieco czasu, by sprawdzić to tak dokładnie, jak tylko mogłem. Sądzę, że jest to przypadek równowagi niestałej. Taki słabo zaludniony świat, jaki opisałem, albo dogorywa i ubożeje, staczając się do prymitywnego, niemal zwierzęcego poziomu, albo się industrializuje. Wszystko stoi na ostrzu noża i przechyla się na którąś ze stron. Tak się właśnie stało, że niemal wszystkie światy w Galaktyce uległy uprzemysłowieniu.

— Bo tak jest lepiej.

— Być może. Ale to nie może trwać wiecznie. Teraz obserwujemy rezultaty przesady w różnych dziedzinach. Imperium nie może już dłużej istnieć, bo nastąpiło… nastąpiło przegrzanie. Nie przychodzi mi na myśl żadne inne wyrażenie. Nie wiemy, co teraz nastąpi. Jeśli dzięki psychohistorii zdołamy powstrzymać Upadek lub, co bardziej prawdopodobne, wymusimy odbudowę po Upadku, to czy tym samym spowodujemy również następny okres przegrzania? Czyżby przyszłe społeczeństwo miało, tak jak Syzyf, pchać głaz na szczyt wzgórza jedynie po to, by zobaczyć, jak znów się stacza?

— Kim jest Syzyf?

— To postać z prymitywnej mitologii. Yugo, musisz więcej czytać. Amaryl wzruszył ramionami.

— Po to, żebym dowiedział się o Syzyfie? To nie jest ważne. Być może psychohistoria pokaże nam ścieżkę wiodącą ku całkiem nowemu społeczeństwu, społeczeństwu zupełnie innemu niż to, które znaliśmy, takiemu, które byłoby stabilne i odznaczało się pożądanymi cechami.

— Mam nadzieję, że tak będzie — westchnął Seldon. — Mam nadzieję, ale do tej pory nic na to nie wskazuje. W najbliższym czasie będziemy musieli wypracować sposób wyjścia Peryferiów ze związku. To stanie się początkiem Upadku Imperium Galaktycznego.

4

— Tak właśnie powiedziałem — rzekł Hari Seldon. — To stanie się początkiem Upadku Imperium Galaktycznego. I tak właśnie będzie, Dors.

Dors słuchała z zaciśniętymi ustami. Przyjęła mianowanie Hariego na Pierwszego Ministra tak, jak przyjmowała wszystko — bez emocji. Miała jedynie chronić Seldona i jego psychohistorię, ale wiedziała dobrze, że jego stanowisko utrudnia to zadanie. Najskuteczniejszą ochronę dawałoby zaszycie się gdzieś z dala od innych, ale dopóki statek kosmiczny i słońce — symbol Imperium — będą przyświecały Seldonowi, żadna bariera nie wystarczy.

Luksusowe warunki, w jakich teraz żyli — staranne zabezpieczenie przed podsłuchem lub wtargnięciem intruzów i korzyści, jakie jej badaniom historycznym przyniósł dostęp do niemal nieograniczonych funduszy — nie satysfakcjonowały jej. Chętnie zamieniłaby to na ich starą siedzibę na Uniwersytecie Streelinga. Albo, chętniej jeszcze, na nie znane nikomu mieszkanie w odległym sektorze.

— Wszystko to bardzo pięknie, drogi Hari, ale to nie wystarczy.

— Co nie wystarczy?

— Informacje, które mi podałeś. Powiedziałeś, że możemy stracić Peryferia. Jak to możliwe? Dlaczego?

Seldon uśmiechnął się przelotnie.

— Jak miło byłoby znać odpowiedź, Dors, niestety, psychohistoria nie jest jeszcze na takim etapie, by mogła nam jej udzielić.

— W takim razie, co ty o tym myślisz? Czy lokalni zarządcy odległych terytoriów postawili sobie za punkt honoru, by ogłosić niepodległość?

— Z pewnością jest to jeden z czynników. Wiesz znacznie lepiej niż ja, że to się zdarzało w historii, chociaż nigdy nie trwało długo. Może tym razem oderwą się na stałe.

— Dlatego, że Imperium jest słabsze?

— Tak, bo handel nie jest tak swobodny jak kiedyś, bo komunikowanie się jest utrudnione, bo zarządcy Peryferiów są tak naprawdę bliżej wolności niż kiedykolwiek przedtem. Jeśli okaże się, że jeden z nich ma większe ambicje…

— Możesz powiedzieć który?

— To absolutnie niemożliwe. Na tym etapie z psychohistorii możemy wywnioskować tylko to, że jeśli jakiś niezwykle zdolny i ambitny zarządca wychyli się, to znajdzie warunki znacznie bardziej sprzyjające, niż znalazłby w przeszłości. Mogą się na to nałożyć jeszcze inne czynniki: jakaś większa katastrofa naturalna albo

niespodziewana wojna domowa między dwiema koalicjami odległych Światów Zewnętrznych. Żadnego z tych czynników nie da się jeszcze dokładnie przewidzieć, możemy jednak stwierdzić, że gdyby coś takiego się wydarzyło, konsekwencje będą znacznie poważniejsze, niż byłyby sto lat temu.

— Ale skoro nie wiesz dokładnie, co wydarzy się na Peryferiach, jak możesz podjąć działania dające pewność, że oderwą się właśnie one, a nie Trantor?

— Muszę przyglądać się dokładnie obu i starać się umocnić Trantor, a nie Peryferia. Dopóki nie poznamy lepiej zasad działania psychohistorii, nie możemy oczekiwać, że automatycznie zaprogramuje ona rozwój wydarzeń. Jak na razie ciągle musimy korzystać z, by tak rzec, sterowania ręcznego. W przyszłości techniki będą subtelniejsze, a zapotrzebowanie na sterowanie ręczne się zmniejszy.

— Ale to przyniesie przyszłość. Zgadza się?

— To prawda. I nawet co do tego mogę mieć tylko nadzieję.

— A właściwie co dokładnie zagraża Trantorowi?

— To samo, o czym już mówiłem: czynniki ekonomiczne i społeczne, katastrofy naturalne, rywalizacja ambitnych urzędników wysokiego szczebla. I coś więcej. Rozmawiając z Yugo, opisałem Imperium jako „przegrzane", a Trantor jest jego najbardziej przegrzaną częścią. Wygląda na to, że się załamuje. Z całą infrastrukturą: zbiornikami wodnymi, ogrzewaniem, wysypiskami, zasobami paliwa, z wszystkim są poważne problemy. Ostatnio tylko tym się muszę zajmować.

— A co ze śmiercią imperatora? Seldon rozłożył dłonie.

— Przyjdzie nieuchronnie, ale Cleon cieszy się dobrym zdrowiem. Jest zaledwie w moim wieku. Co prawda sam wolałbym być młodszy, ale i on nie jest stary. Jego syn absolutnie nie nadaje się na następcę, będzie jednak dostatecznie wielu pretendentów do tego stanowiska. Aż nadto, by sprawić kłopoty i jeszcze pogłębić krytyczną sytuację związaną z jego śmiercią, choć nie musi się to okazać całkowitą katastrofą… w sensie historycznym.

— Załóżmy w takim razie, że zostanie zamordowany. Seldon rozejrzał się nerwowo.

— Nie mów czegoś takiego. Nawet kiedy chronią nas osłony, nie używaj tego słowa.

— Hari, nie bądź głuptasem. To ewentualność, którą należy brać pod uwagę. Był czas, kiedy joranumici mogli przejąć władzę, a gdyby tak się stało, imperator, w taki czy inny sposób…

— Prawdopodobnie nie. Byłby znacznie użyteczniejszy jako figurant. W każdym razie nie myśl o tym. Joranum zmarł w ubiegłym roku na Nishaya jako raczej dość żałosna postać.

— Miał następców.

— Oczywiście. Każdy ma następców. Czy studiując wczesną historię Królestwa Trantora i Imperium Galaktycznego, natknęłaś się kiedyś na partię globalistów na moim rodzinnym Helikonie?

— Nie. Nie chcę urazić twoich uczuć, Hari, ale nie pamiętam, bym kiedykolwiek zetknęła się z takim momentem historii, w którym Helikon odgrywałby jakąś rolę.

— Nie uraziłaś mnie, Dors. Zawsze mawiam: Szczęśliwy świat, który nie ma historii. W każdym razie dwa tysiące czterysta lat temu na Helikonie pojawiła się grupa ludzi przekonanych, że jest on jedyną zamieszkaną planetą we wszechświecie. Helikon był wszechświatem, a poza nim była jedynie solidna sfera niebieska usiana maleńkimi gwiazdkami.

— Jak oni mogli w to wierzyć? — spytała Dors. — Zakładam, że byli częścią Imperium.

— Tak, ale globaliści utrzymywali, że wszelkie dowody na istnienie Imperium to iluzja albo rozmyślne oszustwo, a emisariusze i urzędnicy Imperium to Helikończycy grający z jakiegoś powodu ich rolę. Globaliści byli absolutnie odporni na argumenty zdroworozsądkowe.

— I co się stało?

— Przypuszczam, że zawsze przyjemnie jest myśleć, że twój świat jest całym światem. U szczytu popularności globaliści nakłonili do udziału w swoim ruchu może dziesięć procent populacji planety. Tylko dziesięć procent, stanowili jednak gwałtownie rosnącą mniejszość, która pochłonęła obojętną większość, i zagrozili przejęciem władzy.

— Ale nie zrobili tego, prawda?

— Nie. Ale globalizm spowodował zmniejszenie obrotów w handlu imperialnym, a co za tym idzie, zastój w helikońskiej gospodarce. Kiedy ideologia ta zaczęła niekorzystnie wpływać na zasobność kieszeni społeczeństwa, globaliści gwałtownie stracili popularność. Ich rozwój, a potem upadek zadziwił wtedy wielu, jestem jednak pewien, że psychohistoria pokazałaby, że tak się musiało stać i że nie było potrzeby się tym przejmować.

— Rozumiem. Ale jaki jest morał tej opowieści? Zakładam, że ma ona jakiś związek z tym, o czym rozmawiamy.

— Chodzi o to, że takie ruchy nigdy nie umierają do końca, bez względu na to, jak śmieszne mogą się wydawać ich zasady ludziom zdrowym na umyśle. W tej chwili na Helikonie wciąż istnieją globaliści. Jest ich niewielu, ale co jakiś czas siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu zbiera się na, jak to nazywają, Kongresie Globalnym i rozmawianie o globalizmie sprawia im olbrzymią przyjemność. No cóż, minęło zaledwie dziesięć lat od chwili, gdy ruch joranumitów

wydawał się takim strasznym zagrożeniem dla naszego świata, i wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że wciąż jeszcze żyją ludzie, którzy o nim nie zapomnieli. Jacyś zwolennicy Joranum mogą przetrwać nawet tysiąc lat.

— Czy to możliwe, by mogli być niebezpieczni?

— Wątpię. To charyzma Jo-Jo sprawiała, że ruch stał się niebezpieczny… a on nie żyje. Jego śmierć nie była heroiczna, nie było w niej nic szczególnego; on po prostu usunął się w cień i załamany, zmarł w więzieniu.

Dors wstała i przeszła szybko przez cały pokój, wymachując przy tym rękami i zaciskając dłonie. Zawróciła i stanęła przed siedzącym Seldonem.

— Hari, pozwól, że powiem ci, o czym myślę. Jeśli psychohistoria wskazuje na możliwość poważnych niepokojów na Trantorze, a mieszkają tu jeszcze wyznawcy Joranum, to wciąż mogą planować zamach na imperatora.

Seldon roześmiał się nerwowo.

— Daj spokój, Dors. Czepiasz się cieni.

Czuł jednak, że nie może tak łatwo zlekceważyć jej słów.

5

Sektor Wye tradycyjnie już przeciwstawiał się dynastii Entun Cleona I, która od ponad dwustu lat rządziła Imperium. Opozycja datowała się na czasy, gdy z linii burmistrzów Wye wywodzili się imperatorzy. Dynastia Wyeńska nie przetrwała długo ani nie wyróżniła się szczególnie, ale mieszkańcom i zarządcom Wye trudno było zapomnieć, że kiedyś byli — choć w sposób niedoskonały i tymczasowo — najwyższą władzą. Krótki okres, gdy osiemnaście lat temu Rashelle, burmistrz uzurpator Wye, rzuciła wyzwanie Imperium, był jednocześnie czasem dumy i frustracji.

Wszystko to sprawiło, że mała grupa przywódców spisku mogła się czuć w Wye równie bezpiecznie jak gdziekolwiek na Trantorze.

Pięciu z nich siedziało dokoła stołu w budynku w zrujnowanej części sektora. Pokój, choć źle umeblowany, był dobrze chroniony przed podsłuchem. W najlepszym fotelu siedział mężczyzna, którego można by wziąć za przywódcę. Miał pociągłą twarz, bladożółtą cerę i szerokie usta o tak bladych wargach, że ledwie je było widać. Jego włosy były przyprószone siwizną, ale oczy gorzały nie dającym się ugasić płomieniem. Przyglądał się mężczyźnie siedzącemu dokładnie naprzeciwko niego — wyraźnie starszemu i łagodniejszemu, o niemal białych włosach, którego pełne policzki drżały, gdy mówił.

Przywódca rzucił ostro:

— No i co? To jasne, że nic nie zrobiłeś. Wyjaśnij to!

— Jestem starym joranumitą, Namarti — odezwał się tamten. — Dlaczego mam się przed tobą tłumaczyć?

Gambol Deen Namarti, niegdyś prawa ręka Laskina „Jo-Jo" Joranum, rzekł:

— Jest wielu starych joranumitów. Niektórzy są niekompetentni, inni zbyt łagodni, a jeszcze innym nie dopisuje pamięć. Być starym joranumitą znaczy nie więcej niż to, że jest się starym głupcem.

Starszy mężczyzna wyprostował się na krześle.

— Nazywasz mnie starym głupcem? Mnie? Kaspala Kaspalova? Byłem z Jo-Jo, kiedy ty nie byłeś jeszcze członkiem partii, lecz obszarpańcem poszukującym sprzymierzeńców.

— Nie nazywam cię głupcem — powiedział ostro Namarti. — Mówię po prostu, że niektórzy starzy joranumici są głupcami. Masz teraz szansę pokazać mi, że nie jesteś jednym z nich.

— Moje związki z Jo-Jo…

— Zapomnij o tym. On nie żyje!

— Uważani, że jego duch wciąż żyje.

— Jeśli ta myśl pomoże nam w naszej walce, w takim razie jego duch żyje. Ale dla innych, nie dla nas. My wiemy, że Jo-Jo popełnił

błędy.

— Nie zgadzam się z tym.

— Nie upieraj się, by robić bohatera ze zwykłego człowieka, który popełnił błędy. Joranum uważał, że zdoła ruszyć Imperium z posad samą siłą oracji, słowami…

— Historia pokazuje, że w przeszłości słowa przenosiły góry.

— Widocznie nie słowa Joranum, bo on popełnił błędy. Zbyt nieudolnie ukrył swoje mycogeńskie pochodzenie. Gorzej, dał się oszukać i oskarżył byłego Pierwszego Ministra Eto Demerzela o to, że jest robotem. Ostrzegałem go, by tego nie robił, ale nie chciał mnie słuchać… i to go zgubiło. Zacznijmy więc od początku, dobrze? Wobec obcych możemy wykorzystywać pamięć o Joranum, ale nas nie powinna ona przytłaczać.

Kaspalov siedział, nic nie mówiąc. Trzej pozostali mężczyźni spoglądali to na niego, to na Namartiego, zadowoleni, że to Namarti nadaje ton dyskusji.

— Zesłanie Joranum na Nishaya sprawiło, że ruch joranumitów został rozbity i zaczął zanikać — powiedział chrapliwie Namarti. — Gdyby nie ja, zniknąłby całkowicie. Krok po kroku i cegiełka po cegiełce odbudowałem go i powstała sieć obejmująca cały Trantor. Zakładam, że wiesz o tym.

— Wiem, szefie — wymamrotał Kaspalov. Użyty tytuł dowodził, że chce pojednania.

Namarti uśmiechnął się nieznacznie. Nie wymagał, by zwracano się do niego „szefie", jednak zawsze cieszyło go to.

— Jesteś członkiem naszej siatki i masz określone obowiązki — odezwał się.

Kaspalov wiercił się na krześle. Widać było, że zastanawia się głęboko, aż wreszcie powiedział powoli:

— Mówisz, szefie, że ostrzegałeś Joranum, żeby nie oskarżał byłego Pierwszego Ministra. Mówisz, że nie chciał cię słuchać, ale ty przynajmniej mogłeś coś powiedzieć. Czy mogę mieć ten sam przywilej? Chciałbym móc powiedzieć, co uważam za błąd. Czy wysłuchasz mnie, tak jak Joranum wysłuchał ciebie, jeśli nawet, podobnie jak on, nie przyjmiesz danej ci rady?

— Oczywiście, możesz się wypowiedzieć, Kaspalov. Masz tu takie same prawa jak wszyscy. O co ci chodzi?

— Nasza nowa taktyka, szefie, jest błędna. Zniesławi nas i zniszczy.

— Oczywiście! Taki jest jej cel. — Namarti wiercił się w fotelu, z trudem opanowując gniew. — Joranum próbował perswazji, ale nic nie dała. My powalimy Trantor działaniami.

— Jak długo to będzie trwało? I jakim kosztem?

— Tak długo, jak będzie konieczne… i właściwie niewielkim

kosztem. Tu wstrzymamy dopływ energii, gdzie indziej wody, zniszczymy sieć kanalizacyjną i klimatyzację. Niedogodności i dyskomfort, tylko tyle to oznacza.

Kaspalov pokręcił głową.

— Te niedogodności się kumulują.

— Oczywiście, Kaspalov. Chcemy, żeby lęk i zniechęcenie ludzi się kumulowały. Posłuchaj, Kaspalov. Imperium upada. Wszyscy o tym wiedzą. W każdym razie wszyscy inteligentni ludzie. Awarie trafiać się będą tu i ówdzie, nawet jeśli nic nie zrobimy. My tylko trochę w tym pomożemy.

— To niebezpieczne, szefie. Infrastruktura Trantora jest niewiarygodnie skomplikowana. Nieostrożne działanie może ją zrujnować. Wystarczy pociągnąć nieodpowiedni sznurek, a Trantor runie jak domek z kart.

— Do tej pory jakoś nie runął.

— Ale może w przyszłości. A co będzie, jeśli ludzie dowiedzą się, że to my za tym stoimy? Rozerwą nas na strzępy. Nawet nie trzeba będzie wzywać strażników ani sił zbrojnych. Motłoch nas zniszczy.

— A skąd by się mieli dowiedzieć? Naturalnym celem ataków będzie rząd… doradcy imperatora. Ludzie nawet nie pomyślą o kimś innym.

— A jak będziemy mogli żyć, wiedząc, co zrobiliśmy?

To ostatnie pytanie, wyraźnie poruszony silnymi emocjami, Kaspalov wypowiedział szeptem. Patrzył błagalnie na swego przywódcę, mężczyznę, któremu przysięgał posłuszeństwo. Uczynił tak, wierząc, że Namarti naprawdę będzie kontynuował dążenia wolnościowe Jo-Jo Joranum. Teraz Kaspalov zastanawiał się, czy właśnie tak Jo-Jo chciał spełnić swoje marzenia.

Namarti cmoknął jak ojciec ganiący dziecko, które źle postąpiło.

— Kaspalov, chyba nie oczekujesz, że będziemy postępować sentymentalnie. Kiedy już przejmiemy władzę, pozbieramy resztki i odbudujemy Trantor. Zgromadzimy ludzi za pomocą tej samej gadki, której używał Joranum. Będziemy mówili o udziale ludu w rządzeniu, o jego większej reprezentacji, a kiedy umocnimy swoją pozycję, ustanowimy prężniejsze i silniejsze rządy. Będziemy wtedy mieli lepszy Trantor i potężniejsze Imperium. Ustanowimy jakiś system wymiany poglądów, by reprezentanci innych światów mogli dyskutować aż do szaleństwa… ale to my będziemy rządzili.

Kaspalov siedział niezdecydowany. Namarti uśmiechnął się smutno.

— Widzę, że nie jesteś pewien. Nie możemy przegrać. Udawało się nam i nadal będzie się udawać. Imperator nie wie, co się dzieje. Nawet się nie domyśla. Ale go Pierwszy Minister jest matematykiem. To prawda, że zniszczył Joranum, ale od tamtej pory nie dokonał

niczego.

— Ma coś, co się nazywa… zaraz…

— Zapomnij o tym. Joranum przywiązywał do tego wielką wagę, ponieważ pochodził z Mycogenu, tak samo jak jego robotomania. Ten matematyk nie ma niczego.

— Historyczną psychoanalizę czy coś takiego. Słyszałem, jak Joranum mówił kiedyś…

— Zapomnij o tym! Rób tylko to, co do ciebie należy. Zajmujesz się wentylacją w Sektorze Anemoria, prawda? To dobrze. Spraw, by źle funkcjonowała, a jak to zrobisz, zależy tylko od ciebie. Albo ją zamknij, by wzrosła wilgotność powietrza, albo spraw, by wydzielała jakiś szczególnie przykry zapach, albo wymyśl coś innego. To nikogo nie zabije, więc nie zadręczaj się wyrzutami sumienia. Sprawisz tylko, że ludzie poczują pewien dyskomfort i wzrośnie ogólny poziom niezadowolenia. Możemy na tobie polegać?

— Ale to, co będzie jedynie pewnym utrudnieniem dla młodych i zdrowych, może być czymś gorszym dla dzieci, starców i chorych…

— Zamierzasz upierać się, by nikomu nie stała się krzywda? Kaspalov coś wymamrotał.

— Podejmując takie działania, nie można zagwarantować, że absolutnie nikt nie ucierpi — rzekł Namarti. — Zrób tylko to, co do ciebie należy. Zrób to tak, by skrzywdzić jak najmniej ludzi, jeśli tak nakazuje ci sumienie, ale zrób to!

— Mam jeszcze coś do powiedzenia, szefie — odezwał się Kaspalov.

— No to mów — rzekł znużony Namarti.

— Możemy spędzić całe lata, ingerując w infrastrukturę. Musi nadejść taka chwila, kiedy będziesz chciał wykorzystać niezadowolenie do przejęcia rządów. Jak zamierzasz to zrobić?

— Chcesz dokładnie wiedzieć, jak to zrobimy?

— Tak. Im szybciej uderzymy, tym mniejsze będą zniszczenia i tym skuteczniej będziemy mogli je odbudować.

— Jeszcze nie zdecydowałem, jak dokonamy „radykalnego cięcia”. Ale taki czas nadejdzie. A do tej chwili, czy będziesz robił, co do ciebie należy?

Zrezygnowany Kaspalov pokiwał głową.

— Tak, szefie.

— W takim razie idź — rzucił Namarti, pokazując niecierpliwym gestem, by odszedł.

Kaspalov wstał, odwrócił się i wyszedł. Namarti popatrzył za odchodzącym, po czym odezwał się do mężczyzny siedzącego po jego prawej:

— Nie możemy ufać Kaspalovowi. Sprzedał się naszym wrogom i tylko dlatego pytał o moje plany na przyszłość, że chce nas zdradzić.

Zajmij się nim.

Pozostali mężczyźni pokiwali głowami i wszyscy trzej wyszli, zostawiając Namartiego samego. Wyłączył jaśniejące panele na ścianach, zachowując jedynie mały prostokąt na suficie, który dawał tylko tyle światła, by pokój nie pogrążył się całkiem w ciemnościach.

Każdy łańcuch ma słabe ogniwa, które trzeba wyeliminować, myślał. Już w przeszłości musieliśmy to robić, ale w rezultacie mamy organizację, która pozostała nienaruszona.

Pogrążony w półmroku uśmiechał się, wykrzywiając twarz w niemal zwierzęcym grymasie radości. Przecież siatka obejmowała nawet pałac; nie była tam silna — ale była. A jeszcze się umocni.

6

Nad nie pokrytym kopułami terenem Pałacu Imperialnego utrzymywała się ciepła i słoneczna pogoda. Nieczęsto się tak zdarzało. Hari pamiętał, że Dors opowiadała mu kiedyś, jak to się stało, że właśnie ten obszar o srogich zimach i często padających deszczach został wybrany na jego lokalizację.

— Właściwie nie został wybrany — powiedziała. — W początkach Królestwa Trantora była to posiadłość rodzinna Morovian. Kiedy królestwo przekształciło się w Imperium, było wiele miejsc, w których mógłby mieszkać imperator: kurortów letniskowych, zimowisk, terenów sportowych czy posiadłości nadmorskich. Ale chociaż planetę powoli pokrywano kopułami, jeden z panujących imperatorów, który mieszkał właśnie tutaj, polubił to miejsce tak bardzo, że nie pozwolił przykryć go kopułą. A ponieważ było to jedyne miejsce nie osłonięte kopułą, nabrało specjalnego znaczenia — stało się miejscem wyjątkowym — ze względu zaś na unikatowy charakter spodobało się następnemu imperatorowi… a potem następnemu… i jeszcze jednemu… I tak oto powstała tradycja.

I jak zawsze, kiedy słuchał czegoś takiego, Seldon pomyślał: A co na to psychohistoria? Zapewne umiałaby przewidzieć, że jedno miejsce pozostanie nie osłonięte, ale absolutnie nie potrafiłaby wskazać które. Czy można w ogóle wyciągać tak daleko idące wnioski? Czy pozwoliłaby przewidzieć, że kilku miejsc nie osłonią kopuły albo też nie zostanie ani jedno takie miejsce… czy można się co do tego pomylić? Jak to się ma do osobistych upodobań bądź uprzedzeń imperatora, który akurat był wtedy na tronie i który, być może, podjął decyzję z czystego kaprysu? Tak powstaje chaos… i szaleństwo.

Cleona I wyraźnie cieszyła dobra pogoda.

— Starzeję się, Seldon — powiedział. — Nie muszę ci tego mówić. Jesteśmy w tym samym wieku. Zapewne to objaw starzenia się, skoro nie mam ochoty pograć w tenisa czy iść na ryby, choć właśnie ponownie zarybiono jezioro, za to chętnie pospacerowałbym wolno alejkami.

Mówiąc to, jadł orzechy, które przypominały to, co na Helikonie, rodzinnej planecie Seldona, nazywano pestkami dyni, ale były większe i nieco mniej delikatne w smaku. Cleon obierał ich cienkie skorupki, wsuwał jądra do ust i gniótł je ostrożnie w zębach.

Seldon niezbyt lubił ich smak, ale oczywiście, poczęstowany przez imperatora, zjadł kilka.

Imperator trzymał w dłoni kilka łupinek i rozglądał się w poszukiwaniu śmietniczki. Nie dostrzegł żadnej, ale zauważył

stojącego niedaleko ogrodnika, wyprostowanego (jak zawsze w obecności imperatora) i chylącego z szacunkiem głowę.

— Ogrodniku! — zawołał Cleon. Mężczyzna zbliżył się szybko.

— Panie!

— Zabierz to — powiedział imperator, strząsając łupinki na jego dłoń.

— Tak, panie.

— Ja też mam kilka, Gruber — odezwał się Seldon. Gruber wyciągnął dłoń i powiedział nieśmiało:

— Tak, Pierwszy Ministrze.

Oddalił się pospiesznie, a imperator popatrzył za nim zaciekawiony.

— Znasz tego człowieka, Seldon?

— Tak, panie. To mój stary przyjaciel.

— Ogrodnik jest twoim starym przyjacielem? Jak to? Czy to jakiś kolega matematyk, któremu się nie powiodło?

— Nie, panie. Być może pamiętasz tę historię. Było to wtedy — odchrząknął, szukając odpowiednich słów, by taktownie przypomnieć incydent — gdy pewien sierżant zagroził memu życiu, tuż po tym, jak dzięki twojej wspaniałomyślności zostałem mianowany na obecne stanowisko.

— Próba zamachu. — Cleon spojrzał w niebo, jakby szukał tam spokoju. — Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak się boją tego słowa.

— Być może — odpowiedział spokojnie Seldon, nieco gardząc sobą za łatwość, z jaką potrafił posługiwać się pochlebstwem — my wszyscy jesteśmy bardziej poruszeni możliwością jakiegoś niefortunnego wypadku naszego imperatora niż ty sam, panie.

Cleon uśmiechnął się ironicznie.

— No jasne. A co to ma wspólnego z Gruberem? Czy tak się nazywa?

— Tak, panie. Mandell Gruber. Jestem pewien, że jeśli sięgniesz pamięcią, przypomnisz sobie, panie, że był pewien ogrodnik, który podbiegł z grabiami, by bronić mnie przed uzbrojonym sierżantem.

— Ach, tak. Czy to właśnie ten człowiek?

— To on, panie. Od tamtej pory uważam go za przyjaciela i spotykam się z nim niemal za każdym razem, gdy przebywam w ogrodach. Myślę, że on mnie pilnuje, jakby to należało do jego obowiązków. A ja, oczywiście, wyróżniam go w pewien sposób.

— Nie obwiniam cię. A skoro już o tym mówimy, jak się ma twoja straszna dama, doktor Venabili? Nie widuję jej zbyt często.

— Jest historykiem, panie. Zatopionym w przeszłości.

— Nie boisz się jej? Mnie przestraszyła. Opowiadano mi, jak potraktowała tego sierżanta. Niektórzy niemal mu współczuli.

— Postąpiła tak okrutnie w mojej obronie, panie, ale później nie

miała już powodu, by się tak zachowywać. Jest bardzo spokojnie.

Imperator spoglądał za oddalającym się ogrodnikiem.

— Wynagrodziliśmy tego człowieka?

— Ja to zrobiłem, panie. Ma żonę i dwie córki, dlatego zadbałem, by dziewczynki otrzymały pewną sumę na kształcenie dzieci, które urodzą.

— Bardzo dobrze. Sądzę jednak, że powinno się go awansować… Czy jest dobrym ogrodnikiem?

— Wspaniałym, panie.

— Naczelny Ogrodnik Malcomber — nie jestem pewien, czy pamiętam jego imię — starzeje się i chyba nie może już wykonywać swojej pracy. Jest już dobrze po siedemdziesiątce. Myślisz, że ten Gruber mógłby objąć to stanowisko?

— Jestem pewien, że mógłby, panie, ale on lubi swoją obecną pracę. Dzięki niej bez względu na pogodę przebywa na otwartej przestrzeni.

— To dość szczególna rekomendacja. Jestem pewien, że przyzwyczai się do administracji, a ja naprawdę potrzebuję kogoś, kto by nieco odnowił tereny pałacowe. No cóż. Muszę to sobie przemyśleć. Twój przyjaciel Gruber może być człowiekiem, jakiego potrzebuję. A tak nawiasem mówiąc, Seldon, co miałeś na myśli, gdy powiedziałeś, że ostatnio jest bardzo spokojnie?

— Dokładnie to, co powiedziałem, panie. Że ostatnio nie widać ani śladu niezgody na dworze imperialnym. Naturalna tendencja do snucia intryg osiągnęła najmniejszy możliwy poziom.

— Nie powiedziałbyś tego, Seldon, gdybyś był imperatorem i musiał mieć do czynienia z tymi wszystkimi urzędnikami i ich zażaleniami. Jak możesz mówić, że panuje spokój, skoro niemal co tydzień dostaję raporty w sprawie poważnych załamań na Trantorze?

— Takie wydarzenia są nie do uniknięcia.

— Jakoś nie przypominam sobie, żeby dawniej dochodziło do tego tak często.

— Bo pewnie nie dochodziło, panie. Infrastruktura starzeje się z upływem lat. Żeby dokonać koniecznych napraw, trzeba czasu, nakładu pracy i olbrzymich pieniędzy. A czasy nie sprzyjają podnoszeniu podatków, nie zostałoby to dobrze przyjęte.

— Żadne czasy nie sprzyjają podnoszeniu podatków. Wnioskuję, że Judzie są bardzo niezadowoleni z powodu tych niedogodności. To się musi skończyć, a ty, Seldon, masz tego dopilnować. Co na to psychohistoria?

— Podpowiada to, co mówi nam zdrowy rozsądek, czyli że wszystko się starzeje.

— Psuje mi to nieco ten tak miły dzień. Zostawiam to tobie, Seldon.

— Tak, panie — odparł spokojnie Seldon.

Imperator odszedł, a Helikończyk pomyślał, że cała ta sytuacja i jemu psuje ten tak miły dzień. Nie chciał niedogodności dręczących centrum, ale jak miał im zapobiec i przerzucić kryzys na Peryferia?

Psychohistoria nie wypowiadała się na ten temat.

7

Raych Seldon był niezwykle zadowolony z pierwszego od wielu miesięcy rodzinnego obiadu w towarzystwie dwojga ludzi, których uważał za ojca i matkę. Bardzo dobrze wiedział, że nie są jego rodzicami w sensie biologicznym, ale to się nie liczyło. Uśmiechał się do nich z miłością.

Nie było tu tak przytulnie jak w dawnych czasach na Uniwersytecie Streelinga, gdy ich dom był mały i intymny, niemal jak klejnot na terenie wielkiej uczelni. Niestety, teraz wszystko przypominało o wielkości i potędze pałacu Pierwszego Ministra.

Czasami Raych patrzył na swe odbicie w lustrze i zastanawiał się, jak by to było. Nie był wysoki, miał tylko metr sześćdziesiąt trzy, był więc wyraźnie niższy od rodziców. Raczej krępy, ale dobrze umięśniony, i z pewnością nie otyły; miał czarne włosy i wyróżniające Dahlijczyków wąsy, o które dbał, starając się, by były tak ciemne i gęste, jak to tylko możliwe.

W lustrze wciąż widział łobuziaka z ulicy, którym był, zanim otrzymał największą z szans — spotkał Hariego i Dors. Seldon był wtedy znacznie młodszy. Chłopak miał teraz prawie tyle samo lat co Helikończyk wtedy, gdy się poznali. Co zadziwiające, Dors zmieniła się bardzo niewiele. Była tak samo zgrabna jak w dniu, kiedy Raych pokazał im drogę do Matki Rittah w Billibottonie. A on, Raych, którego przeznaczeniem było ubóstwo, był teraz pracownikiem administracji państwowej, małym trybikiem w Ministerstwie Zaludnienia.

— Co tam słychać w ministerstwie? — spytał Seldon. — Jakieś postępy?

— Niewielkie, tato. Prawa zostały zatwierdzone, podejmowane są decyzje i wygłaszane komunikaty, jednak wciąż trudno poruszyć ludzi. Możesz gadać o braterstwie ile tylko chcesz, ale nikt nie czuje się bratem. Mnie porusza to, że Dahlijczycy są równie źli jak wszyscy inni. Mówią, że chcą, by traktowano ich tak samo jak innych, a kiedy daje im się szansę, nie zamierzają traktować pozostałych jak równych sobie.

— Wiesz, Raych — wtrąciła się Dors — nie można zmienić ludzkich umysłów i serc. Trzeba poprzestać na próbach wyeliminowania najgorszych niesprawiedliwości.

— Kłopot w tym — powiedział Seldon — że od bardzo dawna nikt nie zajmował się tym problemem. Ludzie degenerowali w radosnej zabawie „ja-jestem-lepszy-niż-ty”, a teraz niełatwo po niej posprzątać. Jeśli pozwalamy, by sprawy toczyły się własnym torem, a sytuacja pogarszała się przez tysiąc lat, to nie narzekajmy, że

potrzeba, powiedzmy, stu lat na przeprowadzenie naprawy.

— Wiesz co, tato, czasami myślę, że dałeś mi tę pracę, by mnie ukarać — powiedział Raych.

Seldon uniósł brwi.

— A za co miałbym cię karać?

— Za to, że podobał mi się program Joranum w sprawie równości sektorów i ich większej reprezentacji w rządzie.

— Nie winie cię za to. To atrakcyjne hasła, ale wiesz, że Joranum i jego towarzysze używali ich tylko jako środka do zdobycia władzy. A potem…

— Jednak pozwoliłeś, bym wciągnął go w pułapkę, mimo mojej fascynacji jego poglądami.

— Nie było mi łatwo poprosić cię, żebyś mi pomógł — rzeki Seldon.

— A teraz każesz mi pracować przy wdrażaniu programu Joranum, by pokazać mi, jak trudno jest go wprowadzić w życie.

— I co ty na to, Dors? — spytał Seldon. — Ten chłopak posądza mnie o wykorzystywanie przewrotnych metod, które po prostu nie leżą w moim charakterze.

— Z pewnością — powiedziała Dors, a na jej ustach igrał cień uśmiechu — nie posądzasz ojca o stosowanie takich metod?

— Nie o to mi chodzi. W normalnych sytuacjach nikt nie postępuje tak szlachetnie jak ty, tato. Ale jeśli musisz, potrafisz nieuczciwie rozdać karty. Czy nie tego oczekujesz od psychohistorii?

— Do tej pory niewiele dzięki niej osiągnąłem — odparł smutno Seldon.

— To niedobrze. Wciąż mam nadzieję, że psychohistoria mogłaby nam podpowiedzieć, jak rozwiązać problem fanatyzmu.

— Jeśli nawet jest takie rozwiązanie, to go nie znalazłem. Kiedy obiad się skończył, Seldon oznajmił:

— Raych, porozmawiamy sobie teraz trochę.

— Doprawdy? — rzuciła Dors. — Domyślam się, że nie jestem zaproszona do dyskusji.

— To sprawy służbowe, Dors.

— Służbowe nonsensy, Hari. Chcesz poprosić chłopca, by zrobił coś, na co ja nie wyraziłabym zgody.

— Na pewno nie zamierzam prosić go o coś, na co sam by się nie zgodził — powiedział stanowczo Seldon.

— W porządku, mamo — odezwał się Raych. — Pozwól mi porozmawiać z tatą. Obiecuję, że później opowiem ci o wszystkim.

— Wiem, że obaj jesteście zwolennikami „tajemnicy państwowej” — stwierdziła, spoglądając w niebo.

— Prawdę mówiąc — rzekł poważnie Seldon — właśnie o tym musimy porozmawiać. To są sprawy najwyższej wagi. Mówię

poważnie, Dors.

Dors wstała, miała zaciśnięte usta. Wyszła z pokoju, wypowiadając jeszcze tylko jedno zdanie:

— Hari, nie rzucaj tego chłopca wilkom na pożarcie.

Kiedy zniknęła, Seldon powiedział cicho:

— Obawiam się, Raych, że właśnie to muszę zrobić.

8

Usiedli naprzeciw siebie w prywatnym biurze Seldona, w jego „samotni myśliciela", jak nazywał to miejsce. Waśnie tu spędzał niezliczone godziny, usiłując przemyśleć swe dokonania oraz złożoność imperialnych i trantorskich rządów.

— Czytałeś o ostatnich awariach infrastruktury planety, Raych? — spytał.

— Tak, czytałem. Ale wiesz, tato, że to stara planeta. Powinniśmy ewakuować stąd mieszkańców, wyrwać wszystko z korzeniami, założyć nowe urządzenia, zastosować ostatnie nowinki komputeryzacji i dopiero wtedy pozwolić wszystkim tu wrócić… albo przynajmniej połowie. Trantor byłby znacznie milszym miejscem, gdyby mieszkało tu tylko dwadzieścia miliardów ludzi.

— A którą połowę byś tu zostawił? — spytał Seldon z uśmiechem.

— Żebym to ja wiedział — odparł Raych ponuro. — Kłopot w tym, że nie możemy zmienić planety, więc musimy wciąż ją naprawiać.

— Obawiam się, że masz rację, Raych, ale jest w tym coś interesującego. Ciekaw jestem, czy się ze mną zgodzisz, bo przemyślałem sobie pewne rzeczy.

Wyciągnął z kieszeni małą kulę.

— Co to takiego? — spytał Raych.

— To starannie zaprogramowana mapa Trantora. Wyświadcz mi przysługę i zrób miejsce na biurku.

Seldon umieścił kulę mniej więcej pośrodku blatu i położył dłoń na płytce zabezpieczającej umieszczonej w ramieniu fotela. Kiedy dotknął kciukiem włącznika, lampy zgasły, a jednocześnie blat rozjarzył się delikatnym mlecznobiałym światłem dającym złudzenie centymetrowej głębi. Kula rozpłaszczyła się i rozpostarła ku brzegom biurka.

Światło powoli pociemniało w niektórych punktach i wyłonił się określony wzór. Po jakichś trzydziestu sekundach zdumiony Raych powiedział:

— To naprawdę mapa Trantora.

— Oczywiście, przecież ci powiedziałem. Ale nie można jej kupić w sklepie. To jeden z tych gadżetów, którymi bawią się siły zbrojne. Pozwala oglądać Trantor w postaci kuli, ale dzięki pełnemu rozwinięciu będę ci mógł pokazać dokładniej, o co mi chodzi.

— A co mi chcesz pokazać, tato?

— No cóż, w ostatnim roku czy dwóch nastąpiły pewne awarie. Jak sam powiedziałeś, to stara planeta, mogliśmy się więc spodziewać kłopotów, ale zaczęły się pojawiać coraz częściej, niemal w równych

odstępach czasu, i wygląda na to, że powstają na skutek błędu człowieka.

— Czy to możliwe?

— Tak, oczywiście. W pewnych granicach. Nawet w przypadku trzęsień ziemi.

— Trzęsienia ziemi? Na Trantorze?

— Przyznaję, że Trantor jest niemal asejsmiczną planetą… i jest to jego zaleta, gdyż zamykanie świata pod kopułami, kiedy mógłby się trząść kilka razy w roku i strzaskać część owych kopuł, byłoby wysoce niepraktyczne. Twoja matka mówi, że jednym z powodów, dla których właśnie Trantor został stolicą Imperium, jest to, że geologicznie dogorywał… to jej niezbyt pochlebne wyrażenie. Może i dogorywa, ale jeszcze nie jest trupem. Było kilka małych trzęsień ziemi, trzy z nich w ciągu ostatnich dwóch lat.

— Nie byłem tego świadom, tato.

— Mało kto jest tego świadom. Kopuły są w setkach sektorów, a każdą z nich w razie trzęsienia ziemi można podnieść lub uchylić, by zmniejszyć naprężenia i ciśnienie. Ponieważ trzęsienie ziemi, jeśli już nastąpi, trwa najczęściej zaledwie od dziesięciu sekund do minuty, otwieranie i zamykanie kopuły także trwa bardzo krótko. Z reguły dzieje się to tak szybko, że Trantorczycy nie są nawet tego świadomi. Raczej czują łagodny wstrząs i słabe drgania niż otwieranie i zamykanie kopuły oraz wpływ panujących na zewnątrz warunków atmosferycznych, jakiekolwiek one są.

— To chyba dobrze, prawda?

— Tak powinno być. Wszystko jest oczywiście skomputeryzowane. Początek trzęsienia ziemi rejestrują wszędzie urządzenia kontrolne uruchamiające otwieranie i zamykanie odpowiedniej części kopuły, dlatego otwiera się ona, zanim wibracje staną się na tyle silne, by mogły ją uszkodzić.

— No to wszystko w porządku.

— Tak, ale w przypadku tych trzech małych trzęsień z ostatnich dwóch lat czujniki ostrzegawcze zawiodły. Kopuła nie otworzyła się i trzeba ją było potem naprawiać. To zabrało nieco czasu, pochłonęło sporo pieniędzy, a także na pewien okres pogorszyło pracę czujników sterujących programowaniem pogody. Powiedz mi, Raych, jakie jest prawdopodobieństwo, że sprzęt zawiódł we wszystkich trzech przypadkach.

— Niewielkie?

— Znikome. Mniejsze niż jeden do stu. Można by nawet podejrzewać, że ktoś specjalnie tak ustawił czujniki, by nie zarejestrowały trzęsienia ziemi. Co więcej, w przybliżeniu raz na sto lat mamy wyciek magmy, który o wiele trudniej kontrolować, i już nawet nie chcę myśleć o skutkach, jeśli i on zostanie zbyt późno

spostrzeżony. Na szczęście nic takiego się nie stało i chyba nie stanie, jednak należy to rozważyć… Tu, na tej mapie, zobaczysz lokalizację tych nieszczęśliwych wydarzeń, które dotknęły nas w ciągu dwóch ostatnich lat, a które najprawdopodobniej są wynikiem błędu człowieka, choć ani razu nie potrafiliśmy powiedzieć, kto właściwie je spowodował.

— Pewnie dlatego, że ci ludzie dobrze dbają o swoje tyłki.

— Obawiam się, że masz rację. To charakterystyczne dla każdej biurokracji, a w historii Trantora nie było dotąd większej. Ale co sądzisz o tych miejscach?

Mapa rozświetliła się małymi jasnoczerwonymi punktami, które przypominały niewielkie brodawki pokrywające powierzchnię planety.

— No cóż — powiedział ostrożnie Raych — wygląda na to, że rozkładają się równomiernie.

— Tak, i to właśnie jest interesujące. Można by się spodziewać, że starsze sektory Trantora, dłużej przykryte kopułami, powinny mieć najbardziej zrujnowaną infrastrukturę. To tam częściej powinny się zdarzać awarie wymagające szybkiej decyzji człowieka, a co za tym idzie, prawdopodobieństwo pomyłki mogłoby wzrastać. Pokryję stare sektory Trantora niebieskim kolorem, a wtedy zauważysz, że te wydarzenia wcale nie są tam częstsze.

— I co z tego?

— Uważam, Raych, że te nieszczęśliwe wypadki nie miały przyczyn naturalnych. Spowodowano je w tych miejscach rozmyślnie, by swym zasięgiem objęły jak największą liczbę ludzi i wywołały jak największe niezadowolenie.

— To niemożliwe.

— Nie? W takim razie przyjrzyjmy się tym zdarzeniom pod kątem czasu, a nie zwracajmy uwagi na ich umiejscowienie.

Niebieskie obszary i czerwone punkty zniknęły i przez pewien czas mapa Trantora była pusta, a potem oznaczenia zaczęły się pojawiać i znikać tu i ówdzie po jednym.

— Zauważ — powiedział Seldon — że nie pojawiają się jednocześnie. Pojawia się jedno, potem drugie i jeszcze jedno, i tak dalej z częstotliwością tykającego metronomu.

— To także uważasz za celową działalność?

— Tak na pewno jest. Ten, kto to robi, chce spowodować jak najwięcej zniszczeń jak najmniejszym wysiłkiem, dlatego nie robi dwóch rzeczy naraz, gdyż jedno wydarzenie wypierałoby inne z holowizji oraz świadomości społeczeństwa. Każdy incydent musi utkwić ludziom w pamięci i spowodować ich rozdrażnienie.

Mapa zniknęła i zapaliły się światła. Seldon na powrót uformował kulę, zmniejszył ją, a następnie schował do kieszeni.

— Kto może robić to wszystko? — spytał Raych. Helikończyk

zamyślił się.

— Kilka dni temu otrzymałem raport dotyczący morderstwa w Sektorze Wye.

— To nic nadzwyczajnego — stwierdził Raych. — Chociaż Wye nie jest sektorem, w którym panuje całkowite bezprawie, i tak musi być tam codziennie wiele morderstw.

— Setki — powiedział Seldon, kiwając głową. — Mieliśmy tak fatalne dni, gdy całkowita liczba zabójstw na Trantorze sięgała miliona. Generalnie istnieje niewielka szansa na znalezienie każdego winowajcy, każdego mordercy. Zamordowany pojawia się w księgach jak liczba w statystyce. Ale ten nie był taki zwyczajny. Tego człowieka zasztyletowano, lecz bardzo niewprawnie. Żył jeszcze, kiedy go znaleziono, choć ledwo zipał. Zanim zmarł, zdążył wykrztusić jedno słowo, a słowo to brzmiało „szef". To wywołało pewne zaciekawienie, więc denata zidentyfikowano. Pracował w Anemorii, ale nie wiemy, co robił w Wye. Jednak pewnemu zdolnemu oficerowi udało się dogrzebać do tego, że był starym joranumitą. Nazywał się Kaspal Kaspalov i wszyscy wiedzą, że należał do najbliższych współpracowników Laskina Joranum. A teraz nie żyje… zasztyletowany.

Raych zmarszczył brwi.

— Podejrzewasz istnienie następnego spisku joranumitów, tato? Przecież nie ma już joranumitów.

— Nie tak dawno twoja matka spytała mnie, czy uważam, że joranumici są wciąż aktywni, a ja odpowiedziałem, że po wszelkich starych ruchach pozostaje pewna część kadry, czasami aktywna przez stulecia. Zazwyczaj nie są to liczący się ludzie, po prostu małe grupki zwolenników. Co jednak, jeśli joranumitom udało się utrzymać organizacje, jeśli wzmocnili swe szeregi, jeśli są zdolni do zamordowania kogoś, kogo uważają za zdrajcę, i jeśli to oni są sprawcami tych załamań, które traktują jako wstęp do przejęcia władzy?

— Tato, to mnóstwo potwornych „jeśli".

— Wiem. I mogę się całkowicie mylić. Morderstwo, o którym mówiliśmy, zdarzyło się w Wye, a dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie w Wye nie było załamań infrastruktury.

— Czego to dowodzi?

— Może to być dowód na to, że centrum konspiracji znajduje się w Wye, a sami konspiratorzy nie chcą, by niedogodności spotkały ich, tylko resztę mieszkańców Trantora. Może to także oznaczać, że to wcale nie joranumici, lecz członkowie starej dynastii Wyeńskiej, którzy wciąż marzą o sprawowaniu władzy w Imperium.

— O rany, tato. Budujesz to wszystko na tak nikłych przesłankach.

— Wiem. Załóżmy jednak, że istnieje jeszcze jeden spisek joranumitów. Prawą ręką Joranum był Gambol Deen Namarti. Nie mamy wzmianki o jego śmierci czy opuszczeniu Trantora, nie ma żadnych zapisów dotyczących jego życia przez ostatnie dziesięć lat. Ale to nie jest znów takie zdumiewające. Przecież nie tak trudno jest stracić z oczu jednego człowieka wśród czterdziestu miliardów. W moim życiu był taki moment, gdy sam próbowałem to zrobić. Oczywiście, Namarti może już nie żyć. To byłoby najłatwiejsze wyjaśnienie, ale może też być inaczej.

— To co zrobimy w tej sprawie? Seldon westchnął.

— Najlepiej byłoby się zwrócić do władz sił bezpieczeństwa, ale nie mogę tego zrobić. Nie posiadam takich zdolności jak Demerzel. On potrafił zastraszyć ludzi, ja tego nie potrafię robić. Miał silną osobowość, ja jestem tylko matematykiem. W ogóle nie powinienem zostać Pierwszym Ministrem; nie nadaję się na to stanowisko i nie zajmowałbym go, gdyby imperator nie przykładał do psychohistorii znacznie większej wagi, niż ona na to zasługuje.

— Czyżbyś chciał dołożyć samemu sobie, tato?

— Może tak, ale już widzę siebie zwracającego się do władz sił bezpieczeństwa, na przykład z mapą, którą dopiero co ci pokazałem — Seldon wskazał na pusty blat biurka — i przekonującego ich, że narażeni jesteśmy na wielkie niebezpieczeństwo ze strony nieznanych konspiratorów. Wysłuchaliby mnie, przybierając uroczyste miny, a po moim wyjściu śmialiby się do rozpuku z wymysłów „szalonego matematyka". I nie skinęliby nawet palcem.

— Co w takim razie zrobimy? — spytał Raych, wracając do tematu.

— Raczej co ty zrobisz w tej sprawie, Raych. Potrzebuję więcej dowodów i chcę, byś mi ich dostarczył. Wysłałbym twoją matkę, ale ona nie zostawi mnie pod żadnym pozorem. Sam w tej chwili nie mogę opuścić pałacu. Poza Dors ufam tylko tobie. A prawdę mówiąc, tobie ufam bardziej niż Dors. Wciąż jesteś młody i silny i jesteś lepszym i sprytniejszym Helikończykiem, niż ja kiedykolwiek byłem. Nie chcę, żebyś ryzykował życiem. Żadnego heroizmu ani popisywania się. Nie mógłbym spojrzeć twojej matce w oczy, gdyby coś ci się stało. Dowiedz się tylko, czego będziesz mógł. Może zdobędziesz informacje, że Namarti żyje i działa, a może, że już zmarł. Może dowiesz się, że joranumici są aktywni, a może, że poszli w rozsypkę. Może zorientujesz się, że dynastia Wyeńska ma złe zamiary, a może, że nie. Każda informacja będzie interesująca, ale nie zdobywaj ich za wszelką cenę. Szczególnie zależy mi na zbadaniu, czy jak podejrzewam, uszkodzenia infrastruktury spowodował człowiek, a jeszcze bardziej, czy jeśli spowodowano je umyślnie, to co jeszcze planują konspiratorzy. Podejrzewam, że planują coś znacznie gorszego, a jeśli

tak jest, muszę wiedzieć, co zamierzają zrobić.

— Od czego miałbym zacząć? Masz jakiś plan? — spytał ostrożnie Raych.

— Tak, Raych. Chciałbym, żebyś udał się tam, gdzie zabito Kaspalova. Jeśli zdołasz, dowiedz się, czy był aktywnym joranumitą, i sprawdź, czy mógłbyś przeniknąć do jakiejś ich komórki.

— Może da się to zrobić. Zawsze przecież mogę udawać, że jestem starym joranumitą. Co prawda, miałem niewiele lat, gdy Jo-Jo głosił swoje idee, ale byłem pod ich wrażeniem. Taka jest prawda.

— No tak, ale jest tu pewien szkopuł. Możesz zostać rozpoznany. Jesteś przecież synem Pierwszego Ministra. Pojawiałeś się od czasu do czasu w holowizji i przeprowadzano z tobą wywiady dotyczące twoich poglądów na sprawę równości sektorów.

— Jasne, ale…

— Żadnych ale, Raych. Będziesz nosił buty na obcasach, żeby dodać sobie kilka centymetrów, przyślę ci też kogoś, kto pokaże ci, jak zmienić kształt brwi, uwypuklić twarz i zmienić tembr głosu.

Raych wzruszył ramionami.

— Po co tyle niepotrzebnego zachodu?

— A poza tym — rzekł Seldon nieco drżącym głosem — zgolisz wąsy.

Raych otworzył szeroko oczy i przez chwilę siedział, nie odzywając się ani słowem. Wreszcie spytał ochrypłym szeptem:

— Mam zgolić wąsy?

— I to bardzo starannie. Bez nich nikt cię nie rozpozna.

— Nie mogę tego zrobić. To jakbym miał sobie uciąć… to jak kastracja.

Seldon pokręcił głową.

— Wąsy to tylko kulturowa ciekawostka. Yugo Amaryl też jest Dahlijczykiem, a nie nosi wąsów.

— Yugo to wariat! Jemu do życia nie jest potrzebne nic prócz matematyki.

— Jest wielkim matematykiem, a to, że nie ma wąsów, w niczym nie zmienia tego faktu. Poza tym nie możesz porównywać zgolenia wąsów do kastracji. One odrosną w dwa tygodnie.

— Dwa tygodnie! Akurat! Upłyną dwa lata, zanim osiągną taki… taki…

Podniósł ręce, jakby chciał zakryć i ochronić wąsy.

Seldon był jednak nieubłagany.

— Raych, musisz to zrobić. To ofiara, którą musisz złożyć. Jeśli będziesz moim szpiegiem, mając wąsy, stanie ci się krzywda. Nie mogę do tego dopuścić.

— Wolę raczej umrzeć — rzucił Raych, poruszony do żywego.

— Nie zachowuj się melodramatycznie — powiedział poważnie

Seldon. — Wcale nie umrzesz, a poza tym musisz to zrobić. Jednak — tu zawahał się — nie mów nic o tym matce. Ja się tym zajmę.

Raych patrzył na ojca sfrustrowany, a potem rzekł cicho i z desperacją:

— No dobrze, tato.

— Znajdę kogoś, kto pomoże ci się przeistoczyć, a potem polecisz do Wye odrzutowcem. Głowa do góry, Raych, to jeszcze nie koniec świata.

Raych uśmiechnął się blado. Seldon z zatroskaniem patrzył, jak odchodzi. Łatwo jest odzyskać wąsy, ale nie tak łatwo syna. Helikończyk doskonale wiedział, że wysyła Raycha z niebezpieczną misją.

9

Wszyscy mamy swoje małe złudzenia, a Cleon — Imperator Galaktyki, Król Trantora, posiadający pokaźną kolekcję innych górnolotnych tytułów, które przywoływano czasami przy odpowiednich okazjach — był przekonany, że w głębi duszy jest demokratą.

Złościł się zawsze, gdy Demerzel czy później Seldon upominali go, że podjęcie jakiegoś działania może zostać uznane za przejaw tyranii lub despotyzmu.

Z usposobienia nie był tyranem ani despotą — tego był pewien; chciał jedynie podejmować stanowcze i zdecydowane kroki.

Wielokrotnie wspominał z nostalgią dawne czasy, gdy imperatorzy mogli się swobodnie spotykać ze swoimi poddanymi, ale teraz, kiedy historia zamachów stanu i skrytobójczych mordów — udanych bądź jedynie ich usiłowań — stała się przerażającym faktem, imperator z konieczności został odcięty od świata.

Wątpliwe, by Cleon, który poza wyjątkowymi okolicznościami nigdy w życiu nie spotykał się z ludźmi, czuł się naprawdę swobodnie wśród obcych, jednak zawsze wyobrażał sobie, że sprawiłoby mu to radość. Był podniecony, gdy mógł czasami porozmawiać z jedną z podrzędnych figur w pałacu, uśmiechnąć się i choć na kilka chwil porzucić pułapki dworskiej etykiety. Już to sprawiało, że czuł się demokratą.

Weźmy na przykład tego ogrodnika, z którym rozmawiał Seldon. Wypadałoby, wręcz byłoby miło wynagrodzić go w końcu za jego lojalność i odwagę — i lepiej byłoby zrobić to osobiście, niż wydać polecenie jakiemuś urzędnikowi.

Dlatego też kazał zaaranżować spotkanie z tym człowiekiem w olbrzymim ogrodzie różanym, który był właśnie w pełnym rozkwicie. Cleon pomyślał, że będzie to odpowiednie miejsce, choć oczywiście najpierw muszą tam przyprowadzić tego ogrodnika. Nie do pomyślenia było, żeby imperator musiał na kogoś czekać. Co innego być demokratą, a co innego przestrzegać zasad postępowania.

Ogrodnik czekał na niego pośród róż; wytrzeszczał oczy i drżały mu usta. Cleon podejrzewał, że nikt nie powiedział temu człowiekowi, jaki jest prawdziwy powód spotkania. No cóż, sam będzie musiał go uprzejmie ośmielić — tyle tylko że nie mógł sobie teraz przypomnieć nazwiska tego człowieka.

Zwrócił się do jednego z urzędników i spytał:

— Jak się nazywa ten ogrodnik?

— To Mandell Gruber, panie. Jest naszym ogrodnikiem od trzydziestu lat.

Imperator skinął głową i rzekł:

— Ach, Gruber. Jakże miło mi poznać tak wartościowego i pracowitego ogrodnika.

— Panie — wymamrotał Gruber, dzwoniąc zębami. — Nie jestem zbyt uzdolniony, ale zawsze robię co w mojej mocy dla dobra Waszej Wysokości.

— Oczywiście, oczywiście — potwierdził imperator, zastanawiając się, czy mężczyzna podejrzewa go o sarkazm. Tym ludziom z niższych sfer brakuje delikatniejszych uczuć, a to utrudnia każdą próbę zamanifestowania demokratycznej postawy.

— Słyszałem od mojego Pierwszego Ministra o lojalności, którą okazałeś, stając w jego obronie, oraz o talencie, jaki wykazujesz, dbając o ogrody. Pierwszy Minister mówi, że jesteście bardzo zaprzyjaźnieni.

— Panie, Pierwszy Minister jest dla mnie wielce łaskawy, aleja znam swoje miejsce. Nigdy nie odzywam się do niego, póki on nie odezwie się pierwszy.

— To dobrze, Gruber. W ten sposób dowodzisz swoich dobrych manier, ale Pierwszy Minister, podobnie jak ja, jest demokratą, a ja ufam jego osądowi ludzi.

Ogrodnik pokłonił się nisko.

— Jak wiesz, Gruber — rzekł imperator — Naczelny Ogrodnik Malcomber jest już dość stary i nie może się doczekać emerytury. Nie jest w stanie podołać swym obowiązkom.

— Panie, Naczelny Ogrodnik jest wielce szanowany przez wszystkich ogrodników. Powinien jak najdłużej pozostać na swoim stanowisku, byśmy mogli się zwracać do niego i czerpać z jego mądrości oraz sądów.

— Dobrze powiedziane, Gruber — rzucił niedbale Cleon — ale sam dobrze wiesz, że to tylko takie gadanie. Nie pozostanie na stanowisku, choćby dlatego, że brak mu już sił. Od roku prosi o przeniesienie na emeryturę, więc przyznałem mu ją. Pozostaje tylko znaleźć następcę.

— Ależ panie, jest co najmniej pięćdziesięcioro mężczyzn i kobiet, którzy mogliby objąć stanowisko Naczelnego Ogrodnika.

— Też tak sądzę, ale ja wybrałem ciebie — odparł Cleon i uśmiechnął się wspaniałomyślnie. Właśnie na ten moment czekał. Spodziewał się, że Gruber padnie teraz na kolana w przypływie ekstatycznej wdzięczności. Nic takiego nie nastąpiło, więc imperator spochmurniał.

— Panie, to zbyt wielki zaszczyt dla mnie — powiedział Gruber.

— Nonsens — rzekł Cleon dotknięty tym, że jego postanowienie zostało podane w wątpliwość. — Już najwyższy czas, by twoje przymioty zostały docenione. Nie będziesz już musiał przez cały rok

wystawiać się na działanie różnych warunków atmosferycznych. Dostaniesz biuro Naczelnego Ogrodnika, wspaniałe miejsce, które każę dla ciebie odnowić i gdzie będziesz mógł zamieszkać z rodziną. Masz rodzinę, prawda, Gruber?

— Tak, panie. Żonę i dwie córki. I zięcia.

— Bardzo dobrze. Będzie wam tam wygodnie, a nowe życie da ci wiele radości. Będziesz pracował w pałacu, z dala od wpływów pogody, jak prawdziwy Trantorczyk.

— Panie, zważ proszę, że jestem Anakreończykiem.

— Wziąłem to pod uwagę, Gruber. Imperator traktuje wszystkie światy jednakowo. Wszystko już postanowione. Zasłużyłeś na tę nową pracę.

Ogrodnik tylko skinął głową i oddalił się.

Cleon był usatysfakcjonowany swoim ostatnim dobrym uczynkiem. Oczywiście, wolałby, by ogrodnik okazał nieco więcej wdzięczności, nieco więcej uznania, ale przynajmniej zadanie zostało wykonane.

Znacznie łatwiej było załatwić tę sprawę, niż rozwiązać problem sypiącej się infrastruktury.

W chwili rozdrażnienia oznajmił, że jeśli awarie te spowodował człowiek, to powinien on zostać natychmiast stracony.

— Wystarczy kilka egzekucji, a zobaczycie, jak ostrożni staną się wszyscy — powiedział.

— Obawiam się, panie — odparł wtedy Seldon — że takie despotyczne postępowanie nie spełni twoich oczekiwań. Prawdopodobnie doprowadzi do ogłoszenia strajku, a jeśli spróbujesz zmusić robotników do podjęcia pracy, wybuchnie bunt. Jeśli natomiast zechcesz zastąpić ich żołnierzami, zrozumiesz, że ci nie wiedzą, jak kontroluje się urządzenia, i w efekcie awarie zaczną się pojawiać znacznie częściej.

Nic dziwnego zatem, że Cleon z ulgą wrócił do tematu mianowania nowego Naczelnego Ogrodnika.

Jeśli zaś chodzi o Grubera, to spoglądał na oddalającego się imperatora z przerażeniem w oczach. Miano go zesłać z wolnego świata, otwartej przestrzeni w duszne więzienie czterech ścian. Jakże jednak ktoś mógłby odmówić imperatorowi?

10

Raych popatrzył ponuro w lustro w pokoju hotelowym w Wye. Pokój był w strasznym stanie, ale Raych nie powinien mieć przy sobie zbyt wielu kredytów. Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Jego wąsy zostały zgolone, bokobrody skrócone, a włosy spięto po bokach i z tyłu. Wydawało mu się, że wygląda jak oskubany. Gdzież tam — jeszcze gorzej. Po zmianie rysów twarzy wyglądał jak dziecko.

Patrzył na siebie z obrzydzeniem. A poza tym nie posunął się ani o krok. Seldon dał mu raporty służb bezpieczeństwa dotyczące śmierci Kaspalova, a on dokładnie je przestudiował. Niewiele w nich znalazł. Tylko tyle, że Kaspalov został zamordowany, a miejscom funkcjonariusze nie znaleźli nic ważnego, co wiązałoby się z tym morderstwem. W każdym razie wyglądało na to, że służby bezpieczeństwa nie przywiązywały do tego zbytniej wagi.

Nic dziwnego. W ostatnim stuleciu na większości światów nastąpił wyraźny wzrost przestępczości, szczególnie zaś na niezwykle złożonym Trantorze, tymczasem lokalne siły bezpieczeństwa jakoś nie spieszyły się, by zrobić coś w tej sprawie. Prawdę mówiąc, wszędzie zmniejszyła się liczebność aparatu bezpieczeństwa, a jednocześnie (choć trudno to udowodnić) był on coraz bardziej nieudolny i skorumpowany. Musiało się tak stać, skoro pensje funkcjonariuszy nie nadążały za wzrostem kosztów utrzymania. Należy dobrze wynagradzać urzędników, jeśli mają być uczciwi. W przeciwnym razie na pewno postarają się w inny sposób wyrównać sobie zbyt niskie pobory.

Seldon mówił o tym od wielu lat, ale nie na wiele to się zdało. Nie można było podwyższyć wynagrodzeń bez podniesienia podatków, a gdyby wprowadzono wyższe podatki, wśród ludności wybuchłyby zamieszki. Ludzie woleli tracić nawet dziesięciokrotnie, wręczając łapówki.

Wszystko to było, jak utrzymywał Seldon, częścią postępującej w ciągu ostatnich dwustu lat degeneracji społeczeństwa.

Co w takich warunkach mógł zdziałać Raych? Znalazł się w tym samym hotelu, w którym mieszkał Kaspalov, zanim został zamordowany. Gdzieś w tym hotelu mógł się znajdować ktoś, kto był w to zamieszany albo znał osobę, która miała z tym coś wspólnego.

Raych doszedł do wniosku, że musi zwrócić na siebie uwagę. Gdy okaże zainteresowanie śmiercią Kaspalova, ktoś zainteresuje się nimi sam do niego dotrze. Było to niebezpieczne, ale jeśli będzie się zachowywał wystarczająco spokojnie, może nie zaatakują go natychmiast.

No cóż…

Popatrzył na zegarek. W barze powinni już być miłośnicy aperitifów. Mógłby do nich dołączyć i przekonać się, co się stanie… jeśli w ogóle coś się stanie.

11

Pod pewnymi względami Wye było całkiem purytańskim sektorem. (Właściwe dotyczyło to wszystkich sektorów, choć surowość obyczajów w jednym mogła dotyczyć całkiem innej dziedziny życia niż w drugim.) Tu, w Wye, serwowano syntetyczne, bezalkoholowe napoje. Raychowi nie smakowały, nie był bowiem do nich przyzwyczajony, ale właśnie dlatego mógł powoli sączyć drinka i rozglądać się dokoła.

Zauważył, że kilka stolików dalej siedzi młoda kobieta, i nie mógł oderwać od niej wzroku. Była bardzo atrakcyjna; najwyraźniej Sektor Wye nie był purytański pod każdym względem.

Po chwili kobieta uśmiechnęła się lekko i wstała. Ruszyła w kierunku stolika Raycha, a on obserwował ją, rozmyślając. Z żalem doszedł do wniosku, że niestety nie może sobie w tej chwili pozwolić na żadną przygodę.

Dziewczyna zatrzymała się na chwilę przy stoliku Raycha, a potem zgrabnie wśliznęła na stojące obok krzesło.

— Cześć — odezwała się. — Nie wyglądasz na stałego bywalca.

— Bo nie jestem — odpowiedział z uśmiechem. — Znasz tu wszystkich stałych bywalców?

— Mniej więcej — rzuciła, wcale nie zakłopotana. — Mam na imię Manella. A ty?

Raych żałował bardziej niż kiedykolwiek. Dziewczyna była wysoka, wyższa niż on, gdy nie miał butów na obcasach. Zawsze mu się takie podobały — ta miała jasną cerę i długie, lekko kręcone włosy, w których pobłyskiwały kasztanowe pasemka. Jej ubranie nie było zbyt krzykliwe i mogłaby, gdyby się tylko bardziej postarała, uchodzić za szacowną kobietę z klasy, która nie musiała zbyt ciężko pracować.

— To, jak mam na imię, nie ma znaczenia — odparł Raych. — Nie mam wielu kredytów.

— Och. To fatalnie — skrzywiła się Manella. — A możesz ich trochę zdobyć?

— Chciałbym. Szukam pracy. Może wiesz o jakiejś?

— Jakiego rodzaju? Wzruszył ramionami.

— Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia, ale nie jestem wybredny. Dziewczyna popatrzyła na niego poważnie.

— Powiem ci coś, Panie Bezimienny. Czasami wcale nie trzeba mieć kredytów.

Raycha natychmiast zmroziło. Miał powodzenie u kobiet, ale wtedy, kiedy nosił wąsy… swoje wąsy. Co mogła zobaczyć w jego dziecinnej twarzy?

— Coś ci powiem — odezwał się. — Mam przyjaciela, który mieszkał tu kilka tygodni temu, i nie mogę go znaleźć. Skoro znasz wszystkich stałych bywalców, to może pamiętasz i jego. Nazywa się Kaspalov. Kaspal Kaspalov — dodał nieco głośniej.

Manella spojrzała na niego pustym wzrokiem i pokręciła głową.

— Nie znam nikogo o tym nazwisku.

— To fatalnie. On jest joranumitą, tak jak i ja. — Znów dostrzegł tylko puste spojrzenie. — Wiesz, kto to jest joranumita?

— N-nie. — Pokręciła głową. — Słyszałam to słowo, ale nie wiem, co oznacza. Czy to jakiś rodzaj pracy?

— Za długo by wyjaśniać — odpowiedział rozczarowany. Zabrzmiało to jak odprawa, więc po chwili wahania Manella wstała i odeszła. Nie uśmiechała się, a Raych i tak był nieco zdziwiony, że tak długo z nim rozmawiała.

(Cóż, Seldon zawsze twierdził, że Raych potrafi wzbudzać pozytywne uczucia, lecz z pewnością nie dotyczyło to kobiet tego rodzaju. Dla takich najważniejsza była zapłata.)

Raych bezwiednie śledził Manellę wzrokiem, ta zaś zatrzymała się przy stoliku, przy którym siedział samotny mężczyzna. Był w średnim wieku, miał żółte niczym masło włosy i proste plecy. Ogolił się bardzo starannie, ale Raychowi wydawało się, że wcześniej nosił brodę. Miał zbyt wystający i nieco asymetryczny podbródek.

Najwyraźniej dziewczyna nie miała szczęścia i u tego bezbrodego. Zamieniła z nim tylko kilka słów i odeszła. Fatalnie, ale zapewne nieczęsto zdarzało się jej coś takiego. Niewątpliwie podobała się mężczyznom.

Raych zastanawiał się, jaki przebieg miałoby ich spotkanie, gdyby mógł… i właśnie wtedy uświadomił sobie, że ktoś do niego dołączył — tym razem mężczyzna. Prawdę mówiąc, był to ten sam mężczyzna, z którym przed chwilą rozmawiała Manella. Raych był zdziwiony, że tak się zamyślił, a przez to dał się zaskoczyć. Nie mógł dopuścić, by takie sytuacje się powtarzały.

Mężczyzna spoglądał na niego z błyskiem zaciekawienia.

— Rozmawiał pan przed chwilą z moją przyjaciółką. Raych nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

— To bardzo przyjaźnie nastawiona osoba.

— Tak, to prawda. Jest moją dobrą przyjaciółką. Trudno mi było się powstrzymać, by was nie podsłuchiwać.

— Chyba nie mówiliśmy o niczym złym.

— Ależ skąd, ale powiedział pan, że jest joranumitą.

Raychowi gwałtownie zabiło serce. A więc jednak jego rozmowa z Manellą na coś się zdała. Jej to nic nie mówiło, ale chyba mówiło coś jej „przyjacielowi”.

Czy znaczyło to, że znalazł się na właściwej drodze? A może

wpadł w tarapaty?

12

Raych starał się przyjrzeć nowemu towarzyszowi, zachowując jednocześnie naiwną minę. Mężczyzna miał przenikliwe zielonkawe oczy, a prawą dłoń leżącą na stole zacisnął groźnie w pięść. Raych wpatrywał się jak sowa w jego drugą dłoń i czekał.

— Jak rozumiem, powiedział pan, że jest joranumitą — powtórzył mężczyzna.

Młodzieniec robił co mógł, by wyglądać na zakłopotanego; przychodziło mu to bez trudu.

— Dlaczego pan o to pyta?

— Bo myślę, że nie jesteś dostatecznie dorosły.

— Jestem dostatecznie dorosły. Oglądałem przemówienia Jo-Jo Joranum w holowizji.

— Możesz zacytować jego słowa?

— Nie, ale wiem, o czym mówił — odparł Raych, wzruszając ramionami.

— Jesteś odważnym młodym człowiekiem, skoro przyznajesz się tak otwarcie, że jesteś joranumitą. Niektórzy ludzie nie lubią tego.

— Mówiono mi, że w Wye jest wielu joranumitów.

— Być może. Czy dlatego tu przybyłeś?

— Szukam pracy. Mam nadzieję, że pomoże mi jakiś inny joranumitą.

— W Dahlu też są joranumici. Skąd pochodzisz?

Mężczyzna niewątpliwie rozpoznał akcent Raycha. Tego nie dało się zmienić.

— Urodziłem się w Millimaru, ale gdy dorastałem, mieszkałem głównie w Dahlu.

— Co tam robiłeś?

— Nic specjalnego. Chodziłem do szkoły.

— A dlaczego jesteś joranumitą?

Raych dał się nieco ponieść wyobraźni. Nie mógł przecież mieszkać w uciemiężonym i dyskryminowanym Dahlu i nie mieć oczywistych powodów, by zostać joranumitą.

— Bo sądzę, że Imperium powinno mieć bardziej reprezentatywny rząd, z większym udziałem ludu. Powinna też panować większa równość sektorów i światów. Czyż ktokolwiek, kto ma rozum i serce, nie podziela moich poglądów?

— I chciałbyś doczekać zniesienia urzędu imperatora?

Raych zamilkł. Odwrócenie pewnych stwierdzeń może wypaczyć sens wypowiedzi, ale wypowiadanie się przeciwko imperatorowi równałoby się przekroczeniu dozwolonych granic.

— Tego nie powiedziałem. Wierzę w imperatora, ale zarządzanie

całym Imperium to zbyt wiele jak na jednego człowieka.

— To nie jest jeden człowiek. Istnieje cała imperialna biurokracja. Co sądzisz o Harim Seldonie, Pierwszym Ministrze?

— Nic. Nie znam go.

— Twierdzisz jedynie, że ludzie powinni być lepiej reprezentowani w poczynaniach rządu. Czy tak?

Raych starał się wyglądać na zmieszanego.

— Właśnie tak mawiał Jo-Jo. Nie wiem, jak pan to nazywa. Słyszałem, jak pewnego razu ktoś nazwał to „demokracją", ale nie wiem, co to znaczy.

— Demokracja to coś, czego próbowały niektóre światy. Pewne wciąż jej próbują. Nie wiem, czy właśnie te są zarządzane lepiej niż inne. A więc jesteś demokratą?

— Czy tak nazywacie takich jak ja? — Raych opuścił głowę, jakby się głęboko zamyślił. — Lepiej się czuję jako joranumitą.

— Oczywiście, jako Dahlijczyk…

— Mieszkałem tam tylko przez jakiś czas.

— …jesteś za równością ludzi i innymi prawami. To naturalne, że Dahlijczycy, którzy są represjonowaną grupą, myślą w ten sposób.

— Słyszałem, że w Wye idee Joranum są dość żywe. Tu ludzie nie są represjonowani.

— Są inne powody. Starzy burmistrzowie Wye zawsze pragnęli być imperatorami. Wiedziałeś o tym?

Raych pokręcił głową.

— Osiemnaście lat temu — powiedział mężczyzna — burmistrz Rashelle niemal udało się dokonać zamachu stanu, aby to osiągnąć. Dlatego obywatele Wye są rebeliantami, nie tyle joranumitami, ile przede wszystkim przeciwnikami Cleona.

— Nic o tym nie wiem. Ja nie występuję przeciwko imperatorowi.

— Ale zależy ci na reprezentacji ludu, prawda? Sądzisz, że wybrani w drodze elekcji przedstawiciele społeczeństwa mogliby zarządzać Imperium Galaktycznym bez nurzania się w bagnie polityki i sprzeczek stronnictw? Bez porażek?

— Co? — spytał Raych. — Nie rozumiem.

— Sądzisz, że bardzo wielu ludzi zdoła szybko podjąć pewne decyzje w chwili zagrożenia? A może raczej będą siedzieć i kłócić się ze sobą?

— Nie wiem, ale to chyba nie jest w porządku, by zaledwie kilku ludzi miało podejmować wszelkie decyzje dotyczące całej Galaktyki.

— Jesteś skłonny walczyć o swoje przekonania czy chcesz jedynie o nich gadać?

— Nikt mnie nie prosił, bym zaczął walczyć — odparł Raych.

— Załóżmy, że ktoś by to zrobił. Jak ważne są dla ciebie twoje przekonania dotyczące demokracji czy też filozofii joranumitów?

— Walczyłbym o nie… gdybym uważał, że to przyniesie coś dobrego.

— Dzielny z ciebie chłopak. A więc przybyłeś do Wye, by walczyć o swoje przekonania.

— Nie — rzekł zmieszany Raych. — Nie mogę powiedzieć, że po to się tu znalazłem. Przybyłem, by poszukać pracy, proszę pana. Ostatnio nie jest o nią łatwo, a ja nie mam kredytów. Mężczyzna musi mieć na życie.

— Zgadzam się z tobą. Jak się nazywasz?

Pytanie padło bez ostrzeżenia, ale Raych był na nie przygotowany.

— Planchet, proszę pana.

— To twoje imię czy nazwisko?

— Tylko nazwisko, o ile wiem.

— Nie masz kredytów i jak się domyślam, nie jesteś wykształcony.

— Obawiam się, że tak właśnie jest.

— I nie masz doświadczenia w żadnej specjalistycznej pracy?

— Nie pracowałem zbyt wiele, ale chciałbym pracować.

— W porządku. Powiem ci coś, Planchet. — Mężczyzna wyjął z kieszeni mały biały trójkąt i nacisnął go tak, by uaktywnić wydrukowaną informację. Następnie potarł trójkąt kciukiem, chcąc wyłączyć nadawanie. — Powiem ci, dokąd pójść. Weźmiesz to, a być może ułatwi ci to znalezienie pracy.

Raych wziął płytkę i przyglądał się jej. Sygnały jakby fluoryzowały, ale nie mógł ich odczytać. Spojrzał podejrzliwie na mężczyznę.

— A co będzie, jeśli pomyślą, że ją ukradłem?

— Nie można jej ukraść. Jest na niej mój podpis, a teraz także twoje nazwisko.

— A jeśli spytają mnie, kim jesteś?

— Nie spytają… Mówisz, że szukasz pracy. Oto twoja szansa. Nie mogę niczego gwarantować, ale masz szansę. — Podał Raychowi drugą płytkę. — Tu jest napisane, dokąd masz iść.

Tę Raych potrafił już przeczytać.

— Dziękuję — wymamrotał.

Mężczyzna jednym gestem zakończył rozmowę.

Raych wstał i odszedł, zastanawiając się, w co się wplątał.

13

Tam i z powrotem. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem.

Gleb Andorin obserwował chodzącego mozolnie Gambola Deena Namartiego. Namarti najwyraźniej nie mógł usiedzieć spokojnie, miotany gwałtownymi uczuciami.

Andorin myślał: On nie jest najbłyskotliwszym człowiekiem w Imperium ani nawet w naszym ruchu, nie jest najprzebieglejszy i z pewnością nie zawsze myśli racjonalnie. Wciąż trzeba go powstrzymywać, ale zaszedł dalej niż którykolwiek z nas. My byśmy się poddali, odpuścili, ale nie on. Naciskaj, ciągnij, dźgaj, kop. Cóż, może potrzebujemy kogoś takiego? Musimy mieć kogoś takiego, bo w przeciwnym razie nic się nigdy nie stanie.

Namarti zatrzymał się, jakby czuł na plecach palący wzrok Andorina. Odwrócił się i powiedział:

— Jeśli znów zamierzasz prawić mi kazanie na temat Kaspalova, to radzę ci, nie trudź się.

Andorin nieznacznie wzruszył ramionami.

— Dlaczego miałbym ci prawić kazanie? Wykonano zadanie. Krzywda, jeśli to jest krzywda, już się stała.

— Jaka znowu krzywda, Andorin? Jaka krzywda? Gdybym tego nie zrobił, to nam stałaby się krzywda. Ten człowiek był o krok od zdrady. Nie minąłby miesiąc, a pobiegłby…

— Wiem. Byłem tam. Słyszałem, co powiedział.

— W takim razie rozumiesz, że nie mieliśmy wyboru. Żadnego wyboru. Chyba nie sądzisz, że zabicie starego przyjaciela sprawiło mi przyjemność? Nie miałem wyboru.

— Doskonale. Nie miałeś wyboru.

Namarti znów zaczął się przechadzać, a potem raz jeszcze się odwrócił.

— Andorin, czy ty wierzysz w bogów?

— W co? — spytał mężczyzna, patrząc uważnie na Namartiego.

— W bogów.

— Nigdy nie słyszałem tego słowa. Co to takiego?

— Tego słowa nie ma w Standardowym Języku Galaktycznym. Oznacza wpływ sił nadprzyrodzonych. A więc?

— Och, wpływ sił nadprzyrodzonych. Trzeba było od razu tak mówić. Nie, nie wierzę w coś takiego. Już z samej definicji wynika, że jeśli coś jest nadprzyrodzone, to jest ponad prawami natury, a nic nie istnieje ponad prawami natury. Zwracasz się ku mistycyzmowi? — Andorin zadał to pytanie żartem, ale zmrużył oczy, jakby się czymś martwił.

Namarti przyglądał mu się. Tym płonącym wzrokiem potrafił

przygwoździć każdego.

— Nie bądź głupcem. Czytałem o tym. Biliony ludzi wierzą w siły nadprzyrodzone.

— Wiem — odparł Andorin. — Ludzie zawsze w to wierzyli.

— Wierzyli w to, zanim jeszcze zaczęła się historia. Nie jest znane pochodzenie słowa „bogowie". Najwyraźniej jest jedyną pozostałością po jakimś archaicznym języku… Czy wiesz, ile jest różnych odmian wiary i najróżniejszych bogów?

— Powiedziałbym, że w przybliżeniu tyle, ilu jest głupców w populacji Galaktyki.

Namarti zignorował te słowa.

— Niektórzy uważają, że słowo to datuje się na czasy, gdy cała ludzkość żyła na jednej planecie.

— To tylko pomysł zaczerpnięty z mitologii. Jest tak samo obłąkańczy jak pojęcie sił nadprzyrodzonych. Nigdy nie było tylko jednego początkowego świata.

— Musiał być, Andorin — powiedział rozdrażniony Namarti. — Istoty ludzkie nie mogły przechodzić ewolucji na różnych światach, a mimo to stworzyć jeden gatunek.

— Nawet jeśli to prawda, to daremnie by szukać kolebki ludzkości. Nie można jej zlokalizować ani zdefiniować, więc nie można o niej sensownie mówić, czyli w efekcie taki świat nie istnieje.

— Ci bogowie — rzekł Namarti, kontynuując swoje rozumowanie — mieli chronić ludzkość i dbać ojej bezpieczeństwo, a przynajmniej troszczyć się o tę część ludzkości, która wiedziała, jak oddawać im cześć. Kiedy istniał tylko jeden świat zamieszkany przez ludzi, założenie, że bogowie zadbają o maleńki świat i garstkę jego mieszkańców, miało sens. Pewnie dbali o taki świat tak, jakby byli starszymi braćmi albo rodzicami.

— To miło z ich strony. Chciałbym ich widzieć, jak starają się uporać z całym Imperium.

— A gdyby mogli to zrobić? A gdyby mieli nieskończone możliwości?

— A co by było, gdyby słońce zamarzło? Co za pożytek z tego gdybania?

— Ja tylko spekuluję. Po prostu głośno myślę. Nigdy nie pozwalasz swemu umysłowi wędrować swobodnie? Zawsze trzymasz wszystko w karbach?

— Powinienem się zastanowić nad tym najbezpieczniejszym sposobem, nad trzymaniem wszystkiego w karbach. A co podpowiada tobie, szefie, twój wędrujący swobodnie umysł?

Namarti spojrzał na Andorina, jakby podejrzewał go o sarkazm, ale z jego twarzy niczego nie można było wyczytać.

— Mój umysł podpowiada mi, że… jeśli bogowie istnieją, to

muszą stać po naszej stronie.

— To by było cudowne… gdyby było prawdziwe. A gdzie dowody na to?

— Dowody? Bez bogów zachodziłby jedynie zbieg okoliczności, choć bardzo korzystny.

Nagle Namarti ziewnął i usiadł; wyglądał na wyczerpanego. Dobrze, pomyślał Andorin. Może skończyła się galopada jego myśli i wreszcie zacznie mówić rozsądnie.

— Jeśli chodzi o wewnętrzne załamania infrastruktury… — powiedział dużo ciszej Namarti.

Andorin przerwał mu.

— Wiesz, szefie, Kaspalov nie mylił się tu tak całkiem. Im dłużej prowadzimy tę działalność, tym większe są szansę, że imperialne siły bezpieczeństwa odkryją przyczynę niepowodzeń. Cały program, wcześniej czy później, musi się obrócić przeciwko nam.

— Jeszcze nie teraz. Do tej pory wszystko obracało się przeciwko Imperium. Wyczuwam niepokój na Trantorze. — Uniósł ręce i zaczął rozcierać palce. — Czuję to. A my prawie wykonaliśmy plan. Jesteśmy gotowi do następnego ruchu.

Andorin uśmiechnął się, rozweselony.

— Nie pytam o szczegóły, szefie. Kaspalov pytał, no i zobacz, dokąd go to zaprowadziło. Ja nie jestem Kaspalovem.

— Mogę ci powiedzieć właśnie dlatego, że nie jesteś Kaspalovem, i dlatego, że wiem teraz o czymś, o czym nie wiedziałem wtedy.

— Domyślam się — powiedział Andorin, który sam ledwie wierzył w to, co mówi — że zamierzasz dobrać się do Pałacu Imperialnego.

— Oczywiście — rzekł Namarti, patrząc na niego. — Co jeszcze mógłbym zrobić? Problem jednak w tym, jak efektywnie spenetrować ten teren. Mam tam swoje źródła, ale to tylko szpiedzy. Będę potrzebował na miejscu ludzi, którzy potrafią działać.

— Nie będzie łatwo pozyskać takich na najlepiej strzeżonym terenie w całej Galaktyce.

— Jasne, że nie. Właśnie to spędzało mi do tej pory sen z powiek… ale na szczęście interweniowali bogowie.

— Nie sądzę, byśmy potrzebowali metafizycznej dyskusji — stwierdził spokojnie Andorin (wykorzystał całe swoje opanowanie, by nie pokazać, jak bardzo brzydzi go ta rozmowa). — Bez względu na to, co się stało, pozostawmy bogów w spokoju.

— Poinformowano mnie, że Jego Wysokość Wielce Ukochany Imperator Cleon I postanowił mianować nowego Naczelnego Ogrodnika. Jest pierwszym nowo mianowanym od niemal dwudziestu pięciu lat.

— I co z tego?

— Nie rozumiesz, jakie to ma znaczenie? Andorin zamyślił się na chwilę.

— Nie jestem ulubieńcem twoich bogów. Nie widzę tu żadnego znaczenia.

— Jeśli mamy nowego Naczelnego Ogrodnika, sytuacja jest taka sama, jak byśmy mieli jakiegokolwiek innego nowego administratora: to tak samo, jakby mieć nowego Pierwszego Ministra albo nowego imperatora. Nowy Naczelny Ogrodnik z pewnością zechce mieć własny personel. Zmusi do przejścia na emeryturę tych, których uzna za „stare próchno", i zatrudni setki młodszych ogrodników.

— To jest możliwe.

— To bardziej niż możliwe. To pewne. Dokładnie to samo stało się, gdy mianowano obecnego Naczelnego Ogrodnika, a także, gdy mianowano jego poprzednika, i tak dalej. Pojawią się setki obcych ze Światów Zewnętrznych…

— Dlaczego ze Światów Zewnętrznych?

— Andorin, rusz głową, jeśli masz ją na karku. Co Trantorczycy mogą wiedzieć o ogrodnictwie, skoro przez całe życie mieszkają pod kopułami, doglądają roślin doniczkowych oraz starannie zaplanowanych zbiorów zbóż i owoców? Co oni mogą wiedzieć o życiu na wolności?

— Aha. Teraz rozumiem.

— A więc tereny pałacowe zaleje tłum obcych. Zakładam, że zostaną starannie sprawdzeni, ale nie aż tak dokładnie, jak sprawdzono by ich, gdyby byli Trantorczykami. A to oznacza, że będziemy mogli podstawić kilku naszych ludzi, którzy dzięki fałszywym identyfikatorom dostaną się na teren pałacu. Jeśli nawet kilku złapią, to kilku innym może się udać… kilku musi się udać. Nasi ludzie przecieką tam mimo bardzo ostrej kontroli wprowadzonej po nieudanym zamachu na Pierwszego Ministra Seldona z początków jego panowania. — Namarti wręcz wypluł to nazwisko, tak jak zawsze, gdy musiał je wymówić. — Wreszcie będziemy mieli naszą szansę.

Teraz Andorin poczuł, że kręci mu się w głowie, jakby wpadł w wirujący lej.

— Dziwnie to zabrzmi w moich ustach, szefie, ale chyba jest coś w tym gadaniu o bogach. Czekałem, żeby powiedzieć ci coś, co jak teraz widzę, doskonale do nich pasuje.

Namarti patrzył podejrzliwie na Andorina, rozglądając się jednocześnie po pokoju, jakby nagle zaczął się obawiać podsłuchu. Jednak takie obawy były bezpodstawne. Pokój mieścił się w głębi staromodnego kompleksu rezydencjalnego i był dobrze zabezpieczony osłonami. Nikt tu nikogo nie mógł podsłuchać i nawet gdyby miał dokładne instrukcje, nie zdołałby łatwo znaleźć tego miejsca. Nie

zdołałby się też przedrzeć przez kordon ochronny, który tworzyli lojalni członkowie organizacji.

— O czym ty mówisz? — spytał.

— Znalazłem dla ciebie człowieka. Młodego i bardzo naiwnego. To całkiem sympatyczny facet, z tych, co to można im zaufać od pierwszej chwili. Ma szczerą twarz i bardzo szczere oczy; mieszkał w Dahlu, jest entuzjastą równości i uważa, że od wynalezienia coke-icera Joranum był największym cudem w historii Dahla, a poza tym jestem pewien, że bez trudu namówimy go, by zrobił wszystko dla sprawy.

— Dla sprawy? — powtórzył Namarti, którego podejrzliwość bynajmniej nie zmalała. — Czy on jest jednym z nas?

— Właściwie nie jest z nikim związany. Joranum pozostał w jego pamięci jedynie jako symbol, jako człowiek, który pragnął równości sektorów.

— To była jego przynęta dla ludu.

— A teraz jest naszą przynętą, ale ten chłopak naprawdę w to wierzy. Mówi o równości i udziale ludu w rządach. Powiedział nawet coś o demokracji.

Namarti zachichotał.

— W ciągu dwudziestu tysięcy lat były okresy, gdy wprowadzano demokrację, ale nigdy nie przetrwała długo.

— Tak, ale to już nie nasze zmartwienie. Ona jest ważna dla tego młodzieńca i wiesz, już wtedy, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, byłem pewny, że mamy nasze narzędzie, tylko nie wiedziałem jeszcze, jak go użyjemy. Teraz już wiem. Przemycimy go na tereny pałacowe jako ogrodnika.

— W jaki sposób? Czy on wie cokolwiek o ogrodnictwie?

— Nie. Jestem pewien, że nie. Pracował tylko jako niewykwalifikowany robotnik. W tej chwili obsługuje wyciągarkę, a i tego trzeba go było nauczyć. Jeśli jednak uda się nam zatrudnić go jako pomocnika ogrodnika, a on nauczy się trzymać sekator, to wszystko będziemy mieć w ręku.

— Co będziemy mieli?

— Będziemy mieli kogoś, kto nie wzbudzając cienia podejrzeń, dotrze do wybranej przez nas osoby, i to na tyle blisko, by uderzyć. Mówię ci, że on wręcz emanuje uczciwą głupotą, tego rodzaju bzdurną cnotą, która wzbudza zaufanie.

— I zrobi to, co mu każemy?

— Oczywiście.

— Jak poznałeś tego osobnika?

— To nie ja go poznałem. Tak naprawdę nadziała się na niego Manella.

— Kto?

— Manella. Manella Dubanqua.

— Och. Twoja przyjaciółka. — Namarti skrzywił się z dezaprobatą.

— Jest przyjaciółką wielu ludzi — powiedział tolerancyjnie Andorin. — Właśnie dlatego jest tak użyteczna. Potrafi bardzo szybko ocenić mężczyznę, wcale się przy tym nie wysilając. Zaczęła z nim rozmawiać, bo wydał się jej atrakcyjny, a zapewniam cię, że w tym zazwyczaj nie schodzi poniżej pewnego poziomu. A więc, jak widzisz, ten mężczyzna ma coś w sobie. Porozmawiała z nim — tak nawiasem mówiąc, nazywa się Planchet — a potem powiedziała mi: „Mam dla ciebie odpowiedniego człowieka, Gleb". Pod tym względem można jej zaufać; codziennie potrafi znaleźć odpowiedniego faceta.

— A jak sądzisz, co to twoje wspaniałe narzędzie zrobi dla nas, kiedy się już dostanie do pałacu? — spytał przebiegle Namarti.

Andorin odetchnął głęboko.

— Jak to co? Jeśli zrobimy wszystko jak należy, pozbędzie się naszego drogiego imperatora Cleona, Pierwszego tego Imienia.

Twarz Namartiego zapłonęła wściekłością.

— Co takiego?! Czyś ty oszalał?! Dlaczego mielibyśmy zabić Cleona?! Dzięki niemu możemy się dobrać do władzy. Jest fasadą, zza której możemy rządzić. Jest naszym paszportem do legalności. Gdzie się podział twój rozum? On jest nam potrzebny jako figurant. Nie będzie nam przeszkadzał, a my będziemy silniejsi dzięki jego istnieniu.

Twarz Andorina poczerwieniała, a jego dobry humor ostatecznie zniknął.

— O czym w takim razie myślisz? Co zamierzasz? Jestem już zmęczony tym ciągłym zgadywaniem.

— W porządku — rzekł Namarti, podnosząc rękę. — W porządku. Uspokój się. Nie chciałem ci sprawić przykrości. Ale pomyśl trochę, dobrze? Kto zniszczył Joranum? Kto zniszczył nasze nadzieje dziesięć lat temu? To ten matematyk. I to właśnie on rządzi teraz Imperium, gadając idiotycznie o psychohistorii. Cleon jest nikim. To Hariego Seldona musimy zniszczyć. To przeciwko Hariemu Seldonowi wymierzone były nasze akcje, to z niego kpiłem sobie tymi ciągłymi awariami infrastruktury. Nieszczęścia, jakie za sobą pociągały, obciążały jego konto. Wszystko to interpretowano jako jego nieudolność, jego nieskuteczność. — W kącikach ust Namartiego pojawił się ślad piany. — Kiedy zostanie zgładzony, będzie się radować całe Imperium, a sprawozdania z tego będą pokazywane w holowizji godzinami. Nie będzie się nawet liczyło to, czy dowiedzą się, kto to zrobił. — Uniósł rękę, a potem opuścił ją tak, jakby wbijał nóż w czyjeś serce. — Będą na nas patrzeć jak na prawdziwych bohaterów Imperium, jak na zbawców. No, jak myślisz? Sądzisz, że twój młodzieniec potrafi zabić Hariego Seldona?

Andorin odzyskał opanowanie — przynajmniej na zewnątrz.

— Jestem pewien, że potrafi — powiedział z wymuszoną swobodą. — Przed Cleonem mógłby odczuwać pewien respekt; jak wiesz, imperatora otacza jakaś mistyczna aura. (Podkreślił „jak wiesz”, a Namarti skrzywił się.) — Wobec Seldona nie będzie miał takich uczuć.

Jednak w środku Andorin był wściekły. Nie tego pragnął. Uważał, że go zdradzono.

14

Manella odgarnęła włosy z oczu i uśmiechnęła się do Raycha.

— Powiedziałam ci, że to nie będzie cię kosztowało ani kredyta. Raych zamrugał i podrapał się po nagim ramieniu.

— Ale teraz chcesz mnie o nie poprosić?

— Po co miałabym to robić? — spytała, wzruszając ramionami i uśmiechając się figlarnie.

— A dlaczego by nie?

— Bo czasami pozwalam sobie na pewne przyjemności.

— Ze mną?

— Nikogo innego tu nie ma.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie, po czym Manella powiedziała łagodnie:

— A poza tym i tak nie masz dostatecznie dużo kredytów. Jak tam praca?

— Jest lepsza niż bezrobocie. Znacznie lepsza. Czy to ty powiedziałaś temu mężczyźnie, żeby mi pomógł?

Manella powoli pokręciła głową.

— Masz na myśli Gleba Andorina? Niczego mu nie sugerowałam. Powiedziałam jedynie, że możesz być odpowiednią dla niego osobą.

— Czy nie obrazi się, że ty i ja…

— Dlaczego miałby się obrazić? To nie jego sprawa. Zresztą również nie twoja.

— Co on robi? To znaczy, przy czym pracuje?

— Nie sądzę, żeby w ogóle pracował. Jest bogaty. To krewny starych burmistrzów.

— Burmistrzów Wye?

— Tak. Nie lubi rządu imperialnego. Żaden ze starych burmistrzów go nie lubił. Powiada, że Cleon powinien… — Nagle zamilkła, a potem dodała: — Za dużo mówię. Nie powtarzaj nikomu tego, co powiedziałam.

— Ja? W ogóle nie słyszałem, żebyś o czymś mówiła. Nic nie powiem.

— To dobrze.

— Ale co z Andorinem? Czy jest wysoko pośród joranumitów? Jest tu kimś ważnym?

— Tego nie wiem.

— Czy on nigdy o tym nie mówi?

— Nie mi.

— Ach tak — powiedział Raych, starając się nie okazać zmartwienia. Manella popatrzyła na niego przenikliwie.

— Dlaczego tak się nim interesujesz?

— Chciałbym być bliżej niego. Sądzę, że w ten sposób mógłbym zajść nieco wyżej, a to oznacza lepszą pracę i więcej kredytów. No wiesz.

— Może Andorin ci pomoże. Lubi cię. Tyle wiem.

— A możesz sprawić, żeby lubił mnie bardziej?

— Mogę się postarać. Dlaczego miałby cię nie polubić? Ja cię lubię. Lubię cię bardziej niż jego.

— Dziękuję, Manello. Ja też cię lubię. Bardzo.

Raych pogładził dłonią ciało dziewczyny. Tak bardzo chciałby się skupić na niej zamiast na powierzonym zadaniu.

15

— Gleb Andorin — powiedział znużony Hari Seldon, przecierając oczy.

— A któż to taki? — spytała chłodno Dors Venabili, która od wyjazdu Raycha była rozdrażniona.

— Jeszcze kilka dni temu nic o nim nie wiedziałem — oznajmił Seldon. — W tym właśnie kłopot. Niełatwo jest rządzić światem zamieszkanym przez czterdzieści miliardów ludzi. Nigdy nic o nikim nie wiesz, może poza garstką tych, którzy sami narzucili ci się ze swoją osobą. Mimo skomputeryzowania informacji z całego świata Trantor pozostaje planetą anonimowości. Wyciągamy rejestry ludzi, którzy mają numer identyfikacyjny i statystyczny, ale kogo tak naprawdę wyciągamy? Dodaj dwadzieścia pięć milionów Światów Zewnętrznych, a cudem wyda ci się to, że Imperium Galaktyczne przetrwało przez te wszystkie tysiąclecia. Szczerze mówiąc, uważam, że przetrwało tylko dlatego, że w wielkim stopniu rządzi samym sobą. A teraz w końcu upada.

— Tyle gadania, żeby sobie pofilozofować, Hari — podsumowała Dors. — Kim jest ten Andorin?

— Kimś, kogo prawdę mówiąc, powinienem znać. Zdołałem nakłonić pochlebstwami siły bezpieczeństwa do wydobycia jego akt. Jest członkiem rodziny burmistrzów Wye, najwybitniejszym członkiem, więc wywiad ma go na oku. Uważają, że jest ambitny, ale że to zbyt wielki playboy, by zrobić użytek ze swych ambicji.

— Jest powiązany z joranumitami? Seldon wykonał nieokreślony gest.

— Odnoszę wrażenie, że wywiad niewiele wie o joranumitach. To może oznaczać, że Joranumici już nie istnieją albo, jeśli istnieją, nie mają znaczenia. Ale może też być i tak, że wywiad nie interesuje się nimi, a ja w żaden sposób nie potrafię ich do tego zmusić. Jestem w ogóle wdzięczny, że oficerowie udostępnili mi jakiekolwiek informacje. A przecież jestem Pierwszym Ministrem.

— Czy to możliwe, że nie jesteś dostatecznie dobrym Pierwszym Ministrem? — spytała oschle Dors.

— Nawet bardziej niż możliwe. Prawdopodobnie od pokoleń nie było gorszego kandydata na to stanowisko. Ale to nie ma nic wspólnego z wywiadem, który jest całkowicie niezależny. Wątpię, by sam Cleon wiedział o nim dużo, choć teoretycznie oficerowie wywiadu powinni składać mu raporty za pośrednictwem swego dyrektora. Wierz mi, gdybyśmy tylko wiedzieli więcej o siłach bezpieczeństwa, staralibyśmy się włączyć ich działania do naszych równań psychohistorycznych.

— Czy przynajmniej oficerowie wywiadu są po naszej stronie?

— Wierzę, że tak, ale nie mógłbym przysiąc.

— A dlaczego tak bardzo interesujesz się tym, jak mu tam?

— Glebem Andorinem? Bo otrzymałem okrężną drogą wiadomość od Raycha.

Oczy Dors rozbłysły.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś? Wszystko z nim w porządku?

— Z tego, co wiem, tak, ale mam nadzieję, że nie będzie już próbował przesyłać informacji. Jeśli przyłapią go na tym, zrobią mu krzywdę. W każdym razie nawiązał kontakt z Andorinem.

— Z joranumitami także?

— Nie sądzę. To by brzmiało nieprawdopodobnie, bo taki związek nie miałby sensu. Ruch joranumitów jest zdominowany przez ludzi z niższych klas… można nawet powiedzieć, że to ruch proletariacki. A Andorin jest najznamienitszym z arystokratów. Co by robił pośród joranumitów?

— Jeśli jest członkiem rodziny burmistrzów Wye, może aspirować do tronu imperialnego, nie sądzisz?

— Oni aspirowali do niego przez całe pokolenia. Pewnie pamiętasz Rashelle. Była ciotką Andorina.

— A nie sądzisz, że Andorin może chcieć wykorzystać joranumitów do zdobycia władzy?

— Jeśli oni istnieją. Jeśli tak jest, to myślę, że Androin może prowadzić niebezpieczną grę. Joranumici mają zapewne własne plany, więc w pewnej chwili może się okazać, że taki człowiek jak Andorin po prostu jedzie na greti.

— Co to jest greti?

— Pewne wymarłe już dzikie zwierzę. Na Helikonie występuje jedynie w pewnym powiedzonku. Jeśli jedziesz na greti, znaczy to, że nie możesz zsiąść, bo mogłoby cię pożreć. — Seldon przerwał na chwilę. — Jest jeszcze coś. Wygląda na to, że Raych zadaje się z pewną kobietą, która zna Andorina i za pośrednictwem której ma nadzieję uzyskać ważne informacje. Mówię ci o tym, żebyś mnie potem nie oskarżała o zatajenie czegoś.

Dors zmarszczyła brwi.

— Kobieta?

— Taka, która, jak sądzę, zna bardzo wielu mężczyzn, a ci opowiadają Jej z głupoty to, czego nie powinni mówić. Czasami w dość intymnych okolicznościach.

— Jedna z takich? — Twarz Dors spochmurniała jeszcze bardziej. — Przykro mi myśleć, że Raych…

— Przestań, przestań. Raych ma trzydzieści lat i niewątpliwie duże doświadczenie. Myślę, że nie musisz się przejmować tą ani jakąkolwiek inną kobietą, bo to jego sprawa. — Zatroskany Seldon

zwrócił się do Dors i dodał: — Myślisz, że mi się to podoba?

Dors nie wiedziała już, co powiedzieć.

16

Nawet w najlepszych czasach Gambol Deen Namarti nie słynął z łagodności i uprzejmości, a ponieważ zbliżała się dziesiąta rocznica jego działalności, był coraz bardziej rozgoryczony.

Wzburzony wstał z fotela i spytał:

— Andorin, nie szkoda ci było czasu, by przyjść tutaj? Andorin wzruszył ramionami.

— Ale już tu jestem — odpowiedział.

— A ten twój młody człowiek, to cenne narzędzie, które tak hołubisz. Gdzie on jest?

— Znajdzie się tu w razie potrzeby.

— Dlaczego nie teraz?

Andorin pochylił nieco głowę, jakby był zatopiony w myślach albo chciał podjąć jakąś decyzję, a potem rzekł szorstko:

— Nie chcę go tu przyprowadzać, póki nie wiem, na czym stoję.

— Co masz na myśli?

— Dokładnie to, co znaczą te słowa. Od jak dawna zamierzałeś pozbyć się Hariego Seldona?

— Zawsze tego chciałem! Zawsze! Czy to tak trudno zrozumieć? Chyba mamy prawo zemścić się za to, co zrobił Jo-Jo. A nawet gdyby tego nie zrobił, należy go usunąć z drogi, ponieważ jest Pierwszym Ministrem.

— Ale to Cleona, Cleona musimy usunąć. A jeszcze lepiej obu: i jego, i Seldona.

— Dlaczego tak się przejmujesz tym figurantem?

— Nie jesteś dzieckiem. Nigdy nie musiałem wyjaśniać ci mojej roli w tym wszystkim, bo nie jesteś takim ignorantem i głupcem, żebyś tego nie wiedział. Co by mnie obchodziły twoje plany, gdyby nie uwzględniały zmiany na tronie?

Namarti roześmiał się.

— Oczywiście. Od dawna wiem, że traktujesz mnie jako szczebel, po którym zdołasz się wspiąć na tron imperialny.

— A spodziewałeś się czegoś innego?

— Skądże znowu. To ja wszystko zaplanowałem, ja jestem za wszystko odpowiedzialny, a potem, kiedy wszystko już będzie gotowe, ty zgarniesz nagrodę. To ma sens, prawda?

— Tak, to ma sens. bo nagroda będzie również twoja. Czyż sam nie zostaniesz Pierwszym Ministrem? Czyż nie będziesz mógł liczyć na pełne poparcie nowego imperatora, którego przepełni wdzięczność? Czyż ja nie będę — jego twarz wykrzywiła się ironicznie, kiedy niemal wypluwał te słowa — nowym figurantem?

— Czy tym chcesz zostać? Jakimś tam figurantem?

— Chcę zostać imperatorem. Dałem sporo kredytów, kiedy nie miałeś nic. Dałem kadrę, kiedy zostałeś sam. Dałem szacunek, którego potrzebowałeś, by zbudować wielką organizację tu, w Wye. Mogę wycofać to, co wniosłem.

— Nie sądzę.

— Czyżbyś chciał zaryzykować? Nie myśl, że możesz mnie potraktować tak jak Kaspalova. Jeśli coś mi się przytrafi, ani ty, ani twoi ludzie nie będziecie mogli już dłużej przebywać w Wye… a przekonasz się. że żaden inny sektor nie zapewni ci tego, co potrzebujesz.

Namarti westchnął.

— Więc upierasz się, by imperator został zabity.

— Nie powiedziałem „zabity". Powiedziałem „pozbawiony tronu". Szczegóły pozostawiam tobie. — Ostatniemu zdaniu towarzyszył gest, którym zdawał się odprawiać kogoś, ot ruch przegubem, jakby Andorin już siedział na tronie imperialnym.

— A wtedy ty będziesz imperatorem?

— Tak.

— Nie, nie będziesz. Zostaniesz zgładzony, i to wcale nie przeze mnie. Andorin, pozwól, że dam ci lekcję życia. Jeśli Cleon zostanie zabity, wypłynie sprawa sukcesji i by uniknąć wojny domowej, Gwardia Imperialna zabije każdego członka rodziny burmistrzów Wye, którego uda jej się znaleźć… a ciebie przede wszystkim. Z drugiej strony, jeśli zginie jedynie Pierwszy Minister, będziesz bezpieczny.

— Dlaczego?

— Pierwszy Minister to tylko Pierwszy Minister. Jest powoływany i odwoływany. Niewykluczone, że sam Cleon może się nim znudzić i zaplanuje zgładzenie go. My na pewno dopilnujemy, by rozchodziły się takie pogłoski. Gwardia Imperialna będzie się wahać, a to da nam szansę wprowadzenia nowego rządu. W rzeczy samej, jest całkiem możliwe, że i oni będą wdzięczni za koniec Seldona.

— A co ja mam robić, jeśli pojawi się nowy rząd? Czekać? Do końca świata?

— Nie. Kiedy zostanę Pierwszym Ministrem, znajdzie się jakiś sposób, by uporać się z Cleonem. Może nawet będę mógł coś zrobić z Gwardią Imperialną, a nawet z wywiadem, i posłużyć się nimi. Następnie postaram się znaleźć jakiś bezpieczny sposób na pozbycie się Cleona i zastąpienie go tobą.

— Dlaczego miałbyś to zrobić?! — wybuchnął Andorin.

— Co masz na myśli, pytając, dlaczego miałbym to zrobić?

— Żywisz urazę do Seldona. Osobistą. Dlaczego miałbyś podejmować niepotrzebne ryzyko na najwyższym szczeblu, kiedy już z nim skończysz? Pogodzisz się z Cleonem, a ja będę musiał się zaszyć w mojej rozsypującej się posiadłości, gdzie będę śnił na jawie. A być

może, by się zabezpieczyć, każesz mnie zabić.

— Nie! — odparł Namarti. — Cleon urodził się, by rządzić. Pochodzi z dumnej dynastii Entun, której członkowie od kilku pokoleń zostawali imperatorami. Bardzo trudno będzie wziąć go w karby, niesłychanie trudno. Ty, z drugiej strony, obejmiesz tron jako członek nowej dynastii, nieskrępowany silnymi więzami tradycji, tak jak poprzedni imperatorzy z Wye. Zasiądziesz na chwiejnym tronie i będziesz potrzebował kogoś, kto mógłby cię wesprzeć: mnie. A ja będę potrzebował kogoś, kto na mnie polega i komu tym samym mogę zaufać: ciebie. Nie widzisz, Andorinie, że nasz związek to nie małżeństwo z miłości, która może wyblaknąć w ciągu roku? To małżeństwo z rozsądku, które przetrwa tak długo, jak długo będziemy żyli. Zaufajmy więc sobie.

— Przysięgnij, że zostanę imperatorem.

— A na co zda ci się przysięga, jeśli nie potrafisz zaufać mojemu słowu? Powiedzmy lepiej, że będę cię uważał za niezwykle użytecznego imperatora i będę chciał zastąpić tobą Cleona tak szybko, jak tylko się da to bezpiecznie przeprowadzić. A teraz przedstaw mnie temu człowiekowi, który jak myślisz, będzie doskonałym narzędziem dla naszych celów.

— Dobrze. Ale pamiętaj, dlaczego jest inny. Ja go przejrzałem. Jest niezbyt inteligentnym idealistą. Zrobi to, co mu każemy, nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo i nie zastanawiając się nad tym zbytnio. Wzbudza tak wielkie zaufanie, że jego ofiara też mu zaufa, nawet jeśli będzie trzymał miotacz.

— Doprawdy trudno mi w to uwierzyć.

— Zmienisz zdanie, gdy go poznasz — powiedział Andorin.

17

Raych spuścił wzrok. Wystarczyło, że rzucił okiem na Namartiego. To tego człowieka spotkał dziesięć lat temu, kiedy wysłano go, by przywiódł Jo-Jo do zguby, dlatego jedno spojrzenie wystarczyło aż nadto.

Przez te dziesięć lat Namarti zmienił się niewiele. Złość i nienawiść były jego dominującymi cechami i wciąż rzucały się w oczy, a przynajmniej tak się zdawało Raychowi, bo zauważył, że nie jest bezstronnym obserwatorem. Twarz Gambola schudła, włosy przyprószyła siwizna lecz drobne wargi układały się w tę samą surową linię, a ciemne oczy były równie inteligentne i niebezpieczne jak zawsze.

To wystarczyło, by Raych odwrócił wzrok. Czuł, że Namarti nie jest osobą, której można patrzeć prosto w twarz.

Natomiast Namarti pożerał Raycha wzrokiem, ale na jego twarzy, jakby przyklejony, wciąż gościł szyderczy uśmiech. Zwrócił się do Andorina, który stał zmieszany obok, i powiedział zupełnie tak, jakby obiekt rozmowy był nieobecny:

— A więc to jest ten człowiek. Andorin skinął głową i rzekł cicho:

— Tak, szefie.

Nagle Namarti rzucił do Raycha:

— Twoje nazwisko.

— Planchet, proszę pana.

— Wierzysz w naszą sprawę?

— Tak, panie. — Wypowiedział te słowa starannie, zgodnie z zaleceniami Andorina. — Jestem demokratą i pragnę większego udziału ludu w procesie rządzenia.

Namarti spojrzał na Andorina.

— Co za mówca.

Znów popatrzył na Raycha.

— Czy podejmiesz ryzyko dla sprawy?

— Wszelkie ryzyko, proszę pana.

— I zrobisz to, co każemy ci zrobić? Bez zbędnych pytań? Nie wycofasz się?

— Będę się ściśle trzymał rozkazów.

— Wiesz coś na temat ogrodnictwa? Raych zawahał się.

— Nie, proszę pana.

— Czy to znaczy, że jesteś Trantorczykiem? Urodziłeś się pod kopułą?

— Urodziłem się w Millimaru, proszę pana, a wychowałem w Dahlu.

— Bardzo dobrze — powiedział Namarti, a następnie zwrócił się

do Andorina: — Wyprowadź go stąd i przekaż ludziom tam, na zewnątrz. Dobrze się nim zaopiekują. Potem wróć tu. Chcę z tobą porozmawiać.

Kiedy Andorin wrócił, Namarti bardzo się zmienił. Błyszczały mu oczy, a usta miał wykrzywione w jakimś zwierzęcym grymasie.

— Andorin — odezwał się — nie zdawałem sobie sprawy, że bogowie, o których mówiliśmy, są nam tak przychylni.

— Mówiłem ci, że ten człowiek nadaje się do naszych celów.

— I to bardziej, niż przypuszczasz. Znasz oczywiście opowieść o tym, jak Hari Seldon, nasz szacowny Pierwszy Minister, wysłał swego syna, czy też raczej przybranego syna, by spotkał się z Joranum i zastawił na niego pułapkę, w którą Jo-Jo wpadł, gdyż nie posłuchał mojej rady.

— Tak — rzekł Andorin, kiwając głową. — Znam tę historię. — Jego ton dowodził, że aż za dobrze zna całą sprawę.

— Widziałem tego chłopca tylko raz, ale jego postać wryła mi się w pamięć. Myślisz, że dziesięć lat. podwyższone obcasy i zgolone wąsy mogą mnie zmylić? Ten twój Planchet to Raych, przybrany syn Hariego Seldona.

Andorin zbladł i na chwilę wstrzymał oddech.

— Jesteś tego pewien, szefie?

— Tak pewien jak tego, że stoisz przede mną i że wprowadziłeś tu wroga.

— Nie miałem pojęcia…

— Nie denerwuj się — powiedział Namarti. — Uważam, że to najlepsza rzecz, jaką zrobiłeś w swoim próżniaczym arystokratycznym życiu. Odegrałeś rolę, którą przeznaczyli ci bogowie. Gdybym nie wiedział, kim jest, mógłby pełnić funkcję, do której niewątpliwie go wyznaczono: byłby szpiegiem informującym o naszych tajnych planach. Skoro jednak wiem, kim jest, nie uda mu się to. Przeciwnie, teraz my mamy wszystko. — Zadowolony Namarti zacierał dłonie, po czym, zawahawszy się, jakby wiedział, jak bardzo to do niego nie pasuje, uśmiechnął się i głośno roześmiał.

18

— Chyba nie będę się już mogła z tobą widywać — powiedziała zatroskana Manella.

Raych wycierał się po prysznicu.

— Dlaczego?

Dziewczyna wzruszyła gładkimi ramionami.

— Andorin mówi, że masz do wykonania ważne zadanie, więc nie masz już czasu na zabawy. Może ma na myśli to, że dostaniesz lepszą pracę.

Raych zesztywniał.

— Jakie zadanie? Powiedział coś konkretnego?

— Nie, ale wspomniał, że wybiera się do Sektora Imperialnego.

— Naprawdę? Czy on często mówi ci o takich sprawach?

— No wiesz, jak to jest, Planchet. Kiedy facet jest ze mną w łóżku, dużo mówi.

— Wiem — powiedział Raych, który zawsze bardzo się starał, by tego nie robić. — Co jeszcze powiedział?

— Dlaczego pytasz? — Zmarszczyła brwi. — On też ciągle o ciebie wypytuje. Zauważyłam, że mężczyźni są tacy: zazdrośni jeden o drugiego. Jak myślisz, dlaczego tak jest?

— Co mu o mnie powiedziałaś?

— Niewiele. Tylko, że jesteś porządnym facetem. Oczywiście, nie powiedziałam mu, że lubię cię bardziej niż jego. To by zraniło jego uczucia i obróciło się przeciwko mnie.

— Więc to nasze pożegnanie — rzekł Raych, ubierając się.

— Mam nadzieję, że tylko na razie. Gleb może zmienić zdanie. Oczywiście, też bym chciała pojechać do Sektora Imperialnego, gdyby mnie ze sobą zabrał. Nigdy tam nie byłam.

Raych o mało się nie zdradził, ale udało mu się zakasłać. Powiedział:

— Ja też nigdy tam nie byłem.

— Tam są największe budynki, najładniejsze miejsca i najlepsze restauracje, a poza tym właśnie tam mieszkają bogaci ludzie. Chciałabym poznać bogatych ludzi… oczywiście, innych niż Gleb.

— Pewnie niewiele możesz dostać od kogoś takiego jak ja — rzekł Raych.

— Jesteś w porządku. Nie można cały czas myśleć o kredytach, choć czasami trzeba. Tym bardziej że, jak sądzę, znudziłam się Glebowi.

Raych musiał powiedzieć:

— To niemożliwe, żebyś mogła się komukolwiek znudzić. — Nieco się zmieszał, bo naprawdę tak uważał.

— Mężczyźni zawsze tak mówią, ale potem bywa różnie. Tak czy inaczej, było nam ze sobą dobrze, prawda, Planchet? Dbaj o siebie, a kto wie, może znów się spotkamy.

Raych skinął głową, czując, że zabrakło mu słów. W żaden sposób nie potrafił wyrazić swoich uczuć. Starał się myśleć o czymś innym. Musiał się dowiedzieć, co planują ludzie Namartiego. Jeśli oddzielają go od Manelli, znaczy to, że moment przełomowy zbliża się wielkimi krokami. Musiał się jeszcze zastanowić, co mogło oznaczać to dziwne pytanie o ogrodnictwo. Niestety, nie mógł już o niczym informować Seldona. Od spotkania z Namartim trzymano go pod ścisłą kontrolą, a wszelkie drogi zostały odcięte — z pewnością była to jeszcze jedna oznaka zbliżającego się punktu zwrotnego.

Jeśli jednak dowie się, o co chodzi, już po fakcie i przekaże spóźnioną wiadomość — przegra.

19

Hari Seldon nie miał dobrego dnia. Od czasu pierwszego komunikatu nie otrzymał wiadomości od Raycha i nie miał pojęcia, co się działo.

Oprócz oczywistej troski o bezpieczeństwo syna (zapewne dowiedziałby się, gdyby stało się coś naprawdę złego) denerwował się, gdyż nie znał planów spiskowców. To musiało być coś subtelnego. Bezpośredni atak na pałac absolutnie nie wchodził w rachubę. Tu ochrona była zbyt mocna. W takim razie co jeszcze mogłoby być dostatecznie skuteczne?

Przez to wszystko nie mógł spać w nocy, a i w dzień czuł się rozbity.

Rozbłysło światło sygnalizacyjne.

— Pierwszy Ministrze, o drugiej ma pan umówione spotkanie…

— Jakie znowu spotkanie?

— Z Mandellem Gruberem, tym ogrodnikiem. Ma wymagane potwierdzenie spotkania.

Seldon przypomniał sobie.

— Tak. Wpuść go.

Nie był to odpowiedni moment na spotkanie z Gruberem, ale Hari zgodził się na nie w chwili słabości, gdyż ogrodnik wydawał się wielce poruszony. Pierwszy Minister nie powinien mieć takich chwil, lecz Seldon był Seldonem na długo przed tym, kiedy został Pierwszym Ministrem.

— Wejdź, Gruber — powiedział uprzejmie.

Gruber stał przed nim; pochylił głowę i spoglądał tu i ówdzie. Seldon był niemal pewien, że ogrodnik nigdy jeszcze nie był w tak wspaniałym pokoju jak ten, i aż korciło go, by rzec: „Podoba ci się? Weź go sobie. Ja go nie chcę”. Jednak powiedział tylko:

— O co chodzi, Gruber? Dlaczego jesteś taki nieszczęśliwy? Odpowiedź nie nadeszła natychmiast; Gruber jedynie uśmiechał się nieśmiało.

— Usiądź, człowieku. Tu, w tym fotelu — powiedział Seldon.

— Och nie, Pierwszy Ministrze. To nie wypada. Zabrudzę go.

— Nawet jeśli, łatwo go będzie wyczyścić. Zrób, o co proszę. Dobrze! A teraz posiedź tu przez chwilę i zbierz myśli. Kiedy już będziesz gotów, powiesz mi, o co chodzi.

Gruber siedział jakiś czas bez słowa, a potem zaczął mówić pospiesznie.

— Pierwszy Ministrze, mam zostać Naczelnym Ogrodnikiem. Powiedział mi o tym sam imperator.

— Tak, słyszałem o tym, ale chyba nie to cię tak martwi. Twoje

nowe stanowisko to powód do gratulacji, a więc gratuluję ci. Może nawet przyczyniłem się do tego, Gruber. Nigdy nie zapomniałem o twojej odwadze w tamtej chwili, gdy chciano mnie zabić, i możesz być pewien, że wspomniałem o tym Jego Imperialnej Mości. To odpowiednia nagroda, Gruber, a tobie i tak należał się awans. Z twoich danych wynika, że jesteś doskonale przygotowany, by objąć to stanowisko. No dobrze, skoro mamy to już za sobą, powiedz mi, co cię gnębi.

— Pierwszy Ministrze, właśnie to stanowisko i awans tak mnie martwią. Nie poradzę sobie, nie mam niezbędnych kwalifikacji.

— Jesteśmy przekonani, że je masz.

Gruber był coraz bardziej poruszony.

— I będę musiał siedzieć w biurze? Nie jestem w stanie tam siedzieć. Nie będę wtedy mógł wychodzić na otwartą przestrzeń i pracować przy roślinach i zwierzętach. Znajdę się w więzieniu, Pierwszy Ministrze.

— Co ty mówisz, Gruber? — zdziwił się Seldon. — Nie będziesz musiał siedzieć w biurze dłużej, niż to konieczne. Będziesz się mógł swobodnie poruszać po terenie, doglądając wszystkiego. Będziesz na zewnątrz tak długo, jak tylko zechcesz, a jedynie zaoszczędzisz sobie ciężkiej pracy.

— Ja chcę mieć ciężką pracę, Pierwszy Ministrze, a oni na pewno nie wypuszczą mnie z biura. Obserwowałem obecnego Naczelnego Ogrodnika. Nie mógł opuścić biura, choć od dawna tego pragnął. Za dużo ma spraw administracyjnych, za dużo księgowości. Jeśli chce wiedzieć, co się dzieje, musimy przychodzić do jego biura i mówić mu. Sam ogląda wszystko w holowizji, jakby można było cokolwiek powiedzieć o roślinach i zwierzętach na podstawie filmów. To nie dla mnie, Pierwszy Ministrze.

— Przestań, Gruber, bądź mężczyzną. Nie jest aż tak źle. Przyzwyczaisz się do tego. Powoli wprowadzisz własne metody.

Ogrodnik pokręcił głową.

— Po pierwsze, będę musiał się zająć nowymi ogrodnikami. To dla mnie klęska. — A potem dodał ośmielony: — Nie chcę tej pracy i nie podejmę jej, Pierwszy Ministrze.

— No dobrze, Gruber. Być może nie chcesz tej pracy, ale nie jesteś w tym osamotniony. Powiem ci tylko, że ja też nie chcę być Pierwszym Ministrem. Ta praca mnie przerasta. Zauważyłem nawet, że czasami sam imperator ma dość szat imperialnych. Wszyscy w tej Galaktyce muszą wykonywać swoją pracę, a ona nie zawsze jest przyjemna.

— Rozumiem to, Pierwszy Ministrze, ale imperator musi być imperatorem, bo urodził się, by nim zostać. A pan, Pierwszy Ministrze, musi nim być, bo nie ma nikogo, kto mógłby wykonywać tę pracę. A

w moim wypadku mówimy jedynie o stanowisku Naczelnego Ogrodnika. Tu na miejscu jest co najmniej pięćdziesięciu ogrodników, którzy mogą objąć to stanowisko, a żaden nie miałby nic przeciwko temu. Mówi pan, że wspomniał imperatorowi, jak usiłowałem panu pomóc. Czy nie mógłby pan porozmawiać z nim raz jeszcze i wyjaśnić, że jeśli chce mnie wynagrodzić za to, co zrobiłem, to niech pozostawi mnie na obecnym stanowisku?

Seldon odchylił się w fotelu i powiedział poważnie:

— Gruber, zrobiłbym to dla ciebie, gdybym mógł, muszę ci jednak cos wyjaśnić i mam nadzieję, że to zrozumiesz. Teoretycznie imperator jest władcą absolutnym Imperium. Tak naprawdę jednak niewiele może Zrobić. W tej chwili ja zarządzam Imperium w znacznie większym stopniu niż on, ale i ja niewiele mogę zrobić. Na wszystkich szczeblach zarządzania ogromnego Imperium są miliony, a może nawet miliardy ludzi. Wszyscy podejmują decyzje, wszyscy popełniają błędy, niektórzy postępują mądrze i heroicznie, inni zaś zachowują się głupio i tchórzliwie. Nie ma nad nimi kontroli. Rozumiesz mnie, Gruber?

— Rozumiem, ale co to ma wspólnego ze mną?

— Ma, bo jest tylko jedno miejsce, gdzie imperator jest naprawdę władcą absolutnym, a tym miejscem są tereny pałacowe. Tu jego słowo jest prawem, a otaczających go urzędników jest stosunkowo niewielu, więc radzi sobie z nimi. Prosić go o cofnięcie decyzji, którą podjął w związku z terenami otaczającymi Pałac Imperialny, to tak, jakby wtargnąć na jedyny teren, który uważa za nienaruszalny. Gdybym miał powiedzieć: „Wasza Imperialna Mość, proszę cofnąć decyzję w sprawie Grubera", to prawdopodobnie wolałby mnie zdjąć ze stanowiska, niż zmienić zdanie. Może to by i było dobre dla mnie, ale tobie wcale by nie pomogło.

— Czy to znaczy, że niczego już nie można zmienić? — spytał ogrodnik.

— Dokładnie to miałem na myśli. Ale nie martw się, Gruber. Pomogę ci we wszystkim, w czym będę mógł. Przepraszam, ale poświęciłem ci tyle czasu, ile tylko mogłem.

Gruber wstał. W dłoniach ściskał zieloną czapkę ogrodnika. W jego oczach kręciły się łzy.

— Dziękuję, Pierwszy Ministrze. Wiem, że chciałby mi pan pomóc. Pan jest… dobrym człowiekiem, Pierwszy Ministrze.

Odwrócił się i wyszedł zasmucony.

Seldon popatrzył za nim w zamyśleniu i pokręcił głową. Pomnóżcie prośbę Grubera przez kwadrylion, a otrzymacie prośby wszystkich mieszkańców dwudziestu pięciu milionów światów całego Imperium. I jak on, Seldon, miał pomóc im wszystkim, skoro nie mógł rozwiązać problemu jednego tylko człowieka, który właśnie zwrócił

się do niego o pomoc?

Psychohistoria nie potrafi uratować pojedynczego człowieka. Czy może uratować kwadrylion?

Seldon znów pokręcił głową, sprawdził temat i czas następnego spotkania i nagle zesztywniał. Jak szalony wrzasnął do przewodu komunikacyjnego, tracąc panowanie nad sobą, co nieczęsto mu się zdarzało.

— Zawróćcie tego ogrodnika! Sprowadźcie go tu natychmiast!

20

— O co chodzi z tymi nowymi ogrodnikami?! — krzyknął Seldon. Tym razem nie poprosił Grubera, by usiadł.

Ten gwałtownie mrugał. Nieoczekiwane ponowne wezwanie bardzo go przestraszyło.

— N-nowi o-ogrodnicy? — wybąkał.

— Powiedziałeś „wszyscy nowi ogrodnicy". To twoje słowa. Jacy nowi ogrodnicy?

Gruber patrzył na Seldona zdziwiony.

— Przecież kiedy nastaje nowy Naczelny Ogrodnik, pojawiają się nowi ogrodnicy. Taki jest zwyczaj.

— Nigdy o tym nie słyszałem.

— Ostatnim razem, gdy mieliśmy zmianę na stanowisku Naczelnego Ogrodnika, ty, panie, nie byłeś jeszcze Pierwszym Ministrem. Prawdopodobnie nie przebywałeś nawet na Trantorze.

— Ale o co tu chodzi?

— No cóż, ogrodników nigdy się nie zwalnia. Niektórzy umierają. Inni starzeją się, dostają emeryturę i ktoś zajmuje ich miejsce. Mimo to, zanim nowy Naczelny Ogrodnik jest gotów do podjęcia obowiązków, co najmniej połowa personelu jest już stara i ma za sobą swe najlepsze lata. Wobec tego wszyscy dostają szczodrą odprawę i sprowadza się nowych ogrodników.

— Żeby odmłodzić personel?

— Częściowo, a częściowo dlatego, że do tego czasu powstają zazwyczaj nowe plany ogrodów, nowe pomysły i wytyczne. Jest tu prawie pięćset kilometrów kwadratowych ogrodów i parków, a zazwyczaj potrzeba kilku lat, by je przebudować. To właśnie ja będę musiał tego dopilnować. Proszę, Pierwszy Ministrze. — Gruber ledwie łapał oddech. — Człowiek tak mądry jak pan na pewno potrafi znaleźć sposób, by zmienić postanowienia imperatora.

Seldon nie zwracał na niego uwagi. Zmarszczył czoło i zamyślił się.

— Skąd pochodzą nowi ogrodnicy? — spytał.

— Egzaminuje się ich na wszystkich światach; zawsze są ludzie pragnący służyć jako nowi ogrodnicy. Będą tu przybywali setkami w kilkunastu rzutach. Zajmie mi co najmniej rok…

— Skąd oni pochodzą? Skąd?

— Z wielu światów. Pragniemy mieć ludzi z różnorodną wiedzą ogrodniczą. Zakwalifikować może się każdy obywatel Imperium.

— Także Trantorczyk?

— Nie. Wśród ogrodników nie ma żadnego Trantorczyka. — W jego głosie zabrzmiała pogarda. — Na Trantorze nie można znaleźć

odpowiedniego ogrodnika. Parki, jakie tu mają pod kopułami, nie zasługują na to miano. To tylko zasadzone rośliny i zwierzęta w klatkach. Trantorczycy nie wiedzą nic o otwartej przestrzeni, wolno płynącej wodzie i prawdziwej równowadze w naturze.

— W porządku, Gruber. Dam ci teraz pracę. Będziesz przekazywał mi nazwisko każdego ogrodnika, który ma przybyć tutaj w najbliższych tygodniach. Chcę wiedzieć o nich wszystko. Nazwisko. Świat. Numer identyfikacyjny. Wykształcenie. Doświadczenie zawodowe. Wszystko. Chcę mieć to tu, na biurku, tak szybko jak to możliwe. Przyślę ludzi, by ci pomogli. Ludzi z maszynami. Jakiego komputera używasz?

— Tylko prostego, by śledzić losy roślinności i zwierząt i tym podobne sprawy.

— Dobrze. Ludzie, których ci przyślę, zrobią wszystko, czego nie potrafisz. Nawet nie umiem ci powiedzieć, jakie to ważne.

— Zrobię to, ale…

— Gruber, to nie pora na targi. Jeśli mnie zawiedziesz, zostaniesz zwolniony bez odprawy.

Kiedy znów został sam, warknął do przewodu komunikacyjnego:

— Odwołaj wszystkie popołudniowe spotkania.

Dopiero teraz pozwolił sobie opaść na fotel. Czuł ciężar swych pięćdziesięciu lat i narastający ból głowy. Od wielu lat, od dziesiątków lat bardzo dbano o bezpieczeństwo terenów otaczających Pałac Imperialny; kordony straży były coraz silniejsze i szczelniejsze, a wciąż je wzmacniano i dodawano nowe urządzenia.

I nagle co jakiś czas na tereny pałacowe wpuszcza się hordy obcych. Nie zadaje się im pytań, co najwyżej jedno: „Czy znasz się na ogrodnictwie?”

Głupota ta była zbyt kolosalna, by można było ją pojąć.

A on o mało nie dał się na to nabrać. A może było już za późno?

21

Gleb Andorin spoglądał na Namartiego spod przymkniętych powiek. Nigdy nie lubił tego człowieka, ale czasami nie lubił go jeszcze bardziej niż zwykle, i tak było właśnie teraz. Dlaczego on, Wyeńczyk królewskiego pochodzenia (do tego przecież to się sprowadzało), musi pracować z tym parweniuszem, tym niemal psychotycznym paranoikiem.

Andorin wiedział, dlaczego musi to znosić, nawet teraz, gdy Namarti raz jeszcze opowiadał o tym, jak przez dziesięć lat budował swój ruch, doprowadzając go aż do jego obecnej doskonałości. Czyż nie powtarzał tego wszystkim w nieskończoność? Że też upodobał sobie na słuchacza właśnie jego.

Twarz Namartiego niemal lśniła, rozpromieniona złośliwą uciechą, gdy powtarzał swoją opowieść, jakby to była wyuczona na pamięć zwrotka:

— Rok po roku pracowałem nad tym pomimo beznadziejności sytuacji, budowałem organizację, podważałem autorytet rządu, robiłem wszystko, by wywołać i zwiększyć niezadowolenie ludu. Kiedy nastał kryzys bankowy i tydzień moratorium… — Przerwał na chwilę. — Opowiadałem ci o tym tyle razy, że pewnie już cię to nudzi, co?

Usta Andorina wykrzywił grymas uśmiechu. Namarti nie był przecież takim idiotą, by nie wiedzieć, jakim jest nudziarzem.

— Mówiłeś mi już to wielokrotnie. — Pozwolił, by pytanie tamtego pozostało bez odpowiedzi. Przecież odpowiedź mogła być tylko twierdząca. Nie musieli teraz o tym dyskutować.

Na bladożółtej twarzy Namartiego pojawił się lekki rumieniec.

— Ale to wszystko mogło pójść na marne, gdybym nie znalazł odpowiedniego narzędzia. Nawet nie musiałem nic robić, narzędzie samo wpadło mi w ręce.

— To bogowie dali ci Plancheta — rzekł pojednawczo Andorin.

— Masz rację. Wkrótce na tereny pałacowe wkroczą nowi ogrodnicy. — Umilkł na moment, jakby chciał zebrać myśli, — Mężczyźni i kobiety. Będzie ich dość, by mogli posłużyć za kamuflaż dla naszych ludzi, którzy będą im towarzyszyć. Wśród nich znajdziecie się ty i Planchet. Wyróżniać was będzie to, że zabierzecie miotacze.

— No jasne — powiedział Andorin, ukrywając rozmyślną złośliwość pod grzecznym wyrażeniem. — Zatrzymają nas przy bramach i aresztują, by przesłuchać. Wniesienie niedozwolonego miotacza na tereny pałacowe…

— Nie zatrzymają was — rzekł Namarti, nie wyczuwając złośliwości. — Nie zostaniecie przeszukani. To jest uzgodnione.

Powita was jakiś urzędnik pałacowy. Nie wiem, kto zwykle nadzorował to zadanie, prawdopodobnie trzeci zastępca Szambelana odpowiedzialny za trawę i liście, ale w tym wypadku sam Seldon, wielki matematyk, pospieszy powitać nowych ogrodników i przyjąć ich serdecznie na terenach pałacowych.

— Domyślam się, że jesteś tego pewien.

— Oczywiście, jestem pewien. Wszystko zostało ukartowane. Niemal w ostatniej chwili Seldon dowie się, że jego przybrany syn jest na liście nowych ogrodników, więc nie będzie się mógł powstrzymać, by nie przybyć i zobaczyć go. A kiedy Pierwszy Minister przybędzie, Planchet podniesie swój miotacz. Nasi ludzie zaczną krzyczeć „Zdrada!" W zamieszaniu Planchet zabije Seldona, a wtedy ty zabijesz Plancheta. Następnie rzucisz miotacz i opuścisz miejsce zbrodni. Będą tam ludzie, którzy pomogą ci uciec. Wszystko jest uzgodnione.

— Czy zabicie Plancheta jest absolutnie konieczne? Namarti uniósł brwi.

— Dlaczego pytasz? Czyżbyś zgadzał się na jedno zabójstwo, a był przeciwny drugiemu? Chcesz, żeby Planchet powiedział władzom wszystko, co o nas wie? Poza tym planujemy rodową wendetę. Nie zapominaj, że Planchet to tak naprawdę Raych Seldon. Będzie wyglądało na to, że ci dwaj strzelili jednocześnie albo że Seldon wydał rozkaz, by zabito jego syna, jeśli wykona wrogi gest. Dopilnujemy, by nadano rozgłos temu wątkowi rodzinnemu. Przypomni dawne, koszmarne czasy imperatora Manowella Krwawego. Trantorczycy na pewno będą uważali, że to odrażający i niegodziwy czyn. To przepełni czarę goryczy z powodu wszelkich niedomagań i załamań, jakim musieli stawiać czoło, podniesie się więc krzyk, by wybrać nowy rząd… i nikt nie będzie mógł im odmówić, a już najmniej imperator. Wtedy wkroczymy my.

— Tak po prostu?

— Nie, nie tak po prostu. Nie żyję w wyśnionym świecie. Pewnie będzie jakiś rząd tymczasowy, ale upadnie. Dopilnujemy, by upadł, ujawnimy się i odświeżymy stare argumenty joranumitów, których Trantorczycy nigdy nie zapomnieli. A z czasem, całkiem szybko, zostanę Pierwszym Ministrem.

— A ja?

— A ty wreszcie zostaniesz imperatorem.

— Szansa, by to wszystko się udało, jest mała — powiedział Andorin. — To jest uzgodnione. Tamto jest uzgodnione. Inne sprawy są uzgodnione. Wszystko razem może się doskonale ułożyć albo zawalić. Gdzieś, ktoś może to popsuć. Ryzyko jest nie do przyjęcia.

— Nie do przyjęcia? Dla kogo? Dla ciebie?

— Oczywiście. Oczekujesz, bym się upewnił, że Planchet zabije swego ojca, chcesz też, bym zabił Plancheta. Dlaczego ja? Czy moje

życie nie jest zbyt cenne, by narażać je na niebezpieczeństwo?

— Masz rację, ale gdybyśmy wybrali kogoś innego, niepowodzenie byłoby pewne. Kto jak nie ty może w tej misji tyle zyskać, że nie zawróci z drogi w ostatniej chwili?

— Ryzyko jest olbrzymie.

— Czyż nie opłaca ci się go podjąć? Grasz przecież o tron imperialny.

— A jakie ryzyko podejmujesz ty, szefie? Pozostaniesz tu, absolutnie bezpieczny, i będziesz czekał na wiadomości.

Namarti wykrzywił usta.

— Ależ jesteś głupcem, Andorin! Jaki będzie z ciebie imperator?! Myślisz, że nic nie ryzykuję, bo będę tutaj? Myślisz, że jeśli gra się nie uda, jeśli intryga zawiedzie, jeśli aresztują kilku naszych ludzi, to ci nie wyśpiewają wszystkiego, co wiedzą? Gdyby cię złapano, zniósłbyś czułe traktowanie Gwardii Imperialnej i nie powiedziałbyś im o mnie? Myślisz, że jeśli próba zamachu się nie powiedzie, nie przeczeszą Trantora, by mnie znaleźć? Sądzisz, że im się to nie uda? Jak myślisz, czego się mogę spodziewać, kiedy już mnie znajdą? Ryzyko? Siedząc tu bezczynnie, ryzykuję bardziej niż którykolwiek z was. Do tego to się sprowadza, Andorin. Chcesz czy nie chcesz być imperatorem?

— Chcę być imperatorem — odpowiedział cicho Andorin. I w ten sposób wszystko się zaczęło.

22

Raych dostrzegł bez trudu, że jest otoczony szczególną opieką. Cała grupa potencjalnych ogrodników została zakwaterowana w jednym z hoteli Sektora Imperialnego, choć oczywiście nie w najlepszym.

Ogrodnicy stanowili dziwną zbieraninę pochodzącą z pięćdziesięciu różnych światów, ale Raych nie miał okazji porozmawiać z którymkolwiek. Andorin, choć starał się z tym kryć, trzymał go z dala od innych. Raych zastanawiał się dlaczego. To go przygnębiało. Prawdę mówiąc, był przygnębiony od chwili opuszczenia Wye. Bił się z myślami, ale bezskutecznie.

Andorin nosił proste ubrania i usiłował wyglądać jak robotnik. Miał grać rolę ogrodnika w tym „widowisku" — cokolwiek to mogło oznaczać.

Raych wstydził się, że nie udało mu się poznać natury owego „widowiska". Zamknęli go jednak i uniemożliwili komunikację, nie miał więc szansy ostrzec ojca. Mogli to robić z każdym Trantorczykiem w tej grupie, gdyż — z tego, co wiedział — zachowywano nadzwyczajne środki ostrożności. Raych oszacował, że pomiędzy ogrodnikami może być kilkunastu Trantorczyków, a wszyscy — zarówno mężczyźni, jak i kobiety — byli ludźmi Namartiego.

Zdumiewało go, że Andorin podchodzi do niego niemal z uczuciem. Opiekował się nim osobiście, nalegał, by jeść z nim każdy posiłek, a traktował zupełnie inaczej niż wszystkich innych. Czy mogło tak być dlatego, że dzielili się Manellą? Raych nie wiedział wystarczająco dużo o obyczajach Sektora Wye, by móc powiedzieć cokolwiek na temat poliandrii wśród jego mieszkańców. Jeśli dwóch mężczyzn dzieli się tą samą kobietą, to czy powstaje między nimi pewien rodzaj braterstwa? Czy tworzy się między nimi jakaś więź? Raych nigdy nie słyszał o czymś takim, zdawał sobie jednak sprawę, że dotychczas poznał zaledwie nikłą część niezmierzonych subtelności społeczeństw Galaktyki… nawet społeczeństw trantorskich.

Jednak teraz, gdy wrócił myślami do Manelli, zatrzymał się przy niej na chwilę. Tęsknił za nią strasznie i wydawało mu się, że to uczucie jest przyczyną jego depresji, choć prawdę mówiąc, gdy kończył posiłek z Andorinem, był w rozpaczy, której przyczyn nie rozumiał.

Manella!

Powiedziała, że chciałaby odwiedzić Sektor Imperialny. Być może potrafiła udobruchać Andorina i przekonać go, by spełnił jej prośbę. Raych był tak zdesperowany, że zadał głupie pytanie:

— Panie Andorin, zastanawiam się, czy przywiózł pan może ze sobą do Sektora Imperialnego pannę Dubanqua?

Mężczyzna popatrzył na niego zdumiony w najwyższym stopniu. A potem roześmiał się łagodnie.

— Manellę? Możesz ją sobie wyobrazić jako ogrodniczkę? Albo choćby udającą, że jest ogrodniczką? Nie, nie, Manella jest jedną z tych kobiet, które są stworzone do umilania życia. Nie nadaje się do niczego innego. Dlaczego pytasz, Planchet? Raych wzruszył ramionami.

— Nie wiem — odpowiedział. — Okropnie tu nudno. Tak sobie pomyślałem… — Jego głos zawisł w powietrzu.

Andorin przyglądał mu się uważnie. Wreszcie rzekł:

— Chyba nie uważasz, że jest ważne, z którą kobietą się zadajesz? Zapewniam cię, że jej nie robi różnicy, z którym mężczyzną jest związana. Kiedy to wszystko się skończy, będziemy mieli wiele kobiet. Mnóstwo.

— A kiedy będzie po wszystkim?

— Wkrótce. Ty zaś odegrasz w tym bardzo ważną rolę. — Obserwował Raycha spod przymrużonych powiek.

— Jak ważną? — spytał syn Seldona. — Nie będę tylko… ogrodnikiem? — Jego głos brzmiał głucho, ale czuł, że nie może mówić wyraźniej.

— Będziesz kimś znacznie ważniejszym, Planchet. Wniesiesz tam miotacz.

— Co takiego?

— Miotacz.

— Nigdy nie miałem w ręku miotacza. Nigdy w życiu.

— To bez znaczenia. Podnosisz go, celujesz, zamykasz obwód i ktoś umiera.

— Nie potrafię nikogo zabić.

— Sądziłem, że jesteś z nami, że zrobisz wszystko dla sprawy.

— Nie miałem na myśli… zabijania.

Raych nie mógł pozbierać myśli. Dlaczego musi zabić? Jakie zadanie wyznaczyli dla niego? I jak zdoła zaalarmować Gwardię Imperialną, nim dojdzie do zabójstwa?

Nagle rysy Andorina stwardniały; porzucił przyjacielski ton.

— Musisz zabić — powiedział. Raych zebrał wszystkie siły.

— Nie. Nikogo nie zabiję. To moja ostateczna decyzja.

— Planchet, zrobisz to, co ci każemy — oznajmił Andorin.

— Nie zabiję.

— Zabijesz!

— Jak mnie do tego zmusicie?

— Po prostu każę ci to zrobić.

Raychowi kręciło się w głowie. Dlaczego Andorin jest tego taki

pewny? Pokręcił głową i powtórzył:

— Nie!

— Karmiliśmy cię, Planchet, od kiedy opuściłeś Wye. Dopilnowałem, żebyś jadł ze mną. Nadzorowałem twoją dietę, a szczególnie ten posiłek, który właśnie zjadłeś.

Raych poczuł, że jego przerażenie rośnie. Nagle zrozumiał.

— Depresja!

— Dokładnie — powiedział Andorin. — Jesteś twardzielem, Planchet.

— To nielegalne.

— Tak, oczywiście. Morderstwo również.

Raych wiedział co nieco o „depresji", chemicznej odmianie zupełnie nieszkodliwego środka uspokajającego. Jednak w zmodyfikowanej postaci zamiast uspokajać wywoływał depresję. Środek ten był nielegalny, ponieważ stosowano go do kontrolowania umysłu, ale chodziły słuchy, że używa go Gwardia Imperialna.

— Nazywa się go depresja, bo to stare słowo oznaczające załamanie psychiczne. Myślę, że czujesz się beznadziejnie. — Andorin powiedział to tak, jakby potrafił czytać Raychowi w myślach.

— Nigdy — wyszeptał Raych.

— Starasz się być śmiały, ale nie możesz walczyć z chemią. A im beznadziejniej się czujesz, tym efektywniej działa narkotyk.

— Nic z tego.

— Pomyśl o tym, Planchet. Namarti rozpoznał cię natychmiast, nawet bez wąsów. Wie, że nazywasz się Raych Seldon i że pod moim wpływem zabijesz swojego ojca.

— Najpierw zabiję ciebie — wymamrotał Raych.

Wstał z krzesła. Z tym w ogóle nie powinien mieć problemu. Andorin mógł być wyższy, ale był szczupły i najwyraźniej niezbyt silny. Raych złamałby mu kręgosłup jedną ręką, ale zachwiał się. Pokręcił głową, lecz nie odzyskał ostrości widzenia.

Andorin także wstał i cofnął się. Wyciągnął prawą dłoń z lewego rękawa; trzymał broń.

— Przyszedłem przygotowany — rzucił uprzejmie. — Poinformowano mnie o twojej zręczności, dlatego nie zmierzymy się. — Popatrzył na broń. — To nie jest miotacz — oznajmił. — Nie mogę sobie pozwolić, byś zginął, póki nie wykonasz zadania. To bat neuronowy. W pewnym sensie jest znacznie gorszy niż miotacz. Wyceluję w lewe ramię i wierz mi, ból będzie tak miażdżący, że nawet największy stoik by go nie zniósł.

Raych, który zbliżał się odważnie, choć powoli, zatrzymał się gwałtownie. Miał dwanaście lat, gdy poznał smak bata neuronowego. Raz uderzony, nikt nie zapomina tego bólu do końca życia.

— Więcej, użyję pełnej mocy. Nerwy w górnej części ramienia

sprawią ci ból nie do zniesienia, a potem zostaną zniszczone. Już nigdy nie będziesz władał lewą ręką. Oszczędzę prawą, byś mógł unieść miotacz… No dobrze, jeśli usiądziesz i zgodzisz się na współpracę, a musisz to zrobić, zachowasz obie ręce. Oczywiście, musisz znów zjeść, by wzrósł ci poziom depresji. Twoja sytuacja tylko się pogorszy.

Raych czuł, że ogarnia go depresja wywołana narkotykiem, i to ona właśnie pogłębiała zamierzony efekt. Widział podwójnie i nie mógł powiedzieć tego, o czym myślał. Wiedział tylko, że będzie musiał zrobić to, co każe mu Andorin. Wziął udział w grze i przegrał.

23

— Nie! — Hari Seldon niemal wpadł w szał. — Nie chcę, żebyś tam szła, Dors.

Dors Venabili rzuciła mu równie stanowcze spojrzenie.

— W takim razie tobie też nie pozwolę tam pójść, Hari.

— Ja tam muszę być.

— To nie twoje zadanie. Tych nowych ludzi musi powitać Ogrodnik Pierwszego Stopnia.

— Rzeczywiście tak jest, ale Gruber nie może tego zrobić. Całkiem się załamał.

— Musi mieć przecież jakiegoś zastępcę. Albo pozwól to zrobić staremu Naczelnemu Ogrodnikowi. Przecież jego urzędowanie kończy się dopiero z końcem roku.

— Naczelny Ogrodnik jest zbyt chory. A poza tym — Seldon zawahał się — wśród ogrodników są podstawieni ludzie. Trantorczycy. Znaleźli się tu i mają jakiś cel. Mam ich nazwiska.

— W takim razie aresztuj ich. Co do jednego. To proste. Dlaczego chcecie to tak skomplikować?

— Bo nie wiemy, dlaczego się tu znaleźli. Coś się szykuje. Nie rozumiem, co może zrobić dwunastu ogrodników, ale… Nie, pozwól, że ujmę to inaczej. Dostrzegam kilkanaście możliwości, ale nie wiem, które z tych działań podejmą. Oczywiście, aresztujemy ich, ale muszę uzyskać więcej informacji, zanim to zrobimy. Musimy się dowiedzieć dostatecznie dużo, by usunąć wszystkich konspiratorów, od szczytu po same doły, i poznać dostatecznie dobrze ich zamierzenia, by przygotować odpowiednią karę. Nie chcę zatrzymać dwanaściorga mężczyzn i kobiet jedynie za błahe wykroczenie. Będą się tłumaczyli, że zdesperowani szukali pracy, i oskarżali nas, że to nie w porządku wykluczać Trantorczyków. Zdobędą powszechną sympatię, a my wyjdziemy na głupców. Musimy im pozwolić, by zrobili coś więcej. Poza tym…

Nastąpiła dłuższa pauza, po czym Dors powiedziała gniewnie:

— A co to za nowe „poza tym”?

— Jeden z tej dwunastki to Raych. Posługuje się pseudonimem Planchet — rzekł cicho Seldon.

— Co takiego?!

— Dlaczego jesteś zdziwiona? Wysłałem go do Wye, by przeniknął do ruchu joranumitów i najwyraźniej udało mu się to. Wierzę mu bezgranicznie. Jeśli tam jest, to wie dlaczego, musi mieć jakiś plan, by wepchnąć kij w szprychy. Ale ja też chcę tam być. Chcę go zobaczyć i pomóc mu, jeśli będę mógł.

— Jeśli chcesz mu pomóc, weź z pałacu pięćdziesięciu

gwardzistów i każ im stanąć ramię przy ramieniu po obu stronach twoich ogrodników.

— Nie. Tak też nic nie osiągniemy. Gwardia Imperialna będzie na miejscu, ale nie będzie się rzucać w oczy. Podejrzani ogrodnicy muszą myśleć, że mają wolną rękę i mogą zrobić to, co zaplanowali. Zanim to jednak zrobią, zdradzą swoje plany, a wtedy ich dopadniemy.

— To ryzykowne. Ryzykowne dla Raycha.

— Musimy podjąć ryzyko. To jest ważniejsze niż życie jednostki.

— To okrutne, co mówisz.

— Myślisz, że jestem bez serca? Nawet jeśli to okropne, muszę myśleć o psycho…

— Nie mów tego. — Dors odwróciła się, jakby słowa Seldona ją raniły.

— Rozumiem — rzekł Seldon — ale tobie nie wolno tam iść. Twoja obecność byłaby tak nie na miejscu, że konspiratorzy podejrzewaliby, że wiemy zbyt wiele, i zrezygnowaliby ze swojego planu. Nie chcę, żeby tak się stało. — Seldon przerwał na chwilę, a potem dodał cicho: — Dors, mówiłaś, że twoja praca to chronienie mnie. To ważniejsze niż ochrona Raycha, i ty wiesz o tym. Nie nalegałbym, ale chronienie mnie oznacza chronienie psychohistorii i całego gatunku ludzkiego. To jest najważniejsze. Psychohistoria podpowiada mi, że za wszelką cenę muszę ocalić centrum, i właśnie to usiłuję zrobić. Rozumiesz mnie?

— Rozumiem — odparła Dors, po czym odwróciła się od niego.

Mam nadzieję, że się nie mylę, pomyślał Seldon. Gdyby było inaczej, nigdy by mu nie wybaczyła. Gorzej, to on nigdy by sobie nie wybaczył… bez względu na psychohistorię.

24

Stali ślicznie ustawieni w szeregu, nogi mieli rozstawione, ręce trzymali z tyłu, a każdy ubrany był w schludny dopasowany zielony mundur z wielkimi kieszeniami. Trudno było odróżnić płeć, można się było jedynie domyślać, że niższe są kobiety. Kaptury zakrywały ich głowy, niemniej ogrodnicy — bez względu na płeć — i tak mieli obowiązek krótko strzyc włosy i golić zarost.

Ktoś mógłby spytać dlaczego. Słowo „tradycja" wyjaśniało wszystko, tak jak wyjaśniało wiele innych spraw, jedne użyteczne, inne głupie.

Na spotkanie wyszedł im Mandell Gruber, otoczony z obu stron przez zastępców. Gruber drżał, a jego szeroko otwarte oczy błyszczały niezdrowo.

Hari Seldon zacisnął usta. Wystarczyłoby, gdyby Gruber zdołał wykrztusić: „Ogrodnicy imperatora witają was wszystkich", a resztą zająłby się już sam. Helikończyk omiótł wzrokiem nowy kontyngent i spostrzegł Raycha. Serce zabiło mu mocniej. To właśnie on, chociaż bez wąsów, stał bardziej spięty niż pozostali, patrząc prosto przed siebie. Nie rozglądał się, by dostrzec Seldona; nie pozdrowił go ani nie dał najmniejszego znaku, choćby subtelnego.

Dobrze, pomyślał Seldon. Nie powinien tego robić. W ten sposób się nie zdradzi.

Gruber wymamrotał niewyraźne powitanie, a wtedy Seldon wyskoczył z ukrycia. Zbliżył się szybko i stanąwszy przed Gruberem, powiedział:

— Dziękuję, Ogrodniku Pierwszego Stopnia. Ogrodnicy imperatora, przed wami ważne zadanie. Będziecie odpowiedzialni za piękno i zdrowie jedynej otwartej przestrzeni na naszym wspaniałym Trantorze, stolicy Imperium Galaktycznego. Dopilnujecie, byśmy mieli tu mały klejnot opromieniający swym blaskiem całe Imperium. Waszym zwierzchnikiem będzie Mandell Gruber, który wkrótce zostanie Naczelnym Ogrodnikiem. W razie potrzeby to on będzie składał mi raporty, a ja przedstawię je imperatorowi. To, jak sami widzicie, oznacza, że będziecie oddaleni jedynie o trzy stopnie od imperatora, a co za tym idzie, pozostaniecie w zasięgu jego łaskawego wzroku. Jestem pewien, że nawet teraz spogląda na nas z Małego Pałacu, swojej kwatery, mieszczącej się w budynku po prawej — tym z wyłożoną opalami kopułą — i na pewno jest zadowolony z tego, co widzi. Oczywiście, zanim zaczniecie pracę, przejdziecie przeszkolenie, dzięki któremu zapoznacie się z terenami i ich potrzebami. Będziecie…

Niemal ukradkiem Seldon zajął miejsce dokładnie naprzeciw

Raycha, który wciąż stał bez ruchu, co więcej, do tej pory nawet nie mrugnął.

Seldon starał się, by jego twarz nie wyglądała nienaturalnie dobrotliwie, ale w pewnej chwili pojawił się na niej cień. Osoba stojąca za Raychem wyglądała znajomo. Może Seldon nie rozpoznałby go, ale wcześniej przyjrzał się dokładnie jego hologramowi. Czyż to nie Gleb Andorin z Wye? Opiekun Raycha w Wye? Co on tu robi?

Andorin musiał zauważyć nagłe zainteresowanie Seldona, bo wyszeptał coś, ledwie uchylając usta, a Raych sięgnął prawą ręką do tyłu i wyciągnął miotacz z szerokiej kieszeni zielonego kubraka. To samo zrobił Andorin.

Helikończyk niemal doznał szoku. Jak to możliwe, by pozwolono wnieść miotacze na tereny pałacowe? Zaskoczony, ledwie słyszał krzyki „Zdrada!” i nagły hałas wywołany bieganiem i ostrzeżeniami.

Myślał jedynie o tym, że Raych mierzy w niego z miotacza i patrzy tak jakby w ogóle go nie poznawał. Przeraził się, gdy zrozumiał, że syn zamierza wystrzelić. Od śmierci dzieliło go tylko kilka sekund.

25

Miotacz, pomimo swej nazwy, nie „miota” w dosłownym znaczeniu tego słowa. Właściwie odparowuje i rozsadza wnętrzności, doprowadzając do implozji. Towarzyszy temu cichy dźwięk podobny do westchnienia.

Hari Seldon nie spodziewał się tego dźwięku. Spodziewał się jedynie śmierci. A jednak, zdziwiony, że usłyszał odległy cichy dźwięk podobny do szeptu, zamrugał gwałtownie i otworzył usta.

Żył? (W jego myślach było to pytanie, a nie stwierdzenie.)

Raych wciąż stał w tym samym miejscu, wyciągając przed siebie miotacz. Miał bardzo błyszczące oczy i zupełnie się nie poruszał, jakby zniknęła jakaś ożywiająca go dotąd siła. Za nim leżało w kałuży krwi skręcone ciało Andorina, a obok martwego mężczyzny stał ogrodnik z miotaczem w ręku. Kaptur zsunął mu się z głowy; widać było, że to kobieta, która dopiero co obcięła włosy. Spojrzała przelotnie na Seldona i powiedziała:

— Pański syn zna mnie jako Manellę Dubanqua. Jestem oficerem sił bezpieczeństwa. Chce pan poznać mój numer identyfikacyjny, Pierwszy Ministrze?

— Nie — odpowiedział cicho Seldon.

Na miejscu wypadku pojawiła się Gwardia Imperialna.

— Mój syn! Co się dzieje z moim synem?

— Myślę, że to „depresja” — powiedziała Manella. — To mu przejdzie. — Wyciągnęła rękę i wyjęła miotacz z dłoni Raycha. — Przepraszam, że nie zareagowałam szybciej. Musiałam zaczekać na jawny ruch, a kiedy już się wydarzył, o mało go nie przegapiłam.

— Miałem ten sam problem. Musimy zabrać Raycha do pałacowego szpitala.

Od strony Małego Pałacu dochodziły jakieś dziwne hałasy. Seldon pomyślał, że imperator naprawdę obserwował rozwój akcji, a jeśli tak było, to musiał wpaść w straszny gniew.

— Proszę się zaopiekować moim synem, panno Dubanqua — powiedział. — Ja muszę się spotkać z imperatorem.

Ruszył szybko pomimo zamieszania na pięknych trawnikach. Bez ceregieli wbiegł do Małego Pałacu. Cleon i tak nie mógł się już bardziej rozgniewać.

W środku, otoczone grupą przerażonych ludzi — tu, na półkolistych schodach — leżało ciało Jego Imperialnej Mości Cleona I, tak zmasakrowane, że ledwie można go było rozpoznać. Bogaty imperialny strój teraz służył za całun. Opierając się o ścianę i gapiąc głupio na wstrząśniętych wydarzeniem dworzan, stał Mandell Gruber.

Seldon poczuł, że już więcej nie zniesie. Podniósł miotacz leżący u

stóp Grubera. Był pewien, że broń należała do Andorina.

— Gruber, co ty zrobiłeś?! — zapytał cicho. Mężczyzna, patrząc na niego, wymamrotał:

— Wszyscy wrzeszczeli jak opętani. Pomyślałem sobie: „Kto się dowie? Pomyślą, że to ktoś inny zabił imperatora". Ale wtedy się okazało, że nie mogę uciekać.

— Ale dlaczego, Gruber? Dlaczego?

— Żebym nie musiał zostać Naczelnym Ogrodnikiem. Wykrztusiwszy te słowa, Gruber zemdlał; Seldon wpatrywał się

w nieprzytomnego mężczyznę. Wszystko stało się jakby gdzieś poza nim. On żył. Raych żył. Andorin zginął, a uczestników spisku joranumitów trzeba będzie teraz usunąć ze sceny aż do ostatniej osoby.

Centrum zostanie nienaruszone, jak na to wskazywała psychohistoria, choć pewien człowiek, z powodu tak trywialnego jak przeciwstawienie się rozporządzeniu, zabił imperatora.

I co teraz? — pomyślał zdesperowany Seldon. Co zrobimy? Co się teraz stanie?

Rozdział III
Dors Venabili

VENABILL DORS — (…) Życie Hariego Seldona tak bardzo obrosło w legendy i niedomówienia, że pozostaje niewielka nadzieja, by kiedykolwiek powstała jego biografia oparta na faktach. Prawdopodobnie najbardziej zagadkowy aspekt jego życia związany jest z jego małżonką Dors Venabili. O Dors Venabili wiadomo jedynie, że urodziła się na świecie zwanym Cinna. Stamtąd przybyła na Uniwersytet Streelinga, na którym została członkiem Wydziału Historii. Wkrótce potem poznała Seldona i była jego małżonką przez dwadzieścia osiem lat. Można nawet powiedzieć, że jej życie jeszcze bardziej obrosło legendami niż życie genialnego matematyka. Istnieją zupełnie niewiarygodne opowieści ojej sile i szybkości, a powszechnie opowiadano, czy też raczej mówiono o niej szeptem jako o „Tygrysicy". Jednak jeszcze bardziej zagadkowe od jej pojawienia się jest jej zniknięcie, po którym nigdy już o niej nie słyszano i którego przyczyn nikt nie zna.

Jej rola jako historyka zaznaczyła się w pracach na temat (…)

Encyklopedia Galaktyczna

1

Wanda Seldon miała prawie osiem lat, licząc według miary Standardowego Czasu Galaktycznego. Była już małą damą — poważną, o prostych brązowych włosach. Miała niebieskie oczy, ale te ciemniały, więc równie dobrze mogły być kiedyś brązowe, jak oczy jej ojca.

Siedziała zatopiona w myślach… Sześćdziesiąt.

Właśnie ta liczba ją zajmowała. Dziadek miał mieć urodziny, sześćdziesiąte urodziny — a sześćdziesiąt to duża liczba. Dręczyło ją to, gdyż ostatniej nocy miała bardzo zły sen. Udała się na poszukiwanie matki; chciała ją o coś zapytać. Matkę nietrudno było znaleźć. Rozmawiała z dziadkiem — z pewnością o urodzinach. Wanda zawahała się. Nie byłoby ładnie pytać o sprawy dotyczące dziadka w jego obecności.

Matka zawsze wyczuwała konsternację Wandy.

— Chwileczkę, Hari, zobaczmy, co też dręczy Wandę. O co chodzi, kochanie?

Dziewczynka pociągnęła ją za rękę.

— Nie tutaj, mamo. Chodź gdzieś na bok. Manella odwróciła się do Hariego Seldona.

— Tylko zobacz, jak wcześnie się to zaczyna. Prywatne życie. Prywatne problemy. Oczywiście, Wando. Pójdziemy do twojego pokoju?

— Tak, mamo. — Wandzie najwyraźniej ulżyło. Poszły, trzymając się za ręce. Wreszcie matka zapytała:

— Co to za problem, Wando?

— Chodzi o dziadka, mamo.

— O dziadka! Nie mogę sobie wyobrazić, by zrobił coś, co mogłoby cię zaniepokoić.

— Ale tak jest. — Nagle oczy dziewczynki wypełniły się łzami. — Czy on umrze?

— Dziadek? Dlaczego o tym pomyślałaś, Wando?

— Skończy sześćdziesiąt lat. Będzie taki stary.

— To nieprawda. Nie jest już młody, ale i nie stary. Ludzie dożywają osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu, a nawet stu lat… a twój dziadek jest silny i zdrowy. Będzie żył jeszcze długo.

— Jesteś pewna? — Mała pociągnęła nosem.

Manella chwyciła córkę za ramiona i popatrzyła jej prosto w oczy.

— Wszyscy kiedyś musimy umrzeć, Wando. Już ci to wyjaśniałam. I nie musimy się tym martwić, dopóki ten dzień nie nadejdzie. — Delikatnie wytarła oczy córki. — Dziadek będzie żył, dopóki nie dorośniesz i nie doczekasz się własnych dzieci. Zobaczysz.

A teraz chodź ze mną. Chcę porozmawiać z dziadkiem.

Wanda znów pociągnęła nosem.

Seldon popatrzył na dziewczynkę zadowolony z jej powrotu i spytał:

— O co chodzi, Wando? Dlaczego jesteś nieszczęśliwa? Mała tylko pokręciła głową.

Przeniósł wzrok na matkę dziewczynki.

— No, o co chodzi, Manello?

— Sama będzie musiała ci to powiedzieć — odparła kobieta, kręcąc głową.

Seldon usiadł i poklepał dłonią kolano.

— Chodź do mnie, Wando. Usiądź i opowiedz mi, co cię trapi. Mała posłuchała. Usadowiła się na jego kolanach, a potem powiedziała:

— Boję się. Hari objął ją.

— Nie musisz się bać swojego starego dziadka. Manella skrzywiła się.

— To złe słowo.

— Dziadek? — spytał Seldon, patrząc na nią.

— Nie. Stary.

To słowo zadziałało jak kropla przepełniająca czarę. Wanda wybuchnęła płaczem.

— Jesteś stary, dziadku.

— Chyba tak. Mam sześćdziesiąt lat. — Helikończyk pochylił twarz ku wnuczce i powiedział: — Mnie też się to nie podoba, Wando. Właśnie dlatego cieszę się, że ty masz niecałe osiem.

— Masz siwe włosy, dziadku.

— Nie zawsze tak było. Dopiero ostatnio mi posiwiały.

— Siwe włosy oznaczają, że umrzesz, dziadku. Seldon był zszokowany.

— O co jej chodzi? — spytał Manellę.

— Nie wiem, Hari. Sama to wymyśliła.

— Miałam zły sen — powiedziała Wanda. Helikończyk przełknął ślinę.

— Od czasu do czasu wszyscy miewamy złe sny. Ale to dobrze. Dzięki nim pozbywamy się złych myśli i potem lepiej się czujemy.

— Ale w moim umarłeś, dziadku.

— Wiem, wiem. Można śnić o umieraniu, ale to jeszcze nic nie znaczy. Popatrz na mnie. Widzisz, jak bardzo jestem żywy, radosny i roześmiany? Czy wyglądam na kogoś, kto miałby umrzeć? No powiedz?

— N-nie.

— Więc sama widzisz. A teraz pobaw się i zapomnij o tym wszystkim. To tylko moje urodziny, więc wszyscy doskonale się

zabawimy. No idź, kochanie.

Wanda odeszła w lepszym nastroju, ale Seldon skinął na Manellę, by została.

2

— Jak myślisz, skąd się u niej wziął ten dziwaczny pomysł? — spytał.

— Daj spokój, Hari. Miała kiedyś gekona, który zdechł, pamiętasz? Ojciec jednej z jej koleżanek zginął w wypadku, a cały czas widzi śmierć w holowizji. Nie sposób uchronić dziecko przed zetknięciem ze śmiercią. Właściwie nawet nie chciałabym, żeby żyła pod kloszem. Śmierć jest ważną częścią życia i ona musi się tego nauczyć.

— Nie miałem na myśli śmierci jako takiej, Manello. Chodziło mi o moją śmierć. Dlaczego właśnie o tym pomyślała?

Manella zawahała się. Naprawdę bardzo lubiła Hariego Seldona; czyż zresztą można go było nie lubić? Tylko jak miała mu to powiedzieć? Z drugiej strony, czy mogła mu tego nie powiedzieć? Dlatego zaczęła:

— Hari, sam wbiłeś jej to do głowy.

— Ja?

— Oczywiście. Od wielu miesięcy mówiłeś, że zbliżasz się do sześćdziesiątki, i narzekałeś głośno, że się starzejesz. Ludzie urządzają to przyjęcie tylko po to, by cię pocieszyć.

— Nie jest zabawnie przekroczyć sześćdziesiątkę — zaprotestował Seldon. — Czekaj, czekaj! Sama zobaczysz.

— Tak… jeśli będę miała szczęście. Niektórzy nie doczekają sześćdziesiątki. Wciąż opowiadasz o swoim wieku i starzeniu się, więc nic dziwnego, że wystraszyłeś małą wrażliwą dziewczynkę.

Seldon westchnął; wyglądał na zakłopotanego.

— Przepraszam, ale to trudne. Spójrz na moje dłonie. Pojawiają się na nich plamy, a wkrótce będą powykręcane. Już nie jestem taki sprawny jak kiedyś. Nawet dziecko powaliłoby mnie na kolana.

— Czy z resztą sześćdziesięciolatków jest inaczej? Przynajmniej twój umysł działa tak sprawnie jak zawsze. Jak często powtarzałeś, że tylko to się liczy?

— Wiem. Ale bardzo mi brakuje mojego ciała.

— Zwłaszcza że Dors najwyraźniej się nie starzeje — powiedziała Manella nieco złośliwie.

— Cóż, chyba tak — rzekł zaniepokojony Seldon. Popatrzył w bok, najwyraźniej chcąc zmienić temat.

Manella spojrzała na niego ponuro. Cały kłopot w tym, że Seldon nie wiedział nic o dzieciach… czy też, generalnie rzecz biorąc, o ludziach. Trudno było uwierzyć, że jako Pierwszy Minister spędził dziesięć lat u boku starego imperatora, a mimo to wiedział o ludziach równie mało jak przedtem.

Oczywiście, całkowicie pochłaniała go jego psychohistoria, która zajmując się kwadrylionami ludzi, nie zajmowała się w ogóle jednostkami. Jak mógł się znać na dzieciach, skoro nie miał kontaktu z żadnym dzieckiem oprócz Raycha, który wszedł w jego życie w wieku dwunastu lat? Teraz miał Wandę, która była dla niego — i prawdopodobnie pozostanie — wielką tajemnicą.

Manella myślała o tym wszystkim ciepło. Gorąco pragnęła chronić Seldona przed światem, którego nie rozumiał. W tym jednym punkcie rozumiała się ze swoją teściową Dors Venabili — obie pragnęły chronić Seldona.

Dziesięć lat temu Manella ocaliła Hariemu życie. Dors, choć może to dziwne, uznała to za wtargnięcie w jej kompetencje i nigdy nie wybaczyła Manelli.

Seldon też uratował życie Manelli. Zamknęła oczy i wszystko przypomniało się jej, jakby zdarzyło się przed chwilą.

3

Działo się to tydzień po zamordowaniu Cleona… a był to straszny tydzień. Cały Trantor pogrążył się w chaosie.

Hari Seldon wciąż piastował urząd Pierwszego Ministra, ale jasne było, że nie ma władzy. Wezwał do siebie Manellę Dubanqua.

— Chcę ci podziękować za uratowanie życia mi i mojemu synowi. Nie miałem jeszcze szansy tego zrobić. — A potem westchnął i dodał: — Właściwie w tym tygodniu nie miałem szansy niczego zrobić.

— Co się stało z tym szalonym ogrodnikiem? — spytała Manella.

— Został stracony! Natychmiast! Bez procesu! Usiłowałem go uratować, podkreślając, że był szalony, ale nie chcieli mnie słuchać. Gdyby zrobił cokolwiek innego, popełnił jakiekolwiek inne przestępstwo, uznano by może, że oszalał, i oszczędzono by go. Skazano i zamknięto, ale nie stracono. Ale zabić imperatora… — Seldon pokręcił smutno głową.

— I co teraz będzie, Pierwszy Ministrze? — spytała Manella.

— Powiem ci, co myślę. Dynastia Entun się skończyła. Syn Cleona nie zasiądzie na tronie. Nie sądzę, by tego pragnął. Obawia się, że i on zostanie podstępnie zgładzony, a ja nie winie go za to. Byłoby znacznie lepiej dla niego, gdyby udał się do jednej z rodzinnych posiadłości na którymś ze Światów Zewnętrznych i wiódł tam spokojne życie. Ponieważ jest członkiem Domu Imperialnego, zapewne pozwolą mu to zrobić. Ty i ja możemy mieć mniej szczęścia.

— W jakim sensie? — Manella zmarszczyła brwi. Seldon przełknął ślinę.

— Można powiedzieć, że skoro zabiłaś Gleba Andorina, a on upuścił miotacz, umożliwiłaś Mandellowi Gruberowi zamordowanie Cleona. Tym samym spoczywa na tobie duża część odpowiedzialności za zbrodnię, a ktoś może nawet powiedzieć, że wszystko zostało wcześniej przygotowane.

— Przecież to śmieszne. Jestem oficerem sił bezpieczeństwa i wypełniałam moje obowiązki… robiłam, co mi kazano.

Seldon uśmiechnął się smutno.

— Argumentujesz rozsądnie, ale przez pewien czas rozsądek nie będzie w cenie. Z braku legalnego następcy tronu imperialnego będziemy zapewne mieli rządy wojskowych.

W następnych latach, kiedy Manella zrozumiała zasady psychohistorii, zastanawiała się, czy Seldon użył tej techniki, by przewidzieć wydarzenia, bo istotnie nastały rządy wojskowych. Jednak wtedy nawet nie wspomniał o swej nowatorskiej teorii!

— Jeśli do tego dojdzie — kontynuował Seldon — wojskowi będą musieli natychmiast ustanowić twarde zasady postępowania, zgnieść

wszelkie objawy niesubordynacji, działać stanowczo i okrutnie, nawet wbrew rozsądkowi i sprawiedliwości. Jeśli oskarżą panią, panno Dubanqua, o udział w spisku przeciwko imperatorowi, zostanie pani stracona nie w imię sprawiedliwości, ale by zastraszyć mieszkańców Trantora. Jeśli już o tym mówimy, mogą uznać, że ja także brałem udział w spisku. Przecież udałem się na spotkanie z nowymi ogrodnikami, choć nie należało to do moich obowiązków. Gdybym tego nie zrobił, nie usiłowano by mnie zamordować, pani by nie strzeliła, a imperator żyłby nadal. Widzi pani, jak to wszystko do siebie pasuje?

— Nie mogę uwierzyć, że mogliby tak postąpić.

— Pewnie tego nie zrobią. Złożę im propozycję, której prawdopodobnie nie zechcą odrzucić.

— Co to będzie?

— Zaproponuję rezygnację ze stanowiska Pierwszego Ministra. Nie chcą mnie, więc nie będą mnie mieć. Ale faktem jest, że mam poparcie dworu imperialnego i co ważniejsze, mieszkańców ze Światów Zewnętrznych. To zaś oznacza, że jeśli członkowie Gwardii Imperialnej tylko zmuszą mnie do odejścia, a nie stracą, będą mieli kłopoty. Z drugiej strony, jeśli to ja zrezygnuję, twierdząc, że moim zdaniem Trantorowi i Imperium potrzebne są rządy wojskowych, to tym samym pomogę im, rozumie pani? — Seldon zamyślił się na chwilę, a potem dodał: — Poza tym chodzi jeszcze o psychohistorię.

(Właśnie wtedy Manella po raz pierwszy usłyszała to słowo.)

— Co to takiego?

— Coś, nad czym pracuję. Cleon bardzo wierzył w jej potęgę, bardziej niż ja w tym czasie, a i na samym dworze panuje przekonanie, że psychohistoria jest, czy też mogłaby być potężnym narzędziem w rękach rządu… bez względu na to, jaki to będzie rząd. Nie ma znaczenia, że dworacy nie wiedzą nic o szczegółach tej gałęzi nauki. Nawet wolę, żeby nie wiedzieli. Brak wiedzy może wytworzyć coś, co nazywamy zabobonnym aspektem sytuacji. To oznacza, że pozwolą mi kontynuować badania jako prywatnej osobie. Przynajmniej mam taką nadzieję… I tu dochodzimy do ciebie.

— A jaki to ma związek ze mną?

— Zamierzam poprosić, by w ramach umowy pozwolili ci zrezygnować z funkcji w siłach bezpieczeństwa, a także by nie podejmowali przeciwko tobie żadnych kroków w związku z zabójstwem. Myślę, że uda mi się to uzyskać.

— Ale mówisz o zakończeniu mojej kariery.

— Twoja kariera tak czy inaczej jest skończona. Gdyby nawet Gwardia Imperialna nie wydała rozkazu zgładzenia ciebie, czy możesz sobie wyobrazić, by pozwolono ci kontynuować pracę w siłach bezpieczeństwa?

— Ale co będę robić? Jak zarobię na życie?

— Ja się tym zajmę, panno Dubanqua. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wrócę na Uniwersytet Streelinga z pokaźnym grantem na badania nad psychohistoria i jestem pewien, że znajdzie się tam miejsce i dla pani.

— Dlaczego miałby pan…? — spytała zdziwiona Manella.

— Dziwię się, że pani pyta. Uratowała pani życie Raycha i moje. Czy tak trudno zrozumieć, że coś pani zawdzięczam?

Stało się tak, jak powiedział. Seldon zrezygnował z wdzięcznością ze stanowiska, które zajmował przez dziesięć lat. Dopiero co sformowany rząd wojskowych, junta kierowana przez pewnych członków Gwardii Imperialnej i sił zbrojnych, przesłała mu przesadne podziękowania. Wrócił na Uniwersytet Streelinga, a Manella Dubanqua, którą zwolniono ze stanowiska oficera sił bezpieczeństwa, udała się tam razem z nim i jego rodziną.

4

Raych wszedł do środka, rozcierając ręce.

— Zgadzam się bez zastrzeżeń na rozmyślne zróżnicowanie pogody. Nikt nie chciałby, żeby pod kopułą wszystko było wciąż takie samo. Ale dzisiaj jest nieco zbyt zimno, a poza tym wywołali wiatr. Myślę, że nadeszła pora, by ktoś złożył zażalenie do punktu kontroli pogody.

— Nie wiem, czy to wina punktu kontroli pogody — powiedział Seldon. — Generalnie rzecz biorąc, coraz trudniej wszystko kontrolować.

— Wiem. Wszystko się psuje.

Raych potarł grzbietem dłoni swe gęste czarne wąsy. Często tak robił, jakby wciąż nie mógł zapomnieć tych kilku miesięcy w Wye, kiedy to zgolił zarost. Ostatnio przytył też co nieco i wreszcie wyglądał na bardzo zadowolonego przedstawiciela klasy średniej. Nawet jego dahlijski akcent jakoś zelżał.

Raych zdjął lekki skafander i powiedział:

— A jak tam nasz jubilat?

— Poczekaj, poczekaj, mój synu. Już niedługo sam będziesz obchodził czterdziestkę. Wtedy zobaczymy, jakie to dla ciebie śmieszne.

— Nie tak śmieszne jak sześćdziesiątka.

— Przestańcie żartować — powiedziała Manella, która rozcierała dłonie Raycha, usiłując je rozgrzać.

Seldon rozłożył ręce.

— Źle robimy, Raych. Twoja żona uważa, że całe to gadanie o mojej sześćdziesiątce przygnębiło Wandę. Mała sądzi, że mogę umrzeć.

— Naprawdę? — spytał Raych. — To by się zgadzało. Zatrzymałem się, żeby ją zobaczyć, ale zanim zdążyłem powiedzieć choć słowo, oznajmiła, że miała zły sen. Śniła o twojej śmierci?

— Widocznie — rzekł Seldon.

— Zapomni o tym. Nie sposób powstrzymać złe sny.

— Ja bym tego tak nie lekceważyła — powiedziała Manella. — Wciąż o tym rozmyśla, a to nie jest zdrowe. Zamierzam się dowiedzieć, jaka jest tego przyczyna.

— Jak sobie życzysz, Manello — powiedział zgodnie Raych. — Jesteś moją kochaną żoną, więc cokolwiek powiesz, jeśli dotyczy to Wandy, jestem za. — Znów pogładził wąsy.

Jego kochana żona! Nie tak łatwo było sprawić, żeby nią została. Raych pamiętał reakcję matki na samą wzmiankę o małżeństwie z Manellą. Tamta rozmowa przypominała koszmar. I to on miewał

koszmary, w których raz jeszcze musiał stawać twarzą w twarz z wściekłą Dors Venabili.

5

Pierwsze wspomnienie Raycha, kiedy ustały już ciężkie objawy zażycia depresji, wiązało się z goleniem.

Czuł maszynkę przesuwającą się po policzku i pamiętał, że powiedział słabo:

— Fryzjerze, nie gól nigdzie przy mojej górnej wardze. Chcę, żeby odrosły mi wąsy.

Mężczyzna, który otrzymał już instrukcje od Seldona, uniósł lustro, by go uspokoić.

— Pozwól mu się ogolić, Raych — powiedziała Dors Venabili, siedząca przy jego łóżku. — Leż spokojnie.

Raych spojrzał na nią i natychmiast się uspokoił. Kiedy fryzjer wyszedł, Dors spytała:

— Jak się czujesz, Raych?

— Paskudnie — wymamrotał. — Jestem tak przygnębiony, że nie mogę tego znieść.

— To skutek opóźnionego działania depresji, którą cię naszpikowano. Te efekty znikną.

— Nie wierzę. Jak długo to już trwa?

— Nieważne. Niestety, to jeszcze musi potrwać. Nafaszerowano cię tym paskudztwem okropnie.

Raych rozglądał się niespokojnie.

— Czy odwiedzała mnie Manella?

— Ta kobieta? (Raych przyzwyczajał się już, że Dors mówi o Manelli w ten sposób i tym tonem.) Nie. Jeszcze nie wolno ci przyjmować wizyt. — Odczytawszy minę syna, szybko dodała: — Jestem wyjątkiem, ponieważ jestem twoją matką. A poza tym, dlaczego chciałbyś, żeby ta kobieta cię odwiedzała? Nie jesteś w takim stanie, by cię odwiedzano.

— Tym bardziej chcę ją zobaczyć — wymamrotał Raych. — Chcę, żeby zobaczyła mnie w najgorszym stanie. — Odwrócił się na bok, przygnębiony. — Chcę spać.

Dors Venabili pokręciła głową. Nieco później tego dnia powiedziała do Seldona:

— Nie wiem, co my zrobimy z Raychem. Zachowuje się zupełnie nierozsądnie.

— On się źle czuje, Dors — odparł Seldon. — Daj mu trochę czasu.

— Wciąż mówi o tej kobiecie. No, jak jej tam?

— Manella Dubanqua. Nie tak trudno zapamiętać jej nazwisko.

— Myślę, że chce z nią zamieszkać. Żyć z nią. Poślubić ją.

— Raych ma trzydzieści lat — rzekł Helikończyk, wzruszając

ramionami. — Jest dostatecznie dorosły, by kierować się własnym rozumem.

— Jako jego rodzice mamy coś do powiedzenia… na pewno. Hari westchnął.

— I jestem pewien, że mu to powiedziałaś, Dors. A ponieważ to powiedziałaś, jestem pewien, że zrobi, co zechce.

— Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Nie zamierzasz nic zrobić, choć on planuje poślubić taką kobietę?

— A co byś chciała, żebym zrobił? Manella uratowała mu życie. Oczekujesz, że on o tym zapomni? Mnie też uratowała, jeśli chodzi o ścisłość.

Słowa Seldona jeszcze bardziej rozgniewały Dors.

— Ty też ją uratowałeś. Rachunki zostały wyrównane.

— Ja wcale…

— A właśnie, że tak. Ci wojskowi szubrawcy, którzy teraz rządzą Imperium, zamordowaliby ją, gdybyś nie interweniował, składając rezygnację i używając swych wpływów, by ją uratować.

— Nawet jeśli wyrównałem rachunki, choć wcale tak nie uważam, Raych ich nie wyrównał. A poza tym, kochana Dors, ostrożniej dobierałbym słowa na określenie naszego rządu. Nadchodzą trudne czasy, nie będzie tak łatwo jak za rządów Cleona i zawsze znajdzie się informator, który chętnie powtórzy to, co usłyszał.

— Nie dbam o to. Nie lubię tej kobiety. Zakładam, że przynajmniej to mi wolno.

— Wolno, z pewnością, ale to nie ma sensu.

Seldon wbił wzrok w podłogę i głęboko się zamyślił. Niezgłębione zazwyczaj czarne oczy Dors błyszczały gniewnie. Hari popatrzył na nią.

— Wiesz, co chciałbym zrozumieć, Dors? Chciałbym pojąć, dlaczego tak bardzo nie lubisz Manelli. Uratowała nam życie. Gdyby nie jej szybka reakcja, obaj z Raychem już byśmy nie żyli.

— Tak, Hari! — warknęła Dors. — Wiem o tym lepiej niż ktokolwiek. A gdyby jej tam nie było, nie mogłabym zrobić nic, by zapobiec twojej śmierci. Pewnie myślisz, że powinnam być wdzięczna. Ale za każdym razem, kiedy spoglądam na tę kobietę, przypominam sobie o mojej porażce. Wiem, że te uczucia nie są racjonalne… i nie umiem tego wytłumaczyć. Więc nie proś mnie, Hari, bym ją polubiła. Nie potrafię.

Jednak następnego dnia nawet Dors musiała skapitulować, gdy lekarz powiedział:

— Pani syn pragnie się widzieć z kobietą o imieniu Manella.

— On nie ma siły przyjmować wizyt — rzuciła.

— Przeciwnie. Szybko wraca do zdrowia. Poza tym upiera się przy tym niezwykle zdecydowanie. Nie sądzę, byśmy mądrze

postępowali, odmawiając mu.

Tak więc sprowadzono Manellę, a Raych powitał ją wylewnie, okazując po raz pierwszy, odkąd znalazł się w szpitalu, że jest szczęśliwy. Drobnym gestem dał Dors do zrozumienia, by wyszła z pokoju, a ona, zacisnąwszy usta, spełniła jego prośbę.

Nadszedł wreszcie taki dzień, gdy Raych powiedział:

— Ona mnie chce, mamo.

— Chyba nie sądzisz, że jestem zdziwiona, głuptasie? Oczywiście, że cię chce. Jesteś jej jedyną szansą, teraz gdy jest w niełasce, usunięta z sił bezpieczeństwa…

— Mamo, jeśli chcesz mnie stracić, to jesteś na najlepszej drodze. Proszę cię, nie mów takich rzeczy.

— Chodzi mi jedynie o twoje dobro.

— Dziękuję ci, ale sam potrafię o nie zadbać. Nie jestem niczyim środkiem do odzyskania szacunku… tylko się nad tym zastanów. Nie jestem zbyt przystojny. Jestem niski i mówię jak ludzie z niższych sfer. Tata nie jest już Pierwszym Ministrem. Czym miałaby się we mnie zachwycać? Mogłaby trafić znacznie lepiej, ale chce właśnie mnie. I pozwól, że coś ci powiem: ja też jej pragnę.

— Ale wiesz, kim ona jest.

— Oczywiście, że wiem. Kobietą, która mnie kocha. Kobietą, którą ja kocham. Właśnie tym jest.

— A kim była, zanim się w niej zakochałeś? Wiesz tylko o części zadań, które musiała wykonywać jako agentka w Wye. Byłeś tylko jednym z jej „przydziałów". Ilu jeszcze ich było? Będziesz potrafił żyć ze świadomością jej przeszłości? Z tym, co robiła w imię obowiązku? Teraz stać cię na idealizm, ale pewnego dnia pokłócicie się po raz pierwszy, drugi albo dziewiętnasty… a ty się załamiesz i krzykniesz „ty ku…"!

— Nie mów tak! — krzyknął wściekły Raych. — Jeśli się posprzeczamy, znajdę milion przymiotników pasujących do sytuacji, a ona znajdzie właściwe słowa na określenie mnie. Ale będą to słowa sensowne, które można odwołać, gdy kłótnia się skończy.

— Teraz tak myślisz… ale poczekaj do chwili, gdy coś takiego się wydarzy.

Raych pobladł.

— Mamo, spędziłaś z ojcem prawie dwadzieścia lat. Trudno się z nim nie zgadzać, ale bywały takie sytuacje, gdy się kłóciliście. Słyszałem te kłótnie. Czy przez te dwadzieścia lat ojciec użył kiedykolwiek epitetu kompromitującego twoją rolę jako człowieka? A skoro już o tym mówimy, czy ja tak postąpiłem? Możesz sobie wyobrazić, bym teraz miał zrobić coś takiego… bez względu na to, jak się wścieknę?

Dors walczyła z sobą. Jej twarz nie wyrażała emocji w taki sam

sposób, w jaki pojawiłyby się one na twarzy Raycha czy Seldona, ale było jasne, że w pewnej chwili nie mogła wydobyć słowa.

— Prawdę mówiąc — powiedział Raych, wykorzystując z bólem przewagę — chodzi o to, że jesteś zazdrosna, bo to Manella uratowała życie tacie. Nie chciałaś, by zrobił to ktokolwiek oprócz ciebie. Tak, wiem, nie miałaś szansy. Czyżbyś jednak wolała, żeby Manella nie zabiła Andorina… żeby tata zginął? I ja także?

— Upierał się, żeby iść na spotkanie z ogrodnikami beze mnie — powiedziała zduszonym głosem Dors. — Nie pozwolił, bym mu towarzyszyła.

— Ale to nie była wina Manelli.

— Czy dlatego chcesz ją poślubić? Z wdzięczności?

— Nie. Kocham ją.

Stało się więc tak, jak chciał Raych. Jednak po ceremonii Manella powiedziała:

— Twoja matka wzięła udział w ślubie, bo nalegałeś na to, ale przypominała jedną z tych chmur gradowych, które czasami szybują pod kopułą.

Raych roześmiał się.

— Ona nawet nie umie przybrać takiego wyrazu twarzy. Zdawało ci się tylko.

— Wcale nie. Jak zdołamy ją przekonać, by dała nam szansę?

— No cóż, musimy być cierpliwi. Ona przywyknie do tego. Tak się jednak nie stało.

Dwa lata po ślubie urodziła się Wanda. Stosunek Dors do dziecka był lepszy niż Raych i Manella mogli sobie wyobrazić, ale matka Wandy pozostała dla matki Raycha „tą kobietą”.

6

Hari Seldon walczył z melancholią. Kazania prawili mu na zmianę Dors, Raych, Yugo i Manella. Zjednoczyli się, by mu powiedzieć, że sześćdziesiąt lat to jeszcze nie starość.

Oni po prostu niczego nie rozumieli. Miał trzydzieści lat, gdy po raz pierwszy pomyślał o psychohistorii, trzydzieści dwa, gdy wygłosił swój sławny odczyt na Zjeździe Dziesięcioletnim, a to pociągnęło za sobą wszystko, co później nastąpiło. Po krótkiej audiencji u Cleona przemierzył Trantor i poznał Demerzela, Dors, Yugo oraz Raycha, nie mówiąc już o mieszkańcach Mycogenu, Dahla i Wye.

Miał czterdzieści lat, gdy został Pierwszym Ministrem, a pięćdziesiąt, gdy zrzekł się stanowiska. Teraz dobiegł sześćdziesiątki.

Spędził trzydzieści lat, zajmując się psychohistorią. Ilu jeszcze potrzebował? Jak długo jeszcze będzie żył? Czyżby miał umrzeć, nie dokończywszy Projektu?

Powtarzał sobie, że nie śmierć go niepokoi. Bał się, że nie ukończy badań.

Udał się na spotkanie z Yugo Amarylem. Przez ostatnie lata oddalali się od siebie, w miarę jak Projekt Psychohistorii wciąż się rozrastał. Przez pierwsze lata na Uniwersytecie Streelinga Seldon i Amaryl pracowali razem — tylko oni i nikt więcej. A teraz…

Amaryl miał niemal pięćdziesiąt lat — nie był więc już młodym człowiekiem — i chyba stracił zapał. Przez cały ten czas nie interesowało go nic oprócz psychohistorii: nie było w jego życiu kobiet, towarzystwa, nie miał hobby ani innych zajęć.

Amaryl zamrugał, patrząc na Seldona, a ten nie mógł nie zauważyć zmian w jego wyglądzie. Było tak po części dlatego, że Yugo musiał poddać rekonstrukcji swoje oczy. Widział doskonale, ale miały nienaturalny wygląd, a on miał skłonność do wolnego mrugania, przez co sprawiał wrażenie śpiącego.

— No i jak myślisz, Yugo? — spytał Seldon. — Czy na końcu tego tunelu jest jakieś światło?

— Światło? Myślę, że tak — odpowiedział Amaryl. — Jest pewien nowy facet, Tamwile Elar. Znasz go oczywiście?

— O tak. To ja go zatrudniłem. Jest bardzo przebojowy. Jak sobie radzi?

— Nie mogę powiedzieć, bym dobrze się przy nim czuł. Jego głośny śmiech działa mi na nerwy. Ale przyznaję, że jest błyskotliwy. Nowy system równań pasuje doskonale do Pierwszego Radianta i być może dzięki nim uda się ominąć problem chaosu.

— Być może czy na pewno?

— Za wcześnie o tym mówić, ale wiążę z nimi wielkie nadzieje.

Wypróbowałem kilka kombinacji, które zniszczyłyby je, gdyby były bezużyteczne, ale przetrzymały wszystko. Zaczynam o nich myśleć jako o „równaniach achaotycznych”.

— Nie rozumiem — powiedział Seldon. — Czyżbyśmy nie mieli nic, co wykazałoby niezbicie prawdziwość tych twierdzeń?

— Nie, nie mamy, mimo że zatrudniłem do tego pół tuzina ludzi, w tym oczywiście Elara. — Amaryl włączył swój Pierwszy Radiant, który był równie zaawansowany jak urządzenie Seldona, i obserwował, jak krzywe linie świecących równań kłębią się pośrodku zbyt małe i zbyt delikatne, by je odczytać bez powiększenia. — Dodaj nowe równania, a może będziemy w stanie zacząć przewidywać przyszłość.

— Za każdym razem, gdy widzę Pierwszy Radiant — rzekł poważnie Seldon — zadziwia mnie elektrowyświetlacz i jego niezwykła umiejętność dopasowywania materiału do prostych i krzywych przyszłości. Czy to także pomysł Elara?

— Tak. Pomagała mu Cinda Monay, która zaprojektowała to urządzenie.

— Dobrze mieć w Projekcie nowych inteligentnych współpracowników. W pewnym sensie właśnie dzięki temu mogę się pogodzić z upływem czasu i spokojnie patrzeć w przyszłość.

— Myślisz, że pewnego dnia ktoś taki jak Elar będzie mógł stanąć na czele Projektu? — spytał Amaryl, nie odrywając wzroku od Pierwszego Radianta.

— Być może. Gdy obaj przejdziemy już na emeryturę… albo umrzemy.

Słowa Seldona najwyraźniej uspokoiły Amaryla. Wyłączył urządzenie.

— Chciałbym skończyć nasze zadanie, zanim przejdziemy na emeryturę czy umrzemy.

— Ja też, Yugo. Ja też.

— Przez ostatnie dziesięć lat psychohistoria prowadziła nas nie najgorzej.

Tak rzeczywiście było, ale Seldon wiedział, że nie można z tego powodu wpadać w zachwyt. Wszystko szło gładko i bez większych niespodzianek.

Psychohistoria przepowiedziała, że centrum utrzyma się po śmierci Cleona — co prawda zrobiła to dość niewyraźnie i niepewnie — i się utrzymało. Na Trantorze było całkiem spokojnie. Pomimo zabójstwa i wygaśnięcia dynastii Entun centrum trwało. I trwało dalej mimo rządów wojskowych — Dors miała rację, mówiąc o juncie jako o „wojskowych szubrawcach”. Nawet gdyby posunęła się dalej w swych oskarżeniach, nie myliłaby się. Niemniej jednak ludzie ci trzymali Imperium w karbach, nie dopuszczając do rozłamu, i

zamierzali robić to jeszcze przez jakiś czas. Zapewne dostatecznie długo, by pozwolić psychohistorii na odegranie aktywnej roli w wydarzeniach, które miały dopiero nastąpić.

Ostatnio Yugo mówił o możliwości ustanowienia Fundacji — wydzielonych, odizolowanych i niezależnych od Imperium — mających służyć jako ziarna rozwoju w nadchodzących mrocznych wiekach, a w przyszłości mogących dać początek nowemu i lepszemu Imperium. Seldon sam badał konsekwencje takich kroków. Jednak brakowało mu czasu i czuł (z pewną przykrością), że brakuje mu także młodości. Jego umysł, choć wciąż bardzo sprawny, nie był już tak elastyczny i kreatywny jak wtedy, gdy miał trzydzieści lat, a wiedział, że z każdym mijającym rokiem będzie gorzej.

Może powinien przekazać młodemu i błyskotliwemu Elarowi to zadanie, a zdjąć z jego barków wszystkie inne. Seldon przyznawał się przed sobą ze wstydem, że taka możliwość nie wprawiała go w zachwyt. Skoro to on stworzył psychohistorię, nie chciał, by przyszedł jakiś wyrostek i zgarnął dla siebie owoce sławy. Prawdę mówiąc, najhaniebniejsze było to, że był zazdrosny o Elara, i uświadamiał to sobie dostatecznie wyraźnie, by się wstydzić.

Jednak bez względu na mało racjonalne uczucia będzie musiał zdać się na innych młodych ludzi — czy to mu się podoba czy nie. Psychohistoria nie była już prywatnym poletkiem jego i Amaryla. Dziesięć lat na stanowisku Pierwszego Ministra zmieniło badania w wielkie, popierane przez rząd i finansowane z budżetu przedsięwzięcie, a — ku zdziwieniu Seldona — po jego rezygnacji ze stanowiska i powrocie na Uniwersytet Streelinga poparcie rządu jeszcze się zwiększyło. Hari krzywił się z powodu pompatycznej i niezgrabnej oficjalnej nazwy: *Projekt Psychohistorii Seldona na Uniwersytecie Streelinga*. Większość ludzi nazywała go po prostu Projektem.

Junta najwyraźniej uważała Projekt za broń polityczną, a dopóki tak było, fundusze nie stanowiły problemu. Płynął strumień kredytów. W zamian należało przygotowywać sprawozdania roczne, te jednak były dość mętne. W sprawozdaniach podawano tylko ramowe założenia, a nawet wtedy, bez właściwej interpretacji, matematyka ta nie była zrozumiała dla wojskowych.

Wychodząc od swego starego asystenta, Seldon rozumiał, że przynajmniej Amaryl jest bardziej niż zadowolony z drogi, którą kroczyła psychohistoria, a jednak czuł, że znów ogarnia go depresja. Pomyślał, że to pewnie nadchodzące urodziny tak go martwą. Obchody miały być radosnym świętem, ale dla Hariego nie były nawet pocieszającym gestem; uważał, że tylko podkreślają jego wiek.

Poza tym burzyło to jego rutynowe zajęcia, a Hari miał swoje przyzwyczajenia. Jego biuro i przylegające do niego pomieszczenia

uprzątnięto, upłynie więc pewnie wiele dni, nim będzie mógł zacząć normalnie pracować. Chciano je chyba zamienić w pałac chwały. Tylko Amaryl absolutnie odmówił ruszenia się z miejsca i udało mu się pozostać w biurze.

Strapiony Seldon zastanawiał się, kto to wszystko wymyślił. Oczywiście, nie Dors. Ona znała go zbyt dobrze. Nie mogli to być Amaryl czy Raych, bo oni nie pamiętali nawet o własnych urodzinach. Podejrzewał Manellę i nawet rozmawiał z nią o tym. Przyznała, że pomysł bardzo się jej spodobał i nawet zarządziła przygotowania, ale oświadczyła, że pomysł wydania przyjęcia urodzinowego podsunął jej Tamwile Elar.

Spryciarz, pomyślał Seldon. Sprytny pod każdym względem.

Helikończyk westchnął. Gdyby tak mógł mieć już z głowy te urodziny.

7

— Mogę wejść? — spytała Dors, wsuwając głowę przez drzwi.

— Nie, oczywiście, że nie. Dlaczego niby miałbym ci pozwolić?

— Zazwyczaj tu nie przebywasz.

— Wiem — westchnął Seldon. — Wyeksmitowano mnie z powodu tego głupiego przyjęcia urodzinowego. Tak bym chciał, żeby już było po wszystkim.

— A więc o to ci chodzi. Kiedy ta kobieta wbije coś sobie do głowy, to już nie popuści, póki tego nie osiągnie.

Seldon natychmiast zmienił front.

— Wejdź, Dors. Wiesz, że ona ma dobre intencje.

— Oszczędź mi gadania o dobrych intencjach — powiedziała Dors. — Przyszłam tu, żeby porozmawiać o czymś innym. O czymś, co może być ważne.

— Mów. O co chodzi?

— Rozmawiałam z Wandą ojej śnie… — Dors zawahała się. Seldon wydał gardłowy dźwięk, a potem rzucił:

— Nie wierzę w to. Nie zawracaj sobie tym głowy.

— Nie. Zadałeś sobie trud i spytałeś ją o szczegóły tego snu?

— Dlaczego miałbym dręczyć małą czymś takim?

— Nie zrobił tego ani Raych, ani Manella. Mnie to zostawili. — Dlaczego torturowałaś ją pytaniami o to?

— Bo mam przeczucie, że powinnam to zrobić — odparła ponuro. — Po pierwsze, nie śniła w domu, w swoim łóżku.

— Więc gdzie wtedy była?

— W twoim biurze.

— Co robiła w moim biurze?

— Chciała zobaczyć miejsce, w którym odbędzie się przyjęcie, więc poszła do twojego biura. Oczywiście, nie było tam nic do oglądania, gdyż podczas przygotowań usunięto wszystkie sprzęty. Ale stał tam jeszcze twój fotel. Ten wielki, zepsuty — z wysokim oparciem i podłokietnikami — którego nie pozwoliłeś mi wymienić.

— On wcale nie jest zepsuty — westchnął Hari, jakby przypominał sobie, że już się o niego sprzeczali. — Nie chcę nowego. Mów dalej.

— Zwinęła się w kłębek w twoim fotelu i zamyśliła, podejrzewając, że być może wcale nie chcesz tego przyjęcia. Bardzo ją to zasmuciło. A potem, jak mi powiedziała, musiała chyba zasnąć, bo to, co zapamiętała, nie jest wyraźne. Wie tylko, że w jej śnie było dwóch mężczyzn — nie kobiety, tego jest pewna — i ci dwaj rozmawiali.

— O czym?

— Nie wie dokładnie. Wiesz, jak trudno jest zapamiętać szczegóły w takich okolicznościach. Mówi jednak, że rozmawiali o śmierci, a ona myśli, że chodziło o ciebie, bo jesteś tak stary. Dokładnie pamięta tylko dwa słowa: „lemoniadowa śmierć".

— Co takiego?

— Lemoniadowa śmierć.

— Co to znaczy?

— Nie wiem. W każdym razie rozmowa się skończyła, mężczyźni wyszli, a ona została w fotelu, zmarznięta i przestraszona… i od tamtej pory wciąż się martwi.

Seldon zastanawiał się nad słowami Dors, a potem powiedział:

— Posłuchaj, kochanie, przecież nie możemy przywiązywać wagi do snu dziecka.

— A nie powinniśmy się najpierw zastanowić, czy to w ogóle był sen?

— Co masz na myśli?

— Wanda wcale nie twierdzi wyraźnie, że to był sen. Mówi, że „chyba musiała zasnąć". To jej słowa. Wcale nie powiedziała, że zasnęła, ale że chyba musiała zasnąć.

— Jaki więc z tego wniosek?

— Mogła się zamyślić, zamknąwszy oczy, i właśnie wtedy usłyszeć tych dwóch mężczyzn… dwóch prawdziwych mężczyzn, nie wyśnionych.

— Prawdziwych mężczyzn? Rozmawiających o zabiciu mnie lemoniadową śmiercią?

— Coś w tym stylu.

— Dors — rzekł stanowczo Seldon — wiem, że zawsze myślisz o grożącym mi niebezpieczeństwie, ale tym razem posuwasz się za daleko. Dlaczego ktoś chciałby mnie zabić?

— Dwa razy już próbowano.

— To prawda, ale weź pod uwagę okoliczności. Do pierwszego zamachu doszło wkrótce po tym, gdy Cleon mianował mnie Pierwszym Ministrem. Naturalnie, była to obrona dobrze ustawionej hierarchii dworskiej, która przyjęła mnie, łagodnie mówiąc, niechętnie. Kilku dworaków sądziło, że mogliby inaczej pokierować sprawami, gdyby się mnie pozbyli. Za drugim razem joranumici, którzy usiłowali przejąć władzę, uważali, że stoję im na drodze, a do tego dochodziła jeszcze nieprzeparta żądza zemsty Namartiego. Na szczęście żaden z zamachów się nie udał, ale dlaczego ktoś miałby planować ten trzeci? Już od dziesięciu lat nie jestem Pierwszym Ministrem. Jestem starzejącym się matematykiem, który wkrótce przejdzie na emeryturę, i nikt nie musi się obawiać czegokolwiek z mojej strony. Joranumici zostali wytropieni i doszczętnie zniszczeni, a egzekucję na Namartim wykonano dawno temu. Absolutnie nikt nie

ma powodu, by mnie zabić. Proszę cię więc, Dors, uspokój się. Kiedy się denerwujesz z mojego powodu, jesteś okropnie rozstrojona, a to cię jeszcze bardziej denerwuje. Nie chcę być tego przyczyną.

Dors wstała i pochyliła się nad biurkiem Hariego.

— Łatwo ci mówić, że nie ma powodu, by cię zabić, ale też żaden nie jest potrzebny. Nasz rząd jest teraz zupełnie nieodpowiedzialny, więc jeśli chcą…

— Przestań! — rozkazał głośno Seldon, a potem dodał cicho: — Ani słowa, Dors. Ani słowa przeciwko rządowi. To może na nas sprowadzić okropne kłopoty.

— Przecież rozmawiam tylko z tobą, Hari.

— W tej chwili tak, ale jeśli mówienie głupstw wejdzie ci w nawyk, nawet nie będziesz wiedziała, kiedy coś ci się wymknie w obecności kogoś, kto potem z radością na ciebie doniesie. Naucz się. bo to absolutnie konieczne, unikać komentarzy politycznych.

— Spróbuję, Hari — powiedziała Dors, ale w jej głosie wyczuwało się oburzenie. Obróciła się na pięcie i wyszła.

Seldon popatrzył za nią. Starzała się z takim wdziękiem… że czasami wydawało się, iż wcale się nie starzeje. Choć była młodsza od niego tylko dwa lata, przez te dwadzieścia osiem lat jej wygląd zmienił się o wiele mniej niż Hariego. To było oczywiste.

Jej włosy były przyprószone siwizną, ale wciąż błyszczały. Oczywiście, jej cera nieco zżółkła, głos był odrobinę bardziej ochrypły i ubierała się odpowiednio, jak dama w średnim wieku, jednak jej ruchy były tak zwinne i szybkie jak zawsze, zupełnie jakby nic nie mogło jej przeszkodzić chronić Hariego w wypadku zagrożenia.

Seldon westchnął. Stała ochrona — mniej lub bardziej wbrew jego woli — czasami stawała się ciężarem nie do zniesienia.

8

Niemal natychmiast po wyjściu Venabili do Seldona przyszła Manella.

— Przepraszam, Hari, ale czy możesz mi powiedzieć, co mówiła Dors? Helikończyk, któremu znów przerwano rozmyślania, popatrzył w górę.

— To nie było nic ważnego. Chodziło o sen Wandy. Manella wydęła wargi.

— Wiedziałam. Wanda powiedziała mi, że Dors wypytywała ją o to. Dlaczego nie zostawi dziecka w spokoju? Sądzisz, że złe sny to jakaś zbrodnia?

— Prawdę mówiąc — rzekł uspokajająco Seldon — chodzi o to, co Wanda zapamiętała jako część snu. Nie wiem, czy Wanda powiedziała ci, ale najwyraźniej w swoim śnie słyszała coś o „lemoniadowej śmierci".

— Hmm! — Manella milczała chwilę, a potem powiedziała: — To wcale nie jest istotne. Wanda jest zwariowana na punkcie lemoniady i oczekuje, że w czasie przyjęcia będzie jej pod dostatkiem. Obiecałam, że będzie mogła wypić trochę i jeść łakocie mycogeńskie, więc nie może się już tego doczekać.

— To znaczy, że jeśli usłyszała coś, co przypominało słowo „lemoniada", w jej głowie zmieniło się w lemoniadę.

— Tak. Dlaczego nie?

— Co w takim razie mogło być tematem rozmowy? Musiała coś usłyszeć, skoro zamieniła to na inne słowo.

— Wcale tak nie musiało być. Ale dlaczego przywiązujemy taką wagę do snu małej dziewczynki? Proszę cię, nie chcę, żeby ktokolwiek jeszcze rozmawiał z nią na ten temat. To zbyt przygnębiające.

— Zgadzam się. Dopilnuję, by Dors przestała o tym mówić… a przynajmniej z Wandą.

— W porządku. Nie obchodzi mnie, że jest babcią Wandy, Hari. Jestem jej matką, więc chyba moje życzenia powinny być respektowane w pierwszej kolejności.

— To zrozumiałe — rzekł uspokajająco Seldon. Popatrzył za wychodzącą Manellą. To był jeszcze jeden ciężar — nie kończąca się rywalizacja tych dwóch kobiet.

9

Tamwile Elar miał trzydzieści sześć lat, a przed czterema jako starszy matematyk dołączył do zespołu Seldona zajmującego się psychohistorią. Ten wysoki mężczyzna, który wciąż mrużył oczy, odznaczał się wielką pewnością siebie. Miał brązowe falujące włosy, które tym bardziej rzucały się w oczy, że były dość długie. Bywało, że śmiał się niespodziewanie, ale przy jego zdolnościach matematycznych nie było to nic nagannego.

Elara zwerbowano na Uniwersytecie West Mandanov, a Seldon nie mógł się powstrzymać od śmiechu, kiedy przypominał sobie, jak podejrzliwy był początkowo Yugo Amaryl. No cóż, Amaryl był podejrzliwy wobec wszystkich. W głębi serca (tego Seldon był pewien) uważał, że psychohistoria powinna pozostać prywatną dziedziną jego i Hariego.

Jednak ten sam Amaryl skłonny był teraz przyznać, że uczestnictwo Elara w Projekcie przyczyniło się do znaczących postępów. Powiedział:

— Jego techniki unikania chaosu są niezwykłe i fascynujące. Żaden inny z uczestników Projektu nie umiałby tego rozwiązać tak jak on. Nic takiego na pewno nie przyszłoby mi do głowy. Tobie, Hari, też nie.

— No cóż — stwierdził złośliwie Seldon — starzeję się.

— Gdyby tylko nie śmiał się tak głośno — rzekł Amaryl.

— Ludzie nie potrafią zmienić sposobu, w jaki się śmieją.

A jednak prawda wyglądała tak, że i Seldon miał pewne kłopoty z zaakceptowaniem Elara. Raczej poniżające było to, że to nie on sam doszedł do równań achaotycznych, jak je teraz nazywano. Helikończyka nie martwił fakt, że nigdy nie wymyślił zasad, na jakich skonstruowano elektrowyświetlacz, gdyż nie była to jego dziedzina. Ale naprawdę powinien sformułować równania achaotyczne — a przynajmniej zbliżyć się do nich.

Seldon usiłował się usprawiedliwić. Stworzył podwaliny pod całą psychohistorię, a równania achaotyczne wyrosły na jej bazie. Czy Elar mógłby wykonać pracę Hariego trzydzieści lat wcześniej? Seldon był przekonany, że nie. A poza tym, czy tak istotne było, że to Elar wymyślił zasady achaotyzmu, skoro podstawa psychohistorii była gotowa?

Wszystko to było całkiem sensowne i prawdziwe, a jednak Seldon wciąż czuł się niepewnie w obecności Tamwile. Trochę się denerwował, jak znużony starzec stojący przed błyskotliwym młodzieńcem.

A przecież Elar nigdy nie dał mu wyraźnie do zrozumienia, że

dzieli ich różnica wieku. Nigdy nie zdarzyło się, by nie okazał Seldonowi należnego szacunku albo w jakikolwiek sposób podkreślił, że starszy mężczyzna ma już za sobą swe najlepsze lata.

Oczywiście, Elar interesował się nadchodzącymi obchodami, a nawet, co odkrył Hari, pierwszy zaproponował zorganizowanie uroczystości z powodu jego urodzin. (Czy miało to w podstępny sposób podkreślić wiek Seldona? Odrzucił tę myśl. Gdyby w to wierzył, znaczyłoby to, że przejął od Dors jej podejrzenia.)

Tamwile podszedł raźno do niego i powiedział:

— Mistrzu…

Seldon jak zwykle nachmurzył się. Znacznie bardziej wolał, gdy starsi członkowie Projektu zwracali się do niego po imieniu, ale nie chciał z tak błahego powodu robić zamieszania.

— Mistrzu — powiedział Elar. — Wszyscy już wiedzą, że został pan wezwany na naradę z udziałem generała Tennara.

— Tak. Jest nowym przywódcą junty, więc jak sądzę, chce mnie widzieć, by dowiedzieć się czegoś więcej o psychohistorii. Pytają mnie o to od czasów Cleona i Demerzela. (Nowy przywódca! Junta przypominała kalejdoskop, w którym stale jedni jej członkowie tracili łaski, a inni awansowali, choć wcześniej nikt o nich nie słyszał.)

— Z tego, co rozumiem, chce pana widzieć natychmiast, w samym środku obchodów urodzin.

— To nie ma znaczenia. Możecie się bawić beze mnie.

— Nie, nie możemy, mistrzu. Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nam tego za złe, ale porozmawialiśmy z kolegami i zadzwoniliśmy do pałacu, by przełożyć pańską wizytę na przyszły tydzień.

— Co takiego?! — spytał rozdrażniony Seldon. — To nierozważne… poza tym ryzykowne.

— Wszystko poszło doskonale. Przełożyli spotkanie, a panu przyda się ten czas.

— A na cóż to potrzebuję tygodnia? Elar zawahał się.

— Czy mogę być szczery, mistrzu?

— Oczywiście. Czy kiedykolwiek chciałem, by ktoś rozmawiał ze mną inaczej niż szczerze?

Tamwile zaczerwienił się lekko; jego jasna cera zaróżowiła się, ale głos pozostał spokojny.

— Niełatwo mi to powiedzieć, mistrzu. Jest pan geniuszem matematycznym. Żaden uczestnik Projektu nie ma co do tego wątpliwości. Żaden mieszkaniec Imperium, gdyby ludzie znali pana i rozumieli matematykę, nie miałby co do tego wątpliwości. Jednak nikomu nie jest dane być geniuszem w każdej dziedzinie.

— Wiem o tym równie dobrze jak ty, Elar.

— Wiem, że tak jest Ale szczególnie brakuje panu umiejętności

postępowania ze zwykłymi ludźmi… powiedzmy to dosadnie, z głupimi ludźmi. Brakuje panu pewnej przebiegłości i umiejętności robienia uników, tak więc gdy styka się pan z kimś potężnym w rządzie, a zarazem trochę głupim, może pan łatwo narazić Projekt, a prawdopodobnie również własne życie. A wszystko dlatego, że jest pan zbyt szczery.

— O co chodzi? Czy nagle zdziecinniałem? Bardzo długo miałem do czynienia z politykami. Chyba pamięta pan, że przez dziesięć lat byłem Pierwszym Ministrem.

— Proszę mi wybaczyć, mistrzu, ale nie działał pan zbyt skutecznie. Współpracował pan z Pierwszym Ministrem Demerzelem, który cokolwiek by o nim mówić, był bardzo inteligentny, oraz z imperatorem Cleonem, który odnosił się do pana bardzo przyjaźnie. Teraz zaś spotyka się pan z wojskowymi, którzy nie są ani inteligentni, ani przyjaźnie nastawieni… to całkiem inna sytuacja.

— Z wojskowymi też miałem do czynienia i jakoś dałem sobie radę.

— Ale nie z generałem Dugalem Tennarem. To całkiem inny człowiek, niż pan myśli. Znam go.

— Zna go pan? Spotkał go pan kiedyś?

— Nie znam go osobiście, ale on pochodzi z Mandanov, a to, jak pan wie, mój sektor. Tennar 37! tam wpływowym człowiekiem, zanim dołączył do junty i wybił się.

— Co pan o nim wie?

— To ignorant, zabobnny i gwałtowny. Nie jest osobą, z którą łatwo czy bez ryzyka pan sobie poradzi. Będzie pan mógł wykorzystać ten tydzień na przemyślenie metod postępowania z nim.

Seldon przygryzł dolną wargę. W tym, co mówił Elar, coś było, a Hari rozumiał, że choć ma własne plany, trudno mu będzie manipulować jakimś głupim, pysznym i ograniczonym osobnikiem, za którym stoją potężne siły. Powiedział niespokojnie:

— Jakoś dam sobie radę. Chodzi przecież głównie o to, że junta ma dziś na Trantorze bardzo niepewną sytuację. I tak przetrwała o wiele dłużej, niż można się było spodziewać.

— Sprawdzaliśmy to? Nie wiedziałem, że sprawdzaliśmy sytuację junty.

— To tylko kilka obliczeń Amaryla, w których wykorzystał pańskie równania achaotyczne. — Zamilkł na chwilę. — A tak nawiasem mówiąc, w pewnych przypisach zetknąłem się z nazwą „równania Elara”.

— To nie mój pomysł, mistrzu.

— Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza, ale wolałbym, żeby ich tak nie nazywano. Elementy psychohistoryczne powinny być opisywane funkcjonalnie, a nie personalnie. Tam gdzie wtrącane są

sprawy osobiste, powstają natychmiast złe odczucia.

— Rozumiem to i całkowicie zgadzam się z panem, mistrzu.

— Prawdę mówiąc — rzekł Seldon, czując wyrzuty sumienia — zawsze uważałem, że źle się stało, że używamy określenia „psychohistoryczne równania Seldona". Kłopot w tym, że zaczęto je stosować tak dawno, że właściwie nie da się już tego zmienić.

— Proszę mi wybaczyć, mistrzu, ale pan jest kimś wyjątkowym. Nikt chyba nie zaprzecza, że to pan stworzył psychohistorię. Jeśli pan jednak pozwoli, chciałbym wrócić do spotkania z generałem Tennarem.

— A co tu jest jeszcze do omówienia?

— Zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdyby nie spotykał się pan z nim, nie rozmawiał z nim ani w ogóle nie miał z nim do czynienia.

— A jak mam tego uniknąć, skoro wezwał mnie na naradę?

— Może mógłby pan symulować chorobę i posłać kogoś w zastępstwie.

— Kogo?

Elar milczał przez chwilę, ale jego milczenie było bardzo wymowne.

— Jak się domyślam, pana? — powiedział Seldon.

— A czy nie powinienem tego zrobić? Jestem ziomkiem generała, co może mieć pewne znaczenie. Pan jest bardzo zapracowany i już nie najmłodszy, więc łatwo uwierzy, że nie czuje się pan najlepiej. Jeśli spotkam się z generałem zamiast pana, to — proszę mi wybaczyć, mistrzu — będę mógł wić się i manewrować znacznie łatwiej niż pan.

— Chce pan powiedzieć: kłamać.

— Jeśli będzie trzeba.

— Weźmie pan na siebie olbrzymią odpowiedzialność.

— Nie tak wielką. Wątpię, by kazał mnie zgładzić. Gdyby rozgniewał się na mnie, a tak może się stać, mógłbym błagać, albo pan mógłby wstawić się za mną, mówiąc o mojej młodości i braku doświadczenia.

W każdym razie, jeśli wpadnę w tarapaty, będzie to daleko mniej niebezpieczne, niż gdyby pan się w nich znalazł. Myślę o Projekcie, który znacznie łatwiej byłoby kontynuować beze mnie niż bez pana.

— Nie zamierzam chować się za panem, Elar — rzekł Seldon, marszcząc brwi. — Jeśli ten człowiek chce mnie zobaczyć, to mnie zobaczy. Nie będę się trząsł ani drżał przed nim i prosił, by mnie pan wyręczył. Panu się wydaje, że niby kim jestem?

— Szczerym i uczciwym człowiekiem… a tu potrzebny jest ktoś przebiegły.

— Potrafię być przebiegły, jeśli muszę. Chyba nie docenia mnie pan, Elar.

Tamwile wzruszył ramionami.

— Jak pan chce. Mogę się z panem sprzeczać tylko do pewnych granic.

— Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby nie odwoływał pan spotkania z generałem. Wolałbym raczej opuścić przyjęcie urodzinowe i spotkać się z nim. Obchody urodzin nie były moim pomysłem. — Seldon umilkł wyraźnie niezadowolony.

— Przepraszam — powiedział Elar.

— No cóż, zobaczymy, co się stanie — rzekł zrezygnowany Seldon.

Odwrócił się i wyszedł. Czasami tak bardzo pragnął działać w sposób zdecydowany; byłby wtedy pewien, że wszystko idzie tak, jak sobie tego życzył, a jego podwładni nie mieliby wiele albo zgoła nic do powiedzenia. Jednakże wprowadzenie takich rządów wymagałoby mnóstwa czasu i ogromnego wysiłku, a to pozbawiłoby go szansy opracowania psychohistorii… a poza tym po prostu brakowało mu do tego temperamentu.

Westchnął. Będzie musiał porozmawiać z Amarylem.

10

Seldon wszedł do Amaryla nie zapowiedziany.

— Yugo — rzucił szorstko — spotkanie z generałem Tennarem zostało przełożone. — Usiadł tak, iż widać było, że jest niezadowolony.

Amaryl, jak zwykle, dłuższą chwilę odrywał się od pracy. Spoglądając na Seldona, spytał wreszcie:

— Czym to uzasadnił?

— To nie on je przełożył. Kilku naszych matematyków uzgodniło przesunięcie terminu o tydzień, żeby spotkanie nie kolidowało z moimi urodzinami. Okropnie mnie to zdenerwowało.

— Dlaczego pozwoliłeś, żeby to zrobili?

— Nie pozwoliłem. Sami to wymyślili i wszystko załatwili — powiedział Seldon, wzruszając ramionami. — W pewnym sensie to moja wina. Tak długo narzekałem na zbliżającą się sześćdziesiątkę, że wszyscy uważają, że powinni mnie pocieszyć, urządzając święto.

— Oczywiście, możemy wykorzystać ten tydzień — stwierdził Amaryl.

Seldon pochylił się do przodu, natychmiast spięty.

— Coś jest nie w porządku?

— Nie, a przynajmniej ja niczego nie widzę, ale nie zaszkodzi głębiej zastanowić się nad sytuacją. Posłuchaj, Hari, po raz pierwszy od trzydziestu lat psychohistoria osiągnęła etap, na którym można zacząć przewidywać przyszłość. Może to niewiele, tylko mała kropla w osiągnięciach ludzkości, ale dla nas to osiągnięcie największe. To prawda, że chcemy mieć z tego korzyści, chcemy zobaczyć, jak działa, udowodnić sobie, że psychohistoria jest tym, czego oczekiwaliśmy: nauką przewidującą. Nie zaszkodzi więc upewnić się, czy czegoś nie pominęliśmy. Nawet tak maleńka możliwość przewidywania jest skomplikowana, dlatego z chęcią poświęciłbym jeszcze tydzień na badania.

— No dobrze. W takim razie skonsultuję się z tobą w tej sprawie, zanim pójdę do generała. Może niezbędne będą ostatnie modyfikacje. A tymczasem, Yugo, nie pozwól, by jakiekolwiek informacje przeciekały do innych… absolutnie do nikogo. Jeśli się nie uda, nie chcę, by uczestnicy Projektu się zniechęcili. Ty i ja przełkniemy gorycz porażki i nadal będziemy próbować.

Na twarzy Amaryla pojawił się rzadko goszczący tam uśmiech.

— Ty i ja. Pamiętasz jeszcze czasy, gdy naprawdę byliśmy tylko my dwaj?

— Pamiętam je bardzo dobrze i nie sądź, że nie tęsknię za tamtymi dniami. Nie mieliśmy dużo pracy przy…

— Nawet przy Pierwszym Radiancie, jeśli pominąć elektrowyświetlacz.

— Ale to były szczęśliwe dni.

— Szczęśliwe — powtórzył Amaryl, kiwając głową.

11

Uniwersytet został odświętnie udekorowany, a Hari Seldon nie mógł się powstrzymać, by nie okazać zadowolenia. Centralne pomieszczenia kompleksu zajmowanego przez uczestników Projektu nagle rozbłysły kolorami i światłem, a w powietrzu pojawiały się hologramy z trójwymiarowymi wizerunkami Seldona w różnych miejscach i z różnych okresów. Byli na nich: Dors Venabili, uśmiechnięta i wyglądająca jakoś młodziej; Raych jeszcze jako nastolatek; niewiarygodnie młodzi Seldon i Amaryl, pochyleni nad komputerami. Mignął nawet wizerunek Eto Demerzela, co przepełniło serce Seldona tęsknotą za starym przyjacielem i bezpieczeństwem, które czuł, zanim tamten odszedł.

Natomiast imperator Cleon nie pojawiał się na hologramach. Stało się tak nie dlatego, że jego wizerunki nie istniały, ale dlatego, że pod rządami junty nie byłoby rozsądnie przypominać ludziom o przeszłości Imperium.

Wszystko to wylewało się na zewnątrz i przepływało, wypełniając pokój za pokojem i budynek za budynkiem. W jakiś sposób znaleziono czas, by zamienić cały uniwersytet w jedną wielką wystawę, jakiej Seldon nigdy dotąd nie widział ani sobie nie wyobrażał. Przygaszono nawet światła kopuły, by wywołać sztuczną noc, w której uniwersytet miał błyszczeć przez trzy dni.

— Trzy dni! — wykrzyknął Seldon, z jednej strony zdumiony, z drugiej przerażony.

— Trzy dni uniwersytet będzie się zajmował tylko tym — powiedziała Dors Venabili, kiwając głową.

— Jakie to kosztowne! Ile włożono w to pracy! — rzucił Seldon, marszcząc brwi.

— Wydatki są minimalne w porównaniu z tym, co zrobiłeś dla uniwersytetu. A całą pracę wykonali wolontariusze. Studenci przerwali zajęcia i zatroszczyli się o wszystko.

W tej chwili pojawiło się panoramiczne ujęcie uniwersytetu z powietrza i Seldon wreszcie się uśmiechnął.

— Widzę, że jesteś zadowolony — powiedziała Dors. — Przez ostatnie kilka miesięcy tylko narzekałeś, że nie chcesz żadnych obchodów na cześć starego człowieka, a teraz… spójrz na siebie.

— No cóż, wszystko to bardzo mi pochlebia. Nie miałem pojęcia, że zrobią coś takiego.

— Dlaczego nie? Jesteś symbolem, Hari. Cały świat, całe Imperium wie, kim jesteś.

— Nie znają mnie — stwierdził Helikończyk, kręcąc zdecydowanie głową. — Nawet jeden na miliard mieszkańców nie wie

nic o mnie, a już na pewno nie wie nic o psychohistorii. Nikt poza członkami Projektu nie wie, jak działa psychohistoria, a i niektórzy jego uczestnicy tego nie wiedzą.

— To bez znaczenia, Hari. Chodzi o ciebie. Nawet te kwadryliony ludzi, którzy nie znają ani ciebie, ani twojej pracy, wiedzą, że Hari Seldon jest najwybitniejszym matematykiem w Imperium.

— No cóż — powiedział Seldon, rozglądając się dokoła — zapewne dzięki nim czuję się tak, jak się czuję. Ale trzy dni i trzy noce! Przecież to miejsce zostanie zdewastowane.

— Nie zostanie. Wszelkie zapisy umieszczono w bezpiecznym miejscu. Komputery i inne urządzenia także zostały zabezpieczone. Studenci powołali prawdziwy zespół strażników, który zapobiegnie zniszczeniu czegokolwiek.

— Rozumiem, że osobiście tego dopilnowałaś, Dors — rzekł Seldon, uśmiechając się z dumą.

— Pracowało przy tym wielu, nie tylko ja. Twój współpracownik Tamwile Elar udzielał się z prawdziwym oddaniem.

Seldon skrzywił się.

— O co chodzi z Elarem? — spytała Dors.

— Ciągle mówi do mnie „mistrzu". Dors potrząsnęła głową.

— No tak, to okropne przestępstwo — oznajmiła. Seldon zignorował jej słowa i stwierdził:

— A poza tym jest młody.

— To dopiero jest problem. Przestań, Hari, będziesz się musiał nauczyć starzeć z nieco większym wdziękiem. Na początek postaraj się okazać, że lubisz siebie. To zadowoli innych i zwiększy ich radość, a tego na pewno pragniesz. No, rusz się trochę. Nie chowaj się za mną. Przywitaj wszystkich. Uśmiechnij się. Spytaj ich o zdrowie. I pamiętaj, że po bankiecie masz wygłosić mowę.

— Nie lubię bankietów, a jeszcze bardziej nie lubię mów.

— Co nie zmienia faktu, że będziesz musiał ją wygłosić. No rusz się! Seldon westchnął dramatycznie i zrobił, co mu kazała. Wyglądał całkiem imponująco, gdy stał w przedsionku wiodącym do głównego holu. Zniknęły obfite zwoje szat Pierwszego Ministra, podobnie jak ubrania w stylu helikońskim, które tak lubił w młodości. Teraz nosił strój odpowiedni do jego wysokiej pozycji: proste spodnie i cienką fałdowaną tunikę. Powyżej serca miał wyszyty srebrną nicią napis PROJEKT PSYCHOHISTORII SELDONA NA UNIWERSYTECIE STREELINGA. Litery lśniły jak latarnia morska na dostojnym szarym tle jego odzienia. Oczy Seldona błyszczały w twarzy pobrużdżonej zmarszczkami, ale dzięki temu nie widać było ani jego sześćdziesięciu lat, ani zmarszczek, ani siwych włosów.

Wszedł do pokoju, w którym świętowały dzieci. Pomieszczenie uprzątnięto całkowicie, był tu tylko stół z jedzeniem. Dzieci podbiegły

do niego, gdy tylko go zobaczyły — wiedziały, że to jemu zawdzięczają uroczystość — a Seldon usiłował uniknąć ich objęć.

— Zaczekajcie, zaczekajcie — powiedział. — Odsuńcie się. Wyciągnął z kieszeni małego skomputeryzowanego robota i postawił go na podłodze. Spodziewał się, że w Imperium, gdzie nie było robotów, ta zabawka sprawi, że dzieciom rozbłysną oczy. Robot przypominał małe włochate zwierzątko, ale mógł bez ostrzeżenia zmieniać kształt (co za każdym razem wywoływało wybuchy radosnego śmiechu dzieci), a kiedy zmieniał wygląd, zmieniały się też jego ruchy i odgłosy.

— Popatrzcie na niego i pobawcie się, ale spróbujcie go nie zepsuć — powiedział Seldon. — Później każde z was dostanie takiego.

Seldon wymknął się na korytarz wiodący do głównego holu, ale po chwili usłyszał, że idzie za nim Wanda.

— Dziadku — powiedziała.

Oczywiście, Wandę potraktował inaczej. Pochylił się i podniósł ją wysoko, po czym obrócił i z powrotem postawił na ziemi.

— Dobrze się bawisz, Wando? — spytał.

— Tak, ale nie idź do tego pokoju — odparła.

— Dlaczego, Wando? Przecież to mój pokój. To biuro, w którym pracuję.

— Właśnie tam miałam zły sen.

— Wiem, Wando, ale to się już chyba skończyło, prawda? — Zawahał się, a potem podszedł z dzieckiem do jednego z foteli stojących w korytarzu. Usiadł i posadził sobie wnuczkę na kolanach.

— Wando, jesteś pewna, że to był sen?

— Myślę, że to był sen.

— Naprawdę spałaś?

— Myślę, że tak.

Mała była zaniepokojona jego pytaniami, więc postanowił dać jej spokój. Nie było sensu dalej jej naciskać.

— No cóż, sen czy nie, było tam dwóch mężczyzn, którzy rozmawiali o lemoniadowej śmierci, czy tak?

Wanda skinęła niechętnie głową.

— Jesteś pewna, że powiedzieli „lemoniada”? Dziecko raz jeszcze skinęło głową.

— Czy mogli powiedzieć coś innego, a ty tylko pomyślałaś, że powiedzieli „lemoniada”?

— Powiedzieli „lemoniada”. Seldon musiał się tym zadowolić.

— No dobrze, biegnij już i baw się dobrze. Zapomnij o tym śnie.

— Dobrze, dziadku.

Mała rozpogodziła się, gdy tylko przestali mówić o śnie, i pobiegła, by dołączyć do bawiących się dzieci.

Hari ruszył na poszukiwania Manelli. Zajęło mu to bardzo dużo

czasu, gdyż co krok zatrzymywano go, witano i rozmawiano z nim.

Wreszcie zobaczył ją w oddali. Mamrocząc „Przepraszam, przepraszam… Jest ktoś, z kim muszę… Przepraszam", przedzierał się do niej z dużym trudem.

— Manello — powiedział, odciągając ją na bok, a jednocześnie uśmiechając się na wszystkie strony.

— Tak, Hari? Coś się stało? — spytała.

— Chodzi o sen Wandy.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że wciąż o nim mówi.

— On ciągle ją dręczy. Posłuchaj, mamy lemoniadę na przyjęciu, prawda?

— Oczywiście, dzieci ją uwielbiają. Dodałam kilkadziesiąt mycogeńskich smaków do bardzo małych buteleczek o różnych kształtach, a dzieci próbują je teraz jedną po drugiej, żeby sprawdzić, która jest najsmaczniejsza. Dorośli też ją piją. Ja również. Dlaczego jej nie spróbujesz, Hari? Jest wspaniała.

— Myślę. A jeśli to nie był sen, jeśli to dziecko naprawdę słyszało dwóch mężczyzn rozmawiających o lemoniadowej śmierci… — Zrobił pauzę, jakby wstydził się wypowiedzieć następne słowa.

— Myślisz, że ktoś zatruł lemoniadę? — spytała Manella. — Przecież to śmieszne. Do tej pory każde dziecko byłoby chore albo umierające.

— Wiem — wymruczał Seldon. — Wiem.

Oddalił się i niemal nie zauważył Dors, kiedy ją mijał. Ujęła go za łokieć.

— A co to za mina? — spytała. — Wyglądasz na zmartwionego.

— Myślałem o lemoniadowej śmierci Wandy.

— Ja też, ale wciąż nie mogę tego zrozumieć.

— Ciągle myślę o możliwości użycia trucizny.

— Nie myśl już. Zapewniam cię, że każda, nawet najmniejsza odrobina jedzenia, którą dostarczono na to przyjęcie, została molekularnie sprawdzona. Wiem, pewnie pomyślisz, że to moja typowa paranoja, ale mam za zadanie pilnować cię i właśnie dlatego musiałam to zrobić.

— I wszystko jest…

— Nie ma żadnej trucizny. Zapewniam cię.

— Cóż, to dobrze — powiedział Seldon, uśmiechając się. — Co za ulga. Tak naprawdę, nie sądziłem…

— Miejmy nadzieję, że nie — rzuciła sucho Dors. — Znacznie bardziej niż mityczna trucizna niepokoi mnie to, że jak słyszałam, za kilka dni chcesz się spotkać z tym potworem Tennarem.

— Nie nazywaj go potworem, Dors. Bądź ostrożna. Otaczają nas uszy i języki.

Venabili natychmiast zniżyła głos.

— Pewnie masz rację. Rozejrzyj się dokoła. Tyle tu uśmiechniętych twarzy, a przecież nie wiadomo, którzy z naszych „przyjaciół” będą składać sprawozdanie swoim przełożonym, gdy ta noc dobiegnie końca. Ach, ludzie! Pomyśleć, że po tylu tysiącleciach wciąż istnieje taka skłonność do zdrady. Mnie się wydaje tak niepotrzebna. A jednak wiem, ile krzywdy może wyrządzić. Właśnie dlatego muszę iść z tobą, Hari.

— Niemożliwe, Dors. To tylko skomplikowałoby sprawy. Pójdę sam i nie będę miał żadnych kłopotów.

— Nie masz pojęcia, jak dać sobie radę z generałem.

— A ty masz? — spytał ponuro. — Mówisz dokładnie tak jak Elar. On też jest przekonany, że jestem beznadziejnym starym głupcem. Też chce iść ze mną, a raczej zamiast mnie… Zastanawiam się, ilu ludzi na Trantorze chętnie zajęłoby moje miejsce… — dorzucił sarkastycznie. — Setki? Miliony?

12

Od dziesięciu lat Imperium Galaktyczne pozbawione było imperatora, choć sposób, w jaki pracowano na terenie Pałacu Imperialnego, bynajmniej na to nie wskazywał. Tysiąclecia działania według ustalonych zwyczajów sprawiły, że nieobecność władcy nie miała znaczenia.

Nie było oczywiście osoby, która przewodniczyłaby takim czy innym oficjalnym wystąpieniom. Imperatorski głos nie wydawał rozkazów; nie były znane życzenia imperatora; nie wyczuwało się złośliwości, nie było słychać pochwał; imperatorskie przyjemności nie rozweselały pałacu, a słabości nie pogrążały go w ponurym nastroju. Prywatne pomieszczenia Cleona w Małym Pałacu teraz stały puste.

A jednak armia ogrodników utrzymywała tereny pałacowe w doskonałym stanie. Armia pracowników obsługi dbała o budynki. W łóżku imperatora, w którym nikt nie spał, codziennie zmieniano pościel, a wszystkie pokoje sprzątano; cały personel, od najwyższego do najniższego szczebla, pracował tak jak zawsze. Najwyżsi rangą urzędnicy wydawali rozkazy, jak robiliby to, gdyby żył imperator; wiedzieli, że właśnie takie rozkazy wydawałby władca. W wielu wypadkach, szczególnie na wyższych szczeblach służbowej drabiny, pozostali ci sami ludzie, którzy pracowali tu za życia Cleona. Nowych przyjmowanych na służbę starannie szkolono, by postępowali zgodnie z tradycją.

Wszystko odbywało się tak, jakby Imperium — przyzwyczajone do panowania imperatora — samo upierało się przy tych „rządach ducha", by powstrzymać swój rozpad. Wiedziała też o tym junta… a nawet jeśli nie, to przeczuwała, że tak jest. Przez dziesięć lat żaden wojskowy, którzy zarządzał Imperium, nie przeprowadził się do prywatnych kwater Imperatora w Małym Pałacu. Bez względu na to, kim byli ci ludzie, nie pochodzili z imperatorskiego rodu, wiedzieli zatem, że nie mają do tego miejsca żadnych praw. Plebs, który znosił utratę swobód obywatelskich, nie zniósłby choćby cienia braku szacunku wobec imperatora — żywego czy zmarłego.

Nawet generał Tennar nie wprowadził się do wspaniałych budynków, które tak długo były siedzibą imperatorów z kilkunastu różnych dynastii. Urządził sobie kwaterę i biuro w jednym z budynków stojących na peryferiach terenów pałacowych, brzydkim, lecz zbudowanym jak forteca, dostatecznie solidna, by wytrzymać oblężenie. Otaczały go inne budynki, w których mieszkało mnóstwo strażników.

Tennar był krępym mężczyzną z wąsem. Nie był to bujny wąs typowy dla Dahlijczyków, ale starannie przystrzyżony zarost

przylegający do górnej wargi i pozostawiający pasek skóry pomiędzy włosami a linią ust. Jego wąs był rudawy, a oczy niebieskie i zimne. W młodości prawdopodobnie był przystojny, ale teraz jego twarz była nalana, a oczy przypominały szparki, które częściej wyrażały złość niż jakiekolwiek inne emocje.

— Mogę ustanowić własną dynastię — powiedział do Hendera Linna. Zrobił to ze złością, jak ktoś, kto czuje się władcą absolutnym milionów światów, a jednak nie śmie nazwać się imperatorem. Rozglądał się groźnie dokoła. — To nie jest odpowiednie miejsce dla pana całego Imperium.

— Najważniejsze to być panem — powiedział cicho Linn. — Lepiej być panem w pokoiku niż marionetką w pałacu.

— A najlepiej być panem w pałacu. Dlaczego by nie?

Linna tytułowano pułkownikiem, choć jest niemal pewne, że nigdy nie brał udziału w żadnych akcjach militarnych. Jego zadanie polegało na mówieniu Tennarowi tego, co ten chciał usłyszeć, i na przekazywaniu jego rozkazów, w nie zmienionej formie, innym. Czasami — kiedy wydawało się to bezpieczne — próbował sterować Tennarem, kierując go na odpowiedniejsze tory.

Linna znano powszechnie jako „sługusa Tennara", a on wiedział, że tak go nazywają. Nie martwiło go to. Jako sługus był bezpieczny — a widział już upadki tych, którzy byli zbyt dumni, żeby zostać sługusami.

Oczywiście, mógł nadejść taki czas, że Tennar zostałby pogrzebany we wciąż zmieniającym się kalejdoskopie junty, ale Linn sądził, że w porę zauważy, co się święci, i zdoła się uratować. Albo i nie. Za wszystko kiedyś trzeba zapłacić.

— Nic nie stoi na przeszkodzie, by założył pan dynastię, generale — powiedział. — W długiej historii Imperium zrobiło to wielu. Ale trzeba na to czasu. Ludzie przyzwyczajają się dość wolno. Zazwyczaj dopiero drugi lub trzeci członek dynastii jest naprawdę akceptowany jako imperator.

— Nie wierzę w to. Wystarczy, że ogłoszę się imperatorem. Kto ośmieli się mi sprzeciwić? Wprowadziłem rządy twardej ręki.

— Istotnie, generale. Pańska władza na Trantorze i na większości Światów Wewnętrznych jest niekwestionowana, a jednak niewykluczone, że wielu mieszkańców dalszych Światów Zewnętrznych nie zaakceptuje nowej dynastii imperialnej.

— Światy Wewnętrzne czy Zewnętrzne… władza wojskowych sięga wszędzie. To stara imperialna maksyma.

— Bardzo celna — powiedział Linn — ale wiele prowincji ma w tej chwili własne siły zbrojne, które nie muszą wcale stanąć po naszej stronie. Nastały ciężkie czasy.

— Więc doradzasz rozwagę.

— Ja zawsze doradzam rozwagę, generale.

— Ale pewnego dnia możesz mija doradzić o jeden raz za dużo. Linn skłonił głowę.

— Mogę doradzać tylko to, co wydaje mi się dobre i użyteczne dla pana, generale.

— A ostatnio zawracasz mi głowę tym Harim Seldonem.

— On stanowi dla pana największe zagrożenie, generale.

— Ciągle o tym mówisz, ale jakoś tego nie widzę. To tylko profesor uniwersytecki.

— Jednak kiedyś był Pierwszym Ministrem.

— Wiem, ale to było za czasów Cleona. Czy od tamtej pory coś zawinił? Skoro czasy są takie ciężkie, a zarządcy prowincji tak krnąbrni, dlaczego jakiś profesor stanowi dla mnie największe zagrożenie?

— Czasami popełniamy wielki błąd — powiedział ostrożnie Linn (bo należało być wielce ostrożnym, gdy pouczało się generała) — zakładając, że cichy, nienarzucający się nikomu człowiek nie jest niebezpieczny. Seldon był bardzo niebezpieczny dla tych, którzy mu się przeciwstawili. Dwadzieścia lat temu ruch joranumitów niemal doprowadził do zguby potężnego Pierwszego Ministra Cleona, Eto Demerzela.

Tennar skinął głową, ale niewielkie zmarszczki na jego czole zdradzały, z jakim wysiłkiem przypomina sobie tamtą sprawę.

— To właśnie Seldon zniszczył Joranum i zastąpił Demerzela na stanowisku Pierwszego Ministra. Ruch joranumitów przetrwał, jednak Seldon spowodował jego rozbicie, tyle że wcześniej pozwolił, by zamordowano Cleona.

— Ale Seldon to przeżył, prawda?

— Ma pan absolutną rację. Seldon przeżył.

— To dziwne. Dopuszczenie do zamordowania imperatora powinno oznaczać śmierć dla Pierwszego Ministra.

— Powinno. A jednak junta pozwoliła mu żyć. Wtedy wydawało się, że to mądrzejsze posunięcie.

— Dlaczego?

Linn westchnął w głębi duszy.

— Jest coś, co nazywają psychohistorią, generale.

— Nic o tym nie wiem — oświadczył stanowczo Tennar.

Właściwie przypominał sobie jak przez mgłę, że Linn usiłował wielokrotnie porozmawiać z nim na ten temat, który jemu wydawał się tylko dziwną zbieraniną sylab. Nigdy nie miał ochoty o tym słuchać, a Linn dobrze wiedział, że nie należy go naciskać. Teraz Tennar także nie miał na to ochoty, ale słowa Linna brzmiały tak, jakby kryło się w nich coś ważnego. Być może, pomyślał generał, powinienem go wysłuchać.

— Prawie nikt nic o niej nie wie — powiedział Linn — choć jest kilku takich… no… intelektualistów, którzy się nią interesują.

— A co to takiego?

— To skomplikowany system matematyczny. Tennar pokręcił głową.

— Proszę cię, nie zawracaj mi tym głowy. Potrafię zliczyć moje dywizje. Tylko taka matematyka jest mi potrzebna.

— Chodzi o to, że dzięki psychohistorii można przewidywać przyszłość — rzekł Linn.

Generał wytrzeszczył oczy.

— Chcesz powiedzieć, że ten Seldon jest wróżbitą?

— Nie w potocznym znaczeniu tego słowa. Przepowiada, posługując się nauką.

— Nie wierzę w to.

— Trudno w to uwierzyć, ale tu, na Trantorze, Seldon stał się niemal kultową postacią. To samo dotyczy niektórych Światów Zewnętrznych. Psychohistorią — gdyby dało sieją wykorzystać do przepowiadania przyszłości lub gdyby ludzie uwierzyli, że tak jest — może być potężnym narzędziem pozwalającym utrzymywać reżim. Jestem pewny, że wie pan o tym, generale. Ktoś powinien jedynie przepowiedzieć, że nasz reżim przetrwa i przyniesie Imperium pokój i dobrobyt. Ludzie, którzy w to uwierzą, pomogą się spełnić przepowiedni. Z drugiej strony, jeśli Seldon chciałby odwrotnej sytuacji, może przepowiedzieć wojnę domową i ruinę. W to także ludzie uwierzą, a to spowodowałoby destabilizację reżimu.

— W takim razie, pułkowniku, musimy po prostu dopilnować, by przepowiednie psychohistorii były takie, jak chcemy.

— To Seldon musiałby je stworzyć, a on nie jest zwolennikiem reżimu. Ważne, generale, byśmy inaczej potraktowali Projekt opracowywany na Uniwersytecie Streelinga, który ma doprowadzić psychohistorię do perfekcji, a inaczej Hariego Seldona. Ta nauka może być wysoce użyteczna, ale stanie się tak wyłącznie wtedy, gdy na czele Projektu stanie ktoś inny niż Seldon.

— A są inni, którzy mogliby go zastąpić?

— O tak. Trzeba się tylko pozbyć Seldona.

— W czym więc problem? Wystarczy wydać rozkaz egzekucji… i po krzyku.

— Byłoby lepiej, generale, gdyby rządu nie kojarzono bezpośrednio z takim posunięciem.

— Wyjaśnij mi to!

— Zaaranżowałem jego spotkanie z panem, generale, by dzięki swym umiejętnościom mógł pan ocenić jego osobowość. Będzie pan potem mógł osądzić, czy pewne moje sugestie są warte rozważenia czy nie.

— Kiedy ma się odbyć to spotkanie?

— Miało się odbyć już wkrótce, ale przedstawiciele Projektu poprosili o kilka dni zwłoki, gdyż właśnie przygotowywali obchody sześćdziesiątych urodzin Seldona. Wydawało mi się, że rozsądnie będzie pozwolić im na tydzień opóźnienia.

— Ale dlaczego? — dopytywał się Tennar. — Nie lubię jakiegokolwiek okazywania słabości.

— Ma pan rację, generale. Ma pan rację. Jak zwykle, nie zawodzi pana instynkt. Wydawało mi się jednak, że racja stanu wymaga, byśmy wiedzieli, co mogą pociągnąć za sobą obchody jego urodzin.

— Dlaczego?

— Wszelka wiedza jest użyteczna. Chciałby pan, generale, obejrzeć fragment obchodów?

Tennar wciąż miał ponurą minę.

— Czy to konieczne? — spytał.

— To może pana zainteresować.

Film — obraz i dźwięk — był doskonały i przez dłuższą chwilę radosne obchody urodzin wypełniały dość ponury pokój, w którym siedział generał.

Linn komentował cicho:

— Większość z tego, co pan widzi, generale, odbywa się w kompleksie budynków należących do Projektu, ale pozostałe tereny uniwersyteckie też są zaangażowane w obchody. Przez chwilę będziemy mieli widok z góry i wtedy zobaczy pan, że uroczystość odbywa się na dużym terenie. Prawdę mówiąc, choć nie mam w tej chwili danych, tu i ówdzie, na różnych uniwersytetach i w różnych sektorach, odbywają się jednocześnie obchody związane z główną uroczystością. Imprezy wciąż trwają i zostaną przedłużone co najmniej o dzień.

— Chcesz mi powiedzieć, że te uroczystości odbywają się na całym Trantorze?

— W pewnym sensie. Świętują głównie intelektualiści, ale mają one zadziwiająco szeroki zasięg. Można nawet powiedzieć, że odbijają się echem na innych światach.

— Jak zdobyłeś ten film? Linn uśmiechnął się.

— Nasze urządzenia zamontowane w budynkach Projektu są całkiem dobre. Mamy też wiarygodne źródła informacji, więc niewiele może się stać, o czym natychmiast nie wiedzielibyśmy.

— No dobrze, Linn, do czego prowadzą twoje wnioski?

— Wydaje mi się, generale, a jestem pewien, że i panu wydaje się to oczywiste, że Hari Seldon jest przedmiotem kultu. Tak bardzo identyfikuje się go z psychohistorią, że gdybyśmy chcieli się go pozbyć zbyt otwarcie, zniszczylibyśmy całkowicie wiarygodność samej nauki. Na nic by się nam to zdało. Z drugiej strony, generale, Seldon się

starzeje, nietrudno więc sobie wyobrazić, że może go zastąpić inny człowiek, ktoś, kogo sami wybierzemy i kto będzie przyjaźnie nastawiony wobec naszych wielkich celów i nadziei związanych z Imperium. Gdyby dało się usunąć Seldona tak, by wyglądało to naturalnie, osiągnęlibyśmy sukces.

— Sądzisz więc, że powinienem się z nim spotkać? — spytał generał. — Tak, żeby ocenić jego możliwości i zdecydować, co powinniśmy zrobić. Musimy jednak być ostrożni, bo to znany człowiek.

— Miałem już do czynienia ze znanymi ludźmi — powiedział ponuro Tennar.

13

— Tak — rzekł znużony Seldon — to rzeczywiście był wielki triumf. Bawiłem się znakomicie. Chyba nie będę się mógł doczekać siedemdziesiątki, żeby to wszystko powtórzyć. Chociaż prawdę mówiąc, jestem wyczerpany.

— No to prześpij się, tato — poradził, uśmiechając się Raych. — Sen to najlepsze lekarstwo.

— Nie wiem, czy zdołam się odprężyć, skoro za kilka dni mam się spotkać z naszym wielkim przywódcą.

— Sam nie pójdziesz na to spotkanie — rzuciła ponuro Dors Venabili.

Seldon zmarszczył brwi.

— Nie mów już o tym, Dors. Muszę zobaczyć się z nim sam na sam, to ważne.

— Sam nie będziesz bezpieczny. Pamiętasz, co się stało dziesięć lat temu, gdy nie pozwoliłeś, bym towarzyszyła ci w spotkaniu z ogrodnikami?

— Nie ma obawy, że zapomnę, skoro przypominasz mi o tym dwa razy na tydzień. Jednak w tym wypadku zamierzam iść sam. Co mógłby mi zrobić, staremu, absolutnie nieszkodliwemu człowiekowi, który pragnie się dowiedzieć, czego od niego chce?

— A jak myślisz, czego chce? — spytał Raych, gryząc palec.

— Domyślam się, że chce tego, czego zawsze chciał Cleon. Okaże się, że w jakiś sposób dowiedział się, że posługując się psychohistorią, można przewidywać przyszłość, więc będzie chciał jej użyć do własnych celów. Niemal trzydzieści lat temu powiedziałem Cleonowi, że ta nauka nie jest jeszcze gotowa, i powtarzałem mu to, gdy byłem Pierwszym Ministrem… a teraz będę musiał powiedzieć to samo generałowi Tennarowi.

— Skąd wiesz, że ci uwierzy? — spytał Raych.

— Sądzę, że znajdę sposób, by go przekonać.

— Nie chcę, żebyś szedł tam sam — powiedziała Dors.

— Dors, kochanie, twoje życzenia niczego nie zmienią. W tym momencie rozmowę przerwał Tamwile Elar.

— Jestem tu jedyną osobą nie należącą do rodziny. Nie wiem, czy moje uwagi będą mile widziane.

— Proszę bardzo — powiedział Seldon. — Skoro może mówić jeden, niech wypowiedzą się wszyscy.

— Chciałbym zaproponować kompromis. Może razem z mistrzem poszłoby kilku z nas. Niewielu. Możemy udawać, że jesteśmy jego honorową eskortą, jakbyśmy chcieli uczcić koniec obchodów urodzin. Nie, nie chodzi mi o to, że stłoczymy się wszyscy w biurze generała.

Nie myślę nawet o tym, że wejdziemy na tereny pałacowe. Wynajmiemy jedynie pokoje w hotelu w Sektorze Imperialnym, na skraju terytoriów przylegających do pałacu. Hotel Brzeg Kopuły byłby odpowiedni. Zrobimy sobie dzień odpoczynku.

— Tylko tego nam brakuje — warknął Seldon. — Dnia odpoczynku.

— To nie dotyczy pana, mistrzu — powiedział natychmiast Elar. — Pan spotka się z generałem Tennarem. Pozostali sprawią jednak, że ludzie z Sektora Imperialnego zrozumieją, jaką cieszy się pan popularnością… a może i sam generał to zauważy. Jeśli będzie wiedział, że czekamy na pana powrót, to może powstrzyma się od zrobienia panu czegoś złego.

Po tych słowach zapadło znaczące milczenie. Wreszcie Raych stwierdził:

— To będzie wyglądało, jakbyśmy się chcieli popisać. Świat zna inny wizerunek taty.

— Nie interesuje mnie wizerunek Hariego — powiedziała Dors. — Mnie interesuje jego bezpieczeństwo. Skoro nie możemy zakłócić spokoju generała ani wejść na tereny pałacowe, to osiągniemy nasz cel, jeśli zgromadzimy się tak blisko Tennara, jak to możliwe. Dziękuję za cenną propozycję, doktorze Elar.

— Mnie się ona nie podoba — powiedział Seldon.

— Ale mi się podoba — oświadczyła Dors — więc jeśli choć tyle mogę zrobić, by zapewnić ci ochronę, to będę się upierała przy tym pomyśle.

Manella, która do tej pory tylko słuchała, stwierdziła:

— Wizyta w Brzegu Kopuły może być bardzo zabawna.

— Nie miałam na myśli zabawy, ale miło mi będzie, jeśli nas poprzesz — rzekła Dors.

Stało się tak, jak mówili. Następnego dnia około dwudziestu pracowników Projektu rozgościło się w hotelu Brzeg Kopuły, a okna ich pokojów wychodziły na otwarte przestrzenie terenów pałacowych.

Dzień później, po południu, uzbrojeni strażnicy zabrali Hariego Seldona i powiedli go na spotkanie z generałem.

Niemal w tym samym czasie zniknęła Dors Venabili, ale dość długo nie zauważono jej nieobecności. Kiedy się wreszcie zorientowano, nikt się nie domyślał, co się z nią stało, a radosny nastrój gwałtownie zamienił się w niepokój.

14

Dors Venabili mieszkała w Pałacu Imperialnym dziesięć lat. Jako żona Pierwszego Ministra miała wszędzie wstęp, mogła też przemieszczać się swobodnie z terenów pod kopułą na te na otwartej przestrzeni. Przepustką były odciski jej palców.

W zamieszaniu, które towarzyszyło zabójstwu Cleona, nie anulowano przepustki, teraz więc, po raz pierwszy od tamtego przerażającego dnia, mogła bez przeszkód wydostać się na otwartą przestrzeń.

Zawsze wiedziała, że łatwo uda jej się to zrobić tylko raz, gdyż jeśli ktoś ją przyłapie, przepustka zostanie anulowana… ale właśnie teraz nastał ten właściwy moment.

Niebo pociemniało, gdy wyszła na otwartą przestrzeń, poczuła też nagły spadek temperatury. W świecie okrytym kopułą nocą zawsze było nieco jaśniej niż w warunkach naturalnych, a za dnia światło nie było aż tak jasne. Oczywiście, również temperatury były pod kopułą nieco wyższe, a pogoda odrobinę łagodniejsza niż na otwartych przestrzeniach.

Większość Trantorczyków nie zdawała sobie z tego sprawy, gdyż całe życie spędzali pod kopułą. Dors spodziewała się zmiany warunków atmosferycznych, ale nie miało to dla niej znaczenia.

Szła główną aleją. Właśnie tu otwierała się kopuła, na której skraju stał hotel Brzeg Kopuły. Droga była oczywiście jasno oświetlona, tak więc ciemności niczego nie zmieniały.

Dors wiedziała, że zostanie zatrzymana, nim pokona sto metrów, a może nawet mniej, jeśli wziąć pod uwagę obecną paranoidalną sytuację junty. Obecność kogoś obcego powinna być natychmiast wykryta. I nie rozczarowała się. Nagle pojawił się mały samochód naziemny, a strażnik wrzasnął przez uchylone okno:

— Co tu pani robi?! Dokąd pani idzie?! Dors zignorowała pytanie i szła dalej. Strażnik krzyknął:

— Stój! — Następnie gwałtownie zatrzymał samochód i wysiadł; Dors tego właśnie chciała.

Mężczyzna trzymał miotacz swobodnie — nie zamierzał jej grozić, po prostu demonstrował jego istnienie.

— Pani numer identyfikacyjny — rzucił.

— Chcę twój samochód — powiedziała Dors.

— Co takiego?! — spytał wyraźnie rozwścieczony. — Pani numer identyfikacyjny. Natychmiast! — Podniósł miotacz.

— Nie potrzebujesz mojego numeru identyfikacyjnego — oświadczyła spokojnie Dors, a potem podeszła do strażnika.

Mężczyzna zrobił krok w tył.

— Jeśli się pani nie zatrzyma i nie okaże numeru identyfikacyjnego, zastrzelę panią.

— Nie! Rzuć miotacz!

Mężczyzna zacisnął usta. Zbliżył palec do spustu, ale zanim zdołał go dotknąć, już leżał na ziemi.

Później nie potrafił dokładnie opisać, co się stało. Potrafił jedynie wykrztusić:

— A skąd miałem wiedzieć, że to była Tygrysica? (Miały nadejść takie czasy, że byłby dumny z tego spotkania.) — Poruszała się tak szybko, że nie widziałem dokładnie ani tego, co zrobiła, ani tego, co się stało. W pewnej chwili chciałem ją zastrzelić, gdyż byłem pewien, że to jakaś wariatka, a następnie poczułem, że jestem obezwładniony.

Dors trzymała strażnika w żelaznym uścisku, a jego rękę — tę, w której trzymał miotacz — wykręciła i uniosła wysoko.

— Albo natychmiast rzucisz miotacz, albo złamię ci rękę — syknęła. Gwardzista czuł, że ucisk jego piersi odbiera mu oddech. Uświadomiwszy sobie, że nie ma wyboru, rzucił miotacz.

Venabili puściła go, ale nim zdołał wykonać najmniejszy choćby ruch, zobaczył swój miotacz w dłoni Dors.

— Mam nadzieję, że zostawiłeś detektory na miejscu. Nie próbuj zbyt szybko składać raportu o tym, co się stało… Radzę ci zastanowić się, co powiesz przełożonym. To, że nieuzbrojona kobieta zabrała ci miotacz i samochód, może oznaczać koniec twojej służby dla junty.

Dors uruchomiła pojazd i pomknęła główną drogą. Po dziesięciu latach pobytu na terenach pałacowych wiedziała doskonale, dokąd zmierza. Oficjalny samochód naziemny nie był obcym obiektem na tym terenie i nie mógł być zatrzymany. Jednak Dors chciała szybko dotrzeć do celu, toteż nie żałowała silnika; rozpędziła pojazd do dwustu kilometrów na godzinę. Tym w końcu zwróciła na siebie uwagę. Zignorowała radiowe wezwania, w których domagano się podania przyczyny rozwinięcia takiej prędkości. Wkrótce czujniki samochodu poinformowały ją, że pędzi za nią inny pojazd.

Wiedziała, że zostanie wysłany sygnał ostrzegawczy, a na jej przybycie będą czekały inne samochody naziemne, ale wszystkie one niewiele mogły zdziałać. Raczej nie spróbują też jej rozstrzelać, gdyż nikt nie chciał się narażać na przesłuchania.

Kiedy dotarła do budynku, ku któremu zmierzała, czekały na nią dwa pojazdy. Wysiadła spokojnie i ruszyła do wejścia. Na jej drodze natychmiast stanęło dwóch mężczyzn, najwyraźniej zdumionych, że kierowca nie jest strażnikiem, a kobietą ubraną w cywilne szaty.

— Co pani tu robi? Dlaczego pani tak gnała?

— Mam ważną wiadomość dla pułkownika Hendera Linna — odparła spokojnie.

— Doprawdy? — zapytał szorstko strażnik. Przy wejściu stało już

teraz czterech mężczyzn. — Pani numer identyfikacyjny.

— Proszę mnie nie zatrzymywać — rzuciła Dors.

— Powiedziałem: numer identyfikacyjny.

— Tracę przez pana czas.

Nagle jeden z mężczyzn powiedział:

— Wiecie, do kogo ona jest podobna? Do żony byłego Pierwszego Ministra. To doktor Venabili. To… Tygrysica!

Wszyscy jakoś dziwnie cofnęli się o krok, ale jeden oznajmił:

— Jest pani aresztowana.

— Czyżby? — odparła Dors. — Skoro jestem Tygrysica, powinniście wiedzieć, że jestem znacznie silniejsza niż którykolwiek z was, a moje ruchy są o wiele szybsze. Proponuję, byście zaprowadzili mnie spokojnie do środka, a wtedy zobaczymy, co pułkownik Linn ma mi do powiedzenia.

— Jest pani aresztowana — powtórzył strażnik, a w Dors wycelowano cztery miotacze.

— No dobrze. Skoro nalegacie — powiedziała.

Wykonała gwałtowny ruch i nagle dwaj strażnicy padli z jękiem na ziemię. Tymczasem Dors już stała, trzymając miotacze w obu dłoniach.

— Starałam się nie zrobić im krzywdy, ale jest całkiem możliwe, że złamałam im nadgarstki. Pozostaliście wy dwaj, ale potrafię strzelać szybciej niż wy. Jeśli którykolwiek wykona choćby najmniejszy ruch, powtarzam najmniejszy, będę musiała złamać swoje zasady i zabiję was. Bardzo tego nie lubię, więc błagam, nie zmuszajcie mnie, bym musiała to zrobić.

Zapadła absolutna cisza, a dwaj strażnicy stali spokojnie i rzeczywiście się nie ruszali.

— Proponuję — powiedziała Dors — byście zaprowadzili mnie przed oblicze pułkownika, a potem wezwali pomoc medyczną dla kolegów.

Propozycja okazała się zbyteczna. Pułkownik Linn wyłonił się właśnie ze swojego biura.

— Co się tu dzieje? Co…

— Ach! Pan pozwoli, że się przedstawię — zwróciła się do niego Dors. — Jestem doktor Dors Venabili, żona profesora Hariego Seldona. Przybyłam, by zobaczyć się z panem w ważnej sprawie. Tych czterech usiłowało mnie zatrzymać i w rezultacie dwóch jest rannych. Proszę ich odesłać, żebyśmy mogli porozmawiać. Nic panu nie zrobię.

Linn popatrzył na czterech strażników, a potem na Dors i powiedział spokojnie:

— Nic mi pani nie zrobi? Choć tym czterem strażnikom nie udało się pani powstrzymać, na moje wezwanie mogą się tu natychmiast zjawić cztery tysiące.

— To proszę ich wezwać. Choćby nie wiem jak szybko przybyli, i tak nie zdołają pana uratować, jeśli postanowię go zabić. Proszę odwołać strażników, żebyśmy mogli porozmawiać prywatnie. Linn zwolnił strażników i powiedział:

— Dobrze, proszę wejść. Porozmawiamy. Ale ostrzegam panią, doktor Venabili, jestem pamiętliwy.

— Ja też — odpowiedziała Dors. Weszli do siedziby Linna.

15

— Doktor Venabili, proszę mi dokładnie wyjaśnić, w jakim celu pani tu przybyła — powiedział niemal kurtuazyjnie Linn.

Dors rzuciła mu niezbyt groźny, ale i niezbyt przyjemny uśmiech.

— Może zaczniemy od tego — oznajmiła — że przybyłam tu, by pokazać panu, że mogę się tu przedostać, kiedy tylko zechcę.

— Tak?

— Tak. Mojego męża zabrano na spotkanie z generałem urzędowym samochodem naziemnym eskortowanym przez uzbrojonych żołnierzy. Ja opuściłam hotel mniej więcej w tym samym czasie, pieszo i nieuzbrojona. No i proszę, stoję tu przed panem i jak sądzę, znalazłam się w pałacu wcześniej niż on. Żeby dostać się do pana, musiałam przedrzeć się przez pięciu strażników, wliczając tego, któremu zabrałam pojazd. Przedarłabym się nawet przez pięćdziesięciu.

Linn flegmatycznie skinął głową.

— Jak rozumiem, to panią nazywają czasami Tygrysicą.

— Tak o mnie mówiono. Ale do rzeczy. Przybyłam do pana, gdyż muszę się upewnić, że mojemu mężowi nie stanie się krzywda. Udaje się do jaskini generała, jeśli mogę użyć takiego dramatycznego porównania, więc chcę, by wyszedł z niej bez obrażeń i niewystraszony.

— O ile mi wiadomo, w rezultacie tego spotkania pani mężowi nic się nie stanie. Ale co do pani, chciałbym się dowiedzieć, dlaczego przybyła pani właśnie do mnie. Dlaczego nie poszła pani prosto do generała?

— Bo z was dwóch to pan ma rozum.

Przez chwilę panowało milczenie, po czym Linn stwierdził:

— Taka uwaga mogłaby być wielce niebezpieczna, gdyby ją podsłuchano.

— Bardziej niebezpieczna dla pana niż dla mnie, radzę więc, by upewnił się pan, czy nas nie podsłuchują. No dobrze, jeśli wydaje się panu, że można mnie po prostu uciszyć, a mojego męża uwięzić albo skazać i wykonać egzekucję, to myli się pan. Rozczaruje się pan, sądząc, że nie będę mogła nic zrobić. — Wskazała dwa miotacze leżące przed nią na stole. — Weszłam na tereny pałacowe bez broni. Przed panem stanęłam z dwoma miotaczami. Gdybym nie miała miotaczy, miałabym noże, a jestem ekspertem w posługiwaniu się nimi. A nawet gdybym nie miała ani miotaczy, ani noży, i tak byłabym groźna. Stolik, przy którym siedzimy, jest metalowy i najwyraźniej dość solidny.

— W rzeczy samej.

Dors uniosła dłonie i rozsunęła palce, jakby chciała pokazać, że nie trzyma broni. A potem opuściła ręce i pogładziła powierzchnię stolika.

Nagle podniosła pięść, a następnie grzmotnęła w blat. Głośny trzask, który dał się słyszeć, przypominał niemal uderzenie metalu o metal. Dors uśmiechnęła się i podniosła dłoń.

— Żadnego zadrapania. Żadnego bólu — powiedziała. — Ale zauważy pan, że tam gdzie uderzyłam, w stoliku jest małe wgłębienie. Gdyby ten cios spadł z tą samą siłą na czyjąś czaszkę, ta rozpadłaby się na kawałki. Prawdę mówiąc, nigdy nie zrobiłam czegoś takiego ani nikogo nie zabiłam, choć zraniłam już wielu. Niemniej jednak, jeśli profesorowi Seldonowi spadnie włos z głowy…

— Wciąż pani grozi?

— Obiecuję. Nie zrobię nic, jeśli profesorowi Seldonowi nie stanie się krzywda. W przeciwnym razie, pułkowniku Linn, będę zmuszona okaleczyć lub zabić pana i obiecuję raz jeszcze, to samo zrobię z generałem Tennarem.

— Nie podoła pani całej armii bez względu na to, jak drapieżna z pani tygrysica. I co wtedy? — spytał Linn.

— Znane opowieści bywają przesadzone — powiedziała Dors. — Wcale nie byłam aż tak drapieżna, ale opowiada się o wiele więcej, niż wydarzyło się naprawdę. Pańscy strażnicy stchórzyli, kiedy mnie rozpoznali, i sami będą rozpowiadali tę historię, dodając, jak dostałam się do pana. Pułkowniku Linn, nawet armia może się zawahać, zanim mnie zaatakuje, ale gdyby żołnierze to zrobili i zniszczyli mnie, niech się pan strzeże gniewu ludu. Junta utrzymuje porządek, ale jej władza jest bardzo niepewna, a pan nie będzie chciał pogorszyć tego stanu. Niech pan więc tylko pomyśli, jak proste jest alternatywne rozwiązanie. Wystarczy nie skrzywdzić profesora Hariego Seldona.

— Nie zamierzamy go skrzywdzić.

— To po co to całe spotkanie?

— Nie ma w tym nic niezwykłego. Generała interesuje psychohistoria. Zapisy dotyczące rządu pokazują jasno, że interesował się nią stary imperator Cleon, a także Demerzel, kiedy był Pierwszym Ministrem. Dlaczego my nie mielibyśmy być nią zainteresowani? Tak naprawdę, interesuje nas ona jeszcze bardziej.

— A to dlaczego?

— Bo upłynęło już wiele czasu. Jak rozumiem, początkowo psychohistoria była dość luźnym pomysłem profesora Seldona. Czystą teorią. Przez niemal trzydzieści lat pracował nad nią z coraz większym zapałem oraz z pomocą coraz liczniejszych zespołów. Robił to niemal wyłącznie za pieniądze rządu, więc w pewnym sensie jego odkrycia i techniki są własnością rządu. Zamierzamy zapytać go o psychohistorię, która obecnie musi być znacznie bardziej

zaawansowana niż w czasach Demerzela i Cleona, i oczekujemy, że powie nam to, co pragniemy wiedzieć. Chcemy czegoś bardziej praktycznego niż wizja równań kłębiących się w powietrzu. Rozumie mnie pani?

— Tak — odparła Dors, marszcząc czoło.

— I jeszcze jedno. Proszę nie myśleć, że niebezpieczeństwo grozi pani mężowi jedynie ze strony rządu i że gdyby stała mu się krzywda, będzie pani natychmiast musiała zaatakować właśnie nas. Profesor Seldon może mieć całkiem prywatnych wrogów. Nic mi o tym nie wiadomo, ale z pewnością jest to możliwe.

— Zapamiętam to sobie. A teraz chcę, by tak to pan zaaranżował, żebym towarzyszyła mężowi podczas spotkania z generałem. Chcę mieć stuprocentową pewność, że jest bezpieczny.

— Trudno będzie tego dokonać, a poza tym potrzeba na to nieco czasu. Nie można przerywać rozmowy, ale jeśli zechce pani poczekać do końca…

— Radzę to załatwić. Niech pan nie liczy na to, że wystawi mnie do wiatru i pozostanie przy życiu.

16

Generał Tennar patrzył na Hariego Seldona, wytrzeszczając oczy, a palcami bębnił cicho po biurku, przy którym siedział.

— Trzydzieści lat — powiedział. — Trzydzieści lat, a pan mówi mi, że wciąż nie ma nic do zaprezentowania?

— Właściwie dwadzieścia osiem lat, panie generale. Tennar zignorował jego słowa.

— A wszystko na koszt rządu. Czy pan wie, profesorze, ile miliardów kredytów zainwestowano w pański Projekt?

— Nie mam w tej chwili dokładnych danych, panie generale, ale mamy rejestry, na podstawie których mogę szybko uzyskać odpowiedź na pańskie pytanie.

— My też je mamy. Rząd, profesorze, nie ma nieprzebranych źródeł funduszy. Stare dobre czasy już minęły. My nie podchodzimy do finansów tak niefrasobliwie jak Cleon. Podnoszenie podatków nie jest popularne, a potrzebujemy kredytów na wiele spraw. Wezwałem tu pana w nadziei, że wynagrodzi nas pan w pewien sposób swoją psychohistorią. Skoro pan tego nie potrafi, to muszę powiedzieć całkiem szczerze, będziemy musieli zakręcić kranik. Jeśli zdoła pan kontynuować badanią bez funduszy rządowych, niech pan to robi, chyba że pokaże mi pan coś, co uzasadni ponoszone wydatki. Tylko tyle musi pan zrobić.

— Generale, żąda pan ode mnie rzeczy niemożliwych. Powiem tylko tyle, że nie udzielając mi pomocy rządowej, odrzuca pan przyszłość. Proszę mi dać trochę czasu, a wtedy być może…

— Różne rządy słuchały już tego pańskiego „być może” przez całe dziesięciolecia. Czyż nie jest prawdą, profesorze, że pańska psychohistoria przepowiedziała, że pozycja junty jest niepewna, że moja władza jest niestabilna i że już niedługo upadniemy?

Seldon zmarszczył brwi.

— Technika nie jest jeszcze dostatecznie rozwinięta, bym mógł powiedzieć, że tak właśnie twierdzi psychohistoria.

— A ja panu mówię, że psychohistoria tak właśnie twierdzi i że przekonanie to jest powszechne wśród pracowników Projektu.

— Nie — odpowiedział żarliwie Seldon. — To nieprawda. Możliwe, że kilku z nas zinterpretowało pewne zależności, by wykazać, że junta może być niestabilną formą rządów, ale są też inne zależności, które można z łatwością tak zinterpretować, by wykazać, że jest odwrotnie. Właśnie dlatego musimy kontynuować badania. Obecnie zbyt łatwo można wykorzystać niekompletne dane i mylne rozumowanie, by dojść do takich wniosków, jakich sobie życzymy.

— Jeśli jednak postanowi pan przedstawić wniosek, że rząd jest

niestabilny, i powie pan, że psychohistoria to potwierdza, choćby wcale tak nie było, czy nie zwiększy to niestabilności?

— Rzeczywiście, może się tak stać, panie generale. Ale jeśli ogłosimy, że rząd jest stabilny, może to zwiększyć jego stabilność. Wielokrotnie rozmawiałem o tym z imperatorem Cleonem. Można użyć psychohistorii jako narzędzia do manipulowania emocjami ludzi i osiągania krótkoterminowych efektów. Jednak na dłuższą metę przepowiednie okażą się najprawdopodobniej niekompletne bądź całkiem mylne, a wtedy psychohistoria straci pokładane w niej zaufanie i odejdzie w zapomnienie. Jakby jej w ogóle nie było.

— Dość tego! Niech pan mi powie wprost! Co psychohistoria mówi o moim rządzie?

— Wykazuje, jak sądzimy, że są w nim pewne niestabilne elementy, ale nie jesteśmy pewni, i nie możemy być, jak można to pogorszyć czy polepszyć.

— Innymi słowy, psychohistoria mówi panu po prostu to samo, co wiedziałby pan bez niej, i właśnie w to rząd zainwestował niezliczone stosy kredytów.

— Nadejdą takie czasy, że psychohistoria powie nam to, czego nie wiedzielibyśmy bez niej, a wtedy inwestycje zwrócą się, i to wielokrotnie.

— Jak długo jeszcze trzeba będzie na to czekać?

— Mam nadzieję, że niedługo. Przez ostatnie lata zrobiliśmy bardzo obiecujące postępy.

Tennar znów stukał paznokciem w blat biurka.

— To za mało. Proszę mi powiedzieć coś, co mogłoby pomóc. Coś użytecznego.

Seldon zastanowił się, po czym stwierdził:

— Mogę przygotować panu szczegółowy raport, ale to zajmie trochę czasu.

— Oczywiście. Dni, miesiące, lata… i jakoś nigdy nie uda się go napisać. Uważa mnie pan za głupca?

— Nie, oczywiście, że nie, generale. Ale nie chciałbym, by i mnie uważano za głupca. Mogę panu powiedzieć coś, za co sam wezmę pełną odpowiedzialność. Widziałem to w moich badaniach psychohistorycznych, choć mogłem to źle zinterpretować. Skoro jednak pan nalega…

— Nalegam.

— Przed chwilą wspomniał pan o podatkach, mówiąc, że trudno je podnosić. Oczywiście, zawsze trudno to zrobić. Każdy rząd musi sprawować władzę, zbierając fundusze w tej czy w innej formie. Są tylko dwa sposoby na pozyskanie kredytów. Pierwszy to okradanie sąsiada, drugi przekonanie własnych obywateli, by przyznali kredyty dobrowolnie i pokojowo. Ponieważ ustanowiliśmy Imperium

Galaktyczne, które od tysięcy lat rozsądnie prowadziło swoje interesy, nie ma mowy o okradaniu jakiegoś sąsiada, z wyjątkiem może okazjonalnych rebelii i represji za nie. To nie zdarza się na tyle często, by mogło wspierać finanse rządu, a nawet gdyby tak było, i tak rząd byłby na tyle niestabilny, że nie przetrwałby długo. — Seldon wziął głęboki oddech i kontynuował: — Tak więc należy zwiększyć liczbę kredytów, prosząc obywateli o przekazanie części ich dochodów na cele rządowe. Ponieważ rząd będzie w takich warunkach pracował wydajnie, obywatele prawdopodobnie lepiej wydadzą w ten sposób swoje kredyty, niż gdyby je odkładali, każdy na swoje potrzeby, żyjąc w niebezpiecznej i chaotycznej anarchii. Chociaż jednak wymagania te są rozsądne, a obywatele lepiej by zrobili, gdyby płacili podatki będące ceną za utrzymanie stabilnego i wydajnego rządu, niestety czynią to niechętnie. Aby przełamać tę niechęć, rządy muszą wyjaśnić, że nie zabierają zbyt wielu kredytów i że biorą pod uwagę prawa oraz korzyści obywateli. Innymi słowy, muszą obniżyć oprocentowanie pobierane od niskich dochodów; muszą pozwolić na różnego rodzaju odpisy, nim zostanie oszacowany podatek, i tak dalej. W miarę upływu czasu sytuacja podatkowa nieuchronnie coraz bardziej się komplikuje, gdyż różne światy, różne sektory na każdym ze światów i różne działy ekonomii domagają się specjalnego traktowania. W rezultacie aparat podatkowy rozrasta się niepomiernie i komplikuje, i coraz trudniej go kontrolować. Przeciętny obywatel nie potrafi już zrozumieć, dlaczego i ile musi płacić podatków, co mu wolno, a czego nie. Rząd i agencja podatkowa bardzo często również tego nie wiedzą. Co więcej, wciąż trzeba przeznaczać coraz większe części zbieranych funduszy na prowadzenie bardzo wymyślnej działalności podatkowej: na gromadzenie danych, ściganie przestępstw podatkowych. Tak więc mimo wszelkich wysiłków zmniejsza się ilość kredytów przeznaczanych na dobre i użyteczne cele. W rezultacie sytuacja podatkowa wpływa na wszystkie dziedziny, nawet staje się powodem niezadowolenia i zamieszek. W książkach historycznych tendencyjnie przypisuje się te sprawy chciwym biznesmenom, skorumpowanym politykom, brutalnym wojownikom czy ambitnym wicekrólom, ale to tylko jednostki, które czerpią korzyści z nadmiernego wzrostu podatków.

— Czy chce mi pan powiedzieć, że nasz system podatkowy jest zbyt skomplikowany? — spytał ostro generał.

— Gdyby nie był, to o ile mi wiadomo, byłby to jedyny taki przypadek w historii — stwierdził Seldon. — Psychohistoria mówi mi, że wzrost podatków jest nieunikniony.

— Co w takim razie mamy zrobić?

— Tego nie umiem panu powiedzieć. Właśnie dlatego chciałbym przygotować raport, co jak pan wspomniał, może zająć nieco czasu.

— Dajmy sobie spokój z raportem. To system podatkowy jest zbyt skomplikowany, prawda? Czyż nie to chciał pan powiedzieć?

— Być może tak jest — odparł ostrożnie Seldon.

— I żeby to zmienić, ktoś musi go uprościć., tak bardzo jak to tylko możliwe.

— Musiałbym przeanalizować…

— Nonsens. Przeciwieństwem systemu skomplikowanego jest system maksymalnie uproszczony. Nie potrzebuję pańskiego raportu, by to zrozumieć.

— Będzie, jak pan chce, generale — rzekł Seldon.

W tym momencie generał spojrzał w górę, jakby go zawołano — i rzeczywiście tak było. Zacisnął dłonie, a w pokoju pojawiły się holowizyjne wizerunki pułkownika Linna i Dors Venabili.

Seldon, jak rażony piorunem, krzyknął:

— Dors! Co tu robisz?!

Generał nie odezwał się ani słowem, ale zmarszczył brwi w ponurym grymasie.

17

Generał miał złą noc, a co łatwo zrozumieć, równie złą noc miał pułkownik. Spotkali się teraz obaj i obaj byli zakłopotani.

— Powiedz mi jeszcze raz, co zrobiła ta kobieta — polecił Tennar.

Linn wyglądał, jak gdyby miał na ramionach ogromny ciężar.

— To Tygrysica. Tak ją nazywają. Nie wiem dlaczego, ale wygląda tak, jakby nie była w pełni człowiekiem. Jest kimś w rodzaju niesamowicie przygotowanego wojownika, bardzo pewnego siebie… i generale, przerażającego.

— Przestraszyła cię? Samotna kobieta?

— Proszę mi pozwolić zrelacjonować dokładnie, co zrobiła, i dorzucić jeszcze kilka szczegółów. Nie wiem, na ile prawdziwe są wszystkie opowieści o niej, ale to, co się stało wczoraj wieczorem, jest aż nadto prawdziwe.

Linn raz jeszcze opowiedział historię, a generał słuchał jej, wydymając policzki.

— Źle — powiedział. — Co teraz zrobimy?

— Myślę, że nie mamy wyboru. Chcemy psychohistorii…

— Tak, to prawda — potwierdził generał. — Seldon powiedział mi coś o podatkach, co… Nieważne. W tej chwili nie o to chodzi. Mów dalej.

Linn, który w wielkim zdenerwowaniu pozwolił sobie na okazanie cienia zniecierpliwienia, kontynuował:

— Jak już mówiłem, chcemy psychohistorii, ale bez Seldona. On i tak jest już skończony. Im dłużej się mu przyglądam, tym wyraźniej widzę starzejącego się naukowca, żyjącego tym, czego dokonał w przeszłości. Miał niemal trzydzieści lat, by osiągnąć sukces w psychohistorii, ale mu się nie udało. Bez niego, z nowymi ludźmi u steru, psychohistoria może się szybciej rozwinąć.

— Tak, zgadzam się. A co z tą kobietą?

— No właśnie. Nie braliśmy jej pod uwagę, gdyż bardzo dbała, żeby pozostać na drugim planie. Teraz jednak jestem prawie pewien, że dopóki ta kobieta pozostanie przy życiu, dopóty trudno będzie, a może nawet nie sposób usunąć Seldona po cichu, nie wciągając w to rządu.

— Naprawdę wierzysz, że ona mogłaby nam obu poważnie zagrozić, gdyby dowiedziała się, że skrzywdziliśmy jej męża? — spytał generał, wydymając pogardliwie usta.

— Naprawdę w to wierzę. Co więcej, podejrzewam, że mogłaby wszcząć bunt. Zrobi dokładnie to, co obiecała.

— Stajesz się tchórzem.

— Proszę, generale, ja tylko usiłuję postępować rozsądnie. Nie

wycofuję się. Musimy się zająć tą Tygrysica. — Przerwał i zastanawiał się przez chwilę. — Prawdę mówiąc, moi informatorzy mówili o tym, ale przyznaję, że nie przywiązywałem do tego wystarczającej wagi.

— Jak twoim zdaniem możemy się jej pozbyć?

— Nie wiem — odpowiedział Linn, a potem wolno dodał: — Ale może ktoś inny wie.

18

Seldon także miał złą noc, a i dzień nie zapowiadał się o wiele lepiej. Nieczęsto złościł się na Dors, ale tym razem rozzłościł się okropnie.

— Jak mogłaś tak głupio postąpić?! — rzucił. — Mało ci było, że wszyscy zatrzymaliśmy się w Brzegu Kopuły? Przecież już to wystarczyło, by jakiś paranoiczny władca pomyślał o spisku.

— Dlaczego? Nie byliśmy uzbrojeni, Hari. Przybyliśmy tam na zakończenie obchodów twoich urodzin. Nie stanowiliśmy dla nikogo zagrożenia.

— Tak, ale potem ty dokonałaś tej swojej inwazji na tereny pałacowe. To niewybaczalne. Pognałaś do pałacu, by przeszkodzić w moim spotkaniu z generałem, chociaż wielokrotnie i wyraźnie mówiłem, że nie chcę, byś się tam pojawiła. Wiesz, że miałem własne plany.

— Twoje pragnienia, rozkazy i plany są na drugim miejscu, jeśli chodzi o twoje bezpieczeństwo. Dla mnie to było najważniejsze.

— Nie byłem w niebezpieczeństwie.

— Nie zakładałabym tego tak beztrosko. Dokonano już dwóch zamachów na twoje życie. Dlaczego myślisz, że nie będzie trzeciego?

— Tych dwóch zamachów dokonano, gdy byłem Pierwszym Ministrem. Wtedy pewnie warto było mnie zabić. Kto chciałby zabić starzejącego się matematyka?

— Właśnie tego chciałam się dowiedzieć i temu chciałam zapobiec. Muszę zacząć od zadania kilku pytań uczestnikom Projektu.

— Nie. Tylko zmartwiłabyś moich ludzi. Zostaw ich w spokoju.

— Właśnie tego nie mogę zrobić. Hari, mam cię chronić i zajmowałam się tym przez dwadzieścia osiem lat. Nie możesz mnie teraz powstrzymać.

Z wyrazu jej oczu łatwo było wyczytać, że bez względu na pragnienia czy rozkazy Hariego zamierzała robić swoje. Najważniejsze było bezpieczeństwo Seldona.

19

— Mogę ci przerwać, Yugo?

— Oczywiście, Dors — powiedział Yugo Amaryl, uśmiechając się szeroko. — Ty mi nigdy nie przeszkadzasz. Co mogę dla ciebie zrobić?

— Usiłuję poznać kilka szczegółów i zastanawiałam się, czy mógłbyś mi w tym pomóc.

— Jeśli potrafię.

— Macie w Projekcie coś, co nazywacie Pierwszym Radiantem. Słyszę o nim od czasu do czasu. Hari mówi o nim, więc chyba sobie wyobrażam, jak wygląda, gdy jest włączony, ale właściwie nigdy nie widziałam go w działaniu. Chciałabym, żebyś mi go pokazał. Amaryl spoglądał niepewnie.

— Właściwie Pierwszy Radiant jest najbardziej strzeżoną częścią Projektu, a ty nie jesteś na liście osób, które mają do niego dostęp.

— Wiem, ale skoro znamy się od dwudziestu ośmiu lat…

— No i jesteś żoną Hariego. Myślę, że możemy nagiąć ten przepis. Mamy tylko dwa ukończone radianty. Jeden jest w biurze Hariego, a drugi u mnie. Właśnie tu.

Dors popatrzyła na masywny czarny sześcian na środkowym biurku. Nie wyróżniał się niczym szczególnym.

— Czy to jest to?

— Tak. Gromadzi równania opisujące przyszłość.

— Jak dostajecie się do tych równań?

Amaryl przesunął kontakt i w pokoju natychmiast zrobiło się ciemno; a potem radiant ożył, świecąc różnorodnymi kolorami. Dokoła Dors pojawiły się symbole, strzałki, linie i różnego rodzaju znaki matematyczne. Wydawało się, że poruszają się, wirują, ale kiedy skupiła wzrok na jakimś szczególe, wyglądał na nieruchomy.

— I to ma być przyszłość? — spytała.

— Może być — odpowiedział Amaryl, wyłączając urządzenie. — Pokazałem ci wszystko w postaci rozszerzonej, żebyś mogła zobaczyć symbole. Bez rozszerzenia nie widać nic oprócz świetlnych wzorów w ciemności.

— Więc studiując te równania, potrafisz zrozumieć, co przyniesie nam przyszłość?

— Teoretycznie. — Pokój wyglądał teraz tak jak poprzednio. — Są jednak dwa problemy.

— Och. Na czym polegają?

— Po pierwsze, tych równań nie wymyślił żaden człowiek. Po prostu spędziliśmy dziesiątki lat, programując coraz potężniejsze komputery, a one stworzyły i zapisały te równania, choć oczywiście nie wiemy, czy są one prawdziwe i znaczące. To zależy całkowicie od

tego, jak prawdziwe i znaczące było pierwotne oprogramowanie.

— W takim razie mogą być całkiem nieprawdziwe.

— Mogą.

Amaryl przetarł oczy, a Dors nie mogła się oprzeć wrażeniu, że przez ostatnie kilka lat bardzo się postarzał. Był młodszy od Hariego o prawie dwanaście lat, a wyglądał na znacznie starszego.

— Oczywiście, mamy nadzieję — kontynuował zmęczonym głosem — że nie są całkiem nieprawdziwe, ale tu pojawia się druga trudność. Chociaż obaj z Harim sprawdzaliśmy je i modyfikowaliśmy przez całe dziesięciolecia, wciąż nie jesteśmy pewni, co oznaczają. Stworzył je komputer, dlatego z samego założenia powinny coś oznaczać… ale co?

Pewne ich fragmenty opracowaliśmy. Prawdę mówiąc, w tej chwili zajmuję się czymś, co nazywamy sekcją A-23, szczególnie zawiłym systemem wzajemnych relacji. Do tej pory nie potrafiliśmy dopasować jej do czegokolwiek we wszechświecie. Jednak z każdym rokiem robimy postępy, dlatego z ufnością patrzę w przyszłość i mam nadzieję na stworzenie psychohistorii, która będzie właściwą i użyteczną techniką zajmującą się przyszłością.

— Ilu ludzi ma dostęp do Pierwszych Radiantów?

— Ma go każdy matematyk biorący udział w Projekcie, ale nie natychmiast. Trzeba się zwrócić o pozwolenie oraz przydział czasu, a Pierwszy Radiant musi być dostosowany do tego fragmentu równań, którym chce się zająć matematyk. Nieco się to komplikuje, gdy wszyscy chcą go używać w tym samym czasie. Obecnie jest pewien zastój, być może dlatego, że wciąż jesteśmy pod wrażeniem obchodów urodzin Hariego.

— Czy w planie jest skonstruowanie dodatkowych radiantów? Amaryl wydął usta.

— I tak, i nie. Bardzo przydałby się jeszcze trzeci, ale wtedy ktoś musiałby za niego odpowiadać. To nie może być wspólna własność. Zaproponowałem Hariemu, żeby Tamwile Elar… znasz go chyba…

— Tak, znam.

— Więc zaproponowałem, żeby Elar miał trzeci radiant. Zapisane przez niego równania achaotyczne oraz elektrowyświetlacz jego pomysłu sprawiają, że po mnie i Harim jest uważany za trzeciego człowieka w Projekcie. Jednak Hari się waha.

— Wiesz dlaczego?

— Jeśli Elar dostanie radiant, to już oficjalnie będzie uważany za trzeciego człowieka w Projekcie. Wyprzedzi wtedy innych matematyków, starszych od niego i mających mocniejszą pozycję. Można nawet powiedzieć, że spowodowałoby to pewne trudności natury politycznej. Sądzę, że nie powinniśmy tracić czasu na zamartwianie się polityką wewnętrzną, ale Hari… No cóż, przecież

znasz Hariego.

— Tak, znam go. Przypuśćmy, że powiem ci, że Linn widział Pierwszy Radiant — powiedziała nagle Dors.

— Linn?

— Pułkownik Hender Linn z junty. Sługus Tennara.

— Bardzo wątpię, Dors.

— Mówił o równaniach, które obracają się jak spirale, a ja właśnie zobaczyłam je wytworzone przez Pierwszy Radiant. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że on tu był i widział radiant w działaniu.

Amaryl pokręcił głową.

— Nie mogę sobie wyobrazić, by ktokolwiek przyprowadził członka junty do biura Hariego czy mojego.

— Powiedz mi, który z uczestników Projektu mógłby twoim zdaniem współpracować w taki sposób z juntą?

— Żaden — odpowiedział stanowczo Amaryl i widać było, że naprawdę wierzy w to, co mówi. — To nie do pomyślenia. Może Linn nigdy nie widział radianta, a jedynie opowiedziano mu o nim.

— Kto mógłby mu o nim opowiedzieć? Matematyk pomyślał przez chwilę, po czym odparł:

— Nikt.

— No dobrze, przed chwilą mówiłeś o polityce wewnętrznej w związku z możliwością przekazania Elarowi trzeciego egzemplarza radianta. Przypuszczam, że w takim projekcie jak ten, w którym uczestniczą setki ludzi, stale są jakieś waśnie czy kłótnie.

— O tak. Biedny Hari rozmawia ze mną o tym co jakiś czas. Musi radzić sobie z nimi w ten czy inny sposób, a wyobrażam sobie, ile sprawia mu to kłopotów.

— Czy te kłótnie są na tyle poważne, że przeszkadzają w pracy nad Projektem?

— Niezbyt.

— Czy są tu ludzie kłótliwsi lub drażliwsi niż inni? Krótko mówiąc, czy są tacy, których można by się pozbyć i być może w ten sposób zakończyć dziewięćdziesiąt procent waśni kosztem pięciu lub sześciu procent personelu?

Amaryl uniósł brwi.

— To wygląda na dobry pomysł, ale nie wiem, kogo mielibyśmy się pozbyć. Nie znam wszystkich szczegółów polityki wewnętrznej.

— To dziwne — stwierdziła Dors. — Czy w ten sposób nie zaprzeczasz wiarygodności psychohistorii?

— Jak to?

— Jak możecie twierdzić, że osiągnęliście punkt, w którym potraficie przepowiadać przyszłość i sterować nią, jeśli nie potraficie analizować i korygować czegoś tak dobrze poznanego i przeanalizowanego jak kłótnie w samym Projekcie, po którym tak

wiele sobie obiecujecie?

Amaryl zachichotał cicho. Jak na niego było to niezwykłe, gdyż nie był człowiekiem wesołego usposobienia.

— Przepraszam, Dors, ale poruszyłaś problem, który rozwiązaliśmy po dłuższej dyskusji. Wiele lat temu Hari rozpoznał równania przedstawiające trudności, które wynikają z tarć personalnych, a ja uzupełniłem je w zeszłym roku. Odkryłem, że są sposoby, dzięki którym można tak zmienić równania, by wykazywały redukcję tarć osobistych. Jednak w każdym takim wypadku redukcja tarć w jednym miejscu oznacza narastanie tarć w innym. W obrębie zamkniętej grupy, z której nie odchodzą starzy członkowie ani nie dołączają do niej nowi, nigdy nie było jakiegoś wielkiego spadku czy też wzrostu napięcia. Za pomocą równań achaotycznych Elara udowodniłem, że taka jest prawda pomimo oczywistych działań podejmowanych przez kogokolwiek. Hari nazywa to „prawem zachowania problemów osobistych". To legło u podstaw poglądu, że dynamika społeczna ma swoje prawa zachowania tak samo jak fizyka, i prawdę mówiąc, właśnie te prawa dały nam najlepsze narzędzia pozwalające rozwiązywać rzeczywiście kłopotliwe aspekty psychohistorii.

— To wszystko robi wrażenie — powiedziała Dors — ale co będzie, jeśli dojdziecie do wniosku, że absolutnie niczego nie da się zmienić, że to, co jest złe, zachowano, a żeby uchronić Imperium od katastrofy, wystarczy jedynie zwiększyć poziom destrukcji innego rodzaju?

— Właściwie niektórzy sugerowali coś takiego, ale ja w to nie wierzę.

— Bardzo dobrze. Ale wróćmy do rzeczywistości. Chciałabym spytać, czy jakiekolwiek tarcia między członkami Projektu zagrażają Hariemu. Mam na myśli zagrożenie fizyczne.

— Czy coś grozi Hariemu? Oczywiście, że nie. Jak możesz sugerować coś takiego?

— Nie ma nikogo, kto jest niechętny Hariemu, kto uważa go za zadzierającego nosa aroganta i egoistę, który zbyt chętnie przypisuje sobie wszelkie zasługi? Albo czy ktoś nie jest mu niechętny tylko dlatego, że od tak dawna jest szefem Projektu?

— Nigdy nie słyszałem, by ktoś mówił coś takiego o Harim. Dors wyglądała na rozczarowaną.

— Wątpię oczywiście, by ktoś mówił coś takiego przy tobie. Niemniej dziękuję ci, Yugo, za pomoc i za to, że poświęciłeś mi tyle czasu.

Amaryl popatrzył za wychodzącą Dors. Rozmowa nieco go rozstroiła, ale po chwili wrócił do pracy i nie zaprzątał już sobie głowy niczym innym.

20

Niewiele było powodów, które na jakiś czas odciągnęłyby Hariego Seldona od pracy. Wizyta w mieszkaniu Raycha, tuż poza terenami uniwersyteckimi, niewątpliwie była jednym z nich i przepełniała go miłością do przybranego syna. Raych był dobry, zdolny i lojalny, a poza tym miał niezwykłą umiejętność wzbudzania zaufania i miłości u innych ludzi. Helikończyk zauważył to już wtedy, gdy Raych był dwunastoletnim ulicznikiem i przypadł do serca jemu oraz Dors. Pamiętał, jak chłopak wzruszył Rashelle, byłego burmistrza Wye. Pamiętał też, jak zaufał mu Joranum, co doprowadziło go do zguby. Raych zdołał nawet podbić serce pięknej Manelli. Hari nie do końca rozumiał naturę tej szczególnej właściwości, którą ucieleśniał Raych, ale cieszył się z każdego spotkania z przybranym synem.

Wszedł do mieszkania, pytając jak zwykle:

— Wszystko w porządku?

Raych odłożył materiał holograficzny, nad którym pracował, i wstał, by powitać ojca.

— Wszystko w porządku, tato.

— Nie słyszę Wandy.

— Bo jej tu nie ma. Robi z matką zakupy.

Seldon usiadł i uśmiechając się, spoglądał na rozrzucone materiały pomocnicze.

— Jak się ma twoja książka?

— Książka doskonale, tylko ja mogę tego nie wytrzymać — westchnął. — Ale chociaż raz uderzymy we właściwe miejsce w Dahlu. Dasz wiarę, że nikt do tej pory nie napisał książki poświęconej temu sektorowi?

Seldon zauważył, że za każdym razem, gdy Raych mówił o rodzimym sektorze, uwydatniał się jego dahlijski akcent.

— A co u ciebie, tato? — spytał Raych. — Cieszysz się, że uroczystości się skończyły?

— Niezmiernie. Żal mi było każdej straconej na nie minuty.

— Jakoś nikt tego nie zauważył.

— Wiesz przecież, że musiałem przybrać odpowiednią maskę. Nie chciałem popsuć obchodów innym.

— Pewnie byłeś zły, że mama uganiała się za tobą po całych terenach pałacowych. Mówią o tym wszyscy moi znajomi.

— Jasne, że byłem zły. Twoja matka, Raych, jest najcudowniejszą osobą na świecie, ale bardzo trudno utrzymać ją w ryzach. Mogła zniweczyć moje plany.

— A co to za plany, tato?

Seldon oparł się wygodnie. Zawsze przyjemnie było porozmawiać

z kimś, komu się całkowicie ufa i kto nie wie nic o psychohistorii. Nieraz przecież musiał przeganiać myśli dotyczące Raycha i skupiać się na czymś bardziej sensownym.

— Czy na pewno jesteśmy zabezpieczeni przed podsłuchem?

— Cały czas.

— To dobrze. Musiałem skierować myśli generała Tennara na odpowiednie tory.

— Jakie tory?

— Cóż, omówiłem z grubsza podatki i wykazałem, że jeśli usiłuje się rozłożyć system podatkowy równo na obywateli, to rozrasta się on coraz bardziej, komplikuje, staje się nieporęczny i kosztowny. Wypływa z tego oczywisty wniosek, że system podatkowy musi zostać uproszczony.

— To wydaje się sensowne.

— No właśnie, ale możliwe, że w rezultacie naszej małej dyskusji Tennar przesadzi w uproszczeniach. Widzisz, system podatkowy przestaje być efektywny w obu skrajnościach. Zbyt skomplikowany sprawia, że ludzie nie potrafią go zrozumieć i płacą za przerost kosztownej organizacji. Jeśli natomiast nadmiernie go uprościć, ludzie zaczną uważać, że to nie w porządku, i będą coraz bardziej rozgoryczeni. Najprostszym podatkiem jest pogłówne, kiedy każdy obywatel płaci taką samą kwotę, choć w tym wypadku nie sposób przeoczyć niesprawiedliwości, która każe tak samo traktować bogatych i biednych.

— A ty nie wyjaśniłeś tego generałowi?

— Jakoś nie miałem okazji.

— Myślisz, że on spróbuje wprowadzić pogłówne?

— Myślę, że ma taki zamiar. Jeśli tak jest, nastąpi przeciek informacji, a już to wystarczy, by wybuchły zamieszki, które być może zachwieją rządem.

— Zrobiłeś to celowo, tato?

— Oczywiście. Raych pokręcił głową.

— Właściwie cię nie rozumiem — powiedział. — W życiu osobistym jesteś tak słodki i miły jak nikt w całym Imperium. A mimo to rozmyślnie stworzyłeś sytuację, która może pociągnąć za sobą zamieszki, tłumienie buntu i śmierć. Może się wydarzyć wiele zła. Pomyślałeś o tym, tato?

Seldon rozparł się wygodnie w fotelu i rzekł ze smutkiem:

— Nie mogę myśleć o niczym innym. Kiedy zaczynałem badania nad psychohistorią, wydawała mi się czysto akademicką dziedziną. Według wszelkiego prawdopodobieństwa można jej było nigdy nie opracować, a nawet gdyby została opracowana, zastosowanie jej w praktyce wydawało się wątpliwe. Ale upływały dziesięciolecia, a my wiedzieliśmy coraz więcej, aż wreszcie nadszedł czas, gdy koniecznie

trzeba ją wprowadzić w życie.

— Żeby ginęli ludzie?

— Nie, żeby zginęło mniej ludzi. Jeśli nasze analizy psychohistoryczne są poprawne, junta nie przetrwa dłużej niż parę łat i jest kilka scenariuszy jej upadku. Wszystkie będą dość krwawe. Ta metoda, myślę o sztuczce z podatkami, powinna załatwić sprawę łagodniej i delikatniej niż inne. Jeśli oczywiście, powtarzam, nasze analizy dają poprawne wyniki.

— A co, jeśli nie są poprawne?

— W takim wypadku nie wiemy, co się może zdarzyć. A jednak psychohistorią musi osiągnąć taki punkt, w którym możną ją będzie zastosować. Czekaliśmy na to od lat. W pewnym sensie ta sztuczka z podatkami jest naszym pierwszym wielkim eksperymentem psychohistorycznym.

— Muszę przyznać, że to brzmi bardzo prosto.

— Ale wcale nie jest proste. Nie masz pojęcia, jak złożona jest psychohistoria. Nic nie jest łatwe. Pogłówne wprowadzano od czasu do czasu w dziejach ludzkości. Nigdy nie było popularne i nieuchronnie budziło takie czy inne sprzeciwy, niemniej prawie nigdy nie doprowadziło do gwałtownej zmiany rządu. Mimo wszystko siła rządowego ucisku może być zbyt wielka albo ludzie mogą oponować pokojowo i w ten sposób osiągnąć przywrócenie równowagi. Gdyby pogłówne przynosiło niezmiennie lub choćby tylko czasami fatalne skutki, żaden rząd nie próbowałby go wprowadzać. A mimo to wciąż się do niego wraca właśnie dlatego, że nie przynosi tak zgubnych skutków. Jednak sytuacja na Trantorze nie jest całkiem normalna. Istnieją pewne zakłócenia, wyraźnie widoczne w analizie psychohistorycznej, na podstawie których możemy wnioskować, że niechęć będzie szczególnie silna, a represje bardzo słabe.

— Mam nadzieję, że to się uda — rzekł z powątpiewaniem Raych. — Ale czy nie sądzisz, że generał powie, że kierował się radą psychohistoryka, i pociągnie cię za sobą?

— Przypuszczam, że zarejestrował nasze spotkanie, ale jeśli upubliczni nagranie, wyraźnie będzie widać, że naciskałem, by poczekał, aż odpowiednio przeanalizuję sytuację i przygotuję raport, a on odmówił.

— A co o tym wszystkim myśli mama?

— Nie rozmawiałem z nią na ten temat — powiedział Seldon. — Jej myśli zaprząta coś całkiem innego.

— Naprawdę?

— Tak. Usiłuje wytropić jakiś głęboko zakonspirowany spisek w Projekcie… wymierzony we mnie! Jak sądzę, podejrzewa, że w Projekcie jest wielu ludzi, którzy chcieliby się mnie pozbyć. — Seldon westchnął. — Chyba sam jestem jednym z nich. Chciałbym się pozbyć

siebie jako dyrektora Projektu, bo wtedy innym pozostawiłbym odpowiedzialność za psychohistorię.

— Mamę dręczy sen Wandy — rzekł Raych. — Wiesz, jak ona podchodzi do chronienia ciebie. Założę się, że nawet sen o twojej śmierci wystarczyłby, żeby zaczęła podejrzewać istnienie spisku mającego na celu zgładzenie cię.

— Jestem przekonany, że nic takiego nie istnieje.

Na samą myśl o spisku obaj mężczyźni roześmiali się.

21

W małym laboratorium, w którym znajdował się elektrowyświetlacz, z jakiegoś powodu utrzymywano temperaturę nieco niższą niż normalna, a Dors Venabili zastanawiała się, dlaczego tak właśnie jest. Siedziała cicho, czekając, aż jedna z pracownic skończy to, co robiła.

Dors przyjrzała się uważnie szczupłej kobiecie o pociągłej twarzy.

Właściwie nie była atrakcyjna z tymi wąskimi ustami i cofniętą szczęką, ale w jej piwnych oczach jaśniała inteligencja. Na błyszczącej plakietce umieszczonej na biurku widniało nazwisko CINDA MONAY. W końcu kobieta odwróciła się do Dors i powiedziała:

— Przepraszam panią, doktor Venabili, ale są pewne procedury, których nie można przerwać nawet dla żony dyrektora.

— Byłabym rozczarowana, gdyby zaniedbała pani obowiązki z mojego powodu. Mówiono mi o pani w samych superlatywach.

— Miło mi to słyszeć. Kto mnie tak chwalił?

— Kilku ludzi — odparła Dors. — O ile dobrze rozumiem, jest pani jednym z najwybitniejszych spośród tych pracowników Projektu, którzy nie są matematykami.

Monay skrzywiła się.

— Istnieje tendencja do oddzielania nas od arystokracji matematyków. Ja uważam, że skoro jestem osobą o wybitnych zdolnościach, to tym samym jestem wybitnym członkiem Projektu. Nie ma dla mnie znaczenia, że nie jestem matematykiem.

— Takie podejście wydaje mi się rozsądne. Jak długo pracuje pani na rzecz Projektu?

— Dwa i pół roku. Wcześniej ukończyłam radiologię na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Streelinga, a jednocześnie pracowałam kilka lat jako praktykantka w Projekcie.

— Rozumiem, że dobrze radziła sobie pani w Projekcie.

— Dwukrotnie awansowałam, doktor Venabili.

— Czy zetknęła się tu pani z jakimiś trudnościami, doktor Monay? Wszystko, co pani powie, pozostanie między nami.

— Praca jest oczywiście trudna, ale jeśli ma pani na myśli problemy ze współpracownikami, to odpowiedź brzmi „nie”. A przynajmniej nie ma ich więcej, niż można by się spodziewać w tak wielkim i złożonym projekcie jak ten.

— Co pani przez to rozumie?

— Okazjonalne sprzeczki czy kłótnie. Wszyscy jesteśmy ludźmi.

— Ale to nic poważnego?

— Nic poważnego — odpowiedziała Monay, kręcąc głową.

— Powiedziano mi, doktor Monay, że jest pani odpowiedzialna za

rozwój urządzenia ważnego z punktu widzenia obsługi Pierwszego Radianta. Dzięki niemu do radianta można wprowadzić więcej informacji.

Na ustach Monay pojawił się radosny uśmiech.

— Wie pani o tym? Tak, zajmuję się elektrowyświetlaczem. Kiedy został udoskonalony, profesor Seldon założył to małe laboratorium i postawił mnie na czele zespołu prowadzącego prace dotyczące tej tematyki.

— Dziwię się, że tak ważny postęp nie oznaczał automatycznie awansu na wyższy szczebel w Projekcie.

— No cóż — odparła Monay; wyglądała na nieco zażenowaną — nie chcę przypisywać sobie wszelkich zasług. Właściwie moja praca jest tylko technicznej natury… lubię myśleć, że jestem bardzo utalentowanym technikiem.

— A kto z panią pracował?

— Nie wie pani? Tamwile Elar. To on opracował podstawy teoretyczne, dzięki którym mogło powstać zaprojektowane i zbudowane przeze mnie urządzenie.

— Czy to oznacza, że on przypisuje sobie zasługę?

— Nie, nie. Nie powinna pani tak myśleć. Doktor Elar nie jest tego typu człowiekiem. Bardzo podkreśla mój udział w pracy. Szczerze mówiąc, to on chciał, by urządzenie określono naszymi nazwiskami, ale nie mógł tego zrobić.

— Dlaczego?

— No wie pani, taka jest zasada profesora Seldona. Wszelkie urządzenia pomocnicze i równania mają mieć nazwy funkcjonalne, a nie personalne… żeby uniknąć urażenia kogokolwiek. Dlatego nasze urządzenie nazwano po prostu elektrowyświetlaczem. Kiedy jednak pracujemy razem, Elar określa je naszymi nazwiskami i powiem pani, doktor Venabili, wspaniale to brzmi. Być może kiedyś wszyscy członkowie Projektu będą używali tego określenia. Mam nadzieję, że tak się stanie.

— Ja też mam taką nadzieję — powiedziała uprzejmie Dors. — Z tego, co pani mówi, wnioskuję, że Elar jest bardzo porządnym człowiekiem.

— Ależ tak — potwierdziła szczerze Monay. — Bardzo poświęca się pracy. W tej chwili pracuję nad nową wersją urządzenia, które jest potężniejsze i które nie całkiem jeszcze rozumiem. Mam na myśli jego przeznaczenie. Jednak Elar pomaga mi, jak może.

— I robi pani postępy?

— Oczywiście. Prawdę mówiąc, przekazałam doktorowi Elarowi prototyp, który zamierza przetestować. Jeśli zadziała, będziemy posuwać się dalej.

— To doskonale — przyznała Dors. — Jak pani myśli, co by się

stało, gdyby profesor Seldon musiał zrezygnować ze stanowiska dyrektora Projektu? Gdyby musiał przejść na emeryturę?

Monay wyglądała na zdziwioną.

— Czy pan profesor zamierza przejść na emeryturę?

— Nie wiem. Przedstawiam pani jedynie hipotetyczne założenie. Przypuśćmy, że przejdzie na emeryturę. Kto pani zdaniem mógłby zostać jego następcą? Z tego, co pani powiedziała, wnoszę, że na stanowisku nowego dyrektora chętnie widziałaby pani Tamwile Elara.

— Tak, rzeczywiście — odparła Monay po chwili wahania. — Jeśli o to chodzi, jest najbłyskotliwszym z nowych ludzi w Projekcie i sądzę, że mógłby najlepiej nim zarządzać. Tyle że jest dość młody. Jest wielu starych grzybów — cóż, wie pani, kogo mam na myśli — którzy nie dopuszczą, by ubiegł ich taki młody pętak.

— Ma pani na myśli kogoś konkretnego? Proszę pamiętać, że nasza rozmowa jest poufna.

— Kilku, a wśród nich doktora Amaryla. Pewnie on zostanie następcą profesora.

— Tak, rozumiem, co pani ma na myśli. — Dors wstała. — No cóż, bardzo dziękuję pani za pomoc. Może już pani wrócić do swojej pracy.

Dors wyszła, myśląc o elektrowyświetlaczu. I o Amarylu.

22

— Znów tu jesteś, Dors — powiedział Yugo Amaryl.

— Przepraszam, Yugo. Wiem, że nachodzę cię już drugi raz w tym tygodniu. Właściwie nikogo nie widujesz zbyt często, prawda?

— Nie zachęcam ludzi do składania mi wizyt — odparł Amaryl. — Zazwyczaj przeszkadzają mi i przerywają tok myślenia. Ale nie ty, Dors. Ty i Hari jesteście mi szczególnie bliscy. Nie ma dnia, bym nie pamiętał, co dla mnie zrobiliście.

Dors machnęła ręką.

— Daj spokój, Yugo. Pracowałeś tak sumiennie dla Hariego, że to, co dla ciebie zrobiliśmy, już dawno zostało spłacone. Co słychać w Projekcie? Hari nigdy o tym nie mówi… a przynajmniej nie rozmawia o tym ze mną.

Amarylowi pojaśniała twarz i cały jakby się ożywił.

— Jest dobrze. Bardzo dobrze. Trudno mówić o tym, nie używając terminów matematycznych, ale postęp, jaki osiągnęliśmy w ciągu ostatnich dwóch lat, jest zdumiewający. Właściwie zrobiliśmy więcej niż przez wszystkie poprzednie lata. Można powiedzieć, że po dziesięcioleciach bezowocnych wysiłków wreszcie mamy coś konkretnego.

— Słyszałam, że sytuację zmieniły te nowe równania opracowane przez doktora Elara.

— Równania achaotyczne? Tak. Okazały się niezwykle pomocne.

— Pomógł też elektro wyświetlacz. Rozmawiałam z kobietą, która go zaprojektowała.

— Z Cindą Monay?

— Tak. Właśnie z nią.

— To bardzo błyskotliwa osoba. Mamy szczęście, że dla nas pracuje.

— Powiedz mi, Yugo… w gruncie rzeczy pracowałeś nad Pierwszym Radiantem cały czas, prawda?

— Tak. Właściwie w mniejszym lub większym stopniu ciągle się nim zajmuję.

— Używając do tego elektrowyświetlacza?

— Oczywiście.

— Nigdy nie myślałeś, żeby zrobić sobie wakacje?

— Wakacje? — Amaryl wpatrywał się w Dors jak sowa, mrugając.

— Tak. Z pewnością słyszałeś to słowo i wiesz, co oznacza.

— Ale dlaczego miałbym sobie robić wakacje?

— Bo wydaje mi się, że jesteś okropnie zmęczony.

— Czasem jestem nieco zmęczony, ale nie chcę zostawiać pracy.

— Czy teraz czujesz się bardziej zmęczony niż kiedyś?

— Trochę. Starzeję się, Dors.

— Masz zaledwie czterdzieści dziewięć lat.

— Co nie zmienia faktu, że się starzeję.

— Nie mówmy już o tym. Lepiej powiedz mi, Yugo, choćby żeby zmienić temat, jak Hari radzi sobie z pracą. Towarzyszysz mu od tak dawna, że chyba nikt nie zna go lepiej niż ty. Pewnie nawet ja nie znam go tak dobrze, przynajmniej jeśli chodzi o pracę.

— Hari radzi sobie doskonale. Nie widzę w nim żadnych zmian. Wciąż jest tu najbardziej błyskotliwą osobą. Wiek wcale go nie zmienił… w każdym razie nie tak bardzo.

— Miło mi to słyszeć. Obawiam się, że on nie myśli o sobie tak pozytywnie. Niezbyt dobrze znosi upływ czasu. Z trudem nakłoniliśmy go do świętowania ostatnich urodzin. A tak nawiasem mówiąc, byłeś na uroczystości? Nie widziałam cię.

— Uczestniczyłem w części, ale jak sama wiesz, nie czuję się dobrze na takich przyjęciach.

— Myślisz, że siły Hariego już się wyczerpują? Nie mówię o jego sprawności umysłowej. Pytam o jego fizyczne możliwości. Uważasz, że jest coraz bardziej zmęczony? Zbyt zmęczony, by unieść ciężar swych obowiązków?

Amaryl wyglądał na zdumionego.

— Coś takiego nigdy nie przyszło mi do głowy. Nie mogę go sobie wyobrazić zmęczonego.

— A jednak tak może być. Sądzę, że od czasu do czasu myśli o tym, by zrezygnować ze stanowiska i przekazać obowiązki komuś młodszemu.

Amaryl usiadł wygodnie w fotelu i odłożył pióro świetlne, którym bawił się od chwili, gdy weszła Dors.

— Co takiego?! To śmieszne! Niemożliwe!

— Jesteś pewien?

— Całkowicie. Na pewno nie podjąłby takiej decyzji bez przedyskutowania jej ze mną. A nie zrobił tego.

— Bądź rozsądny, Yugo. Hari jest wyczerpany. Usiłuje tego nie okazywać, ale tak jest. Co się stanie, jeśli rzeczywiście postanowi przejść na emeryturę? Co się stanie z Projektem? I co się stanie z psychohistorią?

Amaryl zmrużył oczy.

— Czy ty żartujesz, Dors?

— Nie. Staram się jedynie spojrzeć w przyszłość.

— Jeśli Hari przejdzie na emeryturę, to zapewne obejmę jego stanowisko. Prowadziliśmy badania na rzecz Projektu, zanim jeszcze ktokolwiek do nas dołączył. On i ja. Nikt inny. Poza nim nikt nie zna Projektu tak jak ja. Jestem zdumiony, słysząc, że nie przyjmujesz mojej sukcesji za pewnik.

— Ani ja, ani nikt inny nie wątpi, że powinieneś zostać jego następcą, ale czy chcesz nim zostać? Może wiesz wszystko o psychohistorii, ale czy chcesz rzucić się w wir polityki złożoności wielkiego Projektu, jeśli będziesz musiał porzucić swoją pracę? Hariego najbardziej osłabiało ciągłe pilnowanie, by wszystko szło gładko. Czy możesz przejąć i tę część tej pracy?

— Tak, mogę, ale nie chcę o tym rozmawiać. Posłuchaj, Dors. Czy przyszłaś tu, by powiedzieć mi, że Hari zamierza się mnie pozbyć?

— Ależ skąd! Jak mogłeś nawet pomyśleć coś takiego o Harim! Czy kiedykolwiek widziałeś, by zawiódł przyjaciela?

— No, dobrze. Dajmy temu spokój. Przepraszam cię, Dors, ale muszę wracać do pracy. — Odwrócił się gwałtownie i znów pochylił nad biurkiem.

— Oczywiście. Nie chciałam ci zabrać tyle czasu. Dors wyszła niezbyt zadowolona.

23

— Daj spokój, mamo — rzucił Raych. — Jestem sam. Wysłałem Manellę i Wandę na spacer.

Dors weszła, spojrzała na prawo i lewo z przyzwyczajenia i usiadła na najbliższym krześle. Przez chwilę po prostu siedziała; a wyglądała tak, jakby na jej barkach spoczywał ciężar całego Imperium.

Raych odczekał chwilę, a potem powiedział:

— Do tej pory nie miałem okazji zapytać cię o tę szaloną wyprawę na tereny pałacowe. Nie każdy facet ma matkę, która potrafi zrobić coś takiego.

— Nie będziemy o tym rozmawiać, Raych.

— W takim razie powiedz mi… Nie jesteś osobą, z której twarzy łatwo cokolwiek wyczytać, ale teraz wyglądasz na przygnębioną. O co chodzi?

— Czuję się, jak to ująłeś, przygnębiona. Prawdę mówiąc, jestem w złym nastroju, bo moje myśli zaprzątają bardzo poważne sprawy, a nie ma sensu rozmawiać o tym z twoim ojcem. Jest najcudowniejszym człowiekiem na świecie, ale czasem trudno z nim wytrzymać. Nie sądzę, by interesowały go moje zmartwienia. Uważa, że to tylko moje irracjonalne obawy o jego życie, i lekceważy moją troskę o jego bezpieczeństwo.

— Daj spokój, mamo. Rzeczywiście niepotrzebnie martwisz się o bezpieczeństwo taty. Jeśli masz jakieś obawy, to prawdopodobnie są bezzasadne.

— Dziękuję ci. Mówisz dokładnie to, co ojciec, jakbyś chciał, żebym była jeszcze bardziej sfrustrowana.

— Więc zwierz mi się, mamo. Powiedz mi, co cię dręczy. Zacznij od początku.

— Wszystko zaczęło się od snu Wandy.

— Od snu Wandy! Mamo! Może lepiej przestań teraz, zanim zaczniesz na dobre. Wiem, że tata nie chciałby cię słuchać, gdybyś zaczęła w ten sposób. Naprawdę, przestań. Małe dziecko miało sen, a ty przywiązujesz do tego ogromną wagę. To śmieszne.

— Nie sądzę, żeby to był sen, Raych. Myślę, że chociaż Wanda uważała to za sen, było tam dwóch ludzi, którzy rozmawiali o śmierci jej dziadka.

— To tylko twoje szalone domysły i prawdopodobnie nie mają nic wspólnego z prawdą.

— A jednak załóż przez chwilę, że są prawdziwe. Mała zapamiętała tylko kilka słów: „lemoniadowa śmierć”. Dlaczego miałaby o tym śnić? Bardziej prawdopodobne jest, że usłyszała coś i

tylko przekręciła słowa… a w takim razie jak brzmiały prawdziwe słowa?

— Nie umiem odpowiedzieć — rzucił Raych, a w jego głosie pobrzmiewało niedowierzanie.

Dors wyczuła sceptycyzm syna.

— Myślisz, że to tylko moja chora wyobraźnia. Ale jeśli mam rację, możemy mieć do czynienia z nie wykrytym spiskiem przeciwko Hariemu, i to w dodatku w samym Projekcie.

— Spisek w Projekcie? Wydaje mi się to równie nieprawdopodobne jak doszukiwanie się znaczenia w jakimś śnie.

— W każdym wielkim projekcie są niesnaski, tarcia i zazdrość.

— Jasne. Jasne. Ranimy się słowami, robimy głupie miny i gramy na nosie. Ale to nie ma nic wspólnego ze spiskiem. To nie są rozmowy o zabiciu taty.

— Chodzi o niewielką różnicę. Być może bardzo małą różnicę.

— Tata nigdy nie uwierzy w coś takiego. Zresztą ja też w to nie uwierzę. — Raych przechadzał się nerwowo po pokoju. — A ty usiłowałaś zwietrzyć ten tak zwany spisek, prawda?

Dors skinęła głową.

— I nie udało ci się.

Raz jeszcze Dors skinęła głową.

— A nie przyszło ci do głowy, że nie udało ci się, bo nie ma żadnego spisku?

Tym razem Dors pokręciła głową.

— Nie udało mi się do tej pory, ale wciąż uważam, że spisek istnieje. Czuję to.

Raych roześmiał się.

— Mówisz jak zwykła kobieta, mamo. Oczekuję po tobie czegoś więcej niż „czuję to”.

— Jest wyrażenie, które jak sądzę, można zamienić na słowo „lemoniada”. To „pomoc laika”[2].

— Pomoc laika? O co tu chodzi?

— Słowem „laik” matematycy w Projekcie określają wszystkich tych, którzy nie są matematykami.

— I co z tego?

— Załóżmy — stwierdziła stanowczo Dors — że ktoś mówił o pomocy laika w zabójstwie, mając na myśli, że można by zabić Hariego tak, aby główną rolę odegrał w tym jeden lub kilku niematematyków.

— Chcesz mi powiedzieć, że w prywatnym biurze taty byli jacyś obcy ludzie, którzy w dodatku tam spiskowali? A tak nawiasem mówiąc, ilu ich było?

— Wanda, opisując sen, mówiła o dwóch. Mam przeczucie, że jednym z nich był nie kto inny tylko pułkownik Hender Linn,

przedstawiciel junty, i że pokazywano mu Pierwszy Radiant. Pewnie dyskutowali też o wyeliminowaniu Hariego.

— Mamo, masz coraz bardziej szalone pomysły. Pułkownik Linn i ten drugi mężczyzna rozmawialiby w biurze taty o morderstwie i nie wiedzieliby, że podsłuchuje ich mała dziewczynka ukryta w fotelu? Czy to chcesz powiedzieć?

— Mniej więcej.

— W takim razie, jeśli wspomniano o laiku, jeden z tych ludzi, a zakładamy, że nie chodzi tu o Linna, musi być matematykiem.

— Na to właśnie wygląda.

— To absolutnie niemożliwe. Ale nawet gdyby to była prawda, który z matematyków wchodziłby twoim zdaniem w grę? W Projekcie pracuje ich co najmniej pięćdziesięciu.

— Nie rozmawiałam ze wszystkimi. Przepytałam kilku, a także niektórych innych naukowców, ale nie znalazłam przywódców. Oczywiście, nie mogłam pytać zbyt otwarcie.

— Krótko mówiąc, żaden z tych, z którymi rozmawiałaś, nie wskazał ci przywódcy niebezpiecznego spisku.

— Nie.

— Nie jestem zdziwiony. Nie mogli tego zrobić, bo…

— Wiem, co chcesz powiedzieć, Raych. Myślisz, że ludzie załamią się i wydadzą innych spiskowców, kiedy się ich łagodnie wypytuje? Nie mam odpowiedniej pozycji, bym mogła próbować wycisnąć z kogokolwiek informacje. Wyobrażasz sobie, co by powiedział twój ojciec, gdybym dotknęła któregoś z jego wspaniałych matematyków? — A potem, zmieniwszy nagle intonację, dodała: — Raych, rozmawiałeś ostatnio z Yugo Amarylem?

— Nie, ostatnio nie. Wiesz, on nie jest zbyt towarzyski. Gdyby tak wyciągnąć z niego psychohistorię, pozostałaby tylko mała kupka suchej skóry.

Dors skrzywiła się nieco, wyobrażając sobie ten widok, i powiedziała:

— Ja za to rozmawiałam z nim dwukrotnie i wydaje mi się jakiś nieobecny duchem. Nie chodzi o to, że jest zmęczony. Wygląda niemal tak, jakby nie był świadomy tego, co się wokół niego dzieje.

— Tak. To cały Yugo.

— Czy on się ostatnio źle czuje? Raych zastanawiał się przez chwilę.

— Być może. Wiesz, starzeje się. Jak my wszyscy… oprócz ciebie, mamo.

— Chcesz powiedzieć, że Yugo przekroczył pewien wiek i staje się nieco niezrównoważony?

— Kto? Yugo? On nie ma powodu do zmartwień. Zostaw go z jego psychohistorią, a do końca życia będzie coś cicho do siebie

mamrotał.

— Nie sądzę. Jest coś, co go interesuje… i to bardzo. Sukcesja.

— Jaka sukcesja?

— Wspomniałam, że pewnego dnia twój ojciec może przejść na emeryturę, a wtedy okazało się, że Yugo za wszelką cenę chce zostać jego następcą.

— Nie jestem zdziwiony. Chyba wszyscy się zgadzają, że Yugo jest jego naturalnym spadkobiercą. Jestem pewien, że tata też tak myśli.

— Ale wydało mi się, że Yugo nie zareagował całkiem normalnie. Myślał, że przyszłam do niego, by powiedzieć, że Hari odsunie go, bo faworyzuje kogoś innego. Wyobrażasz sobie, żeby ktoś mógł pomyśleć coś takiego o Harim?

— To zaskakujące… — Raych przerwał na chwilę i obrzucił matkę uważnym spojrzeniem. Wreszcie odezwał się: — Mamo, chcesz mi powiedzieć, że Yugo może być motorem napędowym spisku, o którym mówisz? Że chce się pozbyć taty i zająć jego miejsce?

— A czy to zupełnie niemożliwe?

— Całkowicie niemożliwe, mamo. Jeśli coś jest nie w porządku z Yugo, to musi to być przepracowanie, nic innego. Wpatrywanie się całymi dniami i nocami w te równania, czy co tam to jest, każdego doprowadziłoby do szaleństwa.

— Masz rację — powiedziała Dors, wstając gwałtownie.

— O co chodzi? — spytał zaniepokojony Raych.

— O to, co powiedziałeś. To naprowadziło mnie na zupełnie nowy trop. Myślę, że kluczowy.

Nie powiedziawszy już ani słowa, Dors odwróciła się i wyszła.

24

Dors Venabili zganiła Hariego Seldona.

— Spędziłeś cztery dni w Bibliotece Galaktycznej. Nie można się było z tobą skontaktować i znów udało ci się pójść beze mnie.

Mąż i żona wpatrywali się w swoje wizerunki holograficzne. Hari właśnie wrócił z podróży badawczej do Biblioteki Galaktycznej w Sektorze Imperialnym. Dzwonił do Dors ze swojego biura na terenie uniwersytetu, by zawiadomić ją o powrocie. Nawet w złości Dors jest piękna, pomyślał. Gdyby mógł, wyciągnąłby rękę i dotknął jej policzka.

— Dors — zaczął, chcąc ją udobruchać. — Nie pojechałem tam sam. Towarzyszyło mi kilkoro znajomych, a Biblioteka Galaktyczna jest bezpiecznym miejscem dla naukowców, nawet w tych niebezpiecznych latach. Myślę, że z czasem będę musiał coraz częściej przebywać w bibliotece.

— I zamierzasz tam jeździć, nie uprzedzając mnie?

— Dors, nie mogę żyć, myśląc o śmiertelnym niebezpieczeństwie, które wciąż przepowiadasz. Nie chcę też, żebyś biegała za mną i straszyła bibliotekarzy. Oni nie są członkami junty. Potrzebuję ich i nie chcę, żeby złościli się przez ciebie. Poza tym myślę, że powinienem… że powinniśmy wynająć mieszkanie w pobliżu biblioteki.

Dors pokręciła głową z ponurą miną i zmieniła temat.

— Wiesz, że ostatnio rozmawiałam dwa razy z Yugo?

— To dobrze. Cieszę się, że z nim porozmawiałaś. Potrzebuje kontaktu ze światem.

— Tak, bo dzieje się z nim coś złego. To nie ten sam Yugo, którego znaliśmy przez te wszystkie lata. Patrzy błędnym wzrokiem, odpływa daleko myślami i co bardzo dziwne, ożywia się tylko wtedy, gdy mowa o twojej emeryturze i zajęciu przez niego twojego miejsca.

— To by było naturalne… gdyby mnie przeżył.

— Nie spodziewasz się, że cię przeżyje?

— Cóż, jest jedenaście lat młodszy, ale biorąc pod uwagę zmienne koleje losu…

— Chcesz przez to powiedzieć, że dzieje się z nim coś złego, prawda? Wygląda i zachowuje się tak, jakby był starszy od ciebie, więc choć właściwie zawsze tak było, wydaje mi się, że ostatnio problem się pogłębił. Czy on jest chory?

— Fizycznie? Nie sądzę. Przechodził okresowe badania. Przyznaję jednak, że wygląda na wykończonego. Usiłowałem nakłonić go, by wziął kilkumiesięczny urlop, a gdyby chciał, to nawet i roczny. Zasugerowałem, by w ogóle opuścił Trantor, choćby po to, by znaleźć

się możliwie najdalej od Projektu. Bez problemów dałoby się sfinansować jego pobyt na Getorinie, bardzo przyjemnym świecie wypoczynkowym położonym zaledwie o kilka lat świetlnych od nas. Dors niecierpliwie pokręciła głową.

— I oczywiście on tego nie chce. Ja też zaproponowałam mu wakacje, a on zareagował tak, jakby nie znał znaczenia tego słowa. Zdecydowanie odmówił.

— No to co możemy zrobić? — spytał Seldon.

— Możemy się przynajmniej zastanowić — odparła Dors. — Yugo pracował na rzecz Projektu dwadzieścia pięć lat i wydawało się, że niemal czerpie siły z pokonywania trudności, a teraz nagle osłabł. Tu nie może chodzić o wiek. Nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat.

— Czy ty coś sugerujesz?

— Tak. Od jak dawna używacie z Yugo elektrowyświetlacza w waszych Pierwszych Radiantach?

— Od dwóch lat, może trochę dłużej.

— Zakładam, że tego elektrowyświetlacza używa każdy, kto chce wykorzystać Pierwszy Radiant.

— Tak właśnie jest.

— To znaczy głównie ty i Yugo.

— Tak.

— A Yugo częściej niż ty?

— Tak. Yugo zajmuje się intensywnie radiantem i jego równaniami. Ja, niestety, muszę poświęcać większość czasu zajęciom administracyjnym.

— A jaki wpływ ma elektro wyświetlacz na ludzi? Seldon wyglądał na zdziwionego pytaniem.

— Nie zauważyłem nic szczególnego.

— W takim razie wyjaśnij mi coś. Elektrowyświetlacz jest w użyciu od ponad dwóch lat, a ty w tym czasie stałeś się o wiele bardziej zmęczony, rozkapryszony i nieco… rozkojarzony. Dlaczego tak jest?

— Starzeję się, Dors.

— Nonsens. Kto ci powiedział, że sześćdziesiątka oznacza starość? Wykorzystujesz swój wiek jako wymówkę, a ja chcę, żebyś przestał to robić. Yugo, choć jest młodszy od ciebie, przebywał w pobliżu elektrowyświetlacza częściej niż ty i w rezultacie jest bardziej zmęczony i rozkapryszony. A moim zdaniem, jeszcze trudniej się z nim porozumieć niż z tobą. Na dodatek raczej dziecinnie podchodzi do sprawy sukcesji. Czy nic cię w tym nie uderza?

— Wiek i przepracowanie. To jest uderzające.

— Nie, chodzi o elektrowyświetlacz. To on ma od dawna wpływ na was obu.

Seldon zastanowił się przez chwilę, a potem powiedział:

— Nie potrafię wykazać błędu w twoim rozumowaniu, ale nie wyobrażam sobie, jak by to mogło być możliwe. Elektrowyświetlacz to urządzenie pomocnicze wytwarzające niezwykłe pole elektromagnetyczne, ale przecież ludzie są wciąż wystawieni na jego działanie. Nie może wyrządzić żadnej krzywdy. Zresztą i tak nie możemy przestać go stosować. Nie osiągniemy postępu w badaniach, nie używając go.

— Posłuchaj, Hari. Muszę cię teraz o coś poprosić, a ty musisz ze mną współpracować. Nie wychodź poza biura Projektu, nie informując mnie o tym, i nie rób niczego poza codziennymi zajęciami, nie uprzedzając mnie. Rozumiesz?

— Dors, jak mogę się zgodzić na coś takiego? Usiłujesz mnie wsadzić w kaftan bezpieczeństwa.

— Tylko na jakiś czas. Na kilka dni. Powiedzmy, tydzień.

— A co się stanie za kilka dni czy za tydzień?

— Zaufaj mi — powiedziała Dors. — Niedługo wszystko się wyjaśni.

25

Hari Seldon zapukał delikatnie, jak robił to od wielu lat, a Yugo Amaryl podniósł wzrok.

— Hari, jak to miło, że wpadłeś.

— Powinienem to robić częściej. Za dawnych dobrych czasów byliśmy razem cały czas. A teraz musimy się troszczyć o setki ludzi, którzy ciągle stają pomiędzy nami. Słyszałeś nowiny?

— Jakie nowiny?

— Junta zamierza wprowadzić pogłówne, i to dość spore. Jutro ogłoszą to w TrantorVizji. Na razie obejmie Trantor, Światy Zewnętrzne będą musiały poczekać. Jestem trochę rozczarowany. Miałem nadzieję, że to obejmie od razu całe Imperium, ale najwyraźniej nie jestem autorytetem dla generała.

— Wystarczy Trantor — powiedział Amaryl. — Światy Zewnętrzne zrozumieją, że wkrótce nadejdzie ich kolej.

— Teraz będziemy musieli tylko poczekać i zobaczyć, co się stanie.

— Wiadomo, co się stanie. W momencie ogłoszenia rozlegną się protesty, a potem wybuchną zamieszki poprzedzające jeszcze wprowadzenie podatku.

— Jesteś tego pewien?

Amaryl natychmiast uruchomił swój Pierwszy Radiant i powiększył odpowiedni fragment.

— Zobacz sam, Hari. Nie rozumiem, jak można by to źle zinterpretować, a jest to projekcja dotycząca szczególnych warunków, które teraz zaistniały. Jeśli tak się nie stanie, będzie to znaczyło, że wszystko, co osiągnęliśmy w psychohistorii, jest mylne, a ja nie mam odwagi w to uwierzyć.

— Ja spróbuję znaleźć odwagę — powiedział Seldon, uśmiechając się, a potem spytał: — Jak się ostatnio czujesz, Yugo?

— Dość dobrze. Umiarkowanie dobrze. A przy okazji, jak ty się czujesz? Słyszałem pogłoski, że myślisz o rezygnacji ze stanowiska. Nawet Dors coś o tym mówiła.

— Nie zwracaj uwagi na to, co mówi Dors. Od pewnego czasu opowiada różne rzeczy. Z uporem powtarza, że Projekt jest przeniknięty jakimś niebezpieczeństwem.

— Jakim niebezpieczeństwem?

— Lepiej nie pytać. Jak zwykle postępuje według własnych zasad, a wtedy jest nieobliczalna.

— Widzisz, jak to dobrze, że jestem samotny — rzekł Amaryl, a potem cicho dodał: — Jeśli zrezygnujesz, Hari, to jakie masz plany na przyszłość?

— Ty zajmiesz moje miejsce — odparł Seldon. — Jakie inne plany mógłbym mieć?

Amaryl tylko się uśmiechnął.

26

W małej sali konferencyjnej w głównym budynku Tamwile Elar słuchał Dors Venabili, a na jego twarzy widać było coraz większe zdumienie i złość. Wreszcie wybuchnął:

— Niemożliwe! — Potarł brodę i kontynuował ostrożniej: — Nie chciałbym pani obrazić, doktor Venabili, ale pani uwagi są śmie… nie mogą być prawdziwe. To niemożliwe, by którykolwiek z uczestników Projektu Psychohistorii żywił uczucia, które usprawiedliwiałyby pani podejrzenia. Na pewno wiedziałbym, gdyby tak było, a zapewniam panią, że nie jest. Niech pani o tym nie myśli.

— Będę o tym myślała — oznajmiła z uporem Dors — i znajdę dowody na to, o czym mówię.

— Nie wiem, jak to powiedzieć, by pani nie obrazić, doktor Venabili, ale jeśli ktoś jest dostatecznie pomysłowy i zamierza coś udowodnić, zdoła znaleźć wszelkie dowody, jakich potrzebuje… albo przynajmniej to, co uważa za dowody.

— Myśli pan, że zwariowałam?

— Myślę, że troszcząc się o mistrza, w czym zresztą panią popieram, przedobrzyła pani, jeśli mogę tak to ująć.

Dors umilkła i rozważała stwierdzenie Elara.

— Nie myli się pan przynajmniej co do tego, że ktoś dostatecznie pomysłowy wszędzie potrafi znaleźć dowody. Mogłabym na przykład stworzyć dowody przeciwko panu.

Oczy Elara rozszerzyły się ze zdumienia.

— Przeciwko mnie? Chciałbym usłyszeć, co takiego mogłaby pani mi zarzucić.

— Proszę bardzo. Zaraz pan usłyszy. Przyjęcie urodzinowe to był pański pomysł, czyż nie?

— Tak, wpadłem na niego, ale jestem pewien, że inni też o tym myśleli. Skoro mistrz tak narzekał, że się starzeje, przyjęcie wydawało się odpowiednim sposobem, by go pocieszyć.

— Jestem pewna, że inni mogli o tym myśleć, ale to pan nalegał, by je wydać, i nawet przekonał pan do tego moją synową. Zajęła się szczegółami, a pan nakłonił ją, aby z urodzin zrobić wielkie obchody. A może tak nie było?

— Nie wiem, czy miałem na nią jakiś wpływ, ale jeśli nawet, to co w tym złego?

— W samym pomyśle nic, ale czy planując obchody urodzin na tak wielką skalę i o tak szerokim zasięgu, nie pokazaliśmy dość podejrzliwym członkom junty, że Hari jest zbyt popularny i może stanowić dla nich zagrożenie?

— Nikt nie uwierzy, że myślałem o czymś takim.

— Ja tylko wskazuję możliwości. Planując obchody urodzin, nalegał pan, by opróżniono biura w budynku głównym.

— Tylko tymczasowo i z oczywistych powodów.

— …a także nalegał pan, by przez pewien czas pozostały całkowicie puste. Nikt w tym okresie nie pracował… nikt oprócz Yugo Amaryla.

— Uważałem, że krótki odpoczynek przed uroczystością dobrze zrobi mistrzowi. Z pewnością nie ma pani o to pretensji.

— Ale to oznacza, że mógł się pan zupełnie swobodnie naradzać z innymi ludźmi w pustych biurach. A biura są oczywiście chronione przed podsłuchem.

— Tak, naradzałem się tam… z pani synową, z dostawcami i innymi handlarzami. Musiałem to przecież zrobić, chyba się pani zgadza?

— A jeśli jednym z tych, z którymi się pan naradzał, był członek junty?

Elar wyglądał tak, jakby Dors go uderzyła.

— Zaprzeczam temu, doktor Venabili. Za kogo mnie pani bierze? Dors nie odpowiedziała bezpośrednio.

— Poszedł pan porozmawiać z doktorem Seldonem o czekającym go spotkaniu z generałem — stwierdziła — i nalegał pan, całkiem zresztą mocno, żeby pozwolił panu zająć jego miejsce, żeby sam nie ryzykował. Rezultat był oczywiście taki, że doktor Seldon uparł się, by osobiście spotkać się z generałem, czyli zrobił dokładnie to, o co panu chodziło.

Elar roześmiał się nerwowym, urywanym śmiechem.

— Z całym szacunkiem, pani doktor, ale to już zakrawa na paranoję. Dors obstawała przy swoim.

— A potem, po przyjęciu, to właśnie pan pierwszy zaproponował, byśmy całą grupą udali się do hotelu Brzeg Kopuły, czyż nie?

— Tak i pamiętam, że zgodziła się pani, mówiąc, że to doskonały pomysł.

— Czy nie mieliśmy tam pójść, by zaniepokoić juntę, by dać jeszcze jeden dowód popularności Hariego? Czy nie było to zaaranżowane, by podsunąć mi pomysł wejścia na tereny pałacowe?

— Czy mogłem panią powstrzymać? — spytał Elar, którego sceptycyzm zamienił się w złość. — Sama pani postanowiła to zrobić.

Dors nie zwracała uwagi na jego słowa.

— I oczywiście miał pan nadzieję, że wkraczając na tereny pałacowe, sprawię wystarczająco wiele kłopotów, by junta jeszcze bardziej zdecydowanie zwróciła się przeciwko Hariemu.

— Ale po co, doktor Venabili? Po co miałbym to robić?

— Ktoś mógłby powiedzieć, że chciał się pan pozbyć doktora Seldona i zająć jego miejsce na stanowisku dyrektora Projektu.

— Jak pani może myśleć tak o mnie? Nie chce mi się wierzyć, że mówi pani poważnie. Robi pani jedynie to, o czym powiedziała na samym początku: chce mi pani pokazać, co można uzyskać, szukając tak zwanych dowodów.

— Przyjrzyjmy się jeszcze czemuś. Powiedziałam, że mógł pan wykorzystać puste pomieszczenia do przeprowadzenia prywatnych rozmów i że mógł pan być tam z jakimś członkiem junty.

— Nawet nie warto temu zaprzeczać.

— Jednak podsłuchano pańską rozmowę. Pewna mała dziewczynka weszła do pokoju, zwinęła się w kłębek w fotelu i niewidoczna dla innych, podsłuchała całą rozmowę.

Elar zmarszczył brwi.

— Co usłyszała?

— Ach, zainteresowało to pańską. Powiedziała, że dwóch mężczyzn rozmawiało o śmierci. Jest tylko dzieckiem i nie potrafiła wszystkiego dokładnie powtórzyć, ale wrażenie wywarły na niej dwa słowa: „lemoniadowa śmierć".

— Teraz to już zamienia pani, przepraszam za wyrażenie, fantazję w szaleństwo. Co to znaczy „lemoniadowa śmierć" i co to ma wspólnego ze mną?

— Najpierw potraktowałam to dosłownie. Dziewczynka, o której mówię, bardzo lubi lemoniadę. Na przyjęciu było mnóstwo lemoniady, ale nikt jej nie zatruł.

— Dziękuję, że zadbała pani o nasze zdrowie.

— Potem jednak zdałam sobie sprawę, że mała usłyszała coś innego, a ponieważ niedokładnie zna język oraz uwielbia ten napój, przekręciła to, co usłyszała, na „lemoniadę".

— A wymyśliła już pani, co miały oznaczać przekręcone słowa? — warknął Elar.

— Wygląda na to, że mogła usłyszeć „pomoc laika".

— Co to znaczy?

— Zabójstwo dokonane przez laika… kogoś, kto nie jest matematykiem.

Dors umilkła i zmarszczyła brwi. Przycisnęła dłoń do piersi.

— Czy coś się stało, doktor Venabili? — spytał Elar z nagłą troską.

— Nie — odpowiedziała Dors, wyraźnie drżąc.

Przez kilka chwil nic nie powiedziała, więc Tamwile odchrząknął. Na jego twarzy nie było już widać rozbawienia.

— Pani uwagi, doktor Venabili, stają się coraz śmieszniejsze i prawdę mówiąc, mam ich już dość. Może byśmy z tym skończyli?

— Już prawie skończyliśmy, doktorze Elar. Zabójstwo dokonane przez laika rzeczywiście może być śmieszne, jak pan powiedział. Sama zresztą o tym pomyślałam. To pan jest częściowo odpowiedzialny za

skonstruowanie i modyfikację elektrowyświetlacza, prawda?

Matematyk wyprostował się i powiedział z wyraźną dumą:

— Całkowicie odpowiedzialny.

— Na pewno nie całkowicie. Jak rozumiem, zaprojektowała go Cinda Monay.

— Jest tylko projektantem. Postępowała według moich instrukcji.

— Jest laikiem. Elektrowyświetlacz to urządzenie pomocnicze skonstruowane przez laika.

— Nie sądzę, żebym raz jeszcze chciał usłyszeć coś takiego — powiedział gwałtownie Elar. — Ponownie proponuję, żebyśmy z tym skończyli.

Dors kontynuowała, jakby nie usłyszała jego żądania.

— Choć teraz nie przypisuje pan Cindzie zasługi, jej powiedział pan zupełnie co innego… domyślam się, że po to, by pracowała jeszcze gorliwiej. Oświadczyła mi, że przypisuje pan jej zasługę, i była z tego bardzo dumna. Zdradziła, że nawet nazwał pan to urządzenie waszymi nazwiskami, choć nie jest to nazwa oficjalna.

— Oczywiście, że nie. To elektrowyświetlacz.

— Powiedziała też, że projektuje udoskonalenia, wzmacniacze i tym podobne… i że pan ma prototyp udoskonalonej wersji, bo chce go pan przetestować.

— Co to ma wspólnego z naszą rozmową?

— Ma, ponieważ odkąd doktor Seldon i doktor Amaryl zaczęli wykorzystywać elektrowyświetlacz, stan zdrowia obu się pogorszył. Yugo, który pracował z nim dłużej, ucierpiał bardziej.

— Elektrowyświetlacz jest absolutnie nieszkodliwy. Dors przyłożyła dłoń do czoła i skrzywiła się.

— A teraz ma pan potężny elektrowyświetlacz, który może spowodować jeszcze większe szkody, może zabić szybciej niż tamten powolny.

— To zupełny nonsens.

— Rozważmy nazwę samego urządzenia. Nazwę, której jak powiedziała projektantka, używa tylko pan. Zakładam, że nazywa je pan wyświetlaczem Elar-Monay.

— Nawet nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek użył tej nazwy — powiedział niepewnie matematyk.

— Na pewno tak było. Obecnie zaś za pomocą nowego, potężniejszego wyświetlacza Elar-Monay można popełnić morderstwo tak, by nikogo o to nie obwiniono. To będzie po prostu przykry wypadek spowodowany przez nowe i nie sprawdzone urządzenie. To mogłaby być „Elar-Monay śmierć”, a mała dziewczynka usłyszała to jako „lemoniadowa śmierć”. — Dłonie Dors opadły.

— Nie czuje się pani dobrze, doktor Venabili? — spytał cicho Elar.

— Czuję się doskonale. Chyba się nie mylę w swoich wnioskach, prawda?

— Proszę posłuchać, nie ma znaczenia, jakie słowa może pani zamienić w słowo „lemoniada”. Kto wie, co mogła usłyszeć mała dziewczynka? Wszystko to sprowadza się do samego elektrowyświetlacza. Proszę mnie podać do sądu albo wszcząć dochodzenie naukowe i niech eksperci, ilu tylko pani zechce, sprawdzą oddziaływanie elektrowyświetlacza na ludzi. Nawet tego nowego i potężniejszego. Stwierdzą, że nie daje żadnych efektów ubocznych.

— Nie wierzę w to — wymamrotała Dors. Przyciskała dłonie do czoła, a oczy miała zamknięte. Chwiała się lekko.

— Wyraźnie widać, że źle się pani czuje, doktor Venabili. Chyba znaczy to, że teraz moja kolej. Mogę?

Dors otworzyła oczy i po prostu wpatrywała się w niego.

— Biorę pani milczenie za zgodę, pani doktor. Co by mi przyszło z tego, że usiłowałbym się pozbyć doktora Seldona i doktora Amaryla, by zostać dyrektorem? Pani udaremniłaby każdą próbę dokonania zabójstwa, tak samo jak się pani wydaje, że teraz to robi. Gdybym nawet zaplanował coś takiego i pozbył się tych dwóch wielkich ludzi, pani rozdarłaby mnie na strzępy. Jest pani niezwykłą kobietą, silną i niewiarygodnie szybką, więc dopóki pani żyje, mistrz jest bezpieczny.

— Tak — powiedziała Dors, patrząc na niego groźnie.

— Właśnie to powiedziałem członkowi junty. Dlaczego nie mieliby pytać mnie o sprawy dotyczące Projektu? Bardzo interesują się psychohistorią, zresztą powinni się nią interesować. Trudno było im uwierzyć w to, co powiedziałem im o pani, dopóki nie wtargnęła pani na tereny pałacowe. To ich przekonało, może być pani pewna, i zaakceptowali mój plan.

— Aha. A więc jednak — stwierdziła słabo Dors.

— Powiedziałem pani, że elektrowyświetlacz nie może wyrządzić krzywdy człowiekowi. Nie jest w stanie. Amaryl i pani cenny Hari po prostu się starzeją, choć pani nie chce przyjąć tego do wiadomości. Co więc robić? Oni są doskonali… są idealnymi ludźmi. Pole elektromagnetyczne nie działa w zauważalny sposób na materiały organiczne. Oczywiście, może działać zupełnie inaczej na czułe urządzenia elektromagnetyczne, gdybyśmy więc potrafili wyobrazić sobie człowieka zbudowanego z metalu i elektroniki, mogłoby mieć na niego wpływ. W legendach występują takie sztuczne humanoidy. To na nich Mycogeńczycy opierali swoją religię i nazywali je „robotami”. Gdyby istniało coś takiego jak robot, to można sobie wyobrazić, że byłoby o wiele silniejsze i szybsze niż zwykły człowiek i miałoby właściwości podobne do tych, które ma pani, doktor Venabili. Taki robot rzeczywiście mógłby być zatrzymany, uszkodzony, a nawet

zniszczony przez silny elektrowyświetlacz, taki jaki mam tutaj i który pracuje z małą mocą, odkąd rozpoczęliśmy rozmowę. To właśnie dlatego źle się pani czuje, doktor Venabili… po raz pierwszy w życiu, jestem pewien.

Dors jedynie wpatrywała się w Elara. Wolno usiadła w fotelu.

Matematyk uśmiechnął się i mówił dalej:

— Oczywiście, kiedy już się z panią uporam, nie będzie problemu z mistrzem i z Amarylem. Bez pani mistrz natychmiast ucichnie i zrezygnuje, gnębiony zgryzotą, natomiast Amaryl jest naiwny jak dziecko. Według wszelkiego prawdopodobieństwa żadnego z nich nie trzeba będzie zabić. No i jak się pani czuje, doktor Venabili, zdemaskowana po tylu latach? Muszę przyznać, że doskonale ukrywała pani swoją prawdziwą naturę. Właściwie to zdumiewające, że nikt do tej pory nie odkrył prawdy. No cóż, ale ja jestem błyskotliwym matematykiem i obserwatorem i potrafię dedukować. Ale nawet ja nie domyśliłbym się tego, gdyby nie pani fanatyczne oddanie mistrzowi i okazjonalne pokazy nadludzkiej siły, na którą potrafiła się pani zdobyć, kiedy on był zagrożony. Żegnam panią, doktor Venabili. Teraz muszę jedynie nastawić urządzenie na pełną moc i stanie się pani historią.

Dors, zebrawszy siły, wstała z fotela i wymamrotała:

— Mogę być lepiej zabezpieczona, niż pan myśli. — A potem z rozpaczliwym krzykiem rzuciła się na Elara.

Tamwile otworzył szeroko oczy, wrzasnął i skoczył do tyłu. Ale Dors już go dopadła. Błyskawicznie uderzyła go krawędzią dłoni w szyję, przetrącając kręgi i przerywając rdzeń kręgowy. Elar padł martwy na podłogę.

Dors wyprostowała się z trudem i poszła chwiejnym krokiem ku drzwiom. Musiała znaleźć Hariego. On przecież musi wiedzieć, co się wydarzyło.

27

Hari Seldon wstał z fotela przerażony. Nigdy nie widział Dors w takim stanie. Twarz miała wykrzywioną bólem, a pochylone ciało zataczało się, jakby była pijana.

— Dors! Co się stało?! Co ci jest?!

Podbiegł do Dors i objął ją w pasie, ona zaś przestała walczyć o każdy krok i osunęła się w jego ramiona. Podniósł ją — ważyła więcej niż normalna kobieta jej postury, ale nie był tego świadom w tej chwili — i położył na kanapie.

— Co się stało? — spytał raz jeszcze.

Opowiedziała mu wszystko, oddychając z trudem, a jej głos załamywał się od czasu do czasu, on zaś tulił jej głowę i usiłował zrozumieć, co się stało.

— Elar nie żyje — oznajmiła. — W końcu zabiłam człowieka… Pierwszy raz… Tym gorzej.

— Jak bardzo jesteś uszkodzona, Dors?

— Bardzo. Elar włączył urządzenie… na pełną moc… kiedy go przycisnęłam do muru.

— Będzie można cię naprawić.

— Jak? Na Trantorze… nie ma nikogo… kto by wiedział, jak to zrobić. Potrzebny mi Daneel.

Daneel. Demerzel. W jakiś sposób, w głębi duszy, Hari zawsze wiedział. Jego przyjaciel — robot — zapewnił mu obrońcę, także robota, by dać szansę psychohistorii i podwalinom Fundacji. Jedyny problem polegał na tym, że Hari zakochał się w swoim obrońcy — w robocie. Teraz to wszystko nabrało sensu. Można było odpowiedzieć na wszelkie dręczące wątpliwości i pytania. I nie wiedzieć czemu, w ogóle się to nie liczyło. Liczyła się jedynie Dors.

— Nie możemy pozwolić, by to się stało.

— Musi tak być — powiedziała Dors. Otworzyła oczy i spojrzała na Seldona. — Musi. Usiłowałam cię ratować, ale nie udało mi się… I to w najważniejszej chwili… Kto cię teraz będzie chronił?

Seldon nie widział jej wyraźnie. Coś się działo z jego oczami.

— Nie martw się o mnie, Dors. To ty… tylko ty…

— Nie. Ty, Hari. Powiedz Manelli… powiedz, że jej przebaczam. Zachowała się lepiej niż ja. Wyjaśnij Wandzie. Ty i Raych… dbajcie o siebie.

— Nie, nie, nie — powtarzał Seldon, kiwając się do przodu i do tyłu. — Nie możesz tego zrobić. Trzymaj się, Dors. Proszę, kochanie, miłości moja.

Dors pokręciła słabo głową i uśmiechnęła się jeszcze słabiej. — Zegnaj, mój kochany Hari. Pamiętaj zawsze… o tym, co dla mnie

zrobiłeś.

— Ja nic dla ciebie nie zrobiłem.

— Kochałeś mnie, a twoja miłość sprawiła, że stałam się… człowiekiem.

Oczy Dors pozostały otwarte, ale ona sama przestała funkcjonować.

Do pokoju Seldona wpadł jak burza Yugo Amaryl.

— Hari, zaczynają się zamieszki, szybciej i nawet gwałtowniejsze, niż przy… — A potem spojrzał na Seldona i Dors i wyszeptał: — Co się stało?

Seldon popatrzył na niego w śmiertelnej udręce.

— Zamieszki! A co mnie teraz obchodzą jakieś zamieszki? A co mnie to wszystko teraz obchodzi?

Rozdział IV
Wanda Seldon

SELDON, WANDA — (…) Pod koniec życia Hari Seldon przywiązywał się coraz bardziej do (niektórzy uważają, że był zależny od) swojej wnuczki Wandy. Osierocona jako nastolatka, Wanda Seldon poświęciła się Projektowi Psychohistorii swego dziadka, wypełniając lukę powstałą po odejściu Yugo Amaryla. (…) Badania Wandy Seldon pozostają w dużym stopniu tajemnicą, gdyż prowadziła je w całkowitym odosobnieniu. Jedynymi ludźmi, którzy mieli do nich dostęp, byli sam Hari Seldon i pewien młody człowiek o nazwisku Stettin Palver (którego potomek Preem czterysta lat później przyczynił się do odrodzenia Trantora, gdy planeta ta powstała z popiołów Wielkiego Plądrowania [300 e.F.]). Chociaż nieznany jest pełny wkład Wandy Sełdon w rozwój Fundacji, to niewątpliwie był on wielki. (…)

Encyklopedia Galaktyczna

1

Hari Seldon wszedł do Biblioteki Galaktycznej, utykając nieco, jak to się mu coraz częściej zdarzało, i ruszył w stronę stanowiska poduszkowców, małych pojazdów, które przemierzały nie kończące się korytarze kompleksu budynków. Zatrzymał się jednak na widok trzech mężczyzn siedzących w jednej z nisz galaktograficznych. Pracowali właśnie na jednym z galaktografów, który ukazywał w trzech wymiarach całą Galaktykę i oczywiście jej światy krążące wolno dokoła centrum.

Z miejsca, w którym stał, Seldon mógł dostrzec, że graniczna Prowincja Anakreon zaznaczona została świetlistą czerwienią. Zajmowała wielką część obrzeża Galaktyki, ale była rzadko usiana gwiazdami. Anakreon nie wyróżniał się ani zamożnością, ani kulturą, natomiast był ważny z powodu odległości od Trantora — oba światy dzieliło dziesięć tysięcy parseków.

Działając pod wpływem impulsu, Seldon usiadł przy konsolecie komputera w pobliżu trzech mężczyzn i zaczął przypadkowo przeszukiwać dane. Wiedział, że może to robić, jak długo zechce. Jakiś instynkt podpowiadał mu, że tak wielkie zainteresowanie Anakreonem musi mieć polityczną naturę — dzięki swej pozycji w Galaktyce świat ten stał się jednym z mniej bezpiecznych miejsc panującego reżimu imperialnego. Helikończyk wpatrywał się w ekran komputera, ale nadstawiał uszu, by słuchać toczącej się w pobliżu rozmowy. Zazwyczaj nie słyszało się w bibliotece dyskusji politycznych, bo i prawdę mówiąc, nie powinny się tu odbywać.

Seldon nie znał żadnego z trzech mężczyzn, ale nie było w tym nic dziwnego. Biblioteka miała niewielu stałych bywalców i Hari większość z nich znał z widzenia, a z niektórymi nawet rozmawiał, lecz generalnie była otwarta dla wszystkich obywateli. Bez jakichkolwiek ograniczeń. Każdy mógł tu wejść i skorzystać z urządzeń pomocniczych. (Oczywiście, przez pewien czas. Jedynie kilku wybrańcom, na przykład Seldonowi, pozwolono pracować we własnym „warsztacie". Oddano mu zamykane prywatne biuro, miał też nieograniczony dostęp do zbiorów.)

Jeden z mężczyzn (Helikończyk nazwał go w myślach Krzywonosym — z powodów dość oczywistych) przemówił cicho, choć natarczywie:

— Niech się oderwą — powiedział. — Niech się oderwą. Próba zatrzymania ich kosztuje nas kupę kasy i nawet jeśli się nam uda, to tylko przejściowo. Nie mogą tam zostać na zawsze, a kiedy wreszcie odejdą, sytuacja wróci do normy.

Seldon wiedział, o czym rozmawiają. Zaledwie trzy dni wcześniej

w TrantorVizji podano, że rząd imperialny postanowił siłą zmusić do uległości opornego gubernatora Anakreonu. Psychohistoryczna analiza Hariego wskazywała, że jest to działanie bezcelowe, niestety rząd zazwyczaj nie słuchał jego dobrych rad, gdy w grę wchodziły emocje. Seldon uśmiechnął się ponuro, usłyszawszy własne słowa, a przecież ten młody mężczyzna powiedział to, choć nie korzystał z dobrodziejstw psychohistorii.

— Co stracimy, jeśli zostawimy Anakreon w spokoju? — kontynuował Krzywonosy. — Nadal będzie tam, gdzie się zawsze znajdował, na skraju Imperium. Nie może się przenieść do Andromedy, czyż nie? Tak więc nadal będzie zmuszony handlować z nami i życie potoczy się dalej. A co to za różnica, czy będą się kłaniali imperatorowi czy nie? Nigdy nie będziecie mogli powiedzieć, na czym polega różnica.

Drugi mężczyzna, którego z powodów jeszcze bardziej oczywistych Seldon nazwał Łysym, powiedział:

— Tyle że cały ten biznes nie istnieje w próżni. Jeśli oderwie się Anakreon, inne graniczne prowincje też zechcą się oderwać. Dojdzie do rozpadu Imperium.

— No i co z tego? — wyszeptał zapalczywie Krzywonosy. — Imperium i tak nie można już skutecznie kierować. Jest zbyt duże. Niech graniczne prowincje się oderwą i zatroszczą o siebie… jeśli jeszcze potrafią. Światy Wewnętrzne będą wtedy silniejsze i w lepszej kondycji. Granica nie musi być polityczna. I tak ekonomicznie będą nasze.

Trzeci mężczyzna — Czerwonolicy — powiedział:

— Chciałbym, żebyś miał rację, ale to się nie uda. Jeśli graniczne prowincje ogłoszą niepodległość, każda z nich będzie usiłowała przede wszystkim wzmocnić swoją pozycję kosztem sąsiadów. Rozpoczną się wojny i konflikty, a w końcu każdy z gubernatorów będzie marzył, żeby zostać imperatorem. Będzie tak jak w dawnych czasach przed Królestwem Trantora: na tysiące lat zapanuje ponura era.

— Na pewno nie będzie aż tak źle — powiedział Łysy. — Imperium może się załamać, ale szybko dojdzie do siebie, gdy ludzie zrozumieją, że rozpad oznacza wojnę i zubożenie. Będą wspominali złote czasy zjednoczonego Imperium i znów wszystko będzie dobrze. Wiesz, że nie jesteśmy barbarzyńcami. Znajdziemy jakiś sposób.

— Oczywiście — rzekł Krzywonosy. — Musimy pamiętać, że Imperium w swej historii nieraz przeżywało kryzys i zawsze dawało sobie radę.

Czerwonolicy pokręcił jednak głową i powiedział:

— Tym razem nie chodzi o jeszcze jeden kryzys. Dzieje się coś znacznie gorszego. Sytuacja Imperium pogarszała się od pokoleń. Dziesięć lat panowania junty zniszczyło ekonomię. Od momentu

upadku rządu wojskowych i wybrania nowego imperatora Imperium jest tak słabe, że gubernatorzy Peryferiów nie muszą nic robić. Imperium załamie się pod własnym ciężarem.

— A posłuszeństwo wobec imperatora… — zaczął Krzywonosy.

— Jakie posłuszeństwo? — spytał Czerwonolicy. — Całymi latami po zamordowaniu Cleona dawaliśmy sobie radę bez imperatora i jakoś to nikomu nie przeszkadzało. A ten nowy imperator jest tylko figurantem. Nic nie potrafi zrobić. Zresztą nikt nic nie może zrobić. To nie jest kryzys. To jest koniec.

Dwaj pozostali wpatrywali się w Czerwonolicego, marszcząc brwi. Łysy stwierdził:

— Ty naprawdę w to wierzysz! Myślisz, że rząd będzie po prostu siedział i pozwoli, by to wszystko się wydarzyło?

— Tak! Podobnie jak wy uwierzą w to, co się dzieje, dopiero wtedy, gdy będzie za późno.

— A co byś chciał, żeby zrobili? — spytał Łysy.

Czerwonolicy wpatrywał się w galaktograf, jakby w nim mógł znaleźć odpowiedź.

— Nie wiem. W odpowiednim czasie umrę, a do tej pory nie będzie jeszcze tak źle. Potem, kiedy sytuacja się pogorszy, niech się martwią inni. Mnie już nie będzie. Nie będzie też starych dobrych czasów. Może już nigdy nie wrócą. A tak nawiasem mówiąc, nie ja jeden tak uważam. Słyszeliście kiedyś o człowieku, który nazywa się Hari Seldon?

— Jasne — odparł natychmiast Krzywonosy. — Czy to nie on był Pierwszym Ministrem za panowania Cleona?

— Tak — rzekł Czerwonolicy. — To jakiś naukowiec. Słyszałem, jak przemawiał kilka miesięcy temu. Miło się było przekonać, że nie tylko ja uważam, że Imperium się rozpada. Powiedział…

— I powiedział, że wszystko zejdzie na psy i nastaną mroczne czasy — przerwał mu Łysy.

— Cóż, nie — odparł Czerwonolicy. — On jest jednym z tych naprawdę ostrożnych ludzi. Powiada, że to się może wydarzyć, ale myli się. To się wydarzy.

Helikończyk usłyszał dość. Pokuśtykał do stołu, przy którym siedzieli mężczyźni, i dotknął ramienia Czerwonolicego.

— Czy mógłbym porozmawiać z panem przez chwilę? — spytał. Zdumiony Czerwonolicy popatrzył w górę i zapytał:

— Zaraz, czy pan nie jest tym profesorem Seldonem?

— Zawsze nim byłem — oświadczył Hari. Podał mężczyźnie płytkę identyfikacyjną ze zdjęciem. — Chciałbym spotkać się z panem tu, w moim biurze, pojutrze o czwartej. Będzie pan mógł przyjść?

— Muszę pracować.

— Powie pan, że jest chory, jeśli będzie pan musiał. To ważne.

— Cóż… nie jestem pewien, proszę pana.

— Niech pan przyjdzie — rzekł Seldon. — Gdyby miał pan z tego powodu jakieś kłopoty, pomogę panu. A tymczasem, czy pozwolą panowie, że przez chwilę zajmę się symulacją Galaktyki? Dawno już tego nie robiłem.

Mężczyźni bez słowa skinęli głowami; widać było, że są zmieszani obecnością byłego Pierwszego Ministra. Jeden po drugim odsunęli się, umożliwiając Seldonowi dostęp do galaktografu.

Helikończyk wyciągnął palec i dotknął zespołu sterowania. Zniknęła czerwień, którą zaznaczono Prowincję Anakreon. Galaktyka była połyskującą, jaśniejącą w środku mgławicą spiralną, za którą znajdowała się czarna dziura.

Oczywiście, nie można było odróżnić poszczególnych gwiazd, dopóki nie zostały powiększone, ale wtedy na ekranie widniał tylko ten czy inny fragment Galaktyki, a Seldon chciał zobaczyć całość — chciał popatrzeć na znikające Imperium.

Nacisnął przełącznik i na obrazie Galaktyki pojawiło się wiele żółtych punktów. Przedstawiały dwadzieścia pięć milionów zamieszkanych planet. Można było rozróżnić poszczególne punkty w rzadkiej mgle symbolizującej obrzeża Galaktyki, ale im bliżej centrum, tym gęściej były rozmieszczone. Centrum otaczała już niemal jednolita żółta obręcz; poszczególne punkty widoczne były dopiero w powiększeniu. Samo centralne światło pozostawało białe i oczywiście nie oznaczone. W obszarze turbulentnej energii rdzenia Galaktyki nie mogły istnieć żadne zamieszkane planety.

Pomimo wielkiego zagęszczenia żółci żadna z dziesięciu tysięcy znanych Seldonowi gwiazd nie miała okrążającej ją zamieszkanej planety.

Było tak, chociaż ludzkość starała się kształtować planety i przystosowywać je do zamieszkania. Pomimo terraformowania światów i zmieniania ich w środowiska przyjazne człowiekowi nie na wszystkich planetach można się było wygodnie poruszać bez skafandra ochronnego.

Seldon wyłączył inny przełącznik. Żółte punkty zniknęły, ale jeden maleńki region jaśniał niebieskawo: Trantor i różne światy bezpośrednio z nim związane. Położone możliwie blisko centrum, a mimo to pozostające w dostatecznej odległości od linii, której przekroczenie grozi śmiercią. Powszechnie uważano, że światy te znajdują się w „centrum Galaktyki”, choć oczywiście tak nie było. Jak zwykle, ogromne wrażenie robiły nieznaczne rozmiary Trantora, maleńkiego miejsca w wielkim królestwie Galaktyki, a zarazem największego skupiska bogactw, kultury i ośrodków rządowych, jakie kiedykolwiek widziała ludzkość.

I nawet to było skazane na zagładę.

Wydawało się, że mężczyźni potrafią czytać w myślach Seldona, choć może tylko trafnie zinterpretowali jego smutną minę.

— Czy Imperium naprawdę ulegnie zagładzie? — spytał cicho Łysy.

— Być może. Być może — odpowiedział jeszcze ciszej Seldon. — Wszystko się może zdarzyć.

Hari wstał, uśmiechnął się do mężczyzn i wyszedł, ale w głębi duszy aż krzyczał: Tak się stanie! Tak się stanie!

2

Seldon westchnął, wsiadając do jednego z poduszkowców stojących w szeregu w wielkiej niszy. Bywały takie czasy, zaledwie kilka lat temu, gdy chlubił się, że może maszerować szybko nie kończącymi się korytarzami biblioteki. Powtarzał sobie wtedy, że choć jest po sześćdziesiątce, da sobie radę.

Jednak teraz, w wieku siedemdziesięciu lat, jego nogi męczyły się zbyt szybko i musiał korzystać z poduszkowców. Młodsi ludzie używali ich ciągle, gdyż pojazdy oszczędzały im problemów, ale Seldon robił to, bo musiał… a to wielka różnica.

Wystukał na komputerze pokładowym miejsce, do którego chciał się udać, włączył starter i poduszkowiec uniósł się o kilka cali nad podłogę. Ruszył jak zwykle bardzo spokojnie i cicho, a Helikończyk oparł się wygodnie i obserwował ściany korytarzy, inne pojazdy oraz przypadkowych przechodniów.

Minął kilku bibliotekarzy i nawet po tylu latach wciąż uśmiechał się, gdy ich widział. Należeli do najstarszego bractwa w Imperium, bractwa o najbardziej szanowanych tradycjach, którego członkowie z uporem zachowywali się w sposób odpowiedni przed setkami, a może i tysiącami lat.

Nosili jedwabne odzienie koloru złamanej bieli. Było tak luźne, że wręcz przypominało togę, spięte pod szyją i spływające falami w dół. Jeśli chodzi o mężczyzn, na Trantorze — tak samo jak na większości światów — jedni golili zarost, a inni nie. W większości sektorów Trantora mężczyźni byli starannie ogoleni, a z tego, co Seldon wiedział, było tak od dawna. Wyjątek stanowiły takie anomalie jak wąsy, które nosili Dahlijczycy, w tym jego przybrany syn Raych.

Jednak bibliotekarze od bardzo dawna nosili brody. Każdy z nich miał dość krótką, schludną brodę od ucha do ucha, przy czym górna warga była ogolona. To wystarczało, by odróżniali się od innych, a starannie ogolony Seldon czuł się nieco niezręcznie w tłumie pracowników biblioteki.

Właściwie najbardziej charakterystyczna była czapka, którą miał każdy z nich. (Pewnie nie zdejmują jej nawet podczas snu, pomyślał Seldon.) Kwadratowa, uszyta była z welwetu, a jej cztery części schodziły się u góry, zwieńczone pomponem. Występowały w mnóstwie kolorów, a każdy z nich miał znaczenie. Jeśli znało się obowiązujący system, łatwo było powiedzieć, jak długo bibliotekarz pracuje w zawodzie, w jakiej dziedzinie jest specjalistą, jaką ma pozycję towarzyską i tak dalej. Czapki pomagały ustalić hierarchię. Każdy bibliotekarz potrafił od razu stwierdzić, czy ma czuć respekt (i jak głęboki), czy też ma nad kimś przewagę (i jak wielką).

Biblioteka Galaktyczna była największą pojedynczą budowlą na Trantorze (a może i w całej Galaktyce), znacznie większą niż Pałac Imperialny, a niegdyś jaśniała, jakby chwaliła się swą wielkością i potęgą. Teraz jednak, tak jak i całego Imperium, jej piękno wyblakło i przeminęło. Przypominała starą wdowę, która wciąż nosi klejnoty swojej młodości, ale na pomarszczonym ciele.

Poduszkowiec zatrzymał się przed ozdobnymi drzwiami biura Naczelnego Bibliotekarza. Seldon wysiadł.

Las Zenow uśmiechnął się, witając gościa.

— Witaj, przyjacielu — powiedział wysokim głosem. (Helikończyk zastanawiał się, czy za młodych lat Zenow śpiewał tenorem, ale nigdy nie śmiał zapytać go o to. Naczelny Bibliotekarz był zawsze chodzącą godnością, więc pytanie to mogłoby być niestosowne.)

— Uszanowanie — rzekł Seldon.

Zenow miał niemal siwą brodę, a jego czapka była nieskazitelnie biała. Biel oznaczała najwyższy stopień w hierarchii. Naczelny Bibliotekarz zatarł dłonie wyraźnie zadowolony.

— Poprosiłem cię, Hari, bo mam dla ciebie dobre wieści. Znaleźliśmy to!

— Las, co masz na myśli, mówiąc „to”?

— Odpowiedni świat. Od dawna go szukałeś. Myślę, że znaleźliśmy idealny. — Uśmiechnął się szeroko. — Wystarczy, Hari, że zdasz się na bibliotekarzy. Potrafimy znaleźć wszystko.

— Nigdy w to nie wątpiłem, Las. Powiedz mi, co to za świat.

— Pozwól, że najpierw pokażę ci, gdzie się znajduje.

Część ściany rozsunęła się, światła w pokoju przygasły i ukazał się trójwymiarowy obraz obracającej się powoli Galaktyki. Tak jak poprzednio czerwonymi liniami oznaczono Prowincję Anakreon, Seldon przysiągłby więc niemal, że epizod z trzema mężczyznami był tylko próbą przedstawienia, które tutaj zobaczył. Następnie w odległym krańcu prowincji pojawił się jasnoniebieski punkt.

— Właśnie to chciałem ci pokazać — oświadczył Zenow. — To idealny świat. Ma odpowiednie rozmiary, pod dostatkiem wody, atmosferę z wymaganą ilością tlenu i oczywiście roślinność. W jego morzach istnieje bogate życie. Wydaje się specjalnie stworzony do zasiedlenia. Nie wymaga terraformowania, przynajmniej do chwili, gdy zostanie zaludniony.

— Czy to nie zamieszkany świat? — spytał Seldon.

— Zupełnie nie zamieszkany. Nie ma na nim nikogo.

— Ale dlaczego, skoro ma tak dogodne warunki? Rozumiem, że skoro znasz te wszystkie szczegóły, musiał zostać zbadany. Dlaczego go nie skolonizowano?

— Został zbadany, ale tylko przez sondy bezzałogowe. Nie

skolonizowano go prawdopodobnie dlatego, że znajduje się tak daleko od wszystkiego. Ta planeta krąży dokoła pewnej gwiazdy, która leży dalej od centralnej czarnej dziury niż jakakolwiek inna nie zamieszkana planeta. Jak sądzę, zbyt daleko dla ewentualnych osiedleńców, ale pewnie nie za daleko dla ciebie. Sam powiedziałeś: „Im dalej, tym lepiej".

— Tak — rzekł Seldon, kiwając głową. — I wciąż tak twierdzę. Czy ta planeta ma nazwę, czy też oznaczona jest tylko kombinacją cyfr?

— Możesz wierzyć albo nie, ale ona ma nazwę. Ci, którzy wysłali tam sondę, nazwali ją Terminus. To archaiczne słowo oznacza „koniec drogi". I pewnie tak będzie.

— Czy ten świat jest częścią terytorium Prowincji Anakreon? — spytał Helikończyk.

— Niezupełnie — odparł Zenow. — Jeśli przyjrzysz się dokładnie czerwonej linii i otoczce, zauważysz, że niebieska plamka oznaczająca Terminus znajduje się tuż poza nimi… ściśle rzecz biorąc, o pięćdziesiąt lat świetlnych dalej. Terminus nie należy do nikogo; szczerze mówiąc, nie jest nawet częścią Imperium.

— W takim razie masz rację, Las. Istotnie wygląda na idealny świat, którego szukałem.

— Oczywiście — powiedział poważnie Zenow — sądzę, że kiedy zajmiesz Terminus, gubernator Anakreonu będzie utrzymywał, że podlega on jego jurysdykcji.

— Możliwe — stwierdził Seldon — ale tym problemem zajmiemy się dopiero wtedy, kiedy się pojawi.

Naczelny Bibliotekarz znów zacierał dłonie.

— Jaki to wspaniały pomysł. Rozpocząć olbrzymi projekt badawczy na całkiem nowym świecie, dalekim i zupełnie odizolowanym, by rok po roku, dziesięciolecie po dziesięcioleciu gromadzić dane do olbrzymiej encyklopedii obejmującej całą wiedzę, jaką posiada ludzkość. Będzie to skrót tego, co mamy w naszej bibliotece. Gdybym tylko był młodszy, chętnie przyłączyłbym się do tej ekspedycji.

— Jesteś prawie dwadzieścia lat młodszy ode mnie — powiedział ze smutkiem matematyk. (Prawie wszyscy są znacznie młodsi ode mnie, pomyślał z jeszcze większym smutkiem.)

— Tak, słyszałem, że właśnie skończyłeś siedemdziesiątkę — rzekł Zenow. — Mam nadzieję, że radośnie i godnie obchodziłeś urodziny.

Seldon drgnął.

— Nie obchodzę moich urodzin — odparł.

— Kiedyś obchodziłeś. Pamiętam sławną opowieść o twoich sześćdziesiątych urodzinach.

Helikończyk poczuł ból tak głęboki, jak gdyby ledwie dzień

wcześniej stracił najdroższą mu osobę.

— Proszę, nie mówmy o tym.

— Przepraszam — rzekł zmieszany Zenow. — Porozmawiajmy o czym innym. Jeśli Terminus jest rzeczywiście tym światem, którego szukałeś, to jak się domyślam, przyspieszysz prace nad założeniami Projektu Encyklopedii. Jak wiesz, pracownicy biblioteki chętnie pomogą ci we wszystkim.

— Wiem, Las, i jestem niezmiernie wdzięczny. Oczywiście, będziemy współpracować. — Seldon wstał. Nie potrafił się jeszcze uśmiechnąć, gdyż wspomnienie obchodów jego urodzin sprzed dziesięciu lat wywołało ostry ból w sercu. — Muszę już iść, by kontynuować moje prace — oświadczył.

Wyszedł z bolesną świadomością, że znowu kogoś okłamał. Las Zenow nie domyślał się nawet prawdziwych intencji Seldona.

3

Hari Seldon przyjrzał się dokładnie wygodnemu pomieszczeniu w Bibliotece Galaktycznej, które przez ostatnie kilka lat służyło mu za osobiste biuro. Podobnie jak w reszcie biblioteki, panowała w nim bliżej nieokreślona atmosfera upadku, pewien rodzaj znużenia — uczucie, jakiego doznajemy, przebywając zbyt długo w jednym miejscu. A przecież Seldon wiedział, że ta atmosfera pozostanie tu przez setki, a może nawet i tysiące lat.

Jak to się stało, że on tu przebywa?

Wielokrotnie myślał o upływie czasu i o tym, co się wydarzyło w jego życiu. Bez wątpienia takie myśli wiążą się ze starością. Tak wiele odeszło już w przeszłość, a tak mało mogło się wydarzyć w nadchodzących latach, że sam umysł odwracał się od mglistej przyszłości, by kontemplować bezpiecznie dawne zdarzenia.

Ale w jego wypadku zaszła pewna zmiana. Przez ponad trzydzieści lat psychohistoria rozwinęła się tak bardzo, iż można było powiedzieć, że „wyszła na prostą". Postęp był powolny, ale nieprzerwany. Aż nagle sześć lat temu nastąpił gwałtowny i zupełnie nieoczekiwany zwrot. Seldon wiedział doskonale, jak to się stało, jak łańcuch powiązanych ze sobą wydarzeń to umożliwił.

Oczywiście, wszystko zaczęło się od Wandy, jego wnuczki. Hari zamknął oczy i usadowił się w fotelu, by przypomnieć sobie zdarzenia sprzed sześciu lat.

Dwunastoletnia wtedy Wanda czuła się bardzo samotna. Jej matka Manella urodziła drugie dziecko, małą Bellis, i od tej pory maleństwo zajmowało jej cały czas.

Ojciec Wandy Raych ukończył książkę o rodzimym Sektorze Dahl, która stała się małym sukcesem, i został znaną osobą. Proszono go o wygłaszanie odczytów na ten temat, on zaś ochoczo przyjmował propozycje, gdyż temat ten bardzo go absorbował. Powiedział nawet do Seldona z uśmiechem: „Kiedy opowiadam o Dahlu, nie muszę ukrywać mojego dahlijskiego akcentu. Prawdę mówiąc, słuchacze oczekują, że będę go używał".

Ale w rezultacie Raych przebywał często poza domem, a kiedy nawet był w nim, chciał widzieć młodsze z dzieci.

Jeśli chodzi o Dors — Dors odeszła. Dla Hardego Seldona ta rana była wciąż świeża i bolesna. Reagował na nią dość niefortunnie. To sen Wandy pociągnął za sobą lawinę wydarzeń, które zakończyły się utratą Dors.

Helikończyk dobrze wiedział, że Wanda nie miała z tym nic wspólnego, a jednak stronił od jej towarzystwa. Dlatego również on nie potrafił pomóc małej przezwyciężyć kryzysu spowodowanego

narodzinami nowego dziecka.

Niepocieszona Wanda wędrowała do jedynej osoby, którą najwyraźniej radowało jej towarzystwo, osoby, na którą zawsze mogła liczyć. Tą osobą był Yugo Amaryl, drugi po Harim Seldonie człowiek, który przyczynił się do rozwoju psychohistorii, ale pierwszy, który pracował na jej rzecz dwadzieścia cztery godziny na dobę. Hari miał Dors i Raycha, ale dla Yugo psychohistoria stanowiła całe życie; nie miał żony ani dzieci. Kiedy więc Wanda pojawiała się w jego pracowni, gdzieś w głębi duszy myślał o niej jak o własnym dziecku i rozumiał niejasno, choćby tylko przez chwilę, co stracił. Ten ból koił, okazując dziecku tyle uczucia, na ile było go stać. Nie wiedząc, jak się zachować, traktował małą jak dorosłego, tyle że mniejszych rozmiarów. Wandzie to się najwyraźniej podobało.

Właśnie sześć lat temu Wanda zawędrowała do biura Yugo. Amaryl popatrzył na dziewczynkę swymi sowimi oczami i jak zwykle, dopiero po chwili czy dwóch ją rozpoznał. A potem powiedział:

— O proszę, moja droga przyjaciółka Wanda. Ale dlaczego masz taką smutną minę? Z pewnością taka atrakcyjna młoda kobieta jak ty nigdy nie powinna być smutna.

— Nikt mnie nie kocha — odparła Wanda; jej usta drżały.

— Daj spokój, to nieprawda.

— Oni kochają tylko nowe dziecko. O mnie już w ogóle nie dbają.

— Ja cię kocham, Wando.

— W takim razie tylko ty mnie kochasz, wujku. — I choć nie mogła już wdrapać się na kolana Yugo, jak to robiła, gdy była dzieckiem, położyła głowę na jego ramieniu i zapłakała.

Amaryl, nie wiedząc zupełnie, jak się powinien zachować, jedynie objął dziewczynkę i powiedział:

— Nie płacz. Nie płacz. — A z czystej sympatii i dlatego, że sam miał tak mało prywatnego życia, nad którym mógłby zapłakać, po jego policzkach również popłynęły łzy. W nagłym przypływie energii spytał: — Chcesz zobaczyć coś ładnego, Wando?

— Co? — wychlipała.

Amaryl znał tylko jedną rzecz w życiu i we wszechświecie, którą uważał za ładną, zapytał więc:

— Widziałaś kiedyś Pierwszy Radiant?

— Nie. A co to takiego?

— Ja i twój dziadek używamy go w naszej pracy. Widzisz? Jest tutaj. Wskazał czarny sześcian leżący na jego biurku, a Wanda popatrzyła na niego z nieszczęśliwą miną.

— Nie jest ładny — oświadczyła.

— W tej chwili — zgodził się. — Ale tylko popatrz, kiedy go włączę. Uruchomił urządzenie. Pokój pociemniał, po czym wypełnił się kropkami światła i różnokolorowymi błyskami.

— Widzisz? Teraz możemy to powiększyć, a wtedy wszystkie kropki staną się symbolami matematycznymi.

Zrobił to, co zapowiedział. Wydawało się, że dane biegną ku nim. W powietrzu wirowały wszelkiego typu znaki: litery, liczby, strzałki i kształty, jakich dziewczynka nigdy przedtem nie widziała.

— Czy to nie jest ładne? — spytał.

— Jest — odparła Wanda, wpatrując się uważnie w równania, które (czego nie wiedziała) przedstawiały przyszłość. — Ale ta część mi się nie podoba. Myślę, że jest zła. — Wskazała kolorowe równanie po lewej strome.

— Zła? Dlaczego mówisz, że jest zła? — spytał Amaryl, marszcząc brwi.

— Bo nie jest… ładna. Ja ułożyłabym ją inaczej. Matematyk przełknął ślinę.

— No cóż, spróbuję to naprawić. — Zbliżył się do równania, o którym mówili, i zapatrzył się w nie jak sowa.

— Dziękuję bardzo, wujku Yugo, że pokazałeś mi swoje śliczne światła — powiedziała Wanda. — Może kiedyś zrozumiem, co oznaczają.

— Nie ma za co — oświadczył Amaryl. — Mam nadzieję, że czujesz się lepiej.

— Trochę lepiej, dziękuję. — Uśmiechnąwszy się nieznacznie, Wanda wyszła z pracowni.

Amaryl stał tam nieco urażony. Nie lubił, gdy ktokolwiek krytykował równania Pierwszego Radianta — nawet jeśli uwagę zrobiła dwunastoletnia dziewczynka, która nie mogła się na nim znać. A stojąc tam i wpatrując się w owo równanie, nie miał pojęcia, że właśnie rozpoczęła się rewolucja psychohistoryczna.

4

Tego popołudnia Amaryl wszedł do biura Hariego Seldona na Uniwersytecie Streelinga. Już samo to było niezwykłe, gdyż Yugo nigdy nie wychodził z własnej pracowni, nawet po to, by porozmawiać z kolegami na korytarzu.

— Hari, wydarzyło się coś bardzo dziwnego — oświadczył zaintrygowany drżącym głosem. — Coś szczególnego.

Seldon spojrzał na Amaryla bardzo zasmucony. Jego najbliższy przyjaciel miał zaledwie pięćdziesiąt trzy lata, ale wyglądał na znacznie starszego, był przygarbiony i tak zmęczony, że przypominał cień człowieka. Zmuszony, przeszedł badania lekarskie, a wszyscy lekarze mówili, że powinien porzucić na jakiś czas pracę (niektórzy twierdzili, że na zawsze) i odpocząć. Tylko to, utrzymywali, może poprawić stan jego zdrowia. W przeciwnym razie… Seldon pokręcił głową. „Zabierzcie mu jego pracę, a umrze jeszcze szybciej… i bardziej nieszczęśliwy. Nie mamy wyboru".

Nagle Helikończyk uświadomił sobie, że zatopiony w myślach, nie słyszy tego, co mówi Amaryl.

— Przepraszam cię, Yugo — powiedział. — Co innego zaprzątało moje myśli. Zacznij jeszcze raz.

— Mówię, że stało się coś bardzo dziwnego. Coś szczególnego.

— Co takiego, Yugo?

— Chodzi o Wandę. Przyszła zobaczyć się ze mną… była bardzo smutna.

— Dlaczego?

— Najwyraźniej z powodu nowego dziecka.

— Ach tak — rzekł Hari, a w jego głosie słychać było poczucie winy.

— Mówiła o tym i płakała na moim ramieniu. Właściwie ja też trochę popłakałem. I wtedy pomyślałem, że rozweselę ją, pokazując jej Pierwszy Radiant. — Tu Amaryl zawahał się, jakby starannie szukał dalszych słów.

— Mów dalej, Yugo. Co się stało?

— No cóż, przyglądała się wszystkim światłom, więc powiększyłem jeden fragment, dokładniej sekcję 42R254. Znasz ją?

Seldon uśmiechnął się.

— Nie, Yugo. Nie uczyłem się równań na pamięć tak jak ty.

— A powinieneś — oświadczył poważnie Amaryl. — Jak możesz dobrze pracować, jeśli… Nieważne. Chcę ci powiedzieć, że Wanda wskazała fragment równania i powiedziała, że jest niedobry. A dokładnie powiedziała, że nie jest ładny.

— Co z tego? Wszyscy mamy swoje upodobania.

— Tak, oczywiście, ale rozmyślałem nad tym i spędziłem nieco czasu, raz jeszcze sprawdzając, co się da. I wiesz co, Hari? Rzeczywiście coś tam nie pasuje. Równanie zaprogramowano nie dość dokładnie i to miejsce, właśnie to, które wskazała Wanda, nie było dobre. Rzeczywiście nie było ładne.

Seldon wyprostował się i zmarszczył brwi.

— Pozwól, że to podsumuję, Yugo. Mała wskazała na coś przypadkowo, powiedziała, że to nie jest dobre, i miała rację?

— Tak. Wskazała fragment, ale nie zrobiła tego przypadkowo; przeciwnie: całkiem rozmyślnie.

— Ależ to niemożliwe.

— A jednak tak było. Byłem przy tym.

— Nie mówię, że tak nie było. Mówię jedynie, że to zwykły zbieg okoliczności.

— Doprawdy? Sądzisz, że przy całej twojej wiedzy o psychohistorii mógłbyś rzucić okiem na nowy zbiór równań i powiedzieć mi, że jedno z nich jest niedobre?

— W takim razie, Yugo, jak to się stało, że wybrałeś akurat ten zbiór równań? Co sprawiło, że wybrałeś właśnie ten fragment, by go powiększyć?

Amaryl wzruszył ramionami.

— Właśnie to zrobiłem przypadkowo. Po prostu bawiłem się przyciskami.

— Ależ to nie mógł być przypadek — mruknął Seldon.

Na chwilę zatopił się w myślach, po czym zadał pytanie, które jeszcze dalej popchnęło rewolucję psychohistoryczną rozpoczętą przez Wandę.

— Yugo, czy już wcześniej miałeś jakieś podejrzenia wobec tych właśnie równań? Czy miałeś jakiś powód, by wierzyć, że coś jest z nimi nie w porządku?

Amaryl bawił się brzegiem kombinezonu; wyglądał na zażenowanego.

— Tak, myślę, że tak. Widzisz…

— Tylko myślisz, że tak było?

— Wiem, że tak było. Jakoś utkwiły mi w pamięci, kiedy je porządkowałem. No wiesz, to nowy zbiór, a moje palce pewnie ześliznęły się z programatora. Wtedy wydawało mi się, że wszystko jest w porządku, ale chyba podświadomie przejmowałem się nimi. Pamiętam, że myślałem, że wyglądają źle, ale miałem inne sprawy do załatwienia i zostawiłem je w spokoju. Kiedy jednak Wanda przypadkowo wskazała dokładnie to miejsce, o które się martwiłem, postanowiłem je sprawdzić. W przeciwnym razie dałbym sobie spokój, uważając, że dziecko powiedziało coś ot tak sobie.

— I wybrałeś właśnie ten fragment równań, by pokazać je

Wandzie. Zupełnie jakby dręczyły twoją podświadomość.

— Kto to wie? — powiedział Amaryl, wzruszając ramionami.

— A tuż przedtem byliście blisko siebie, obejmowaliście się i płakaliście?

Amaryl znów wzruszył ramionami; wyglądał na jeszcze bardziej zażenowanego.

— Myślę, że wiem, co się stało, Yugo — rzekł Seldon. — Wanda odczytała twoje myśli.

Amaryl podskoczył, jakby go uderzono.

— Ależ to niemożliwe! Helikończyk powiedział powoli:

— Kiedyś znałem kogoś, kto miał niezwykłe zdolności tego rodzaju — tu pomyślał ze smutkiem o Eto Demerzelu czy, jak go sekretnie nazywał, Daneelu — tyle że on był kimś więcej niż człowiekiem. Jednak jego dar czytania ludziom w myślach, wyczuwania ich nastrojów i nakłaniania ich do określonych zachowań był umysłowy. Być może Wanda ma takie same umiejętności.

— Nie mogę w to uwierzyć — powtórzył z uporem Amaryl.

— Ja mogę — powiedział Seldon — ale nie wiem, co z tym począć. Czuł niewyraźnie, że zaczyna się rewolucja w badaniach psychohistorycznych… ale tylko niewyraźnie.

5

— Tato — powiedział nieco zatroskany Raych — wyglądasz na zmęczonego.

— Zapewne — rzekł Hari Seldon. — Czuję się zmęczony. A jak ty się czujesz?

Raych miał czterdzieści cztery lata i włosy zaczynały mu już siwieć, ale jego wąsy wciąż były gęste i czarne jak wąsy każdego Dahlijczyka. Seldon zastanawiał się, czy Raych je farbuje, ale nie mógł zadać tak niestosownego pytania.

— Masz przerwę w spotkaniach? — spytał.

— Tak, krótką. I cieszę się, że jestem w domu, widzę dziecko, Manellę i Wandę, no i ciebie, tato.

— Dziękuję. Chcę ci coś zakomunikować, Raych. Nie będzie już odczytów. Jesteś mi potrzebny tutaj.

Raych zmarszczył brwi.

— W jakim celu?

Dwukrotnie wyjeżdżał w delikatnej misji, ale było to dawno temu, gdy zagrożeniem stali się joranumici. O ile wiedział, po odsunięciu junty od władzy i przywróceniu rządów imperatora panował spokój.

— Chodzi o Wandę — oznajmił Seldon.

— O Wandę? Czy coś jej się stało?

— Nie, ale zamierzamy sporządzić pełen genom jej, twój, Manelli, a być może również małego dziecka.

— Bellis także? O co tu chodzi? Seldon zawahał się.

— Wiesz, że oboje z matką zawsze uważaliśmy, że masz dar wyzwalania pozytywnych uczuć, coś, co wzbudza czułość i zaufanie.

— Wiem, że tak uważacie. Powtarzałeś to wielokrotnie, kiedy usiłowałeś zachęcić mnie do wykonania trudnego zadania. Ale powiem ci szczerze, że ja nigdy nie czułem czegoś takiego.

— Nie, wzbudziłeś zaufanie moje i… Dors. (Tak trudno mu było wymawiać jej imię, choć upłynęły już cztery lata od jej zniszczenia.) Wzbudziłeś zaufanie Rashelle z Wye, a także Jo-Jo Joranum i Manelli. Jak tego dokonałeś?

— Inteligencją i urokiem osobistym — odparł Raych, szczerząc zęby w uśmiechu.

— A nie przyszło ci do głowy, że miałeś kontakt z ich… naszymi… umysłami?

— Nie, nigdy nie przeszło mi to przez myśl. A teraz, kiedy to powiedziałeś, myślę, że to śmieszne… Z całym szacunkiem, tato.

— A co powiesz na to, że Wanda najprawdopodobniej odczytała myśli Yugo w chwili jego słabości?

— Że to przypadek albo wyobraźnia.

— Raych, znałem kiedyś kogoś, kto panował nad umysłami ludzi tak łatwo, jak my obaj nad konwersacją.

— Kto to był?

— Nie mogę o nim mówić. Uwierz mi na słowo.

— No cóż… — powiedział z powątpiewaniem Raych.

— Byłem w Bibliotece Galaktycznej i sprawdziłem dane na ten temat. Jest pewna ciekawa historia dotycząca tego tematu, ma prawie dwadzieścia tysięcy lat, a tym samym nawiązuje do odległych początków podróży nadprzestrzennych. Dotyczy młodej kobiety, niewiele starszej od Wandy, która potrafiła nawiązać kontakt z całą planetą okrążającą słońce zwane Nemezis.

— To zapewne bajka.

— Zapewne. A przy tym niekompletna. Jednak podobieństwo tamtej kobiety i Wandy jest zdumiewające.

— Tato, co ty planujesz? — spytał Raych.

— Nie jestem pewien, Raych. Muszę poznać genom i znaleźć innych ludzi takich jak Wanda. Myślę, że od czasu do czasu rodzą się ludzie obdarzeni takimi zdolnościami umysłowymi, ale to najczęściej wpędza ich tylko w kłopoty, więc uczą się je ukrywać. A kiedy dorastają, te zdolności i talent są głęboko ukryte w ich umysłach, jakby w pewnym sensie podświadomie bronili się przed sobą. Z pewnością w Imperium, a może nawet pośród czterdziestu miliardów obywateli Trantora musi być więcej osób takich jak Wanda. Gdybym więc znał potrzebny mi genom, mógłbym zrobić im testy.

— I co byś z nimi zrobił, gdybyś ich znalazł?

— Mam przeczucie, że to właśnie oni są mi potrzebni, by dalej rozwijać psychohistorię.

— A Wanda jest pierwszą taką osobą i zamierzasz uczynić z niej psychohistoryka?

— Być może.

— Takiego jak Yugo… O nie, tato!

— Dlaczego?

— Ponieważ chcę, żeby dorastała jak normalna dziewczynka i stała się normalną kobietą. Nie pozwolę, żebyś posadził ją przed Pierwszym Radiantem i zamienił w żyjący pomnik psychohistorycznej matematyki.

— Wcale nie musi do tego dojść, Raych, ale musimy mieć jej genom. Wiesz, że od tysięcy lat sugerowano, że każdy człowiek ma zapis swojego genomu. Tylko ze względu na koszty jego badania nie są powszechnie stosowane, bo nikt nie wątpi w ich użyteczność. Ty na pewno widzisz wypływające z nich korzyści. Przynajmniej poznasz skłonności Wandy do różnych zaburzeń fizjologicznych. Jestem pewien, że gdybyśmy znali genom Yugo, to teraz by nie umierał. Tyle chyba możemy zrobić.

— Być może, tato, ale nic więcej. Mogę się założyć, że Manella będzie w tej sprawie o wiele bardziej stanowcza niż ja.

— No dobrze — odparł Seldon. — Ale pamiętaj, nie wyjeżdżaj z prelekcjami. Jesteś mi potrzebny tu, w domu.

— Zobaczymy — powiedział Raych i wyszedł.

Zakłopotany Seldon został sam. Eto Demerzel, jedyna osoba, która potrafiła manipulować umysłami innych ludzi, wiedziałby, co zrobić. Dors, ze swoją nadludzką wiedzą, też by pewnie wiedziała. On sam miał jedynie mglistą wizję nowej psychohistorii — ale nic poza tym.

6

Uzyskanie genomu Wandy nie było łatwym zadaniem. Po pierwsze, niewielu biofizyków miało odpowiednie laboratoria, a ci, którzy nimi dysponowali, byli wiecznie zajęci. Seldon nie mógł też otwarcie rozmawiać z biofizykami, by ich zainteresować. Czuł, że prawdziwe powody jego zainteresowania umysłowymi zdolnościami Wandy należy koniecznie utrzymać w tajemnicy przed całą Galaktyką. A jakby nie dość było tych kłopotów, badania okazały się piekielnie kosztowne.

Seldon pokręcił głową i zapytał Miana Endeleckiego, biofizyka, z którym się konsultował:

— Dlaczego to jest takie kosztowne, doktorze Endelecki? Nie jestem ekspertem w tej dziedzinie, ale wiem, że proces jest całkowicie skomputeryzowany, a do otrzymania analizy genomu i przeprowadzenia badań w ciągu kilku dni potrzebne są jedynie wycinki skóry.

— To prawda. Nie wystarczy jednak, profesorze Seldon, wyizolować spośród miliardów nukleotydów cząsteczkę DNA tak, by wszystkie pierścienie purynowe i pirymidynowe znajdowały się na odpowiednich miejscach. Każdą z nich należy dokładnie przebadać i porównać z odpowiednim wzorcem. Proszę wziąć pod uwagę, że chociaż mamy rejestry kompletnych genomów, stanowią one jedynie maleńki ułamek wszystkich istniejących genomów, dlatego tak naprawdę nie wiemy, czy możemy traktować je jako wzorcowe.

— Dlaczego mamy ich tak mało? — spytał Helikończyk.

— Powodów jest wiele. Podstawowym problemem są koszty. Tylko niewielu ludzi chce wydawać kredyty na badania, jeśli nie mają uzasadnionych powodów, by myśleć, że ich genom może być uszkodzony. Jeśli zaś nie mają takich podstaw, niechętnie poddają się analizom z obawy, że dowiedzą się czegoś złego. Czy pan naprawdę chce, byśmy wykonali badania genomu pańskiej wnuczki?

— Tak. To dla mnie strasznie ważne.

— Dlaczego? Czy coś wskazuje, że ma zaburzenia metaboliczne?

— Nie. Raczej przeciwnie. Uważam, że jest niezwykłą osobą, i chcę się dowiedzieć, co sprawia, że jest taka.

— W jakim sensie niezwykłą?

— Chodzi ojej umysł, ale niestety nie mogę mówić o tym szczegółowo, gdyż sam nie całkiem wszystko rozumiem. Może zrozumiem, kiedy przeprowadzimy badanie jej genomu.

— Ile ona ma lat?

— Dwanaście. Wkrótce będzie miała trzynaście.

— W takim razie będzie mi potrzebna zgoda jej rodziców. Seldon

przełknął ślinę.

— Z tym mogą być problemy. Czy moja zgoda nie wystarczy, skoro jestem jej dziadkiem?

— Mnie by wystarczyła. Rozumie pan jednak, że mówimy o prawie. Nie chcę stracić licencji i pozostać bez pracy.

Seldon musiał raz jeszcze przekonać Raycha. Nie było to łatwe, gdyż ten znów protestował, twierdząc, że i on, i Manella chcą, by Wanda żyła jak normalna dziewczynka. A co będzie, jeśli jej genom okaże się nienormalny? Czy zostanie zamknięta w odosobnieniu, gdzie będą ją kłuli i badali jak jakieś zwierzę laboratoryjne? Czy Hari, oddany fanatycznie Projektowi Psychohistorii, zmusi Wandę, by żyła jedynie pracą, nie da się jej bawić i odseparuje od młodych ludzi w jej wieku? Jednak Seldon nalegał.

— Zaufaj mi, Raych. Nigdy nie skrzywdziłbym Wandy. Ale te badania trzeba koniecznie wykonać. Muszę znać genom Wandy. Jeśli jest tak, jak podejrzewam, możemy stać w obliczu przełomu w psychohistorii, a może nawet zdołamy zmienić przyszłość całej Galaktyki!

Raych dał się wreszcie przekonać i w jakiś sposób uzyskał także zgodę Manelli. We troje zabrali Wandę do biura doktora Endeleckiego.

Mian Endelecki powitał ich w drzwiach. Pomimo całkiem siwych włosów wyglądał bardzo młodo. Popatrzył na dziewczynkę, na której twarzy widać było zaciekawienie, ale ani śladu strachu, a potem spojrzał na towarzyszących jej dorosłych.

— Matka, ojciec i dziadek, nie mylę się, prawda? — spytał, uśmiechając się.

— Nie myli się pan — odparł Seldon.

Raych miał ponurą minę, Manella zaś, której twarz była nieco spuchnięta, a oczy zaczerwienione, wyglądała na zmęczoną.

— A ty masz na imię Wanda, prawda?

— Tak, proszę pana — odpowiedziała cicho dziewczynka.

— Wyjaśnię ci dokładnie, co chcę zrobić. Jak sądzę, jesteś praworęczna?

— Tak, proszę pana.

— Dobrze. Spryskam środkiem znieczulającym mały skrawek twojego lewego przedramienia. Poczujesz tylko, jakby powiał chłodny wiatr. Tylko tyle. Potem pobiorę mały wycinek skóry… naprawdę maleńki. Nie poczujesz bólu, nie będzie krwi ani żadnego śladu. Kiedy skończę, spryskam to miejsce środkiem dezynfekującym. To wszystko zajmie jedynie kilka minut. Zgadzasz się?

— Jasne — powiedziała Wanda, wyciągając rękę.

Kiedy było już po wszystkim, doktor Endelecki oznajmił:

— Umieszczę wycinek pod mikroskopem, wybiorę odpowiednią komórkę i uruchomię mój komputerowy analizator genów. Zaznaczy

każdy nukleotyd, ale są ich miliardy, więc prawdopodobnie zajmie to większą część dnia. Oczywiście, wszystko jest skomputeryzowane, więc nie będę tu siedział i obserwował. Nie ma też sensu, by państwo tu pozostawali. Kiedy genom zostanie już przygotowany, jeszcze więcej czasu zabierze przeanalizowanie go. Otrzymanie kompletnych wyników może zabrać kilka tygodni. Dlatego jest to tak kosztowna procedura. Praca jest ciężka i wymaga dużo czasu. Zadzwonię do państwa, kiedy wszystko będzie gotowe. — Odwrócił się, jakby dawał do zrozumienia, że rodzina jest już wolna, i zajął się błyszczącymi przyrządami stojącymi na stole.

— Czy jeśli natknie się pan na coś niezwykłego, skontaktuje się pan ze mną natychmiast? — spytał Seldon. — Bardzo proszę, żeby nie czekał pan na kompletne wyniki, jeśli znajdzie pan coś już w pierwszej godzinie. Proszę nie kazać mi czekać.

— Szansa na znalezienie czegoś w pierwszej godzinie jest niewielka. Poza tym będziemy w kontakcie i obiecuję panu, profesorze Seldon, że jeśli to będzie konieczne, zawiadomię pana natychmiast.

Manella złapała Wandę za rękę i wyprowadziła ją triumfalnie. Raych poszedł za nimi, powłócząc nogami. Helikończyk pochylił się i powiedział:

— To jest ważniejsze, niż pan myśli, doktorze. Endelecki skinął głową i odparł:

— Bez względu na powody, profesorze, zrobię, co w mojej mocy. Seldon wyszedł, zaciskając mocno usta. Nie miał pojęcia, dlaczego sądził, że uda się sporządzić zapis genomu w ciągu pięciu minut, a rzuciwszy na niego okiem, w ciągu następnych pięciu otrzymać odpowiedź na dręczące go pytania. Teraz będzie musiał czekać wiele tygodni, nie wiedząc, co uda się znaleźć.

Zazgrzytał zębami. Czy jego najnowszy pomysł, Druga Fundacja, zostanie kiedyś zrealizowany, czy też jest złudzeniem i na zawsze pozostanie tylko w jego marzeniach?

7

Hari Seldon wszedł do biura doktora Endeleckiego, uśmiechając się nerwowo.

— Powiedział pan „kilka tygodni”, doktorze. A minął już miesiąc. Biofizyk skinął głową.

— Przykro mi, profesorze Seldon, ale chciał pan mieć bardzo dokładne wyniki, więc starałem się je uzyskać.

— No i co pan znalazł? — Z twarzy matematyka nie zniknął wyraz zaniepokojenia.

— Około setki uszkodzonych genów.

— Co takiego?! Uszkodzone geny? Mówi pan poważnie, doktorze?

— Całkiem poważnie. Zawsze tak postępuję. Nie ma genomów bez co najmniej stu uszkodzonych genów, a zazwyczaj jest ich znacznie więcej. Nie jest tak źle, jak pan myśli, rozumie pan?

— Nie, nie rozumiem. To pan jest ekspertem, doktorze, nie ja. Naukowiec westchnął, kręcąc się niespokojnie w fotelu.

— Nie zna się pan na genetyce, prawda, profesorze?

— Nie, nie znam się. Człowiek nie może znać się na wszystkim.

— Ma pan całkowitą rację. Ja nie znam się na… jak to pan nazywa… na pańskiej psychohistorii. — Wzruszył ramionami, po czym kontynuował: — Gdyby chciał pan wyjaśnić mi cokolwiek ze swojej dziedziny, musiałby pan zacząć od samego początku, a i tak pewnie nie zrozumiałbym nawet tego. Jeśli więc chodzi o genetykę…

— Tak?

— Uszkodzony gen zazwyczaj nie oznacza nic złego. Ale są uszkodzone geny tak niepełne i zarazem tak ważne, że powodują straszne zaburzenia. Zdarza się to jednak bardzo rzadko. Większość uszkodzonych genów po prostu przekazuje nie dość dokładną informację. Są podobne do niedokładnie wyważonych kół. Pojazd z takimi kołami będzie się trząsł, a mimo to posuwał się do przodu.

— Czy coś takiego dzieje się z Wandą?

— Tak. Mniej więcej. A poza tym, gdyby wszystkie geny były doskonałe, wyglądalibyśmy i zachowywali się tak samo. To właśnie różnica w genach sprawia, że ludzie różnią się między sobą.

— Ale czy z wiekiem sytuacja się nie pogarsza?

— Tak. W miarę starzenia pogarsza się stan zdrowia nas wszystkich. Kiedy pan wszedł, zauważyłem, że pan utyka. Dlaczego?

— Z powodu ischiasu — mruknął Seldon.

— Chorował pan na to przez całe życie?

— Skądże znowu.

— No widzi pan, z czasem niektóre pańskie geny zwyrodniały i teraz pan utyka.

— A co się stanie z czasem z Wandą?

— Nie wiem. Nie potrafię przewidzieć przyszłości, profesorze. Jak sądzę, tą dziedziną zajmuje się pan. Gdybym jednak miał zaryzykować prognozę, powiedziałbym, że Wandzie nie przytrafi się nic szczególnego… przynajmniej jeśli chodzi o zmiany genetyczne. Zestarzeje się tylko.

— Jest pan pewien? — spytał Seldon.

— Ma pan na to moje słowo. Chciał pan wiedzieć, jak wygląda genom wnuczki, a to znaczy, że podjął pan ryzyko, że dowie się czegoś, o czym czasem lepiej nie wiedzieć. Powiem panu jednak, że nie sądzę, by przytrafiło się jej coś okropnego.

— Mówił pan o uszkodzonych genach. Czy możemy je naprawić? Potrafimy to zrobić?

— Nie. Po pierwsze, to by było bardzo kosztowne. Po drugie, nie wiadomo, czy przyniosłoby trwałe efekty. A poza tym ludzie są temu przeciwni.

— Dlaczego?

— Bo, generalnie rzecz biorąc, są przeciwni nauce. Pan, profesorze, powinien o tym dobrze wiedzieć. Obawiam się, że szczególnie od śmierci Cleona ludzie coraz bardziej skłaniają się ku mistycyzmowi. Nie wierzą, że dzięki nauce można naprawiać geny. Wolą raczej pokładać nadzieję w różnych bóstwach. Szczerze mówiąc, jest mi bardzo trudno kontynuować pracę. Otrzymuję bardzo niewielkie fundusze.

Seldon skinął głową.

— Naprawdę aż nadto dobrze rozumiem pańską sytuację. Psychohistoria wyjaśnia, dlaczego tak się dzieje, choć uczciwie przyznaję, że nie myślałem, że sytuacja pogorszy się tak szybko. Byłem zbyt zajęty pracą, żeby spostrzec piętrzące się wokół mnie trudności. — Westchnął. — Od ponad trzydziestu lat przyglądam się powolnemu rozpadowi Imperium Galaktycznego, a teraz, kiedy wszystko zaczyna się gwałtownie walić, nie wiem, jak moglibyśmy to powstrzymać.

— Próbuje pan tego dokonać? — Endelecki wyglądał na ubawionego.

— Tak, próbuję.

— Życzę wiele szczęścia… A jeśli chodzi o pański ischias, to pięćdziesiąt lat temu można by mu zapobiec. Teraz już nie.

— Dlaczego?

— No cóż, nie istnieją już odpowiednie urządzenia, a ludzie, którzy potrafili je obsługiwać, pracują nad czym innym. Widać wyraźny upadek medycyny.

— Tak jak i innych dziedzin — dorzucił Seldon. — Wróćmy jednak do Wandy. Czuję, że jest bardzo niezwykłą młodą osobą, a jej umysł różni się od umysłów większości jej rówieśników. Czy geny

mówią panu coś ojej mózgu?

Biofizyk usiadł wygodnie w fotelu.

— Profesorze Seldon, czy wie pan, ile genów bierze udział w funkcjonowaniu mózgu?

— Nie.

— Przypominam panu zatem, że jeśli chodzi o ciało człowieka, to funkcje mózgu są najbardziej złożone. Szczerze mówiąc, o ile wiemy, nie ma we wszechświecie rzeczy bardziej skomplikowanej niż ludzki mózg. Nie zdziwi się pan zatem, jeśli powiem, że w funkcjonowaniu mózgu odgrywają rolę tysiące genów.

— Tysiące?

— Tak. Nie można więc przyjrzeć się im wszystkim, by znaleźć coś niezwykłego. Jeśli chodzi o Wandę, wierzę panu na słowo. Jest niezwykłą i wybitnie inteligentną dziewczynką, ale jej geny nie mówią mi nic o jej mózgu… jest całkiem normalny.

— Czy mógłby pan znaleźć innych ludzi, których geny odpowiedzialne za funkcjonowanie mózgu są takie same jak u Wandy?

— Bardzo wątpię. Nawet gdyby mózg innej osoby przypominał jej mózg, to i tak byłaby pomiędzy nimi wielka różnica w genach. Nie ma sensu szukać podobieństw. Proszę mi powiedzieć, profesorze, dlaczego myśli pan, że mózg Wandy jest tak niezwykły?

Seldon pokręcił głową.

— Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić.

— W takim razie jestem pewien, że i ja nie mogę już nic dla pana zrobić. Jak odkrył pan, że mózg małej funkcjonuje w niezwykły sposób?

— Przypadkowo — mruknął Seldon. — To był czysty przypadek.

— Wobec tego również przypadkowo musi się pan natknąć na ludzi o takim mózgu jak jej. Nic więcej nie można zrobić.

Zapanowało milczenie, które w końcu przerwał Seldon.

— Czy ma mi pan jeszcze coś do powiedzenia?

— Obawiam się, że nie. Z wyjątkiem tego, że przyślę panu rachunek. Helikończyk wstał z trudem, gdyż ischias okropnie mu dokuczał.

— Cóż, bardzo panu dziękuję, doktorze. Proszę mi przysłać rachunek, a natychmiast go uregulуję.

Wyszedł z gabinetu lekarza, zastanawiając się, co teraz powinien zrobić.

8

Tak jak inni intelektualiści, Hari Seldon korzystał swobodnie z Biblioteki Galaktycznej. Najczęściej robił to za pomocą poczty elektronicznej, ale od czasu do czasu odwiedzał bibliotekę osobiście — bardziej po to, by uciec od kłopotów związanych z Projektem Psychohistorii, niż z innych względów. W ciągu kilku ostatnich lat, od kiedy postanowił odnaleźć ludzi podobnych do Wandy, miał na terenie biblioteki własne biuro, by móc nieprzerwanie korzystać z wszelkich danych zgromadzonych w jej olbrzymich zbiorach. Wynajął nawet małe mieszkanie w pobliskim sektorze, by móc chodzić do biblioteki, gdy ogrom badań nie pozwalał mu wrócić do Sektora Streelinga.

Wtedy też jego plan nabrał nowych wymiarów i Seldon zapragnął poznać Lasa Zenowa. Po raz pierwszy miał z nim stanąć twarzą w twarz.

Nie było łatwo zaaranżować prywatne spotkanie z Naczelnym Bibliotekarzem Biblioteki Galaktycznej. Zenow bardzo sobie cenił swoje biuro i często powiadano, że kiedy sam imperator chce zasięgnąć jego rady, musi osobiście przybyć do biblioteki i poczekać na swoją kolej.

Seldon pamiętał jednak, że nie miał kłopotów. Zenow znał go dobrze, choć nigdy się nie spotkali.

— To dla mnie zaszczyt, Pierwszy Ministrze — powiedział na powitanie.

Seldon uśmiechnął się.

— Pewnie pan wie, że już od szesnastu lat nie jestem na tym stanowisku.

— Splendor związany ze stanowiskiem wciąż do pana należy. A poza tym to dzięki panu uwolniono nas od okrutnych rządów junty, która wielokrotnie brutalnie łamała święte prawo neutralności biblioteki.

(Aha, pomyślał Seldon, to dlatego tak chętnie się ze mną spotkał.)

— To tylko plotki — powiedział.

— A teraz niech mi pan powie, w czym mogę mu pomóc? — spytał Zenow, który nie zdołał się powstrzymać, by nie spojrzeć na zegarek.

— Naczelny Bibliotekarzu — zaczai Seldon — nie przyszedłem prosić o coś łatwego do spełnienia. Chciałbym mieć więcej miejsca w bibliotece. Pragnę też uzyskać zezwolenie na sprowadzenie kilku moich współpracowników oraz przeprowadzenie długotrwałego i szczegółowego programu badawczego najwyższej wagi.

Na twarzy Zenowa pojawiła się zgryzota.

— Prosi pan o bardzo wiele. Czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego to jest takie ważne?

— Tak. Imperium się rozpada.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie, po czym Zenow rzekł:

— Słyszałem o pańskich badaniach nad psychohistorią. Mówiono mi, że ta nowa dziedzina nauki dość obiecująco wypowiada się na temat przewidywania przyszłości. Czy mówi pan właśnie o tych przepowiedniach?

— Nie. Nie osiągnąłem jeszcze takiego punktu, bym mógł ze stuprocentową pewnością przepowiadać przyszłość. Ale pan nie potrzebuje psychohistorii, by wiedzieć, że Imperium się rozpada. Sam pan zapewne widzi tego dowody.

Zenow westchnął.

— Profesorze Seldon, praca w bibliotece pochłania mnie całkowicie. Jeśli chodzi o politykę i zagadnienia społeczne, jestem jak dziecko.

— Może pan, jeśli tylko zechce, sprawdzić informacje gromadzone w zbiorach bibliotecznych. Jeśli rozejrzymy się choćby po biurze, w którym jesteśmy, znajdziemy mnóstwo najróżniejszych danych pochodzących z całego Imperium Galaktycznego.

— Obawiam się, że dowiaduję się o nich ostatni — powiedział Zenow, uśmiechając się smutno. — Zna pan to stare przysłowie: „Szewc bez butów chodzi”. Wydaje mi się jednak, że zaczęła się odnowa Imperium. Znów mamy imperatora.

— Tylko nominalnie, Naczelny Bibliotekarzu. W wielu odległych prowincjach słowo „imperator” jest wymieniane jedynie rytualnie, i to tylko od czasu do czasu, a on sam nie odgrywa takiej roli jak jego poprzednicy. Światy Zewnętrzne sprawują władzę według swoich programów, a co ważniejsze, kontrolują lokalne siły zbrojne pozostające poza zasięgiem władzy imperatora. Gdyby imperator zechciał narzucić swoją władzę gdziekolwiek poza Światami Wewnętrznymi, nie udałoby mu się tego dokonać. Sądzę, że nie upłynie nawet dwadzieścia lat, nim niektóre ze Światów Zewnętrznych ogłoszą niepodległość. Zenow westchnął raz jeszcze.

— Jeśli się pan nie myli, żyjemy w najgorszych czasach, jakie Imperium kiedykolwiek widziało. Ale co to ma wspólnego z pańską prośbą o zwiększenie powierzchni biurowej oraz zatrudnienie dodatkowych pracowników?

— Jeśli Imperium się rozpada, Biblioteki Galaktycznej może nie ominąć powszechna rzeź.

— Nie, to niemożliwe — zaprzeczył żarliwie Zenow. — Bywały już gorsze czasy, a zawsze rozumiano, że Biblioteka Galaktyczna na Trantorze, jako skarbnica wiedzy całej ludzkości, musi pozostać nietknięta. I tak też będzie w przyszłości.

— Może być inaczej. Sam pan powiedział, że junta pogwałciła neutralność biblioteki.

— Nie było to nic poważnego.

— Ale może się okazać poważniejsze następnym razem, a my nie możemy pozwolić, by ta skarbnica wiedzy całej ludzkości uległa zagładzie.

— A jak obecność pańskich ludzi zapobiegnie temu?

— Nie zapobiegnie. Ale zapobiegnie temu projekt, który chcę przeprowadzić. Chcę stworzyć wielką encyklopedię zawierającą wszelką wiedzę, jakiej będzie potrzebowała ludzkość, by odbudować społeczeństwa, gdyby stało się to, co najgorsze. Jeśli pan chce, możemy ją nazwać Encyklopedią Galaktyczną. Nie potrzebujemy wszystkich zbiorów, które zawiera biblioteka. Większość danych nie ma specjalnego znaczenia. Biblioteki prowincjonalne, rozsiane po całej Galaktyce, także mogą ulec zagładzie, a jeśli do tego nie dojdzie, i tak zawsze można uzyskać większość danych, łącząc się komputerowo z Biblioteką Galaktyczną. Zamierzam stworzyć zupełnie niezależny i możliwie najbardziej zwięzły zbiór informacji niezbędnych ludzkości.

— A jeśli i on zostanie zniszczony?

— Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Chcę znaleźć jakiś świat, daleko na peryferiach Galaktyki, gdzie będę mógł przenieść moich Encyklopedystów, jak ich nazywam, aby mogli spokojnie pracować. Dopóki nie znajdę takiego miejsca, chcę, by ludzie tworzący zawiązek tej grupy pracowali tu, wykorzystując urządzenia biblioteki. To oni zdecydują, jakie informacje będą przydatne dla celów projektu.

— Rozumiem pański punkt widzenia, profesorze Seldon — skrzywił się Zenow — nie jestem jednak pewien, czy to będzie możliwe.

— Dlaczego nie, Naczelny Bibliotekarzu?

— Bo nawet pozycja Naczelnego Bibliotekarza nie czyni mnie monarchą absolutnym. Mamy tu dość duży zarząd, będący swego rodzaju ciałem ustawodawczym, dlatego proszę nie myśleć, że sam mogę przeforsować Projekt Encyklopedii.

— Jestem zdumiony.

— Musi pan to zrozumieć. Nie jestem lubianym Naczelnym Bibliotekarzem. Zarząd już od wielu lat walczy o ograniczenie dostępu do zbiorów. Do tej pory opierałem się ich zakusom. Drażni ich nawet to, że udostępniłem panu małe biuro.

— Ograniczenie dostępu?

— Właśnie. Jeśli ktokolwiek będzie potrzebował informacji, będzie się musiał skontaktować z bibliotekarzem, a ten wyszuka mu je. Zarząd nie życzy sobie, by ludzie mieli wolny wstęp do biblioteki i by sami obsługiwali komputery. Członkowie zarządu twierdzą, że koszty utrzymania w dobrym stanie komputerów i innego sprzętu

stają się zbyt duże.

— Ależ to niemożliwe. Biblioteka Galaktyczna tradycyjnie od tysiącleci jest dostępna dla wszystkich.

— Owszem, ale w ostatnich latach kilkakrotnie okrojono budżet biblioteki i nie mamy już takich funduszy jak dawniej. Coraz trudniej nam utrzymać wyposażenie w odpowiednim stanie.

Seldon potarł podbródek.

— Jeżeli budżet jest okrajany, to jak rozumiem, powinniście zmniejszyć wynagrodzenia pracowników i zwolnić ludzi albo przynajmniej nie zatrudniać nowych.

— Ma pan rację.

— W takim razie jak zdołacie zrealizować nowe zadania, skoro pracowników będzie ubywało, a tych, którzy pozostaną, zasypie grad próśb o udzielenie informacji?

— Pomysł jest taki, że nie będziemy udzielać wszelkich informacji, o które zostaniemy poproszeni, a jedynie te, które sami uznamy za ważne.

— Wobec tego ograniczony zostanie nie tylko wolny wstęp do biblioteki, ale i dostęp do informacji.

— Obawiam się, że właśnie tak się stanie.

— Nie chce mi się wierzyć, by jakikolwiek bibliotekarz mógł tego pragnąć.

— Pan, profesorze Seldon, nie zna Gennaro Mummery'ego. — Dostrzegłszy zdumienie w oczach Seldona, Zenow dodał: — Zastanawia się pan, kto to? Jest przywódcą tej części zarządu, która pragnie zamknąć bibliotekę dla mas. Coraz więcej członków zarządu staje po jego stronie. Gdybym pozwolił, by pan i pańscy współpracownicy pracowali w bibliotece jako niezależna jednostka, wielu członków zarządu, którzy być może nie są po stronie Mummery'ego i którzy sprzeciwiają się, by jakikolwiek dział biblioteki podlegał kontroli, chyba że jest to kontrola ze strony samych bibliotekarzy, mogłoby go poprzeć. A wtedy zmuszono by mnie do rezygnacji ze stanowiska.

— Niech pan na to spojrzy z innej strony — powiedział Seldon w nagłym przypływie energii. — Już sam pomysł zamknięcia biblioteki, utrudnienia dostępu do zbiorów czy też odmowa udzielenia wszystkich informacji, że nie wspomnę o okrojeniu budżetu: wszystko to jest wyraźnym znakiem rozpadu Imperium. Zgadza się pan ze mną?

— Jeśli spojrzeć na to z tej strony, to może pan mieć rację.

— W takim razie proszę mi pozwolić porozmawiać z zarządem. Chciałbym wyjaśnić, co może przynieść przyszłość i co pragnę zrobić. Być może uda mi się ich przekonać, tak jak, mam nadzieję, przekonałem pana.

Zenow zastanawiał się chwilę.

— Proszę bardzo, niech pan spróbuje, musi pan jednak z góry wiedzieć, że to się może nie udać.

— Muszę przynajmniej spróbować. Proszę zrobić co w pańskiej mocy i dać mi znać, kiedy i gdzie będę się mógł spotkać z zarządem.

Seldon wyszedł od Zenowa w dość ponurym nastroju. Wszystko, co powiedział Naczelnemu Bibliotekarzowi, było prawdą, choć banalną. Prawdziwy powód jego zainteresowania biblioteką pozostał tajemnicą. Częściowo dlatego, że sam go jeszcze dokładnie nie znał.

9

Smutny Hari Seldon siedział cierpliwie przy łóżku Amaryla. Yugo był kompletnie wyczerpany. Na nic zdałaby się pomoc medyczna, nawet gdyby się zgodził, by mu jej udzielono; a on oczywiście odmówił.

Miał zaledwie pięćdziesiąt pięć lat. Seldon miał sześćdziesiąt sześć, a mimo to wciąż cieszył się stosunkowo dobrym zdrowiem. Dokuczał mu jedynie ischias, czy jak go tam zwą, i z tego powodu czasami utykał.

— Wciąż tu jesteś, Hari? — spytał Amaryl, otwierając oczy. Seldon skinął głową.

— Nie opuszczę cię.

— Dopóki nie umrę?

— Tak — odparł Hari, a następnie rzucił gniewnie: — Dlaczego to zrobiłeś, Yugo? Gdybyś żył rozważnie, miałbyś przed sobą jeszcze dwadzieścia albo trzydzieści lat.

Amaryl uśmiechnął się blado.

— Żyć rozważnie? Masz na myśli branie urlopu? Jeżdżenie na wczasy? Zabawianie się błahostkami?

— Tak. Tak.

— Albo tęskniłbym za pracą, albo polubiłbym to marnowanie czasu, tak więc te dwadzieścia lub trzydzieści lat, o których mówisz, nic by nie dało. Przyjrzyj się sobie.

— Co masz na myśli?

— Za panowania Cleona przez dziesięć lat byłeś Pierwszym Ministrem. Jak często zajmowałeś się wtedy nauką?

— Jedną czwartą czasu poświęcałem psychohistorii — powiedział łagodnie Seldon.

— Przesadzasz. Gdyby nie ja i moja praca w pocie czoła, nastąpiłby regres w badaniach psychohistorycznych.

Seldon skinął głową

— Masz rację, Yugo — przyznał. — Jestem ci za to wdzięczny.

— I przedtem, i teraz, gdy poświęcałeś połowę swego czasu na obowiązki administracyjne, kto się zajmował prawdziwą pracą? Co?

— Ty, Yugo.

— No właśnie. — Amaryl znów zamknął oczy.

— Ale przecież zawsze chciałeś przejąć te obowiązki administracyjne, gdybyś mnie przeżył.

— Nie! Pragnąłem stać na czele Projektu, by utrzymać odpowiedni kierunek badań. Wszelką administrację powierzyłbym komuś innemu.

Oddech Amaryla stał się rzężący, ale po chwili matematyk obrócił

się, otworzył oczy i spojrzał prosto na Hariego.

— Co się stanie z psychohistorią, gdy mnie zabraknie? Myślałeś o tym? — spytał.

— Tak, myślałem. I chcę z tobą o tym porozmawiać. Może to cię zadowoli. Yugo, wierzę, że psychohistorię można zrewolucjonizować.

Amaryl zmarszczył lekko brwi.

— Jak? Nie podoba mi się to słowo.

— Posłuchaj, przecież to twój pomysł. Wiele lat temu powiedziałeś mi, że powinny zostać ustanowione dwie Fundacje. Oddzielne, odizolowane od siebie i bezpieczne. Zaprojektowane tak, by ewentualnie mogły posłużyć jako zalążek Drugiego Imperium Galaktycznego. Pamiętasz? To był twój pomysł.

— Równania psychohistoryczne…

— Wiem. Sugerowały takie rozwiązanie. Jestem bardzo zajęty, gdyż właśnie nad tym pracuję. Udało mi się wycyganić biuro w Bibliotece Galaktycznej…

— Biblioteka Galaktyczna. — Amaryl jeszcze bardziej zmarszczył brwi. — Nie lubię ich. To banda zadowolonych z siebie idiotów.

— Naczelny Bibliotekarz, Las Zenow, nie jest taki zły, Yugo.

— Spotkałeś kiedykolwiek bibliotekarza o nazwisku Mummery, Gennaro Mummery?

— Nie, ale słyszałem o nim.

— To człowiek godny pożałowania. Posprzeczaliśmy się pewnego razu, gdy insynuował, że coś źle odłożyłem. Nic takiego nie zrobiłem, więc okropnie się wtedy zdenerwowałem. Nagle poczułem się tak, jakbym znów znalazł się w Dahlu. Jeśli chodzi o kulturę Dahla, tamtejszy język przypomina kloakę pełną inwektyw. Użyłem kilku, zwracając się do niego, i powiedziałem mu, że przeszkadza w rozwoju psychohistorii, więc zapisze się w dziejach jako wieśniak. Prawdę mówiąc, dodałem do tego jeszcze kilka epitetów. — Amaryl zachichotał cicho. — Pamiętam, że aż zaniemówił.

Nagle Seldon zrozumiał, skąd się wzięła niechęć Mummery'ego do obcych, a zwłaszcza do ludzi związanych z psychohistorią, ale nie skomentował tego ani słowem.

— Chodzi o to, Yugo, że chciałeś, by powstały dwie Fundacje. Gdyby jedna upadła, druga będzie się nadal rozwijała. Ale my poszliśmy dalej.

— W jakim sensie?

— Pamiętasz, jak dwa lata temu Wanda zdołała odczytać twoje myśli i zauważyła defekt części równania w Pierwszym Radiancie?

— Tak, oczywiście.

— Znajdziemy innych ludzi podobnych do niej. Założymy Fundację składającą się głównie z naukowców, którzy zachowają wiedzę dotyczącą ludzkości i posłużą jako zalążek Drugiego Imperium.

Ale będzie też Druga Fundacja złożona jedynie z psychohistoryków, wybitnie uzdolnionych intelektualistów, którzy będą potrafili pracować nad psychohistorią i zająć się wszelkimi jej aspektami. Rozwiną ją znacznie szybciej, niż mogliby to kiedykolwiek zrobić pojedynczy myśliciele. Będą grupą, która z czasem wprowadzi udoskonalenia. Będą zawsze w tle, śledząc rozwój nauki. Będą obrońcami Imperium.

— Wspaniale! — powiedział słabo Amaryl. — Wspaniale! Widzisz, wybrałem właściwą chwilę, by umrzeć. Nie zostało mi już nic do zrobienia.

— Nie mów tak, Yugo.

— Nie rób zamieszania z tego powodu. Jestem zbyt zmęczony, by cokolwiek zrobić. Dziękuję… dziękuję ci… że mi powiedziałeś — jego głos był coraz słabszy — o tej rewolucji. Sprawiła, że jestem szczęśliwy… szczęśliwy… szczę…

Tak brzmiały ostatnie słowa Amaryla.

Seldon pochylił się nad łóżkiem. Łzy napłynęły mu do oczu i pociekły po policzkach.

Odszedł jeszcze jeden stary przyjaciel. Najpierw Demerzel, Cleon, Dors, a teraz Yugo… Zostawił po sobie pustkę i samotność, w której on ma się starzeć.

A rewolucja, dzięki której Amaryl umarł szczęśliwy, może nigdy nie nadejść. Czy uda się mu wykorzystać zbiory Biblioteki Galaktycznej?

Czy znajdzie ludzi podobnych do Wandy? I najważniejsze, jak długo to potrwa?

Seldon miał sześćdziesiąt sześć lat. Gdyby tylko mógł zapoczątkować tę rewolucję w wieku trzydziestu dwóch, gdy przybył na Trantor…

Teraz mogło już być za późno.

10

Gennaro Mummery kazał mu czekać. Z rozmysłem postąpił tak nieuprzejmie, a nawet bezczelnie, lecz Hari Seldon zachował spokój.

Seldon bardzo potrzebował pomocy Mummery'ego, gdyby więc rozzłościł się na bibliotekarza, obróciłoby się to przeciwko niemu. Prawdę mówiąc, Mummery byłby zachwycony, gdyby Helikończyk wpadł w złość.

Tak więc Seldon starał się opanować i czekał, aż Mummery zechce wreszcie przyjść. Widział go już przedtem, ale tylko z oddali. Teraz po raz pierwszy mieli się spotkać osobiście.

Gennaro był niski i otyły, miał okrągłą twarz i ciemną małą brodę. Na jego twarzy gościł uśmiech, ale Seldon podejrzewał, że taki przyklejony uśmiech nie ma żadnego znaczenia. Odsłaniał jedynie żółtawe zęby, a nieodłączna czapka bibliotekarza miała podobny żółtawy odcień i brązowy otok.

Seldon poczuł, że robi mu się niedobrze. Pomyślał, że nie lubiłby Mummery'ego, nawet gdyby nie miał po temu powodu.

— No cóż, profesorze Seldon, w czym mogę panu pomóc? — spytał Mummery bez żadnych wstępów. Popatrzył na zegar na ścianie, ale nie przeprosił za spóźnienie.

— Chciałem pana prosić, by przestał się pan sprzeciwiać mojej obecności w bibliotece.

Bibliotekarz rozłożył ręce.

— Jest pan tu od dwóch lat. O jakim sprzeciwie pan mówi?

— Do tej pory ta część zarządu, którą reprezentuje pan oraz ci, którzy podzielają pańskie poglądy, nie mogła odwołać Naczelnego Bibliotekarza, ale w przyszłym miesiącu odbędzie się następne zebranie, a Las Zenow powiedział mi, że nie jest pewien, jaki będzie jego rezultat.

Mummery wzruszył ramionami.

— Ja też nie jestem pewien. Pańska dzierżawa, jeśli możemy to tak nazwać, równie dobrze może zostać przedłużona.

— Ale ja potrzebuję czegoś więcej. Chcę sprowadzić do biblioteki kilku moich współpracowników. Sam nie zdołam zrealizować projektu, w który jestem zaangażowany. Chodzi o ewentualne przygotowanie niezbędnych danych dla potrzeb bardzo szczególnej encyklopedii.

— Na pewno pańscy współpracownicy mogą pracować, gdzie zechcą. Trantor jest wielkim światem.

— Musimy pracować tu, w bibliotece. Jestem już starym człowiekiem i muszę się spieszyć.

— Któż może zatrzymać upływ czasu? Nie sądzę, by zarząd

pozwolił panu na sprowadzenie współpracowników do biblioteki. Chcecie się wbić klinem pomiędzy nas, profesorze?

(Tak, w rzeczy samej, pomyślał Seldon, ale nic nie powiedział.)

— Nie udało mi się powstrzymać pana, profesorze. Na razie. Sądzę jednak, że uda mi się powstrzymać pańskich współpracowników.

Seldon zrozumiał, że zmierza donikąd. Pomyślał, że powie szczerze, co myśli.

— Panie Mummery, z pewnością pańska wrogość wobec mnie nie ma charakteru osobistego. Jestem przekonany, że rozumie pan, jak wielkie znaczenie ma praca, którą wykonuję.

— Ma pan na myśli swoją psychohistorię. Opracowywał pan jej zasady przez ponad trzydzieści lat. I do czego pan doszedł?

— Właśnie o to chodzi. Teraz mogę do czegoś dojść.

— To niech pan do tego dochodzi na Uniwersytecie Streelinga. Dlaczego musi pan pracować w Bibliotece Galaktycznej?

— Niech mnie pan posłucha. Chce pan zamknąć bibliotekę dla ludności. Chce pan zniszczyć odwieczną tradycję. Co na to pańskie serce?

— Tu nie jest potrzebne serce, ale fundusze. Z pewnością Naczelny Bibliotekarz wypłakał się panu w ramię, opowiadając o naszych zgryzotach. Dotacje są coraz mniejsze, pensje obcinane, brakuje pracowników. Co mamy robić? Musimy zmniejszyć zakres naszych usług, a już na pewno nie stać nas na utrzymywanie pana, pańskich współpracowników, biura i sprzętu pomocniczego.

— Czy tę sytuację przedstawiono imperatorowi?

— Ależ profesorze, jest pan marzycielem. Czyż nie jest prawdą, że pańska psychohistoria powiada, że Imperium chyli się ku upadkowi? Słyszałem, że nazywa się pana Krukiem, i jak rozumiem, wynika to z przekonania, że ów ptak zwiastuje nieszczęście.

— To prawda, że nadchodzą złe czasy.

— A pan wierzy, że biblioteka jest odporna na ich skutki? Profesorze, biblioteka jest moim życiem. Pragnę jeszcze pożyć, ale nie uda mi się to, jeśli nie znajdziemy sposobu na powiększenie kurczących się dotacji. Przychodzi pan tu z nadzieją, że nie zamkniemy biblioteki, i uważa, że jest pan jej dobroczyńcą. To się nie uda, profesorze. To się po prostu nie uda.

— A gdybym znalazł dla pana kredyty? — spytał zdesperowany Seldon.

— Doprawdy? A w jaki sposób?

— A gdybym porozmawiał z imperatorem? Byłem kiedyś Pierwszym Ministrem, więc spotka się ze mną i wysłucha mnie.

— I wydobędzie pan od niego fundusze? — Mummery roześmiał się.

— Jeśli tak się stanie, jeśli zwiększę pański budżet, to czy będę mógł tu sprowadzić moich współpracowników?

— Niech pan najpierw sprowadzi kredyty — powiedział bibliotekarz — a wtedy zobaczymy. Wątpię jednak, by to się panu udało.

Mummery wyglądał na bardzo pewnego siebie. Seldon zastanawiał się, jak często i jak bezskutecznie Biblioteka Galaktyczna zabiegała o pomoc imperatora.

Zastanawiał się też, czy jego zabiegi dadzą cokolwiek.

11

Imperator Agis XIV nie miał właściwie prawa do używania tego imienia. Odziedziczywszy tron, przybrał je celowo, by utożsamiano go z tymi Agisami, którzy rządzili dwa tysiące lat wcześniej, w większości dość zręcznie — szczególnie z Agisem VI, który panował czterdzieści dwa lata, utrzymując porządek w prosperującym Imperium silną ręką, choć nie tyranią.

Agis XIV nie przypominał żadnego z poprzednich Agisów — jeśli zapisy holograficzne mają jakąś wartość. Jednak prawdę mówiąc, imperator nie wyglądał w ogóle tak, jak na oficjalnym hologramie dla poddanych.

Tak naprawdę, pomyślał Seldon w przypływie nostalgii, tylko imperator Cleon, pomimo swych wad i słabości, wyglądał rzeczywiście godnie.

Agis XIV się tak nie prezentował. Helikończyk nigdy nie widział go z bliska, a te kilka hologramów, które obejrzał, zostało wręcz bezwstydnie podrobione. Nadworny holografik doskonale znał się na robocie, pomyślał skwaszony Seldon.

Agis XIV był niski, miał brzydką twarz i nieco wyłupiaste oczy, których nie rozjaśniała inteligencja. Do zasiadania na tronie upoważniało go wyłącznie to, że w bocznej linii był krewnym Cleona.

Jednak by oddać mu sprawiedliwość, trzeba przyznać, że nie usiłował grać roli potężnego imperatora. Lubił, gdy nazywano go — co łatwo zrozumieć — „obywatelem imperatorem", i tylko wytyczne protokołu imperialnego oraz bezczelne okrzyki członków Gwardii Imperialnej powstrzymywały go przed wejściem na tereny okryte kopułą i wędrowaniem po drogach Trantora. Widocznie pragnął uścisnąć dłonie obywateli i wysłuchać ich bolączek.

(Punkt dla niego, pomyślał Seldon, nawet jeśli nigdy mu się to nie uda.)

— Dziękuję, panie, że zechciałeś mnie widzieć — powiedział cicho Helikończyk, kłaniając się.

Agis XIV miał dźwięczny i dość atrakcyjny głos, który zupełnie nie pasował do jego wyglądu.

— Były Pierwszy Minister musi mieć przecież przywileje, choć przyznaję, że zdumiała mnie moja odwaga, gdy zgodziłem się pana przyjąć.

W jego słowach pobrzmiewał humor, Seldon zaś zrozumiał nagle, że człowiek może nie wyglądać na inteligentnego, a mimo to nim być.

— Odwaga, panie?

— A jakże. Czyż nie nazywają pana Seldonem Krukiem?

— Po raz pierwszy usłyszałem to określenie dopiero wczoraj.

— Zapewne odnosi się ono do pańskiej psychohistorii, dzięki której przewidział pan Upadek Imperium.

— Panie, ona tylko wskazuje możliwy rozwój wypadków…

— Właśnie dlatego łączy się pana z mitycznym ptakiem uważanym za zły omen. Sądzę, że jest pan nim.

— Mam nadzieję, że tak nie jest, panie.

— Dobrze, dobrze. Zapisy są jasne. Eto Demerzel, dawny Pierwszy Minister Cleona, był pod wrażeniem pańskiej pracy i proszę zobaczyć, co się stało: zmuszono go do rezygnacji ze stanowiska i wygnano. Sam imperator Cleon był pod wrażeniem pańskiej pracy i proszę zobaczyć, co się stało: został zamordowany. Junta wojskowa była pod wrażeniem pańskiej pracy i proszę zobaczyć, co się stało: pozbyto się jej. Nawet joranumici, jak powiadają, byli pod wrażeniem pańskiej pracy i zostali zniszczeni. A teraz, Seldonie Kruku, przychodzi pan do mnie. Czegóż się mogę spodziewać?

— Cóż, niczego złego, panie.

— Też tak sądzę, bo w przeciwieństwie do tamtych nie jestem pod wrażeniem pańskiej pracy. A teraz proszę mi powiedzieć, co pana do mnie sprowadza.

Słuchał uważnie, nie przerywając, gdy Seldon wyjaśniał, jak ważne jest rozpoczęcie nowego projektu badawczego mającego doprowadzić do powstania encyklopedii, w której zostanie zapisana ludzka wiedza, na wypadek gdyby miało się wydarzyć to, co najgorsze.

— No tak — powiedział w końcu Agis XIV — a więc jest pan rzeczywiście przekonany, że Imperium upadnie.

— Wszystko na to wskazuje, panie, nie byłoby więc rozważnie nie brać takiej możliwości pod uwagę. W pewnym sensie chciałbym temu zapobiec, jeśli zdołam… albo zmniejszyć skutki, jeśli nie uda mi się powstrzymać Upadku.

— Seldonie Kruku, jeśli nadal będzie pan wtykał nos we wszystko, to jestem przekonany, że Imperium istotnie upadnie i nic już temu nie zapobiegnie.

— Tak nie jest, panie. Ja tylko proszę o pozwolenie na pracę.

— Och, proszę bardzo, ale jakoś nie mogę zrozumieć, czego pan chce ode mnie. Po co opowiedział mi pan to wszystko o encyklopedii?

— Bo chcę, panie, pracować w Bibliotece Galaktycznej, a dokładniej mówiąc, chcę, by pracowali tam ze mną inni ludzie.

— Zapewniam, że nie stanę panu na drodze.

— To za mało, panie. Potrzebuję pomocy Waszej Imperialnej Mości.

— W jakim sensie, były Pierwszy Ministrze?

— Chodzi o fundusze. Biblioteka musi mieć odpowiedni budżet, gdyż w przeciwnym razie zamknie drzwi dla ludności, a ja zostanę

eksmitowany.

— Kredyty! — W głosie imperatora zabrzmiało zdziwienie. — Przyszedł pan do mnie po kredyty?

— Tak, panie.

Agis XIV wstał zaniepokojony. Seldon także wstał natychmiast, ale imperator nakazał mu gestem, by usiadł.

— Niech pan siada i nie traktuje mnie jak imperatora. Nie jestem imperatorem. Nie chciałem tronu, ale zmuszono mnie, bym go objął. Byłem najbliżej spokrewniony z dynastią, a oni wciąż trajkotali, że Imperium potrzebuje imperatora. Tak więc mają mnie i pewnie tak jest dla nich wygodnie. Kredyty! Sądzi pan, że mam kredyty! Mówi pan o rozpadzie Imperium. A jak pana zdaniem się ono rozpada? Myśli pan o powstaniu? A może o wojnie domowej? O zamieszkach tu i tam? Nie. Niech pan pomyśli o kredytach. Czy zdaje pan sobie sprawę, że nie mogę zebrać jakichkolwiek podatków z połowy prowincji Imperium? Wciąż są częścią Imperium. Pozdrawiają Imperium! Oddają cześć imperatorowi! Ale w ogóle nie płacą podatków, a ja nie mam odpowiednich sił, by je zebrać. A skoro nie potrafię wyegzekwować od nich kredytów, to tak naprawdę nie są częścią Imperium, zgadza się pan? Kredyty! Imperium cierpi na chroniczny i przerażający ich deficyt. Za nic już nie mogę płacić. Myśli pan, że mam wystarczające fundusze na utrzymanie terenów pałacowych? Nawet na to mam ich za mało. Muszę wiązać koniec z końcem. Muszę się godzić na upadek pałacu. Muszę się godzić, by wielu członków świty umierało z wyczerpania. Profesorze Seldon, chce pan kredytów, ale ja ich nie mam. Gdzie miałbym znaleźć kredyty na utrzymanie biblioteki? Powinni być mi wdzięczni, że każdego roku udaje mi się wysupłać dla nich cokolwiek. — Kończąc, imperator uniósł ręce dłońmi do góry, jakby chciał podkreślić pustkę imperialnej kiesy.

Hari Seldon był zdumiony.

— Panie, jeśli nawet brakuje ci kredytów, wciąż cieszysz się prestiżem. Czy nie mógłbyś rozkazać bibliotekarzom, by pozwolili mi zatrzymać biuro, a także sprowadzić współpracowników, którzy pomogliby mi w tych niezwykle ważnych badaniach?

Agis XIV usiadł, jakby uspokoił się, gdy rozmowa przesiała dotyczyć kredytów.

— Zdaje pan sobie sprawę, że zgodnie z odwieczną tradycją Biblioteka Galaktyczna jest niezależna od Imperium, przynajmniej jeśli chodzi o zarządzanie. Sama ustanawia swe prawa, a czyni tak od czasów Agisa VI, mojego imiennika — uśmiechnął się — który usiłował kontrolować przepływ informacji w bibliotece. Nie udało mu się, a skoro nie powiodło się to wielkiemu Agisowi VI, sądzi pan, że mi się powiedzie?

— Nie proszę, panie, byś używał siły. Okaż jedynie swoją wolę. Skoro nie chodzi o podstawowe funkcje biblioteki, na pewno będą zadowoleni, mogąc uszanować imperatora i spełnić jego życzenie.

— Jak mało wie pan o bibliotece i jej zarządzie, profesorze Seldon. Co prawda mogę wyrazić życzenie, jednak delikatnie, upewniwszy się, że urażeni, nie postąpią wbrew mej woli. Są bardzo wyczułem na najmniejsze nawet oznaki kontroli imperialnej.

— Co w takim razie mam zrobić? — spytał Seldon.

— Cóż, może coś panu podpowiem, bo przyszła mi do głowy pewna myśl. Jestem zwyczajnym obywatelem i jeśli zechcę, mogę odwiedzić Bibliotekę Galaktyczną. A ponieważ leży ona na terenach pałacowych, nie naruszę protokołu, jeśli tam pójdę. Pan pójdzie ze mną i będziemy się zachowywali wobec siebie ostentacyjnie przyjaźnie. O nic ich nie będę prosił, ale jeśli zauważą, że spacerujemy ramię w ramię, być może ktoś z członków ich ważnego zarządu spojrzy na pana przyjaźniej niż dotychczas. Niestety, tylko tyle mogę dla pana zrobić.

Głęboko rozczarowany Seldon zastanawiał się, czy to wystarczy.

12

— Nie wiedziałem, profesorze Seldon, że jest pan tak zaprzyjaźniony z imperatorem — powiedział Las Zenow, a w jego głosie słychać było podziw.

— Dlaczego miałbym nie być? Jak na imperatora postępuje bardzo demokratycznie, a poza tym interesują go moje doświadczenia jako Pierwszego Ministra za czasów Cleona.

— Na wszystkich wywarło to ogromne wrażenie. Od wielu lat w naszych progach nie gościł żaden imperator. Zazwyczaj, gdy imperator potrzebuje czegoś z biblioteki…

— Wyobrażam sobie. Dzwoni i zanosi mu się to przez grzeczność.

— Kiedyś zaproponowano — powiedział swobodnie Zenow — by w pałacu imperatora zainstalować zestaw urządzeń komputerowych podłączonych bezpośrednio do systemu biblioteki, żeby nie musiał czekać na wykonanie usługi. To było dawno temu, gdy kredyty płynęły szerokim strumieniem, ale wie pan, ten wniosek upadł.

— Doprawdy?

— O tak, prawie cały zarząd zgodził się co do tego, że w ten sposób imperator byłby zbyt mocno związany z biblioteką, a to mogłoby zagrozić naszej niezależności od rządu.

— A czy ten zarząd, który nie ugiął się, by oddać cześć imperatorowi, zgadza się, bym pozostał w bibliotece?

— W tej chwili tak. Panuje przekonanie, a ja zrobiłem co w mojej mocy, by je wzmocnić, że jeśli nie będziemy uprzejmi dla osobistego przyjaciela imperatora, zaprzepaścimy szansę na podwyższenie dotacji, więc…

— A więc kredyty czy choćby cień szansy na nie przemówiły ludziom do rozsądku.

— Chyba tak.

— I mogę sprowadzić moich współpracowników?

— Obawiam się, że nie — powiedział zakłopotany Zenow. — Widziano imperatora przechadzającego się tylko z panem, a nie z pańskimi ludźmi. Przykro mi, profesorze.

Seldon wzruszył ramionami. Ogarnęła go głęboka melancholia. I tak nie miał współpracowników, których mógłby ze sobą zabrać. Przez pewien czas miał nadzieję, że znajdzie ludzi takich jak Wanda, ale nie udało mu się. On także będzie potrzebował funduszy, by przeprowadzić odpowiednie badania. I on również nie miał nic.

13

Trantor, stolica Imperium Galaktycznego, zmienił się znacznie od dnia, gdy trzydzieści osiem lat wcześniej Hari wysiadł ze statku nadprzestrzennego, który przyleciał z jego rodzinnego Helikonu. Czy to tylko wyblakłe wspomnienia starego człowieka, które sprawiają, że Trantor wygląda w nich tak promiennie? — zastanawiał się Hari. A może to bujna wyobraźnia, którą mamy w młodości? Czy młodego człowieka z prowincjonalnego Świata Zewnętrznego mogły nie zachwycić jaśniejące miasta, błyszczące kopuły, tłumy śpieszących się kolorowo ubranych ludzi, którzy we dnie i w nocy niemal wirowali na Trantorze?

A teraz, pomyślał ze smutkiem, chodniki są niemal puste, nawet w pełnym świetle dnia. Wałęsające się gangi opanowały różne rejony miasta, rywalizując ze sobą o terytoria. Było coraz mniej policjantów, a ci, którzy pozostali, zajmowali się zażaleniami napływającymi do biura centralnego. Oczywiście, funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa wysyłano do zgłoszonych wypadków, ale pojawiali się na miejscu dopiero wówczas, gdy dokonano zbrodni, i nawet już nie udawali, że chronią mieszkańców Trantora. Człowiek wychodził z domu na własną odpowiedzialność, a ryzykował rzeczywiście wiele. Jednak Hari Seldon wciąż ryzykował; spacerował codziennie, jakby wyzywał obwiesiów niszczących jego ukochane Imperium, by zniszczyli i jego.

Tak więc zamyślony Helikończyk szedł, utykając.

Nic nie układało się tak, jak powinno. Nic. Nie potrafił wyizolować genetycznego wzorca, którym wyróżniała się Wanda, a bez tego nie mógł znaleźć ludzi podobnych do niej.

Zdolności Wandy do odczytywania cudzych myśli zwiększyły się znacznie od czasu, gdy przed sześcioma laty znalazła błąd w równaniu wyświetlonym przez Pierwszy Radiant Yugo Amaryla. Nie tylko w tej dziedzinie Wanda była osobą niezwykłą. Kiedy uświadomiła sobie, że od innych ludzi oddzielają ją zdolności umysłowe, postanowiła zrozumieć ich naturę, okiełznać i ukierunkować energię, którą została obdarzona. Z upływem lat dojrzała, przestała chichotać jak nastolatka, co czyniło ją tak drogą Hariemu, a jednocześnie stała się mu jeszcze droższa, gdyż z wielką determinacją pomagała mu w pracy, wykorzystując swój „dar". Seldon powiedział wnuczce o swoim planie dotyczącym Drugiej Fundacji, a ona poświęciła się temu celowi razem z nim.

Ale tego dnia Seldon był w złym nastroju. Doszedł do wniosku, że zdolności umysłowe Wandy nigdzie go nie doprowadzą. Nie miał kredytów na kontynuowanie pracy ani na znalezienie ludzi podobnych do dziewczyny, nie miał kredytów, by zapłacić pracownikom Projektu

Psychohistorii na Uniwersytecie Streelinga ani na to, by rozpocząć tak ważny Projekt Encyklopedii w Bibliotece Galaktycznej.

I co teraz?

Podążał w kierunku Biblioteki Galaktycznej. Zrobiłby lepiej, gdyby wziął taksówkę grawitacyjną, ale chciał się przejść, mimo że utykał. Potrzebował czasu na przemyślenia.

Usłyszał krzyk „Jest tutaj!" — ale nie zwrócił na to uwagi.

I znów to usłyszał:

— Jest tutaj! Psychohistoria!

To słowo sprawiło, że podniósł wzrok. Psychohistoria. Otoczyła go grupa młodych mężczyzn. Seldon odruchowo odwrócił się plecami do ściany i podniósł laskę.

— Czego chcecie? Roześmiali się.

— Kredytów, staruszku. Masz jakieś?

— Może, ale dlaczego chcecie ich właśnie ode mnie? Powiedziałeś „psychohistoria". Wiesz, kim jestem?

— Jasne, jesteś Seldonem Krukiem — rzekł młody mężczyzna, przywódca grupy. Wyglądał na zadowolonego i pewnego siebie.

— Jesteś nędzną kreaturą! — krzyknął inny.

— Co zamierzacie zrobić, jeśli nie dam wam kredytów?

— Dołożymy ci — oznajmił przywódca — i zabierzemy je.

— A jeśli dam wam kredyty?

— I tak ci dołożymy! — Zarechotali. Seldon podniósł wyżej laskę.

— Radzę wam nie zbliżać się do mnie.

Zdołał już ich policzyć. Ośmiu. Czuł, że ze zdenerwowania traci oddech. Kiedyś on, Dors i Raych zostali zaatakowani przez dziesięciu mężczyzn, a mimo to nie mieli kłopotów. Ale miał wtedy trzydzieści dwa lata, a Dors — to była Dors.

Teraz było inaczej. Machnął laską.

— Hej, staruszek chce nas zaatakować — powiedział przywódca zbirów. — I co zrobimy?

Seldon rozejrzał się szybko. W pobliżu nie było żadnych funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa — jeszcze jeden wskaźnik rozpadu społeczeństwa. Przypadkiem przeszły obok jedna czy dwie osoby, ale wołanie o pomoc nie miało sensu. Ominęli Seldona wielkim łukiem i słychać było tylko odgłos ich oddalających się szybko kroków. Nikt nie chciał ryzykować wplątania się w taką awanturę.

— Pierwszemu, który podejdzie, rozwalę łeb — oznajmił Seldon.

— Taak? — Przywódca grupy podszedł szybko do Hariego i chwycił laskę. Mocowali się przez chwilę, lecz zbir wyrwał mu laskę i odrzucił ją na bok. — No i co teraz, staruszku?

Seldon skulił się. Teraz mógł tylko czekać na ciosy. Tłoczyli się wokół niego, a każdy miał ochotę uderzyć go raz czy dwa. Helikończyk podniósł ręce, usiłując przyjąć postawę obronną. Wciąż

potrafił walczyć, choć w staromodny sposób. Gdyby miał przed sobą jednego czy dwóch przeciwników, mógłby się bronić, unikać ich ciosów i kontratakować. Ale nie mógł się bronić przed ośmioma — z pewnością nie przed ośmioma.

Próbował szybko przesunąć się w bok, by uniknąć ciosów, lecz prawa noga, ta z ischiasem, ugięła się pod nim. Upadł i wiedział już, że jest w beznadziejnej sytuacji.

Wtem usłyszał, że ktoś krzyczy:

— Co się tu dzieje?! Wynoście się, łobuzy! Wynocha stąd albo was pozabijam!

— No proszę, jeszcze jeden staruszek — powiedział herszt bandy.

— Nie taki znowu staruszek — rzucił nowo przybyły. Krawędzią dłoni uderzył tamtego w twarz, tak że stała się purpurowa.

— Raych, to ty? — spytał zdumiony Seldon.

— Trzymaj się od tego z dala, tato. Wstań i odsuń się.

— Zapłacisz nam za to — powiedział herszt, rozcierając policzek.

— Nic mi nie zrobisz — odparł Raych, wyciągając długi, błyszczący dahlijski nóż. Po chwili wyciągnął drugi i teraz miał po jednym w każdej dłoni.

— Wciąż nosisz noże? — zapytał słabo Seldon.

— Zawsze — odparł Raych. — Nic mnie nie powstrzyma.

— Ja cię powstrzymam — oznajmił przywódca, wyciągając miotacz.

W okamgnieniu jeden z noży Raycha poszybował w powietrzu i utkwił w gardle zbira. Ten westchnął głośno, zagulgotał i upadał, podczas gdy pozostałych siedmiu tylko się gapiło.

Raych podszedł do niego i powiedział:

— Nóż jest mi potrzebny. — Wyciągnął go z krtani bandziora i wytarł o jego koszulę. Robiąc to, nadepnął dłoń mężczyzny, pochylił się i podniósł miotacz. Wrzucił go do jednej ze swych przepastnych kieszeni i stwierdził: — Nie lubię używać miotacza, bo czasami nie trafiam. Za to nigdy nie chybiam, gdy rzucam nożem. Nigdy! Ten facet nie żyje. Będziecie tak stać czy odejdziecie?

— Brać go! — wrzasnął jeden ze zbirów i jak na komendę wszyscy rzucili się na niego.

Raych cofnął się o krok. Błysnął jeden, a potem drugi nóż i dwóch napastników zatrzymało się. W brzuchu każdego z nich tkwiło ostrze.

— Oddajcie moje noże — rzekł Raych, wyciągając je zgrabnym ruchem. — Tych dwóch jeszcze żyje, choć to już długo nie potrwa. Chcecie znów zaatakować czy odejdziecie?

Zawrócili, a Raych zawołał za nimi:

— Zabierzcie zabitego i umierających! Mnie nie są potrzebni! Pospiesznie zarzucili trzy ciała na ramiona i uciekli w popłochu. Raych pochylił się, by podnieść laskę Seldona.

— Możesz iść, tato?

— Raczej nie — odparł Helikończyk. — Skręciłem nogę.

— W takim razie wsiądź do mojego samochodu. A tak w ogóle, dlaczego tu spacerowałeś?

— A dlaczego nie? Nigdy nie przytrafiło mi się nic złego.

— Dlatego czekałeś, aż coś złego cię spotka? Wsiądź do mojego samochodu, zawiozę cię na uniwersytet.

Raych zaprogramował trasę pojazdu, po czym powiedział:

— Jaka szkoda, że nie ma z nami Dors. Mama zaatakowałaby ich gołymi rękami i zabiła wszystkich ośmiu w pięć minut.

Seldon poczuł, że w oczach kręcą mu się łzy.

— Wiem, Raych, wiem. Myślisz, że nie tęsknię za nią każdego dnia?

— Przepraszam — powiedział cicho Raych.

— Skąd wiedziałeś, że mam kłopoty? — spytał Hari.

— Wanda powiedziała mi, że kilku złych ludzi zaczaiło się na ciebie. Powiedziała mi też, gdzie się ukryli, więc natychmiast wyruszyłem.

— A nie wątpiłeś w to, co powiedziała?

— Wcale. Teraz już wiemy, że ma pewnego rodzaju kontakt z twoją świadomością i wyczuwa, co dzieje się wokół ciebie.

— Powiedziała ci, ilu ludzi chce mnie zaatakować?

— Nie. Powiedziała jedynie „kilku”.

— Dlaczego przyszedłeś tu sam?

— Nie miałem czasu na skrzyknięcie oddziału, tato. A poza tym jeden taki jak ja wystarcza.

— To prawda. Dziękuję ci, Raych.

14

Po powrocie na Uniwersytet Streelinga ułożono nogę Seldona na wyścielanym taborecie.

Raych patrzył ponuro na ojca.

— Tato — zaczął — od tej chwili masz już nie spacerować sam po Trantorze.

Helikończyk zmarszczył brwi.

— Dlaczego? Z powodu jednego incydentu?

— Taki incydent wystarczy. Nie możesz już sam się bronić. Masz siedemdziesiąt lat, a prawa noga nie wesprze cię w nagłej potrzebie. Poza tym masz wrogów…

— Wrogów!

— Tak. I dobrze o tym wiesz. Te podłe szczury nie czatowały na przypadkowego przechodnia. Nie czekali, żeby obrabować jakąś nieświadomą niczego osobę. Rozpoznali właśnie ciebie, wołając „psychohistoria". A potem nazwali cię nędzną kreaturą. Jak myślisz dlaczego?

— Nie mam pojęcia.

— Bo żyjesz we własnym świecie, tato, i nie wiesz, co się dzieje na Trantorze. Trantorczycy wiedzą, że ich świat rozpada się w szybkim tempie. Wiedzą, że twoja psychohistoria przewidziała to już wiele lat temu. Czy nie przyszło ci do głowy, że za złą wiadomość mogą obwiniać posłańca? Jeśli wszystko źle się układa, ludzie stają się podli, jest więc wielu, którzy uważają, że odpowiadasz za Upadek Imperium.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— A jak myślisz, dlaczego w Bibliotece Galaktycznej jest grupa ludzi, którzy chcą się ciebie pozbyć? Nie chcą być w pobliżu, gdy zostaniesz zaatakowany. Dlatego musisz na siebie uważać. Nie możesz wychodzić sam. Będę musiał ci towarzyszyć albo potrzebny ci będzie ochroniarz. Tak właśnie będzie, tato.

Seldon wyglądał na okropnie nieszczęśliwego.

— To nie potrwa długo — powiedział łagodniej Raych. — Dostałem nową pracę.

— Nową pracę? Jaką? — spytał Seldon i spojrzał w górę.

— Wykładowcy na uniwersytecie.

— Na jakim uniwersytecie?

— Santanni. Seldonowi zadrżały usta.

— Santanni! Przecież to dziewięć tysięcy parseków od Trantora. To prowincjonalny świat po drugiej stronie Galaktyki.

— Owszem. Właśnie dlatego chcę tam polecieć. Całe życie spędziłem na Trantorze i jestem już tym zmęczony. Żaden ze światów

Imperium nie chyli się ku upadkowi tak jak Trantor, który stał się siedliskiem zbrodni i na którym nie ma już nikogo, kto by nas bronił. Ekonomia kuleje, technologia podupada. Santanni zaś to porządny świat, ludzie pracują tam zawzięcie, więc pragnę się tam znaleźć, by budować nowe życie z Manellą, Wandą i Bellis. Wyjeżdżamy za dwa miesiące.

— Wszyscy!

— Razem z tobą, tato. Nie zostawimy cię na Trantorze. Pojedziesz z nami na Santanni.

Seldon pokręcił głową.

— Wiesz, że to niemożliwe, Raych.

— Dlaczego?

— Wiesz dlaczego. Chodzi o Projekt. O moją psychohistorię. Prosisz, żebym porzucił dzieło mego życia?

— A dlaczego by nie? Ono porzuciło ciebie.

— Zwariowałeś.

— Wcale nie zwariowałem. Co możesz zrobić? Nie masz kredytów. Nie potrafisz ich zdobyć. Nie ma już na Trantorze nikogo, kto chciałby cię wesprzeć.

— Przez prawie czterdzieści lat…

— Tak, przyznaję. Ale mimo tych wszystkich lat nie udało ci się, tato. To nie zbrodnia, jeśli się komuś nie uda. Bardzo się starałeś i zaszedłeś daleko, ale natknąłeś się na marniejącą ekonomię i upadające Imperium. Przecież już dawno temu przewidziałeś, że cię to powstrzyma. Więc…

— Nie. Nic mnie nie powstrzyma. W ten czy inny sposób, będę prowadził badania.

— Coś ci powiem, tato. Jeśli się tak upierasz, to zabierz psychohistorię ze sobą. Zacznij wszystko od nowa na Santanni. Tam może być dostatecznie dużo kredytów, nie mówiąc już o entuzjazmie, by wesprzeć badania.

— A co z tymi mężczyznami i kobietami, którzy pracowali dla mnie z takim oddaniem?

— Pleciesz bzdury, tato. Opuszczają cię, bo nie możesz im płacić. Będziesz się tu wałęsał do końca życia, i to w samotności… Daj spokój, tato. Myślisz, że taka rozmowa sprawia mi radość? Ale muszę ci to powiedzieć, bo nikt inny nie miał odwagi: stałeś się częścią swojej przepowiedni. Porozmawiajmy uczciwie. Spacerowałeś ulicami Trantora i zostałeś zaatakowany tylko dlatego, że jesteś Harim Seldonem. Nie sądzisz, że już czas na odrobinę prawdy?

— Nie obchodzi mnie prawda. Nie zamierzam opuścić Trantora.

Raych pokręcił głową.

— Byłem pewien, że będziesz się upierał, tato. Masz dwa miesiące na zmianę decyzji. Pomyśl o tym, dobrze?

15

Hari Seldon nie uśmiechał się już od dawna. Kierował Projektem tak samo jak zawsze: wciąż rozwijał psychohistorię, robił plany dotyczące Fundacji, badał Pierwszy Radiant. Ale się nie uśmiechał. Zmuszał się do pracy i nie wierzył już w nadejście sukcesu; przeciwnie, miał poczucie nieuchronnej porażki w każdej dziedzinie.

A teraz, kiedy siedział w swoim biurze na Uniwersytecie Streelinga, weszła Wanda. Spojrzał na nią i aż zadrżało mu serce. Dziewczyna zawsze była jego ulubienicą. Seldon nie umiałby nawet powiedzieć, kiedy zarówno on, jak i inni zaczęli entuzjastycznie przyjmować jej oświadczenia; po prostu wydawało się, jakby zawsze tak było. Jako mała dziewczynka uratowała mu życie, gdyż w jakiś niezwykły sposób dowiedziała się o „lemoniadowej śmierci", a potem, przez całe dzieciństwo, zawsze jakoś wiedziała o wszystkim.

Chociaż doktor Endelecki twierdził, że genom Wandy jest absolutnie normalny pod każdym względem, Seldon wciąż wierzył, że jego wnuczka ma ponadprzeciętne zdolności umysłowe. Był także pewien, że w Galaktyce, a nawet na Trantorze są ludzie tacy jak ona. Gdyby tylko potrafił ich znaleźć, tych „mentalistów". Jakże wielki wkład mogliby wnieść w rozwój Fundacji. Cały potencjał takiej wielkości utożsamiała jego śliczna wnuczka. Seldon spoglądał na nią, stojącą w drzwiach biura, i czuł, że pęka mu serce. Jeszcze tylko kilka dni i Wanda wyjedzie.

Jak zniesie coś takiego? Osiemnastoletnia Wanda była taka śliczna, miała długie blond włosy i nieco za szeroką, prawie zawsze uśmiechniętą twarz. Lubiła się śmiać. Teraz też się śmiała, a Seldon zastanawiał się, dlaczego właściwie miałaby się nie śmiać. Przecież jedzie na Santanni, gdzie rozpocznie nowe życie.

— Cóż, Wando, to jeszcze tylko kilka dni — odezwał się.

— Nie. Nie sądzę, dziadku.

— Jak to? — Seldon wpatrywał się we wnuczkę. Wanda podeszła i objęła go.

— Nie jadę na Santanni — oznajmiła.

— Czy twoi rodzice zmienili zamiary?

— Nie. Oni jadą.

— A ty nie? Dlaczego? Dokąd chcesz jechać?

— Ja, dziadku, zamierzam zostać tutaj. Z tobą. — Uścisnęła go. — Biedny dziadek!

— Nie rozumiem. Dlaczego? I oni na to pozwalają?

— Masz na myśli rodziców? No, niezupełnie. Kłóciłam się z nimi o to przez wiele tygodni, ale w końcu wygrałam. A dlaczego by nie, dziadku? Pojadą na Santanni i będą mieli siebie, no i małą Bellis. Jeśli

pojadę z nimi, nie będziesz tu miał nikogo. Nie sądzę, żebym mogła znieść coś takiego.

— Jak udało ci się ich przekonać?

— No, wiesz… naciskałam.

— Co to znaczy?

— To się dzieje za sprawą mojego umysłu. Wiem, o czym myślisz, i wiem, o czym oni myślą, a z upływem czasu widzę wszystko coraz wyraźniej. Potrafię więc ich zmusić, by robili to, co zechcę.

— Jak to robisz?

— Nie wiem. Ale po jakimś czasie męczą ich moje naciski, więc zgadzają się, żebym robiła to, co chcę. Tak więc zamierzam zostać z tobą.

Seldon popatrzył na Wandę z bezgraniczną miłością.

— To cudownie, Wando. Ale Bellis…

— Nie martw się o Bellis. Ona nie ma takiego umysłu jak ja.

— Jesteś pewna? — Seldon przygryzł dolną wargę.

— Całkowicie. A poza tym mama i tata też muszą kogoś mieć. Helikończyk uradował się, ale nie mógł tego okazać tak otwarcie.

Przecież chodziło o Raycha i Manellę. Co z nimi?

— Wando, a co z twoimi rodzicami? Jak możesz być wobec nich tak oziębła?

— Nie jestem oziębła. Oni rozumieją. Uświadomili sobie, że muszę być z tobą.

— Jak tego dokonałaś?

— Naciskałam na nich — odparła Wanda — i w końcu spojrzeli na wszystko z mojej perspektywy.

— I to też potrafisz?

— To nie było łatwe.

— I zrobiłaś to, bo… — Seldon zamilkł.

— Bo cię kocham — dokończyła. — To oczywiste. A poza tym…

— Tak?

— Muszę poznać psychohistorię. W tej chwili wiem już o niej co nieco.

— Skąd?

— Z twojego umysłu, a także umysłów innych uczestników Projektu, szczególnie wujka Yugo, zanim zmarł. Ale jak dotąd mam tylko strzępy wiedzy. Pragnę wiedzy prawdziwej, dziadku, chcę mieć własny Pierwszy Radiant. — Twarz Wandy się rozjaśniła, a jej słowa padały szybko, z pasją. — Chcę badać wszelkie zagadnienia dotyczące psychohistorii. Dziadku, jesteś stary i zmęczony. Ja jestem młodsza i spragniona wiedzy. Chcę się nauczyć wszystkiego, żebym mogła prowadzić badania, gdy…

— Tak, byłoby wspaniale, gdybyś tak mogła zrobić, ale nie ma już żadnych funduszy. Nauczę cię, czego będę mógł, ale niewiele uda się

nam zdziałać.

— Zobaczymy, dziadku. Zobaczymy.

16

Raych, Manella i mała Bellis czekali na kosmodromie. Statek nadprzestrzenny, którym mieli polecieć, przygotowywano do startu, a oni zgłosili już bagaże do odprawy.

— Tato, poleć z nami — nalegał Raych.

— Nie mogę — powiedział Seldon, kręcąc głową.

— Jeśli zmienisz zdanie, zawsze będziesz u nas mile widziany.

— Wiem, Raych. Spędziliśmy razem prawie czterdzieści lat, i to były dobre lata. Dors i ja mieliśmy szczęście, że cię znaleźliśmy.

— To ja miałem szczęście. — Jego oczy wypełniły się łzami. — Ja też codziennie myślę o mamie.

— Tak. — Seldon popatrzył ze smutkiem w dal. Wanda bawiła się z Bellis, gdy przez głośniki wezwano pasażerów do wejścia na pokład statku nadprzestrzennego.

Po raz ostatni rodzice pożegnali się czule z Wandą i odeszli. Raych obejrzał się jeszcze, by pomachać Seldonowi, i próbował się nawet uśmiechnąć. Seldon również mu pomachał, a drugą ręką bezwiednie objął Wandę. Tylko ona mu pozostała. Przez całe swoje długie życie tracił po kolei wszystkich przyjaciół i tych, których kochał. Demerzel odszedł i nigdy już nie powrócił; odszedł imperator Cleon; odeszła jego ukochana Dors; nie było już jego wiernego przyjaciela Yugo Amaryla, a teraz Raych, jego jedyny syn, też odszedł.

Została mu tylko Wanda.

17

— Na zewnątrz jest tak ładnie. Śliczny wieczór — powiedział Hari Seldon. — Jeśli wziąć pod uwagę, że mieszkamy pod kopułą, taka piękna pogoda mogłaby tu być codziennie.

— Znudzilibyśmy się, dziadku, gdyby cały czas było tak pięknie — stwierdziła obojętnie Wanda. — Pewna odmiana co wieczór dobrze nam robi.

— Może tobie, bo jesteś młoda, Wando. Przed tobą jeszcze wiele, wiele wieczorów. Przede mną już nie, więc chciałbym, żeby wszystkie były ładne.

— Ależ dziadku, nie jesteś stary — Twoja noga jest w dobrym stanie, a umysł masz tak jasny jak zawsze. Wiem, że tak jest.

— Tak. Mów dalej, a poczuję się jeszcze lepiej — powiedział, po czym oznajmił niezadowolony: — Chcę się przejść. Chcę się wyrwać z tego maleńkiego mieszkania, przespacerować do biblioteki i cieszyć się pięknym wieczorem.

— A czego szukasz w bibliotece?

— W tej chwili niczego. Chcę się przejść… Ale…

— Ale?

— Obiecałem Raychowi, że nie będę chodził po Trantorze bez ochrony.

— Raycha tu nie ma.

— Wiem — wyszeptał Seldon — ale obietnica jest obietnicą.

— Nie powiedział, kto ma być twoim ochroniarzem, prawda? Chodźmy więc na spacer, a ja nim będę.

— Ty? — Seldon wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Tak, ja. Zgłaszam się na ochotnika. Przygotuj się i pójdziemy na spacer.

Słowa Wandy rozbawiły Seldona. Właściwie nie zamierzał zabierać laski, gdyż ostatnio noga mniej mu dokuczała, ale z drugiej strony, zrobiono mu nową laskę, której główkę wypełniono ołowiem. Była cięższa i mocniejsza od starej, a Seldon pomyślał, że skoro to Wanda ma go pilnować, może lepiej byłoby ją zabrać.

Spacer był wspaniały, a matematyk bardzo zadowolony, że uległ pokusie — póki nie doszli do pewnego miejsca.

Helikończyk, zagniewany, a jednocześnie zrezygnowany, podniósł laskę i powiedział:

— Spójrz na to!

Wanda spojrzała w górę. Kopuła żarzyła się jak zwykle wieczorem, dając złudzenie zmierzchu. Wraz z nadejściem nocy robiła się oczywiście coraz ciemniejsza.

Seldon jednak wskazywał na ciemny pas ciągnący się wzdłuż

brzegu kopuły. Część świateł zgasła.

— Kiedy przyjechałem na Trantor, coś takiego było nie do pomyślenia — stwierdził. — Byli ludzie, którzy przez całą dobę pilnowali świateł. Miasto działało sprawnie, a teraz chyli się ku upadkowi w każdej, najmniejszej nawet dziedzinie. Najbardziej martwi mnie to, że nikogo to nie obchodzi. Dlaczego nikt nie wysyła petycji do Pałacu Imperialnego? Dlaczego nie ma wieców protestacyjnych? Jest tak, jakby mieszkańcy Trantora oczekiwali jego upadku, a jednocześnie złościli się na mnie, bo wyraźnie wskazuję na przyczyny tego, co się dzieje.

— Dziadku, za nami jest dwóch mężczyzn — powiedziała cicho Wanda. Weszli na nie oświetlony obszar, nad którym nie działały światła kopuły.

— Czy ci ludzie znaleźli się tu przypadkiem? — spytał Hari.

— Nie. — Wanda nie patrzyła na mężczyzn. Nie musiała. — Śledzą cię.

— Nie możesz ich zmusić, by się zatrzymali?

— Próbuję, ale jest ich dwóch i są bardzo zdeterminowani. Jakbym… jakbym pchała mur.

— Jak daleko są za mną?

— Około trzech metrów.

— Zbliżają się?

— Tak, dziadku.

— Powiedz mi, gdy znajdą się metr ode mnie. — Seldon przesunął dłoń wzdłuż laski i ujął ją za cieńszy koniec. Ołowiana główka zakołysała się swobodnie.

— Teraz, dziadku! — syknęła Wanda.

Seldon odwrócił się, wywijając laską. Uderzył jednego z mężczyzn w ramię, a ten przewrócił się i krzycząc z bólu, zaczął się wić na chodniku.

— Gdzie jest drugi? — spytał.

— Uciekł.

Helikończyk popatrzył na leżącego mężczyznę i postawił stopę na jego piersi.

— Przeszukaj jego kieszenie, Wando — rozkazał. — Ktoś musiał mu zapłacić, więc chciałbym znaleźć jego płytkę kredytową. Może zdołam się dowiedzieć, skąd pochodzą kredyty. Chciałem go uderzyć w głowę — dodał po zastanowieniu.

— Zabiłbyś go, dziadku. Seldon skinął głową.

— To właśnie zamierzałem zrobić. Wstyd mi. Całe szczęście, że nie trafiłem.

— Co się tu dzieje?! — usłyszeli ostry głos. Jakiś człowiek w mundurze biegł ku nim, dysząc. — Hej, ty, oddaj mi laskę! — rozkazał.

— Panie oficerze — rzekł łagodnie Seldon.

— Później opowiesz mi swoją wersję wydarzeń. Musimy wezwać karetkę dla tego biednego człowieka.

— Biednego człowieka! — rzucił z wściekłością Seldon. — Chciał na mnie napaść. Działałem w obronie własnej.

— Widziałem, co się stało — powiedział funkcjonariusz. — Nawet nie skinął palcem w twoją stronę. To ty odwróciłeś się i uderzyłeś go bez powodu. To nie jest samoobrona. To napad z pobiciem.

— Panie oficerze, przecież mówię, że…

— Lepiej nic nie mów. Wytłumaczysz się w sądzie.

— Panie oficerze — powiedziała cicho i przymilnie Wanda — gdyby tylko zechciał nas pan wysłuchać…

— Pani, młoda damo, niech lepiej idzie do domu.

— Nie mam zamiaru — oburzyła się Wanda, której oczy błyszczały gniewnie. — Pójdę tam, gdzie dziadek.

— W takim razie chodźcie oboje — mruknął funkcjonariusz.

18

Seldon był wściekły.

— Nigdy w życiu mnie nie aresztowano. Kilka miesięcy temu napadło na mnie ośmiu mężczyzn. Z pomocą syna udało mi się ich przegnać, ale czy wtedy widziałem w pobliżu funkcjonariusza sił bezpieczeństwa? Czy ludzie zatrzymali się, by mi pomóc? Nie. Tym razem byłem lepiej przygotowany, więc powaliłem człowieka, który chciał na mnie napaść. Czy w pobliżu znajdował się funkcjonariusz sił bezpieczeństwa? Oczywiście. I aresztował mnie. Dokoła stali ludzie, którzy obserwowali to i cieszyli się, widząc, że aresztują starca za napad z pobiciem. W jakim świecie my żyjemy?!

Civ Novker, prawnik Seldona, westchnął i powiedział spokojnie: — W skorumpowanym, ale nie martw się. Nic ci się nie stanie. Wyciągnę cię za kaucją, a potem być może wrócisz na rozprawę. Najgorsze, co cię może spotkać, to reprymenda ze strony ławy przysięgłych. Twój wiek i reputacja…

— Daj spokój z moją reputacją — rzucił wściekły Seldon. — Jestem psychohistorykiem, a w obecnej chwili jest to wstrętne słowo. Oni chętnie wsadzą mnie za kratki.

— Nie, nie zrobią tego — powiedział Novker. — Może i jest kilku narwańców, którzy chętnie by cię tam widzieli, ale dopilnuję, żeby żaden z nich nie znalazł się w składzie ławy przysięgłych.

— Czy naprawdę musimy narażać dziadka na to wszystko? — spytała Wanda. — Nie jest już młody. Nie możemy stanąć po prostu przed sędzią pokoju i dać sobie spokój z rozprawą w sądzie?

— To niemożliwe — powiedział prawnik, zwracając się do Wandy. — Chyba że ktoś jest szalony. Sędziowie pokoju to niecierpliwi, wpływowi i złośliwi ludzie, którzy potrafią wysłać kogoś na rok za kratki, nawet go nie wysłuchawszy. Nikt nie staje z własnej woli przed sędzią pokoju.

— Myślę, że my powinniśmy to zrobić — stwierdziła Wanda.

— No cóż, Wando — odezwał się Seldon — sądzę, że powinniśmy posłuchać Civ… — Mówiąc to, poczuł jednak silny ucisk w brzuchu. To Wanda usiłowała wywrzeć na niego nacisk. — No… jeśli nalegasz.

— Ona nie może nalegać — powiedział prawnik. — Nie pozwolę na to.

— Mój dziadek jest pańskim klientem — oświadczyła Wanda. — Musi pan postępować tak, jak on chce.

— Mogę odmówić reprezentowania go.

— To niech pan zrezygnuje — powiedziała szorstko Wanda — a my staniemy sami przed sędzią pokoju.

Novker zastanawiał się przez chwilę i rzekł:

— Proszę bardzo, jeśli chcecie być tacy nieugięci. Reprezentowałem Hariego całymi latami, więc teraz go nie opuszczę. Ale ostrzegam was: jest bardzo prawdopodobne, że otrzyma karę więzienia, a ja będę się musiał diabelnie napracować, by ją uchylono. Jeśli to w ogóle będzie możliwe.

— Nie boję się — oznajmiła Wanda.

Prawnik zwrócił się do Seldona, który przygryzał usta.

— A ty? Chcesz pozwolić wnuczce, by wzięła sprawę w swoje ręce? Seldon zastanawiał się przez chwilę, a potem przyznał ku wielkiemu zdumieniu starego prawnika:

— Tak. Chcę.

19

Sędzia pokoju patrzył kwaśno na Seldona opowiadającego swoją historię.

— Dlaczego pan myśli, że ten człowiek chciał pana zaatakować? Uderzył pana? Straszył? W jakiś inny sposób groził uszkodzeniem ciała?

— Moja wnuczka czuła, że się zbliża, i była niemal pewna, że zamierza mnie zaatakować.

— To z pewnością nie wystarczy, żeby usprawiedliwić pańskie postępowanie. Czy chce mi pan powiedzieć coś jeszcze, zanim ogłoszę werdykt?

— Chwileczkę, proszę poczekać — rzekł oburzony Seldon. — Proszę tak szybko nie ferować wyroku. Kilka tygodni temu napadło na mnie ośmiu mężczyzn, których przegoniłem z pomocą syna. Tak więc, jak pan widzi, miałem powód, by uważać, że znów zostanę napadnięty.

Sędzia pokoju zgarnął swoje dokumenty.

— Napadnięty przez ośmiu mężczyzn. Zgłosił to pan?

— W pobliżu nie było funkcjonariuszy. Ani jednego.

— Do rzeczy. Czy pan to zgłosił?

— Nie, panie sędzio.

— Dlaczego?

— Bałem się, że zostanę zamieszany w długotrwałe śledztwo. Skoro odparliśmy atak ośmiu mężczyzn, to zgłaszając napad, prosilibyśmy się tylko o więcej kłopotów.

— Jak udało się panu i synowi pokonać ośmiu mężczyzn? Seldon zawahał się.

— Mój syn przebywa teraz na Santanni, poza kontrolą trantorską. Mogę wobec tego powiedzieć panu, że miał przy sobie dahlijskie noże, a jest ekspertem w posługiwaniu się nimi. Zabił jednego mężczyznę i poważnie zranił dwóch innych. Pozostali uciekli, niosąc zabitego i rannych.

— A złożył pan raport w sprawie zabicia człowieka i zranienia dwóch innych?

— Nie, panie sędzio. Z tego samego powodu, o którym już mówiłem. Poza tym działaliśmy w obronie własnej. Gdyby odnalazł pan tych trzech ludzi, miałby pan dowód na to, że zostaliśmy zaatakowani.

— Gdybym odnalazł zmarłego i dwóch rannych Trantorczyków, których nie znamy ani z nazwisk, ani z twarzy? — rzekł sędzia pokoju. — Czy zdaje pan sobie sprawę, że na Trantorze znajdujemy codziennie ponad dwa tysiące zabitych… i to tylko tych, którzy zmarli od ran

zadanych nożem? Jeśli zabójstwo nie zostanie zgłoszone natychmiast, jesteśmy bezsilni. Pańska opowieść o tym, że nie tak dawno napadnięto na pana, nie ma nic do rzeczy. Musimy się zająć dzisiejszymi wydarzeniami, gdyż zostały zgłoszone, a poza tym mamy świadka, oficera służb bezpieczeństwa. A więc rozważmy opisaną sytuację. Dlaczego sądzi pan, że tamten człowiek chciał pana zaatakować? Tylko dlatego, że akurat przechodził pan obok niego? Bo wydał mu się pan stary i bezbronny? Bo wyglądał pan na kogoś, kto ma przy sobie większą ilość kredytów? Jak pan sądzi?

— Myślę, panie sędzio, że powodem jest to, kim jestem. Sędzia pokoju spojrzał na swoje dokumenty.

— Nazywa się pan Hari Seldon, jest profesorem i członkiem kadry uniwersyteckiej. Czy to jakiś szczególny powód, by na pana napadać?

— Powodem mogą być moje poglądy.

— Pańskie poglądy? Cóż… — Sędzia pokoju przejrzał pobieżnie kilka dokumentów. Nagle odłożył je i spojrzał uważniej na Seldona. — Zaraz, zaraz… Hari Seldon. — Widać było, że dopiero teraz go rozpoznaje. — To pan jest tym badaczem psychohistorii, prawda?

— Tak, panie sędzio.

— Przepraszam, ale wiem tylko tyle, że z tą dziedziną łączy się pańskie nazwisko, a pan głosi wszędzie koniec Imperium czy coś takiego.

— Niezupełnie, panie sędzio. Ale moje poglądy stały się niepopularne, bo okazało się, że są zgodne z prawdą. Uważam, że właśnie dlatego tamci ludzie chcieli mnie zabić, a co jeszcze bardziej prawdopodobne, zapłacono im, by mnie zamordowali.

Sędzia pokoju przyjrzał się Seldonowi, a potem zawołał w stronę funkcjonariusza, który go aresztował:

— Czy sprawdził pan tego człowieka, który został ranny? Był już notowany?

Mężczyzna chrząknął.

— Tak, panie sędzio. Aresztowano go już kilkakrotnie za napady i kradzieże.

— Więc jest recydywistą, tak? A czy pan profesor jest notowany?

— Nie, panie sędzio.

— Tak więc mamy tu starego i niewinnego człowieka, który walczył ze znanym przestępcą, a pan aresztował właśnie tego starego i niewinnego człowieka. Zgadza się?

Funkcjonariusz milczał.

— Jest pan wolny, profesorze — oznajmił sędzia pokoju.

— Dziękuję, panie sędzio. Czy mogę dostać moją laskę?

Sędzia pstryknął palcami w stronę oficera, a ten podał Seldonowi laskę.

— Tylko jedna uwaga, profesorze — rzekł sędzia pokoju. — Jeśli

znów zechce pan użyć laski, to proszę się najpierw upewnić, czy będzie pan w stanie udowodnić, że wykorzystał ją w obronie własnej. W przeciwnym razie…

— Tak, panie sędzio.

Hari Seldon opuścił salę magistratu, opierając się ciężko na lasce, ale głowę miał wysoko uniesioną.

20

Wanda płakała gorzko; twarz miała mokrą od łez, oczy zaczerwienione, policzki spuchnięte.

Hari Seldon stanął obok niej i poklepał po plecach, nie wiedząc, jak ją uspokoić.

— Dziadku, nic mi się nie udaje. Myślałam, że potrafię wpływać na ludzi… i jest tak, jeśli nie mają mi za złe, że to robię, tak jak mama i tata. Ale nawet wtedy to zajmuje mnóstwo czasu. Opracowałam nawet system wartościowania oparty na dziesięciopunktowej skali: pewnego rodzaju wzorzec, dzięki któremu oceniam mój wpływ na ludzi. Chyba jednak zbyt wysoko się oceniłam. Zakładałam, że mogłabym dostać dziesięć punktów, a przynajmniej dziewięć. Teraz jednak zrozumiałam, że należy mi się najwyżej siedem.

Przestała płakać i tylko od czasu do czasu pociągała nosem, gdy Hari gładził ją po ręce.

— Zazwyczaj… zazwyczaj to nie jest trudne. Jeśli się skoncentruję, słyszę, o czym myślą ludzie, a kiedy chcę, potrafię wywrzeć na nich wpływ. Ale ci bandyci! Tak, słyszałam ich, ale w żaden sposób nie potrafiłam zmusić ich do odwrotu.

— Myślę, że doskonale sobie poradziłaś.

— Nieprawda. Za dużo sobie wyobrażałam. Pomyślałam, że jeśli pójdą za tobą, to wytężając umysł, pchnę ich tak, że aż poszybują w powietrzu. W ten sposób chciałam być twoim ochroniarzem. Ale nie udało się… Kiedy pojawiło się tych dwóch facetów, nie mogłam nic zrobić.

— Ależ zrobiłaś. Sprawiłaś, że ten pierwszy się zawahał. Dzięki temu mogłem się odwrócić i dać mu wycisk.

— Nie, nie. Nie mam z tym nic wspólnego. Ja tylko ostrzegłam cię, że on tam jest, a ty sam zrobiłeś resztę.

— Drugi mężczyzna uciekł.

— Bo dołożyłeś temu pierwszemu. Z tym też nie miałam nic wspólnego. — Sfrustrowana Wanda znów zaczęła płakać. — A potem był ten sędzia pokoju. Na niego też usiłowałam wywrzeć wpływ i sprawić, by natychmiast cię wypuścił.

— Przecież mnie uwolnił, i to właściwie natychmiast.

— Nie. Upokorzył cię, zadając głupie pytania, a rozchmurzył się dopiero wtedy, gdy zrozumiał, kim jesteś. I z tym nie miałam nic wspólnego. W każdym wypadku poniosłam klęskę. Przeze mnie mogłeś wpaść w poważne tarapaty.

— Nie, jest przeciwnie, Wando. Może nie udało ci się wywrzeć takiego wpływu, jak byś chciała, ale stało się tak tylko dlatego, że działałaś w warunkach zagrożenia. Nic nie mogłaś na to poradzić. Ale

wiesz co, mam pewien pomysł.

Wyczuwszy podniecenie w głosie Seldona, Wanda popatrzyła na niego.

— Co masz na myśli, dziadku?

— Opowiem ci pokrótce. Pewnie zdajesz sobie sprawę, że muszę mieć kredyty. Bez nich po prostu nie można kontynuować badań, a ja nie mogę znieść myśli, że po tylu latach ciężkiej pracy wszystko miałoby pójść na marne.

— Ja też nie mogę tego znieść. Ale jak możemy zdobyć kredyty?

— Zamierzam raz jeszcze poprosić o audiencję u imperatora. Raz już się z nim spotkałem. To dobry człowiek i lubię go, choć chyba nie jest zbyt zamożny. Jeśli jednak wezmę cię ze sobą, a ty delikatnie wpłyniesz na niego, to może znajdzie jakieś źródło funduszy. To pozwoliłoby mi przez jakiś czas kontynuować badania, póki nie wymyślę czegoś innego.

— Naprawdę wierzysz, że to się uda, dziadku?

— Bez ciebie nie. Ale z tobą… być może. Nie sądzisz, że warto spróbować?

Wanda uśmiechnęła się.

— Wiesz, dziadku, że dla ciebie zrobię wszystko. A poza tym, to nasza jedyna nadzieja.

21

Nie było trudno spotkać się z imperatorem. Agisowi błyszczały oczy, gdy powitał Hariego Seldona.

— Witaj, stary przyjacielu — powiedział. — Czy przyszedłeś, by sprowadzić na mnie nieszczęście?

— Mam nadzieję, że nie — odparł Seldon.

Znużony Agis rozpiął wymyślny płaszcz i rzucił go w kąt pokoju, mówiąc:

— Leż tam sobie. — Popatrzył na matematyka i pokręcił głową. — Nienawidzę go. Jest okropnie ciężki i diabelnie w nim gorąco. Muszę go nosić za każdym razem, gdy każą mi wygłaszać bezsensowne przemówienie; stoję wtedy wyprostowany jak rzeźba. To po prostu potworne. Cleon wyglądał w nim tak, jakby się urodził, by go nosić. Niestety, do mnie w ogóle nie pasuje. Pech chciał, że jestem jego trzecim kuzynem ze strony matki i z tego powodu sukcesorem tronu imperialnego. Chętnie bym to komuś odstąpił za niewielką sumkę. Chciałbyś zostać imperatorem, Hari?

— Nie, nie, nawet nie śmiałbym o tym marzyć, więc nie rób sobie, panie, nadziei — rzekł Seldon, śmiejąc się.

— No dobrze, powiedz mi w takim razie, kim jest ta prześliczna młoda kobieta, którą dziś ze sobą zabrałeś?

Wanda zarumieniła się, a imperator dodał wesoło:

— Nie powinnaś się wstydzić, moja droga. Jeden z przywilejów imperatora pozwala mu mówić, co tylko zechce. Nikt nie może się z nim sprzeczać. Poddani mogą jedynie odpowiedzieć „panie". Ale ja nie chcę, żebyś mówiła do mnie „panie". Nienawidzę tego słowa. Mów do mnie Agis. Co prawda, nie jest to imię, które nadano mi w dniu urodzin. To imię imperialne, a ja musiałem się do niego przyzwyczaić. No dobrze, powiedz mi, Hari, o co chodzi? Co porabiałeś od naszego ostatniego spotkania?

— Napadnięto mnie dwukrotnie — powiedział krótko Seldon. Imperator nie był pewien, czy Hari żartuje czy nie, spytał więc:

— Dwukrotnie? Naprawdę?

Twarz Agisa pociemniała, gdy Helikończyk opowiedział mu o usiłowaniu zabójstwa.

— Domyślam się, że gdy tych ośmiu mężczyzn napadło na ciebie, w pobliżu nie było żadnego funkcjonariusza sił bezpieczeństwa?

— Ani jednego.

Imperator wstał z fotela, wskazując gestem, by Hari i Wanda siedzieli. Spacerował tam i z powrotem, jakby chciał się uspokoić. Następnie stanął przed Seldonem.

— Przez całe tysiąclecia, gdy stało się coś takiego, ludzie mówili:

„Dlaczego nie zwrócimy się do imperatora?” albo „Dlaczego imperator czegoś nie zrobi?” Bo w końcu imperator może coś zrobić i robi coś, nawet jeśli nie jest to najmądrzejsze. Ale ja, Hari… ja jestem bezsilny. Zupełnie bezsilny. Ach, prawda, istnieje tak zwana Komisja Bezpieczeństwa Publicznego, ale oni raczej troszczą się o moje bezpieczeństwo niż publiczne. Aż dziwne, że w ogóle pozwolili na tę audiencję, bo ciebie komisja jakoś nie lubi. Nie mogę więc nic zrobić. Wiesz przecież, co się stało z pozycją imperatora od czasu upadku junty i tak zwanego przywrócenia władzy imperialnej.

— Chyba wiem.

— Założę się, że nie wiesz wszystkiego. Teraz mamy demokrację. Wiesz, co to jest demokracja?

— Oczywiście.

Agis zmarszczył brwi.

— Założę się, że uważasz ją za coś dobrego.

— Sądzę, że może być dobra.

— I tu się mylisz. Wcale nie jest. Przez nią rozpada się całe Imperium. Powiedzmy, że chcę wysłać więcej funkcjonariuszy na ulice Trantora. Dawniej podpisałbym tylko odpowiedni dokument przygotowany przez sekretariat imperialny i natychmiast na ulicach znalazłoby się więcej sił bezpieczeństwa. Teraz nie mogę zrobić czegoś takiego. Muszę przedłożyć prośbę ciału ustawodawczemu. Gdy tylko coś zaproponuję, siedem tysięcy pięćset mężczyzn i kobiet natychmiast zaczyna gęgać jak stado gęsi. Po pierwsze, skąd weźmiemy na to fundusze? Nie można mieć o dziesięć tysięcy funkcjonariuszy więcej, jeśli nie da się im dziesięciu tysięcy pensji. A nawet jeśli wyrazimy zgodę na coś takiego, to kto przeprowadzi selekcję nowych oficerów? Kto ich będzie nadzorował? Członkowie ciała ustawodawczego krzyczą na siebie, sprzeczają się tak, jakby rozszalała się burza z piorunami… i nic nie robią. Hari, nie mogłem się nawet doprosić, by naprawiono światła kopuły. Ile by to kosztowało? Kto za to odpowiada? O tak, światła zostaną naprawione, ale pewnie upłynie kilka miesięcy, zanim to zrobią. Tak wygląda demokracja.

— O ile pamiętam, imperator Cleon zawsze narzekał, że nie może zrobić tego, co chce — powiedział Seldon.

— Imperator Cleon — rzucił niecierpliwie Agis — miał dwóch najlepszych Pierwszych Ministrów: Demerzela i ciebie, i obaj powstrzymywaliście go przed zrobieniem czegoś głupiego. Ja mam siedem tysięcy pięciuset Pierwszych Ministrów, a wszyscy głupio postępują. Ale domyślam się, Hari, że nie przyszedłeś do mnie, by narzekać, że cię zaatakowano.

— No właśnie, chodzi o coś gorszego. Panie… Agisie… potrzebuję kredytów.

Imperator popatrzył na niego.

— I prosisz mnie o to po tym wszystkim, co ci powiedziałem? Nie mam kredytów. O tak, oczywiście są kredyty na cele rządowe, ale by je dostać, muszę stawić czoło siedmiu i pół tysiąca członków ciała ustawodawczego. Jesteś szalony, jeśli myślisz, że mogę pójść do nich i powiedzieć: „Potrzebne mi są kredyty dla mojego przyjaciela Hariego Seldona". To niemożliwe, bym przed upływem dwóch lat dostał choć jedną czwartą tego, o co poproszę. — Agis wzruszył ramionami i dodał łagodniej: — Nie zrozum mnie źle, Hari. Pomógłbym ci, gdybym tylko mógł. A jeszcze chętniej pomógłbym ci ze względu na twoją wnuczkę. Kiedy patrzę na nią, czuję się tak, że chciałbym ci dać wszystkie kredyty, jakie posiadam… ale to niemożliwe.

— Agisie, jeśli nie zdobędę funduszy, to po prawie czterdziestu latach badań psychohistoria zmarnieje.

— I tak nic z niej nie wynika, więc dlaczego się martwisz?

— Agisie, teraz nie mogę zrobić już nic więcej. Napadnięto na mnie właśnie dlatego, że jestem psychohistorykiem. Ludzie uważają mnie za człowieka przepowiadającego destrukcję.

Imperator pokiwał głową.

— Przynosisz nieszczęście, Seldonie Kruku. Już ci to mówiłem. Seldon wstał z nieszczęśliwą miną.

— W takim razie jestem skończony.

Wanda, która także wstała, czubkiem głowy sięgała Seldonowi do ramienia. Wzrok utkwiła w imperatorze. Gdy Hari odwrócił się, by wyjść, Agis powiedział:

— Zaczekaj, zaczekaj. Jest pewien wierszyk, którego się kiedyś nauczyłem:

Żeby spełnić własne cele,
Zły przemierza Ziemię,
Tam gdzie ludzie coraz bogatsi,
Choć postępują niegodziwie.

— Co to znaczy? — spytał przygnębiony Seldon.

— To znaczy, że Imperium nieprzerwanie marnieje i rozpada się, co jednak nie przeszkadza pewnym ludziom bogacić się. Dlaczego nie zwrócić się do kilku zamożnych przedsiębiorców? Oni nie mają nad sobą ciała ustawodawczego i mogą, jeśli tylko zechcą, wypisać czek.

Seldon przyglądał się imperatorowi.

— Spróbuję — obiecał.

22

— Panie Bindris — powiedział Hari Seldon, wyciągając rękę, by uścisnąć podaną mu dłoń. — Tak się cieszę, że pana widzę. To miło, że zechciał się pan ze mną spotkać.

— Dlaczego by nie? — rzekł jowialnie Terep Bindris. — Znam pana dobrze. A raczej wiele o panu słyszałem.

— To miło. W takim razie pewnie słyszał pan o psychohistorii.

— O tak, który inteligentny człowiek o niej nie słyszał. Nie znaczy to, że cokolwiek z tego rozumiem, co to, to nie. A kim jest ta młoda dama, która panu towarzyszy?

— To moja wnuczka, Wanda.

— Jest śliczną młodą kobietą. — Bindris uśmiechnął się promiennie. — Czuję, że w jej rękach zmiękłbym jak plastelina.

— Myślę, że pan przesadza — powiedziała Wanda.

— Nie, naprawdę nie. Ale proszę, siadajcie i powiedzcie, w czym mogę wam pomóc.

Wskazał pokryte brokatem fotele stojące przed biurkiem, za którym usiadł. W olbrzymim biurze Bindrisa fotele, tak jak i ozdobne biurko, imponujące rzeźbione drzwi, które uchyliły się bezszelestnie na znak ich przyjazdu, oraz błyszczące podłogi z obsydianu — wszystko było najlepszej jakości. A jednak, mimo że otoczenie wywierało imponujące wrażenie, Bindris jakby tu nie pasował. Na pierwszy rzut oka trudno było wziąć tego serdecznego człowieka za jednego z najważniejszych przedstawicieli elity finansowej Trantora.

— Przyszliśmy do pana, bo tak poradził nam imperator.

— Imperator?

— Tak, on sam nie może nam pomóc, ale pomyślał, że człowiek taki jak pan pewnie będzie w stanie. Chodzi oczywiście o kredyty.

Bindris skrzywił się.

— Kredyty? Nie rozumiem — stwierdził.

— No cóż — powiedział Seldon — przez prawie czterdzieści lat badania nad psychohistorią finansował rząd. Czasy się jednak zmieniły, a Imperium nie jest już takie jak kiedyś.

— Tak, wiem o tym.

— Imperatorowi brakuje kredytów, by nas wesprzeć, a nawet gdyby je miał, i tak nie mógłby spełnić naszej prośby bez uzyskania zgody ciała ustawodawczego. Wobec tego zaproponował, byśmy się spotkali z biznesmenami, którzy po pierwsze, wciąż mają fundusze, a po drugie, mogą po prostu wypisać czek.

Na dłuższą chwilę zapanowało milczenie, aż wreszcie Bindris powiedział:

— Obawiam się, że imperator nie wie nic o prowadzeniu

interesów. Ile kredytów potrzebujecie?

— Panie Bindris, mówimy o olbrzymim przedsięwzięciu. Będę potrzebował kilku milionów.

— Kilku milionów!

— Tak.

Przedsiębiorca zmarszczył brwi.

— Mówimy o pożyczce? Jak pan myśli, kiedy będzie pan mógł zwrócić pieniądze?

— No cóż, panie Bindris, uczciwie powiem, że nie sądzę, bym mógł je kiedykolwiek zwrócić. Oczekuję darowizny.

— Gdybym nawet chciał panu dać kredyty — a powiem, że z jakiegoś dziwnego powodu bardzo chciałbym to zrobić — to i tak nie mógłbym. Imperator ma swoje ciało ustawodawcze, a ja radę nadzorczą. Nie mogę zrobić takiego podarunku bez zgody rady, a oni nigdy jej nie udzielą.

— Dlaczego nie? Pańska firma jest niezwykle zamożna. Te kilka milionów to dla niej drobnostka.

— Tak się tylko panu wydaje — rzekł Bindris. — Obawiam się jednak, że w tej chwili nie wiedzie się nam za dobrze. Jeszcze nie mamy poważnych kłopotów, ale i tymi, które są, się martwimy. Skoro Imperium podupada, to samo spotyka jego poszczególne części. Nie możemy podarować panu kilku milionów. Naprawdę, bardzo mi przykro.

Seldon siedział bez słowa, a Bindris wyglądał na zmartwionego. Wreszcie przedsiębiorca pokręcił głową i dodał:

— Profesorze Seldon, naprawdę chciałbym panu pomóc, szczególnie ze względu na młodą damę, która panu towarzyszy. Niestety, to niemożliwe. Nie jesteśmy wszakże jedyną firmą na Trantorze. Niech pan spróbuje u innych, profesorze. Może tam będzie pan miał więcej szczęścia.

— No cóż — rzekł Seldon, podnosząc się z wysiłkiem — przynajmniej próbowaliśmy.

23

Oczy Wandy wypełniły się łzami, tyle że nie były one oznaką smutku, ale wściekłości.

— Dziadku — powiedziała — nie rozumiem tego. Po prostu nie rozumiem. Byliśmy w czterech różnych firmach. W każdej ludzie zachowywali się mniej uprzejmie niż w poprzedniej. Z czwartej zwyczajnie nas wyrzucono. A potem nikt już nas nawet nie przyjął.

— To nic dziwnego, Wando — rzekł łagodnie Seldon. — Kiedy spotkaliśmy się z Bindrisem, nie wiedział, po co do niego przyszliśmy, więc zachowywał się bardzo przyjaźnie, dopóki nie poprosiłem go o kilka milionów kredytów. Wtedy stał się znacznie mniej przychylny. Sądzę, że wszyscy biznesmeni wiedzą już, czego od nich chcemy, więc za każdym razem przyjmowali nas chłodniej, a teraz w ogóle nie chcą nas wpuszczać. Po co mieliby to robić? Nie zamierzają dać nam kredytów, po co zatem mieliby marnować na nas czas.

Gniew Wandy obrócił się przeciwko niej.

— A co ja zrobiłam? Nic. Siedziałam tam tylko i nic nie zrobiłam.

— Ja bym tego nie powiedział — stwierdził Seldon. — Miałaś duży wpływ na Bindrisa, Wydawało mi się, że naprawdę chciał nam dać pieniądze, i była to twoja zasługa. Naciskałaś na niego i coś jednak osiągnęłaś.

— Ale za mało. A poza tym obchodziło go tylko to, że jestem ładna.

— Nie ładna — mruknął Seldon. — Piękna. Śliczna.

— No i co teraz zrobimy, dziadku? — spytała Wanda. — Po tylu latach badań psychohistoria upadnie.

— Tak przypuszczam — potwierdził Helikończyk. — W pewnym sensie nie można temu zapobiec. Od niemal czterdziestu lat przepowiadałem Upadek Imperium, a teraz, kiedy nadszedł, wraz z nim upadnie także psychohistoria.

— Ale psychohistoria uratuje Imperium, przynajmniej częściowo.

— Wiem, że tak będzie, ale nie mogę tego przyspieszyć.

— Chcesz po prostu czekać na Upadek Imperium? Seldon pokręcił głową.

— Spróbuję nie dopuścić do tego, choć muszę przyznać, że nie wiem, jak się do tego zabrać.

— Ja zamierzam poćwiczyć — oznajmiła. — Musi istnieć jakiś sposób, by wzmocnić mój wpływ na innych, bym łatwiej mogła zmuszać ludzi, żeby robili to, co zechcę.

— Mam nadzieję, że ci się to uda.

— Co chcesz zrobić, dziadku?

— Cóż, nic wielkiego. Dwa dni temu, kiedy szedłem na spotkanie

z Naczelnym Bibliotekarzem, zauważyłem w bibliotece trzech mężczyzn, którzy kłócili się na temat psychohistorii. Z jakiegoś powodu jeden z nich wywarł na mnie wielkie wrażenie. Nalegałem, by się ze mną spotkał, a on się zgodził. Ma przyjść dziś po południu do mojego biura.

— Chcesz, żeby dla ciebie pracował?

— Chciałbym, gdybym miał dość kredytów, by mu zapłacić. Ale nie zaszkodzi z nim porozmawiać. I tak nie mamy nic do stracenia.

24

Młody człowiek przyszedł dokładnie o czwartej SCT (Standardowego Czasu Trantorskiego). Seldon uśmiechnął się, gdyż lubił punktualnych ludzi. Położył dłonie na biurku i już chciał wstać, kiedy młodzieniec powiedział:

— Proszę nie wstawać, profesorze. Wiem, że ma pan kłopoty z nogą.

— Dziękuję, młody człowieku. Jednak to nie znaczy, że pan nie może usiąść. Bardzo proszę.

Młodzieniec zdjął marynarkę i usiadł.

— Proszę mi wybaczyć… kiedy się poznaliśmy i zaprosiłem pana do siebie, nie spytałem o nazwisko. Jak się pan nazywa?

— Stettin Palver — powiedział mężczyzna.

— Aha. Palver! Palver! To brzmi jakoś znajomo.

— Powinno, profesorze. Mój dziadek wiecznie się przechwalał, że pana zna.

— Pański dziadek. No tak, oczywiście. Joramis Palver. O ile sobie przypominam, był młodszy ode mnie o dwa lata. Namawiałem go, by wziął udział w badaniach nad psychohistorią, ale odmówił. Powiedział, że nie zdoła tak opanować matematyki, by móc z nami pracować. Szkoda! A jak on się ma?

— Obawiam się, że Joramis odszedł tam, gdzie odchodzą starsi ludzie — rzekł poważnie Palver. — Nie żyje.

Seldon skrzywił się. Dwa lata młodszy od niego, a już nie żyje. W dawnych czasach byli bliskimi przyjaciółmi, a jednak do tego stopnia stracili ze sobą kontakt, że kiedy Joramisa zabrała śmierć, Seldon nawet się o tym nie dowiedział. Siedział przez chwilę, nic nie mówiąc, aż wreszcie mruknął:

— Przykro mi.

— Miał ciekawe życie — rzekł młody człowiek, wzruszając ramionami.

— A pan, młodzieńcze, gdzie się uczył?

— Na Uniwersytecie Langano. Helikończyk zmarszczył brwi.

— Langano? Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale to chyba nie jest na Trantorze, prawda?

— Nie. Chciałem sprawdzić, jak wyglądają inne światy. Uniwersytety na Trantorze, jak pan zapewne doskonale wie, są bardzo zatłoczone. Chciałem znaleźć miejsce, gdzie mógłbym studiować w spokoju.

— A czego się pan uczył?

— Och, niczego specjalnego. Historii. To nie jest dziedzina, dzięki której można zdobyć dobrą pracę.

(Seldon znowu się skrzywił, jeszcze bardziej niż poprzednio. Dors Venabili była historykiem.)

— A jednak wrócił pan na Trantor. Dlaczego?

— Potrzebuję kredytów i pracy.

— Chce pan pracować jako historyk? Palver roześmiał się.

— Nie ma szansy na taką pracę. Obsługuję urządzenia transportowe. To niezbyt ciekawe zajęcie.

Seldon popatrzył na Palvera z pewną zazdrością. Cienki materiał koszuli podkreślał zarys ramion i piersi. Był dobrze umięśniony. Seldon nigdy nie miał takiej muskulatury.

— Pewnie na uniwersytecie był pan w drużynie bokserskiej.

— Kto, ja? Nigdy. Jestem zapaśnikiem.

— Zapaśnikiem! — Seldonowi aż zadrżało serce. — Pochodzisz z Helikonu?

— Nie trzeba koniecznie pochodzić z Helikonu, by być dobrym zapaśnikiem — stwierdził Palver, uśmiechając się lekko.

Nie, pomyślał Seldon, ale stamtąd pochodzą najlepsi. Nie powiedział jednak tego na głos. Zmieniając temat, odezwał się:

— No cóż, pański dziadek już do mnie nie dołączy. A pan?

— Miałbym się zajmować psychohistorią?

— Słyszałem, jak rozmawiał pan z innymi, kiedy spotkałem pana po raz pierwszy, i wydawało mi się, że mówił pan bardzo rozsądnie o psychohistorii. Czy zechciałby pan ze mną pracować?

— Jak już powiedziałem, profesorze, mam pracę.

— Tak, ale co to za praca! Niech pan da spokój.

— Dobrze mi płacą.

— Kredyty to nie wszystko.

— Ale są potrzebne. A pan, o ile wiem, niewiele może mi zapłacić. Właściwie jestem pewien, że nie ma pan kredytów.

— Dlaczego pan tak mówi?

— Zgaduję. Ale chyba się nie mylę, prawda? Hari zacisnął usta; po chwili odparł:

— Nie, nie myli się pan. Rzeczywiście, nie mogę panu wiele zapłacić. Przykro mi. To chyba już koniec naszej pogawędki.

— Zaraz, zaraz — powiedział Palver, unosząc dłonie. — Niech się pan tak nie spieszy. Jeszcze nie skończyliśmy rozmawiać o psychohistorii. Jeśli zacznę pracować dla pana, będę się jej uczył, zgadza się?

— Oczywiście.

— W takim razie kredyty to rzeczywiście nie wszystko. Zawrzemy układ. Pan nauczy mnie tyle o psychohistorii, ile zdoła, i zapłaci mi, ile będzie mógł, a ja postaram się jakoś dać sobie radę. Co pan na to?

— Wspaniale! — rzucił radośnie Seldon. — To mi się podoba. Ale jest coś jeszcze.

— Co takiego?

— W ostatnich tygodniach dwukrotnie mnie zaatakowano. Za pierwszym razem obronił mnie syn, ale potem wyjechał na Santanni. Za drugim razem zrobiłem użytek z mojej laski wypełnionej ołowiem. Udało mi się, ale postawiono mnie przed obliczem sędziego pokoju i oskarżono o napad oraz pobicie…

— Dlaczego pana zaatakowano? — przerwał mu Palver.

— Nie jestem lubiany. Od tak dawna przepowiadałem Upadek Imperium, że teraz, gdy nadchodzi, obwiniają mnie o to.

— Rozumiem. Ale co to wszystko ma wspólnego ze mną?

— Chciałbym, żeby został pan moim ochroniarzem. Jest pan młody i silny, ale przede wszystkim jest pan zapaśnikiem. Właśnie taki człowiek jest mi potrzebny.

— Mam nadzieję, że się nadam — powiedział Palver z uśmiechem.

25

— Spójrz tutaj, Stettinie — powiedział Seldon, gdy przechadzali się wczesnym wieczorem po jednej z dzielnic mieszkalnych w pobliżu Uniwersytetu Streelinga. Starszy mężczyzna wskazał śmieci — zmieszane odpadki wyrzucone z okien przejeżdżających samochodów naziemnych lub upuszczone przez beztroskich przechodniów — które walały się na chodniku. — Dawno temu — kontynuował Seldon — nigdy nie zobaczyłbyś takich śmieci. Służby bezpieczeństwa czuwały, a służby miejskie przez całą dobę utrzymywały miejsca publiczne w porządku. A co ważniejsze, nikt nie pomyślałby nawet, by wyrzucić śmieci w taki sposób. Trantor był naszym domem, byliśmy z niego dumni. A teraz — zrezygnowany Seldon pokręcił smutno głową i westchnął — jest… — Tu nagle załamał mu się głos.

— Hej ty, młody człowieku! — krzyknął w stronę niechlujnego młodzieńca, który idąc w przeciwnym kierunku, minął ich chwilę wcześniej. Żuł jakiś przysmak, który właśnie włożył do ust, a jego opakowanie rzucił na ziemię, nie patrząc nawet, gdzie poleciało. — Podnieś to i wyrzuć, gdzie należy — upomniał go Seldon.

Młody człowiek spojrzał na niego ponuro.

— Sam to sobie podnieś — warknął, po czym odwrócił się i odszedł.

— To jeszcze jeden znak upadku społeczeństwa, tak jak to pan przewidział za pomocą psychohistorii — powiedział Palver.

— Tak. Wszędzie wokół Imperium rozpada się, kawałek po kawałku. Prawdę mówiąc, już się rozpadło i nie ma od tego odwrotu. Do Upadku wspaniałego niegdyś Imperium przyczyniły się apatia, upadek obyczajów i chciwość. Co będziemy mieli zamiast niego? Dlaczego…?

Seldon przerwał, dostrzegłszy minę Palvera. Wydawało się, że młody człowiek słucha uważnie — ale nie jego głosu. Przekrzywił głowę i widać było, że myślami jest gdzieś daleko, jakby usiłował usłyszeć jakieś odgłosy niesłyszalne dla innych.

Nagle jakby się przebudził i ponownie znalazł obok Seldona. Rozglądając się uważnie, ujął go za ramię.

— Hari, musimy szybko uciekać. Zbliżają się…

W tej chwili wieczorną ciszę przerwał odgłos szybkich kroków. Seldon i Palver zawrócili, ale było już za późno; otoczyła ich banda napastników. Jednak tym razem Hari Seldon był przygotowany. Natychmiast zaczął wywijać laską. Widząc to, troje nastolatków, dwóch chłopaków i dziewczyna, roześmiało się.

— Więc nie ułatwisz nam zadania, staruszku?! — warknął chłopak, który najwyraźniej był przywódcą grupy. — I tak powalimy

cię w dwie sekundy. Zro… — Nagle upadł na ziemię, otrzymawszy celny cios w żołądek. Pozostałych dwoje skuliło się, przygotowując do ataku. Ale Palver był szybszy. Oni także leżeli na ziemi, zanim się spostrzegli, skąd nadszedł cios.

I już było po wszystkim — niemal tak szybko, jak się zaczęło. Seldon stał z boku, opierając się ciężko na lasce, i trząsł się, wiedząc, że znów cudem uszedł z życiem. Palver, dysząc z wysiłku, przyglądał się polu walki. Troje napastników leżało na opustoszałym chodniku pod ciemniejącą kopułą.

— Uciekajmy stąd. Szybko! — nalegał znów Palver, choć tym razem to nie przed napastnikami mieli uciekać.

— Ależ Stettinie, nie możemy stąd odejść — zaprotestował Seldon. Wskazał na nieprzytomnych niedoszłych rabusiów. — To tylko dzieci. Mogą umrzeć. Nie możemy tak po prostu odejść. To niehumanitarne — tak, to dobre określenie — a przez te wszystkie lata usiłowałem bronić wartości humanitarnych. — Uderzył laską w ziemię, by podkreślić swoje słowa, a oczy mu błyszczały.

— Nonsens — odparł Palver. — Niehumanitarne jest postępowanie złoczyńców, którzy napadają na niewinnych obywateli takich jak pan. Myśli pan, że oni zastanawialiby się choć przez chwilę? Bez namysłu wbiliby panu nóż w brzuch, by ukraść ostatni kredyt, a potem kopnęliby pana i uciekli! I tak szybko dojdą do siebie i czmychną stąd, by lizać rany. Albo ktoś ich znajdzie i zadzwoni po pomoc. Niech pan tylko pomyśli! Po tym, co się stało ostatnim razem, może pan stracić wszystko, jeśli wplącze się pan w jeszcze jedną aferę. Proszę, Hari, uciekajmy stąd! — Mówiąc to, Palver chwycił Seldona za ramię. Ten zaś, obejrzawszy się po raz ostatni, pozwolił się odprowadzić.

Kiedy w oddali ucichły odgłosy kroków obu mężczyzn, zza drzew wyłoniła się postać. Chichocząc, młodzieniec o ponurych oczach wymamrotał:

— I pan, profesorze, będzie mi mówił, co jest dobre, a co złe. — Powiedziawszy to, obrócił się na pięcie i poszedł wezwać siły bezpieczeństwa.

26

— Spokój! Nakazuję spokój! — krzyknęła sędzia Tejan Popjens Lih. Publiczne przesłuchanie profesora Seldona Kruka i jego młodego towarzysza Stettina Palvera odbywało się w atmosferze nagonki na zbrodniarza. Stał tu człowiek, który przepowiedział Upadek Imperium, zniszczenie cywilizacji, który upominał innych, by przypomnieli sobie złoty wiek uprzejmości i porządku — i oto on, jak zeznał naoczny świadek, właściwie bez powodu kazał brutalnie pobić troje młodych Trantorczyków. O tak, zapowiadało się spektakularne przesłuchanie, które niewątpliwie doprowadzi do jeszcze bardziej spektakularnego procesu. Sędzia nacisnęła przycisk we wgłębieniu ławy i w zatłoczonej sali sądowej rozległ się donośny dźwięk gongu.

— Nakazuję spokój! — powtórzyła. — Jeśli będzie trzeba, opróżnię salę. To ostrzeżenie, którego już nie powtórzę.

Wyglądała imponująco w szkarłatnej todze. Pochodząca z jednego ze Światów Zewnętrznych, Lysteny, Lih miała nieco sinawą cerę, a odcień ten pogłębiał się, gdy była zmęczona; gdy się zdenerwowała, jej twarz przybierała odcień purpurowy. Krążyły pogłoski, że przez wszystkie lata, które spędziła w ławie sędziowskiej — choć uważano ją za wybitną prawniczkę, która zyskała sobie opinię jednej z najlepszych interpretatorek prawa imperialnego — Tejan chełpiła się swym kolorowym wyglądem, a jaskrawoczerwone szaty podkreślały delikatny turkusowy odcień jej skóry.

Mówiono, że Lih ostro traktuje tych, którzy złamali prawo imperialne; była jednym z niewielu sędziów, którzy trzymali się kodeksu prawa cywilnego i nie wahali się go stosować.

— Słyszałam o panu, profesorze Seldon, i o pańskich teoriach dotyczących nadejścia zagłady. Rozmawiałam też z sędzią pokoju, który ostatnio prowadził pańską sprawę. Uderzył pan wówczas pewnego człowieka laską wzmocnioną ołowiem. Wtedy także twierdził pan, że był ofiarą napadu. Jak sądzę, pańskie postępowanie wynika z poprzedniego, nie zgłoszonego siłom bezpieczeństwa wypadku, kiedy to pan i pański syn zostaliście rzekomo napadnięci przez ośmiu bandytów. Zdołał pan przekonać mojego szanownego kolegę, profesorze Seldon, że działał w obronie własnej, choć naoczny świadek mówił co innego. Tym razem, profesorze, musi pan być znacznie bardziej przekonujący.

Troje napastników, którzy wnieśli oskarżenie przeciwko Seldonowi i Palverowi, zachichotało nieprzyzwoicie w ławie oskarżyciela. Wyglądali całkiem inaczej niż tego wieczoru, gdy chcieli zaatakować Helikończyka: młodzieńcy mieli na sobie czyste luźne kombinezony, dziewczyna cienką pofałdowaną tunikę. Tak więc

wydawało się, że tych troje przedstawia uspokajający obraz trantorskiej młodzieży.

Prawnik Seldona Civ Novker, który reprezentował także Palvera, zbliżył się do ławy sędziowskiej.

— Wysoki Sądzie, mój klient jest uczciwym członkiem trantorskiej społeczności. Jest byłym Pierwszym Ministrem o wybitnych zasługach. Zna osobiście naszego imperatora Agisa XIV. Cóż by zyskał, atakując niewinnych młodych ludzi? Jest jednym z najzagorzalszych rzeczników trantorskiej młodzieży i to dzięki niemu w pracach nad Projektem Psychohistorii zatrudniono bardzo wielu studentów. Jest uwielbianym przez wszystkich członkiem kadry profesorskiej Uniwersytetu Streelinga. A co więcej — tu Novker przerwał na chwilę, omiatając wzrokiem zatłoczoną salę sądową, jakby chciał powiedzieć: „Tylko poczekajcie, aż usłyszycie, co mam wam do powiedzenia, a będziecie się wstydzić, że choć przez chwilę wątpiliście w prawdomówność mojego klienta” — profesor Seldon jest jednym z bardzo niewielu ludzi, którzy mają swobodny dostęp do prestiżowej Biblioteki Galaktycznej. Przyznano mu swobodny dostęp do urządzeń biblioteki, by mógł pracować nad Encyklopedią Galaktyczną, prawdziwym peanem na cześć cywilizacji Imperium. Pytam was więc, jak to możliwe, że ten człowiek jest przesłuchiwany w takiej sprawie?

Novker wskazał na Seldona, który wraz ze Stettinem Palverem siedział w ławie obrońcy. Hari wyglądał nie najlepiej: policzki miał zarumienione, gdyż nie przywykł do pochwał (a przecież ostatnio stał się raczej obiektem kpin niż wyrazów uznania), a dłoń drżała mu lekko na rzeźbionej główce wiernej laski.

Sędzia Lih spojrzała na Seldona wcale nie przekonana.

— No właśnie, cóż by zyskał, mecenasie? Sama zadawałam sobie to pytanie. Przez ostatnie kilka nocy spędzało mi ono sen z powiek. Jaki jest prawdziwy powód? Dlaczego człowiek pokroju profesora Seldona atakuje nie sprowokowany, skoro sam zdecydowanie krytykuje tak zwane załamanie porządku publicznego? I nagle oświeciło mnie. Pewnie sfrustrowany profesor, któremu nikt nie wierzy, czuje, że musi udowodnić światom, że przewidywana przez niego zagłada rzeczywiście nadchodzi. Przecież mamy przed sobą człowieka, który spędził całe życie zawodowe, przepowiadając Upadek Imperium, a wszystko, co może nam pokazać, to kilka przepalonych żarówek w kopule, okresowe kłopoty z transportem publicznym, jakieś cięcia budżetowe… słowem, nic zatrważającego. Ale atak, albo dwa lub trzy, o tak, to by było coś poważnego.

Lih odchyliła się na oparcie i splotła przed sobą ręce; miała zadowoloną minę. Seldon wstał i wparł się mocno o stół. Z wielkim wysiłkiem podszedł do ławy sędziowskiej, jakby przyciągał go zimny

wzrok sędziego, i dał znak swemu prawnikowi, by mu nie przeszkadzał.

— Wysoki Sądzie, proszę mi pozwolić powiedzieć kilka słów w swojej obronie.

— Oczywiście, profesorze Seldon. Przecież to nie rozprawa, a jedynie przesłuchanie w celu wydania postanowienia, czy rozprawa jest konieczna. Przedstawiłam tylko moją teorię. Bardzo mnie interesuje, co ma mi pan do powiedzenia.

Seldon przełknął ślinę, zanim zaczął.

— Poświęciłem życie Imperium. Służyłem wiernie imperatorom. Moja nauka, psychohistoria, zamiast stać się zwiastunem zniszczenia, ma się przyczynić do odnowy. Dysponując nią, będziemy przygotowani na wszystko, co przyniesie cywilizacja. Jeśli, jak sądzę, Upadek Imperium będzie postępował, psychohistoria pomoże nam odbudować nową i lepszą cywilizację, opartą na tym wszystkim, co było dobre w starej. Kocham nasze światy, naszych ludzi, nasze Imperium… Po co miałbym robić coś, co przyczyniłoby się do niepraworządności? Nie mam nic więcej do powiedzenia. Musicie mi uwierzyć. Jestem człowiekiem, dla którego ważne są intelekt, równania i nauka… i mówię to szczerze. — Seldon odwrócił się i poszedł wolno w kierunku swojego krzesła. Zanim usiadł, odnalazł wzrokiem Wandę, która siedziała na galerii dla publiczności. Uśmiechnęła się lekko i puściła do niego oko.

— Czy mówi pan szczerze czy nie, profesorze Seldon, decyzja ta będzie wymagała z mojej strony głębszego zastanowienia. Usłyszeliśmy zeznania oskarżycieli oraz wyjaśnienie pana i pana Palvera. Jest jeszcze jedna strona, której świadectwo jest mi potrzebne. Chciałabym wysłuchać Riala Nevasa, który był naocznym świadkiem tego incydentu. Kiedy Nevas podszedł do ławy sędziowskiej, Seldon i Palver popatrzyli na siebie zaniepokojeni. To właśnie tego chłopaka Hari upomniał tuż przed całym incydentem.

— Panie Nevas, proszę opowiedzieć nam dokładnie, czego to był pan świadkiem tej nocy, o której mówimy — poprosiła sędzia Lih.

— No więc — zaczął Nevas, utkwiwszy wzrok w Seldonie — szłem sobie i myślałem o własnych sprawach, kiedy zobaczyłem tych dwóch. — Wskazał na Seldona oraz Palvera. — Zbliżali się do mnie. I wtedy zobaczyłem te dzieciaki. — Tym razem wskazał trójkę siedzącą przy stole oskarżenia. — Tych dwóch facetów szło za dzieciakami. Ale nie widzieli mnie, bo szłem po drugiej stronie chodnika, a poza tym gapili się na swe ofiary. I wtedy bach! Tak po prostu. Ten starszy facet dołożył im laską, a młodszy podskoczył do nich i walnął ich. Zanim się spostrzegli, już wszyscy leżeli. Wtedy ten starszy facet i jego kumpel po prostu odeszli; nawet się nie obejrzeli. Nie mogłem w to uwierzyć.

— To kłamstwo! — wybuchnął Seldon. — Młody człowieku,

robisz sobie żarty w sprawie ważnej dla naszego życia!

Nevas tylko spojrzał obojętnie na Seldona.

— Wysoki Sądzie — powiedział błagalnie Seldon — czy nie widzi pani, że on kłamie? Pamiętam tego człowieka. Złajałem go za to, że śmiecił, na parę chwil przed tym, nim zostaliśmy zaatakowani. Powiedziałem Stettinowi, że to jeszcze jeden przykład upadku naszego społeczeństwa, apatii społecznej…

— Wystarczy, profesorze Seldon! — rozkazała sędzia. — Jeszcze jeden taki wybuch i każę panu opuścić salę. A pan, panie Nevas — zwróciła się do świadka — co pan robił w czasie zdarzenia, które właśnie pan opisał?

— Ja, no, ukryłem się. Za jakimiś drzewami. Ukryłem się, bo bałem się, że mi też dołożą, jak mnie zobaczą. A jak odeszli, pobiegłem i wezwałem siły bezpieczeństwa.

Nevas zaczął się pocić; wsunął palec pod obcisły kołnierzyk kombinezonu. Wiercił się niespokojnie i przestępował z nogi na nogę, stojąc na podwyższeniu dla świadków. Czuł na sobie spojrzenia zebranych; usiłował nie patrzeć na publiczność, ale gdy tylko spojrzał na galerię, napotykał świdrujący wzrok jakiejś ślicznej blondynki siedzącej w pierwszym rzędzie. Czuł się tak, jakby zadawała mu jakieś pytanie i nalegała, by odpowiedział, by mówił.

— Panie Nevas, co ma pan do powiedzenia w sprawie oświadczenia profesora Seldona, który stwierdził, że on i pan Palver widzieli pana przed atakiem, a co więcej, że profesor zamienił z panem kilka słów.

— No więc, nie, widzi pani, było tak, jak powiedziałem… Szłem sobie i… — I znów Nevas spojrzał w kierunku stołu Seldona. Helikończyk patrzył na młodzieńca ze smutkiem, jakby uświadomił sobie, że już przepadł. Jednak towarzysz Seldona, Stettin Palver, spojrzał palącym wzrokiem na Nevasa, a ten aż podskoczył, zdumiony słowami, które usłyszał: „Powiedz prawdę!” Zupełnie jakby Palver to powiedział, choć jego usta się nie poruszyły. Zmieszany młodzieniec odwrócił głowę w kierunku blondynki; wydawało mu się, że słyszy, jak dziewczyna mówi: „Powiedz prawdę!” — ale ona także nie poruszała ustami.

— Panie Nevas, panie Nevas. — Głos sędziego wyrwał młodzieńca z zamyślenia. — Panie Nevas, jeśli profesor Seldon i pan Palver zbliżali się do pana, idąc za trójką młodych ludzi, to jak to możliwe, że pan najpierw zauważył panów Seldona i Pałvera? Tak pan to przedstawił w swoim oświadczeniu, nieprawdaż?

Nevas jak szalony rozglądał się po sali. Wydawało mu się, że nie ucieknie przed tymi oczami, a wszystkie oczy krzyczały do niego „Powiedz prawdę!” Patrząc na Hariego Seldona, Rial Nevas powiedział po prostu „Przepraszam” i ku zdumieniu wszystkich zebranych w

sądzie, czternastoletni chłopiec rozpłakał się.

27

Dzień był śliczny — ani za gorący, ani za zimny, ani zbyt jasny, ani zbyt ciemny. Choć środki przeznaczone na utrzymanie terenów już dawno się wyczerpały, tych kilka całorocznych roślin, które płożyły się wzdłuż schodów wiodących do Biblioteki Galaktycznej, dodawało radości porankowi. Biblioteka zbudowana w stylu klasycznego antyku miała jedne z najbardziej imponujących schodów w całym Imperium — świetnością ustępowały jedynie schodom prowadzącym do Pałacu Imperialnego. Jednak większość ludzi odwiedzających bibliotekę wolała korzystać z windy.

Tego dnia Seldon był w dobrym nastroju. Od chwili gdy on i Stettin Palver zostali uwolnieni od zarzutu napadu, Hari czuł się jak nowo narodzony. Choć doświadczenie było bolesne, jego publiczny charakter przyspieszył sprawę Seldona. Sędzia Tejan Popjens Lih, którą uważano za jedną z najbardziej wpływowych, jeśli nie najbardziej wpływową prawniczkę na Trantorze, nagłośniła zeznanie Riala Nevasa, które złożył następnego dnia.

— Jeśli nasze „cywilizowane" społeczeństwo stanęło na takim rozstaju dróg — grzmiała ze swego miejsca — że człowiek pokroju profesora Seldona musi znosić upokorzenia, ataki i kłamstwa tylko z powodu tego, kim jest i co sobą przedstawia, to znaczy, że dla Imperium nadeszły prawdziwie mroczne czasy. Przyznaję, że początkowo ja także dałam się zwieść. Dlaczego, zastanawiałam się, profesor Seldon uciekałby się do takiego podstępu, chcąc udowodnić swoje przepowiednie? Jednak wkrótce zrozumiałam, że bardzo się myliłam. — Sędzia zmarszczyła brwi, a jej szyja i policzki zaczęły przybierać niebieski odcień. — Przypisywałam profesorowi Seldonowi motywy, które zrodziły się w naszym społeczeństwie. A jest to społeczeństwo, w którym uczciwość, przyzwoitość i dobra wola mogą się przyczynić do czyjejś śmierci; społeczeństwo, w którym jak się wydaje, trzeba się uciekać do nieuczciwości i oszustwa tylko po to, by przetrwać. Jakże daleko odeszliśmy od naszych podstawowych zasad. Tym razem mieliśmy szczęście, drodzy współobywatele Trantora. Profesorowi Seldonowi należą się podziękowania za to, że pokazał nam, jacy naprawdę jesteśmy; weźmy sobie jego przykład do serca i bądźmy czujni, gdy przyglądamy się naszej naturze.

Po zakończeniu przesłuchania imperator przesłał Seldonowi holodysk z gratulacjami. Wyrażał nadzieję, że być może teraz Hari znajdzie fundusze na swój Projekt.

Wjeżdżając windą, Helikończyk zastanawiał się nad sytuacją Projektu Psychohistorii. Jego dobry przyjaciel, były Naczelny Bibliotekarz Las Zenow przeszedł na emeryturę. Zenow zawsze

popierał Seldona i jego pracę. Najczęściej jednak miał związane ręce — oponował zarząd biblioteki. Ale, jak zapewnił Hariego, przychylnie nastawiony nowy Naczelny Bibliotekarz Tryma Acarnio był człowiekiem postępowym i lubianym przez różne ugrupowania w zarządzie.

— Hari, mój przyjacielu-powiedział Las, zanim wyjechał na swój rodzinny świat Wencory — Acarnio to dobry człowiek, intelektualista o otwartym umyśle. Jestem pewien, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by pomóc tobie i Projektowi. Zostawiłem mu wszystkie dane dotyczące ciebie i twojej encyklopedii. Wiem, że będzie równie podekscytowany jak ja, mogąc wnieść wkład w dobro ludzkości. Bywaj, przyjacielu, będę myślał o tobie ciepło.

Tak więc dziś Hari Seldon miał się spotkać po raz pierwszy z nowym Naczelnym Bibliotekarzem. Zapewnienia Łasa Zenowa wprawiły go w dobry nastrój, toteż nie mógł się doczekać, kiedy przedstawi swoje plany dotyczące przyszłości Projektu i encyklopedii.

Naczelny Bibliotekarz stał, gdy Hari wszedł do jego biura. Widać było, że Tryma Acarnio zdążył tu dokonać wielu zmian. Zenow wypełniał każdy kąt holodyskami i trójwymiarowymi czasopismami z wielu sektorów Trantora oraz mnóstwem wirujących globusów przedstawiających różne światy Imperium. Acarnio uprzątnął sterty danych i wizerunków, które tamten lubił mieć pod ręką. Teraz na ścianie dominował olbrzymi holoekran, na którym, jak zakładał Seldon, Tryma mógł obejrzeć takie publikacje czy przekazy, jakie tylko zechciał.

Naczelny Bibliotekarz, mężczyzna niski i otyły, wyglądał na nieco szalonego — może z powodu przeprowadzonej w dzieciństwie nieudanej operacji rogówki — przez co sprawiał wrażenie zatrważająco inteligentnego i zwracającego uwagę na wszystko, co dzieje się wokół niego.

— Proszę, proszę. Profesor Seldon. Proszę wejść i usiąść. — Wskazał gestem krzesło z prostym oparciem stojące przed biurkiem, za którym usiadł. — Co za przypadek, że poprosił pan o spotkanie ze mną. Sam zamierzałem się z panem skontaktować, gdy tylko się urządzę.

Seldon skinął głową, zadowolony, że nowy Naczelny Bibliotekarz rozważał spotkanie z nim pomimo nawału zajęć w pierwszych dniach po objęciu urzędu.

— Zanim przejdziemy do moich, bardziej prozaicznych kłopotów, proszę mi powiedzieć, profesorze, dlaczego chciał się pan ze mną spotkać?

Seldon odchrząknął i usiadł wygodniej.

— Naczelny Bibliotekarz Las Zenow opowiadał panu zapewne o mojej pracy w bibliotece oraz o idei zebrania danych do Encyklopedii

Galaktycznej. Las podchodził do tego bardzo entuzjastycznie i bardzo mi pomagał. Dzięki niemu dostałem prywatne biuro oraz miałem nieograniczony dostęp do olbrzymich zasobów danych zgromadzonych w bibliotece. Prawdę mówiąc, to właśnie on znalazł ewentualną lokalizację Projektu Encyklopedii, odległy Świat Zewnętrzny zwany Terminusem. Ale jednego Las nie mógł nam zapewnić. By terminowo realizować Projekt, muszę mieć więcej powierzchni biurowej oraz nieograniczony dostęp do zbiorów dla kilku moich współpracowników. Projekt jest olbrzymim przedsięwzięciem, a już samo zbieranie informacji, które należy skopiować i przesłać na Terminus, nim zaczniemy właściwą kompilację encyklopedii, zajmuje dużo czasu. Jak pan zapewne wie, Las nie był lubiany przez członków zarządu biblioteki. Pana natomiast lubią. Dlatego proszę pana, by zechciał wyrazić zgodę na przyznanie odpowiednich przywilejów moim współpracownikom, żebyśmy mogli kontynuować naszą niezwykle ważną pracę. — Tu Hari przerwał, gdyż niemal zabrakło mu tchu. Był pewien, że jego mowa, którą poprzedniej nocy powtarzał wielokrotnie w pamięci, przyniesie pożądany skutek. Czekał teraz, pewien odpowiedzi Acarnia.

— Profesorze Seldon — zaczął Tryma. Uśmiech Helikończyka jakoś zbladł, gdyż w głosie Naczelnego Bibliotekarza był pewien dystans, którego się nie spodziewał. — Mój wielce szanowny poprzednik przekazał mi szczegółowe wyjaśnienia dotyczące pańskiej pracy tu, w bibliotece. Bardzo entuzjastycznie wyrażał się o pańskich badaniach i przychylał się do pomysłu, by dołączyli tu do pana jego współpracownicy. Ja też byłem za tym, profesorze Seldon — słysząc, że Acarnio przerwał, Seldon popatrzył na niego ostro — ale tylko początkowo. Gotów byłem zwołać specjalne zebranie zarządu, by zaproponować przyznanie większej przestrzeni biurowej panu i pańskiemu projektowi. Ale zmieniłem zdanie.

— Zmienił pan zdanie! Dlaczego?

— Profesorze Seldon, dopiero co był pan głównym oskarżonym we wzbudzającej sensację sprawie o napad i pobicie.

— Przecież mnie uniewinniono — przerwał mu Helikończyk. — Nie doszło nawet do procesu.

— Niemniej, profesorze, pańskie ostatnie wyczyny przysporzyły panu w oczach społeczeństwa — jak mam to ująć? — złej reputacji. O tak, uwolniono pana od wszelkich zarzutów. Ale by uzyskać uniewinnienie, na oczach wszystkich światów pojawiło się pańskie nazwisko, przeszłość, przekonania i pańska praca. Mimo że postępowa i prawa sędzina ogłosiła, że jest pan niewinny, co mamy zrobić z miliardami, a może nawet bilionami przeciętnych obywateli, którzy nie widzą pioniera psychohistorii usiłującego zachować wspaniałą cywilizację, ale wariata wykrzykującego inwektywy pod adresem

wspaniałego i potężnego Imperium? Pan, już choćby z powodu charakteru swojej pracy, zagraża podstawowej materii samego Imperium. Nie mam tu na myśli wielkiego i bezimiennego monolitu, jakim jest Imperium. Nie, odwołuję się do serca i duszy tego Imperium: jego mieszkańców. Kiedy mówi im pan, że Imperium upada, tym samym mówi pan, że to oni upadają. A tego, drogi profesorze, przeciętny obywatel nie może znieść. Profesorze Seldon, czy się to panu podoba czy nie, stał się pan obiektem kpin, pośmiewiskiem.

— Przepraszam, panie Acarnio, ale przez całe lata byłem w pewnych kręgach obiektem kpin.

— Tak, ale tylko w pewnych kręgach. Natomiast po ostatnim incydencie, tym bardziej że wszystko odbywało się na forum publicznym, śmieją się z pana nie tylko tu, na Trantorze, ale i na wielu innych światach. Tak więc, profesorze, przyznając panu biuro, my, Biblioteka Galaktyczna, milcząco aprobujemy pańską pracę, a tym samym stajemy się pośmiewiskiem na innych światach — Bez względu na to, że osobiście wierzę w pańską teorię i encyklopedię, jako Naczelny Bibliotekarz Biblioteki Galaktycznej na Trantorze w pierwszej kolejności muszę myśleć o niej. Tak więc, profesorze Seldon, pańska prośba, by mógł pan sprowadzić do biblioteki współpracowników, zostaje oddalona.

Seldon zachwiał się na krześle jak uderzony.

— Co więcej — kontynuował Acarnio — powiadamiam pana o dwutygodniowym zawieszeniu wszelkich przywilejów w bibliotece… ze skutkiem natychmiastowym. Zostało zwołane specjalne posiedzenie zarządu. Za dwa tygodnie powiadomimy pana, profesorze Seldon, jaką decyzję podjęliśmy w sprawie wygaśnięcia pańskiego członkostwa w bibliotece. — Tu Naczelny Bibliotekarz przerwał i kładąc dłonie na błyszczącej, nieskazitelnej powierzchni biurka, wstał. — W tej chwili to wszystko, profesorze Seldon.

Hari Seldon wstał także, choć nie poruszał się tak szybko i zwinnie jak Tryma Acarnio.

— Czy będę mógł zwrócić się osobiście do zarządu? — spytał. — Być może gdybym mógł wyjaśnić członkom, jak ogromne znaczenie ma psychohistoria i encyklopedia…

— Obawiam się, że nie, profesorze — rzekł cicho Acarnio, a Seldon zobaczył w nim przez chwilę człowieka, o którym mówił mu Las Zenow. Niestety, gdy po chwili Acarnio odprowadzał go do drzwi, znów wyglądał na nieczułego biurokratę.

Kiedy drzwi się rozsunęły, Naczelny Bibliotekarz powiedział:

— Dwa tygodnie, profesorze Seldon. Do zobaczenia.

Hari podszedł do oczekującego na niego poduszkowca, a drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

I co ja teraz pocznę? — zastanawiał się posępnie Helikończyk. Czy to już koniec mojej pracy?

28

— Kochana Wando, czym jesteś tak pochłonięta? — spytał Hari Seldon, gdy wszedł do biura swej wnuczki na Uniwersytecie Streelinga. To samo pomieszczenie służyło wcześniej za biuro Yugo Amarylowi, błyskotliwemu matematykowi, którego śmierć okazała się wielką stratą dla Projektu Psychohistorii. Na szczęście z biegiem czasu Wanda stopniowo przejęła rolę Yugo, zajmując się dalszym udoskonalaniem Pierwszego Radianta.

— Pracuję nad równaniem w sekcji 33A2D17. Widzisz, ponownie skalibrowałam tę właśnie sekcję — wskazała jaśniejące purpurowo pole zawieszone w powietrzu tuż przed jej twarzą — wziąwszy pod uwagę standardowy iloraz i… proszę bardzo! Jest tak, jak myślałam. — Zrobiła krok do tyłu i przetarła oczy.

— Co to jest, Wando? — Hari podszedł bliżej, by przyjrzeć się dokładnie równaniu, o którym mówili. — Dlaczego to wygląda jak równanie opisujące Terminus, a jednak… Wando, to jest to samo równanie, tylko zapisane w odwrotnym szyku, prawda?

— Tak, dziadku. Widzisz, te liczby nie pasowały do równania Terminusa… popatrz. — Dotknęła jakiegoś przełącznika we wnęce, a wtedy po drugiej stronie pokoju ożyło jasnoczerwone pole. Seldon i Wanda podeszli, by je sprawdzić. — Widzisz, dziadku, jak doskonale się to teraz układa? Zajęło mi to kilka tygodni.

— Jak to zrobiłaś? — spytał Hari, podziwiając wykresy równań, ich logikę i elegancję.

— Początkowo skupiłam uwagę tylko na tej stronie. Nic innego mnie nie interesowało. Żeby równanie opisujące Terminus pasowało, trzeba było nad nim popracować, trudno temu zaprzeczyć, prawda? Potem jednak zrozumiałam, że nie mogę ot tak sobie wprowadzić tego równania do systemu równań Pierwszego Radianta i oczekiwać, że natychmiast będzie tam pasowało, jak gdyby nic się nie stało. Jeśli gdzieś coś dodajesz, to w innym miejscu musisz coś innego ująć. Ciężar wymaga przeciwwagi.

— Pojęcie, do którego się odwołujesz, starożytni nazywanym *yin* i *yang*.

— Tak, mniej więcej o to mi chodzi. *Yin* i *yang*. A więc, jak widzisz, zrozumiałam, że jeśli potraktuję równanie Terminusa jako *yin*, to muszę znaleźć jego *yang*. No i właśnie to zrobiłam. — Wanda przeszła do purpurowego pola jaśniejącego po drugiej stronie kulistego Pierwszego Radianta. — Kiedy tylko dopasowałam tu liczby, równanie opisujące Terminus zaczęło pasować do całości. Osiągnęłam harmonię! — Wanda wyglądała na zadowoloną z siebie, jakby rozwiązała wszystkie problemy Imperium.

— To fascynujące, Wando. Później powiesz mi, jakie to ma znaczenie dla Projektu. Teraz jednak musisz przejść ze mną do holoekranu. Kilka minut temu otrzymałem pilną wiadomość z Santanni. Twój ojciec prosi, żebyśmy natychmiast do niego zadzwonili.

Uśmiech Wandy zniknął. Zaniepokoiły ją ostatnie doniesienia o walkach na Santanni. Cięcia w budżecie Imperium sprawiły, że najbardziej ucierpieli obywatele Światów Zewnętrznych. Mieli ograniczony dostęp do bogatszych, gęściej zaludnionych Światów Wewnętrznych, toteż z coraz większym trudem sprzedawali własne produkty oraz kupowali potrzebne dobra. Statki nadprzestrzenne rzadko kursowały pomiędzy Santanni a centrum, tak więc ten odległy świat czuł się odizolowany od reszty Imperium. Na całej planecie wybuchły zamieszki.

— Dziadku, mam nadzieję, że wszystko jest w porządku — powiedziała, a w jej głosie słychać było lęk.

— Nie martw się, kochanie. Muszą przecież być bezpieczni, skoro Raychowi udało się wysłać wiadomość.

Stali przed holoekranem w biurze Seldona, czekając, aż urządzenie się włączy. Seldon wystukał kod na klawiaturze obok ekranu i zaczekali jeszcze kilka sekund na połączenie nadprzestrzenne. Ekran powoli jakby rozciągnął się na ścianie, przez co wyglądał niczym wejście do tunelu — i właśnie z tego tunelu, początkowo niewyraźna, wyłoniła się sylwetka dobrze zbudowanego mężczyzny. Wreszcie połączenie poprawiło się, a rysy mężczyzny stały się wyraźniejsze. Kiedy w końcu Seldon i Wanda mogli rozpoznać gęste dahlijskie wąsy Raycha, jego ciało jakby ożyło.

— Tato! Wando! — powiedział Raych z trójwymiarowego hologramu przesłanego z Santanni na Trantor. — Słuchajcie, nie mam zbyt wiele czasu. — Zadrżał, jakby przestraszony jakimś głośnym hałasem. — Wszystko się tu pogmatwało. Rząd upadł, a władzę przejęła tymczasowa partia. Wyobrażacie sobie, jaki panuje tu bałagan. Właśnie wsadziłem Manellę i Bellis na jakiś statek nadprzestrzenny lecący na Anakreon. Powiedziałem im, żeby stamtąd skontaktowały się z wami. Statek nazywa się *Arcadia VII*. Gdybyś widział Manellę, tato. Była okropnie zła, że musi mnie opuścić. Udało mi się ją zmusić do wyjazdu tylko dlatego, że przekonałem ją, że robi to dla dobra Bellis. Wiem, o czym myślicie. Oczywiście, pojechałbym z nimi, gdybym tylko mógł. Niestety, nie było miejsc. Gdybyście wiedzieli, przez co musiałem przejść, żeby znalazły się na statku. — Raych posłał jeden z czarujących uśmiechów, które Seldon i Wanda tak bardzo lubili, a potem kontynuował: — A poza tym, skoro tu jestem, muszę pomóc pilnować uniwersytetu. Może i jesteśmy częścią imperialnego systemu uniwersyteckiego, ale mamy tu się uczyć i

tworzyć, a nie niszczyć. Wiecie, że gdyby jedno z tych bezmyślnych powstań ogarnęło nasz teren…

— Raych — przerwał mu Hari — jak poważna jest sytuacja? Czy jesteś w pobliżu walk?

— Tato, czy grozi ci niebezpieczeństwo? — spytała Wanda. Poczekali kilka sekund, by ich słowa przebyły dziewięć tysięcy parseków przez Galaktykę.

— Ja… ja… nie całkiem zrozumiałem, o co pytacie — odpowiedział hologram. — Właśnie trochę się tu biją. To nawet ciekawe — rzekł Raych, znów się uśmiechając. — Będę już kończył. Pamiętajcie, dowiedzcie się, co się stało z *Arcadią VII* lecącą na Anakreon. Skontaktuję się z wami, gdy tylko będę mógł. Pamiętajcie, ja… — Transmisja została przerwana, a hologram przybladł. Zniknął tunel na holoekranie, a Seldon i Wanda wciąż stali, wpatrując się w pustą ścianę.

— Dziadku, jak myślisz, co on chciał jeszcze powiedzieć? — spytała Wanda.

— Nie mam pojęcia, kochanie. Wiem tylko, że twój ojciec potrafi o siebie zadbać. Już współczuję temu rebeliantowi, który zbliży się dostatecznie do twojego ojca, by oberwać solidnego kopa. Wróćmy do naszego równania, a za kilka godzin sprawdzimy, co się dzieje z *Arcadią VII*.

— Panie dowódco, nie wie pan, co się stało z tym statkiem?

Hari Seldon znów prowadził rozmowę nadprzestrzenną, ale tym razem z dowódcą statków imperialnych stacjonujących na Anakreonie. Używał normalnego ekranu wizyjnego — znacznie mniej realistycznego niż holoekran, lecz o wiele łatwiejszego w użyciu.

— Mówię panu, profesorze, że nie mamy żadnego zapisu, by ten statek nadprzestrzenny prosił o pozwolenie wejścia w przestrzeń Anakreonu. Oczywiście, komunikacja z Santanni została przerwana kilka godzin temu, a przez ostatni tydzień także była sporadyczna. Być może statek ten usiłował przylecieć tu z Santanni i nie mógł się przedostać, ale osobiście w to wątpię. Nie, bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że *Arcadia VII* zmieniła kurs. Może polecieli na Ybreg, a może na Sarip. Czy próbował się pan skontaktować z którymś z tych światów, profesorze?

— Nie — odparł znużony Seldon — ale nie widzę powodu, by statek, który wysłano na Anakreon, miał się udać gdzie indziej. Panie dowódco, odnalezienie tego statku to dla mnie bardzo ważna sprawa.

— Oczywiście — spekulował dowódca — *Arcadia VII* mogła zmienić zamiary. Mam na myśli względy bezpieczeństwa. Na Santanni toczą się ciężkie walki. Rebelianci nie dbają o to, do kogo strzelają. Po prostu ćwiczą posługiwanie się laserem, udając, że celują w

imperatora Agisa. Powiem panu, profesorze, że oni tam na Peryferiach nieźle się zabawiają.

— Panie dowódco, na tym statku są moja synowa i wnuczka — powiedział Seldon ze ściśniętym gardłem.

— Och, przepraszam, profesorze — rzekł zawstydzony dowódca. — Skontaktuję się z panem, gdy tylko się czegoś dowiem.

Przygnębiony Hari wyłączył ekran wizyjny. Ależ jestem zmęczony, pomyślał. I nawet nie jestem zdziwiony… przecież od prawie czterdziestu lat wiedziałem, że coś takiego nastąpi.

Seldon roześmiał się gorzko do siebie. Pewnie dowódca myślał, że zadziwi go, opowiadając o szczegółach życia „na Peryferiach". Tyle że Seldon wiedział wszystko o Peryferiach. Oderwały się jak fragment robótki na drutach, gdy pociągnie się nie za tę, co trzeba nić, i wtedy cały kawałek trzeba spruć aż do początku — do Trantora.

Helikończyk zdał sobie sprawę, że gdzieś coś delikatnie dźwięczy. Odezwał się dzwonek przy drzwiach.

— Proszę!

— Dziadku — powiedziała Wanda, wchodząc do biura. — Boję się.

— Dlaczego, kochanie? — spytał zatroskany Hari. Nie chciał jej powiedzieć, czego się dowiedział, albo raczej czego się nie dowiedział od dowódcy floty Anakreonie.

— Zazwyczaj, choć znajdują się tak daleko, czuję tatę, mamę i Bellis… Czuję ich tu — wskazała swoją głowę — i tu — położyła dłoń na sercu. — Ale teraz, dzisiaj, nie czuję ich… a właściwie czuję słabiej, jakby znikali. Chcę to powstrzymać. Chcę ich przyciągnąć z powrotem, ale nie potrafię.

— Wando, zapewne dzieje się tak tylko dlatego, że martwisz się o rodzinę, bo dowiedziałaś się o rebelii. Wiesz, że w całym Imperium ciągle wybuchają powstania: jak małe erupcje dla upuszczenia pary. Daj spokój, wiesz, że jest bardzo małe prawdopodobieństwo, by coś przytrafiło się Raychowi, Manelli czy Bellis. Twój tata zadzwoni któregoś dnia i powie, że wszystko jest w porządku. Mama i Bellis lada chwila wylądują na Anakreonie i zrobią sobie małe wakacje. To my jesteśmy w pożałowania godnej sytuacji: siedzimy tu pogrążeni po uszy w pracy. Tak więc, kochanie, idź spać i nie martw się niczym. Obiecuję ci, że jutro, pod słoneczną kopułą, wszystko będzie wyglądało o wiele lepiej.

— Dobrze, dziadku — powiedziała Wanda, choć słychać było, że nie jest przekonana. — Ale jutro… jeśli do jutra nie dowiemy się niczego, będziemy musieli…

— A co innego możemy zrobić, niż czekać? — spytał łagodnie Seldon.

Wanda odwróciła się i wyszła; jej przygarbione plecy dowodziły,

jakim ciężarem są dla niej te zmartwienia. Hari obserwował wychodzącą wnuczkę, a potem pozwolił, by ogarnęły go jego własne zmartwienia.

Upłynęły już trzy dni od holograficznej transmisji od Raycha. Od tamtej chwili — nic. A dziś dowódca floty na Anakreonie powiedział, że nigdy nie słyszał o *Arcadii VII*.

Hari usiłował już wcześniej skontaktować się z Raychem na Santanni, ale wszelkie kanały zostały przerwane. Zupełnie jakby Santanni, a także *Arcadia VII* po prostu oderwały się od Imperium niczym płatek od kwiatu.

Helikończyk wiedział, co musi teraz zrobić. Imperium może upada, ale z pewnością jeszcze trwa. Jego potęga, jeśli właściwie nią pokierować, wciąż budzi lęk. Seldon skontaktował się pilnie z imperatorem Agisem XIV.

29

— Co za niespodzianka… mój przyjaciel Hari! — Na holoekranie pojawiła się twarz Agisa uśmiechającego się do Seldona. — Cieszę się, że cię słyszę, choć zazwyczaj prosisz o bardziej formalną audiencję osobistą. Czy coś się stało, że tak nagle zapragnąłeś się ze mną skontaktować?

— Panie — zaczął Seldon — mój syn Raych, jego żona i córka mieszkają na Santanni.

— Ach, Santanni — rzekł imperator i przestał się uśmiechać. — Zgraja nieszczęsnych łajdaków. Gdybym…

— Panie, proszę — przerwał Seldon, zadziwiając zarówno imperatora, jak i siebie, gdyż postąpił wbrew protokołowi. — Mojemu synowi udało się umieścić Manellę i Bellis na statku nadprzestrzennym *Arcadia VII*, który wyruszył w kierunku Anakreonu. On sam musiał niestety zostać na Santanni. To było przed trzema dniami. Statek nie wylądował na Anakreonie, a mój syn chyba zniknął. Nikt nie odbierał moich telefonów, a teraz wszelka komunikacja z planetą została przerwana. Proszę, panie, czy możesz mi pomóc?

— Hari, jak wiesz, oficjalnie wszelkie więzi pomiędzy Santanni a Trantorem zostały zerwane. Jednak wciąż mam wpływ na pewne wydzielone obszary tego świata. To znaczy, że jest jeszcze kilku lojalnych wobec mnie ludzi, których dotąd nie znaleziono. Choć nie mogę kontaktować się bezpośrednio z żadnym z nich, udostępnię ci wszelkie raporty, które stamtąd dostanę. Raporty są oczywiście ściśle tajne, ale biorąc pod uwagę twoją sytuację i naszą zażyłość, pozwolę ci przeglądać te fragmenty, które mogą cię zainteresować. W ciągu godziny powinienem otrzymać następną przesyłkę. Jeśli chcesz, skontaktuję się z tobą, gdy nadejdzie. Tymczasem każę jednemu z moich podwładnych, by przejrzał wszystkie transmisje z Santanni z ostatnich trzech dni i zwrócił uwagę na wszelkie informacje dotyczące Raycha, Manelli czy Bellis Seldon.

— Dziękuję, panie. Jestem ci niezmiernie wdzięczny. — Hari skłonił głowę, a wizerunek imperatora zaczai znikać z holoekranu.

Godzinę później Hari Seldon wciąż siedział za biurkiem, czekając na wieści od imperatora. Była to najgorsza godzina, jaką kiedykolwiek przeżył. Gorsze były tylko godziny po zniszczeniu Dors.

Najbardziej przytłaczający był brak wiedzy. Wielkość Hariego polegała na tym, że wiedział: znał tak samo przyszłość jak teraźniejszość. A teraz nie miał pojęcia, co się stało z trojgiem najdroższych mu ludzi.

Wreszcie holoekran zadźwięczał cicho, a Hari wcisnął przełącznik.

Pojawił się Agis.

— Hari — zaczął imperator. Z cichych, wymawianych wolno i ze smutkiem słów Helikończyk domyślił się, że usłyszy złe wieści.

— Mój syn — powiedział.

— Tak — odparł Agis XIV. — Raych zginął wczoraj rano podczas bombardowania Uniwersytetu Santanni. Moje źródło mówi, że wiedział o nadchodzącym ataku, ale odmówił opuszczenia stanowiska. Wielu z rebeliantów to studenci, więc Raych sądził, że skoro wiedzą, że on znajduje się wciąż na terenie uniwersytetu, to nigdy… Niestety, nienawiść była silniejsza niż wszelkie racje. Uniwersytet jest, jak wiesz, uniwersytetem imperialnym. Rebelianci uważają, że muszą zniszczyć wszystko, co jest związane z Imperium, nim zaczną budować od podstaw. Głupcy! Dlaczego… — Tu Agis przerwał, jakby nagle uświadomił sobie, że Seldona nie obchodzi Uniwersytet Santanni czy też plany rebeliantów… a przynajmniej nie teraz. — Hari, jeśli przyniesie ci to ulgę, pamiętaj, że twój syn zginął w obronie nauki. Raych nie walczył za Imperium, zginął w obronie ludzkości.

Seldon popatrzył na Agisa oczami pełnymi łez i spytał cicho:

— A Manella i mała Bellis? Co z nimi? Czy znalazłeś, panie, *Arcadię VII*?

— Poszukiwania okazały się bezowocne, Hari. Tak jak ci powiedziano, *Arcadia VII* opuściła Santanni. Niestety, wygląda na to, że gdzieś zniknęła. Być może została porwana przez rebeliantów albo zmieniła kurs z powodu grożącego jej niebezpieczeństwa. W tej chwili tego nie wiemy.

Seldon skinął głową.

— Dziękuję, Agisie. Choć przyniosłeś mi tragiczne wieści, przynajmniej wiem, co się stało. Najgorsza jest niepewność. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

— Ty też, Hari — powiedział imperator. — Zostawiam cię teraz samego. Pewnie chcesz to wszystko przemyśleć. — Obraz imperatora zniknął z ekranu. Seldon skrzyżował ręce na biurku, położył na nich głowę i zapłakał.

30

Wanda Seldon ściągnęła nieco pasek swego kombinezonu. Chwyciła motykę i zaatakowała chwasty, którymi zarósł jej mały ogródek kwiatowy przed budynkiem Projektu Psychohistorii na Uniwersytecie Streelinga. Najczęściej spędzała większość czasu w swoim biurze, pracując nad Pierwszym Radiantem. Znajdowała pocieszenie w jego dokładnej statystycznej elegancji; nie zmieniające się równania były swoistym pewnikiem w zwariowanym Imperium. Kiedy jednak myśli o ukochanym ojcu, matce i maleńkiej siostrze stawały się nie do zniesienia, kiedy nawet badania naukowe nie potrafiły odciągnąć jej myśli od okropnej straty, którą ostatnio poniosła, niezmiennie przychodziła tutaj i pracowała w ziemi, jakby posadzenie i doglądanie tych kilku roślin mogło w jakiś sposób choć w niewielkim stopniu złagodzić jej ból. Od śmierci ojca miesiąc temu i zniknięcia Manelli oraz Bellis Wanda, która zawsze była szczupła, jeszcze straciła na wadze. Kilka miesięcy wcześniej Hari Seldon martwiłby się utratą apetytu ukochanej wnuczki, ale teraz, pogrążony w żalu, jakby tego nie zauważał.

Głęboka zmiana dotyczyła Hariego i Wandy Seldon, a także kilku pozostałych członków Projektu Psychohistorii. Wyglądało na to, że Hari się poddał. Większość czasu spędzał teraz w fotelu w solarium Uniwersytetu Streelinga, skąd spoglądał na tereny uniwersyteckie. Czasami członkowie Projektu mówili Wandzie, że ochroniarz Seldona, człowiek o nazwisku Stettin Palver, zmusza Hariego do spaceru pod kopułą albo stara się porozmawiać z nim o przyszłym kształcie Projektu.

Wanda zaszywała się jeszcze głębiej w badaniach fascynujących równań Pierwszego Radianta. Czuła, że przyszłość, nad którą jej dziadek pracował tak ciężko, wreszcie przybierała kształt. Seldon miał rację: trzeba przenieść Encyklopedystów na Terminus; to oni będą stanowili Fundację.

Jeśli chodzi o sekcję 33A2D17, to w niej Wanda widziała to, co Hari nazywał Drugą czy też ukrytą Fundacją. Ale jak to osiągnąć? Bez aktywnego udziału dziadka Wanda nie wiedziała, co powinna robić. Smutek, który ogarnął ją po stracie rodziny, był tak dotkliwy, że chyba nie miała siły zastanawiać się nad tym.

Członkowie Projektu — tych mniej więcej pięćdziesięciu twardych ludzi, którzy pozostali — kontynuowali pracę na miarę swoich możliwości. Większość z nich stanowili Encyklopedyści mający przeszukać materiały źródłowe, które chcieli skopiować i skatalogować, by ewentualnie przenieść je na Terminus — jeżeli w ogóle uzyskają pełny dostęp do Biblioteki Galaktycznej. W tej chwili

pracowali, wierząc, że coś się zmieni. Profesor Seldon stracił prywatne biuro w bibliotece, tak więc nikła była nadzieja, że inny członek Projektu uzyska dostęp do danych.

Pozostali naukowcy (inni niż Encyklopedyści) byli analitykami historii i matematykami. Historycy interpretowali przeszłość oraz obecne zachowania i wydarzenia, po czym przekazywali swoje odkrycia matematykom, którzy starali się dopasować je do wielkiego równania psychohistorii. Pracowali długo i gorliwie.

Wielu członków Projektu odeszło, gdyż ich wynagrodzenie było żałosne: psychohistorycy stali się na Trantorze przedmiotem kpin i wielu żartów, a brak funduszy zmusił Seldona do wprowadzenia drastycznych cięć wydatków. Jednak stała, uspokajająca obecność Hariego Seldona sprawiała — aż do tej pory — że zapominali o ciężkiej sytuacji, w której znalazł się Projekt. Ludzie, którzy pozostali i pracowali na jego rzecz, robili to w gruncie rzeczy tylko z szacunku i oddania dla profesora Seldona.

A teraz, pomyślała gorzko Wanda, co mogłoby ich zatrzymać? Lekki podmuch rzucił kosmyk jej blond włosów na oczy; odgarnęła go, a choć myślami była gdzie indziej, kontynuowała pielenie.

— Panno Seldon, czy poświęci mi pani chwilę?

Wanda odwróciła się i spojrzała w górę. Jakiś młody człowiek — oceniła go na dwadzieścia kilka lat — stał tuż obok niej na żwirowej ścieżce. Natychmiast wyczuła, że jest silny i piekielnie inteligentny. Dziadek dobrze wybrał. Wstała, by z nim porozmawiać.

— Znam pana. Jest pan ochroniarzem mojego dziadka. Stettin Palver, jak sądzę?

— Nie myli się pani, panno Seldon — rzekł Palver, którego policzki nieco poczerwieniały, jakby ucieszył się, że tak ładna dziewczyna zwróciła na niego uwagę. — Panno Seldon, chciałem właśnie porozmawiać o pani dziadku. Bardzo się o niego martwię. Musimy coś zrobić.

— Co mamy zrobić, panie Palver? Zupełnie straciłam głowę. Odkąd mój ojciec — przełknęła ciężko ślinę, jakby mówienie sprawiało jej trudność — umarł, a matka i siostra zaginęły, udaje mi się jedynie zmusić go, by rano wstał z łóżka. A prawdę mówiąc, na mnie to również bardzo źle wpłynęło. Pan to rozumie, prawda? — Spojrzała Palverowi w oczy i wyczytała w nich, że rozumie wszystko.

— Panno Seldon — powiedział cicho Stettin — jest mi bardzo przykro z powodu pani straty. Ale pani i profesor Seldon żyjecie i musicie kontynuować pracę nad psychohistorią. Profesor chyba się poddał. Ufam jednak, że może pani… my… moglibyśmy coś zrobić, by przywrócić mu nadzieję. Rozumie pani, jemu potrzebny jest jakiś powód, by żyć.

Ach, panie Palver, pomyślała Wanda, może dziadek ma rację.

Sama się zastanawiałam, czy mam po co żyć. Ale powiedziała:

— Przepraszam, panie Palver, ale nic nie przychodzi mi do głowy. — Wskazała ziemię i motykę. — A teraz, jak pan widzi, muszę wracać do tych okropnych chwastów.

— Nie sądzę, by pani dziadek postępował właściwie. Myślę, że naprawdę jest jakiś powód, by kontynuować badania. Musimy go tylko znaleźć.

Te słowa podziałały na Wandę jak uderzenie. Skąd on wiedział, o czym myślała? Chyba że…

— Potrafi pan czytać w myślach, prawda? — Zadała to pytanie, wstrzymując oddech, jakby bała się usłyszeć odpowiedź.

— Tak, potrafię — odparł Palver. — Myślę, że zawsze tak było. A przynajmniej, odkąd pamiętam. Często dzieje się to zupełnie nieświadomie. Po prostu wiem, o czym ludzie myślą albo o czym myśleli. Czasami — kontynuował zachęcony zrozumieniem, jakie czuł ze strony Wandy — odbieram sygnały pochodzące od kogoś innego. Niestety, to się zawsze zdarza w tłumie, a ja nie potrafię znaleźć tego kogoś. Wiem jednak, że są wśród nas ludzie tacy jak ja… jak my.

Podniecona Wanda złapała Palvera za rękę; motyka leżała na ziemi zapomniana.

— Wie pan, co to może znaczyć? Dla dziadka, dla psychohistorii? Każde z nas, w pojedynkę, może zrobić tylko tyle, ale razem… — Ruszyła w kierunku budynku Projektu Psychohistorii, zostawiwszy Palvera na ścieżce. Gdy dochodziła do wejścia, zatrzymała się i odwróciła. Chodźmy, panie Palver, musimy powiedzieć dziadkowi, rzekła, nie otwierając ust. Tak, myślę, że powinniśmy to zrobić — odpowiedział Palver, dołączając do niej.

31

— Chcesz powiedzieć, Wando, że szukałem na całym Trantorze kogoś o twoich umiejętnościach, a on był tu z nami przez ostatnie kilka miesięcy, tylko o tym nie wiedzieliśmy?

Hari Seldon nie dowierzał wnuczce. Drzemał w solarium, kiedy Wanda i Palver obudzili go, by podzielić się zdumiewającymi wieściami.

— Tak, dziadku. Pomyśl o tym. Nigdy nie miałam okazji poznać Stettina. Najczęściej przebywałeś w jego towarzystwie poza budynkami Projektu, a ja większość czasu spędzałam w moim biurze, pracując nad Pierwszym Radiantem. Kiedy mieliśmy się spotkać? Prawdę mówiąc, raz nasze ścieżki skrzyżowały się i rezultat był wspaniały.

— Kiedy to było? — spytał Seldon, usiłując coś sobie przypomnieć.

— Kiedy przesłuchiwano cię po raz ostatni, przed sędzią Lih — odparła natychmiast. — Pamiętasz tego naocznego świadka, który przysięgał, że ty i Stettin zaatakowaliście tych troje złodziejaszków? Pamiętasz, jak się w końcu załamał i wyznał prawdę… i nawet sam nie wiedział, dlaczego to zrobił? To ja i Stettin zmusiliśmy go. Oboje wpływaliśmy na Riala Nevasa, by cię oczyścił. Początkowo upierał się przy swoim zeznaniu. Wątpię, by w pojedynkę któreś z nas mogło go zmusić do wyznania prawdy. Ale kiedy jesteśmy razem — popatrzyła nieśmiało na Palvera, który stał nieco z boku — mamy niezwykłą siłę!

Hari Seldon wysłuchał tego i wyglądało na to, że chce się odezwać. Jednak Wanda kontynuowała:

— Zamierzamy spędzić to popołudnie, sprawdzając nasze zdolności umysłowe, oddzielnie i razem. Z tego, co odkryliśmy do tej pory, wynika, że zdolności Stettina są nieco mniejsze niż moje: daję mu pięć w mojej dziesięciopunktowej skali. Ale jego pięć i moje siedem daje nam dwanaście! Pomyśl o tym dziadku. To niezwykłe!

— Nie widzi pan tego, profesorze? — spytał Palver. — Wanda i ja jesteśmy tym przełomem, którego pan szukał. Możemy pomóc panu przekonać wszystkie światy o wadze psychohistorii, możemy pomóc panu znaleźć innych ludzi podobnych do nas. Dzięki nam psychohistoria może wejść na właściwe tory.

Seldon spoglądał na tych dwoje młodych ludzi. Ich twarze jaśniały blaskiem młodości, rozpierały ich wigor i entuzjazm, a to podziałało jak balsam na jego stare serce. Może jednak jeszcze nie wszystko stracone? Myślał, że nie przeżyje tej ostatniej tragedii, śmierci syna i zaginięcia synowej oraz wnuczki, ale teraz widział, że Raych żyje w Wandzie. A w Wandzie i w Stettinie, co także zrozumiał,

żyje przyszłość Fundacji.

— Tak, tak — zgodził się, kiwając energicznie głową. — Chodźcie, pomóżcie mi wstać. Muszę wrócić do biura, by zaplanować nasz następny krok.

32

— Proszę wejść, profesorze Seldon — powiedział lodowatym tonem Tryma Acarnio.

Hari Seldon, któremu towarzyszyli Wanda i Stettin, weszli do imponującego biura Naczelnego Bibliotekarza.

— Dziękuję — powiedział Seldon, sadowiąc się w fotelu naprzeciw Acarnia siedzącego za olbrzymim biurkiem. — Chciałbym panu przedstawić moją wnuczkę Wandę i mojego przyjaciela Stettina Palvera. Wanda jest jednym z najcenniejszych członków Projektu Psychohistorii, a jej specjalnością jest matematyka. Stettin zaś, no cóż, Stettin zamierza zostać psychohistorykiem, kiedy nie będzie pełnił obowiązków mojego ochroniarza. — Seldon zachichotał radośnie.

— To wszystko bardzo pięknie, profesorze — powiedział Acarnio zdumiony dobrym humorem Seldona. Oczekiwał, że profesor przyjdzie do niego na klęczkach, błagając o jeszcze jedną szansę i specjalne przywileje w bibliotece. — Nie rozumiem jednak, dlaczego chciał się pan ze mną spotkać. Chyba rozumie pan, że nasze stanowisko się nie zmieniło: nie możemy pozwolić, by bibliotekę łączono z kimś tak nielubianym przez rzesze. Jesteśmy przecież biblioteką publiczną, musimy więc brać pod uwagę nastroje społeczne. — Usiadł wygodniej i pomyślał, że pewnie teraz Seldon zacznie go błagać.

— Wiem, że nie udało mi się pana przekonać. Pomyślałem jednak, że gdyby zechciał pan wysłuchać tych młodych członków Projektu, przyszłych psychohistoryków, być może odniósłby się pan przychylniej do niezwykłej roli Projektu, a szczególnie encyklopedii. Roli, jaką odegra on w przyszłości. Proszę wysłuchać Wandy i Stettina.

Acarnio spojrzał chłodno na dwoje młodych ludzi siedzących po bokach Seldona.

— No dobrze — odparł, spoglądając niedwuznacznie na zegar ścienny. — Macie pięć minut i ani chwili dłużej. Muszę się zajmować biblioteką.

— Naczelny Bibliotekarzu — zaczęła Wanda — jak zapewne mój dziadek już panu wyjaśniał, psychohistoria jest najcenniejszym narzędziem, którego można użyć, by zachować naszą kulturę. Tak, zachować — powtórzyła, widząc, że mężczyzna wytrzeszcza oczy na to słowo. — Dotychczas zbyt wielką wagę przykładano do zniszczenia Imperium. Z tego powodu nie doceniono prawdziwej wartości psychohistorii. A właśnie dzięki niej potrafimy przewidzieć nieuchronny Upadek naszej cywilizacji, a tym samym możemy podjąć odpowiednie kroki, by mu zapobiec. W tym właśnie celu pomyślano o stworzeniu Encyklopedii Galaktycznej. I właśnie dlatego potrzebna jest nam pańska pomoc, a także pomoc ze strony pańskiej wspaniałej

biblioteki.

Acarnio nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ta młoda dama miała niezaprzeczalny urok. Tak poważnie i mądrze przemawiała. Popatrzył na siedzącą przed nim dziewczynę. Jej blond włosy, zebrane do tyłu jak u uczennicy, zamiast skrywać, podkreślały piękno rysów twarzy. To, co powiedziała, zaczynało mieć sens. Może Wanda Seldon ma rację — może to on patrzył na ten problem z błędnej perspektywy. A jeśli rzeczywiście chodzi o zachowanie, nie zaś o zniszczenie?

— Naczelny Bibliotekarzu — zaczął Stettin Palver — ta wspaniała biblioteka istnieje od tysięcy lat. Być może lepiej nawet reprezentuje ogromną potęgę Imperium niż Pałac Imperialny, w nim bowiem mieszkają jedynie imperatorzy, podczas gdy w bibliotece zgromadzona jest suma wiedzy, kultury i historii Imperium. Jej wartość jest nieoceniona. Czyż nie byłoby rozsądnie złożyć hołd tej wielkiej skarbnicy? Bo tym właśnie będzie Encyklopedia Galaktyczna: olbrzymim podsumowaniem wiedzy zgromadzonej w tych murach. Proszę o tym pomyśleć!

Nagle wszystko wydało się Acarniowi bardzo proste. Jak mógł pozwolić, by zarząd (a szczególnie ta skwaszona gęba Gennaro Mummery'ego) przekonał go do odwołania przywilejów Seldona? Las Zenow, człowiek, którego zdanie tak bardzo sobie cenił, całym sercem popierał encyklopedię Seldona.

Acarnio popatrzył raz jeszcze na tych troje ludzi siedzących przed nim i czekających na jego decyzję. Trudno będzie zarządowi znaleźć cokolwiek przeciwko członkom Projektu… jeśli młodzi ludzie siedzący teraz w jego biurze są typowymi przedstawicielami współpracowników Seldona.

Naczelny Bibliotekarz wstał i przeszedł przez biuro, marszcząc brwi, jakby chciał zebrać myśli. Ze stołu podniósł mleczną kryształową kulę i ważył ją w dłoni.

— Trantor — zaczai z namysłem — to siedziba Imperium, centrum całej Galaktyki. To dość zdumiewające, kiedy się o tym pomyśli. Być może zbytnio się pospieszyliśmy, osądzając profesora Seldona. Teraz, kiedy pański Projekt, ta Encyklopedia Galaktyczna, została mi przedstawiona w takim świetle — tu skinął w kierunku Wandy i Palvera — zrozumiałem, jak ważne jest, byśmy pozwolili kontynuować panu pracę w bibliotece. A to oznacza oczywiście przyznanie zezwolenia kilku pańskim współpracownikom.

Seldon uśmiechnął się i z wdzięcznością ścisnął dłoń Wandy.

— Nie będę popierał pomysłu stworzenia encyklopedii tylko dlatego, że przyniesie ona korzyści całemu Imperium — kontynuował Acarnio, najwyraźniej zapaliwszy się do (jak uważał, swego) pomysłu. — Jest pan sławny, profesorze Seldon. Czy ludzie uważają pana za szaleńca, czy za geniusza, chyba wszyscy pana znają. Jeśli pracownik

naukowy o pańskim autorytecie jest łączony z Biblioteką Galaktyczną, może to jedynie zwiększyć nasz prestiż jako bastionu intelektualnej działalności najwyższego rzędu. Blask pańskiej obecności będzie można wykorzystać do zwiększenia tak bardzo potrzebnych funduszy na uaktualnienie naszych zbiorów, zwiększenie liczebności personelu oraz otwarcie podwoi biblioteki dla ludzi… A sam pomysł powstania Encyklopedii Galaktycznej… jakiż to monumentalny projekt! Wyobraźmy sobie reakcję społeczeństwa, gdy dowie się, że to właśnie Biblioteka Galaktyczna uczestniczy w przedsięwzięciu mającym ukazać we właściwym świetle splendor naszej cywilizacji: naszej wspaniałej historii, błyskotliwych osiągnięć, niezwykłej kultury. I pomyśleć, że to właśnie dzięki mnie, Naczelnemu Bibliotekarzowi Trymie Acarniowi, zostanie zapoczątkowany ten wspaniały projekt. — Rozmarzony Acarnio zapatrzył się w kryształową kulę. — Tak, profesorze Seldon. — Wrócił do rzeczywistości. — Panu i pańskim współpracownikom zostaną przyznane wszelkie wewnętrzne przywileje, a także odpowiednie biura. — Odłożył kryształową kulę na stół i szeleszcząc szatami, wrócił za biurko. — Oczywiście, będę musiał włożyć nieco wysiłku w przekonanie zarządu, ufam jednak, że poradzę sobie z nimi. Proszę to zostawić mi. Seldon, Wanda i Palver popatrzyli na siebie triumfalnie, a cień uśmiechu igrał w kącikach ich ust. Tryma Acarnio dał znak, że mogą odejść, wyszli więc, pozostawiając Naczelnego Bibliotekarza siedzącego w fotelu i marzącego o chwale oraz honorze, jakimi okryje się biblioteka pod jego rządami.

— To zdumiewające — powiedział Seldon, kiedy siedzieli już bezpiecznie w swoim samochodzie naziemnym. — Gdybyście tak mogli zobaczyć go w czasie naszego ostatniego spotkania. Powiedział wtedy, że „stanowię zagrożenie dla Imperium" i inne takie bzdury. A dziś, po zaledwie kilku minutach z wami…

— To nie było takie trudne, dziadku — stwierdziła Wanda, naciskając przycisk, by włączyć pojazd do ruchu. Usiadła wygodniej, gdy uruchomił się automatyczny napęd. Na tablicy kontrolnej wystukała współrzędne miejsca, do którego chcieli dojechać. — Ten człowiek ma bardzo silne poczucie własnej wartości. Musieliśmy jedynie podkreślić pozytywne aspekty stworzenia encyklopedii, a jego ego zrobiło resztę.

— Przepadł już w chwili, gdy weszliśmy z Wandą do jego gabinetu — odezwał się Palver, który siedział z tyłu. — Naciskaliśmy na niego oboje i okazało się to łatwiejsze, niż myślałem. — Pochylił się do przodu i z czułością ścisnął ramię Wandy. Ona uśmiechnęła się i poklepała jego dłoń.

— Muszę jak najszybciej powiadomić Encyklopedystów — powiedział Seldon. — Choć pozostało ich zaledwie trzydziestu dwóch,

są dobrymi i oddanymi pracownikami. Dopilnuję, by rozlokowano ich w bibliotece, a potem zacznę pokonywać następną przeszkodę: kredyty. Być może potrzebowaliśmy właśnie tego przymierza z biblioteką, by przekonać ludzi do podarowania nam funduszy. Sprawdźmy to… Raz jeszcze zadzwonię do Terepa Bindrisa i zabiorę was ze sobą. Był do mnie przyjaźnie nastawiony… przynajmniej początkowo. Czy będzie w stanie oprzeć się nam teraz?

Pojazd zatrzymał się wreszcie przed budynkiem Projektu Psychohistorii na Uniwersytecie Streelinga. Drzwi rozsunęły się, ale Seldon nie przesunął się, by wysiąść. Odwrócił się ku Wandzie.

— Wiesz, Wando, jak doskonale poradziliście sobie z Acarniem. Jestem pewien, że równie łatwo zdołacie też zmusić kilku dobroczyńców, by przyznali nam jakieś kredyty. Wiem, jak bardzo niechętnie pozostawiasz swój ukochany Pierwszy Radiant, ale te wizyty dadzą wam szansę sprawdzenia waszych umiejętności. Będziecie wiedzieli, na co was stać.

— Dobrze, dziadku, choć jestem pewna, że teraz, gdy masz imprimatur biblioteki, opór wobec twoich próśb zmaleje.

— Jest jeszcze jeden powód, dla którego, jak sądzę, powinniście spędzić trochę czasu razem. O ile dobrze pamiętam, Stettinie, powiedziałeś, że w pewnych sytuacjach „wyczuwasz” kogoś o podobnym do twojego umyśle, ale nie potrafisz go zidentyfikować.

— Tak — odpowiedział Palver. — Odbierałem takie sygnały, ale za każdym razem znajdowałem się w tłumie. Mam dwadzieścia cztery lata, a przypominam sobie cztery, może pięć takich sytuacji.

— Ależ Stettinie — głos Seldona zdradzał, jak bardzo jest przejęty — każdy z tych sygnałów mógł pochodzić od osoby takiej jak ty i Wanda: jeszcze jednego mentalisty. Wanda nigdy nie wyczuła takich sygnałów, bo prawdę mówiąc, całe życie chroniliśmy ją przed towarzystwem obcych. Gdy kilka razy znalazła się w tłumie, pewnie nie było tam nikogo o podobnych zdolnościach. Właśnie dlatego, i jest to prawdopodobnie najważniejszy powód, powinniście przebywać wśród ludzi, ze mną czy beze mnie. Musimy znaleźć innych mentalistów. Oboje jesteście na tyle silni, że potraficie zmusić pojedynczą osobę do zmiany decyzji. Duża grupa podobnych wam ludzi będzie mogła poruszyć Imperium!

Skończywszy, Seldon wysunął nogi i wysiadł. Wanda i Palver, którzy obserwowali, jak idzie, utykając, w kierunku budynku Projektu Psychohistorii, nie byli do końca świadomi, jak olbrzymią odpowiedzialność Seldon składa na ich barki.

33

W samo południe trantorskie słońce lśniło na metalowej powłoce okrywającej wielką planetę. Hari Seldon stał na skraju tarasu obserwacyjnego Uniwersytetu Streelinga, usiłując osłonić oczy przed rażącym światłem. Minęło wiele lat, od kiedy po raz ostatni przebywał poza kopułą, z wyjątkiem kilku wizyt w pałacu, a i te się nie liczyły; przebywając na terenach pałacowych, człowiek i tak czuł się zamknięty.

Nie potrzebował już towarzystwa, by móc podróżować. Po pierwsze, Palver spędzał większość czasu z Wandą, pracując nad Pierwszym Radiantem, pochłonięty badaniami umysłu bądź też szukając innych ludzi takich jak on i Wanda. Gdyby Hari chciał, mógłby znaleźć innego młodego człowieka — studenta lub też członka Projektu — który byłby jego ochroniarzem.

Wiedział jednak, że ochroniarz nie jest mu już potrzebny. Odkąd ogłoszono publicznie, że jego więzy z Biblioteką Galaktyczną znów się zacieśniły, najwyraźniej zainteresowała się nim Komisja Bezpieczeństwa Publicznego. Zdawał sobie sprawę, że jest śledzony. Wielokrotnie w ciągu ostatnich miesięcy zauważył swój „cień". Nie miał też wątpliwości, że zarówno w jego domu, jak i w biurze założono urządzenia podsłuchowe, ale osobiście uruchamiał ekran statyczny, jeśli chciał porozmawiać w jakiejś delikatnej sprawie.

Nie był pewien, co komisja o nim myśli — być może sami nie wiedzieli, co o nim myśleć. Bez względu na to, czy uważali go za proroka, czy za wariata, najwyraźniej cały czas chcieli wiedzieć, gdzie przebywa — a to oznaczało, że przynajmniej na razie był bezpieczny.

Lekki podmuch wiatru poruszył ciemnoniebieskim płaszczem, który Seldon narzucił na kombinezon, i zwichrzył kilka kosmyków siwych włosów, które pozostały na jego głowie. Spoglądając w dół ponad barierką, widział gładką stalową powierzchnię. Wiedział, że pod nią dudni maszyneria niezwykle skomplikowanego świata. Gdyby kopuła była przezroczysta, można by dostrzec mknące samochody naziemne, taksówki grawitacyjne poruszające się w zawiłej sieci tuneli, statki nadprzestrzenne, na które ładowano lub z których wyładowywano ziarna, chemikalia oraz klejnoty, a które przybywały tu i odlatywały właściwie ze wszystkich zakątków Imperium.

Pod metalową kopułą wiodło życie czterdzieści miliardów ludzi, a wszystkim im towarzyszyły ból, radość i inne uczucia. Tak bardzo pokochał ten widok, tę panoramę osiągnięć ludzkości, toteż bolało go serce — wiedział, że upłynie zaledwie kilka stuleci i to wszystko, na co patrzył, obróci się w ruinę. Pochylił ze smutkiem głowę, zdawał sobie bowiem sprawę, że w żaden sposób nie potrafi zapobiec tej

tragedii. Oczyma wyobraźni widział zniszczoną kopułę, ale wiedział także, że z tej ziemi, leżącej odłogiem po ostatnich bitwach Imperium, wystrzelą nowe pąki, a Trantor wyłoni się ponownie jako pełen życia członek nowego Imperium. Miało się tak stać dzięki Projektowi.

Pochylił się ku jednej z ław okalających taras. Noga pulsowała mu boleśnie, wycieczka okazała się zbyt męcząca. Warto było jednak spojrzeć raz jeszcze na Trantor, poczuć wokół siebie otwartą przestrzeń, a w górze ujrzeć bezmierne niebo.

Pomyślał rzewnie o Wandzie. Już bardzo rzadko widywał wnuczkę, a i nawet wtedy zawsze towarzyszył jej Stettin Palver. Wanda i Stettin poznali się zaledwie trzy miesiące temu, a już wyglądali na nierozłącznych. Wanda zapewniała Seldona, że jest to niezbędne dla dobra Projektu, ale Hari podejrzewał, że chodziło o coś więcej niż zwykłe oddanie pracy. Pamiętał wymowne oznaki towarzyszące pierwszym dniom, które spędził z Dors. Tych dwoje patrzyło na siebie w ten sam sposób, z intensywnością zrodzoną nie tylko z intelektualnego porozumienia, ale również z uczuć.

Wanda i Stettin najwyraźniej czuli się lepiej ze sobą niż w towarzystwie innych ludzi. Helikończyk odkrył, że nawet nie rozmawiali, gdy nikogo nie było w pobliżu; ich zdolności umysłowe były wystarczająco rozwinięte, nie potrzebowali więc słów, by się porozumiewać. Inni członkowie Projektu nie byli świadomi ich unikatowego daru. Seldon uważał, że lepiej będzie utrzymać w tajemnicy poszukiwanie innych mentalistów, przynajmniej do chwili, gdy ich rola w Planie zostanie wyraźnie określona. Właściwie sam Plan już został wyraźnie zdefiniowany — ale tylko w umyśle Hariego. Chciał przemyśleć jeszcze kilka szczegółów, a potem przedstawić go Wandzie i Palverowi. A pewnego dnia, jeśli zajdzie taka potrzeba, jeszcze jednej czy dwu innym osobom.

Zesztywniały Seldon wstał powoli. Miał wrócić na Uniwersytet Streelinga, by za godzinę spotkać się z wnuczką i Stettinem. Zostawili mu wiadomość, że mają dla niego wielką niespodziankę. Seldon miał nadzieję, że to kolejny fragment układanki. Popatrzył po raz ostatni na Trantor, a zanim wrócił do windy grawitacyjnej, uśmiechnął się i powiedział cicho:

— Fundacja.

34

Kiedy Hari Seldon wszedł do biura, Wanda i Stettin siedzieli już przy stole konferencyjnym w odległym krańcu pokoju. Jak zwykle w ich przypadku w pomieszczeniu panowała kompletna cisza.

Helikończyk zatrzymał się jednak, gdyż zauważył nowego człowieka. To było dziwne — przez wzgląd na grzeczność Wanda i Palver zazwyczaj rozmawiali w towarzystwie innych ludzi, a jednak tym razem żadne z trójki się nie odzywało.

Seldon przyjrzał się dokładnie obcemu. Dziwnie wyglądający mężczyzna miał około trzydziestu pięciu lat i spojrzenie krótkowidza, kogoś, kto wiele lat poświęcił nauce. Gdyby nie coś szczególnego w układzie szczęki, wziąłby go za bezsilnego, ale oczywiście byłby to błąd. W twarzy tego człowieka były zarówno siła, jak i uprzejmość. Temu obliczu można zaufać, pomyślał Hari.

— Dziadku — powiedziała Wanda, wstając z gracją z krzesła.

Seldon poczuł ból w sercu, gdy spojrzał na wnuczkę. Tak bardzo zmieniła się w ciągu kilku ostatnich miesięcy — od czasu, gdy straciła rodzinę. Wcześniej zwracała się do niego „dziaduniu", teraz mówiła bardziej oficjalnie: „dziadku". W przeszłości nie mogła się powstrzymać, by nie pokazywać zębów w uśmiechu i nie chichotać; ostatnio poważne spojrzenie tylko czasami rozjaśniał uśmiech szczęścia. Ale była śliczna jak zawsze, a jej urodę przewyższał jeszcze niezwykły intelekt.

Seldon ucałował na powitanie Wandę, a Palvera poklepał przyjaźnie po ramieniu.

— Witam — zwrócił się do obcego, który wstał. — Jestem Hari Seldon. — To dla mnie niezwykły zaszczyt móc pana poznać, profesorze — odparł nieznajomy. — Nazywam się Bor Alurin. — Podał Seldonowi rękę w dość archaicznym i formalnym geście powitania.

— Bor jest psychologiem i twoim wielbicielem, Hari — oznajmił Palver.

— A co najważniejsze, dziadku — dodała Wanda — Bor jest jednym z nas.

— Jednym z was? — Seldon spoglądał to na jedno, to na drugie. — Chcecie powiedzieć…? — Rozbłysły mu oczy.

— Tak, dziadku. Wczoraj spacerowaliśmy ze Stettinem w Sektorze Ery, rozglądając się tu i ówdzie, tak jak radziłeś. Szukaliśmy innych mentalistów. I nagle… bach! Znaleźliśmy go.

— Natychmiast rozpoznaliśmy wzorzec myślowy i zaczęliśmy się rozglądać, usiłując ustalić, czyj sygnał odebraliśmy — powiedział Palver, przejmując opowiadanie. — Byliśmy w centrum handlowym, w pobliżu kosmodromu, toteż chodniki pełne były kupujących,

turystów i handlowców ze Światów Zewnętrznych. Sytuacja wyglądała na beznadziejną, ale wtedy Wanda po prostu się zatrzymała i nadała sygnał „Podejdź tutaj", a z tłumu wyłonił się Bor. Podszedł do nas i odpowiedział sygnałem „Tak?"

— Zdumiewające — stwierdził Seldon, uśmiechając się do wnuczki. — A pan, doktorze… jest pan doktorem, prawda? Co pan o tym sądzi, doktorze Alurin?

— No cóż — rzekł psycholog po namyśle — jestem zadowolony. Zawsze czułem, że różnię się od innych ludzi, a teraz wiem dlaczego. Jeśli tylko mogę w czymś pomóc… — Mężczyzna spuścił wzrok, jakby nagle uświadomił sobie, że mówi jak zarozumialec. — Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli we troje możemy w jakiś sposób wspomóc Projekt Psychohistorii, to nic nie sprawi mi większej radości.

— Tak, tak. Prawdę mówiąc, doktorze Alurin, może pan bardzo wspomóc Projekt… jeśli dołączy pan do mojego zespołu. Oczywiście, będzie pan musiał porzucić dotychczasowe zajęcie, czy było to nauczanie, czy prywatna praktyka. To możliwe?

— Ależ tak, profesorze, oczywiście. Może będę jedynie potrzebował pomocy, by przekonać moją żonę. — Mówiąc to, zachichotał cicho i spojrzał nieśmiało na pozostałe osoby. — Ale chyba wiem, jak to zrobić.

— W takim razie załatwione — powiedział ożywiony Seldon. — Dołączy pan do zespołu Projektu Psychohistorii. Obiecuję, doktorze Alurin, że nie będzie pan żałował swojej decyzji.

Później, kiedy Bór Alurin wyszedł, Seldon powiedział: — To jest od dawna oczekiwany przełom. Jak szybko, waszym zdaniem, możecie znaleźć innych mentalistów?

— Dziadku, znalezienie Bora zajęło nam ponad miesiąc. Nie możemy przewidzieć, kiedy znajdziemy innych. A poza tym te wszystkie spacery odrywają nas od pracy przy Pierwszym Radiancie. Teraz, gdy mam Stettina, z którym mogę „rozmawiać", zwykła rozmowa jest zbyt przykra, zbyt głośna.

Seldon przestał się uśmiechać. Właśnie tego się obawiał. Wanda i Palver doskonalili swe zdolności umysłowe, więc zmalała ich tolerancja wobec „normalnego" życia. To miało sens; dar tych dwojga oddalał ich od innych ludzi.

— Wando, Stettinie, sądzę, że nadeszła pora, bym powiedział wam więcej o pomyśle Yugo Amaryla sprzed lat oraz o Planie, który obmyśliłem na podstawie tego pomysłu. Nie mogłem opracować go szczegółowo, bo do tej chwili nie znałem wszystkich detali. Jak wiecie, Yugo czuł, że musimy ustanowić dwie Fundacje, z których każda miała zabezpieczać drugą. To był wspaniały pomysł i żałuję, że Yugo nie żyje i nie będzie mógł zobaczyć, jak go realizujemy. — Tu

Seldon przerwał i westchnął smutno. — Ale to tylko dygresja. Sześć lat temu, kiedy byłem pewien, że Wanda potrafi czytać w myślach innych ludzi, doszedłem do wniosku, że nie tylko powinny powstać dwie Fundacje, ale że powinny się też różnić. Jedną założą naukowcy zajmujący się naukami ścisłymi. Encyklopedyści będą pionierami tej grupy na Terminusie. Drugą założą prawdziwi psychohistorycy, ludzie o niezwykłych zdolnościach umysłowych: wy. Właśnie dlatego tak bardzo chciałem, żebyście znaleźli ludzi podobnych do was. I jeszcze coś. Druga Fundacja musi pozostać tajemnicą. Jej siła będzie polegała na jej odosobnieniu, na jej telepatycznej wszechobecności i wszechmocy. Kilka lat temu, kiedy stało się jasne, że będę potrzebował usług ochroniarza, uświadomiłem sobie, że Druga Fundacja musi stanowić silną i cichą tajną ochronę podstawowej Fundacji. Psychohistoria nie jest niezawodna, jednak jej przepowiednie są wysoce prawdopodobne. Fundacja, szczególnie w początkowym okresie, będzie miała wielu wrogów, tak jak ja mam ich dzisiaj. Ty, Wando, i ty, Stettinie, jesteście pionierami Drugiej Fundacji, strażnikami Fundacji Terminusa.

— Ale jak możemy nimi być, dziadku? — spytała Wanda. — Jest nas tylko dwoje… no, troje, jeśli doliczyć Bora. By strzec całej Fundacji, potrzebne są…

— Setki? Tysiące? Znajdź, ilu trzeba, wnuczko. Potrafisz tego dokonać. I wiesz, jak to zrobić. Kiedy opowiadaliście mi, jak znaleźliście doktora Alurina, Stettin powiedział, że po prostu zatrzymałaś się i pomyślałaś intensywnie, a on odebrał ten komunikat i sam do was przyszedł. Nie rozumiecie? Cały czas nalegałem, byście wychodzili na zewnątrz i szukali ludzi podobnych do was. Ale to jest dla was trudne, niemal bolesne. Zrozumiałem teraz, że ty i Stettin musicie znaleźć odosobnione miejsce, by stworzyć zalążek Drugiej Fundacji. Stamtąd zarzucicie sieci w ocean ludzkości.

— Dziadku, co ty mówisz? — spytała szeptem Wanda. Opuściła swoje miejsce i uklękła obok fotela Seldona. — Chcesz, żebym wyjechała?

— Nie, Wando — odpowiedział Seldon głosem zdławionym przez emocje. — Nie chcę, żebyś wyjeżdżała, ale to jedyny sposób. Ty i Stettin musicie odizolować się od surowych warunków fizycznych Trantora. Kiedy wasze zdolności umysłowe okrzepną, przyciągniecie do siebie innych. W ten sposób po cichu i w tajemnicy Fundacja się rozrośnie. Będziemy się kontaktować… oczywiście, od czasu do czasu. Poza tym każde z nas ma Pierwszy Radiant. Chyba teraz rozumiesz absolutną konieczność tego, o czym mówię, prawda?

— Rozumiem, dziadku — powiedziała Wanda. — Co więcej, czuję, że to wspaniały pomysł. Wszystko będzie w porządku; nie zawiedziemy cię.

— Wiem, kochanie, że mnie nie zawiedziecie — rzekł przejęty Seldon.

Jak mógł zrobić coś takiego — jak mógł odesłać ukochaną wnuczkę? Przecież była ostatnim pomostem łączącym go z najszczęśliwszymi latami: z Dors, z Yugo i z Raychem. Była drugim takim człowiekiem jak on w Galaktyce.

— Będę strasznie za tobą tęsknił, Wando — rzekł, a po jego pomarszczonym policzku spłynęła łza.

— Ale, dziadku — spytała Wanda, gdy stanęła obok Palvera i przygotowywała się do wyjścia — dokąd mamy się udać? Gdzie jest ta Druga Fundacja?

Seldon popatrzył na nią i odpowiedział:

— Wando, Pierwszy Radiant na pewno już ci to powiedział. Spojrzała na Seldona, usiłując sobie przypomnieć. Helikończyk wyciągnął rękę i uścisnął dłoń wnuczki.

— Dotknij mojego umysłu, Wando, a będziesz wiedziała, gdzie to jest.

Wanda zmrużyła oczy, zaglądając do umysłu Seldona.

— Widzę — szepnęła.

Sekcja 33A2D17: Gwiezdny Kraniec.

Rozdział V
Epilog

Nazywam się Hari Seldon. Jestem byłym Pierwszym Ministrem imperatora Cleona I. Emerytowanym profesorem psychohistorii na Uniwersytecie Streelinga na Trantorze. Dyrektorem Projektu Psychohistorii. Redaktorem Encyklopedii Galaktycznej. Założycielem obu Fundacji.

Wiem, że to wszystko brzmi dość imponująco. Dokonałem bardzo wiele w ciągu osiemdziesięciu jeden lat i jestem zmęczony. Gdy spoglądam wstecz, zastanawiam się, czy mogłem — czy powinienem — postąpić w pewnych sprawach inaczej. Na przykład: Czy tak bardzo zajęty byłem psychohistorią, że w porównaniu z nią wydarzenia i ludzie w moim życiu wydawali mi się bez znaczenia?

Być może zaniedbałem kilka małych posunięć, tu czy tam, które nie zmieniłyby przyszłości ludzkości, ale mogłyby niezwykle polepszyć życie drogich mi osób. Yugo, Raycha… Ciągle się zastanawiam… Czy mogłem coś zrobić, by uratować moją ukochaną Dors?

W zeszłym miesiącu ukończyłem zapisywanie hologramów dotyczących Kryzysów. Mój asystent Gaal Dornick zabrał je na Terminus, by dopilnować umieszczenia ich w Krypcie Seldona. Zadba, by ją szczelnie zapieczętowano i by pozostawiono odpowiednie instrukcje na wypadek ewentualnego otwarcia Krypty w czasie Kryzysów.

Ja, oczywiście, nie będę już wtedy żył.

Co sobie pomyślą przyszli członkowie Fundacji, kiedy zobaczą mnie (czy też, mówiąc dokładniej, mój hologram) w czasie Pierwszego Kryzysu, za prawie pięćdziesiąt lat? Czy będą komentowali to, że tak staro wyglądam, że mój głos jest taki słaby i że wciśnięty w fotel na kółkach, wydaję się mały? Czy zrozumieją i docenią przesłanie, które im zostawiam? Właściwie nie ma co spekulować. Jak mawiali starożytni: „Kości zostały rzucone”.

Wczoraj otrzymałem wiadomość od Gaala. Na Terminusie wszystko w porządku. Bór Alurin oraz członkowie Projektu kwitną na „wygnaniu”. Nie powinienem się radować, ale nie mogę się powstrzymać od śmiechu, gdy przypominam sobie zadowolony wyraz twarzy tego pompatycznego idioty Linge Chena, który dwa lata temu skazał na wygnanie na Terminus członków Projektu. Choć ostatecznie wygnanie określono słowami konstytucji („Państwowa instytucja naukowa oraz część domeny Jego Imperialnej Mości” — Naczelny Komisarz chciał się nas pozbyć z Trantora, mimo że nie mógł znieść myśli, że utraci nad nami wszelką władzę), to ja i Las Zenow

wybraliśmy Terminus na siedzibę Fundacji i wciąż jest to dla mnie ukrytym źródłem radości.

Skoro już mówimy o Linge Chenie, żałuję jedynie, że nie udało się nam uratować Agisa. Był dobrym człowiekiem i szlachetnym przywódcą, choć tylko nominalnie imperatorem. Popełnił błąd, uwierzywszy w magię swojego tytułu, a Komisja Bezpieczeństwa Publicznego nie tolerowała wolnościowych zapędów w Imperium.

Często się zastanawiam, co zrobili Agisowi — czy został zesłany na jakiś odległy Świat Zewnętrzny, czy też zamordowany tak jak Cleon?

Chłopiec, który dziś zasiada na tronie, jest tylko marionetką przypominającą imperatora. Jest posłuszny każdemu słowu, które Linge Chen wyszepcze mu do ucha, i zabawia się w domorosłego polityka. Pałac i pułapki życia imperialnego są dla niego tylko zabawkami w jakiejś wielkiej grze fantastycznej.

A co ja zamierzam zrobić? Gaal wreszcie dołączył do grupy na Terminusie, zostałem więc zupełnie sam. Czasami otrzymuję wiadomości od Wandy. Praca w Gwiezdnym Krańcu postępuje zgodnie z planem; w ciągu ostatniej dekady ona i Stettin przyciągnęli do siebie dziesiątki mentalistów. Stają się coraz silniejsi. To właśnie mieszkańcy Gwiezdnego Krańca — moja sekretna Fundacja — zmusili Linge Chena, by wysłał Encyklopedystów na Terminus.

Bardzo brakuje mi Wandy. Upłynęło już wiele lat od chwili, kiedy widziałem ją po raz ostatni, kiedy siedziałem cicho obok niej, trzymając ją za rękę. Gdy Wanda wyjechała, mimo że sam ją o to prosiłem, o mało nie dostałem zawału serca. To była chyba najtrudniejsza decyzja, jaką musiałem kiedykolwiek podjąć, i choć nigdy jej tego nie powiedziałem, niewiele brakowało, bym zmienił zdanie. Żeby Fundacja osiągnęła sukces, Wanda i Stettin musieli wyjechać na Gwiezdny Kraniec. Tak wynikało z orzeczenia psychohistorii — więc być może to wcale nie była moja decyzja.

Wciąż codziennie tu przychodzę — do mojego biura w budynku Projektu Psychohistorii. Pamiętam, jak całymi dniami i nocami wypełniony był ludźmi. Czasami czuję się tak, jakby wypełniały go głosy mojej rodziny, której już od dawna nie ma, studentów, kolegów — ale naprawdę biura są puste i ciche. Po korytarzach niesie się tylko echo skrzypienia mojego wózka.

Pewnie powinienem opuścić ten budynek, zwrócić go uniwersytetowi i przenieść się na inny wydział. Ale jakoś trudno mi zostawić to miejsce. Tyle wspomnień mnie z nim wiąże…

Teraz pozostał mi jedynie Pierwszy Radiant. Jest to urządzenie, za pomocą którego można obliczać wykresy psychohistorii, analizować każde równanie mojego Planu — a wszystko to dzięki zdumiewającemu małemu sześcianowi. Kiedy tak tu siedzę, trzymając

na dłoni to urządzenie o tak zwodniczo prostym wyglądzie, chciałbym mocje pokazać R. Daneelowi Olivawowi…

Niestety, jestem sam, mogę więc tylko dla siebie zgasić światła w biurze. Kiedy poprawiam się w fotelu na kółkach, Pierwszy Radiant ożywa, a równania rozciągają się przede mną w całym swym trójwymiarowym pięknie. Dla kogoś nie wtajemniczonego ten wielokolorowy rój byłby tylko plątaniną kształtów i liczb, ale dla mnie — dla Yugo, Wandy, Gaala — to jest psychohistoria, która przedstawia życie.

To, co widzę przed sobą i dokoła, to przyszłość ludzkości. Prawdopodobnie trzydzieści tysięcy lat chaosu skondensowanego do jednego tysiąclecia…

Ścieżka jaśniejąca coraz mocniej z dnia na dzień to równanie Terminusa. A tu — odchylające się niebezpiecznie — są wykresy Trantora. Widzę jednak… tak, maleńkie światło nadziei… Gwiezdny Kraniec!

To… to… praca mojego życia. Moja przeszłość, a przyszłość ludzkości. Fundacja. Taka wspaniała, jak żywa. I nic nie może…

Dors!

> SELDON, HARI — (…) Nie żył już, gdy znaleziono go leżącego na biurku w jego własnym biurze na Uniwersytecie Streelinga 12069 roku e.g. (pierwszego roku e.R). Najprawdopodobniej do ostatniej chwili pracował nad równaniami psychohistorii, gdyż w jego zaciśniętej dłoni znaleziono włączony Pierwszy Radiant. (…)
>
> Zgodnie z instrukcjami Seldona, Pierwszy Radiant przesłano jego koledze Gaalowi Dornickowi, który wyemigrował na Terminus. (…)
>
> Również zgodnie z instrukcjami Seldona, jego ciało zostało wyrzucone w kosmos. Oficjalny pogrzeb na Trantorze był skromny, choć przybyło na niego wiele osób. Godny odnotowania jest fakt, że wziął w nim udział stary przyjaciel Seldona, były Pierwszy Minister Eto Demerzel. Nie widziano go od czasu, gdy zniknął w tajemniczy sposób podczas powstania joranumitów za panowania imperatora Cleona I. Po pogrzebie Seldona Komisja Bezpieczeństwa Publicznego bezskutecznie poszukiwała Demerzela.
>
> Wanda Seldon, wnuczka Hariego Seldona, nie uczestniczyła w pogrzebie. Krążyły pogłoski, że pogrążona w bólu, odmówiła uczestniczenia we wszelkich wystąpieniach publicznych. Do dziś miejsce jej pobytu pozostaje nieznane. (…)

Powiadają, że Hari Seldon odszedł tak, jak żył, gdyż umarł, mając nadzieję na przyszłość, którą usiłował stworzyć dokoła siebie. (…)

Encyklopedia Galaktyczna

notes

Przypisy

1

Wszystkie zamieszczone tutaj cytaty z Encyklopedii Galaktycznej zaczerpnięte zostały za zgodą wydawcy z jej 116. wydania opublikowanego w 1020 roku e.F. przez Encyclopedia Galactica Publishing Co. na Terminusie.

2

ang. Layman-aided — pomoc laika *(przyp. tłum.)*